

Roman Frister

Autoportret z bliźną

Przekład z hebrajskiego: Elżbieta i Roman Frister

BRAMA PIERWSZA: CENA ŻYCIA, SMAK CHLEBA

Jeśli cedry płoną, cóż uczynią mchy

Druga Księga Miszny

1

Do godziny ósmej wieczorem można było poruszać się po obozie. W miesiącach letnich, gdy dni wydłużały się, aż do chwili gdy niebo i ziemia ciemniały i zlewały się na horyzoncie, korzystaliśmy z poczucia pozornej wolności. Wspaniale było ślizgać się wzrokiem po samym środku placu apelowego, aby uniknąć widoku drutów kolczastych, które nas otaczały. Dobrze było podnosić oczy, aby się przekonać, że niebo wciąż jeszcze jest na swoim miejscu, niebieskie lub zachmurzone, ale wieczne, i dobrze było opuścić wzrok ku ziemi, aby móc udawać, że nie wyrastają z niej wysokie wieże strażnicze najeżone lufami karabinów maszynowych.

Więźniowie przechodzili bez przeszkód z baraku do baraku, niby to z sąsiedzką wizytą. W rzeczywistości za przymkniętymi drzwiami odbywał się bezustanny handel żywnością. Nikt nie wiedział tak naprawdę, skąd brały się te ogromne bochny chleba, jak przemycano przez ucho igielne dobrze strzeżonej bramy wejściowej worki kaszy i grochu. Nikt nie zadawał zbędnych pytań. Do samego końca nie mogłem pojąć, skąd ludzie brali dolary i okupacyjne złotówki, aby płacić za te drogie towary. Od czasu do czasu ktoś oszukiwał na wadze, wybuchały sprzeczki, nawiązywały się okolicznościowe spółki i przyjaźnie, zupełnie jak w życiu, tym prawdziwym, toczącym się za drutami. Nikt nie myślał kategoriami dnia jutrzejszego. Żyliśmy chwilą. Tajemnica małej szczęśliwości kryła się w zdolności takiego istnienia, jakim istnieje bydło swobodnie przeżuujące pokarm w zagrodzie, nie mające pojęcia, iż przeznaczone jest na rzeź.

Obóz położony był w górnej części miasteczka Starachowice. Część dolną, zwaną Wierzbnikiem, założyli cystersi, którzy przywędrowali w kieleckie strony w dwunastym wieku i pobudowali się w pobliskim Wąchocku, ale od niepamiętnych pokoleń zamieszkiwała ją ludność żydowska. Znaki szczególne Wierzbnika to stara, bardzo stara bóżnica, prostokątny rynek brukowany kostką z kamienną studnią pośrodku, uwieńczony sklepikami niemal cynamonowymi, a także dostatnie domy lokalnych *gwirów*, czyli starozakonnych bogaczy, skupione wzdłuż topolowej alei. Gdy wszystko to zmasane już zostało na zawsze, w jednym z telawiwskich domów starców złapała mnie za rękaw zgrzybiała staruszka, było to z początkiem lat sześćdziesiątych, i z niesamowitą nadzieją w głosie zapytała: „Panie, czy koty wciąż jeszcze wygrzewają się w słońcu przy tej studni na rynku?” Kryła się w tej starczej naiwności nieuzasadniona wiara, iż jest w naszej mocy zatrzymać bieg czasu, zamrozić go dowolnie i znów odmrozić w chwili, gdy tego zapagniemy.

Obóz robót przymusowych nazywano obozem na Majówce. Nie od miesiąca maja wywodziło się to niewinne określenie, ale od nazwy działającej w pobliżu kopalni rudy żelaza. W całym województwie rozsiane były podobne obozy, najbliższe w Pionkach i w Skarżysku-Ka-miennej, wszystkie służące temu samemu celowi: napędzaniu trybów nazistowskiej maszyny wojennej. Razem tworzyły dziwną mozaikę nadziei i rozczarowań, chwilowych radości i cierpień, a w końcu także życia i śmierci. Mozaikę uczuć i czynów tak niejasną i skomplikowaną, że tylko psychologowie i historycy będą w stanie ją rozszyfrować. Bo przecież na pozór nie były to wcale obozy zagłady, w których komendy w lewo lub na prawo decydowały o losach ludzkich i nie podpisywały się na niebie ciemnym, słodkawym dymem palonych ciał. Tutaj korzystaliśmy z prawa umierania także śmiercią naturalną. Mimo katorżniczej pracy i brutalności zmobilizowanych na Łotwie strażników, codzienną porcją naszej stawy duchowej było złudzenie. Złudzenie, że tutaj, w Starachowicach, to się nie może zdarzyć.

Czy byłem ślepy? Niezdolny do odczytania prawdy? Niezbędny jest dystans czasu, aby pojąć, że zaprzeczenie rzeczywistości brzemiennej w zwiastuny katastrofy stanowiło podstawowy warunek

przeżycia. Dlatego też długo usiłowałem wymazać z pamięci moje lata wojenne. Wiedziałem już, że każda myśl, która podważa stworzony przez nas wizerunek prawdy, natychmiast osłabia naszą siłę woli. Nie chciane stawało się białą plamą. Jedyne twarzy umierającego ojca nie udało mi się nigdy wykreślić z inwentarza wspomnień; od dnia, w którym wyszedłem z mroku w światło, towarzyszyła mi jak cień, którego nie sposób się pozbyć.

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy wróciłem z pracy w hucie. Byłem najmłodszym, bo zaledwie piętnastoletnim robotnikiem topiącym stal w piecach martenowskich. Piece, jak zresztą cały zakład, były przestarzałym piekłem. W ubiegłym stuleciu cystersi z Wąchocka sprzedali go Samuelowi Fraenklowi, finansście, który wierzył w przyszłość rewolucji przemysłowej, ale, jak to się zwykle darzy, rewolucja pożarła swego syna. Fraenkel nie wytrzymał konkurencji wielkich hut w Zagłębiu i w latach trzydziestych kazał wygasić ogień w piecach. Przypuszczalnie rozpadłyby się do cna, gdyby nie niemiecki okupant, który rozruszał od nowa postarzałe gnaty starachowickiej huty. Robotnicy najemni i więźniowie skrobali rdzę, tumany rudego kurzu unosiły się w powietrzu, ludzie kłeli, krztusili się i pracowali. Żydzi z miasteczka usuwali nagniotki zastygłego betonu przyrosniętego nie wiadomo jak do szyn kolejki wąskotorowej. W pustych halach na zapleczu wielkiego pieca wytruto setki szczerów, na razie jedyne ofiary niemieckich ekster-minatorów, ustawiono w nich tokarki i frezarki, sprowadzono fachowców, zakład został włączony do koncernu „Herman Göring Werke“ i pod patronatem marszałka Rzeszy znów topiono w nim stal potrzebną jak krew hitlerowskiemu organizmowi podbojów. Ciekawe, czy duch Samuela Fraenkla zacierał dłonie z radością, czy też stary przemysłowiec z rozpaczą przewracał się w grobie.

Gdy przewieziono mnie do Starachowic, latem 1944 roku, znów łał się z nabrzmiałych gorącym pieców nieprzerwany strumień stopionej rudy. Także walcownia i wielki młot nie odpoczywały ani minuty; z własnej bocznicy codziennie wyjeżdżały wagony załadowane bombami. Mówiono, że Niemcy transportują je do pobliskiego obozu w Pionkach, gdzie inni więźniowie nadziewają je materiałem wybuchowym. Wygodnie było wierzyć, że dopóki płonie ten znicz wojny i dopóki przydatni jesteśmy nienasyconemu molochowi zbrojeń, dopóty trzymamy w zanadrzu żelazny list chroniący przed śmiercią.

List ten odebrany został mojemu ojcu w chwili, gdy złożyła go choroba. Przed tym przez kilka tygodni zastępował konia pociągowego przy wózkach przewożących złom ze składu na otwartym powietrzu do składu przy wielkim piecu. Wózki były zdezelowane, koła nie trzymały się osi, na zakrętach z uporem wypadały z szyn i podnosiły ciśnienie krwi niemieckich majstrów zmiany. Na plecy spoconych więźniów spadały razy. Niemcy bili czym popadło, raz trzonkiem łopaty, raz łomem żelaznym. Nawet jeśli nie byli urodzonymi sadystami, okoliczności wydobywały z nich najgorsze. Ciężki wózek trzeba było dźwignąć szybko i sprawnie, a majstrowie byli tak nerwowi i napięci, jakby każde opóźnienie w pracy opóźniało o kilka sekund ostateczne zwycięstwo Rzeszy.

Widziałem, jak ojciec słabnie z dnia na dzień. Coraz częściej przewracał się z wycieńczenia. „Przestań palić“, przygadywałem z ukrytą złością. Wiedziałem, że po kryjomu prehandlowuje poranną porcję chleba na niedopałki papierosów lub odrobinę machorki. Nie zawsze wypływało to moje przygadywanie z czystej troski o jego zdrowie. Być może, w głębi duszy miałem mu ten handel za złe, bo przecież, jeśli mógł się obyć bez pajdy chleba, dlaczego nie dawał jej swemu dziecku?

Byłem skonfundowany, gdy pojawił się, iż odkryłem jego tajemnicę, pokrył zakłopotanie usprawiedliwiającym uśmiechem: „Musisz mi wybaczyć. Za młody jesteś, aby zrozumieć, że nic tak nie koi starganych nerwów jak haust nikotyny“, powiedział. Nie żał zaprzepaszczonego chleba, lecz fakt, że widział potrzebę usprawiedliwiania się przede mną, powodował moją konfuzję. Dziś, gdy patrzę na te wydarzenia z perspektywy pięćdziesięciu niemal lat, wydaje mi się, że błagalny uśmiech ojca był przysłowiową słomką, która złamała resztki jego rodzicielskiego autorytetu. Nie zauważyłem, kiedy i jak wypowiedziałem mu posłuszeństwo i w której dokładnie chwili zacząłem służyć wyłącznie bożkowi przetrwania.

Rzeczywistą przyczynę jego postępującego wycieńczenia odkryłem za późno.

Za późno? Głupie spostrzeżenie. Cóż mógłbym uczynić, gdybym ją poznał wcześniej? Nie było w mej mocy pomóc. Więc co, czułbym się udręczony? I to nie jest pewne. Dobry psycholog postawiłby chyba właściwą diagnozę: znieczulica pospolita. W ciągu ostatnich czterech lat tyle błota przyłgnęło do mej duszy, że nic już nie docierało do wnętrza. Cierpienie bliźnich stało się powszechne, kto nie potrafił odgrodzić się od niego murem obojętności, narażał się na to, że własne uczucia wciągną go,

jak wir, w otchłań zagłady. Droga do wyzwolenia z niszczącego współczucia usłana była trupami ludzi kryształowo czystych.

Epidemia tyfusu plamistego spadła na nas niczym jedenasta plaga egipska, kosila więźniów obozowych jak owe epidemie, które zdziesiątkowały w średniowieczu ludność Europy. Żydzi na hitlerowskich plakatach zawsze przedstawiani byli jako nosiciele zarazków tyfusu. Pamiętałem te plakaty jeszcze z czasów przed aresztowaniem, rozlepione na płotach i murach każdego miasta. Teraz rzeczywistość zdawała się uwiarygodniać antysemitką propagandę. Nie miałem pojęcia, kiedy i gdzie ojciec się zaraził. Póki starczało mu sił, ukrywał chorobę przed wszystkimi, także przede mną. Może łudził się, że to nic poważnego, jakaś przejściowa słabość albo zatrucie nikotyną. Może wierzył, że można oszukać własne ciało. Aż ugięły się pod nim nogi. Stało się to podczas apelu porannego, akurat w chwili gdy kapo kazał nam odliczyć do stu. Każda setka stanowiła osobną grupę w marszu do pracy. Próbowiałem go wesprzeć. Więzień po jego lewej stronie udawał, że niczego nie zauważa. Nikt nie miał ochoty marnować energii. Poza tym doświadczenie uczyło, iż wskazane jest odsunąć się dyskretnie od każdego, komu szczęście przestało sprzyjać. Ręka ojca ześlizgnęła się bezwładnie z ramienia, które mu podałem, cały przechylił się w biodrach, jakby składał głęboki ukłon, po tym runął na ziemię, twarzą w przód, prawie bezgłośnie, jak worek wypchany watą. Instynktownie pochyliłem się, wyciągnąłem dłonie, aby pomóc mu wstać, kapo i niemiecki oficer byli teraz w odległości dwóch, może trzech metrów ode mnie, nasze spojrzenia skrzyżowały się szybko, wyciągnięte ramiona zastygły w powietrzu. Każdy doświadczony mieszkaniec obozu wiedział, że nie ma nic gorszego od widocznego związku z kimś, dla kogo nie ma już ratunku. Także pech był chorobą zakaźną.

Kapo przystanął na moment, trochę rozeźlony, bo w pierwszej chwili nie wiedział chyba, czy zaliczyć ojca do żywych, czy do umarłych. Niemiec cofnął się o krok i krzyknął:

- Tyfus! Zabrać go stąd, ale szybko.

Dwaj więźniowie w brudnych kitlach sanitariuszy wyskoczyli znikąd, złapali ojca pod pachy i pociągnęli w bok znieruchomiałe ciało. Czy był przytomny? Czy zdawał sobie sprawę z tego, co się dzieje? Czy zauważył moje wahanie? Wówczas nie zadawałem sobie takich pytań. Patrzyłem, jak bezsilne nogi, obute jeszcze w drewniaki, zostawiają ślad w piaszczystej ziemi, najpierw wyraźny, potem coraz bardziej zanikający, jakby ciało traciło wagę lub zmniejszała się siła przyciągania kuli ziemskiej. Nie chciałem odprowadzać go wzrokiem; gdzieś głęboko w podświadomości zrodziła się obawa, że nigdy już nie zdołam się od tego widoku wyzwolić. Ale stałem bez ruchu, bezwolny czy zahipnotyzowany, i patrzyłem na te włóczęne po ziemi nogi ojca, aż siarczysty policzek kapo przywrócił mnie do porządku dziennego. „Co się gapisz jak wół na malowane wrota!“, ryknął. Codziennie padały tu ofiary tyfusu, nie było w tym nic nadzwyczajnego, w każdym razie nic, co mogłoby wzruszyć. Jedyne zamieszanie spowodował fakt, że po raz wtóry musieliśmy odliczyć do stu. Kilka minut po tym, ustawieni jak zawsze w trójki, odmaszerowaliśmy do bramy, aby skręcić za obozem w lewo i ruszyć w dół wąskim gościńcem prowadzącym do huty.

Na drzwiach jednego z baraków przybity był szyld „Szpital“. Z niewiadomych mi przyczyn, w żargonie SS-manów nazywano go rewirem. Barak ten nie różnił się niczym od innych, zbudowany z desek i kryty papą. Jeśli się nie mylę, nigdy nie stanęła w nim stopa prawdziwego lekarza. W rewirze pracowali więźniowie, którzy nie powąchaliby nawet medycyny, ale byli dosyć sprytni, aby uniknąć harówki przy piecach, podając się za felczerów lub dyplomowanych sanitariuszy. Praca ich ograniczała się do sprawdzania, kto nie dożył rana. Trupy przewozili na taczkach, układali je w równe rzędy na małym podwórku za barakiem i cierpliwie czekali, aż przyjdą SS-man i kapo i wpiszą je do rejestru. Nikt nie pytał o nazwiska, ale liczby zgadzać się musiały co do joty. Dopiero po zakończonej procedurze, gdy niemieckiemu zamięłowaniu do porządku i biurokracji stało się zadość, podjeżdżała ciężarówka, aby wywieźć martwych do wspólnego grobu za miastem. Nigdy nie zapytałem, gdzie to. Nie chciałem wiedzieć.

Codziennie po pracy odwiedzałem ojca w „szpitalu“. Pierwsza zmiana kończyła o szóstej wieczorem, apel kradł nam jeszcze godzinę. Przed ósmą, a więc kilka minut przed zakazem poruszania, stawałem się przy ojcowskim łożu. Po dwunastogodzinnej pracy w hucie i po trudnej wspinaczce z dolnego miasta do górnego, wracałem znużony do cna. Strażnicy na bramie zatrzymywali nas często, szukając przemytników żywności. Kogo złapano na gorącym uczynku, tego czekała kula w łeb. Ale od chwili, gdy znaleźliśmy się zamknięci wewnątrz obozu, znów byliśmy wolni. Moim pierwszym pragnieniem było wypocząć. Moją pierwszą myślą było pozbyć się ołowiu, który wypełniał żyły zmęczonych nóg. Wiedziałem jednak, że jeśli wyciągnę się na chwilę na mojej

pryczy, nie znajduję w sobie dosyć siły, aby się dźwignąć i zawlec do rewiru. Dniówka w hucie kładła na łopatki starszych i mocniejszych ode mnie. Piece martenowskie buchały żarem tysiąca sześciuset stopni, a za każdym otwarciem, gdy czerwonoruda stal spływała do form, dyszały chmurą trujących gazów. Wiele lat później oglądałem „Przy drzwiach zamkniętych“ Sartre’a. Jeden z bohaterów dramatu mówił, że „piekło, to inni ludzie“. Przyswoiłem sobie tę prawdę, ale w istniejących warunkach piekło było także w rozpalonych piecach, a może przede wszystkim w nas samych. Jego palący dech czułem na gorejących policzkach, gdy stałem przed drzwiami „szpitala“. Drzwi były zawsze zamknięte. Opierałem dłoń na klamce, bezwiednie opóźniając moment naciśnięcia. Nie z powodu zmęczenia. Z powodu niepewności. Otwarcie drzwi symbolizowało wejście do świata, w którym krzyżowały się drogi życia i śmierci; świata, w którym nie było już miejsca na samookłamywanie się.

Minęło kilka sekund nim wzrok przyzwyczaił się do półmroku. Okienne były zasunięte. Stolarze przygwoździli je do framug, aby nikomu nie zachciało się zaprosić promieni słonecznych. Na drucie zwisającym z belki stropowej kołysała się goła żarówka. Twarze chorych wyglądały w jej bladym świetle jak ulepione z wosku. Niektórzy mieli jeszcze dosyć siły woli, aby iskać atakujące ich wszy. Większość leżała bez ruchu. Śmierć pelzła ku nim pomału, ukryta pod całunem ciemności.

Prycza ojca była ostatnią w rzędzie. Szedłem obok umierających, nie zwracając uwagi na ich istnienie. Nie miałem poczucia wspólnoty losu. Oni leżeli w przedśionku tego, co zwykliśmy nazywać lepszym światem; ja lgnąłem całym jestestwem do tego gorszego. W powietrzu unosił się kwaśny zapach moczu zmieszany z ostrością środków dezynfekcyjnych. „Sanitariusze“ bronili się przed tyfusem wielkimi pojemnikami lizolu. Ktoś wyciągnął do mnie rękę, z krtani wyrwał mu się niezrozumiały bełkot. Może był spragniony, prosił o wodę. A może prosił o życie. Nie mogłem mu dać czegoś, czego nie miałem. Udawałem, że nie słyszę i nie widzę. Nie obawiałem się zarazić, ale ogarniał mnie strach na myśl, iż mam z tymi ludźmi coś wspólnego. Nie chciałem się utożsamiać z nimi, jakby było w ich mocy wciągnąć mnie w mrok utraconego bytu.

„Tato, przyszedłem“.

Ojciec nie odpowiedział, ale jego milczenie nie potrafiło mnie wyprowadzić w pole. Lekkie drgnięcie spękanych warg zdradziło, że słyszał. Głowę miał zwieszoną w tył, w dziwnej i niewygodnej pozycji, grdykę wypiętą do przodu, usta lekko rozwarłe. Skóra na dłoniach była niemal biała, a on kurczył i rozkurczał te dłonie, jakby pragnął coś wyrazić, a ja nie potrafiłem rozszyfrować tych znaków. Przypomniałem sobie chorego, którego minąłem przed chwilą, nie poświęcając mu okrucza uwagi, i spytałem:

„Tato, chcesz pić? Tato?“

Dłonie zamarły w bezruchu.

„Tato, daj znak życia“.

Pochyliłem się nad nim. Oddychał. Delikatnie zacząłem rozgniatać wszy, które zagnieździły się w rzęsach. Otworzył oczy. Były wyblakłe. Znów je przymknął. Leżał teraz sztywno, jak większość chorych. Tyle tylko, że leżał spokojnie, jak człowiek, który nareszcie może sobie pozwolić na odpoczynek. Inni, poskręcani, wyglądali jak mumie, które zabalsamowano w konwulsjach padaczki. Tylko wszy były zdrowe. Tylko wszy poruszały się. Zwariowana myśl przebiegła mi przez głowę: co się dzieje z tymi wszami, gdy stygnie ciało, które je karmi? Czy umierają wraz z nim, czy też wędrują na sąsiednią prycę w poszukiwaniu ciepła zapewniającego pasożytom wieczne życie? Ostrożnie wyławiałem je spomiędzy rzęs ojca, podnosiłem ku światłu, uważnie badając niemal przezroczyste stworzenia, próbując rozgryźć tajemnicę ich istnienia, nim je miażdżyłem między paznokciami kciuków. Pękając wydawały przytłumiony dźwięk, jak daleki odgłos strzału z pistoletu na kapiszony. Po kilku minutach, gdy rzęsy były już czyste, dotknąłem lekko powiek ojca.

„Tato, otwórz oczy“, prosiłem.

Poznał mnie? Tak bardzo pragnąłem, aby wiedział. W gruncie rzeczy, co miał wiedzieć? Że jestem jego synem? Że nie porzuciłem go w czasie, gdy porzucanie najbliższych stawało się prawie normą? Do diabła z tymi dywagacjami. Przecież widziałem, że pogrążył się we mgle niebytu, w paraliżu zmysłów, w otchłani, w której nie ma już ani cierpienia fizycznego, ani duchowego, że pozostały w nim tylko ślady człowieczego bytu, rodzaj gasnącego płomyka świecy, który przestał wydzielać światło. Wystarczy chuchnąć, a zgaśnie. W głębi serca czaiła się prawda. Chciałem wiedzieć, czy mnie czuje, bo pod słomianym siennikiem, rojącym się od wszy jak wszystko dookoła, ukrył pół bochenka chleba. Ojciec nie mógł już jeść. A ja byłem głodny.

„Tato“, szeptałem, „tato, powiedz...“

Chciałem zapytać, czy mogę mu coś podać i natychmiast połapałem się, jak bardzo bezprzedmiotowe byłoby takie pytanie. Szept mój był tak cichy, że z trudem słyszałem samego siebie. Czyżbym czynił to świadomie, w nadziei, że słowa nigdy do niego nie dotrą? Chyba nie upadłem tak nisko. Podniosłem oczy, położyłem mój wzrok na jego twarzy, wierzę, że była w nim synowska miłość, bo niespodziewanie poruszył dłonią. Zrozumiałem, że nie zdobędę się na ten ruch, że nie wykradnę chleba spod siennika. Usiadłem na brzeżku pryczy i cierpliwie czekałem aż wyzionie ducha, abym mógł zabrać *mój* chleb bez wyrzutów sumienia.

Przez siedem dni obserwowałem niegodne chwytby anioła śmierci. Widziałem, jak mota swoją pajęczynę. Bez pośpiechu. Pewny wyniku. Najpierw zmazuje rumieniec z policzków ofiary. Zrasza zimnym potem jej czoło. Sączy krople niemocy. Wstrząsa ciało febrą. A w końcu odbiera zdolność myślenia. Mistrz w swoim fachu. Miałem za sobą długi staż obozowy. Często spotykałem śmierć gwałtowną. Widziałem, jak oficer jednostek specjalnych SS, Wilhelm Kunde, rozłupał czaszkę mojej matki uderzeniem kolby. Minęło ponad czterdzieści lat, nim udało mi się posadzić go na ławie oskarżonych w Kilonii. Widziałem hitlerowców i włosowców strzelających do dzieci jak do kaczek. Widziałem kapo uśmiercających ludzi uderzeniem łopaty i widziałem więźniów doprowadzonych do ostateczności, znajdujących ucieczkę w samobójczym skoku na przewody wysokiego napięcia. Śmierć nagła i gwałtowna mieściła się w świecie pojęć stworzonych nam przez nazistów w odrutowanej namiastce życia tymczasowego. Znacznie trudniej było oswoić się ze śmiercią rozciągniętą w czasie, umożliwiającą intymne poznanie cierpień powolnego konania. Agonia ojca kryła w sobie czynnik czasu; wymagała ustosunkowania się.

Tyle tylko, że w ostatnich chwilach jego życia cała moja uwaga skupiała się na połowie bochenka chleba. Drżałem na myśl, że się całkowicie rozkruszy, że zeżrą go szczury, bo i tych nie brakowało w obozie, albo jeszcze gorzej: że uprzedzi mnie jakiś pazerny bękart w kitlu sanitariusza, rabując moją schedę. Właśnie wszedł jeden z nich. „Za chwilę ósma“, warknął i kazał mi wyjść. Przykryłem dłonią stygnącą dłoń ojca.

„Przyjdę jutro, jak zwykle“, przyrzekłem.

Ojciec nie słyszał. Nie miało to zresztą żadnego znaczenia, bo słowa moje przeznaczone były dla mojego ucha wyłącznie. Jedynym ich celem było stworzenie samozobowiązania. „Sanitariusz“ zatrzasnął za mną drzwi. Kilku więźniów truchtem spieszyło do swoich baraków. Strażnicy zaczęli wyprowadzać wilczury z psiarni. Co wieczór obwieszczały swym szczekaniem, krótkim *staccato* przerywanym nawoływaniem dozorców, że zbliża się godzina zamykania baraków. Dziwni ludzie, dziwne psy: choć zawsze syte, zawsze czyhające na żer.

Nazajutrz oznajmił mi „sanitariusz“:

„Twój tata zwrócił duszę Panu Bogu“.

„Nie gadaj głupstw“, zachnąłem się. „Nie ma duszy i nie ma Boga“.

„Sanitariusz“ wzruszył obojętnie ramionami. Cekał go dzień pełen zmarłych, najwidoczniej nie miał chęci na teologiczną dysputę.

„Idź już, idź“, powiedział, ale nie było w tym powiedzeniu presji. Odsunąłem go. Tym razem otwarłem drzwi baraku bez wahania. Przemknąłem niemal biegiem do ostatniej pryczy. Leżał na niej ktoś obcy. Wsunąłem rękę pod siennik. Spod siennika wysunąłem pustą rękę. Wyprostowałem się. Stałem nieruchomy jak słup soli. Złość narastała we mnie jak fala. Nie miałem chleba i nie miałem ojca. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że tego ranka, gdy jego ciało rzucono do wspólnego grobu za miastem, ostatecznie przecięta została pępowina, która łączyła mnie z dzieciństwem. Umarł świat, w którym wolno było obarczyć kogoś innego odpowiedzialnością za własny los.

2

Brak odpowiedzialności miał swój zapach i kolor. W ogrodzie domu, w którym mieszkaliśmy przed wojną, rosły dwa krzewy bzu. Mimo iż kryły się w cieniu rozłożystych kasztanów, rozrosły się szybko i pokryły cały niemal ogród bielą i fioletem. Tak było szczególnie w maju i z początkiem czerwca, gdy kwiaty kwitły, a ja, otwierając na oścież okno, zasypiałem odurzony słodyczą ich woni. Pięćdziesiąt lat minęło, aż wróciłem pod stary, tak dobrze znany mi adres. Znalazłem kamienicę

moich lat dziecięcych, zaniedbaną i zmęczoną jak staruszka, o którą nikt już nie dba. Patrzyłem z podwórka w okno mego pokoju; rdza zżarła zawiasy okiennic. Jedna z nich, półotwarta, zawisła pod kątem ostrym jak skrzydło rannego ptaka. Krzewy bzu uschły, na ich miejscu stały kubły, w powietrzu unosił się zgniły smród śmietnika. A jednak nic nie zostało stracone, nic nie rozplynęło się w nicości. Nadal, za każdym razem, gdy uderza mnie słodki zapach bzu, z mroku zapomnienia wyłaniają się obrazy, żywe i kolorowe jak ilustracje z bajki mojego dzieciństwa.

Nie wiem, dlaczego rodzice zamieszkali w Bielsku, na Śląsku Cieszyńskim, w rejonie, w którym przez wieki ścierały się wpływy kultury polskiej i niemieckiej. Bielsko było miastem przemysłowym, ale mimo iż nikt nie myślał jeszcze o ochronie środowiska, zakłady tekstylne zbudowano na obrzeżach. Dymy tego, co nazywano wówczas wielką manufakturą, nie zatrwały nam życia. Przytulone do Beskidu pasma gór, które nie kolidowały nieba skalistymi turniami, tak jak pobliskie Tatry, ale opadającymi w doliny łagodnymi zboczami, zielonymi w lecie i białymi w zimie, opatulały miasto miękką atmosferą kojącej ciszy. Oczywiście było wrażenie, że ten spokój i piękno nigdy nie zostaną naruszone, że staną się nieodłączną częścią mojego życia. Urodziłem się w scenografii jakby stworzonej dla szczęśliwego dzieciństwa.

Żadne znaki szczególne nie wyróżniały naszego domu spośród sąsiednich kamienic. Zamożne mieszczaństwo nadało miastu, na przełomie wieku, jego secesyjny, trochę austriacki charakter, bogaty w ornamenty, lecz ubogi w głębszą, twórczą myśl architekta. Budynki były wyrazem siły i bogactwa epoki, nie jego treści duchowej. Stanowiły harmonijny całościowy kształt z miastem, które wkroczyło na drogę rozwoju w osiemnastym stuleciu, gdy Józef Aleksander Sułkowski, faworyt Augusta II, wielki łowczy litewski i wielki ochmistrz saski, nabył księstwo bielskie i włożył książęcą koronę. Same tytuły i aura wielkiej arystokracji nie doprowadziłyby chyba do tego, że tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej Bielsko było jednym z najbogatszych miast w Polsce. Pełny rozkwit zapewnił mu napływ kapitałów: polskiego, żydowskiego i niemieckiego.

W latach trzydziestych tylko mała część majątku pozostała w rękach książęcej rodziny. Ostatnie kilkaset hektarów nie zagospodarowanego parku, w samym centrum miasta, sprzedali spadkobiercy Józefa Aleksandra i ich wierzyciele przedsiębiorcom budowlanym, którzy szybko wyrabiali drzewa i rozkopali łąkę, na której łowiłem motyle pod czujnym okiem Hildy Baron, mojej niemieckiej guwernantki. W „parku Sułkowskiego“ wyrosły nowe domy, wszystkie śnieżnobiałe, zbudowane w modnym podówczas stylu Bauhaus. Może dlatego nową dzielnicę nazywano popularnie Tel-Awiw¹; a może dlatego, że większość kosztownych mieszkań wynajmowali lub nabyli zamożni Żydzi. Liczni znajomi przeprowadzili się pod nowe, bardziej prestiżowe adresy, ale ojciec, mimo nalegań matki, nie chciał o tym nawet słyszeć. Zmiany nie leżały w jego charakterze. Tak więc zostaliśmy, trochę odosobnieni, w tej samej, szarej, dwupiętrowej kamienicy, w której urodziłem się siedemnastego stycznia 1928 roku, podczas zimy mroźnej, „jakiej nie pamiętali najstarsi ludzie“, w miesiącu, w którym zamarzyły ponoć na śmierć setki bezdomnych dzieci na świecie. Wiele lat później, już jako człowiek dorosły, oglądałem w berlińskiej galerii narodowej „Filary społeczeństwa“ Georga Grosza. Wstrząśnięty byłem widokiem twarzy zdegenerowanych pruskich generałów, wyglądem chciwych sędziów i polityków, spojrzzeniami przekupnych dziennikarzy. Grosz, który malował „Filary“ w dniach, w których zmieniano mi pierwsze pieluszki, okazał się prorokiem nadchodzącej epoki. Ale świat niemowlęcia we-ssanego w pierś matki był światem pełnym ciepła i miłości.

Frontowe okna trzech pokoi naszego mieszkania wychodziły na ulicę. Był tam gabinet z barem na kółkach, szerokim tapczanem do poobiedniej drzemki i szafą biblioteczną uginającą się pod ciężarem książek; wszystkie meble z orzecha kaukaskiego. Mając dziewięć, dziesięć lat, zakradałem się do tego pokoju jak do sanktuarium. Wdrapywałem się na krzesło, aby sięgnąć do najwyższej półki, gdzie ustawione w alfabetycznym porządku stały te dzieła, o których rodzice zdecydowali, że nie są przeznaczone dla dzieci w moim wieku. Smak zakazanych owoców ułatwiał mi trawienie literatury dwudziestolecia.

Wszystkie trzy pokoje stały w amfiladzie. Sypialnia z różanego drzewa była najjaśniejsza i stanowiła miły kontrast wobec pokoju stołowego w hebanie. Nad podwójnym łóżkiem ojca i matki wisiał mój portret: Romek jako trzyletni aniołek. Nieznany malarz obdarzył mnie niebieskimi oczami i złocistymi loczkami. Do dzisiaj nie wiem, czy rzeczywiście tak wyglądałem i czy włosy i oczy

¹ W latach trzydziestych, pod wpływem emigracji Żydów niemieckich, Bauhaus był najpopularniejszym stylem w Tel-Awiwie.

dopiero później zmieniły barwę na ciemną, czy też była to po prostu fantazja artysty lub może pobożne życzenie rodziców. Nigdy się nie dowiem, bo nie znam nikogo, kto by mnie pamiętał z tamtych lat.

W poprzek małżeńskiego łoża stała kanapa, zwana u nas otomaną, nakryta kilimem miękko spływającym na wywoskowany parkiet i nadającym sypialni intymny charakter. Rozsuwane drzwi wiodły do salonu, broniącego się przed światłem dnia ciężkimi zasłonami z brokatu. Nawet pięknym perskim dywanom, których kolekcjonowanie było tak wielką namiętnością matki, że bez nich nie chciała opuścić domu w ucieczce przed nazistami, nie udało się zmiękczyć surowości pokoju jadalnego, będącego zarówno przedmiotem dumy, jak i symbolem pozycji społecznej rodziców. Czasami zastanawiałem się, jak czują się w tej atmosferze baleriny Rosenthala, delikatne i kruche w swoich spódniczkach z porcelanowej koronki, ustawione za oszklonymi drzwiami witryny. Całą długość ściany zajmował ogromny kredens, wsparty na krótkich rzeźbionych nogach, pełen obrusów z damasceńskiego jedwabiu, kompletów sztuców (srebro na małe i wielkie okazje), zastaw (Ćmielów na co dzień, Meissen od wielkiego dzwonu), a także słoików z konfiturą i butelek z nalewką. „Czarna trumna“, nazywałem ten kredens w duszy. Owalny stół dla tuzina biesiadników wyrastał jak wielki grzyb ze środka pokoju. Zazwyczaj jadalni przy nim w trójkę, ojciec matka i ja, trochę przytłoczony ogromem ciemnego blatu. Raz w miesiącu rozsiadali się wokół stołu goście zaproszeni na kolację, na ogół co ważniejsi klienci ojcowskiej kancelarii adwokackiej. Do dziewiątej tolerowano moją obecność. Wolno mi było siedzieć jak równy z równymi, pod warunkiem, że miałem na sobie aksamitne ubranko, właściwie zawiązany krawat i że zachowywałem się jak dorosły. Matka znajdowała szczególną przyjemność w demonstrowaniu mego odczytania, moich dobrych manier przy stole i mojej znajomości języków obcych. Tyle tylko, że przyjemność ta była jednostronna. Od czasu do czasu wyzwalał się we mnie demon przekory i jednym zdaniem psułem atmosferę domowej sielanki. Matka przezornie milczała, ojciec zawieszał na mnie surowe spojrzenie. Znałem je. Oznaczało „pogadamy, jak goście pójdą“. Jego ręka wędrowała do dzwonka zwisającego z alabastrowej lampy nad stołem. Natychmiast pojawiała się Paula i jeszcze wycierając dłonie w fartuch, odczytywała ze srogiej miny ojca, że znów coś zbroilem.

„Do pokoju“, nakazywał. Składałem gościom uprzejmy ukłon i wychodziłem grzecznie za Paulą, na pozór biedne skarcone niewiniątko, a w rzeczywistości mały rozbawiony łobuz.

Tylko dla Pauli i dla mnie zarezerwowany był pachnący widok z tylnych okien. Paula spała w klitce za kuchnią, jak przystało służącym i kucharkom. Była osobą solidnej tuszy, kobietą bez wieku, o szerokich pośladkach i muskularnych nogach, kariatyda wyjęta z powieści Zapolskiej, nieodrodna córka zniemczonych chłopów zamieszkujących od zawsze okoliczne wsie. W moim pojęciu stanowiła nieodłączną część domowego ogniska. Przecież służyła u nas jeszcze nim się urodziłem i została tam, w naszym mieszkaniu, gdy wymiotła nas z niego burza wojny. Wiecznie będę ją pamiętał stojącą w progu drzwi wejściowych zamienionych we wrota exodusu, mówiącą, iż będzie czekać na nasz powrót, nawet gdyby to miało potrwać rok. Ojciec roześmiał się, machnął ręką, jakby bagatelizując jej słowa, i powiedział:

„Nonsens. Wrócimy przed zimą“.

Wkrótce po moich narodzinach ojciec zlikwidował biuro umieszczone w czwartym pokoju mieszkania i przeniósł je do handlowej dzielnicy miasta. Szło mu dobrze. Bielsko obrastało w tłuszczuk dobrobytu, przemysł włókienniczy zdobywał nowe rynki, banki otwierały tu swoje oddziały, zakładano nowe spółki, a wszystko to razem było złotym runem dla prawników specjalizujących się w prawie cywilnym. Kancelaria zaroila się praktykantami i, podobnie jak Paula w domu, w biurze nieodzowną siłą pomocniczą stała się Mila, stara panna o kwaśnej minie, ale wysokich kwalifikacjach zawodowych. Panna Mila witała klientów i prawdziwie psim węchem umiała ich podzielić na ważnych i mniej ważnych. W chwilach wolnych od zajęcia kręciła ojcu papierosy, specjalną maszynką napełniając tutki *Silesia* tytoniem *Tureckim Najprzedniejszym*. Innego ojciec nie uznawał. Panna Mila musiała mieć zgrabne ręce, bo wypalał osiemdziesiąt takich papierosów dziennie. Palił nałogowo, szczególnie gdy siedział wygodnie rozparty w starym, skórzanym fotelu, a panna Mila stenografowała przebieg konferencji z klientami. Wiek mebli świadczył dobitnie, że nie ma tu miejsca na przypadkowych klientów i przypadkowych adwokatów, że firma jest solidna, zapewniająca kontynuację, że nie jest jedną z tych adwokackich efemeryd pojawiających się i znikających jak komety. Jednym słowem, że jest „dobrze etablowana“, jak zwykło się wówczas mówić. Nie lubiłem tego biura, przypuszczalnie dlatego, że podczas pracy ojciec nigdy

nie mógł poświęcić mi pełnej uwagi. We wszystkich pomieszczeniach panował przykry dla mnie półmrok. Żaluzje w wielkich weneckich oknach opuszczone były prawie zupełnie, na ojcowskim biurku zawsze paliła się lampa z ciemnozielonym abażurem, a gdy trzeba było odszukać jakieś dokumenty w szafie pancernernej, zapalano również światła pod sufitem. Także szafa pancerna była stara. Tłoczony tekst przypominał, że jej producent był kiedyś dostawcą na dwór cesarza Franciszka Józefa. Nie mogłem pojąć ojcowskiej ciągoty do staroci. Mnie pociągało tylko nowe, jasne i barwne. Fiolet bzu był moim ulubionym kolorem. Ale dawny gabinet ojca, oddany mi wkrótce po przeprowadzce biura, nie miał w sobie nic wesołego. Nawet rodzice nie nazywali go „pokojem dzieciennym“. Białe łóżeczko stanowiło jedyną jasną plamę na tle półantycznych mebli. Niekształtne biurko wypływało z ciemnego kąta jak ciężko obładowany statek. Do dębowej szafy, wątpliwej proveniencji, rościły prawa oba style: biedermeier i jugendstyl. W przegródkach, które mieściły kiedyś teczki akt sądowych, skoszarowane były teraz pułki ołowianych żołnierzy. Do jedenastego roku życia kochałem wojny, nie litując się nigdy nad poległymi na placu boju. W sklepie z zabawkami czekały na mój nakaz mobilizacyjny nie kończące się zastępy rezerwy.

Mama pragnęła odkryć we mnie nie tylko małego Europejczyka, ale także zdolności muzyczne. Jako kobieta światowa nie wyobrażała sobie, aby jej jedynak, a zwłaszcza jedynak z dobrego żydowskiego domu, nie grał, na przykład, na fortepianie. Nie pomogły błagania, na nic były zapewnienia, że nie mam słuchu za grosz. „Wszystko jest kwestią woli“, oświadczyła bezpardonowo i na siódme urodziny otrzymałem w prezencie fortepian. Z trudem zmieścił się w moim pokoju, trójnożne zwierzę o krótkim skrzydle, szczerzące klawisze-zęby, grożące pożarciem wolnego czasu przeznaczonego na zabawy. Na szczęście już po drugiej, a może po trzeciej lekcji, głęboko dotknięta „Pani Mozart“ (tak nazwałem moją nauczycielkę muzyki) stwierdziła, że utalentowany syn-nalek nigdy nie wydusi z siebie więcej niż wykuta na pamięć gama. Zdecydowane stanowisko „Pani Mozart“ zakończyło męczarnię. Prawie nie używany fortepian powędrował jako dar dla klubu sportowego „Ma-kabi“. Dwa razy w tygodniu gimnastykowałem się przy jego dźwiękach razem z kolegami szkolnymi, zawsze z wielką przyjemnością.

Moja „panna do dziecka“, Hilda Baron. Dla mnie zawsze Hilda, która spała w moim pokoju na składanym łóżku, a jej uśmiech witał mnie na dzień dobry jak lekki powiew porannej bryzy. Dla znajomych rodziców zawsze *Kindermädchen*, bez imienia i nazwiska. Wiosną składane łóżko Hildy powędrowało na strych, a ona, panna Hilda, została wykreślona z mojego życia. Uśmiechała się już do innych małych chłopców. Zniknęła z mojego życia na zawsze, ponieważ niemiecka dzielnica, w której ojciec załatwił jej posadę przedszkolanki, leżała poza zasięgiem mojej penetracji.

Latem 1935 zapisano mnie do szkoły. Oczywiście prywatnej i oczywiście żydowskiej. Rodzice postanowili chronić swego jedynaka przed przejawami antysemityzmu, na które niewątpliwie musiałbym się natknąć w szkole publicznej.

Szkoła założona przez gminę żydowską szczyciła się swoją syjonistyczną orientacją. O syjonizmie wiedziałem bardzo niewiele. Siedmioletnie dzieci nie zajmowały się polityką. Równie mało wiedziałem o żydostwie ortodoksyjnym. Większość wierzących starozakonnych mieszkała w Białej, na południowym brzegu rzeki Białki, dzielącej województwo śląsko-dąbrowskie od krakowskiego. Żyli tam w dobrowolnie stworzonym getcie kulturowym. Dla mnie była to odległa galaktyka, niedostępna dla dzieci z rodzin świeckich. Pierwszego Żyda w kapocie ujrzałem znacznie później, podczas naszej ucieczki z Bielska na Kresy, w jednym z tych miasteczek, jakie znane mi były jedynie z opowiadań Szaloma Alejchema i Lejba Pereca. Nie wiedziałem także, że właściciel kamienicy, w której rodzice wynajmowali mieszkanie, był potomkiem słynnej rodziny Rappaportów. Jego przodkowie, wżenieni w wielkie rodziny rabinackie, przenieśli się z Łodzi do Białej w roku 1880, dorobili majątku na manufakturze i zdobyli status społeczny dzięki synom uczonym w Torze. Niby dzielił nas tylko płytki strumień Białki; w rzeczywistości odgraniczeni byliśmy tak wysokim murem, że nawet gdybym się wspinał na sam szczyt drabiny ludzkiej ciekawości, nie zobaczyłbym niczego, co było po jego drugiej stronie. W szkole było około pięciuset uczniów, chłopcy i dziewczynki z zamożniejszych domów, takich, które mogły sobie pozwolić na czesne. Na pierwszej lekcji usłyszeliśmy od wychowawczynie: „Witamy was w hebrajskiej szkole podstawowej imienia Kraszewskiego“. Zaraz po tym przypomniiała, że Kraszewski zawsze popierał ideę współżycia Polaków i Żydów i nawet dał wyraz swym poglądom, redagując „Gazetę Codzienną“ żydowskiego finansisty Leopolda Kronenberga. Jak przystało na zakład wychowawczy noszący imię polskiego dziennikarza i historyka, językiem wykładowym był, oczywiście, polski. Dopiero od czwartej klasy

uczyliśmy się Biblii i hebrajskiego. Lekcje te były niewielkim haraczem płaconym przez inteligencję żydowską na rzecz tradycji.

Ojciec szukał pośredniej drogi między trzema światami: kulturą polską, niemiecką i żydowską. Nie różnił się tym od otoczenia, które nie widziało rozbieżności między swoim pochodzeniem a wartościami kraju, w którym żyli, ani konfliktu między wartościami państwa a duchem ogólnoeuropejskim. Od wczesnego dzieciństwa wpajano we mnie przekonanie, że jestem równocześnie Żydem, Polakiem i Europejczykiem. Gdy inne dzieci przeżywały jeszcze perypetie bohaterów Karola Maya, ja już swobodnie sięgałem po Prusa i Reymonta, czytałem klasyków literatury żydowskiej i zachwyciałem się biografiami Napoleona i Bismarcka, które wyszły spod pióra Emila Ludwiga. Gdy w szkole karmiono nas Szelburg-Zarembiną, połykałem Arnolda Zweiga; jego sierżanta Griszę poznałem znacznie wcześniej, nim „Wielka Wojna Białych Ludzi“ stała się dla mnie rzeczywistością.

Ojciec obdarzał bezgranicznym uwielbieniem kawalerię. W poniedziałki i czwartki musiałem zaspokajać jego tęsknotę do czasów, gdy służył w Legionach i dosiadać konia, który wydawał się być nieokiełznanym rumakiem, mimo iż był zapewne zmęczoną szkapą w podmiejskiej ujeżdżalni. Ilekroć spadałem z siodła, przeklinałem w duchu ojcowską miłość do ułanów. Ujeżdżalnię prowadził emerytowany rotmistrz, odnoszący się ze śmiertelną powagą do swego zajęcia. Biada uczniom, którzy nie wierzyli w wyższość jazdy nad wszystkimi innymi formacjami. Nad wejściem do maneżu wisiała podobizna Marszałka w błękitnym mundurze, oczywiście dumnie siedzącego w siodle swej kasztanki i bystro patrzącego w siną dal. Właściciel stajni przykładął dwa palce do daszka czapki za każdym razem, gdy przechodził pod portretem. Szacunek ten nie uszedł uwagi ojca, który zawsze i wszędzie hołdował Piłsudskiemu. Gdy w poniedziałek 13 maja 1935 zawiadomiono o jego śmierci, dom nasz pogrążył się w szczerej żałobie. W sobotę wszyscy pojechaliśmy do Krakowa, aby z wynajętego balkonu na trasie konduktu pogrzebowego odprowadzić Marszałka w jego ostatniej drodze do wawelskiej katedry. Nikt mi nie powiedział o protestach tych, którzy uważali złożenie zwłok w grobowcach królów za profanację, i nikt mi nie mówił o sporach i waśniach w Belwederze. Ojciec, nawet jeśli wiedział o wszystkim, nabierał wody w usta. Milczał nawet wówczas, gdy nowi ludzie u władzy coraz bardziej ograniczali swobody obywatelskie i coraz słabiej potępiali falę narastającego antysemityzmu. Posiadał dalece rozwiniętą zdolność ignorowania tego, co niewygodne. W naszej szkole zmiany polityczne zaznaczone zostały jedynie powieszeniem portretu nowego dowódcy sił zbrojnych, człowieka, który wszystkie hitlerowskie roszczenia terytorialne skwitował jednym lapidarnym zdaniem: „Nie oddamy ani guzika“. Hasło to żyło wśród nas aż do klęski wrześniowej.

Ojciec posługiwał się bezbłędną polszczyzną i karcił mnie surowym spojrzeniem za każde językowe potknięcie. Wszystko to nie przeszkadzało mu przenieść części swego uwielbienia z Józefa Piłsudskiego na przywódcę syjonistycznych rewizjonistów, Włodzimierza Żabotyńskiego-go. Żabotyński marzył o stworzeniu armii żydowskiej, która siłą wyzwoli Palestynę z rąk Anglików. Głośno mówił także o konieczności przesiedlenia półtora miliona Żydów z Europy Wschodniej do Palestyny; był to program tak zwanej ewakuacji, który zjednał mu sympatię kół rządzących w Warszawie. Ale ojciec nie szykował mi przyszłości oficera armii hebrajskiej lub emigranta. Gdy podrosnę, mówił, wyśle mnie do jednego z tych internatów brytyjskich, w których za odpowiednie wynagrodzenie przekształcą mnie w prawdziwego gentlemana.

Czasami miło zabawiać się myślą „co by było, gdyby“. Na przykład: co by było, gdyby wszystko ułożyło się według planu rodziców? Gdyby nie było wojny, obozów, zagłady? Przypuszczalnie odziedziczyłbym konserwatywne poglądy ojca, przyjął, jako oczywisty, styl jego życia, chyba byłbym wybredny i stroniący od tłumów, ożeniony z kimś, kto pochodziłby z dobrego domu, wyścielił mi byt odpowiednim posagiem i zanurzył mnie w oceanie bezdennych nudów. Nie zachwyca mnie postać powstała w mojej wyobraźni. Gorzej: czuję do niej szczerą antypatię. Czy powinienem więc być zadowolony z faktu, że plany zostały pokrzyżowane, że zamki budowane były na lodzie, że Holocaust wypaczył wszystko, łącznie z moim charakterem? Jest to pytanie, którego nie wolno zadawać. Ale skoro już padło, nie ma ucieczki od odpowiedzi: tak, w ogólnej skali powinienem być zadowolony.

Od kiedy siebie pamiętam, żyłem w przekonaniu, że otrzymam najlepsze wychowanie i wykształcenie i że po uroczystości *bar-micwy* wyjadę do Londynu, by pobierać nauki u samego źródła wiedzy. Nigdy nie uznano za stosowne wyjaśnić mi, dlaczego Londyn, a nie tak hołubiony w naszym domu Wiedeń. Cokolwiek by nie było, plany zostały utkane długoterminowo, z całą powagą sytuacji, bo od szóstego roku życia zostałem zmuszony do nauki angielskiego. Chyba dlatego

gramatykę znienawidziłem znacznie wcześniej nim pojąłem sens nienawiści. Jeśli mimo wszystko przyłgnęła do mnie jaka taka znajomość imperialnego języka, stało się to tylko i wyłącznie dzięki uporowi prywatnego nauczyciela. Pan Symcha Rosenstein (nigdy nie zrozumieć więzi między człowiekiem o takim nazwisku a kulturą anglosaską) pochodził z Buczacza. Oprócz literatury anglojęzycznej, w chwilach wolnych od pracy pochłaniał dzieła swego buczackiego ziomka, Szmuela Czaczkesa. Czasami, gdy tupiąc nogami, wrzeszczałem „nienawidzę Shakespeare’a, nienawidzę Byrona!“, sadzał mnie w fotelu i, oparty tyłem o krawędź biurka, głośno czytał mi tłumaczone na niemiecki rozdziały z książek swego ulubionego autora. Odbywało się to w głębokiej konspiracji, bo ojciec nie po to płacił dwa złote za godzinę, abym tracił czas na jakiegoś pisarza z Buczacza. Gdy Szaj Agnon, z domu Czaczkes, zdobył literacką nagrodę Nobla, rodzice dawno już leżeli w masowych grobach.

Mając lat dziesięć z okładem, latem trzydziestego ósmego, spędziłem wakacje na koloniach w Szczyrku. Kolonie te urządziła organizacja Betar, młodzieżowy ruch partii rewizjonistów, i chyba nie pomyślę się, gdy powiem, że ojciec dokonał wyboru z powodu swojej sympatii dla jej przywódcy i głównego ideologa, Włodzimierza Żabotyńskiego. Dla mnie było to lato o szczególnym znaczeniu, ale z zupełnie innych powodów.

Latem roku osiemdziesiątego odbyłem sentymentalną podróż w dzieciństwo. Oczywiście, nie omieszkałem zawadzić o Szczyrk. Miejscowość znalazłem nieco podupadłą, ale piękno gór pozostało nienaruszone, a także pensjonat „Goplana“, w którym po raz pierwszy otarłem się o coś, co z odrobiną przesady można nazwać erotyką, niewinną, lecz zakazaną, stał na swoim miejscu. Wprawdzie nadgryziony zębem czasu, ale rozpoznawalny przede wszystkim dzięki dziwnej wieżyczce strzelającej w niebo niczym minaret tureckiego meczetu. Na parterze, w sali, w której śpiewaliśmy chórem „Klimczok, Równica i okolica“, a także patriotyczne piosenki żydowskich *chaluców*, czyli młodych ideowców emigrujących do Palestyny, otwarty był wyszynk piwa i napojów wysokowych. „Sprzedaż nieletnim surowo wzbroniona“, głosił napis nad szynkwasem. Dzierżawca lokalu nigdy nie słyszał o przedwojennych koloniach letnich. Okna na piętrze, gdzie mieściły się sypialnie dzieci, zabite były deskami na głucho.

„Goplana“ zapisała mi się w pamięci dzięki Ricie Schreiber, jedenastoletniej córeczce właściciela drogerii w pobliskim miasteczku Dziedzice. Już drugiego dnia naszego pobytu w Szczyrku, bez żadnych zahamowań, zaciągnęła mnie w leszczyny rosnące wzdłuż potoku, proponując wymianę doświadczeń w sprawach tak zwanej płci.

„Pokaż mi twój, a ja ci pokażę mój“, powiedziała, i nie czekając na odpowiedź, zdjęła barchanowe majteczki. Ociągając się, wstydliwie rozpiąłem rozporek.

„Teraz dotknij mnie, a ja dotknę ciebie“, kusiła. W tym momencie zabrakło mi odwagi. Błyskawicznie schowałem co było do schowania i uciekłem do pensjonatu. Przy kolacji usiadłem przy drugim końcu stołu, wzrok trzymałem przykuty do talerza, aby broń Boże nie spotkać jej rozbawionego spojrzenia. Ale słowa Rity wróciły z ciemności jak echo, którego nie sposób się pozbyć, a drobna jej postać ze spódniczką podwiniętą pod biodra stała przede mną jak żywa, gdy w nocy leżałem pod kołdrą i po raz pierwszy onanizowałem się aż do skutku. W roku czterdziestym siódmym, krótko po powrocie do Polski, próbowałem ją odszukać, aby dokończyć dziecinne igraszki w sposób właściwy ludziom dorosłym. Bez skutku. Rita zniknęła pod zguszczami spalonego świata.

Wróćmy jednak do mojego „pokoju dziecinnego“. Zadania domowe odrabiałem na górnym pokładzie biurka, aczkolwiek nigdy nie wypłynęliśmy w dal. Biurko - ze względu na swój ciężar; a ja - ponieważ lekceważyłem obowiązki szkolne. Byłem jednym z tych trudnych uczniów, którym nauka przychodziła z bagatelą łatwością, i którzy zawsze byli przekonani, iż są mądrzejsi od nauczycieli (ja zresztą do dziś jestem przekonany, że tak było naprawdę). Bardziej od zadań intrygowały mnie dolne pokłady biurka, podzielone na szuflady i przegródki, niedostępne, ponieważ zamknięte na klucz. Walczyłem z sobą kilka miesięcy, aż w końcu pokusa wzięła górę i śrubokrętem wyłamałem niezbyt skomplikowane zamki. W mrocznym wnętrzu ogromnego mebla odkryłem paczuszki listów miłosnych ojca do matki, jeszcze z czasów, gdy był oficerem artylerii górskiej Jego Cesarskiej Mości, a po tym podporucznikiem Legionów. W innej przegródce znalazłem także listy matki, pisane najpierw z Wiednia, a później z Borysławia. Niebieskie i różowe koperty uporządkowane były według dat, każda paczuszka związana białą jedwabną tasiemką i opatrzona jakimś niezrozumiałym dla mnie symbolem. Bez najmniejszych skrupułów zerwałem z nich znaczki *KuK Feldpost* i przenieśli je do albumu, który przewidująco podarował mi stryj Leon, zagorzały filatelista. Minęły

co najmniej dwa lata, aż uczyniłem następny krok i zacząłem się wgłębiać w treść samych listów. Większość pisana była po niemiecku, tylko późniejsze, te z okresu po pierwszej wojnie światowej, po polsku. Matka miała pismo wyraźne, lekko zaokrąglone, litera „j“ sięgała następnego wiersza, litery „l“ i „t“ wyciągały szyje do wiersza poprzedniego. Gotyckie litery ojca stały na baczność, w wojskowym niemal szyku, wyprostowane jak moi ołowiani żołnierze podczas apelu, na który zwoływałem ich w każdy sobotni rano. Kanciasty charakter pisma nie odpowiadał ani treści listów, ani osobowości ojca, w każdym razie nie tej osobowości jaką znałem. Nie mogłem pojąć, jak człowiek poważny i stateczny, o zrównoważonym sposobie mówienia, mógł wypuścić spod pióra nie kończące się zdania zdobne w metafory wyrażające miłość i tęsknotę, opisy uczuć i marzeń oraz sentymentalne plany wspólnej przyszłości. Nie rozumiałem, jak matka, która wydawała się być nieskończenie zaabsorbowana sama sobą, swoimi strojami, swoją wygodą i urodą, i która była w moich oczach osobą stworzoną do brania, potrafiła wyrazić w listach tyle gotowości do dawania. Znałem język niemiecki i polski, i trochę nawet angielski, ale nie dorosłem chyba do zrozumienia języka miłości.

Fotografia ojca, oprawiona w mosiężne ramki, stoi dzisiaj na moim biurku. Ojciec ma wysokie czoło, rzadkie ciemne włosy i starannie przystrzyżony wąs. W twarzy odczytuję surowość, spod krzaczastych brwi kieruje na mnie karcące spojrzenie. Nie! Nie! Nie groź mi, ojcze. Twój wzrok nie przyprawia mnie już o dreszczyk strachu. Nie ma w nim niczego, co mogłoby wpłynąć na moje zachowanie. Nie boję się spojrzeń ludzi martwych. Byłeś wzorem porządku, symbolem pedanterii, uosobieniem rutyny. Wszystko to należy do przeszłości, z której buduję teraz, piętro po piętrze, konstrukcję mojego opowiadania. Wiem, że gdybyś się domyślał, o czym i jak zamierzam pisać, skierowałbyś się wolnym krokiem do łazienki, gdzie przy umywalce wisiał pas do ostrzenia brzytwy i, jak zawsze w latach, gdy byłeś panem mojego dzieciństwa, przyłożyłbyś mi tak, „abym popamiętał“. Ale dzisiaj pokonam cię twoją własną bronią. Odłóż pas. Pamiętasz, co powiedziałeś kiedyś w obozie? Powiedziałeś: jeśli nie ma Boga, to wszystko jest dozwolone.

Z trudem odtwarzam jego postać. Gdyby nie kilka cudem uratowanych zdjęć, nawet twarz rozplynęłaby się w zapomnieniu. Zaginiona w niebycie, zmaszana jak jego życie. Natomiast nigdy nie zapomnę ciężkiej ręki, której używał, ilekroć przekraczałem ściśle ustalone normy zachowania. Ojciec wierzył w skuteczność skórzanego pasa do ostrzenia brzytwy jako środka wychowawczego najwyższej rangi, a ja, mimo iż zabrzmi to dziwnie, przyjmowałem kary cielesne jako wyraz ojcowskiej miłości. Zawierały w sobie to, czego pragnąłem najbardziej: bezpośrednie ustosunkowanie się do mojej osoby. Był przy tym absolutnie sprawiedliwy. Nigdy nie dał ponieść się nerwom. Nigdy nie zostałem ukarany niesłusznie czy w porywie gniewu. A przy tym nigdy nie pomogły mi płacz lub błaganie. Łagodność nie figurowała w słowniku jego pojęć o życiu. Sądzę, że działał kierowany zasadą opartą na absolutnej równości między grzechem a karą. Wierzę głęboko, że jego metody wychowawcze, niewątpliwie jeżące włos na głowie każdego współczesnego pedagoga, już wówczas przyswoiły mi to, co chciałbym nazwać moralnością słusznego wet za wet, że ten rozdział mojego dzieciństwa wpoił we mnie poczucie sprawiedliwości, którego nie wykorzeniły ze mnie nawet lata spędzone za drutami hitlerowskich obozów koncentracyjnych.

W niedziele, gdy kancelaria adwokacka była zamknięta, a śniadanie podawano dopiero o dziewiętej trzydzieści, rodzice długo nie wychodzili z łóżka. Wówczas to mogłem wślizgnąć się pod koldrę ojca, usiąść okrakiem na jego włochatej piersi lub po prostu przytulić się mocno. Krótkie chwile bliskości sprawiały mi ogromną radość. Ktoś powie może lekceważąco, że niewiele potrzebowałem do szczęścia, ale wszystko zależy od stopnia oczekiwań. Kosztowne zabawki, które otrzymywałem na każde niemal życzenie, kieszonkowe, które starczało na zaspokojenie dziecięcych zachcianek, specjalnie dla mnie gotowane ulubione potrawy stanowiły coś oczywistego. Odebranie ich było karą. Uścisk i pocałunek były nagrodą.

W niektóre niedziele, gdy dopisały pogoda i humor, towarzyszyłem ojcu w wycieczkach. Odziany w wełniane pumpy, skarpety w jodelkę i wysokie sznurowane buty, z laską przewieszoną przez ramię, ruszał na „zdobycie przyrody“. Matka wolała przeciągać się jeszcze w łóżku, gdy my jechaliśmy już tramwajem aż do ostatniego przystanku w Lasku Cygańskim, aby rozpocząć stamtąd wspinaczkę w góry. Nie była to wielka alpinistyka, ot zwykły spacer ścieżkami wznoszącymi się łagodnie wśród lasów, na szczyt uwieńczony restauracją i klubem brydżowym. Zdobywanie przyrody kończyło się zazwyczaj kilkoma robami, które ojciec rozgrywał w bocznym pokoju schroniska z podobnymi mu miłośnikami natury. Droga trwała nieco ponad trzy kwadransy, ale stwarzała rzadką okazję do

rozmowy we dwóch. Nie było z nami wiecznie zajętej panny Mili, nie było klientów i w ogóle nikogo, kto by mi kradł ojcowski czas i uwagę. Mimo to, szczerze mówiąc, były to raczej moje monologi. Nie miałem pewności, czy naprawdę interesował się moimi problemami, czy sprawy dręczące nieopierzonego dziesięcioletka trafiały do jego świadomości. Kiedyś, gdy stanęliśmy, by zaczerpnąć oddechu, ojciec, jak zwykle, wykorzystał wolną chwilę na papierosa, a zauważywszy moje pytające spojrzenie, rzucił jakby od niechcenia:

„Człowiek w twoim wieku powinien już panować nad swoimi odruchami“.

Byłem wówczas uczniem czwartej klasy, zakochanym po uszy w Lilce Karter, szczupłej, ciemnowłosej dziewczynce z warkoczami splecionymi w mysie ogonki. Nie jest wykluczone, że przyływ gorących uczuć spowodowany był faktem, że rodzice obiektu mojej miłości byli właścicielami sklepu z rowerami, ja zaś od dłuższego czasu marzyłem o zamianie siodła w ujeżdżalni na siodełko na dwóch kołach. Natomiast do dzisiaj nie wiem, co było przyczyną, że dałem wyraz tej miłości – próbując obciąć Lilce jeden z warkoczy. Może chęć posiadania ukochanych loków, a może chęć zademonstrowania męskiej determinacji. Nie był to czyn spontaniczny lub przypadkowy, ale coś, co przemyślałem z góry i zaplanowałem bardzo dokładnie. Już w wieczór poprzedzający wydarzenie schowałem w szkolnej teczce parę ostrych nożyc. Paula nie zauważyła, że wykradłem je z komody w jej pokoiku za kuchnią. Nazajutrz wykorzystałem chwilę, gdy Lila, siedząca w ławce przede mną, przechyliła głowę do tyłu, wsłuchana w słowa pani wychowawczynie. Zdecydowanym ruchem wydobylem nożyce schowane między kartkami podręcznika, aby jednym cięciem pozbawić ją warkocza. Okazało się jednak, że zadanie było trudniejsze niż myślałem. Włosy stawiały nie przewidziany opór, Lilka wybuchła płaczem, klasa podzieliła się na dwa obozy, a wychowawczynie zabroniła mi pokazywać się w szkole, dopóki rodzice nie zjawią się na rozmowę. Przymusowe wagary nie sprawiłyby mi zmartwienia, gdyby nie przykry fakt, że pas do ostrzenia brzytwy utrudniał mi siedzenie na twardej ławce przez cały następny tydzień. Minęło zaledwie kilka dni od nieudanego zamachu na warkocz Lilki i teraz, gdy staliśmy spokojnie na zakręcie ścieżki, próbowałem wyjaśnić ojcu, a może także sobie samemu, trudno wytłumaczalny związek między burzą chłopięcych uczuć a brutalnym atakiem na niewinną rówieśnicę. Ale niekontrolowane odruchy nie mogły znaleźć aprobaty w oczach ojca. Rozmowa zakończyła się nim się naprawdę zaczęła i wszystkim, co usłyszałem, była owa zdawkowa uwaga o konieczności panowania nad odruchami.

Bywało, że zastanawiałem się, czy w jego dzieciństwie nigdy nie było miejsca na jakiś dziki wybryk, na figle godne potępienia, ale pouczające nas, że przy odrobinie odwagi możemy wymknąć się z narzuconych układów i konwencji w świat pełen fantazji. Nie miałem pojęcia, jakim był dzieckiem. Nigdy nie przyszło mu do głowy opowiedzieć coś o moich dziadkach, o folwarku w Czańcu, w którym się urodził, lub o szkołach, do których uczęszczał. Nasz związek nie był zakorzeniony w rodzinnej przeszłości i chyba dlatego nie pozostało z niego prawie nic po jego śmierci. Do dziś trudno mi wyobrazić sobie ojca ciskającego stechte jajko do sklepu z łakociami, jak to robiliśmy panu Hahnowi, właścicielowi takiego słodkiego rajku w Bielsku.

Sklep ze słodyczami znajdował się przy 3 Maja, głównej ulicy miasta, i uważany był za najlepszy w swoim rodzaju. Na szyldzie namalowany był kur, bo po niemiecku Hahn to po prostu kogut. Wracając ze szkoły, chowaliśmy teczki w jednej z pobliskich bram, aby nic nam nie przeszkadzało w szybkim odwróceniu. Potem wchodziliśmy do sklepu w dwójkę lub w trójkę, fachowo ocenialiśmy czekolady, nugaty i pra-linki rozłożone na ladzie, pytaliśmy o ceny i jakość, udając klientów, którzy wiedzą czego chcą, i czekaliśmy na moment, gdy Arik, mistrz klasy w trafianiu do celu, rozbije o ścianę cuchnące jajko. Jajka te zakopywaliśmy na kilka dni w ziemi, aby nabrały odpowiedniego zapachu. Pan Hahn, niski, krępy Niemiec, który z uporem odmawiał mówienia po polsku, wybiegał na ulicę, by złapać tego *kleiner Bandit* bezczeszczonego sanktuarium słodczy, my zaś, korzystając z jego krótkiej nieobecności, napychaliśmy kieszenie wszystkim, co leżało w zasięgu naszych łapczywych rąk.

Ojciec Arika prowadził skomplikowane interesy w Polsce i za granicą, był producentem napojów wysokobrowarowych w kraju i w Rumunii, a także współwłaścicielem podmiejskiego kina „Mars“, wyświetlającego filmy, jak zwykły mawiać, „dla żołnierzy, strażaków i służących“. Arik, w jemu tylko wiadomy sposób, stawał się posiadaczem biletów i co najmniej raz w tygodniu chodziliśmy na popołudniówki, nie tyle z zamiłowania do hollywoodzkiego szmelcu, ile raczej z chęci podglądania obmacujących się par.

Nie wierzę, żeby ojciec puszczał się kiedyś na takie „szaleństwa“. Jak daleko nie sięgnąłbym pamięcią wstecz, nie ujrzałbym go popełniającego jakiegoś *faux pas*. Nawet niewinne intymne gesty nie były wystawiane na widok publiczny. Można by sądzić, iż panował nad swoimi odruchami, będąc jeszcze płodem w łonie matki. Wszystko miał ułożone według sztywno ustalonych zasad, wara od raz ustanowionego planu dnia, a każde naruszenie świętego porządku rzeczy traktował jako godną potępienia ingerencję w życie prywatne. Paula zakarbowała sobie raz na zawsze, iż w dni powszednie śniadanie podawane jest o siódmej trzydzieści; zawsze tak samo zaparzona kawa ze śmietanką i takie same kruche bułeczki, lekko przyprószone makiem i nacięte w krzyż, z niemiecka zwane kajzerkami. Ponoć Jego Ekscelencja Franciszek Józef smakował w takim pieczywie, a wszystko, co pochodziło z Wiednia, bez względu na liczbę lat, które minęły, uważane było w Bielsku za najlepsze i najmodniejsze.

Śniadanie spożywaliśmy razem. Ojciec lubił maczać bułkę w szklance kawy, czyniąc tak ku zgorszeniu mamy, która uważała ten obyczaj za srogie przekroczenie przepisów etykiety. Sama zadowolala się sucharkami i szklanką mleka. Mnie zmuszano do picia Ovomaltiny, która miała smak kakao, ale kosztowała znacznie więcej, bo wzbogacały ją witaminy „chroniące każde dziecko przed chorobami“. Jedyłą pociechą był fakt, że moich rówieśników karmiono codziennie łyżką tranu.

Pięć przed ósmą (nie cztery i nie sześć) ojciec wychodził z domu, nie zapominając zostawić na szklanym blacie nocnej szafki dziesięciozłoto-wej monety na bieżące wydatki domowe. W owych latach monety bite były ze srebra i, jeśli mnie pamięć nie myli, awers zdobiło popiersie Marszałka, zaś na rewersie figurował orzeł. O godzinie czternastej zero zero wracał z kancelarii, zasiadał z nami do obiadu, aby zaraz po kompocie zaszyć się w gabinecie na poobiednią drzemkę. Gdy odpoczywał, nawet muchom nie wolno było brzęczeć. O czwartej wracał do biura, o szóstej wpadał do hotelu „Prezydent“ na partyjkę brydża, o dziewiętej mieliśmy kolację. We wtorki rodzice chodzili do teatru, w czwartkowe wieczory na dancing. Na urlopy zawsze jeździł do tego samego hotelu, do „Patrii“ w Krynicy, i w miarę możliwości zamawiał zawsze ten sam pokój. Rutyna ta wydawała się być nudna i pozbawiona uroku. Ale patrząc na nią z perspektywy czasu, wierzę, że zawierała w sobie element stabilności. Stwarzała iluzję kontynuacji, której nic nie grozi przerwaniem, była wieczna jak wędrówka kuli ziemskiej w systemie słonecznym. Niebo nad Europą pokrywało się chmurami, gdzieś z dala grzmiało, ale w naszym domu nikt nie przewidywał burzy.

Wiem, wiem: mądry Polak po szkodzie. Ale mądrzejsi od nas nie umieli odczytać znaków na niebie. Podczas gdy elity polityczne państw Europy Zachodniej łudziły się, że epoka Hitlera przeminie jak zły sen, w kwaterze głównej w Berlinie tłumaczono już tekst „Mein Kampf na język planów operacyjnych. W marcu trzydziestego ósmego brunatne koszule wkroczyły do Wiednia. Z budynku opery wiedeńskiej wypędzono muzykę żydowską Beli Bartoka i dekadencją Arnolda Schönberga. Wkrótce potem kamieniołomy w Mauthausen przekształcone zostały w obóz koncentracyjny. Anglicy protestowali półgębkiem, Francuzi zajęci byli kolejnym przesileniem gabinetu, Amerykanie siedzieli daleko za oceanem. We wrześniu, w Monachium, mocarstwa europejskie sprzedały nazistom Sudety za cenę iluzorycznego pokoju. Brytyjski premier, Neville Chamberlaine, oświadczył, po podpisaniu haniebnego układu z Niemcami, iż „zapewnił pokój następnym pokoleniom“, zapominając starą prawdę, że apetyt rośnie w miarę jedzenia. Wkrótce, gdy Czechosłowacja wiła się w przedśmiertnych drgawkach, wojska polskie przekroczyły granicę i okupowały Zaolzie. Prasa zachłystywała się dokonaniem „sprawiedliwości dziejowej“, a Poczta Polska wydrukowała z tej okazji specjalny znaczek „Zaolzie wraca do macierzy“. Nie omieszkałem włączyć go do mojego zbioru. Entuzjazm świętowano mniej niż rok, aż do chwili, kiedy także Polska padła ofiarą obcej agresji.

Nie sprzedajmy jednak biegu wypadków. Pod koniec października 1938, gdy na małą stację graniczną w Zbąszyniu wjechał pociąg pełen wygnańców z Trzeciej Rzeszy, pogoda była chłodna i dżdżysta. Zziębniętym i głodnym pasażerom nie pozwolono wysiąść z wagonów. Byli to Żydzi, obywatele polscy, których hitlerowcy wypędzili do „macierzy“. Władze Rzeczypospolitej nie kwapiły się przyjąć nieszczęśników. W pierwszych dniach listopada umieszczono ich w obozie przejściowym. Wieczorem, po kolacji i po łyku ulubionej nalewki wiśniowej, ojciec kazał nam zostać przy stole i rozłożywszy przed sobą ostatnie wydanie lwowskiej „Chwili“, jedyne go dziennika, który prenumerował, powiedział do matki:

„Słyszałaś, Dziunka? Biedacy zamieniają kosztowności na chleb i cebulę“.

Matka przytaknęła. Zapadła cisza. Paula weszła, aby zebrać ze stołu.

„Nie teraz“, zareagowała strofująco matka. Po chwili odezwała się jakby sama do siebie:

„Może warto podskoczyć do Zbąszynia. Dlaczego inni mają odku-pować ich bizuterię?“

Ojciec podniósł wzrok znad gazety.

„Co powiedziałaś?“

„Nic, nic. Sama rozumiem, że nie wypada“.

Na drugim końcu Europy, w Paryżu, czytał gazetę 17-letni student o nazwisku Herszel Grynszpan. Wśród wypędzonych z Rzeszy, tak informowała prasa, znajdowali się również jego starzy rodzice. Jego rodzice bez dachu nad głową, a świat milczy. Student Herszel postanowił zmać błogi spokój tego sytego świata. Uzbrojony w pistolet wtargnął do ambasady niemieckiej i nie mogąc się dostać do gabinetu ambasadora, zastrzelił Ernesta von Ratha, młodego dyplomatę i, jak się później okazało, niezbyt gorliwego zwolennika narodowego socjalizmu. Hitlerowcy odpowiedzieli falą pogromów, która przeszła do historii jako „Noc Kryształowa“.

3

Bielsko przeżyło swój pierwszy pogrom dokładnie dwa lata przed wybuchem wojny. Umacniający się narodowy socjalizm wpływał na wzrost nacjonalizmu niemieckiego także poza granicami Rzeszy. Niemiecki klub piłki nożnej stanowił legalną przykrywkę dla działalności tego rodzaju. We wrześniu 1937 kilkuset hitlerowców wyległo na ulice Bielska, nawołując do bojkotu sklepów żydowskich. Bardzo szybko przyłączył się do nich tłum polskiego *Lumpenproletariatu* i krzykliwa manifestacja zamieniła się w prawdziwy pogrom. Wieści o przygotowaniach do pogromu przechodziły z ust do ust, nawet prasa nie próbowała przemilczeć narastającego fermentu. „To będzie jak w Przytyku“², powiedziała mama. Pogrom w Przytyku, który pociągnął za sobą ofiary w ludziach, wstrząsnął ostatnio opinią publiczną. Ojciec przytaknął. Większość znajomych myślała podobnie. Po krótkiej naradzie rodzice i ich przyjaciele postanowili przenieść się na kilka dni za granicę, do Czeskiego Cieszyna. Dla mnie była to, oczywiście, wielka przygoda. W niedzielne przedpołudnie mszyła w drogę kawalkada pięciu samochodów. Serce skoczyło mi z radości na myśl, że będę mógł usiąść na przednim siedzeniu czerwonego MG, najwspanialszego wozu w Bielsku. Jego szczęśliwym posiadaczem był mecenas Frenkel, miłośnik sportowych samochodów i eleganckich kobiet. Frenkel był także jedynym znanym mi człowiekiem, który dwa razy się rozwiódł i trzy razy ożenił z tą samą osobą. Małżeństwo nie przeszkadzało mu w burzliwych flirtach, które stanowiły ulubiony temat lokalnych plotek. Także teraz, ku mojemu oburzeniu, miejsce obok kierowcy zajęła jakaś nie znana mi dama, mimo słonecznej pogody opatulona w czarny prochowiec, z długim jedwabnym szalem zamotanym wokół szyi. „Isadora Duncan“³... zakpiła na jej widok mama. Twarz nieznanym rozplynęła się w czasie i, mimo wysiłku, nie potrafię jej odtworzyć. Nie pamiętam również nazwisk wszystkich uczestników naszej małej, prywatnej inwazji na Zaolzie. Za każdym razem, gdy nie udaje mi się przywołać z zapomnienia bliskich mi kiedyś postaci, ogarnia mnie uczucie straty czegoś, co stanowiło nieodłączną część dzieciństwa; tworzy się biała, drażniąca plama na własnym życiorysie.

Jazda do Cieszyna trwała niecałą godzinę. Szosa biegła prostą linią przez wzgórza, wznosiła się i opadała jak ogon w tańcu chińskiego smoka. Na poboczach pasły się krowy, trochę dalej złościły się rżyska i zieleniły sady. Bielone wapnem pnie grusz i jabłoni wyglądały jakby je ubrano w białe fartuchy. Tu i ówdzie, na ławce przed domem, siedział chłop pykający swą niedzielną fajkę. Nawet celnicy na moście wydawali się być rozleniwieni. Obojętnie przybili pieczętki w paszportach i, wbrew przyjętemu zwyczajowi, nie pytali o cel naszej wycieczki. „Nikt nie lubi świątecznych dyżurów“, skonstratował ojciec i poczęstował ich papierosami. W samo południe przed hotel „Koruna“ w Czeskim Cieszynie zajechało pięć samochodów z polskimi tablicami rejestracyjnymi. Boye w granatowych czapkach ze złotym otokiem wybiegli po walizki.

„Pokoje są gotowe“, zapewnił portier i zapytał:

„Jak długo będziemy mieli zaszczyt gościć szanownych państwa?“

² Stronnictwo Narodowe wykorzystało marcowy (1936) pogrom w Przytyku do rozpoczęcia szeroko zakrojonej kampanii antysemickiej. Żydowskie partie robotnicze odpowiedziały strajkami protestacyjnymi.

³ Isadora Duncan, tancerka amerykańska; zginęła uduszona własnym długim szalem, który wkręcił się między koła pędzącego kabrioletu.

„Jeszcze nie wiemy“, odparł mecenas Frenkel. Jego towarzyszką podróży ścisnęła czarny lakierowany kuferek na kapelusze. Matka znów posłała jej lekceważące spojrzenie.

„Rozumiem“, przytaknął portier. Potem uśmiechnął się: „Mimo iż nie leży to w interesie hotelu, mam nadzieję, że wszystko skończy się jak najszybciej. No i, oczywiście, życzę państwu przyjemnego pobytu. O piątej mamy five o'clock w «Czterech Porach Roku», na półpiętrze“.

Ojciec został przy ladzie recepcji. Trzymałem go za rękę. Całe towarzystwo podążyło w stronę windy.

„Proszę mi zamówić na jutro rano rozmowę z Bielskim“, powiedział, kładąc na kontuarze wizytówkę z numerem telefonu biura. Portier zerknął na nią fachowo.

„Tak jest, panie mecenasie. Na którą godzinę?“

„Na ósmą trzydzieści“.

Pogrom w Bielsku otoczony był złą milczeniem. Ludzie wolą omijać drażliwe tematy. Tak jak rzadko kiedy nazywają raka rakiem, a tylko półgębkiem wspominają nieuleczalną chorobę, tak teraz szybko wymyślono cały szereg eufemizmów. Mówiono o „nieodpowiedzialnych elementach“, „zakłóceniach porządku publicznego“ lub „wybrykach motłochu“. Wkrótce zresztą, gdy wyczerpała się usta paliatywów, porzucono nieprzyjemny temat. Panie były niezadowolone, że domy mody i sklepy z obuwiami są zamknięte, że nie można pójść po zakupy. Towarzystwo rozeszło się do pokoi, aby po krótkim odpoczynku spotkać się przy podwieczorkowej herbacie, w salonie „Cztery Pory Roku“, na półpiętrze. Między piątą a siódmą produkował się tam młody, przystojny pianista w ciemnym garniturze i srebrnym motylku, częstując gości Vivaldim i Dworzakiem, walcami Straussa i „Eine kleine Nachtmusik“ Mozarta. Był to repertuar skrojony na miarę miejscowych gustów, nic więc dziwnego, że wykonawca zbierał ciche, życzliwe oklaski. Kelnerzy poruszali się między stolikami bezszelestnie, jakby podpierając się w powietrzu fruującymi połami fraków. Herbatę i kawę serwowano w srebrnych dzbankach, filiżanki były przezroczyste, jak przystało na dobrą czeską porcelanę. Ciastka rozpląwały się w ustach.

Zjadłem dwa. Potem stanąłem przed ogromnym lustrem, wyrastającym z parteru i wznoszącym się aż do sufitu mezzaninu. Nie pozwalano mi jeszcze nosić długich spodni, ale krótkie zrobione były z najlepszej bielskiej wełny, a szyta na zamówienie granatowa marynareczka leżała na mnie jak ulał. Wcięta w talii, według nakazu mody dziecięcej Anno Domini 1937, stanowiła świetne tło dla białej koszuli z krawatem pod kołnierzykiem. Buty błyszcząły jak miedziane patelnie w kuchni naszej Pauli. Rodzice przywiązywali ogromną wagę do mojego wyglądu. Przecież byłem nie tylko rozpieszczonym jedynakiem, ale także biletem wizytowym ich pozycji społecznej. Nigdy nie przyszło im do głowy, że w suterenie domu, w którym mieszkaliśmy, w mieszkaniu dozorczy, miałem schowane stare wypłowiałe portki i wytartą na łokciach kurtkę. Ilekroć wyprawialiśmy się z Arikiem na „dzienne łobuzów wyprawę“, przebierałem się w te stare łachy, aby nie splamić, broń Boże, świeżo wyprasowanego ubranka. W drodze powrotnej znów przybierałem postać czysto odzianego aniołka. Takiego jak moje odbicie w tym ogromnym hotelowym lustrze.

Po kolacji panowie udali się na brydża. Myślę, iż tylko z powodu wyjątkowości naszej sytuacji pozwolono mi kibicować. „Ale żebyś się nie wtrącał“, ostrzegł mnie ojciec. Przytaknąłem gorliwie. Prawdę rzekłszy, nie miałem nic do powiedzenia. Nie znałem zasad gry. Chciałem tam być, bo fascynowała mnie atmosfera karcianego saloniku, postaci graczy pod zielonkawymi abażurami, mgielka dymu z cygar i papierosów, szeptem wypowiedane magiczne zaklęcia brydżowej licytacji -a przede wszystkim monety przesuwane to w jedną, to w drugą stronę. To była gra dla prawdziwych mężczyzn i jej aura otaczała także mnie.

Ojciec był wyśmienitym brydżystą. Kiedyś słyszałem mamę przekomarżającą się głośno i twierdzącą, że przy zielonym stoliku zarabia więcej niż w kancelarii. Wiedziałem, że to tylko żart, ale teraz, w tym przyciemnionym pokoju, ogarniało mnie zadowolenie za każdym razem, gdy pod koniec robra obojętnym ruchem przysuwał do siebie wygraną. Boy hotelowy w pasiastej kamizelce pochylił się nad stołem, by wymienić pełne popielniczki i niechcący strącił łokciem srebrną dwu-koronową monetę. Ojciec, pogrążony w zawilej rozgrywce, nie widział ani boya, ani spadającego pieniądza. Moneta wylądowała na szarej wykładzinie. Nakryłem ją podeszwą wypastowanego bucika. Serce bilo mi z podniecenia. Sekundy dłużyły się w nieskończoność. Minęła minuta, albo nawet dwie lub trzy, aż zebrałem w sobie dosyć odwagi, aby się pochylić. Udawałem, że poprawiam sznurowadła. Wolnym, dokładnie przemyślanym mchem prześliznąłem po monecie ręką i w chwili, gdy w zagłębieniu dłoni poczułem chłód metalu, zacisnąłem pięść. Potem, znów bardzo wolno, nie budząc

niczyjego podejrzenia, wyprostowałem się i popatrzyłem prosto przed siebie. Ręka powędrowała do kieszeni spodni i dopiero tam wypuściła swoją zdobycz.

Nazajutrz, a także we wtorek, ojciec rozmawiał ze swoją sekretarką. Zapomniałem ją przedstawić: mimo swoich trzydziestu kilku lat panna Miła wciąż jeszcze była osobą stanu wolnego. Wyraz twarzy miała zawsze surowy, patrzyła na mnie, jakbym przed chwilą coś zbroił. Spoglądała na mnie z góry, bo była wysoka, szczupła i płaska jak deska do prasowania. Ubierała się ze skromną elegancją. Najchętniej nosiła długie ciemne spódnice i szare, pod szyję zapięte bluzki. Głos miała lekko zachrypnięty, mimo iż nigdy nie wzięła do ust papierosa. Mówiąc, stawiała przecinki i kropki w sposób urągający wszelkim regułom interpunkcji, i z tego to powodu zdania często brzmiały jak szybkie uderzenia rakiety w piłkę tenisową. Ten sposób mówienia raził tak bardzo, że ojciec instynktownie odsunął słuchawkę telefonu od ucha, a ja, stojąc obok niego, słyszałem wszystko. Panna Miła sądziła, że niebezpieczeństwo minęło. Pogrom skończył się na kilku wybitych szybach wystawowych i paru lekko rannych.

Jeszcze tego samego dnia postanowiono wrócić do Bielska. Panie zjawily się na parkingu obladowane paczkami. „Wiele hałasu o nic“, powiedziała dama, która zajęła moje miejsce w samochodzie doktora Frenkla. Kiedy w chwilę później pokazała krokodylowe buty i torebkę „kupione za marne grosze“, mama pochylila się w stronę ojca i szepnęła pogardliwie: „Tak też wyglądają“.

Kolację jedliśmy w domu. Paula podała zrazy cielęce z kaszą gryczaną w sosie grzybowym. „Wybryki motłochu“ nie zepsuły nam apetytu.

4

Dwa dni przed śmiercią ojciec kazał mi usiąść na brzegu pryczy. Wydawało się, że duch, który już szykował się do opuszczenia wychudzonego ciała, zawrócił w pół drogi. Wiedziałem, że to poprawa iluzoryczna. Często zdarzało się, że chorzy na tyfus wymykali się na krótko spod skrzydeł Śmierci, przytomność umysłu wracała do nich jak gdyby dla zmylenia uwagi, aby wkrótce po tym pierzchnąć na zawsze. Ojciec był spokojny i zrównoważony, odniosłem wrażenie, że nie dał się omamić pozorom, że nie miał złudzeń. Mówił pomalą, bo mówienie sprawiało mu trudność. Nie bardzo rozumiałem, dlaczego wybrał tę właśnie chwilę, aby nakreślić mi obraz świata, który ludzie stworzą sobie po wojnie.

„Tato, po wojnie nie będzie już niczego“, skwitowałem jego wywody. To jedno krótkie zdanie wyrwało mi się przepełnione agresją. Nie wiedziałem, skąd się wzięła, była zupełnie nie zamierzona, widziałem, jak go ugodziła. Chciałem powiedzieć coś na usprawiedliwienie, ale nie miało to sensu, przecież słów raz wypowiedzianych nie można już wepchnąć w krtani. Nie wiedziałem wówczas, że ponieważ Niemcy otoczyli nas murem nakazów, zakazów i rozkazów, nadchodził moment, w którym musieliśmy dać wyraz tkwiącej w człowieku przekorze. Nie potrafiłem też pojąć, że poczucie zbliżającego się końca budzi pragnienie tworzenia takiej wizji przyszłości, jaką chcielibyśmy zapewnić naszym dzieciom. Łatwiej umierać w nadziei, aniżeli w rozpacz.

„Dopóki jest Bóg w niebie...“, powiedział i nie dokończył. Zdziwiło mnie to odwołanie się do Boga w ustach człowieka, który w życiu nie otworzył modlitewnika. Na końcu języka miałem złośliwą uwagę o zawiedzionych nadziejach tych wszystkich, którzy głęboko wierzyli, a on, wszechmogący, ale przewrotny, opuścił ich w chwili, gdy go najbardziej potrzebowali, ale tym razem przełknąłem ją w porę. Ojciec skinął: przybliź się. Nie mógł zdobyć się na więcej niż świszczący szept. Pochyliłem się nad nim, aby nie uronić ni słowa.

„Jak tylko skończy się to szaleństwo, pojedziesz do Garlicy Duchownej, do Kruczka. Pamiętaj go, prawda? W czterdziestym drugim ukrywał nas w swoim domu. To jest z gruntu uczciwy chłop. Poprosisz go o małą czarną teczkę, którą oddałem mu na przechowanie. Czarna tecz-

ka z moim monogramem. Są w niej akcje Narodowego Banku Polskiego za sto tysięcy złotych. Oszczędności całego mojego życia. Sprzedasz te akcje. Nie będziesz miał żadnych trudności. To są najpewniejsze papiery wartościowe. Jeśli będzie Polska, będzie również Bank Narodowy. Ludzie umierają, domy się wałają, wojna zmienia miasta w ruiny, ale banki są wieczne jak powietrze, woda i ziemia. Tak, tak... Ziemia zostaje pod ruinami. Zainwestowałem w nią. Oprócz czarnej skórzanej teczki Kruczek da ci kartonowe pudło po butach. Jest owiązane zwykłym sznurkiem. W pudełku

znajdziesz wyciągi z ksiąg wieczystych. Mamy parcelę w Bielsku i zapis hipoteczny na kamienicy ciotki Sydzi w Krakowie. No tak, z tym długiem mogą być kłopoty. Ale akcje... Zapewnią ci dobry start w życiu. Bądź rozsądny, nie szastaj groszem. Jedź do Anglii i nie wracaj do domu bez tytułu magistra...“

„O jakim domu mówisz?“ wtrąciłem. „Naprawdę wierzysz, że Paula ciągle jeszcze stoi w drzwiach i czeka na nasz powrót?“

„Na twój powrót. Na twój“.

Znów chciałem zaprzeczyć i znów ugryzłem się w język. Ojciec przerwał na chwilę, nabrał powietrza w płuca jak biegacz w maratonie, który zmęczony dobiega do mety, gotując się do ostatecznego finiszu. Potem zapytał:

„Słuchasz?“

„Oczywiście, że słucham“.

Znudzony sanitariusz podniósł się z krzesła w końcu sali i kroczył wolno między chorymi, badając, czy nie ma umarłych, których trzeba wywlec przed godziną policyjną. Ojciec ujął mnie za przegub dłoni.

„Wiem, że nie pojedziesz do Anglii. To tylko moje głupie marzenia. Chyba w ogóle nie zechcesz się uczyć. Może przepuścisz wszystkie pieniądze. Nic na to nie poradzę. Jednego tylko wymagam: żebyś był człowiekiem. Uczciwym. Żebyś nie zawlókł w nowe życie tego, czego tu doświadczamy. Żebyś zapomniał te lata i ich niemoralność. Tę wieczną potrzebę kłamania i oszukiwania, i czynienia wszystkiego na rachunek bliźnich. To lekceważenie prawa i pogardę dla uczciwości. Przyrzeknij mi, że nigdy, słyszysz?, nigdy nie będziesz kradł“.

Przeszedł mnie zimny dreszcz. Czyżby czytał moje najbardziej skryte myśli? Myśli o chlebie, który ukrywał pod siennikiem? Sililem się na obojętność, gdy powiedziałem:

„Odpocznij. Męczysz się nad miarę twoich sił“.

„Przyrzeknij“.

„Przyrzekam“, odparłem. Brzmienie mojego głosu nie było chyba dostatecznie przekonywające, bo prosił, abym powtórzył przyrzeczenie. Powtórzyłem pełnym zdaniem jak uczeń w szkole podstawowej, po czym zapytałem:

„O co właściwie chodzi?“

„O to, żebyś był uczciwy“.

Czy miałem mu powiedzieć, że tutaj, w obozie, uczciwość jest niezawodnym przewodnikiem do piekła? Nie miałem w sobie dosyć okrucieństwa, aby spierać się z umierającym. Przytaknąłem na znak, że słyszałem, co powiedział. Ojciec mocno zacisnął palce na przegubie mojej ręki; zdziwiłem się, skąd znalazł w sobie tyle siły.

„Pamiętasz te pieniądze, które ukradłeś mi w Cieszynie? Pięć koron w jednej monecie. Pamiętasz?“

„Widziałeś?“

„Widziałem“.

„Były tylko dwie“, bąknąłem, jakby drobna poprawka usprawiedliwiała to, co zrobiłem. Ojciec dźwignął się na łokciu, wyczerpując resztki swoich sił na coś, co udawało krzyk:

„Nie ma żadnej różnicy! Nie ma żadnej różnicy!“

Więzień konający na sąsiedniej pryczy skierował ku nam zdumione spojrzenie. Głowa ojca opadła na brudny siennik. Delikatnie wyswobodziłem się z uścisku jego dłoni. Dopiero teraz poczułem, że była pokryta zimnym potem.

„Męczysz siebie i mnie. Po co nam ta rozmowa? I dlaczego akurat teraz?“

„Bo nie będzie już kiedy“.

„Nigdy mi nie powiedziałeś słowa. A przecież mogłeś. Zawsze mogłeś“.

Ojciec przymknął oczy, potem znów je otworzył, wzrok miał teraz wbity w sufit, zdania rzucał w przestrzeń.

„Całe lata myślałem o tej kradzieży. Sam nie wiem, dlaczego milczałem tak długo. Dzisiaj wszystko wydaje mi się jasne i wyraźne. Sam chyba rozumiesz dlaczego, nie jesteś już dzieckiem. Owego wieczora, gdy podniosłeś monetę i schowałeś ją do kieszeni... Owego wieczora czułem, że poniosłem porażkę. Sam siebie pytałem, jaki błąd popełniłem, jak to się stało, że wychowałem złodzieja? Dręczyłem się długo, ale nie znalazłem odpowiedzi. Teraz, tutaj, nie jest już wstydem przyznać się do błędów. Po tej stronie bariery żaden człowiek nie może mi ich wytknąć“.

Milczałem.

„Jesteś przy mnie?“, zaniepokoił się nagle. „Jestem“.

„Świat się zmieni. Musi się zmienić, bo taki, jaki jest, skazany byłby na zagładę. To będzie świat całkiem inny, wyrastający z chaosu. Wszystko zacznie się od nowa, jak w Biblii. Ludzie wysnują wnioski z tego, co sami sobie narobili. Będą lepsi i mądrzejsi. W nowej rzeczywistości uczciwość będzie miała swoją cenę. Nie może być inaczej. Szkoda, że nie wierzę w bzdury o życiu pozagrobowym. Nie zobaczę tego, patrząc z góry“.

„Tato...“

„Pssst; nie przerywaj mi. Dobrzy ludzie...“

„Nie będzie dobrych ludzi. Dobrzy ludzie są gatunkiem skazanym na zagładę“.

„Kto cię tego nauczył? Jesteś jeszcze dzieckiem, a mówisz jak rozczarowany życiem starzec. Masz wszystkiego dwanaście lat.“

„Piętnaście, tato“.

„Nie, nie. Lata wojny zostaną wymazane z życiorysów tych, którzy przeżyją. Nie trzeba ich pamiętać. A może znów się mylę. Może należy zapamiętać tylko to, co w nich dobre. Ludzi, którzy nie przestali być ludźmi. Takich jak Kruczek, jak Król... Witold Król i jego żona... Idź już. Idź, wypocznij sobie. Przyjdź jutro. Pamiętaj Króla“.

„Będę pamiętać“, powiedziałem, aby go uspokoić.

„I pamiętaj, że jesteś mi winien dwie korony“, dodał, chyba dlatego, aby pokazać, że nie stracił poczucia humoru. A może po to, by osłodzić mi gorzką prawdę.

Stłamsiłem kilka wszy pełzających po kocu, okryłem mu gołe ramiona i wyszedłem. Na wieżach strażniczych paliły się już reflektory, ich ostre światło próbowało się z zachodzącym słońcem. Z wartowni wychodzili SS-mani, prowadzili na smyczy swoje owczarki alzackie, jedyne psy tresowane do ataku nawet gdy były syte. Psy szczekały, ich krótkie *staccato* napelniało strachem. Szczekanie zostało za moimi plecami, gdy przecinałem na ukos plac apelowy, spiesząc do baraku.

W baraku czekał na mnie Fredek Minc. Byliśmy rówieśnikami. Do Starachowic przywieziono nas tym samym pociągami. Jechaliśmy w tym samym wagonie. Zaprzyjaźniliśmy się nad miską zupy z karpielem. Rok później, gdy znaleźliśmy się w Oświęcimiu, nasze drogi rozeszły się i z przyjaźni wydającej się tak mocną, że żaden przypadek losowy nigdy jej nie rozbije, zostało tylko nikłe światełko. Stało się tak, ponieważ była to przyjaźń zrodzona z określonych okoliczności; w chwili gdy zniknęły przyczyny, zatrił się sens naszego związku.

Fredek Minc urodził się w dzielnicy żydowskiej nędzy. Był jednym z wielu dzieci malarza pokojowego, człowieka pracowitego i pogodnego, który nigdy nie narzekał na trudności losu. Pod tym względem Fredek przypominał swego ojca. Zawsze zadowolony z tego co ma, wyróżniał się niezwykłą zdolnością przystosowania do środowiska. Bez słowa protestu przyjął moją dominację. W głębi duszy zazdrościłem mu niczym nie zamąconej umiejętności marzenia na jawie. W sobie tylko wiadomy sposób najbardziej beznadziejne sytuacje potrafił okryć grubą warstwą tych marzeń i za każdym razem, gdy zagrożenie sięgało jego psychiki, udawało mu się uciec w świat fantazji. W przeciwieństwie do Fredka, ja znajdowałem azyl w schronie racjonalizowania. Analizowałem wydarzenia z logiką charakterystyczną dla wyrostka, który wydorósł przedwcześnie, czasami jak księgowy, który zawsze potrafi udowodnić, że cztery więcej cztery to pięć. Trwałem przy zasadzie, że nie ma tego złego, co by nie wyszło na dobre. Fredek nie potrzebował zasad. Z łatwością zamieniał wodnistą zupę w wonny rosół, zgniły kartofel w nadziewane trufle, zauszone wyro w królewskie łożo z baldachimem. Czasami próbował wciągnąć mnie w świat swoich wyobrażeń; zawsze bezskutecznie. Straciłem możliwość uruchamiania fantazji na zawołanie.

Fredek Minc umiał marzyć, mimo iż wcale nie był typem marzyciela. Gdy zabrakło mu sposobu na rzeczywistość, przyjmował ją bez wewnętrznego buntu. Szaulisi na bramie złapali niedawno jego ojca na próbie przemycania żywności. Woreczek żytniej mąki przyplacił życiem. Wartownik położył go pierwszym strzałem. Wiedziałem, że matka, bracia i siostry Fredka zginęli podczas likwidacji getta krakowskiego, i że po tym wszystkie uczucia zainwestował w ojca. Nie wiedziałem, jak się w takich warunkach składa kondolencje. Ale Fredek nie oczekiwał słów pocieszenia. Po prostu objął mnie i szepnął: „Stało się“. Od tego czasu nigdy nie wrócił do sprawy - aż do dnia, w którym wróciłem z kolejnej wizyty w „szpitalu“.

„Teraz, gdy obaj umarli, warto nam przykrywać się jednym kocem. Drugi zamienimy na chleb“, powiedział z niezwykłą u niego determinacją.

„Oszalałeś? Mój ojciec żyje!”

„Może jeszcze oddycha, może jeszcze nie wie, że umarł. Ale ty już wiesz”.

„Pleciesz. Przed chwilą rozmawialiśmy. Rozmawialiśmy jak ojciec z synem”.

„Nie próbuj się okłamywać, to ci się nie uda. Prawdę masz wypisaną na czole. Pochowałeś go w dniu, w którym zawlekli go do «szpitala». Nie udawaj naiwnego. Wiesz doskonale, że już nigdy nie będzie potrzebował tego koca. Więc po co ta gra?”

Fredek miał rację. Czytał mi z czoła myśli, których nie miałem odwagi głośno wyrazić.

„Nawet jeśli jest tak, jak mówisz - po co ten pośpiech?”

Za koc dostaliśmy bochenek chleba i słoik marmolady z buraków. Przed ojcem zachowałem ten handel w tajemnicy. Tylko raz, gdy nasze spojrzenia skrzyżowały się na sekundę, z samego dna mojego jestestwa wypłynęła straszna myśl o tym, że wróci do siebie i odkryje, że sprzedałem jego życie za miskę soczewicy. Mimo to nie czułem wyrzutów sumienia. Piękny, wspaniały świat, o którym mówił, jeszcze się nie narodził. Spokojnie przykrywałem się z Fredkiem wspólnym kocem. W chłodne noce spaliśmy wpasowani w siebie jak dwie łyżeczki. Jego tyłek w moim podbrzuszu, moje nogi pod jego zgiętymi kolanami. Obróciwszy się, czułem jego ciepły, wilgotny oddech na moich plecach. Sądzę, że bliskość fizyczna, mimo iż nie zawierała żadnego innego pierwiastka poza potrzebą ciepła, związała nas jeszcze mocniej. Nie oznaczało to jednak, że dzieląc z nim prycze i koc, dzieliłem również myśli. Dzięki swej wrażliwości Fredek posiadał specjalną miarkę do mierzenia moich uczuć i miary ich zaangażowania w różne sprawy, a przy tym był dostatecznie subtelny, by nie zadawać pytań.

Po zgaszeniu światła, przykryty po uszy, leżałem z Fredkiem Mincem i jego martwym ojcem, z Witoldem Królem i płataniną nieokiełznanych myśli. Straciłem poczucie rzeczywistości, nie wiedziałem, czy to sen, czy jawa. Ciało wyzwoliło się od siły przyciągania Ziemi, lewi-towało w przestrzeni, aby wnet opaść w głęboką przepaść. Nie; nie była to przepaść, lecz opadanie windą wspomnień, długi zjazd ciemnym szybem, aż do najniższego poziomu, do dna.

Nigdy nie opowiadałem Fredkowi o Królach. Nie przez zapomnienie; wiedziałem, co czynię. Jak żywe stały przede mną sylwetki pana Witolda, jego żony Heleny i ich córki Jadwigi. Ich mieszkanie sąsiadowało z naszym. Witold pracował na kolei. Był szarym urzędnikiem, ale „z pełnym prawem do emerytury”, jak zwykł podkreślać. Pani Helena pomagała w utrzymaniu rodziny. Była okupacją, trudne czasy, więc nie gardziła żadnym zajęciem. Chodziła po ludziach sprzątać, a gdy bieda przycisnęła, brała jeszcze pranie do domu. Nigdy nie odpoczywała. Jadwiga, starsza ode mnie o sześć lat, nie budziła mego zainteresowania. „Jak się skończy wojna, będę artystką w teatrze”, oświadczała każdemu, kto skłonny był słuchać. Pani Helena kwitowała te oświadczenia lekceważącym machnięciem ręki, pan Witold uśmiechał się pobłażliwie. Jadwiga kończyła liceum ogólnokształcące, rodzice pragnęli zapewnić jej przyszłość w dyrekcji PKP.

Nie wiedziałem, że znajomość z Królami wykraczała poza granice sąsiedzkich konwenansów. Dopiero po kilkumiesięcznym pobycie w Starachowicach ojciec wyjawiał mi, że oddał im na przechowanie część naszego dobytku. „Nigdy nie miałem wątpliwości co do ich uczciwości”, powiedział. „Nadszedł czas, by się przekonać, że miałem rację”.

W hucie pracowało kilkuset polskich robotników. Większość była tam jeszcze przed wojną. Nowa dyrekcja nie mogła obyć się bez wykwalifikowanej siły roboczej. Za kontakt z nimi nakładano ostre kary, oni płacili grzywny potrącane z poborów, nam aplikowano chłostę. Mimo to, Niemcom nigdy nie udało się doprowadzić do całkowitej izolacji więźniów. Często spotykaliśmy się w ubikacjach, rzadziej przy wspólnej pracy. Ojciec nawiązał kontakt z elektrykiem poruszającym się swobodnie w terenie. Budynki huty stały rozrzucone na obszarze kilku kilometrów kwadratowych, między potokiem, którego nazwy nie znałem, a torami kolejowymi. Całość otoczona była drutem kolczastym. Elektryk znał tam każdy kąt, więc bez trudności znalazł kryjówkę umożliwiającą swobodną rozmowę, z dala od podejrzliwych spojrzeń nadzorców. Ustalono, że ojciec napisze do Witolda Króla, elektryk przemyci list i wyśle go do Lwowa. List zawierał prośbę o sprzedaż naszych rzeczy i przekazanie uzyskanej gotówki na adres elektryka. Ten, ze swojej strony, zgodził się kupować nam codziennie pół bochenka chleba i ćwierć litra mleka. Jego czerwony nos zdradzał pociąg do butelki, a kto pije, ten zawsze jest w potrzebie. Ojciec zaproponował sprawiedliwy podział gotówki: pół na pół.

Nie wierzyłem, że elektryk dotrzyma umowy. Niby dlaczego miałby jej dotrzymać? Nawet jeśli przywłaszczy sobie całe pieniądze, będziemy musieli nabrać wody w usta. Bo przed kim można się poskarżyć? Może przed Panem Bogiem, ale wątpliwe, czy aniołowie zajmują się egzekwowaniem

należności materialnych. Zawsze będzie mógł twierdzić, że nie dostał odpowiedzi na Ust, albo że nie może przynosić żywności ze strachu przed donosicielami. W hucie nie brakowało ludzi, którzy handlowali donosami jak każdym innym towarem. Poza tym każda knajpa w miasteczku na pewno stanowiła pokusę nie do odparcia dla osób jego pokroju. Wkrótce okazało się, jak niesprawiedliwie go osądzałem. Nie minął nawet miesiąc od wysłania listu, gdy elektryk oznajmił, że otrzymał przesyłkę ze Lwowa. „Widzisz“, ucieszył się ojciec, „są sprawiedliwi w Sodomie“.

Od następnego dnia elektryk zostawiał małą butelkę mleka i dużą pajdę chleba ukryte w stosie złomu, blisko ostrego zakrętu wąskoto-rówki, w miejscu, w którym wózki musiały zwalniać, a często nawet przystanąć. Ojciec miał pretekst do pochylenia się i rzekomo badając, czy koła nie wyskoczyły z szyn, szybko chował paczuszkę za pazuchę. o umówionej godzinie spotykaliśmy się w ubikacji. Ojciec zadowalał się łykiem mleka i kęsem chleba. „Nie jestem głodny“, twierdził i ponaglał: „Jedz szybko, ktoś może nas zaskoczyć“. Przyłapani na gorącym uczynku przez Niemców, bylibyśmy torturowani tak długo, dopóki nie wydalibyśmy naszego dobroczyńcy. Zaskoczeni przez współwięźniów, musielibyśmy podzielić się z nimi, a może nawet oddać wszystko, pod groźbą donosu. Połykałem więc nie przeżuty chleb i chlipiąc z pośpiechu, zapijałem go mlekiem. Rajski smak wypełniał mi usta. Tylko głupiec mógłby uwierzyć, że ojciec nie był głodny.

W przeciwieństwie do mojego ojca, ojciec Fredka był człowiekiem wierzącym. Często rozmawialiśmy o życiu pozagrobowym, o nagrodzie i karze, o raju i piekle. Tata Minc miał w tych sprawach wyrobione zdanie. Zdumiewała mnie jego zdolność ekspresji, zastanawiałem się, skąd u tego prostego malarza pokojowego tyle głębokiej myśli. Z uporem godnym lepszej sprawy twierdził, że piekło wcale nie jest czymś określonym, że po prostu symbolizuje istnienie w próżni duchowej. Raj przedstawiał jako istnienie bez bólu, ponieważ nie ma w nim istot z krwi i kości. Z bezczelnością młodzika, który zjadł wszystkie rozumy, drażniłem się z nim:

„Jaka to rozkosz żyć w takim raju? Większość przyjemności związana jest z ciałem. Przyjemność jedzenia, przyjemność picia, nawet przyjemność odpoczynku po dniu ciężkiej pracy. Jakich przyjemności może doznać dusza obdarta z ludzkiej powłoki? Jak mogę cieszyć się brakiem smutku lub bólu, skoro nigdy ich nie zaznałem? Przecież nie poznam różnicy“.

Stary Minc kiwał głową. „Wydoroślałeś przed czasem, a wciąż jeszcze niczego nie rozumiesz. Zabili w tobie dzieciństwo, a ty nie czułeś żadnego bólu, nie smuciłeś się nawet przez chwilę. Założyłeś, że w ogóle nie wiesz, kiedy to się stało“.

„Mój ojciec twierdzi, że są przeżycia, które należy wykreślić z życiorysu“.

„To jest ucieczka przed istotą życia. Ale od życia nie można uciec. Nawet jeśli wyrwiesz z tomu Biblii całą Księgę Mojżeszową i wlepisz zamiast niej teorię ewolucji Darwina, w niczym to nie zmieni prawdy o stworzeniu świata“.

„Chce mi pan wmówić, że jest panu obojętne, czy pan jest żywy, czy martwy?“

„Nie jest mi obojętne, synku. Tyle tylko, że kurczowo trzymam się życia, ponieważ je kocham, a nie z obawy przed śmiercią. To jest ogromna różnica, ale wątpię, czy jesteś w stanie ją pojąć“.

„Nawet nie spróbuję“.

Minc machnął ręką. Nie byłem partnerem do dalszej dysputy. Nie czytałem codziennie, jak on, jednej strony Talmudu, nie piłem ze źródła starej, żydowskiej mądrości i chyba dlatego nie miałem odpowiedzi na każde pytanie. Jedno jednak wiedziałem na pewno: gdy spłukiwałem mlekiem gliniasty chleb przyniesiony przez elektryka, a na podniebieniu długo jeszcze zostawał mi jego smak, nie ulegało dla mnie wątpliwości, że tylko głodny znajduje prawdziwą rozkosz w uczuciu sytości.

Wątpię, czy wytrzymałbym harówkę przy piecach martenowskich, gdyby nie dodatkowy kawałek chleba nieposzedniego. Być może tyfus plamisty nie zmógłby ojca, gdyby nie zrezygnował ze swego udziału w dodatkowym pożywieniu. Pocięszam się myślą, że miałem rację w „teologicznych“ dysputach z Mincem, że śmierć jest czymś ostatecznym, i że w związku z tym nikt nigdy nie będzie mnie rozliczał z moich czynów.

Po zgonie ojca elektryk nadal przynosił paczuszkę zawiniętą w nasią-kłe olejem szmaty. Nigdy nie poświęciłem mu szczególnej uwagi. Nie zastanawiałem się nad tym, że ryzykował życiem, swoim i swojej rodziny. Zajęty byłem jedynie pokonywaniem trudności w dotarciu do kryjówek, znajdujących się poza rejonem pieców. Tak to trwało, aż do ostatniego dnia pobytu w Starachowicach, aż do chwili, gdy po nieudanej próbie ucieczki odtransportowano nas do Oświęcimia. Przez cały ten czas nie widziałem go ani razu. Ostrożność nakazywała, abyśmy się nigdy nie poznali.

Pięć lat po wojnie, w niedzielny wieczór, gdy trzyosobowa orkiestra w kawiarni „Artystyczna“ przygrywała cichutko, całkiem przypadkowo spotkałem Jadwigę Król. Pracowałem wówczas w „Słowie Polskim“, wrocławskim, rzekomo bezpartyjnym, dzienniku. Byłem najmłodszym dziennikarzem w mieście. Redagowałem mutacje prowincjonalne, miałem szansę wspiąć się na stanowisko zastępcy naczelnego. Świat wydawał się być różowy. W rzeczywistości był czerwony. Popularne hasło głosiło, że „nie matura, lecz chęć szczerą zrobi z ciebie oficera“. Nie posiadałem żadnych kwalifikacji zawodowych, nigdy nie uczyłem się dziennikarstwa, ba, całe moje wykształcenie ograniczało się do szkoły podstawowej. Nie zdając sobie z tego sprawy, błyskawiczną karierę zawdzięczałem obozowej przeszłości i pochodzeniu żydowskiemu. Władze komunistyczne nie dowierzały inteligencji polskiej. Ludzie tacy jak ja, bez głębokich korzeni w narodzie, bez zobowiązań w stosunku do poprzedniego ustroju i nie wychowani w duchu katolickim, wydawali im się bardziej podatni na partyjną indoktrynację. Okazja leżała za progiem, tylko głupek by jej nie podniósł. Nie miałem poczucia winy, bo nie skrzywdziłem nikogo, nikt nie wyleciał przeze mnie z pracy.

W czasie, w którym spotkałem Jadwigę Król, pogrążony byłem w kosztowaniu życia doczesnego. Gdy tylko weszła do kawiarni, przysiągłem sobie w duszy, że nie pozwolę tej młodej osobie wciągnąć mnie w kolczaste zasięki przeszłości. Nie po to zbudowałem złożony mechanizm obronny odrzucający każde wspomnienie, które mogłoby zakłócić moją pogodę ducha, aby go teraz burzyć. Stworzyłem sobie nową przeszłość. Przeszłość krótkowidza. Miałem za sobą jazdę pociągami z Austrii do Czechosłowacji, ucieczkę z sanatorium dla gruźlików w słowackich Tatrach, krótkie, nieudane małżeństwo oraz kilka przygód dwudziestodwuletniego człowieka, pełnego zadowolenia, że zamiast wdychać cyklon B⁴ lub świeże górskie powietrze - cudowny lek dla chorych na płuca - oddycha spalinami wielkiego miasta.

W pierwszych miesiącach po wojnie pociągi w Europie nie trzymały się rozkładu jazdy. W gruncie rzeczy, rozkład jazdy nie istniał w ogóle. W biurze naczelnika dworca kolejowego w Erms, typowego austriackiego miasteczka nad Dunajem, siedział radziecki oficer, jeśli się nie mylę, w stopniu porucznika. Z ust jechało mu machorką i alkoholem, do pasa miał przypiętą kaburę z pistoletem, ale nawet on, któremu miejscowi urzędnicy kłaniali się w pas, był tak samo bezradny jak tłum czekających na pociąg. Dwukrotnie pytałem, kiedy będzie „coś“ z Enns do Wiednia i dwukrotnie zbył mnie obojętnym wzruszeniem ramion. Kolejnictwo nie wylizało się jeszcze z ran zadanych przez alianckie bombowce; tylko jedne tory biegnęły wzdłuż Dunaju i tylko jeden pociąg mógł się poruszać, na wschód albo na zachód. Brakowało lokomotyw, maszynistów i węgla. Na bocznicach czekały odstawione wagony, wypełnione łupami wojennymi, jeńcami i zwykłymi pasażerami. W bufecie zabrakło kanapek i piwa, w klozetach nie było wody, kał przelewał się przez muszle, w poczekalni unosił się kwaśny odór moczu. Wczesnym rankiem wysadził mnie tutaj woźnica chłopskiego wozu i jeszcze nim zdążyłem powiedzieć *Danke schön*, wręczył mi paczkę zawiniętą w szary papier. „To od siostry Berty“, rzucił niechętnie i krzyknął na konie, by ruszyły z miejsca. W ten to dziwny nieco sposób dowiedziałem się imienia niemieckiej pielęgniarki, która zajmowała się mną przez wiele miesięcy w szpitalu dla oswobodzonych więźniów obozu w Mauthausen.

Rozpakowałem podarek. W paczce było kilka ciemnozielonych puszek, suche racje żołnierzy amerykańskich. Na każdej wydrukowano, iż zawiera konserwowane mięso wołowe i dwa papierosy Chesterfield. Ludzie na peronie obrzucali mnie pożądanymi spojrzeniami. Spiesznie zamknąłem pudło, owinąłem je w szary papier pakunkowy i przewiązałem sznurkiem. Nie czułem głodu, ale byłem bardzo osłabiony. Usiadłem na mojej paczce, oparłem się o ścianę i bezmyślnie wodziłem oczami za wskazówkami dworcowego zegara. Wskazówki przeskakiwały raz na minutę, czas dłużył się okropnie, ale nic mnie nie gonilo, nie miałem się dokąd spieszyć.

„Skąd jesteś?“

Mężczyzna, który mnie zaczepił, nie był Austriakiem. Miał znany mi akcent: polski. Podniosłem wzrok. Był znacznie starszy ode mnie, wysoki i szczupły, przystrzyżone na jeża włosy zdradzały, skąd wracał. Brak witamin powodował, że byłem więźniom włosy odrastały bardzo powoli. Kraciasta

⁴ Cyklon B: gaz używany do uśmiercania więźniów w nazistowskich obozach koncentracyjnych.

marynarka była o dwa numery za mała, brudna i wymięta. Nie wiedziałem, co trzyma w wepchniętych do kieszeni rękach. Instynktownie dotknąłem paczki, na której siedziałem.

„Nie bój się, mam dosyć żarcia na tydzień“, powiedział i znacząco dotknął rzemieni plecaka zwisającego mu z pleców.

Było rzeczą zwyczajną zapytać sąsiada na peronie, dokąd się wybiera. Ale ten obcy chciał wiedzieć, skąd jestem. W pytaniu kryło się coś ponad zwykłą ciekawość; była w nim próba zbliżenia. Odpowiedziałem:

„Z Mauthausen“.

„Loderman. Henryk Loderman“, rzucił krótko i nim zorientowałem się, co się dzieje, porwał moją dłoń i ucisnął ją z całej siły. „Hej, to boli“, zaprotestowałem.

Loderman roześmiał się głośno. Po tym kucnął obok mnie i zaczął mówić. Najwyraźniej odczuwał potrzebę mówienia. Mówiąc, kaleczył polski, a gdy brakło mu słowa, przyprawiał go powiedzonkami w jidysz. Czekając na pociąg, jak na Mesjasza, który ma przyjść, lecz nie przybywa, wysłuchałem kilku wybranych rozdziałów jego życiorysu. Loderman urodził się w Krakowie, trzy siostry zginęły w getcie, uczył się przewijania silników elektrycznych, ale wolał zajmować się handlem, pobożnym Żydom na Stradomiu sprzedawał srebrne dewocjonaalia, chłopom w okolicznych wsiach - różane paciorki, próbował zaczepić się jako czeladnik u koszernego rzeźnika, córka masarza zakochała się w nim po uszy i tak został właścicielem jatki. Prosty wynalazek wstrzykiwania wody z solą do kotletów i udźców zwiększał wagę mięsa i gdyby nie ta przeklęta wojna, na pewno byłby dziś zamożnym i powszechnie szanowanym człowiekiem. Po likwidacji getta krakowskiego zawlekli go do obozu w Steyr, w Górnej Austrii, niedaleko od miasteczka, w którym mnie spotkał. Po wyzwoleniu nieźle dawał sobie radę. Od żołnierzy kupował papierosy i czekoladę, towar sprzedawał Austriakom; gdy nadarzyła się okazja, sprzedawał młode Austriaczki dostawcom papierosów, i tak „zarabiał w obie strony“. Po jakimś czasie musiał porzucić intratny proceder, bo banda łobuzów z przedmieścia zagroziła mu śmiercią. Wdowa po kimś, kogo nie znał nawet z imienia, pomogła mu wykaraskać się z tarapatów. Mieszkał z nią jakiś czas, żyli jak mąż i żona, aż do chwili, gdy oznajmiła mu, że zostanie szczęśliwym ojcem. „Nie było rady“, opowiadał bez wstydu, „wzięłem nogi za pas, teraz jestem tu i czekam na pociąg do Polski, bo mi tęskno do żony, jeśli została przy życiu, i do naszej jatki, jeśli nie zamienili jej w burdel“.

W żaden sposób nie mogłem odróżnić plew od ziarna, ale co mnie to w gruncie rzeczy obchodziło, zarówno bujdy, jak i prawda wypełniały czas, a gdy pociąg wtoczył się nareszcie na stację, Loderman torował mi drogę łokciami, odpierając dziko nacierający tłum i pomagając mi wdrapać się na strome schodki wagonu. Wszystkie miejsca siedzące były już zajęte, staliśmy na korytarzu, i dopiero gdy pociąg ruszył z miejsca, przypomniałem sobie: „Nie mam biletu“.

„Nie rozśmieszaj mnie, bo pękne. Trzymaj się mnie mocno, a wszystko będzie w porządku“.

Nie musiał powtarzać tego dwukrotnie. Złapałem go za rękaw. Wciąż jeszcze potrzebny był mi przewodnik, ktoś, kto mi powie, kiedy i jak się zachować. Henryk Loderman spadł mi z nieba. Gdy zastałem, posadził mnie na swoim tornistrze. Gdy byłem spragniony, wydobył z zanadru płaską flaszkę z moszczem. „Pij“, zachęcał, „pij, to ci dobrze zrobi“. Moszcz był kwaskowy, skrzywiłem się, Loderman żartował: „tak zaczyna się droga do alkoholizmu“.

Pociąg zatrzymał się przed semaforem, u wjazdu na małą stacyjkę. Ktoś powiedział, że znowu utknął na wiele godzin, bo „z parowozu uciekła cała para“. Maszynista i jego pomocnik poszli szukać węgla lub drewna i długo nie wracali. Albo nie znaleźli paliwa, albo spili się gdzieś do nieprzytomności.

„Zbieraj manatki, idziemy do miasta“, zdecydował mój opiekun.

„Po co?“

„Wyprostować kości i poznać świat“.

Z niechęcią powlokłem się za Lodermanem. Do miasteczka szliśmy mniej niż dziesięć minut. W miejscu, w którym był dawniej miejski park, rozłożyła się obozem kompania Armii Czerwonej otoczona tłumem ciekawskich. Żołnierze rozstawili na trawniku stoły sklecone prowizorycznie z drewnianych kozłów i nie heblowanych desek i rozpostarli na nich coś, co z daleka przypominało zielonkawe tapety, zaś z bliska okazało się rozwiniętymi mionami nie pociętych węgierskich banknotów. Teraz przydała mi się znajomość rosyjskiego, nabyta podczas rocznego pobytu we Lwowie. Bez trudu wdałem się w pogawędkę. Na szlaku bojów, z głębi imperium radzieckiego w samo serce Rzeszy, żołnierze Armii Czerwonej nieśli ze sobą gipsowe popiersia Stalina, tak jak ich

carscy poprzednicy nosili ikony. Chłopcy z tej kompanii wybrali sobie bardziej użyteczną maskotkę. Przejeżdżając przez Budapeszt, załadowali na ciężarówkę dziesiątki zwojów zarekwirowanych prawem kaduka w węgierskiej mennicy państwowej. W drodze, podczas ulewy, zdobył zamokła, trzeba ją było wysuszyć. Loderman fachowo pomacał papier i gwizdnął z przejęcia:

„Jak Boga kocham, to wygląda na prawdziwą forszę“.

„Mnie to wygląda na jakieś okupacyjne druki bez wartości“.

„Trudno powiedzieć“, upierał się Loderman. „Co by nie było, warto spróbować. Spróbujemy wytargować jeden lub dwa zwoje. Ruscy wariują za amerykańskimi konserwami. Wspominałeś o tej siostrze, co ci dała...“

„Nie wchodzi w rachubę!“

„Nie chcesz zostać milionerem? Wrócić do domu i kupić sobie jatkę?“

„Jakby ten papier był coś warty, dawno by go przehandlowali.“

„Idź w cholerę z tą twoją logiką. Skąd ten sceptycyzm u gówniarza?“

Żołnierz podszedł do nas i zapytał: „O czym gadacie?“

„O tym, że tracicie czas na głupstwa“, pospieszył z odpowiedzią Loderman.

Żołnierz udawał obrażonego:

„To są najprawdziwsze w świecie banknoty. Każdy jest wart sto pengó“.

„Nie rozśmieszaj mnie, bo pęknę“, odparował mój opiekun, przesunął wierzchem dłoni po zadrukowanym papierze i rzucił od niechcenia: „Mimo to chętnie wy tapetowałbym sobie pokój tym świństwem“.

„Ci idioci w miasteczku też nie wierzą, że to żywa gotówka. Masz moje żołnierskie słowo honoru, że na Węgrzech dostawialiśmy za nią spirytus. Chcecie kupić? Sprzedam tanio“.

„Po co?“ odrzekł Loderman obojętnie. „Nie mam jeszcze mieszkania, żeby je okleić“.

„Inwestujcie w przyszłość“, zachęcał czerwonoarmista. Loderman zbagatelizował ofertę.

„Kto ma przyszłość?“ zapytał.

„Cały zwój za litr wódki. Co wy na to, towarzyszu?“

„Nie mamy wódki. Ale mamy amerykańskie konserwy“.

„Nie mamy żadnych konserw“, oznajmiłem głośno.

Loderman szturchnął mnie łokciem. „Zamknij dziób“, parsknął.

„Pisze na nich made in USA?“ chciał wiedzieć żołnierz.

„Oczywiście, że pisze. Pieniądze można fałszować, ale nikt nie fałszuje konserw“.

„Pokaż“.

Czułem zbliżający się zamach na moją własność, ale nim zdążyłem zaprotestować, paczka znalazła się w rękach Lodermana. Żołnierz uważnie badał jej zawartość. Na twarzy rysowało mu się widoczne zadowolenie. Loderman kuł żelazo póki gorące:

„Dwie konserwy za jeden rulon.“

„Cztery“, odparował Rosjanin.

„Trzy - to nasze ostatnie słowo“.

Żołnierz wyciągnął rękę do Lodermana.

„Przybij łapę“, zaśmiał się. „Zrobiliście dobry interes“.

Nie potrafiłem ukryć niezadowolenia, gdy trzy puszki konserw, połowa mego skarbu, powędrowały do przepastnych kieszeni żołnierza. Loderman zwinął jeden zwój, miał co najmniej pięć metrów długości, i powiedział po żydowsku, szarpiąc mnie za ramię:

„Chodźmy stąd, nim się rozmyśli“.

Pociąg ruszył w drogę dopiero następnego dnia. Zamiast do Polski, zawiózł nas na Słowację, do Bratysławy. Jako pasażer bez biletu nie mogłem składać zażaleń. Nie pozostało nic innego, jak czekać na przypadkowe połączenie. Ponoć raz w tygodniu odjeżdżał stąd prawdziwy pospieszny do Rzeszowa. Postanowiliśmy zasięgnąć języka w poczekalni pierwszej klasy.

„Poczekaj, aż wrócę“, zarządził mój opiekun.

„Dokąd idziesz?“ spytałem zaniepokojony myślą, że mnie porzuci. Loderman zbył pytanie milczeniem. Ze zwiniętym mionem pod pachą znikł za drzwiami na peron. Po kwadransie wrócił, wymachując świstkiem papieru.

„Byłem w sraczu. Wyciąłem jedną stowę. Czym? Żyletką. Chodź, idziemy coś przegryźć“.

Loderman popchnął mnie w stronę bufetu, zamówił dwie bułki z szynką i dwa piwa, podał bufetowej wycięty banknot, kobieta za kontuarem zbadła go pod światło, złożyła w czworo,

wetknęła do schowka pod fartuchem, wydała nam resztę w czeskich koronach. Loderman zgarnął pieniądze z lady i zwrócił się do mnie z miną zwycięzcy:

„No? Powiedziałem, czy nie powiedziałem? Jesteśmy bogaci“.

Milcząco jadłem bułkę. Szynka była gorzka, ciasto miało zakalec. Piwo było bez smaku.

„Nic się nie martw. Jeszcze dzisiaj będziemy jedli kawior i zapijali szampanem“.

„Nigdy nie jadłem kawioru i nie piłem szampana“.

„Najwyższy czas na trochę dobrego życia“.

„Na razie nie mamy nawet noclegu“.

„Nie rozśmieszaj mnie, bo pękne. Z taką forszą możemy spać w pałacu!“

Do hotelu pojechaliśmy taksówką. „Wież nas do najlepszego w mieście!“, zawołał Loderman pyszałkowato. Portier w hotelu „Palace“ zmierzył nas podejrzliwym spojrzeniem. Ubrani w stare i pomięte lachy nie sprawialiśmy wrażenia gości mogących sobie pozwolić na cztery gwiazdki „Palace“.

„Przykro mi, ale wszystkie pokoje są wynajęte“, oznajmił portier i pokazał nam plecy. Loderman nie dał się zbyć. „Odwróć się, bo tracisz wygraną na loterii“, powiedział i położył na ladzie stupengowy banknot. Portier wsunął go do szuflady, rozjaśnił się, dotknął ręką czoła.

„Jak Boga kocham, zapomniałem, że mamy jeden wolny pokój“.

„Pokój? Nie rozśmieszaj mnie pan, bo pękne. My chcemy apartament“.

Loderman mówił z pewnością człowieka, który przyjechał prosto z kasyna w Monte Carlo.

„Apartament? Oczywiście. Oczywiście. Apartament na czwartym piętrze. Cesarz nocował tam, gdy byliśmy jeszcze częścią imperium. Zaraz pošlę chłopca po walizki“.

„Nie mamy walizek“, wyjaśnił mój opiekun i na oczach zdumionego portiera wysupłał jeszcze jeden banknot.

„Tak. Są goście, którzy podróżują bez bagażu... Proszę, to jest wasz klucz. Czwarte piętro, apartament numer czterysta jeden. Winda, niestety, zepsuta. Obiecali naprawić, ale wiadomo, jak to w dzisiejszych czasach. Nic już nie działa jak przed wojną. Gdybyście czegokolwiek potrzebowali, jestem do usług. Nazywam się Vaclav“.

Loderman wziął klucz, pomachał nim w powietrzu, zastanowił się chwilę, w końcu powiedział:

„Vaclav? Wyglądasz na człowieka, które wie, jak zarobić na masło do chleba“.

„Staram się jak mogę“.

„O.K. Poślij nam na górę dwie butelki szampana. Tylko żeby był prawdziwy, nie cierpię namiastek. Do butelek dołącz dwie dziewczyny. Blondynki. I żeby miały duże cycki“.

„Ja nie!“, przestraszyłem się. „Dla mnie nie“.

Loderman spojrzał na mnie z pobłażaniem.

„Rozśmieszyleś mnie, synku. Zdawało mi się, że mówiliśmy o dobrym życiu“.

„Kiedy indziej... Nie czuję potrzeby... No, nie wiem, jak to powiedzieć, ale zwolnij mnie z tego... Proszę...“, jękałem.

„Niech będzie. Vaclav, zredukuj to do jednego szampana i jednej dziewczyny. Ale żeby nie była grymaśna, tylko taka co wie, o co chodzi“.

Prostytutka знаła się na rzemiośle. Jej chichot był denerwujący. Nawet przy zgaszonym świetle zawstydzaly mnie głośne pojękiwania Lodermana. Mój opiekun miał niespożyte siły, dziewczyna ciężko odpracowała zarobiony grosz. Nie mogłem zasnąć, aż się wyniosła nad ranem. Obudziłem się późno. Cesarski apartament okazał się być dwoma skromnymi pokojami połączonymi rozsuwanymi drzwiami, ale w porównaniu do miejsc, w których nocowałem dotychczas... Śniadanie zamówiliśmy do łóżka. W południe wyszliśmy na miasto. Obiad jedliśmy w restauracji. Kupiłem pięć koszul, krawaty, wełniany garnitur i dwie pary butów: czarne i brązowe. Loderman płacił za wszystko, potem dał mi sto koron kieszonkowego. „Nie pijesz, nie palisz, nie pierdolisz, nie potrzeba ci więcej“, zawyrokował. Chciałem przypomnieć, że pieniądze dostaliśmy za moje konserwy, ale, pragnąc uniknąć starcia, ugryzłem się w język. Uświadomiłem sobie, że w dniu wyzwolenia zostawiłem za drutami spryt, dzięki któremu wielokrotnie wymknąłem się śmierci, i że coraz bardziej uzależniam się od tego człowieka. W gruncie rzeczy, nie miałem powodu do narzekań. Żyłem z godziny na godzinę i było mi dobrze. Twarz zaokrągliła się, coraz trudniej było policzyć zębra. Przytyłem, ale oddech stawał się coraz cięższy, wyczerpywały mnie długie spacerunki po mieście, męczyły ataki kaszlu i nie pozbyłem się śladów krwi w płwocinie. Wiedziałem, że mam czynną gruźlicę, ale odmawiałem pójścia do lekarza z obawy przed przymusem leczenia. Nie ulegało wątpliwości, że w dniu, w którym

umieszczą mnie w szpitalu, Loderman rozplynie się we mgle, nie zapominając wziąć całej gotówki. W głębi duszy jeszcze bardziej obawiałem się zostać sam. Ale co się odwlecze, to nie uciecze...

Do sanatorium doktora Szimko w Starym Smokovcu zawieziono mnie karetką pogotowia. Gdybym nie zemdlął na ulicy, nie byłoby siły, która zawlokłaby mnie do tego białego więzienia w Tatrach. Gdy odzyskałem przytomność w wygodnym łóżku, w jasnym pokoju z widokiem na góry, w miejscu jak żywcem przeniesionym z „Czarodziejskiej góry“ Tomasza Manna, za późno było na protesty.

Komuniści opanowali Czechosłowację dopiero w lutym czterdziestego ósmego. Na razie kraj cieszył się względną wolnością, nieruchomości pozostały nie upaństwowione, prywatne interesy kwitły, prywatne szpitale zapewniały godziwy dochód. Doktor Szimko, lekarz uważany za wielkiego znawcę chorób płucnych, wyjaśnił mi, że pani Rubin z biura Jointu⁵ w Bratysławie płaci za mnie sto pięćdziesiąt dolarów miesięcznie, sumę, która zapewni mi jak najlepszą opiekę. Zniszczenia wojenne nie dosięgły tego pięknego zakątka, zaś budynek sanatorium, połączenie konstrukcji drewnianej i murowanej z lat dwudziestych, świetnie komponował się z krajobrazem. Wszystkie balkony wychodziły na północ, z okien rozpościerał się widok zalesionych stoków opadających łagodnie aż do Popradu. Drzewa szpilkowe rozsiewały miły zapach, tylko w nocy, przy zamkniętych oknach, wdzierały się do pokoju opary środków dezynfekcyjnych. Lekarze byli ze mnie zadowoleni. Policzki zaróżowiły się, nabrałem sił, cieszyłem się dobrym apetytem. Niestety, wszystkie te pozytywne objawy nie mogły oszukać zdjęć rentgenowskich. Byłem chory. Byłem naprawdę chory. Leżąc na werandzie, opatulony ciepłym pledem i wdychający górskie rozrzedzone powietrze, najtańszy i ponoć najlepszy lek na gruźlicę, bezskutecznie próbowałem dociec, gdzie i kiedy nabawiłem się tej przeklętej choroby, jak te przeklęte laseczniki Kocha dobrały się do płuc, pożerały tkankę, zostawiając po sobie, według diagnozy rentgenologa „kawerny wielkości śliwki“.

Aż do wyzwolenia nie byłem świadom choroby. Osłabienie i gorączkę kładłem na karb niedożywienia. Potem, gdy zacząłem pluć krwią, wołałem nie domyślać się prawdy. Teraz, w sanatorium, nikt nie potrafił mi wyjaśnić, kiedy się zaraziłem. Zrezygnowawszy z prób odtworzenia historii choroby, odliczałem długie godziny leżakowania według gwizdu górskiej kolejki, wspinającej się co półtorej godziny z doliny Popradu do Strbskiego Plesa. Ciszę odbierałem jako zwiastuna śmierci, gwizd elektrycznej lokomotywy - jako sygnał życia.

Od kiedy przywieziono mnie do Starego Smokovca, po tym jak dostałem krwotoku i zemdląłem na ulicy w Bratysławie, uciekanie od rzeczywistości straciło sens. Niedwuznaczne były szepty lekarzy, wymieniających opinie na temat odgłosów podsłuchanych w moich płucach przez stetoskopy; jednoznaczne były spojrzenia sióstr i ich wymijające odpowiedzi. Na produkcję streptomycyny, leku, który pozbawi gruźlicę jej śmiertelnego charakteru“mieliśmy czekać co najmniej cztery lata. Tymczasem kazano nam pokładać nadzieję w zastrzykach calcium, w zabiegach odmy i w litości Wszzechmogącego. Ale z Nim nie rozliczyłem się ostatecznie i nie bardzo polegałem na Jego mocy. Nie cierpiałem zastrzyków, bo z trudem znosiłem fale gorąca przepływające przez ciało. Na sam widok strzykawki dostawałem torsji. Odmy nie założono mi z powodu zrostów. Pozostało tylko świeże górskie powietrze i lektura „Czarodziejskiej góry“. Tyle tylko, że moje podobieństwo do Hansa Castropa było mniej niż przypadkowe. Nie wpadałem z rozważań o czasie, życiu i śmierci prosto w okrucieństwa wojny. Mój porządek rzeczy był wręcz odwrotny, dlatego też wnioski były całkowicie odmienne. Sanatorium doktora Szimko traktowałem jako miejsce, w którym pacjenci cierpliwie czekają na elegancką i dyskretną śmierć. Umarłych wynoszono cichcem, na ogół w nocy, aby nie psuć estetyki otoczenia. Podczas śniadania udawaliśmy, że nie widzimy pustych miejsc przy stolikach w jadalni.

Najbardziej dręczyła mnie obawa, że umrę, nie zaznawszy przyjemności prawdziwego życia. Szczerze mówiąc, w ogóle nie wiedziałem, jak to prawdziwe życie wygląda. Nie tęskniłem do domu mojego dzieciństwa. Nie pociągały mnie monotonia, rutyna i święty porządek. Marzyłem o wielkiej przygodzie. Jakiej? Nie potrafiłem jej określić. Pragnąłem życia pełnego treści, nie mając pojęcia, o jaką treść chodzi. Niesprecyzowane dążenia powodowały konfuzję, a uczucie, że czas działa na moją niekorzyść, że nie mogę sobie pozwolić na leniwą bezczynność, zrodziło pomysł, który wyprowadził z równowagi nawet zawsze chłodnego i opanowanego doktora Szimko.

⁵ Joint, wiaśc. American Jewish Joint Distribution Committee, Amerykańsko-Żydowski Połączony Komitet Pomocy.

Właściciel sanatorium unikał rozmów z pacjentami. Po porannym obchodzie zamykał się w gabinecie na drugim piętrze. Sekretarka w białym, nalttochmalonym kitlu warowała przed drzwiami jak wiemy pies, chroniąc szefa przed natrętami. Gdy tylko wszedłem do sekretariatu, poczęstowała mnie utartym „Pan doktor jest zajęty.“

„Jesteśmy umówieni“, odparłem i wykorzystując jej dziesięciosekundowe wahanie, nacisnąłem klamkę do pokoju dyrektora. Doktor Szimko podniósł wzrok znad biurka i zmierzył mnie od góry do dołu spojrzeniem pełnym zdumienia.

„Niech się pan nie denerwuje, panie doktorze“, powiedziałem od drzwi, „nie przyszedłem ze skargą, nie mam żadnych próśb; przyszedłem zaproponować interes“.

Mój słowacki pozostawiał wiele do życzenia, ale Szimko zrozumiał każde słowo. Jego zdumienie przekształciło się w irytację. Lekko unosząc brwi, dał mi do zrozumienia, że nie ma zamiaru trwonić cennego czasu na jałowe rozmowy. Nie dałem zbić się z tropu. Postanowiłem twardo, że nie wyjdę, dopóki nie dojdziemy do porozumienia.

„Joint płaci za mnie sto pięćdziesiąt dolarów w twardej walucie“, zacząłem, nie pozwalając mu przerwać moich wywodów. „Proszę mnie wysłuchać do końca... Od dawna zbrzydła mi ta poczekalnia do kostnicy, sądzę jednak, że panu nie zbrzydł miesięczny przekaz z Bratysławy, że zechce go pan otrzymywać również po moim odejściu“.

„Nie możesz opuścić sanatorium. Prątkujesz“.

„No to co? Wezwie pan policję, żeby mnie tu trzymała jak w areszcie domowym?“

„Nie jestem przyzwyczajony do takiego zachowania, młody człowieku“.

„Co by pan powiedział...“, zignorowałem jego uwagę, „...co by pan powiedział na taką propozycję: ja cichutko spakuję walizkę i pożegnaję się z sanatorium, a pan zapomni zawiadomić o tym panią Rubin z Jointu. Dolary będą przychodziły regularnie, a my podzielimy się nimi jak dobrzy chrześcijanie, to znaczy pół na pół“.

„W życiu nie słyszałem tak bezczelnej gadaniny“.

„Ktoś uczynny, ktoś, kto dobrze panu życzy, szepnął mi na ucho, że sprawozdania o śmierci pacjentów opłacanych przez Joint wychodzą z tego biura z kilkumiesięcznym opóźnieniem. Proszę nie mieć złudzeń, nie mam zamiaru umierać. Niech pan nie liczy na to, że po tym, jak wyciągnę tu nogi, forsa będzie kapać, jak gdyby nigdy nic“.

„Wciąż jeszcze chcę wierzyć, że to jakiś głupi żart“.

„Przemyślałem każde słowo“.

„Stawiasz mi bezpodstawne zarzuty“.

„I propozycję“.

„Jesteście trudną rasą“.

„Tiso“.

„Nie rozumiem“.

„Tak twierdził Tiso“.

„Tiso był prezydentem Słowacji. Ja jestem lekarzem. Polityka mnie nie interesuje“.

„A pieniądze?“

„Gwiżdżę na pieniądze“.

„Nareszcie znajdujemy wspólny język“.

„Tylko z litości nad tobą, młody człowieku. Tylko z litości. Pacjent w twoim stanie ma słabe szanse przeżycia bez opieki lekarskiej. A bez środków na utrzymanie - nie ma żadnych“.

Aż do ostatniego dnia pobytu w Czechosłowacji dzielił się ze mną doktor Szimko pieniędzmi, które prostoduszna pani Rubin wysyłała z regularnością szwajcarskiego zegarka. Wkrótce jednak przekonałem się, że apetyt wzrasta w miarę jedzenia. Siedemdziesiąt pięć dolarów wymienionych na czarnym rynku mogło utrzymać wielodzietną rodzinę, ale nie wystarczało na mój nowy tryb życia. Stałem się mile widzianym klientem sklepów z delikatesami, najlepszy krawiec w Popradzie szył moje ubrania, wszystkie z angielskiej wełny, we wszystkich restauracjach, od Tatrzańskiej Łomnicy do Strbskiego Plesa, chętnie rezerwowano mi stolik. Nic dziwnego, że wkrótce byłem zadłużony u wszystkich. Chwilami myślałem wsiąść w pociąg do Bratysławy i odszukać Lodermanna, ale szanse spotkania mego opiekuna i odzyskania części skarbu były więcej niż nikłe. Jak zwykle, znów przyszedł mi z pomocą przypadek. Pewnego popołudnia do drzwi mieszkania wynajmowanego w pięknej willi w Starym Smokovcu zapukał pan Herszkowicz, kupiec z Kežmarku, pobliskiego miasteczka zamieszkanego wciąż jeszcze przez wielu Żydów węgierskich.

„Słyszałem, że jesteś chory na gruźlicę“, powiedział bez żadnych konwenansów i nie czekając na zaproszenie, opadł na skórzaną kanapę.

Przytaknąłem.

„Możesz zrobić dobry uczynek i zostać wynagrodzony.“

„Dobre uczynki to nie moja parafia“.

Herszkowicz roześmiał się głośno: „Podobasz mi się; lubię ludzi, co gadają do rzeczy. Zaraz wyjaśnię, z czym przyszedłem. Mój najstarszy ma osiemnaście lat, najwyższy czas, żeby wyemigrował do Palestyny. Ja jestem za stary, ale młodzi... Młodzi nie mają tu czego szukać“.

„Szerokiej drogi. Kto mu przeszkadza emigrować? I co ja mam z tym wspólnego?“

„Przeszkadza mu wojsko. Jest, dzięki Bogu, zdrowy jak byk, musi swoje odsłużyć. Gdyby był chory, gdyby, nie daj Boże, miał gruźlicę albo inną cholere, to by dostał zwolnienie. Widzę, że zaczynasz kapować...“

„Jakbym był niekapujący, to by tu pana nie było“.

„Święte słowa. Krawiec w Popradzie powiedział mi, że jesteś rozsądny młody człowiek. Rozsądny, ale potrzebujący. Byłeś mu winien za dwa garnitury“.

„Jestem“.

„Już nie. Zapłaciłem za ciebie. Nie sądziłem, że tak drogo sobie liczy od igły“.

„Za dobrą robotę trzeba dobrze płacić. Miałem kiedyś kolegę szkolnego, taki trochę przemądrzały filozof w krótkich spodniach, który mówił, że życie jest piękne, ale drogie; że może być trochę tańsze, ale wtedy nie jest już takie piękne. Co pan na to?“

„To nie jest filozofia kupca. Kupiec obraca monetą, bo jest okrągła i ściskają mocno w dłoni, bo jest płaska“.

„Nie jestem kupcem. Chociaż tym razem, wyjątkowo, mam do sprzedania coś, co pan chce kupić. Trzeba tylko ustalić cenę“.

„Według czego?“

„Według podaży i popytu“, uśmiechnąłem się.

„Chorych na gruźlicę jest tu jak psów“.

„Tak? A ilu z nich jest w wieku poborowym? Ilu skłonnych jest zykować? Ilu ma do sprzedania kawerny wielkości śliwki?“

„Powiedziałeś, że nie jesteś kupcem? Tak powiedziałeś?“

6

Pan Herszkowicz wyposażył mnie w fałszywy dowód osobisty (zdjęcie było moje, ale imię i nazwisko synalka) oraz w bilet kolejowy do Pragi. Gdybym stanął przed komisją poborową w Popradzie, gdzie wszyscy znali wszystkich, szybko wykryto by oszustwo. Według przepisów rekrut stawał przed komisją w miejscu, w którym zamieszkiwał przez ostatnie trzy miesiące. Chcąc nie chcąc, państwo Herszkowicz musieli zatroszczyć się o mój praski byt co najmniej do wiosny. Zakwaterowano mnie w pensjonacie „Na Sloupi“, wikt i opierunek miałem zapłacone z góry, kieszonkowe w kieszeni, a równowartość siedemdziesięciu pięciu dolarów przychodziła raz w miesiącu przekazem pocztowym. *Dolce vita* w pełnym tego słowa znaczeniu. Dni i noce spędzałem pracowicie na obchodzie kawiarni i nocnych lokali na Vaclavskim Namesti i koło starego ratusza. Zaprzyjaźniłem się z butelką, francuski koniak, rozumie się samo przez się, i z młodymi damami, które ten koniak serwowały. Znajomość dam była, niestety, platoniczna. Wszystko odbywało się na rachunek przyszłego emigranta do Palestyny, młodzieńca z porządnej, żydowskiej rodziny, którego nigdy nie dane mi było poznać. Gdy nadeszła data stawiennictwa, oświadczyłem komisji lekarskiej, z niemalą dozą bezczelności, że niczego nie pragnę bardziej od służby w armii, jeśli można, to w jednostce bojowej. „Gotów jestem umrzeć w obronie Republiki“, oznajmiłem buńczucznie. Przewodniczący komisji powiedział, że nic nie wskazuje na bliskość trzeciej wojny światowej i że zapewne pošlę mnie do kompanii pomocniczych, budować mosty i drogi. Po prześwietleniu płuc natychmiast zmienił zdanie. Z nie ukrywanym zdumieniem zapytał, jak to możliwe, że szanowny rekrut nie jest hospitalizowany, po czym kazał wypisać zwolnienie, na które niecierpliwie czekała rodzina Herszkowiczów w Kežmarku.

Po raz pierwszy byłem całkowicie niezależny, bez rodziców, bez Lodermana, bez nakazów i zakazów. Nowo nabyta wolność oszałamiała jak alkohol. Wskoczyłem do wody nie umiejąc pływać, a gdy tylko spostrzegłem, że nie tonę, wdrapywałem się na wyższy stopień trampoliny. Byłem jak narkoman, raz po raz zwiększający dawkę narkotyku. Spenetrowawszy praskie meliny, mszyłem na odkrycie nowych kon-

tynentów. Zacząłem objeżdżać bliższą i dalszą okolicę. Hotel „Pupp“ w Karlovych Varach, typowa austro-węgierska monumentalna budowla, stał się ulubionym celem weekendowych wycieczek. Tam poznałem żonę polskiego dyplomaty. Nieudolne próby zdobycia znacznie starszej pani doprowadziły mnie do granic ruiny finansowej.

Czterdzieści lat później zapytał mnie prezytwer telewizji izraelskiej, czy wieczna pogoń za przyjemnościami życia wynika z chęci nadrobienia lat straconych w obozach. „Nie sądzę, że szukam rekompensaty za to, co przeżyłem“, odpowiedziałem. „Przed tygodniem wróciłem z urlopu na Hawajach. W hotelu «Hyatt» na wyspie Maui poznałem dziesiątki wczasowiczów. Jeździli wozami droższymi od mojego, stółowali się w droższych restauracjach, utrzymywali droższe kochanki. Niemal wszyscy - motyle skaczące z kwiatka na kwiatek, mimo iż nikt z nich nie zaznał okrucieństw Holocaustu. Za co, twoim zdaniem, szukali rekompensaty?“

Przypuszczam, że nawet Freud nie potrafiłby przeprowadzić psychoanalizy na samym sobie, ale świadom jestem faktu, że nie powiedziałem prawdy, całej prawdy i tylko prawdy. Wówczas, w roku czterdziestym szóstym, zdawałem sobie sprawę, że uczestniczę w wycieńczającym wyścigu ze śmiercią, i że po latach obozowych należy mi się cała słodycz życia. Nic więc dziwnego, że pozbawiony dochodów z Keżmarka, szybko zaplątałem się w „trudności płatnicze“. Niezbędne było znalezienie zastępczych źródeł dochodu. Potrzeba jest, jak wiadomo, matką wynalazków. Przypomniałem sobie, że mam dziadka w Ameryce. Mimo iż wyemigrował ponad dwadzieścia lat przed moim urodzeniem, plotki o nim należały do naszego folkloru rodzinnego. Na krótko przed pierwszą wojną światową doszedł do wniosku, że miasteczko Borysław nie jest już na jego miarę, porzucił żonę i dwoje dzieci, moją mamę i jej brata, wuja Maksa, i mszył na zdobycie świata. Babcia zostawił akcje szybów naftowych we wschodniej Galicji. O tym, że wszystkie studnie wiertnicze były już suche jak próchno, babcia dowiedziała się dopiero wówczas, gdy Salomon Rosenwiesen osiedlił się w Szwajcarii. Cztery lata ślęczał nad lupą, ucząc się najbardziej szwajcarskiego rzemiosła, po czym, z dyplomem zegarmistrza w tobołku, przeniósł się do Stanów Zjednoczonych. Rodzice twierdzili, że zrobił majątek na sprzedaży tanich zegarków i sztucznej biżuterii. O mnie przypominał sobie raz w roku, posyłając dziesięć dolarów, prezent urodzinowy. Po raz pierwszy błogosławiłem pana Rosensteina, mego nauczyciela angielskiego, bo gdyby nie jego upór, nie potrafiłbym napisać do dziadka wzruszającego do łez listu.

Trzy strony wypełniłem maczkim, aby otworzyć serce i portfel dziadka, którego znałem tylko z poźółkłych fotografii, i dopiero dobiegłszy ostatniego wiersza, zorientowałem się, że nie znam jego adresu. Czerwony Krzyż pomagał w odszukiwaniu krewnych, ale była to droga zbyt żmudna i długa dla człowieka, którego znów ścigali bezlitośni krawcy, barmani i inni wierzycciele. Doprawdy nie wiem, jak wypłatałbym się z kłopotów, gdyby nie wstrętny zwyczaj grzebania w listach rodziców. Wśród kopert listów miłosnych, z których zrywałem znaczki, były również koperty zawiadomień bankowych. Szare komórki dziecka zakodowały, zupełnie podświadomie, nazwę banku: First National Bank of Wisconsin w Milwaukee. Tak więc list do dziadka wysłałem na adres banku. Poprzedziłem go wstępem mającym na celu poruszyć amerykańskim sumieniem dyrektora. Wyjaśniłem, że co roku, w styczniu, dziadek przysyłał mi za pośrednictwem banku prezent urodzinowy, i że chyba nie myślę się, wnioskując, że jest posiadaczem rachunku w First Wisconsin. „Będę Panu wdzięczny wdzięcznością dziecka, które uratowało się z piekła, za przekazanie dziadkowi mego ostatniego krzyku rozpacz“, pisałem.

Dramat podziałał. Po miesiącu, co na owe czasy było niezwykle szybko, otrzymałem czek na sto dolarów. Nie; nie od dziadka. Mój üst tak poruszył dyrektora, że wysłał pieniądze od siebie, „...mimo że nie mamy już zaszczytu udzielać obsługi bankowej panu Sol Rosenwiese-nowi, który przeniósł swoją działalność handlową na południe Stanów Zjednoczonych“. Dyrektor First Wisconsin obiecywał, że uczyni co tylko w jego mocy, aby odnaleźć dziadka lub innych krewnych. Kilka tygodni minęło, aż listonosz znów zaskoczył mnie listem poleconym z Ameryki. Pan Ben Lewenauer, właściciel domu towarowego „Stewards“ w Milwaukee, we wzmszający sposób wyrażał radość z odnalezienia młodego krewnego. Z trudem przebrnąłem przez skomplikowany opis tego

pokrewieństwa. Jeśli mnie pamięć nie myli, nasi pradziadowie byli kuzynami. Tak bliskie więzy rodzinne spowodowały, że pan Lewenauer wyraził gorącą chęć wspierania mnie, dopóki zdrowie nie pozwoli mi stanąć na nogach. Słowo się rzekło, kobyłka u płotu. Od tego dnia przekazy z Milwaukee skutecznie uzupełniały miesięczną „emeryturę“ ze Starego Smokovca, wpływającą regularnie do mej nadwerżonej kasy.

W końcu odnalazł się również dziadek, który w pogoni za groszem przeprowadził się do miasteczka Biloxi w stanie Missisipi. Dziadek bombardował mnie listami długimi jak litanie i trudnymi do odszyfrowania, bo wprawdzie pisał po angielsku, ale niemieckim gotykiem.

Najpierw potępił moich rodziców za to, że nie słuchali jego dobrych rad, nie wyemigrowali z Polski i dlatego sami byli winni wszystkich nieszczęść, które spadły na nas. Poza dokładnymi wskazówkami, jak powinienem się ubierać w lecie, a jak w zimie, jaka dieta wspomaga właściwą przemianę materii i jaki rodzaj porannej gimnastyki wzmacnia ciało i ducha, nie dostałem od dziadka niczego. Znacznie później dowiedziałem się, że ożenił się z dwudziestokilkuletnią dziewczyną; nic dziwnego, że nie miał głowy do marudzeń wnuka, który wskutek tragicznej omyłki losu przeżył okupację.

Kto wie, jak potoczyłyby się moje losy, gdyby nie niespodziewana interwencja władz. W kwietniu 1947, podczas inspekcji policyjnej w pensjonacie „Na Sloupi“, okazało się, że jestem nielegalnym mieszkańcem Czechosłowacji. Dowód osobisty na nazwisko Herszkowicz przezornie spaliłem zaraz po brawurowym występie przed komisją poborową; jedynym moim dokumentem było zaświadczenie zwolnienia z obozu koncentracyjnego Mauthausen, świstek papieru z nieczytelnym podpisem amerykańskiego urzędnika UNRRA, absolutnie nie zadowalający czeskiego oficera policji. Nawet najbardziej przekonujący argument, kilka szeleszczących zielonych banknotów, nie odniósł spodziewanego skutku. Dolary zostały zarekwirowane „w imieniu prawa“, ja zaś otrzymałem bezpłatny nocleg w komisariacie dzielnicy Praha II. Nazajutrz sprowadzono mnie przed oblicze naczelnika wydziału paszportowego. Tym razem, zamiast łapówki położyłem na biurku pismo stwierdzające, że jestem chory na gruźlicę. Niestety, ani podpis doktora Szimko, ani moje błagania nie zrobiły najmniejszego wrażenia na czeskich biurokratach. Na szybko nabazgrane pisemne podanie o prawo tymczasowego pobytu „w celu niezbędnego leczenia“ otrzymałem odmowę. Obywatele polscy nie cieszyli się w Pradze wielką sympatią. Jeszcze tego samego dnia odstawiono mnie ciupasem do Czeskiego Cieszyna. Policjant i tajniak odprowadzili mnie do mostu granicznego i wyjaśnili uprzejmie, lecz bezwzględnie, że moje miejsce jest po drugiej stronie. Ująłem dwie walizki, zawierające cały mój doczesny dobytek, i wolno mszyłem na przeciwległy brzeg Olzy. Walizki były ciężkie. Pośrodku mostu zatrzymałem się, by odsapnąć. Czesi odprowadzali mnie wzrokiem. Stali tam, przy wejściu na most, dopóki nie zniknąłem w budce polskiej placówki celnej.

Po raz ostatni szedłem tędy będąc dzieckiem, które przemyciło dwie kradzione korony. Teraz miałem dziewiętnaście lat. W wewnętrznej kieszeni ciepłego palta spoczywał dobrze wypchany portfel. W dziurawych płucach przemyciłem zarazki gruźlicy.

Ojciec miał brata i cztery siostry. Każde z rodzeństwa stworzyło liczną rodzinę. Holocaust wygekwawał swoją cenę, nie przeżył nikt oprócz wuja Mariana, jego żony Musi i syna Edka. Dzieje Mariana i jego bliskich raz jeszcze wskazują na przypadkowość w wykuwaniu losów ludzkich. W lecie roku czterdziestego, gdy NKWD przeczesywało Lwów, szukając „bieżnięców“, czyli uciekinierów z centralnych i zachodnich dzielnic Polski, Marian i ojciec ukryli się na strychu. Z niewiadomych mi przyczyn, sądzę, że z troski o los żony i dziecka, Marian opuścił kryjówkę i stawił się dobrowolnie. Bolszewicy wywieźli ich w głąb Związku Radzieckiego, do deskami zabitej dziury za Uralem. Nie był to gułag, ale także o wolności nie mogło być mowy. Opuszczenie osiedla groziło więzieniem. Dopiero po wojnie umożliwiono im powrót do rodzinnego Krakowa. Wuj Marian odzyskał swoją aptekę „Pod Aniołem“, na rogu Dietla i Starowiślniej, a ponieważ był farmaceutą pierwszej klasy, interesy szły nie najgorzej. Dopiero po upaństwowieniu apteki zdecydował się na wyjazd do Izraela. O zamiarze emigracji wspominał kiedyś bardzo przelotnie, nie odnosząc się do terminu i nie wnikając w szczegóły. W owym czasie znów przebywałem w sanatorium dla chorych na płuca, tym razem w lasach dolnośląskich. Do Krakowa przyjeżdżałem rzadko, tylko wówczas, gdy moja obecność była niezbędna przy załatwianiu formalności spadkowych. Dziadek i babcia, ze strony ojca, zostawili po sobie dużą narożną kamienicę. Miejscowy rzeźnik chciał ją kupić, mimo iż wszyscy zapowiadali szybkie wywłaszczenie. „Komuniści przychodzą i odchodzą, dobra kamienica przetrzyma wszystko“, powiedział, śliniąc palce, gdy odliczał pieniądze.

Nie byłem zadowolony z pobytu w sanatorium. Nienawidziłem wiecznych rozmów o prątkach, lekach i lekarzach, źle się czułem wśród lasów. Praga zaraziła mnie tęsknotą do wielkiego miasta. Wuj Marian zajmował z rodziną jeden pokój we wspólnym kilkupokojowym mieszkaniu przy ulicy Wrzesińskiej. „Chętnie go odkupię, gdy mszycie do Izraela“, zaproponowałem. Marian i Nusia wiedzieli, że mogą sobie pozwolić na zapłacenie każdej żądanej sumy, aby jednak nie pozostawić wątpliwości, podkreśliłem, że nie chcę żadnych ulg rodzinnych, że zapłacę cenę rynkową, zawiadomimy cię, gdy nadejdzie czas“, przyrzekła ciotka. Gdy przybyłem do Krakowa po kilku miesiącach, zastałem już nowych lokatorów. Moi najbliżsi zniknęli bez śladu. Zrozumiałem, że są w Izraelu, mimo iż przez następne dziewięć lat nie wysłali mi nawet pocztówki.

Było rzeczą naturalną, że po przymusowym powrocie do Polski pierwsze kroki skierowałem do krewnych. Poza nimi nie miałem w kraju żywej duszy. Nie mogłem pojąć, dlaczego przyjęto mnie bez entuzjazmu. Chłód wiał ze wszystkich poczynań ciotki Niusi. Na próżno usiłowałem dociec powodu, na próżno robiłem rachunek sumienia, próbując doszukać się grzechu lub przewiny. Nie mogłem wiedzieć, że w sercu nosiła nie zagojoną ranę, że przypuszczalnie przeniosła na mnie uczucie goryczy, a może krzywdy, adresowane do moich rodziców. Jeśli szukałem czegoś, choćby podświadomie, było to poczucie przynależności. Pieniądzy miałem w bród, zdrowie lekceważyłem, jedyny brak, który odczuwałem niemal fizycznie, był brakiem własnego domu; brakiem rodziny. Dopiero wiele lat potem, gdy odnalazłem go w Ameryce, wuj Maks, brat matki, wręczył mi klucz do rodzinnej tajemnicy: „Nusia pragnęła wyjść za mąż za twego ojca“, powiedział. „Tata, jak wiadomo, wybrał twoją mamę. Później, nie wiem jak się to stało, pobrali się Nusia i Marian. Kobiety nie zapominają rozczarowań miłosnych, a często noszą w sobie ich gorycz aż do śmierci“. Nie miałem możliwości sprawdzenia tej wersji. Nikt z bohaterów dramatu nie pozostał przy życiu. Zresztą, kilka lat po tym jak umarli Marian i Nusia, dowiedziałem się, że gdy byli w potrzebie, zesłani za Ural, rodzice moi nie kwapili się nieść im pomocy. Jakkolwiek by nie było, Nusia usunęła mnie ze swojego domu i ze swego życia pod pretekstem nie do obalenia: „Jesteś bardzo chory, nie mogę narażać mego syna na zarażenie się gruźlicą“.

Wuj Marian umieścił mnie w lecznicy żydowskiego Towarzystwa Ochrony Zdrowia. Sanatorium mieściło się w podgórskiej miejscowości Jar na Dolnym Śląsku, w kompleksie opuszczonym naprędce przez Niemców i oddanym w użytkowanie działających jeszcze organizacji i instytucji żydowskich. Okolica była piękna, na pewno wzruszyłaby każdego miłośnika przyrody, a wuj Marian przestrzegał mnie wyraźnie przed powtórzeniem fatalnego błędu, czyli wymknięciem się spod opieki lekarskiej. Urok wzgórz i lasów był dla mnie czymś bardzo pięknym na weekendy, białych kitli lekarskich miałem po dziurki w nosie. Od pierwszej chwili postanowiłem traktować sanatorium w Jarze jako zło konieczne i wynieść się z niego, gdy tylko nadarzy się okazja. Wszystko razem za bardzo przypominało Stary Smokovec. Chyba dlatego zaraz po przybyciu skreśliłem kilka słów do pani Rubin w Bratysławie, informując ją, że opuściłem na zawsze przytułek pana doktora Szimko.

Nazajutrz poznałem Ziutę.

Ziuta była starsza ode mnie o rok. Ciemnowłosa, zawsze uśmiechnięta, promieniowała sympatią. W sanatorium pracowała jako pomoc pielęgniarska, co w praktyce polegało na zmienianiu pościeli w łóżkach i wnoszeniu basenów spod ciężko chorych. Z okien mojej sali widziałem wąską ścieżkę prowadzącą przez ogród do tylnej furtki w płocie i stamtąd, między krzewami dzikich malin i agrestu, do dwupiętrowego domu, w którym mieszkała. Po tygodniu zmarnotrawionym na platoniczny flirt zapukałem do drzwi jej mieszkania. Mimo pozorów, w relacjach męsko-damskich wciąż jeszcze byłem nieśmiały, nie uczyniłbym tego bez wyraźnej zachęty z jej strony.

Ziuta była osobą impulsywną, popuszczającą wodzy swoim namiętnościom bez wewnętrznych oporów. Nigdy przedtem nie spotkałem takiej kobiety. Było jasne, że przypadłem jej do gustu, choć nie wiedziałem dlaczego. W Jarze i w pobliskim Mieroszowie nie brak było mężczyzn bardziej doświadczonych, no i na pewno zdrowszych. Patrząc na moje zdjęcie z tamtych czasów, widzę nieopierzonego wyrostka, wprawdzie wysokiego, szczupłego i przystojnego, ale wyrostka. Miałem gęstą falowaną czuprynę szatyna, oczy duże, piwne i wyrażające ciekawość, oraz długie rzęsy, które przez wiele lat stanowiły niezawodny atut w podbojach. Usta miałem wąskie, wargi zaciśnięte, wskazujące bardziej na upór i determinację niż na namiętność. Wymuszony przez fotografa uśmiech („co pan taki poważny!“) zdradzał lekceważący stosunek do otoczenia. Nosilem wojskowe bryczesy i oficerki, niezbędny atrybut w tym okresie mojego życia, w którym potrzebne mi były jeszcze zewnętrzne symbole męskości. Podejrzewam, że one to zmyliły Ziutę, gdyż zniecierpliwiona brakiem

inicjatywy powiedziała po prostu: „Przyjdź do mnie wieczorem na kieliszek i przynieś ze sobą pidżamę“.

Nie przyznałem, że to mój pierwszy raz, ale wyczuła to natychmiast. Miała zdrowy instykt kobiety, która wie, czego pragnie. „Nie spiesz się, głuptasie, mamy całą noc dla siebie“, szepnęła, gdy nieopanowanymi mchami próbowałem okryć wstydlivość, przyspieszyć bieg sprawy. Nalała nam po pół szklanki czystej wódki. Zapach alkoholu, pomieszany z zapachem wody lawendowej, której używała w nadmiarze, uderzył mi do głowy. Ziuta dyktowała rytm wieczom. Wypiliśmy. Potem pociągnęła mnie do sypialni, rozebrała jak dziecko, lekko pchnęła na łóżko i dosiadła mnie jak zawodowy jeździec, aby wolnym, dokładnie odmierzoną truchtem prowadzić do celu. Moje ciało świętowało utratę dziewictwa. Zamiast lawendy czułem pot. Namiętność rozpadała się na małe gwiazdki. Dopiero teraz pocałowaliśmy się. Małe gwiazdki połączyły się w jedną wielką gwiazdę, a gdy wybuchła w moim osobistym kosmosie, wiedziałem, że jestem mężczyzną. „Zostaniesz do rana“, powiedziała. Nie było to zaproszenie, lecz stwierdzenie faktu. W świetle brzasku, przefiltrowanego przez tiulowe zasłony na oknach, napawałem się widokiem jej nagości, jak dziecko, które odkryło nową prawdę życia. Zapraǳiałem budzić się tak każdego ranka, przez wszystkie dni przed nami. Nie przyszło mi na myśl, iż najśłodsze sny tkwią w pamięci zaledwie kilka sekund, aby potem, mimo wysiłku zachowania ich na zawsze, zniknąć jak ptaki z otwartej przez pomyłkę klatki.

Ziuta - zdrobnienie od Józefy - urodziła się na Kresach jako córka podoficera w armii Hallera i wieśniaczki z okolic Drohobycza. Ojciec przepadł bez śladu zaraz po wkroczeniu Armii Czerwonej. Przypuszczalnie zmarł w jakimś obozie jenieckim, gdyż nigdy nie dał znaku życia. Matka, jako żona wroga rewolucji, wywieziona została w głąb Rosji. Nie wiedzieliśmy, czy żyje. Ziuta i jej dwie siostry zostały same. Po wojnie ewakuowano je zza Bugu na Ziemię Odzyskaną. Obie siostry, nieco młodsze, mieszkały w pobliżu. Podczas kolejnej wizyty u Ziuty, gdy siedzieliśmy na werandzie mówiąc słowa, sztucznie podtrzymując rozmowę, narodził się ten dziki pomysł:

„A może napiszesz do towarzysza Stalina?“, zaproponowała Danuta, najmłodsza z sióstr.

„Ja? Po co?“

„Po co? Co za pytanie. Po to, żeby nam oddał mamę“, powiedziała Danuta, jakby korespondencja ze Stalinem była moim codziennym zajęciem.

„Można spróbować“, przyłączyła się Ziuta. „Mówiłeś, że znasz rosyjski“.

„W głowach wam się chyba przewróciło. Naprawdę sądzicie, że Stalin nie ma nic innego do roboty, tylko szukać waszej mamy?“

Dyskusja nie miała sensu. Przyciśnięty do muru napisałem długi, sentymentalny list, pełen błędów ortograficznych i westchnień tęskniących córek. Ziuta i jej siostry podpisały nie czytając.

„Szkoda forsy na znaczek“, zażartowałem. Nazajutrz, w okienku pocztowym w Mieroszowie, powiedziałem od niechcienia: „Polecony, pocztą lotniczą, proszę“. Urzędnik spojrział na mnie tak, jak się patrzy na człowieka, który postradał zmysły. Żaden zdrowy na umyśle człowiek nie adresowałby koperty: Generalissimus Józef Wissarionowicz Stalin, Moskwa, Kreml.

Pod koniec maja pożegnałem się z ordynatorem ośrodka leczniczego i przeprowadziłem do mieszkania kochanki. Odczuwałem psychiczny komfort. Miałem złudzenie własnego domu i do tego byłem w nim głową rodziny. Ziuta, a szczególnie młodsze siostry, bez zastrzeżeń uznawały mój autorytet, mimo iż dopiero niedawno ukończyłem dziewiętnaście lat. W lipcu, na libacji u wspólnych znajomych w Mieroszowie, wypilem bruderszaft z dyrektorem miejscowej fabryki kalkomanii. Po trzecim kieliszku mianował mnie kierownikiem działu zaopatrzenia. Fabryka była nieczynna, niczego nie produkowała i w nic się nie zaopatrywała, ale siedząc za ogromnym dębowym biurkiem czułem się osobą ważną i poważaną. Woźny w bramie witał mnie co rano uprzejmym „Szacunek dla pana dyrektora“, a gdy przechodziłem przez podwórze zakładu, robotnicy nie zapominali uchylić czapki. Było ich tam ponad dwudziestu; nigdy nie udało mi się dowiedzieć, za co otrzymują pobory. W święto Manifestu Lipcowego zostałem zaproszony na akademię w mieroszowskim ratuszu. Czułem się jak młody paw.

Jesienią zdarzyło się coś, w co nikt nie wierzył, że zdarzyć się może. Dni były coraz krótsze, mrok zapadał nim jeszcze wracałem z pracy. Lubilem te chwile, gdy dzień poddaje się nocy, gdy mimo wczesnej godziny trzeba zapalić światło, a spod abażura lampy sączy się atmosfera domowego ciepła. Ziuta pracowała na dmגיעj zmianie. Byłem sam na sam z Aldousem Huxleyem, razem zastanawialiśmy się nad wartościami moralnymi nowego wspaniałego świata, gdy zadzwonił dzwonek. Niechętnie odłożyłem książkę i poszedłem otworzyć. W drzwiach stał listonosz.

„Pismo ekspresowe dla pani Ziuty“.

„O tej godzinie?“ zdziwiłem się.

Listonosz podał mi podłużną, brązową kopertę. W lewym rogu, pod gwiazdą, młotem i sierpem, widniał adres nadawcy: Kancelaria Generalissimusa Stalina, Moskwa, Kreml. „Niech pan podpisze tutaj“, powiedział. Ręka, którą podawał mi blankiet listów poleconych, najwyraźniej drżała. Cierpliwie czekał, aż znajdę ołówek zagrzebany głęboko w szufladzie kredensu, patrzył uważnie, czy składam podpis we właściwej rubryce, odebrał bloczek blankietów i nadal stał w progu, jakby szkoda mu było rozstać się z listem Stalina. Dopiero gdy wetknąłem mu do torby zmięty banknot, przyłożył dwa palce do daszka czapki i poszedł. Zamknąłem za nim drzwi na klucz, wepchnąłem zaostrzony koniec ołówka w niedoklejony róg koperty i rozerwałem ją wzdłuż górnego brzegu. Dyrektor kancelarii Generalissimusa, podpis nieczytelny, miał zaszczyt zawiadomić córki obywatelki Klary Pisula, iż wydano polecenie odnalezienia ich matki i udzielenia jej zezwolenia na powrót do Rzeczypospolitej Polskiej w ramach humanitarnej akcji łączenia rodzin.

Późnym wieczorem pojechaliśmy z Ziutą do starszej siostry, Stasi. Krótki list musiałem odczytać trzykrotnie, aż dotarła do niej treść. Była wzruszona. Rozplakała się. Nagle, uderzona jakąś myślą, oprzytomniała.

„Mama zabije siebie i nas wszystkich, jak się dowie, że żyjecie na kocią łapę“.

„Najpierw muszą ją odnaleźć“, zauważyłem spokojnie. „Powiesz jej prawdę? Powiesz, że Roman jest Żydem?“ naciskała Stasia.

„Oszalałaś“, obruszyła się Ziuta. „Mam nadzieję, że potrafiśz utrzymać język za zębami“.

„Wszyscy sąsiedzi wiedzą. Zamkniesz im buzie na kłódkę?“

„Trudno. Jakoś się z tym uporam“.

„Łatwo gadać, siostrzyczko. A mama? Jak ona to przyjmie?“ Ziuta zerknęła na mnie bezradnie, jej spojrzenie prosiło o pomoc. „No cóż“, powiedziałem spokojnie, „jeśli trzeba, to się pobierzemy“.

Ziuta otwarła usta jak mała dziewczynka, zaskoczona i zdumiona. Wiele lat później, gdy spór rozwodowy był już pożółkłym papierkiem bez śladu emocji, przyznała, że w najśmielszych marzeniach nie śniła o małżeństwie. Już wtedy, gdy niespodziewanie rzuciłem propozycję ślubu, już wtedy zdawała sobie sprawę, że nasz związek skazany jest na niepowodzenie, ponieważ bardziej ode mnie świadoma była przepaści intelektualnej między nami. Granice jej świata były dokładnie wyznaczone, jego epicentrum mieściło się gdzieś między kuchnią a sypialnią. Nie kierowała się ciekawością wykraczającą poza sprawy codzienne. Nie szukała przewodnika po krętych ścieżkach bytu, bo ktoś, kto nie zadaje sobie samemu trudnych pytań, nie zna męki wątpliwości. A ja? Od kiedy zacząłem myśleć samodzielnie, nie zadowalało mnie proste szczęście kota wygrzewającego się w słońcu. Miałem duszę podróżnika pragnącego odkrywać wciąż nowe kontynenty i wieczny apetyt na owoce z drzewa poznania dobrego i złego. Tyle tylko, że wówczas, zaledwie dwa lata po wojnie, nie posiadałem jeszcze doświadczenia, które umożliwiłoby postawić nabyte pod cenzurę przebytego. Lekkomyślny, jak każdy, kto z łatwością wyplątuje się z każdej sytuacji, szedłem na oślep bez mapy i kompasu. Nie umiałem odnieść się do prawdziwej ceny przyjmowanych zobowiązań. W małżeństwie widziałem przede wszystkim świadectwo dojrzałości. Gdy otrzymaliśmy depezę z Urzędu Repatriacyjnego w Przemyślu, że starsza pani jest w drodze, bez sekundy wahania zwróciłem się do księdza z prośbą o udzielenie nam ślubu. Matka Ziuty była praktykującą katoliczką, tylko ślub kościelny miał dla niej znaczenie. Prosiłem nie dawać na zapowiedzi. Obawiałem się, że jakaś dobra dusza doniesie proboszczowi, że kandydat na małżonka nie jest ochrzczony.

„Jestem członkiem partii“, skłamałem gładko. „Ksiądz wie, że partia zabrania ślubów kościelnych. Jak się dowiedzą, mogą stracić pracę“.

„Rozumiem, synu“, odparł i wyraził przypuszczenie, że również Syn Boży zrozumie. Potem uspokoił mnie: „Na szczęście mam prawo udzielenia tej małej dyspensy“.

Zaślubiny odbyły się wieczorem, w zakrystii. Po zakończeniu ceremonii szepnąłem:

„A oplata?“

„Nie trzeba szeptać, synu“, uśmiechnął się ksiądz i wytarł dłonie o poły komży. „Wiadome jest, że kościół utrzymuje się z datków społeczeństwa... Od Żydków pobieram co najmniej dwadzieścia tysięcy. Ale spodobałeś mi się, synu. Daj dziesięć i nie zapomnij pojawić się na mszy niedzielnej“.

W oczekiwaniu wielkich zmian rodzinnych nabyłem piękną drewnianą willę w Przesiece, małym górskim ustroniu koło Cieplic-Zdroju. Posesja położona była na zboczu wzgórza, pośrodku dobrze utrzymanego sadu, a jako mienie poniemieckie kosztowała grosze. Kuchnia mieściła się w piwnicy.

Na parterze i pierwszym piętrze były po trzy pokoje, każdy z osobnym wejściem i z własnym balkonem. Z szyldu pod dachem wciąż jeszcze można było odczytać nazwę „Monika“. Dawniej był to chyba pensjonat. W pokojach na piętrze urządziliśmy sobie mieszkanie dostosowane do potrzeb młodej pary, parter został przeznaczony dla matki, dla sióstr, jeśli zechcą zamieszkać z nami, a także dla Wacka, dwunastoletniego brata Ziuty, skrzętnie ukrywanego wychowanka zakładu poprawczego. Czym większa rodzina, tym ważniejszy *pater familias*.

Klara okazała się miłą osobą, pełną wrodzonego taktu, który nie pozwalał jej mieszać się do naszych spraw. Lata spędzone w syberyjskiej tajdze nauczyły ją obywać się bez innych ludzi; milczenie było jej stałym towarzyszem. Bez zastrzeżeń zaakceptowała mnie jako głowę rodziny, a gdy spierałem się z Ziutą, zawsze stawiała po mojej stronie. „Mężczyzna ma zawsze rację, nawet jak się myli. Tak było w moim małżeństwie i tak powinno być w waszym“, mówiła. Czy widziała, że w gruncie rzeczy małżeństwo chyli się ku upadkowi? Sądzę, że tak. Posiadała zdrowy rozsądek chłopki, umiała postrzegać zjawiska w czasie ich tworzenia i umiała nie dzielić się z nikim swoimi spostrzeżeniami. Ja również zamieniłem się w milczka, aczkolwiek z całkowicie innego powodu. W ciągu krótkiego czasu wyczerpałem tematy, nie miałem już o czym rozmawiać. Byłem jak żołnierz na froncie, wciąż jeszcze uzbrojony w karabin, ale już bez amunicji. Zainteresowania Ziuty wydawały mi się trywialne; moje były poza zasięgiem jej percepcji. W braku więzi porozumienia, stworzyła zastępczą więź nieporozumień. Łoże małżeńskie utraciło swoją pierwotną atrakcyjność. Gdy szarość rutyny zakradła się do naszej sypialni, nadeszła godzina nieuniknionego rozstania. Czuję, jak płowieją kolory obrazu, który sobie namalowałem, aż w końcu zostały tylko złożone ramy bez treści. Być może, utrzymywałbym jeszcze czas jakiś fikcję szczęśliwej młodej pary, gdyby nie kuzynka Ziuty, katalizator przemian.

Kuzynka przyjechała z kilkudniową wizytą. Miała osiemnaście lat, zaproszenie na urlop w Przesiece było dla niej nagrodą za dobre świadectwo maturalne. Poznałem ją pół roku wcześniej, kiedy uczyła się jeszcze w szkole sióstr Salezjanek, ale dopiero teraz zwróciłem uwagę, że nie jest już flirtującym podlotkiem, że dojrzała, że stała się młodą osobą emanującą kobiecością. Przyjąłem jako rzecz naturalną, gdy wykorzystwała niedzielne przedpołudnie, kiedy Ziuta z mamą poszły do kościoła, aby wejść do mojego łóżka i oddać mi się z pewnością siebie dorosłej kochanki.

„Kto cię tego nauczył?“, spytałem, gdy doświadczonymi rękoma sięgnęła po berło mojej namiętności.

„Zakonnice“, roześmiała się i pociągnęła mnie ku sobie. Szybko wzbogaciłem się w świadomość, że rozkosz brania i dawania nie jest przywilejem jednej kobiety, i że wszystko, co ofiarowała mi Ziuta, mogłem znaleźć u wielu innych.

Jeszcze tego samego wieczoru oświadczyłem, że pragnę opuścić dom. Matka milczała jak zwykle. Kuzynka pomagała mi się pakować. Gdy nacisnęła kolanem wieko walizki, spytała cicho:

„Gdzie będziesz? Pójdę za tobą wszędzie, gdzie każesz“.

„Jeszcze nie wiem, dokąd pójdę“, odparłem. Nie miałem najmniejszego zamiaru wpaść z deszczu pod rynnę. Świat pełen był młodych i chętnych niewiast, dlaczego miałbym zrezygnować z fascynującej podróży od jednej do drugiej?

Wieko walizki zamknęło się z trudem. Ziuta wpadła do pokoju, głośno przeklinając los, mnie i kuzynkę. Potem wybuchła płaczem. Gdy wylała już wszystkie łzy, stanęła oparta o ścianę, załamana i niczego nie rozumiejąca. W potoku słów nie powiedziała rzeczy najważniejszej: że od trzech miesięcy nosi w sobie mój płód. Ja zaś nie zauważyłem, że z mego albumu zniknęła fotografia zrobiona w Krakowie na krótko przed aresztowaniem przez niemieckich żandarmów. Nie sądziłem, iż znajdę ją na biurku oficera śledczego w Urzędzie Bezpieczeństwa.

Po roku, będąc już dziennikarzem w „Słowie Polskim“, spotkałem Monikę, pierwszą kobietę, która wprowadziła mnie w labirynt prawdziwej miłości, odurzającej i brzemiennej w cierpienie. Widziałem w tym spotkaniu zrzącenie losu, bo przecież tak właśnie nazywała się willa, w której pasowałem się na prawdziwego mężczyznę. Zbyt wcześnie jednak, by opowiedzieć uroki zakochania. Na razie żyłem z godziny na godzinę, z dnia na dzień i z tygodnia na tydzień, pełnymi haustami piłem słodycz istnienia, bez wahania zanurzyłem się w nurt i płynąłem z prądem. Wieczorami zachodziłem do kawiarni „Artystyczna“, oszklonego pawilonu ukrytego za węglem budynku opery, by zapolować na jednego z tych motyli, które żyją dla nas jedną tylko noc. Po przedstawieniu wpadały tam baletnice i chórzystki, by wypić z nami kieliszek koniaku i przygotować nam nazajutrz śniadanie. Niezobowiązujące znajomości zawierałem szybko i równie szybko skreślałem je z listy

zainteresowań. Przygoda za przygodą, a za tą przygodą jeszcze jedna przygoda splatały się w tkaninę bielizny pościelowej; unosiłem się na niej jak na latającym kobiercu, naiwnie wierząc, że lot ten nie skończy się nigdy. Latałem szybko, bo nie mogłem wyzbyć się uczucia, że gruźlica ściga mnie jak drapieżnik czyhający na ofiarę, i że nie mam czasu do stracenia.

Bóg jeden wie, po co przyszła tam Jadwiga Król. Wiem na pewno, że nie w poszukiwaniu przygody. Poznałem ją natychmiast, mimo iż zmieniła się bardzo. Wyglądała na zmęczoną, była źle ubrana, jej oczy pozbawione były blasku, znikła wesołość, którą tak dobrze pamiętałem z okresu, gdy byliśmy sąsiadami we Lwowie. Zaprosiłem ją do stolika. W duchu przysięgłem, że nie pozwolę się wciągnąć w rozmowę o przeszłości. Usiadła na brzegu krzesła, niepewna siebie, jakby zdziwiona, że ją zaprosiłem na kieliszek.

„Dziękuję, nie piję,“ oznajmiła sucho.

„Co słychać?“ zapytałem, wcale nie ciekawy odpowiedzi. Wzruszyła ramionami, komunikując, że mogłoby być lepiej. Szybko obliczyłem lata. Nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia pięć. „Boże, jak strasznie się zestarzała“, pomyślałem. Głośno zapytałem:

„Jeśli się nie mylę, chciałaś zostać aktorką. Wyszło ci?“

„Moja gra jest od dawna zakończona.“

„Co robisz?“

„A ty? Wyglądasz świetnie.“

„Ty także“, skłamałem szybko. „Wiem doskonale, jak wyglądam.“

„Jeśli nie koniak, to co?“

„Może szklankę herbaty.“

Zamówiłem jej herbatę z cytryną. Cytryna była trudnym do osiągnięcia luksusem. Jadwiga prześlizgnęła się spojrzeniem po gościach w kawiarni.

„Wesoło tu“, westchnęła.

„Masz kłopoty? Chętnie pomogę, jeśli mogę.“

„Z jakiej racji miałbyś mi pomagać“, mruknęła, ogrzewając dłonie o szklankę.

„Bo nigdy nie zapomnę tego, co uczynili dla nas twoi rodzice.“

„Kiedy?“

„Gdy byliśmy w obozie.“

„Nie wiem, o czym mówisz.“

„Rodzice nigdy ci nie powiedzieli?“

„Nie.“

Opowiedziałem jej o liście, o pieniądzach, o chlebie i mleku.

„Bajeczki z tysiąca i jednej nocy“, powiedziała. „Nie dostaliśmy żadnego listu, nie wysyłałiśmy żadnych pieniędzy. Upiłeś się, czy co?“

„Mam za sobą jeden jedyny kieliszek. Jestem zupełnie trzeźwy, a wszystko, co opowiedziałem, jest absolutną prawdą“, wyjaśniłem i zaraz dodałem kilka szczegółów, aby ostatecznie rozwiązać jej wątpliwości. Jadwiga nie dała się przekonać.

„Wkrótce po waszym wyjeździe ze Lwowa aresztowano nam ojca. Niemcy oskarżyli go o współpracę z podziemiem i rozstrzelali w więzieniu. Zostaliśmy bez niczego. Musieliśmy przenieść się na wieś.“

„A nasze rzeczy?“

Jadwiga rozłożyła ręce. „Sprzedaliśmy wszystko na życie“, przyznała z wyraźnym zakłopotaniem. „Mam nadzieję, że nie wystawisz mi rachunku. Nie mam złamanego szeląga.“

Milczałem.

„Jesteś wstrząśnięty? Nie mogliśmy wiedzieć... Niemcy zabijali Żydów... Mama myślała...“

„Wstrząśnięty? Ani trochę. Człowiek musi myśleć przede wszystkim o sobie.“

„Nie tak myślał ten elektryk ze Starachowic“, zauważyła. „Przypuszczalnie odejmował od ust swoim dzieciom, aby przynieść wam codzienną rację chleba i mleka. Za wszystko płacił z własnej kieszeni.“

„I nigdy nam tego nie powiedział“, zgodziłem się. „Dlaczego? Dlaczego to robił? Dlaczego ryzykował dla nas życiem? Możesz to pojąć?“

„Mogę“, odrzekła i spojrzała na zegarek. „Już późno. Pogadamy o tym kiedy indziej.“

„Kiedy?“

„Kiedyś.“

„Daj mi twój numer telefonu.“

„Nie mam telefonu.“

„Więc zapisz sobie mój“, poprosiłem. Jadwiga zapisała go na serwetce, złożyła ją w czworo i schowała do torebki. Gdy wstała się pożegnać, oboje wiedzieliśmy, że nigdy nie zadzwoni. Wysłała, nie podając mi ręki. Gdyby nie pusta szklanka po herbacie, mógłbym sądzić, że w ogóle nie spotkaliśmy się.

Nazajutrz pożyczyłem samochód od redakcyjnego fotografa i pojechałem do Starachowic. Nie byłem tam od czasu obozu. Wszystko było inne. Hucie znów groziło zamknięcie. W górnym mieście, w miejscu, w którym więźniowie produkowali amunicję, montowano fabrykę samochodów ciężarowych. Na masowych grobach, nad zwłokami ojca, wyrastało osiedle robotnicze. Szedłem między szarymi blokami jak po alejach ogromnego cementarza. Przechodnie nie zwracali na mnie uwagi, a ja mijałem ich obojętnie. Cały ten wyjazd był nonsensem. Nie miałem żadnych widoków na spotkanie elektryka, a nawet gdybym go spotkał, nie wiedziałbym, że to on. Jego twarz rozmazała się, pamiętałem jedynie zaczerwieniony nos. Nie mogłem zapytać, gdzie mieszka, ponieważ nie znałem jego nazwiska. Wieczorem wróciłem do Wrocławia bogatszy o jeszcze jedno doświadczenie: ojciec uważał elektryka za uczciwego człowieka, który nie sprzeniewierzy naszych pieniędzy; ja sądziłem, że jest pijanym łajdakiem. Obaj pomyliliśmy się w osądzie. Ludzie nie są tacy, jakimi są naprawdę, lecz stanowią odbicie naszych wyobrażeń. Gdy odkrywamy prawdę, zazwyczaj jest już za późno.

7

Śledczy miał ryżą czuprynę, pokryte piegami policzki i niebieskie oczy. Okrągła, pucułowana twarz była sympatyczna, jak to zwykle bywa u ludzi zadowolonych, a cała postać stanowiła żywe przeciwieństwo stereotypowego oficera bezpieczeństwa. Nie wiedziałem o nim niczego, on zdawał się wiedzieć o mnie wszystko. Grzecznym ruchem podsunął mi małą ząbkowaną fotografię i uśmiechnął się niemal przyjaźnie. „Poznajecie chłopca na tym zdjęciu?“ Przytaknąłem. „Oczywiście. To ja, w całej mojej krasie.“

„I w mundurze młodego hitlerowca.“

„Tak. W mundurze Hitlerjugend.“

„Możecie wyjaśnić?“

„Skąd ma pan to zdjęcie?“

„Tutaj ja pytam, wy odpowiadacie.“

Znów przytaknąłem. Zasady gry były jasne, nawet jeśli początek nie zapowiadał nic groźnego. Tajniacy nie przyszli zaaresztować mnie o brzasku, jak piszą autorzy powieści detektywistycznych. O ósmej rano pojawił się w redakcji „Słowa Polskiego“ starszy mężczyzna o wyglądzie woźnego na emeryturze. Sekretarka powiedziała mi, że starannie wytarł buty na wycieraczkę przed moim pokojem, zapukał dwukrotnie i nie wszedł, dopóki nie usłyszał mojego zaproszenia. Nawet wtedy zapytał, czy nie przeszkadza. Wskazałem na krzesło przed biurkiem, ale nieznajomy wolał stać. Grzecznie zapytał o nazwisko, a przekonawszy się, że stoi przed właściwą osobą, podał mi kopertę bez nadawcy i bez adresata i poprosił o potwierdzenie odbioru w zwykłym liniowanym zeszytcie.

„Od kogo to?“, chciałem wiedzieć.

„Ja jestem tylko gońcem“, odparł i czekał cierpliwie na podpis. Gdy oddałem mu zeszyt, przysunął go do oczu, przmrużył lewe, prawym zbadął podpis, pokiwał głową na znak spełnionego obowiązku, zrobił dwa kroki w stronę drzwi, zatrzymał się, jakby chciał dodać coś ważnego, machnął ręką i wyszedł. Rozdarłem kopertę. Na blankiecie Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego napisane były trzy zdania: „Obywatel Roman Frister stawia się dzisiaj o godzinie dziesiątej zero zero w budynku UB przy Wałach Świdnickich i okaże niniejsze pismo na wartowni. Pismo należy traktować poufnie. Zabronione jest powiadamianie osób postronnych o treści pisma lub jego istnieniu“.

Zaproszenie do UB spadło na mnie niespodziewanie. Rubryka „sprawa nr...“ została nie wypełniona. Bezskutecznie próbowałem domyślić się powodu, dla którego władze bezpieczeństwa pragnęły szperać w moich poczynaniach. Nie szpiegowałem na rzecz obcego mocarstwa, nie prowadziłem działalności antyrewolucyjnej i nie pisałem artykułów sprzecznych z linią partii.

Wiedziałem jednak, że zasada głosząca, iż człowiek jest niewinny, dopóki nie udowodniono mu winy, nie należy do dziesięciu przykazań bezpieki. Często śmiałem się z powiedzonka przypisywanego oficerom UB: „Dajcie mi człowieka, a ja już dopasuję mu paragraf. To było bardzo śmieszne, ale tylko do chwili, w której otrzymałem to dziwne zaproszenie.

Było dwadzieścia po ósmej. Do gmachu Urzędu Bezpieczeństwa miałem pięć minut samochodem. Zostało sporo czasu na przemyślenie faktów. Początkowo traktowałem wydarzenie lekceważąco. Ale niedługo. Niespokojnie obserwowałem posuwające się wskazówki zegarka, czując, jak krzywa dobrego samopoczucia gwałtownie opada, aż dotknęła poczucia obawy, skrzętnie ukrytego na samym dnie moich myśli. Co prawda, to prawda. Nie popełniłem żadnego przestępstwa i nie byłem synem rewolucji, ale coraz częściej się zdarzało, że rewolucja pożerała także synów przysposobionych. Z łatwością mogłem paść ofiarą spisku, o którego istnieniu w ogóle nie miałem pojęcia. Partia nawoływała do likwidacji wrogów klasowych, a gdy zabrakło prawdziwych, trzeba ich było stworzyć z niczego. Tysiące mieszkańców Polski dostawało krótkie i lakoniczne wezwania, takie jak moje, po czym znikali na tydzień, na rok, na lata; czasami na zawsze.

Komunizm orał ziemię, która broniła się przed obcym ziarnem. Kościoły tworzyły mur przed inwazją marksizmu, walka o dusze trwała na wszystkich frontach. Nie trzeba było być mędrce, aby zrozumieć, że nie da się jednym pociągnięciem ręki, nawet jeśli dzierży pistolet, wymazać tysiącletniej tradycji. Polski chłop przywiązany był do swego poletka jak nowo narodzone do matki. Prasa pisała o radości, z jaką przyjmował kolektywizację, ale reporterzy wracający z pracy w terenie opowiadali przy kieliszku w „Artystycznej“ o brutalności i okrucieństwie działaczy i funkcjonariuszy zakładających spółdzielnie produkcyjne. Kartę nienawiści do Rosji łatwo było usunąć z podręczników szkolnych, ale nie zmieniało to w niczym historii przekazywanej z ust do ust. Każde dziecko wiedziało, że doradcy ze Związku Radzieckiego usadowili się na wszystkich newralgicznych skrzyżowaniach gospodarki i administracji, i że prawdziwi mocodawcy nie siedzieli w Warszawie, lecz w Moskwie. Bogowie na małym polskim Olimpie zmieniali się jak zdalnie sterowane marionetki, czasami w głębokiej tajemnicy, czasami przy głośnym akompaniamencie środków przekazu. Nikt nie posiadał glejtu chroniącego przed aresztowaniem, więzieniem lub sprawą sądową. Czynnikiem wiecznej niepewności był równocześnie hamulcem i katalizatorem ludzkich poczynań, nakazywał im walczyć pazurami o miejsce na drabinie, zostawiając ich bez pancerza, gdy tak zechciała władza. Dziesiątki tysięcy donosicieli, płatnych i ochotniczych, zinfiltrowały wszystkie warstwy społeczne i posłusznie przekazywały dalej wszystko, co wpadło im w ucho. Gdy zabrakło mąki, by ugnieść z niej ciasto donosicielstwa, popuszczali wodze fantazji. Ogromna większość ludności przyjmowała ten stan rzeczy jako rzeczywistość, której nie sposób zmienić. Chyba dlatego ludzie posłusznie przyjmowali „zaproszenia“ i stawiali się o określonej godzinie w określonym miejscu. Jak w okresie okupacji, znów łudzili się, że „mnie się to stać nie może“. Szli na przesłuchania w przekonaniu, że to nieporozumienie, że ktoś położy im rękę na ramieniu i przeprosi za omyłkę. Nic dziwnego, że idąc śladem wszystkich naiwnych, po zrobieniu rachunku sumienia, doszedłem do wniosku, że sprawa wyjaśni się szybko i nic nie stanie na przeszkodzie, abym usiadł wieczorem przy stałym stoliku w kawiarni.

Iluzja rozwiała się jak dym, gdy tylko przekroczyłem próg budynku UB. Gmach bezpieki, wzniesiony z nietynkowanej cegły, masywny i kanciasty, robił wrażenie ponurego zamczyska. Ogromna sala na parterze służyła jako poczekalnia. Podłoga była zaśmiecona, na ścianach widniały zakazy plucia i palenia. W całym kraju dziennikarz był *persona grata*, ale nie tutaj. Wartownik obojętnie spojrzął na mój papierek i wskazał rzędy ławek:

„Siadajcie tam. Wezwą was po nazwisku“.

Usiadłem. Ławki stały pod ścianą, do wysokości człowieka pociągniętej zieloną farbą olejną. Naprzeciw ktoś przypiął pluskiewkami plakat: uśmiechnięta chłopka z wiązką zboża pod pachą nawoływała do budowy socjalistycznej wsi. Okna były zakratowane, matowe szyby nie pozwalały cieszyć się widokiem ulicy. Kilkanaście osób siedziało po mojej prawej i lewej, wszyscy milczeli, skupieni w sobie, unikający wzajemnych spojrzeń w oczy, jakby się obawiali, że wzrok może zdradzić utajone myśli.

Oczekiwanie przedłużało się w nieskończoność. W żargonie śledczych, tego dowiedziałem się później, nazywano to „zmiękczaniem przesłuchiwanym“. Chyba wiedzieli, co robili, bo z upływem każdej godziny rósł także niepokój. Rozbolały mnie plecy. Wydawało się, że dźwigam na barkach jakiś niewidoczny balast. Wstałem, by rozprostować kości. Wartownik ofuknął mnie:

„Siedźcie na dupie. Spacerować będziecie w celi“.

Ponizenie jest pojęciem względnym. Przypomniałem sobie fryzjera w obozie koncentracyjnym. Gdy ogolił mi głowę i genitalia, czułem, że zostałem pozbawiony godności osobistej. Było to uczucie krańcowo subiektywne, bo biorąc pod uwagę czas i okoliczności, trochę włosów nie miało żadnego znaczenia. Kilka strofujących słów wartownika wywołało podobne wrażenie. Oczywiście, również tutaj i teraz było to uczucie pozbawione logiki. Kto mnie obrażał? Prosty żołdak, znajdujący małe zadowolenie w małym ponizaniu bliźnich...

Co kilka minut przechodzili przez poczekalnię mężczyźni w skórzanych płaszczach. Ich butna postawa nie pozostawiała wątpliwości co do profesji. Zastanawiałem się, skąd biorą się ciągotki tych ludzi do skórzanej odzieży. Tak ubierali się zarówno funkcjonariusze Czeka Feliksa Dzierżyńskiego, jak i oficerowie Gestapo Himmlera.

Odetchnąłem z ulgą, gdy późnym popołudniem wywołano moje nazwisko i zaprowadzono mnie prosto do pokoju, w którym mdy śledczy nie pozostawił wątpliwości co do tego, kto tu zadaje pytania, a kto ma na nie odpowiadać.

„Niech pan niczego nie mówi“, powiedziałem. „Wszystko jest dla mnie jasne jak słońce“. W mgnieniu oka wyrosła z zakamarków pamięci scena pożegnania z Ziutą. Stała w progu, tarasując wyjście na schody. „Jak będziesz gnął w więzieniu, nikt oprócz mnie nie zadba o ciebie!“, zawołała. Odepchnąłem ją i wyszedłem. „Jasne jak słońce?“, zaciekawiał się śledczy. „Tak. To zdjęcie dostał pan od mojej byłej żony“.

„Źródło informacji jest nieistotne. Pytałem, czy możecie wyjaśnić“.

Oficer otworzył szufladę, wydobył paczkę belwederów, drogich papierosów z ustnikiem, przypalił, zapalkę rzucił na podłogę i zdusił podeszwą. Potem obdarzył mnie przenikliwym spojrzeniem, przypuszczalnie wyuczonym podczas kursu dla specjalistów od interogacji, i wcisnął plecy w oparcie krzesła. Smuga niebieskiego dymku rozłożyła się nad biurkiem. Uspokoilem się. Wiedziałem już całkiem na pewno, że wszystko oparte jest na fałszywym oskarżeniu Ziuty, że zaraz mnie stąd wypuszczą. Ale śledczy był chyba innego zdania.

„Czekam na odpowiedź“, powiedział. W głosie wyczułem nutkę zniecierpliwienia.

Wziąłem do ręki fotografię. Uliczny fotograf uwiecznił mnie w czarnym mundurze młodzieży hitlerowskiej. Na lewym rękawie widniała opaska ze swastyką, do ust przyklejony był sztuczny uśmiech. Przesunąłem zdjęcie po blacie, śledczy nakrył je dłonią.

„Obawiam się, że nie jest pan w stanie zrozumieć“.

„Nie chciałbym być w waszej skórze, jeśli nie zrozumiem“.

„To długa historia“.

„Cała noc przed nami“, uśmiechnął się i zgniół niedopałek belwe-dera.

„Dobrze; jeśli pan sobie życzy... Musimy wrócić do roku czterdziestego drugiego. Pracowałem wówczas jako goniec u hrabiego Kuniec-kiego i...“

„Chwileczkę“, przerwał mi. „Jaki to ma związek ze sprawą?“

„Dla ścisłości powinniśmy zacząć od września 1939, od dnia, w którym Niemcy wkroczyli do Krakowa... Po co pan to zapisuje?“

„Protokół przesłuchania. Jak jest praworzędność, to musi być protokół. Za kilka lat, gdy wyjdziecie na wolność, dam wam do poczytania. Na pewno będzie ciekawy. Aresztanci zawsze opowiadają wyssane z palca historyjki“.

Wyroku nie było. Wypuszczono mnie po kilku dniach aresztu śledczego. Moje zeznanie brzmiało tak fantastycznie, że nawet rudy oficer śledczy był zafascynowany. „Takiej historii nikt nie może wymyślić. To musi być prawda“, zakonkludował i polecił odprowadzić mnie do bramy wyjściowej. Nigdy już go nie widziałem, ale protokół przesłuchania zachował się w całości. Oto jego treść:

PROTOKÓŁ PRZESŁUCHANIA ROMANA FRISTERA

Miejsce i data: Wrocław, 4 maja 1951

Nazwisko oficera śledczego: Kpt.A.Rieger.

Dokładny zapis zeznania:

Jan Białecki mieszkał w domu moich dziadków przy ulicy Szlak 20 w Krakowie, róg Długiej. Mam na myśli dziadków ze strony ojca. Może pan obejrzeć ten dom, stoi tam do dzisiaj, nie naruszony przez wojnę. Trzypiętrowa kamienica z oficyną. Kiedyś był tam postój dorożek konnych. Dziadek nie przepadał za motoryzacją, lubił konie, bo sam gospodarował kiedyś na folwarku. Zazwyczaj siadał przy oknie, opierał się* łokciami o parapet i patrzył. Mógł tak patrzeć godzinami, jak konie żrą siano z worków zawieszonych na szyi, a stangreci drzemią znudzeni na kozłach. Tuż przed wojną przeniesiono postój na jedną z bocznych uliczek. Dziadek napisał list protestacyjny do ratusza, ale nie sądzę, by prezydent miasta przejął się marudzeniem starego człowieka. Białeckiego cała ta historia w ogóle nie dotyczyła. Okna jego mieszkania w oficynie wychodziły na podwórze, na kubły ze śmieciami i dozorcówkę. Sam pan wie, panie kapitanie, jak żyli tacy ludzie w tamtym stroju, za kapitalizmu... Białecki z trudem kończył miesiąc; nic dziwnego, że często zalegał z czynszem. Dziadek pienił się za każdym razem od nowa, groził, że wyrzuci niewypłacalnego lokatora na bruk. Białecki miał swoją godność, nigdy nie prosił o litość, a dziadek miał swoje zasady, nigdy nie realizował tych gróźb. Wręcz przeciwnie. Od czasu do czasu wymazywał dług. Babcia Adela, kobieta oszczędna, niech pan to przyjmie jako synonim skąpstwa, bąkała pod nosem, że to demoralizacja i skandal, ale przed świętami, na Wielkanoc i na Boże Narodzenie, sama biegła do sklepiku kupić dzieciom Białeckiego zabawki i słodycze.

Trochę cierpliwości, panie kapitanie, zaraz pan wszystko zrozumie. Losy nasze skrzyżowały się z losem Białeckiego w dniu wkroczenia Niemców do Krakowa, mimo iż wówczas nic jeszcze o tym nie wiedzieliśmy... Ach, zapomniałem o najważniejszym: Białecki był kierowcą cysterny w straży pożarnej. W środę rano, gdy żołnierze Wehrmachtu wkraczali do miasta od zachodu, wybuchł pożar na Podgórzu. Nie od bomby. Od krótkiego spięcia. Po zgaszeniu pożaru Białecki nie wrócił do remizy. Zaparkował cysternę przed domem, w miejscu, gdzie był dawniej postój fiaków - w Krakowie mówiono na dorożkę „fiaker“ - nocą przemalował ją z czerwonego na jadowicie zielony, usunął tablice rejestracyjne i wypuścił powietrze z przednich kół, że niby uszkodzona. Miesiąc później, załatwiwszy za łapówkę odpowiednie papierki, domalował napis „Jan Białecki, f-ma przewozowa“ i przekształcił się z najemnego szofera w prywatnego przedsiębiorcę - wszystko dzięki wojennemu chaosowi i własnemu sprytowi.

Nigdy nie doszedłem do tego, kiedy i jak spiknęli się Białecki z Ku-nieckim. Był w tym nie tyle palec boży, ile wspólnota interesów. Hrabia posiadał stawy rybne w lubelskiem, Białecki miał cysternę, którą łatwo było przerobić na wóz do transportowania żywych karp. Wystarczyło wyciąć otwory w wieku, żeby ryby miały dosyć tlenu. Wkrótce okazało się, że tłuste karpie z Lubelszczyzny, tradycyjna potrawa szabasowa, szybko znalazły amatorów w domach dygnitarzy nazistowskich. Kiedyś, w przystępie dobrego humoru, powiedział mi Kuniecki, że hrabiowską koronę nosi na żydowskiej głowie.

Już w pierwszą wojenną jesień wynajął hrabia Kuniecki usługi transportowe Jana Białeckiego. Po roku, gdy dziadkowie musieli się przenieść do dzielnicy żydowskiej, przeprowadzili się Białeccy z dwóch pokoi w oficynie do przestronnego mieszkania na pierwszym piętrze. Interesy kwitły. Niemcy łaskawym okiem patrzyli na działalność zapewniającą regularną dostawę świeżych ryb. Dwa razy w tygodniu połykała zielona cysterna prawie siedemset kilometrów, do Lublina i z powrotem. Droga wiodła częściowo przez lasy, w których panowały niepodzielnie oddziały partyzanckie Armii Krajowej i Armii Ludowej. Co mi opowiedział na ten temat Białecki przekażę panu, panie kapitanie, jego własnym stylem:

„W pierwszych dniach listopada, a może był dopiero koniec października, jechałem sobie jak zawsze z okolic Lublina do Krakowa. Ryby milczały jak ryby, silnik warczał jak silnik, a ja podśpiewywałem sobie cicho, żeby nie zasnąć. Jechałem pomału, bo szosa była śliska, światła nie najlepsze, a mgła gęsta. Na szczęście Pan Bóg obdarzył mnie dobrym wzrokiem, bo inaczej nie zauważyłbym pnia tarasującego drogę. Zahamowałem gwałtownie, tylne koła zablokowały jak cholera, był poślizg, ale nie stoczyłem się do rowu. Jeszcze nie zdążyłem ochłonąć, gdy w świetle reflektorów pojawiły się postaci trzech uzbrojonych mężczyzn. Jeden wdrapał się do kabiny i kazał mi skręcić w prawo, w ledwo zauważalną dróżkę prowadzącą w głąb lasu. Dwóch pozostałych kroczyło przed nami, wskazując, jak jechać. Czym głębiej w las, tym więcej było drzew. Spocilem się jak wystraszony szczur. Wybiła twoja godzina, Białecki - pomyślałem - ale nie narzekaj, to kara boża za chciwość. Ale nie; nie mojego życia chcieli, tylko karpie. Wyjaśniłem im, skąd i dokąd jadę. «Oddaj nasze uszanowanie panu hrabiemu», powiedział jeden z partyzantów i zaraz zapytał, jak się

wyładowuje ryby. Otworzyłem kurki, woda spłynęła na ścieżkę, staliśmy po kostki w błocie. Jak tylko wypróżniła się cysterna, odsunąłem zasuwę w dolnej części wozu; karpie sypały się prosto do koszy, które przynieśli, czort wie skąd. Mężczyzna w pelerynie, chyba dowódca, klepnął mnie po ramieniu i wręczył jakiś świstek papieru. «Co to?», chciałem wiedzieć. «Umiesz czytać?» «Urniesz.» «To sobie przeczytaj.» Zapaliłem światło w sfoferce. Na kartce wyrwanej z zeszytu rachunkowego potwierdzano konfiskatę ładunku. Rząd wolnej Rzeczypospolitej, pisało tam, zapłaci wszystko po odzyskaniu niepodległości. Była nawet pieczętka, okrągła, z orłem w koronie. Złożyłem pokwitowanie we czworo i schowałem do kieszeni kurtki. «Zapomnij, gdzieś nas spotkał i jedź z Bogiem», pożegnał mnie dowódca i rozkazał odprowadzić mnie do głównej szosy. W międzyczasie usunięto przeszkodę, droga była otwarta. Dałem na gaz jak opętany i jeszcze przed brzaskiem zajechałem do Krakowa. Ryby podlegały reglamentacji, nie było rady, musieliśmy się zgłosić na policję. Gestapowcy maglowali mnie kilka godzin. Rozłożyli przede mną mapę i pytali: gdzie to było, pokaż dokładnie. Jak wyglądali, ilu ich było, jak byli uzbrojeni? Płatałem się w odpowiedziach. Nie wiem, jak by się to wszystko skończyło, gdyby nie interwencja jednego z naszych klientów, dygnitarza Gestapo. Wychodząc stamtąd, czułem się jak skazaniec, co urwał się ze stryczka. Tylko hrabia nie przejął się niczym. «Nie martw się, Bialecki», uspokajał mnie. «Transport był ubezpieczony»,.

Nocne wydarzenie, panie śledczy, zmieniło bieg życia Jana Bialeckiego. Bez trudności kupił sobie kratkowany zeszyt szkolny, przyjaciele podrobili pieczętkę z orzełkiem. Co kilka tygodni sprzedawał karpie kupcom w Lublinie, a w Krakowie przedstawiał dowód konfiskaty. Szło mu dobrze, bo gdy przyjechalśmy z rodzicami do Krakowa, Bialecki był już zamożnym człowiekiem. Zarobiony kapitał zainwestował w firmę „Kuniecki i Bialecki, Wytwórnia Konserw Rybnych, Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością“.

Dach nad głową znaleźliśmy w jednopokojowym mieszkaniu staruszki, której odzież i twarz zmięte były tymi samymi latami. Za niewygórowaną opłatą odstąpiła nam swoje łóżko, sama zadowolając się wąską kanapą w odległym kącie wspólnego pokoju. Nie zdradziliśmy naszego żydowskiego pochodzenia, ale chyba czegoś się domyślała, bo przecież nie jest zjawiskiem codziennym, że trzysobowa rodzina inteligentów znajduje sobie takie locum. Obojętnie przyjęła wersję, według której zostaliśmy wysiedleni z Poznania i nigdy nie zadawała zbędnych pytań. Zamknięta była w sobie jak ślimak w skorupie. Długie godziny spędzała siedząc zadumana na zydlu przy piecu kuchennym lub drzemiąc na kanapie. Bardzo rzadko wychodziła do miasta; nie byłem pewny, czy zdaje sobie sprawę z tego, co się dzieje w świecie. Gdy zagnieździliśmy się u niej na dobre, zaniósł nasze fałszywe dowody osobiste do biura meldunkowego, bo tak nakazywały przepisy. Nie zrodziły podejrzenia, bo zrobione były ręką fachowca.

Ojciec nie pokazywał się na ulicy. Na każdym rogu widniały odezwy do ludności obiecujące wysoką nagrodę za każdego ukrywającego się Żyda. W mieście nie brak było szpicli, którzy za parę groszy skłonni byli wydać własną matkę. Byli, oczywiście, także inni ludzie. Zofia Siwek, dozorczytni w babcinym domu, skontaktowała rodziców z Bialeckim. Były strażak nie zapomniał dobrego serca dziadka i bez wahania zaoferował mi pracę w swoim przedsiębiorstwie. „Chłopak będzie u nas gońcem do specjalnych poruczeń“, powiedział, przedstawiając mnie współnikowi. „Chyba wiesz, co robisz“, odrzekł hrabia znacząco.

Praca rzeczywiście była szczególna w swoim rodzaju. Bialecki wiedział, co robi, powierzając ją żydowskiemu chłopcu, który siłą rzeczy musiał nabrać wody w usta. Codziennie przed południem rozwoziłem na rowerze świeże karpie i konserwy rybne, osobiste podarunki firmy dla co ważniejszych dygnitarzy. Żony oficerów SS i Gestapo chętnie przyjmowały gońca rozmawiającego po niemiecku, wypytywały o rodzinę, chciały wiedzieć, dlaczego chłopiec w moim wieku nie uczęszcza do szkoły, dlaczego musi pracować. Odpowiedź miałem gotową, bo z poznańskiego wysiedlono nie tylko Żydów, lecz także rdzennych Polaków. Panie wyrażały swoje współczucie, nie wiem, na ile było szczere, ale niemal zawsze wychodziłem od nich z dobrym napiwkami w kieszeni. Żona kierownika wydziału gospodarczego SS podarowała mi mundur młodzieży hitlerowskiej. „Jest już za ciasny dla syna“, powiedziała i radziła mi znaleźć krawca, żeby go przerobił na cywilne ubranie. Przyniosłem mundur do domu. Leżał na mnie jak ulał.

Tak narodził się pomysł, panie śledczy. Praca w firmie, a przede wszystkim bliski kontakt z nazistami, wypełniły mnie przesadnym poczuciem pewności siebie. Lekceważyłem przestrogi rodziców i po pracy, zamiast wracać prosto do domu, włóczyłem się po mieście... Zaczyna pan

pojmować, panie śledczy...? Nie...? Dobrze, wyjaśnię wszystko w szczegółach. Latem czterdziestego drugiego armie niemieckie stały pod Moskwą, oblegały Leningrad i zdobyły Symferopol na Półwyspie Krymskim. Naziści upajali się zwycięstwem. Na frontach padały trupy, ale Kraków leżał daleko od pól bitewnych, nie tknięty nawet przez bombowce aliantów. Na Wawelu, zna pan Wawel, panie kapitanie?, na Wawelu urzędował gubernator Frank, w salach zamku mieściły się biura okupacyjnej administracji. Przy wyjątkowych okazjach zanosiliśmy nasze podarki także na Wawel. Pruskie stukanie obcasami, posłuszne tykanie maszyn do pisania, terkot telefonów zwykłych i polowych, rozwieszona w korytarzach mapa Rosji, na których kolorowe szpilki wyznaczały postęp Wehrmachtu, a przede wszystkim syte twarze nazistów stwarzały wrażenie, że nic nie jest w stanie pokonać tej dobrze naoliwionej maszyny wojennej. Tak to widziałem i z tym trzeba się było pogodzić.

Życie w mieście pozornie toczyło się zwykłym trybem. Ludzie pracowali, handlowali na czarnym rynku, kochali się i nienawidzili, przychodzili na świat i umierali. Ale podział na zdobywców i pokonanych nie dał się ukryć. U wejścia do lepszych restauracji i na większości kin pojawiły się napisy *Nur für Deutsche*. Studio filmowe UFA produkowało dziesiątki komedii i sentymentalnych romansów, wszystkie traktowane jako część wysiłku wojennego, jako środek na zapomnienie trudów wojny. Także ja chciałem zapomnieć. Zapomnieć i śmiać się. Nie zdradzając niczego rodzicom, przebierałem się w mundur Hitlerjugend przed każdym wyjściem do miasta. Jakie wspaniałe uczucie! Już za pierwszym razem, gdy młody SS-man podniósł na mój widok ramię, nie zawahałem się odpowiedzieć faszystowskim pozdrowieniem. *Heil Hitler*, wypłynęło mi z ust tak naturalnie, jakbym całe życie spędził na obozach brunatnych koszul. Policjanci tak zwanej granatowej policji, zawsze napawający mnie obawą, wydawali się teraz nędznymi nieszkodliwymi pionkami. Zawsze marzyłem o porcji lodów z włoskiej lodziami na Floriańskiej, obsługującej, rzecz zrozumiała, tylko niemieckich nadludzi. Wydaje się dziwne, że w czasach, gdy ludzie mego pochodzenia śnili po nocach o kromce chleba, stawałem w kolejce po cassatę, smak truskawkowy pół na pół z czekoladowym. Być może, patrząc na mnie tymi pańskimi niebieskimi oczyma, sądzi pan, panie śledczy, że postradałem zmysły. Ja też tak myślałem. Ale nie. Zastanawiając się głębiej nad moim postępowaniem, doszedłem do wniosku, że było świadectwem zdrowia psychicznego. Wszystkie trudy bytu i wszystkie okropności nie pozbawiły mnie dziecięcej radości życia. Lody topiły mi się w ustach i ciekły po brodzie. Zlizywałem je skrzętnie, aby nie uronić ani kropli tej chłodnej słodkości.

Zapewne zechce pan zapytać, jak mogłem cieszyć się dniem powszednim, gdy ojciec tkwił w wilgotnej suterynie i z niepokojem liczył minuty do mego powrotu? Jak mogłem wędrować aż do dzielnicy Podgórze i z bliska patrzeć na mury getta, w którym zamknięto dziadka i babcię? Nie potrafię dać logicznej odpowiedzi. Nie jestem psychologiem. Wiem tylko, że z niecierpliwością oczekiwałem na koniec dnia pracy, aby spacerować ulicami miasta, pewny siebie, niemal członek zakonu rycerskiego. Bez przeszkód mijałem żandarmów i SS-manów, gdy zamykali wyloty ulic i łapali przechodniów do przymusowych robót w Rzeszy. Z upływem każdego dnia wzrastało moje poczucie bezpieczeństwa; a może nazwie pan to moją bezczelnością. Żydzi nazywają to *chucpa*. Po miesiącu nie wahałem się już chodzić do kina, na filmy zarezerwowane dla Niemców. Szybko zaprzyjaźniłem się z kasjerkami. Niemal wszystkie były *Volksdeutsche*, ważniejsze od Polaków, ale nie dorastające do statusu prawdziwych Niemców. Kasjerki poznawały mnie, gdy tylko zjawiałem się przed okienkiem, i sprzedawały mi zniżkowe bilety. Ja zaś poznałem Ericha von Stroheima i Zarę Leander, gwiazdy niemieckiej fabryki snów, i nawet zacząłem zbierać programy z ich fotkami. Tak to, zupełnie przypadkowo - a może nie - dochodzimy do sprawy tego zdjęcia, które pan trzyma w ręce. Zrobił je uliczny fotograf w Krakowie, na rogu Floriańskiej i Rynku. Niech pan spojrzy, za moimi plecami widać Sukiennice. Lodów już nie widać, bo przed minutą je zjadłem... Dlaczego uśmiecham się do obiektywu? Pan widzi na zdjęciu mundur ze swastyką na rękawie, nie mając pojęcia, że to wcale nie był mundur młodzieży hitlerowskiej. To był czarny pancerz chroniący mnie przed otoczeniem...

8

Wszystko, co powiedziałem śledczemu, było prawdą, ale nie całą prawdą. Niemka, która podarowała mi mundur Hitlerjugend, nie twierdziła, że jest za ciasny na syna. Była za młoda, aby

mieć syna w moim wieku. Powiedziała, że jest za ciasny na brata. Brat zamienił mundur organizacji młodzieżowej na mundur SS, gdy został zmobilizowany - nie, nie zmobilizowany, gdy zgłosił się na ochotnika, poprawiła - i służy Führerowi w specjalnej jednostce, gdzieś na Wschodzie, przypuszczalnie w Białorusi. Jednostka jest tak utajniona, że prócz numeru poczty polowej nic o niej nie wie. Jeśli wszystko ułoży się dobrze, mówiła z dumą, brat przyjedzie na urlop już jako oficer. To dobry chłopak, zdyscyplinowany, posłusznie wykonujący rozkazy. Mąż zawsze jej mówił, że do celu dociera tylko ten, kto kroczy utartą ścieżką posłuszeństwa. Mąż wie, co mówi, bo sam jest wyższym oficerem, wprawdzie nie w oddziałach bojowych, gdzie szybciej się robi karierę, lecz w komendzie SS, w dziale gospodarczym. Wygodne stanowisko, pomaga hodować brzuszek, zachichotała, i wskazując na zawiniętego w gazetę karpia, który wciąż jeszcze połykał powietrze, dodała: „Mąż jest szefem zaopatrzenia, sekcja mięso i ryby“. Biedny karp otwierał pyszczek, jakby chciał krzyknąć „ratunku!“. W magazynie polali go wodą, żeby wyglądał świeżo i zdrowo, mokre łuski przemoczyły papier, paczka rozleciała się i pachniała nie najlepiej. Przeprosiłem za jej wygląd. Pani domu zbyła moje zakłopotanie lekceważącym ruchem ręki. „Załóżmy, że karp chciał przeczytać gazetę“, roześmiała się z własnego dowcipu i zaprosiła mnie do mieszkania:

„Dlaczego stoisz w progu?“, spytała, wskazując na otwarte drzwi do salonu.

Byłem skonfundowany. Wielokrotnie bywałem w domach nazistów, ale zawsze widziałem tylko przedpokój, w najlepszym przypadku kuchnię.

„Usiądź, fotel nie gryzie“, rzekła. Skóra starego mebla otuliła mnie swoją miękkością. Spojrzałem na wywoskowane parkiety i na moje zabłocone buciska, bezskutecznie usiłując schować nogi pod fotelem. Moje zawstydzenie nie uszło jej uwagi, gdy usiadła naprzeciw mnie, na wysokim krześle barowym.

„Na imię mi Grete“, przedstawiła się. „A ty? Jak się nazywasz?“

„Roman“.

„Bardzo romantycznie“, zażartowała.

„Piłeś kiedyś Drambui?“

„Nawet nie wiem, co to jest“.

„Boski napój. Musisz skosztować. To jest likier, oczywiście francuski. Te zabojały umieją korzystać z życia. Jakie szczęście, że Führer kazał zdobyć Paryż“.

Umoczyłem język w kieliszku. Likier był smaczny, jego słodycz lgnęła do podniebienia i drapała w gardle. Grete - teraz nazywam ją tak bez wahania; wówczas, podczas tego pierwszego spotkania, nie miałbym śmiałości - a więc Grete obserwowała mnie uważnie. Ja również rzucałem w jej kierunku ukradkowe spojrzenia. Była przystojna, klasyczny nordycki typ kobiety, takiej, co to bez trudu przechodziła przez ucho igielne nazistowskich badań rasowych. Jej długie, jasne włosy ściągnięte były do tyłu aksamitną tasiemką, podkreślając wyrazistość ładnie ukształtowanej głowy. Gdy założyła nogę na nogę, przez sekundę błysnęła biała skóra łądźwi. Nosiła kolorową, luźno przepasaną podomkę, nie mogłem nie widzieć, że była bez stanika.

„Jeszcze trochę?“

„Nie, nie. Nie mogę pić. Mam jeszcze dużo pracy.“

„Doprawdy szkoda, że takie dzieci jak ty muszą pracować.“

„Nie jestem już dzieckiem“.

„To prawda“. Grete przysunęła bliżej swoje krzesło barowe i opada stopę o moje kolana. „To prawda, nie jesteś już dzieckiem“.

Kieliszek likieru zawrócił mi w głowie. Ile lat mogła mieć? Dwadzieścia trzy, może dwadzieścia pięć. Stara. Dlaczego bawiła się mną jak kot z myszą, czego chciała? Mnie? Dosyć nieprawdopodobne. Nawet jeśli zasypiała z nudów w małżeńskim łóżu, cóż mógł jej dać taki chłopak jak ja, już nie dziecko budzące macierzyńskie instynkty, jeszcze nie mężczyzna, który działa na zmysły. Znałem swoje miejsce. Byłem chłopcem na posyłki w firmie handlującej rybami. A ona? Czy знаła swoje miejsce? Być może nie szukała niczego więcej od przyjaznego ucha, bo jeśli było inaczej, po co zapraszała mnie na rozmowę za każdym razem, gdy przynosiłem jej firmowe podarki, w jakim celu opowiadała o swoim szczęśliwym dzieciństwie w rodzinnym domu nad jeziorem Tegem w Bawarii, dlaczego, szczególnie po kilku łykach Drambui, dzieliła się ze mną najbardziej intymnymi myślami? Grete narzekała na życie we wrogim kraju, wśród wrogiej ludności, nie mogąc pojąć, skąd ta ślepa nienawiść do Niemców. Dużo mówiła o swojej samotności, o próżni, której nie potrafiła wypełnić i czasie, którego nie umiała zabić, a także o mężu, który nie mógł zrobić jej matką. Za

każdym razem, gdy krytykowała męża, gryziopórka w mundurze, wychwalała pod niebiosa brata, dowódcę plutonu w *Sonderkommando SS*, zwalczającego - po którymś spotkaniu mówiła już o tym otwarciu - zaciętych wrogów Rzeszy, Żydów i białoruskich partyzantów. Kiedyś, gdy w butelce likieru pokazało się dno, zwierzyła się z troski spędzającej jej sen z powiek: brat, ukochany wspaniały brat... jego upodobanie do młodych chłopców stawia pod znakiem zapytania wspaniale zapowiadającą się karierę młodego oficera.

„Pokażę ci coś, pod warunkiem, że nikomu nie powiesz“, rzekła i nie czekając na odpowiedź, sięgnęła do szuflady antycznego sekretarzyka. „Popatrz“, chwaliła się, rozkładając na blacie złote pierścionki, bransoletki i wisiorki, „wszystko dostałam od niego“.

„To na pewno warte majątek“, rzuciłem, aby pokryć wzburzenie. Nie miałem złudzeń co do pochodzenia kosztowności.

„Spory majątek. Mąż nic nie wie. Chowam to na czarną godzinę“.

Gretchen - tak zaczęłam ją nazywać po kilku wizytach; bardzo lubiła to zdrobnienie - nadal darzyła mnie zaufaniem. Bez wewnętrznych zahamowań czytała na głos listy od brata zajmującego się ostatnio likwidacją chłopów podejrzanych o współpracę z partyzantami. Partyzanci ukrywali się w borach, ruchliwi i nieuchwytni, „a do lasów wolimy nie wchodzić, bo to zbyt niebezpieczne“, pisał. Rzecz jasna, nie wszyscy wieśniacy byli wrogami. Braciszek Grete lirycznymi słowami przedstawiał wdzięki białoruskiego młodzieńca, którego zatrudnił jako pucybuta, w nagrodę pozwalając mu dzielić z nim łożo. Niestety, zawistni koledzy puścili w ruch plotkarskie jęzory, intymna znajomość groziła sądem polowym, i tak, z braku innych możliwości, strzelił mu w łeb. „Teraz znów jestem sam i bardzo smutny“, skarżył się. Gretchen biadała nad jego losem, a ja, który żyłem jedynie dzięki pomyłce losu, utożsamiałem się bardziej z cierpieniem młodego SS-mana aniżeli z zamordowanym kochankiem.

Rozmowy dopełniały czarę mojej pewności siebie. Grete nawet przez sekundę nie podejrzewała, że jestem Żydem. Tylko raz przypadkowa uwaga nakazała mi mieć się na baczności. Siedzieliśmy jak zwykle w salonie, ja w fotelu, ona na swoim barowym krześle, palce miałem lepkie od likieru, obtarłem je o spodnie, Gretchen obdarzyła mnie strofującym spojrzeniem, jakby chciała powiedzieć, że to nie jest zachowanie w dobrym stylu. Od godziny zgłębialiśmy problem wieczności, a ściślej mówiąc, tajemnice życia pozagrobowego. Nie przypuszczałem, że wrócę do tego tematu już jako więzień starachowickiego obozu, w warunkach, w których dyskusja taka nabierała szczególnego znaczenia.

Grete nie była osobą wierzącą. Jeden rok wygodnego bytu na ziemi cenniejszy był w jej oczach od wieczności w raju. Zgadzałem się z nią całkowicie. Tyle tylko, że podczas gdy ja twierdziłem, że po śmierci zjedzą nas robaczki i koniec, Gretchen nie mogła pogodzić się z myślą, że jej piękna dusza zostanie uwięziona w martwej cielesnej powłoce. „Bez względu na wartość życia pozagrobowego“, powiedziała, „przekonana jestem, że wyląduję w raju“. Chciałem zapytać, czy to będzie raj „tylko dla Niemców“, ale, jak już pisałem, znałem swoje miejsce. Chłopcu na posyłki nie wolno przeciągać struny. Grete wzniosła toast:

„Za raj“.

„Za raj“, odpowiedziałem i wypilem do dna. „Zastanawia mnie, czy jest raj w raju“, dodałem.

Grete odstawiła kieliszek i spojrzała na mnie z nagłą powagą: „To brzmi jak żydowskie gadanie“. Zaniepokoiłem się.

„Żydowskie? Dlaczego żydowskie?“ zaprotestowałem żywo. Może nawet zbyt żywo.

„Bo Żydzi zawsze wszystko komplikują“.

Moją znajomość z Gretchen przemilczałem przed wszystkimi, nawet przed rodzicami. Nikomu nie wspominałem o specjalnych jednostkach do mordowania Żydów, w których jej brat ciężko pracował na chleb i złote bransoletki. Byłem zbyt młody i zbyt naiwny, by psychicznie stawić czoła otaczającej mnie rzeczywistości. Trudne do zrozumienia stosunki z Grete spowodowały, że coraz częściej zapomniałem, z kim piję francuskie likiery. Wychodząc po długich rozmowach, całowałem ją w rękę jak dobrze wychowany młody człowiek, nie uświadamiając sobie, że gdyby знаła prawdę, bez wahania podniosłaby słuchawkę telefonu i wezwała Gestapo.

Czarny mundur młodzieży hitlerowskiej pobudził fantazję Miszki Szindlera. Nagle, nie wiem dlaczego, poczułem nieprzepartą chęć napisania, że poznałem go podczas mszy w kościele Mariackim. Chciałem opowiedzieć, jak to dwaj prześladowani żydowscy chłopcy szepczą sobie coś do ucha zagłuszani przez organy i ściskają dłonie pod obrazem Matki i Dzieciątka. Ale nie jestem już

w śledztwie, trzeba powiedzieć całą prawdę. Prawdą jest, że chodziłem z nim na niedzielne msze w kościele, ale poznaliśmy się w znacznie mniej dramatycznych okolicznościach. Rodzice Miszki Szindlera mieszkali przy ulicy Krzyża 10, w mieszkaniu wuja Mariana. Wuj Marian, pragnęłbym przypomnieć, przebywał w tym czasie daleko za Uralem.

W niedzielne poranki matka sprawdzała, czy wyglądam po ludzku, czy jestem uczesany, czy mam czyste paznokcie i buty wypastowane na wysoki połysk. Przed siódmą spotykałem się z Miszką u wejścia do kościoła. Kościół Mariacki zamykał przejście z Dużego Rynku na Mały Rynek, a jego dwie wieże strzelały w niebo przez setki lat, od trzynastego wieku. Lubiłem tę atmosferę tradycji, światło filtrowane przez stare witraże i zapach kadzidła. Ołtarz Wita Stwosza znałem jedynie z „Historii żółtej cizemki” Ewy Szelburg-Zarembiny, znieawidzonej lektury szkolnej. Był niewidoczny z ostatnich rzędów ławek, w których modliliśmy się żarliwie. Czyniliśmy wszystko, aby nie wyróżniać się w tłumie, stare dewotki patrzyły na nas życzliwie, ale chłopców z dzielnicy trudno było oszukać. Po nabożeństwie zaczął mnie trzynastoletni wyrostek w kraciastym kaszkiecie i rzucił wyzywająco:

„Coś ty? Wychrzta, albo coś?!“

Gdybym miał na sobie mój czarny mundur... W niedzielnym ubranku, w błyszczących bucikach czułem się jak rycerz bez pancerza. Z trudem zebrałem się na odwagę, by odpłacić tą samą monetą:

„Zwariowałeś, albo coś“.

Odpowiedź brzmiała butnie, jedynie Miszka, tak twierdził później, rozpoznał lekkie drżenie głosu. Nie tracąc tupetu ani na sekundę, pchnął chłopaka w wypiętą pierś i wrzasnął:

„Odczep się, gówniarzu! Sam wyglądasz na wychrzte. Cholera wie, jaki Żyd dupczył twoją matkę!“

Kilku wyrostków stało z boku, czekając w napięciu na bójkę, ale napastnik odsunął kaszkiet z czoła, sygnalizując zawieszenie broni. „Dobrze już, dobrze“, rzucił pojednawczo. „Nie miałem na myśli nic złego. My gramy w oczko, a ty cały czas z nosem w modlitewniku. Chcesz być ministrantem, czy coś?“

„Niezupełnie - odwarknął Miszka. - Baliśmy się, że polecicie do księdza na skargę, więc modliliśmy się jak trzeba. Wszystko jasne, czy mam to wytłumaczyć inaczej?“ spytał, podsuwając mu pod nos zaciśniętą pięść.

„Ja szybko kapuję, ale nie jestem kapusiem. Na imię mi Bolek“, wyciągnął do nas rękę. „To co, od przyszedłego tygodnia gramy razem?“

„Gramy“, potwierdził Miszka. „Przyniescie forszę. Liczymy po złotówce od oczka“. Tego samego tygodnia nauczyłem się grać w dwadzieścia jeden.

Miszka przerastał mnie o głowę i wyglądał na doroślejszego, choć był o rok młodszy; inteligentny, sprytny i skory do gniewu, duszę miał przegniłą do cna. Nie od razu pojąłem, skąd bierze się jego cynizm, tak różny od mej lekkomyślności. Zaprzyjaźniliśmy się. Miszka towarzyszył mi we włóczęgach po mieście. Nazywaliśmy je „spacery Hitlerjugend“. Gdy poprosił o wypożyczenie munduru, musieliśmy wypuścić podwinięte mankiety spodni, bo nogi miał długie jak żyrafa. W kurtce nie było wypustek, rękawy wyglądały jak z młodszego brata. Naziści zwracali uwagę na solidność umundurowania, drżałem, że może wpaść. Miszka wrócił wieczorem na umówiony punkt spotkania w tylnej salce piwiarni i, promieniując zadowoleniem, wyłożył z kieszeni kilkaset złotych.

„Policz. To twoja część doli“.

„Obrabowałeś bank?“

„Dureń“, roześmiał się. „Cały dzień latasz z wywieszonym jęczorem jak zagoniony pies i nigdy nie masz grosza przy duszy. Kino i lody truskawkowe, to wszystko, co chcesz od życia. A ja? Popatrz. Całą tę forszę zrobiłem za jednym zamachem“.

„Ale jak?“

„Znasz bazar na Podgórzu? Tam, blisko getta? Pewnie, że znasz. Bazar aż roi się od frajerów, co tylko czekają, żeby ich wykołować. Poszedłem tam w mundurze, pokrzychałem trochę po niemiecku, nie umiem gadać tak jak ty, ale wystarczyło, żeby ich wystraszyć, nim się zorientowali co i jak, skonfiskowałem na rzecz Führern kilka kartonów papierosów. Potem sprzedałem je handlarzom na Żywieckiej. Wszystko razem trwało dwadzieścia minut“.

Podziwiałem jego czelność. Miszka powtórzył ten manewr jeszcze dwukrotnie. „Więcej tego nie robię, bo się połapią i wezwą policję“, zdecydował. W sprawach tego rodzaju nigdy nie dał się uwieść chy-trości, zawsze kierował się zdrowym rozsądkiem. I tak mieliśmy dosyć pieniędzy na

karty, na piwo i na kino. Banknoty ukrywałem za skrzynką z bezpiecznikami, na klatce schodowej. Nie zaproponowałem ich rodzicom. Wiedziałem, że w domu się nie przelewa, ale jak wytłumaczyłbym pochodzenie mego niespodziewanego bogactwa?

Okazało się, że Miszka był moim dalekim krewnym. Szindlerowie mieszkali przed wojną w małym miasteczku. Nigdy o nich nie słyszałem, być może nie byli dostatecznie szacowni, by rodzice utrzymywali z nimi stosunki towarzyskie. Nie wiem również, w jaki sposób przenieśli się do mieszkania wuja Mariana. Chyba ojciec Miszki, Jakub, załatwił to swoim wrodzonym sprytem. Jakub - przyjaciele nazywali go Kuba - nie miał wyuczonego zawodu; podejrzewam, że miał się każdego rzemiosła, nie wyłączając drobnych oszustw. Kuba był osobą wybitnie sympatyczną, taką, co bez trudu nawiązuje kontakt z bliźnimi. Ubierał się zawsze ze staranną elegancją, garnitury i płaszcze krojone na miarę, ostatni krzyk okupacyjnej mody. Przyлизane blond włosy i błękitne oczy służyły mu jako przepustka do właściwych sfer. Miał tak zwany dobry wygląd, nic nie wskazywało na semicki rodowód. Lubił alkohol, przepadał za kobietami. Wyposażony we wszystkie odpowiednie cechy szybko znalazł drogę do serc oficerów policji, tej granatowej - polskiej i tej zielonej - niemieckiej. Przyjaźń przekształciła się we wspólnotę interesów. O charakterze tych interesów opowiedział mi Miszka dopiero kilka miesięcy po naszym poznaniu.

W mieszkaniu przy ulicy Krzyża, w centrum Starego Miasta, przechowywał Kuba Szindler Żydów, którym udało się zbiec z getta. Adres Szindlera podawano z ust do ust, nie było dnia, żeby ktoś nie szukał jego pomocy. Kuba starannie selekcjonował klientów. Kto przychodził bez grosza, nie mógł liczyć na otwarte drzwi. „Tu nie instytucja filantropijna“, odprawiał zawiedzionych. Popyt na usługi wzrastał szczególnie w okresach „czystek“, gdy naziści wysiedlali z getta „elementy nieproduktywne“, w pierwszym rzędzie starców i chorych oraz ludzi bez zawodu. Wysiedlonym mówiono, że jadą do obozów pracy na Wschodzie. Różne krążyły o tym plotki, lecz nikt nie wrócił stamtąd, by je potwierdzić lub im zaprzeczyć. W przeddzień kolejnej akcji wysiedleńczej mieszkanie na Krzyża pełne było nowych lokatorów. Matka Miszy gotowała dla dwudziestu osób, podenerwowane kobiety klóciły się o kolejkę do łazienki, mężczyźni, zebrani w pokoju, który służył wujowi Marianowi jako gabinet, głośno omawiali sytuację. Dzieci biegały jak opętane, głuche na błagalne prośby pani Szindlerowej. Z zatkaanej muszli klozetowej unosił się smród, przepustowość rur kanalizacyjnych nie była obliczona na taką liczbę użytkowników. Okien nie pozwalano otwierać z obawy przed sąsiadami.

Za każdy dzień pobytu płacili lokatorzy stawkę ustaloną w zależności od popytu i podaży. Nikt nie narzekał, nikt nie próbował się targować. Żadna cena za życie nie była za wysoka. Uciekinierzy z getta, tak tłumaczył im Kuba, mogą korzystać z jego gościnności, dopóki nie załatwi im fałszywych metryk i dowodów osobistych. Potem mogą sobie pójść, każdy w wybranym kierunku. Przekupiony urzędnik w biurze ewidencji ludności dostarczał potrzebne dokumenty na każde zamówienie. Podejrzewam, że także nasze papiery zdobyte zostały za pośrednictwem Kuby.

Mieszkanie przy ulicy Krzyża nie było azylem dla nieszczęśliwych, lecz pułapką dla naiwnych. Gdy kończyła im się gotówka, płacili kosztownościami za dach nad głową i utrzymanie. Nikomu nie udało się oszukać Kuby, bo za pomocą zwykłej lupy natychmiast wykrywał „żółtą cytrynę“ w brylancie, który udawał czysty *Blauweis*, złoto zanurzał w różnych kwasach, aby ustalić liczbę karatów, zaś kamienie półszlachetne rozpoznawał i wyceniał według katalogu. Oszustwo było jego specjalnością, więc siłą rzeczy nie znosił konkurentów.

Aż do ostatniego dnia pobytu na Krzyża lokatorzy Szindlerów nie podejrzewali, że stali się ofiarami okrutnego podstęp. Gdy uskarżali się na długie i kosztowne oczekiwanie, Kuba zbywał ich krótko: „A wy co, myślicie, że kury składają wasze dokumenty jak jajka? Dobra robota musi potrwać“. Wspomniałem już, że był człowiekiem sympatycznym, z łatwością zdobywał zaufanie ludzi. Lokatorzy wierzyli mu. Gdy napięcie wzrastało do szczytu, rozładowywał je zgrabnym dowcipem. Miszka ubóstwiał go. Ja także lubiłem wysłuchiwać jego anegdot. Gdyby nie wyjawiał mi Miszka tajemnicy domu przy ulicy Krzyża, nigdy bym nie uwierzył, że jest potworem w ludzkim ciele.

Pobyty uciekinierów pod dachem Kuby kończył się, gdy kończyły się ich możliwości płatnicze. „Nie zostało nam nic“, płakali. Nie mieli pojęcia, iż przypieczętowywali swój los. Tej samej nocy na scenę wydarzeń wkraczali umundurowani przyjaciele Kuby. Gdy miasto pustoszało, bo godzina policyjna obowiązywała od zmroku do brzasku, cichcem zajeżdżały pod dom na Krzyża wozy

„granatowych“. Policjanci wbiegali dwa piętra po schodach, kolbami pistoletów walili w drzwi; nie czekali długo, bo Kuba spieszył otworzyć, niby jeszcze zaspany. Sąsiedzi udawali, że niczego nie słyszą. Mundurowi wpadali do pokoi, ściągali kołdry i koce z leżących, tłukli i kopali przerażonych, pokrzykując: „Parszywe Żydy! Prędzej, prędzej, do karetki na dole!“ Kuba usiłował ukryć się w szafie, przodownik policji łapał go za poły szlafroka i wrzeszcząc „ty też! ty też!“, wypychał go na klatkę schodową. Tylko na Zelmę, ślubną Kuby i ich synka Miskę dziwnym trafem nie zwracali uwagi. Jak tylko wyprowadzono aresztowanych, Zelma i Miszka zabierali się do porządkowania mieszkania. „Zawsze próbowałem wymigać się od czyszczenia klozetu“, śmiał się Miszka. Tymczasem wóz policyjny, pełny jak puszka sardynek, pędził przez wyludnione ulice Krakowa, mijając przedmieścia, zwalniając dopiero po tym, jak wjechał w ciemny wyboisty gościniec. „Dokąd nas bierzecie?“, pytali Żydzi. „Do miejsca, z którego się nie wraca“, rechotał policjant. Teraz wchodził na scenę Kuba, zaczynał się punkt kulminacyjny przedstawienia. Najpierw przysuwał się do przodownika, głośno prosił o zrozumienie. „Patrz pan, panie komendancie, kobiety i małe dzieci...“, błagał. Potem, gdy policjant wydawał się być niewzruszony, długo szeptał mu coś do ucha. Policjant potakiwał. Wszyscy milkli, nawet dzieci przestawały się drzeć. Po kilku minutach odzywał się Kuba drżącym głosem:

„Oni gotowi są nas wypuścić. Mam tysiąc dolarów, ale to nie wystarczy“.

Na oczach wszystkich wręczał policjantowi plik zielonych banknotów. Przodownik przeliczał je skrupulatnie, wtykał do kieszeni na piersi i rozglądał się wokoło, dając do zrozumienia, że czeka na dalszy ciąg. Ze specjalnie spreparowanych obcasów i spod podszewki marynarek zaczynali nieszczęśnicy wysuptykiwać złote monety, uratowane przed chciwością Kuby. Co będzie, płakali, czym będą się opłacać do końca wojny? Policjant zbierał talary i biżuterię do czapki, a gdy była prawie pełna, stuknął w odrutowane okno do szoferki. Wóz zatrzymywał się na poboczu. Kierowca otwierał podwójne drzwi karetki, ludzie wyskakiwali w ciemność. „Widzicie ten stary młyn“, wskazywał Kuba na wpół zrujnowaną budowlę po lewej stronie drogi, „tam możemy przenocować“. Ale gdy chciał wyskoczyć w ślad za swoimi lokatorami, przytrzymało go dwóch mundurowych: „Ty nie, bandyto! Ty pójdziesz pod sąd!“ Kierowca manewrował na wąskiej szosie, a zawróciwszy, naciskał na gaz. Jeszcze nim dojechali do miasta, Kuba i policjanci dzielili się łupem.

„Twój ojciec nie bał się, że go wydadzą? Przecież Gestapo mogło wyłapać tych Żydów, torturować ich“, spytał Miskę.

„Głupi“, obruszył się. „Mój tato nie jest palcem robiony. W pustym młynie czekał na Żydów pluton egzekucyjny, zamykał im usta na zawsze“.

Miszka opowiadał bez emocji, jakby to wszystko w ogóle nas nie dotyczyło. Mowa była o innych Żydach. Nie przyjaciółach, nie krewnych, nawet nie znajomych. O obcych. Na wojnie, jak na wojnie, powiadają Francuzi. „Co nas to obchodzi?“, mówił Miszka. Milczałem. Bo cóż mogłem powiedzieć? Obawiam się, że już wówczas, gdy litowałem się nad bratem Grete, utraciłem zdolność obiektywnej oceny wydarzeń. Gorzej. Nadmierna pewność siebie, dziecinna, jakby nie było, spowodowała, że nie identyfikowałem się z ofiarą. Zwyczajca zawsze był bohaterem dramatu. Nic nie zakłóciło naszej przyjaźni. W dni powszednie, po pracy, wychodziliśmy na „spacery Hitlerjugend“. W niedzielne przedpołudnia graliśmy w karty. Co najmniej raz w tygodniu piłem Drambui z Gretchen. Wykorzystywałem każdą okazję, aby wyrwać się z mrocznej sutereny. Ojciec ganił mnie za moje zachowanie. Kłamałem. „Białecki zmusza mnie do godzin nadliczbowych“, przysięgałem, i na dowód prawdomówności od czasu do czasu przynosiłem kilkaset złotych, rzekomo rzetelnie zarobionych. Stałem się mistrzem wykrętów, ale wątpię, czy ojciec przyjmował je za dobrą monetę. Sądzę, że przechodził nad nimi do porządku dziennego, pragnąc uniknąć otwartego konfliktu. Praca, pieniądze, a także codzienne ocieranie się o ciemną stronę bytu, nadały mojej osobowości nowy wymiar. Wymiar, którego ojciec nie znał i z którym nie potrafił sobie poradzić. Przypuszczalnie trwałoby to długo, chyba do ostatecznego rozpadu tkanki rodzinnej, gdyby jednego wieczoru nie powiedział: „Jutro nie pójdziesz do kościoła. Miszka aresztowany“. W taki to sposób dowiedziałem się, że od dawna znał wszystkie tajemnice naszych „spacerów“ i szczegóły haniebnego procederu Kuby, i że tylko ze względu na mnie narzucił sobie milczenie. „Jak to się stało?“

Ojciec mówił niechętnie. Każde słowo przychodziło mu z trudem. Tak, Kuba postanowił pozbyć się żony. Zelma nie była taka młoda i taka ładna jak kochanki. A poza tym była zazdrosna. Dopóki miał ich krocie, godziła się. Gdy dowiedziała się, że związał się z jedną, groziła, że go wyda. Kochanka Kuby była konfidentką Gestapo. Razem uknuli spisek, mający im zapewnić szczęśliwą

przyszłość we dwoje. Pomysł był prosty i łatwy do wykonania, zapewne udałby się świetnie, gdyby niejedno nie przewidziane potknięcie.

Miszka nie mógł się domyślać, dlaczego ojciec z uporem wysłał go na sobotę i niedzielę do przyjaciół w Prądniku, małej podkrakowskiej wioski. Z niechęcią spakował małą walizeczkę i pod czujnym okiem Kuby wsiadł do autobusu. Przed wieczorem pożegnał się Kuba z Zelmą, zapowiadając późny powrót. Gdy tylko wyszedł, pojawiła się policja. Wszyscy zostali aresztowani, łącznie z rodziną. Zelma płakała, Miszka darł się ponoć wniebogłosy, krzyczał, że chce do ojca... Skąd się tam wziął? Wypadek przy pracy. Przyjaciele wyjechali z Prądnika, dom zamknięty był na cztery spusty. Nie mając wyjścia, Miszka wrócił na Krzyż, ponoć dziesięć minut przed policją...

„A Kuba?”

„Udało mu się uciec z Krakowa”.

„Gównu nigdy nie tonię“, zauważyła stoicko moja, tak zawsze uważająca i kulturalna, mama.

9

Miszka wdarł się w moje życie i wypadł z niego jak meteor, który zostawia za sobą krótkie błyski zimnych ognii i gaśnie, nie osiągając ziemi. Chwilami odczuwałem jego brak, pozbawiony towarzysza zabaw, kogoś, komu mógłbym zwierzyć jakąś małą tajemnicę. Była to jednak tęsknota wypływająca z egoizmu, całkowicie wyprana z poczucia straty bliskiego człowieka. Jego niczym nie zamącona wesołość pomagała mi rozrzedzać gęstą atmosferę ciemnej sutereny. Miszka zwykł mówić, że u nas w domu „wesoło jak w rodzinnym grobie“, i chyba miał rację. Odwiedzał mnie bardzo rzadko, jedynie wtedy, gdy nie mogliśmy spotkać się w mieście. Rodzice patrzyli na te sporadyczne wizyty bardzo niechętnym okiem, zbywali krótkim „tak“ lub „nie“ wszelkie próby nawiązania rozmowy. Może obawiali się, że padnie jakieś zbędne słowo i obudzi podejrzliwość naszej staruszki, a może, znając prawdę o Kubie, nie mogli się przemóc, aby przyjmować serdecznie syna Szindlerów.

Z obawy przed ciekawością gospodyni rodzice ograniczali do niezbędnego minimum również rozmowy między sobą. Matka twierdziła, że stara udaje głuchawą, podczas gdy w rzeczywistości podsłuchuje każdy szept. Nie wiem, jak było naprawdę. Gospodyni była kobietą oszczędną w słowach. Nigdy nie widziałem jej plotkującej w bramie z sąsiadkami, jak to czyniły inne mieszkanki kamienicy. Raz w miesiącu wynurzała się ze swego mrocznego kąta przy piecu i przechodziła niewidoczną granicę naszej części pokoju, aby w świetle padającym z okna skrupulatnie przeliczyć należność za czynsz. Zniekształconymi przez reumatyzm palcami badała każdy banknot z osobna i dopiero gdy była pewna, że nikt jej nie oszukał, wpychała pieniądze do przepastnej kieszeni pod fartuchem. Ojciec zabijał czas, obserwując nogi przechodniów, pojawiające się i znikające w prostokącie okna jak w kadrze surrealistycznego filmu. Okno, które od wewnątrz sięgało sufitu, umieszczone było na poziomie chodnika. Z braku innego zajęcia przyłączałem się czasem do tych obserwacji, próbując wyobrazić sobie przechodniów na podstawie ich butów i mankietów nogawek spodni. Matka spędzała długie godziny na czytaniu. Każdy z nas zamykał się w sobie. Nie potrafiliśmy już dzielić się myślami ani wrażeniami.

W owym czasie nie potrafiłem ocenić wagi słów jako środka porozumiewawczego między ludźmi i nie byłem świadomy tego, że brak komunikacji prowadzi do rozkładu rodziny. Był to proces powolny, toczący nas jak rak, który niszczy tkankę. Nawet dzisiaj, z perspektywy tylu lat, nie potrafię powiedzieć, kiedy doszedłem do stanu, w którym inni ludzie, nawet buscy, przestali mi być potrzebni.

Zbędni mi byli bliźni, ale nie nauczyłem się żyć w zgodzie z samym sobą. Rozpierała mnie chęć działania. Myśli mogłem uwięzić w zupełnym odosobnieniu od otoczenia, ale nie potrafiłem uwolnić się od siły przyciągania wielkiego miasta. Ulica wybrukowana była zagrożeniami, ale płynęło nią prawdziwe życie. W knajpach pito aż do godziny policyjnej, czasami, przy zamkniętych okiennicach, do późnej nocy. Znałem wszystkie przejścia przez bramy i podwórza w zaułkach Starego Miasta, podglądałem prostytutki sprzedające swoje wdzięki w bocznych uliczkach, zawzięcie targowałem się z handlarzami na czarnym rynku, karmiłem wiewiórki na Plantach, piłem piwo z sokiem malinowym w restauracji Hawelki, drażniłem los, podpatrując przemytników przerzucających żywność przez mury getta, a czasami, opancerzony moim czarnym mundurem, wdawałem się w rozmowę z

Niemcami odpoczywającymi na ławkach rozsianych wzdłuż całych Plant krakowskich. Na ogół byli to żołnierze, którzy przyjechali na krótki urlop z frontu. Tak poznawałem drugą stronę wojennego medalu, tę zmęczoną i mającą dosyć wszystkiego. Gdyby próbowano potępić mnie za mój tryb życia, zapewne odpowiedziałbym: a co powiecie o bogaczach za murami getta, tańczących przy dźwiękach orkiestr w samym sercu wielkiego głodu, w oceanie poniżenia, w oku cyklonu? Czy są tak samo niemoralni jak ja? Nie. Przecież tylko wylizywali miód podszubienicznej egzystencji, teraz i szybko, bo jutra nie ma.

Nie należy wysnuwać pochopnych wniosków z opisu miasta. Kraków nie świętował, nie bawił się od rana do nocy. Kraków utrzymał swoją solidną fasadę i swój zachowawczy styl bycia. Wojna nie zburzyła jednego nawet domu, okupacja nie odebrała mu historycznej patyny, która nakłada się przez wieki, od gotyckiej architektury czternastego stulecia, poprzez renesans, aż do baroku włoskiego z późnych lat wieku siedemnastego. Jeśli mimo to ugodzili naziści w miasto, była to mina niewidoczna dla oka, lecz wyryta w ludzkich duszach.

Czułem oddech Krakowa. Znałem jego rzeczywistość, szukającą wentyla bezpieczeństwa w pobożnych życzeniach mieszkańców. We wszystkie pory roku Kraków otwierał się z pierwszym zgrzytem rozklekotanych tramwajów na zakręcie szyn i zamykał z wybiciem godziny policyjnej. Później, za zamkniętymi na cztery spusty drzwiami i za zaciemnionymi oknami prywatnych mieszkań, wrzało życie. Starsi chłopcy z kościoła uczęszczali na tajne komplety, przygotowując się do matury. Historia Polski, matematyka, literatura, religia; wszystko, co zabronione. Niemcy nie chcieli ludzi światłych na wschód od granic Rzeszy. Nauczyciele gimnazjalni udzielali lekcji za darmo, a po skończonych zajęciach zasypiali na kanapie w salonie, bo aż do brzasku nie mogli pokazać się na ulicy. Partnerzy do gry w oko niejednokrotnie namawiali mnie, abym się do nich przyłączył. „Nauka krzepi“ - mówili, parafrazując przedwojenną reklamę cukru, a ja za każdym razem stosowałem inny unik. Koń, który zrzucił siodło, nie wraca do stajni. Nie potrafiłbym już podporządkować się dyscyplinie, nie umiałbym funkcjonować w ściśle określonych ramach narzucanego porządku. Nie byłem skłonny ugiąć karku przed czymkolwiek autorytetem. A może były to tylko wykręty; może po prostu nie chciałem się uczyć. Byłem inny. Nie szedłem śladami przeciętnych mieszkańców Krakowa, udających sami przed sobą, że życie musi trwać. Z okien wystawowych krzyczały namiastki kawy, namiastki herbaty i namiastki słodczy, a ludzie wciąż udawali, że kupują towar przedniej jakości. Na zwojach syntetycznej bawełny pisano „najnowsza moda“. Na pudełkach sacharyny widziałem nalepki „słodsza od cukru“. W masarniach ekspedientki wyjaśniali uprzejmie, że „na razie nie ma mięsa“. To „na razie“ trwało od początku wojny i nic nie wskazywało na cud, który mógłby zmienić istniejący stan rzeczy. W kawiarni pod Sukiennicami podawały panie z dobrych domów, a panowie, z tychże domów, nonszalancko zamawiali „pół czarnej“, by nad filiżanką ciemnej lury prorokować Hiüerowi szybki koniec. Jakby nie chcieli wiedzieć, że od Atlantyku po Kaukaz łopoczą na wietrze nazistowskie flagi ze swastyką.

W tej to kawiarni w Sukiennicach podsłuchałem rozmowę, z której wynikało, iż w najbliższych dniach ostatni transport starców wywieziony zostanie z getta na Wschód. Dziadek i babcia znajdowali się za murami od Sądneho Dnia roku czterdziestego pierwszego. Nie mieliśmy z nimi osobistego kontaktu, ich twarze rozmyły się w natłoku codziennych wrażeń, niemal zapominałem o ich istnieniu. Przypadkowo zasłyszana plotka przywróciła ich mej świadomości. W nocy śniła mi się szczupła postać babki Adeli rozczesującej gęstą białą czuprynę dziadka Henryka. Dziadek siedział na krześle, ona stała za oparciem i biadała, że mu wypadają włosy, że wkrótce będzie łysy. Następnej nocy odwiedził mnie tylko dziadek. Ubrany w brązowy kraciasty szlafrok i ciemny kapelusz z wąskim rondem wcale nie był śmieszny, a wzrok miał tak przenikliwy, że niemal przewiercał duszę na wylot. Potem znów przyszli we dwoje, babcia szeptała coś o pożegnaniu, ale światło przebudzenia rozwiąło szczegóły. Teraz byli ze mną także na jawie. Czułem ogromną potrzebę ich obecności. Nie takiej we śnie, lecz fizycznej. Tak chyba narodził się pomysł wyprowadzenia ich z getta. Narodził się o piątej po południu, gdy szedłem wolno wzdłuż muru dzielnicy żydowskiej. Z chodnika po przeciwległej stronie ulicy mogłem swobodnie patrzeć na jedną z bram. Często udawało mi się zerknąć do wewnątrz. Lubilem ten punkt obserwacyjny, bo tutaj, po zewnętrznej stronie strzeżonego wyjścia, bardziej niż w jakimkolwiek innym miejscu, czułem się wolny. Może nawet lepszy. Lepszy od moich ziomków czekających bezsilnie na swoje przeznaczenie.

Ustawy norymberskie dogrzebywały się naszego rodowodu aż do trzeciego pokolenia. Także ci, którzy się wychrzčili, a nawet tacy, których rodzice lub rodzice ich rodziców przeszli na wiarę

katolicką, traktowani byli jako Żydzi i zmuszani do zamieszkania w getcie. Dopiero gdy umierali, wolno było wyprowadzić ich zwłoki poza mury i pochować na katolickim cmentarzu. Nigdy nie pojąłem logiki nazistowskiej polityki, natomiast szybko zrozumiałem, że przepisy nadające szczególne uprawnienia umarłym zapewnią moim dziadkom wolne życie.

Wielokrotnie opierałem rower o słup latarni, koszyk z rybami stawiałem między nogami i przypatrywałem się księdzu, zakonnicy i ministrantowi bez kontroli przechodzącym przez bramy getta. Wiedziałem, że idą spełnić ostatnią posługę przy łożu śmierci wychrzczonego Żyda. Mundurowi odnosili się do nich z szacunkiem, nigdy nie żądali dowodów tożsamości i nigdy ich nie rewidowali. Grabarze musieli czekać na zapadnięcie zmroku, bo zmarłych chowano pod osłoną nocy.

Ojciec nie był zachwycony, matka sprzeciwiała się kategorycznie. „To jest absolutne szaleństwo“, odrzuciła moją propozycję. „Dlatego ma szanse powodzenia.“

„Nie będziesz ryzykował życia na próżno.“

„Mamo, co ty mówisz... Uratowanie babci i dziadka, to się nazywa u ciebie na próżno?“

„Nie bądź przemądrzały. Powiedziałam nie, i koniec.“

„Mów ciszej. Stara słyszy“, wtrącił ojciec. „Niech słyszy!“

Matka mówiła tak cicho, że nawet ja z trudem ją słyszałem. Od pierwszej chwili wiedziałem, że rodzice zmienią zdanie. Zresztą, czy szeptem można wybić komuś szaleństwo z głowy?

„Mamo, przemyślałem wszystko bardzo dokładnie. Wierz mi, ryzyko jest małe, a szansa powodzenia ogromna. Bez twojej pomocy to będzie znacznie trudniejsze i bardziej ryzykowne, ale nie zrezygnuję.“

„Przestań mnie szantażować.“

„Przynajmniej wysłuchaj, jak to zaplanowałem.“

„Nie.“

„Dlaczego nie mielibyśmy wysłuchać?“ Ojciec próbował załagodzić spór. „Jeśli to zbyt niebezpieczne, zawsze będzie czas na zakaz.“

„Niech będzie tak jak chcecie“, zgodziłem się. „Jestem pewien, że was przekonam. Wiele godzin stałem naprzeciw bram getta, na pamięć znam każdy szczegół. Wiem kto, kiedy i jak kontroluje przepustki. Poza tym znam każdą dziurę w murach. Przemycę się przez nie żywność. Robią to dzieci, jak Boga kocham, głupsze ode mnie. Wieczorem przekradnę się z nimi, zaniosę dziadkom sutannę, suknię szarytek i komżę ministranta. Nazajutrz wyjdziemy przez bramę, niby w drodze powrotnej od konającego. Nigdy się nie zdarzyło, żeby policja zatrzymała księdza.“

„Udajesz dorosłego, a jesteś naiwny jak dziecko“, odparła matka. „Myślisz, że policjanci na bramie to idioci? Jak mogą ksiądz, zakonnica i ministrant wyjść z getta, skoro w ogóle tam nie weszli?“

„Udaję dziecko, ale planuję jak dorosły“, sparafrazowałem. „Wiem, kiedy zmienia się warta. Trzeba ruszyć tak, aby dojść do bramy kilka minut po objęciu służby przez nową zmianę. Policjanci pomyślą, że weszliśmy godzinę wcześniej, za poprzedniej zmiany. Co ty na to, mamo?“

„Ja na to, że jest sęk, a w sęku dziura. Dokąd pójdą? Przyprowadzisz ich tutaj? Może powiemy starej, że rodzice ojca przyjechali z Poznania?“

„Nie. Ojciec napisze do ciotki Maldy w Słomnikach. Tamtejsze getto uważane jest za pewne. Ciocia Malda na pewno się ucieszy.“

„Jak wyślę taki list?“, zdumiał się ojciec. „Zwyczajnie. Poczta.“

„To nie takie proste.“

„To bardzo proste. Potrzebny jest tylko papier, koperta i znaczek.“

„Skąd weźmiesz komżę i wszystko co potrzebne do tej maskarady?“, nie ustępowała matka.

„Komżę ministranta i sutannę księdza ukradnę z zakrystii. Szafę otwiera się tam kwalkiem drutu. Materiał na suknię zakonnicy kupię na czarnym rynku, a ty uszyjesz ją na miarę babci. Białe sztywne kołnierzyki ojca przydadzą się do uszycia kornetu. Przecież wiesz, jak to wygląda.“

Matka pokiwała głową i zwróciła się do ojca: „Sama nie wiem, dlaczego przykładam do tego rękę.“

Uszycie sukni bez maszyny do szycia nie było rzeczą łatwą. Matka się napracowała. Mnie poszło łatwo. Jedynie szafy, w których przechowywano srebrne lichtarze, naczynia mszalne i kielichy, zamykano na kłódki. Pozostałe były niemal otwarte. Któż połaszczy się na szaty kapłana? Wystarczy!

zwykły wytrych. Po trzech minutach wszystko spoczywało w plecaku. Nie zapomniałem o latami i dzwonku. Jeszcze przed godziną policyjną cały niezbędny ekwipunek znalazł się w domu. Matka skrętnie ukryła go pod łóżkiem.

Jak już wspominałem, na pamięć znałem liczne otwory, przez które dzieci przemycały do getta żywność, papierosy, a nawet delikatesy. Dostawcami byli na ogół polscy spekulanci, odbiorcami zamożni żydowscy handlarze. Mimo iż nigdy nie zastanawiałem się głębiej nad tym, co działo się za murami, wiedziałem, że większość mieszkańców getta głoduje i że warunki życia są tam potworne. Wszystko to jednak było niczym wobec tego, co ujrzałem, gdy po raz pierwszy znalazłem się wewnątrz.

Z łatwością odszukałem dom, w którym mieszkała babcia. Rodzice mieli dokładny adres jeszcze z czasu, gdy wolno było korespondować z ludźmi za murem. Babcia pisywała do Zofii Siwek - dozorkownicy w kamienicy przy Szlak 20, matka odbierała stamtąd listy. Odpowiedź szła tą samą drogą. Dziadkowie mieszkali na drugim piętrze zapuszczonej czynszówki. Bramę dawno wyrwano z zawiasów, zapewne na opał; klatkę schodową wypełniał odór moczu i gotowanej kapusty. Z podwórka-studni wyszła mi naprzeciw kobieta w łachmanach, zmierzyła mnie ze zdumieniem od stóp do głów i zapytała w jidysz:

„Skąd jesteś? Stamtąd?”

Nie znałem jidysz, ale zrozumiałem. Potwierdziłem skinieniem głowy. Zaprzeczanie nie miało sensu. Żadne dziecko żydowskie nie wyglądało tak jak ja.

„To niebezpieczne“, powiedziała po polsku i wskazała na rękaw marynarki. „Nie nosisz opaski“.

Psiakrew, jak mogłem zapomnieć! Wszystko zaplanowałem do ostatniego szczegółu, a o najważniejszym zapomniałem: Żydom nie wolno było się poruszać bez opaski z gwiazdą Dawida na rękawie.

Kobieta pokiwała głową nad moją lekkomyślnością. „Czyń, co masz czynić i niech ci Bóg pomoże“, powiedziała, znów w jidysz. „Kogo szukasz?”

„Nikogo“, mruknąłem niechętnie. Na szczęście nie nalegała. Wzruszyła ramionami, jakby chciała podkreślić, że nie bierze odpowiedzialności za moje szaleństwa, i poszła. Odczekałem chwilę, potem wszedłem po schodach. Do drzwi mieszkania przypięta była kartka z długą listą lokatorów. Babcia i dziadek zajmowali kąt w trzyizbowym mieszkaniu, dzieląc się pokojem z obcą rodziną. Meble, które przysłał im Białecki, stały pod ścianą, rozmontowane. Nie było na nie miejsca. Babcia siedziała na desce do prasowania, plecami zwrócona ku drzwiom. Dziadek spostrzegł mnie pierwszy, postąpił krok naprzód i złapał za kołnierz. Miał długie kościste palce, prawie przezroczyste. Z trudem wydobywał słowa:

„Na miłość boską, skąd się tu wzięłeś?”

„Muszę z wami porozmawiać. Ale nie tutaj...” znacząco wskazałem na pozostałych lokatorów. „Coś się stało? Wilek?”

„Nie, nie. Ojciec jest zdrowy. Mama także.“

„No to po coś tu przyszedł?”, „Jest jakieś inne miejsce?”

„Na dworze“.

Wyszliśmy na klatkę schodową, zeszlismy kilka stopni i stanęliśmy przy ubikacji, wspólnej dla mieszkańców dwóch pięter.

„Niemcy przygotowują akcję. Zabiorą wszystkich niezdolnych do pracy“, powiedziałem. Mówiłem niemal obojętnie, obawiając się, że jakakolwiek dramatyzacja sytuacji wytrąci dziadka z równowagi. Ale on, który dawno przekroczył siedemdziesiątkę, zachował pełen spokój ducha.

„To nic nowego“.

„Trzeba stąd wyjść, nim będzie za późno“.

„Masz jeszcze jakieś dobre rady?”, zapytał ironicznie. „Dawanie rad to najstarszy żydowski zawód“.

„Dziadku, najpierw wysłuchaj, potem możesz się śmiać“, rzekłem lekko obrażony.

„Stałeś się trochę bezczelny“.

„Bez bezczelności nie można istnieć“.

„Można. Znacznie trudniej bez chleba“.

„Będziecie mieli tyle chleba, ile dusza zapagnie“.

„Otworzyłeś piekarnię?”

„Nie. Ale chcę wam otworzyć bramę getta“.

Dziadek spoważniał. Dopiero teraz dotarło do niego, po co przyszedłem. „Gadaj“, powiedział krótko. Wyłożyłem swój plan. Wysłuchał mnie uważnie, nie przerywając ani słowem. Gdy skończyłem, zastanowił się chwilę, po czym odparł:

„Jeśli babcia się zgodzi, zrobimy to“.

Babcia zgodziła się.

Babcia zawsze była niską, szczupłą osobką, ale kto chciałby sądzić ją według wyglądu, popełniłby kardynalny błąd. Pełna energii i despotyczna, silną ręką dzierżyła władzę w swoim domu. Zawsze twardo stała na ziemi. Gdy dziadek pisywał długie petycje do burmistrza miasta Krakowa, ona siedziała z nosem w księgach rachunkowych. Po pierwszej wojnie światowej, gdy nieudolnie prowadzony folwark z trudem opędzał się od wierzyteli, dziadek bez słowa protestu oddał jej prowadzenie spraw majątkowych. Za resztkę uratowanej gotówki babcia nabyła kamienicę, która miała im zapewnić spokojną starość. Miała zaciśniętą dłoń, a słowo „jorzrutność“ dźwięczało w jej ustach jak najstraszliwsze przekleństwo. Mimo to, gdy przyjeżdżałem z wizytą, nakazywała mi palcem pójść za sobą do jadalni, gdzie ukryty między słoikami z konfiturą i weckami z kompotem stał słoik wypełniony drobnymi monetami. Będąc krótkowidzem, z uporem sprzeciwiającym się zakładaniu okularów, przysuwiała słoik do oczu i mrużąc je, wyławiała pięćdziesięciogroszową monetę. Skrupulatnie badała orła i reszkę, aby się, broń Boże, nie pomylić, po czym wtykała mi ją w dłoń, mówiąc: „Idź już, idź; kup sobie lody“. W podziękowaniu całowałem ją w policzek. Była tak krucha, że nawet jako dziecko obawiałem się objąć ją mocno. Teraz, w getcie, wydawała się jeszcze drobniejsza, ale nie utraciła nic ze swej energii i utrzymała pełnię zdrowych zmysłów.

„Co to, purim?⁶“, spytała drwiąco, gdy rozłożyłem na schodach suknię zakonnicy, zachwalając materiał i szycie jak dobrze wykwalifikowany ekspedient w sklepie.

„Oszałałeś“, zdenerwował się dziadek. „Tutaj? Przecież mogą nas zobaczyć“.

Babcia, która przed chwilą wyszła w ślad za nami na klatkę schodową, zaproponowała, abyśmy weszli do ubikacji. Z trudem wcisnęliśmy się do małego pomieszczenia. Zaryglowałem drzwi. Nim uporałem się z komżą ministranta, dziadek był już przebrany.

„Do twarzy ci“, zażartowałem.

Babcia oburzyła się. „Na żarty ci się zebrało... A w ogóle, to ja się tutaj nie mogę przebierać“.

„Oczywiście, że możesz. I rób to szybko, nim przyleci ktoś z biegunką“.

„Temu też wesoło dzisiaj“, mruknęła, wskazując na dziadka. Bez wahania wdrapała się na muszlę klozetową, odwróciła twarzą do ściany i ściągnęła przez głowę sweter. Nim włożyła suknię szarytki, zdążyłem zauważyć jej łopatki, wystające i chude jak nieopierzone skrzydła wygłodzonego ptaka.

„Podaj mi rękę“, powiedziała, schodząc z muszli. Potem wygładziła suknię i powiedziała sucho: „Jestem gotowa. Zawsze obawiałam się, że skończę w klasztorze“.

Odryglowałem drzwi. Zardzewiała zasuwka zgrzytnęła ostrzegawczo. Nadśluchiwałem. Cisza. Nikt nie słyszał. Pchnąłem drzwi. Wyjrzałem na korytarz. Ruchem ręki dałem do zrozumienia, że droga jest czysta. Zeszliśmy na parter. Wewnątrz było mroczno, ale ulica zalana była słońcem. Poszperałem w kieszeniach. Zapalki! Gdzie są zapalki? Są. Zapaliłem świeczkę w latarni. Potrząsnąłem dzwonkiem, aby usłyszeć jego delikatny dźwięk. Wręczyłem dziadkowi naczynie z kadzidłem. Wyszliśmy na światło dzienne.

„Ja pierwszy, dziadek za mną“, zarządziłem. Ruszyliśmy w stronę wyjścia. Babcia zamykała naszą małą kawalkadę, stąpając drobnymi, pewnymi krokami, jakby całe życie spędziła w zakonie. Przypadkowy przechodzień obrzucił nas pogardliwym spojrzeniem. Inny splunął z obrzydzeniem. Wychrzczeni nie cieszyli się tu sympatią. Tylko rachityczny pięciolatek wyciągnął rękę bez uprzedzeń, cienkim głosem prosząc o jałmużnę. Minęliśmy go obojętnie. Za plecami znów usłyszałem jego cienki głosik. Tym razem przeklinał.

Bramy wyjściowej na Limanowskiego, tuż przy Węgierskiej, pilnowali wspólnie dwaj policjanci „granatowi“, dwaj policjanci żydowskiej służby porządkowej i podoficer SS. Patrzyłem prosto przed siebie. Chciałem uniknąć spotkania spojrzeń. Obawiałem się, że ktoś z nich może wyczytać z moich oczu wahanie. Dotychczas świetnie grałem rolę bohatera, ale w momencie, w którym dostaliśmy się w pole widzenia policjantów, ogarnęło mnie nagle przerażenie: co będzie, jeśli odkryją podstęp,

⁶ Purim - żydowskie święto karnawałowe.

rozszyfrują maskaradę i mój wspañaly plan zakończy się fiaskiem? Wszyscy przyplacimy życiem moje awanturyczne rozumowania. Czy matka nie mówiła, że to czyste szaleństwo?

Fiasko. Tak, to było właściwe określenie. Nie strach przed śmiercią, ale obawa przed niepowodzeniem szarpała mi nerwy. Poniosła mnie głupia, niestosowna ambicja. Nie mogłem znieść myśli, że matka wycedzi przez zęby: „widzisz, Wilek, powiedziałam, że to nie może się udać“. Zawsze zwracała się do ojca „Wilek“, zdrobnienie od Wilhelm... Sekundy przeciągały się w nieskończoność. Wyświechtane powiedzenie nabrało nagle treści. Policjant „granatowy“ obojętnie gawędził ze swoim kolegą. Czy obudzi się w nim podejrzenie? Czy zatrzyma nas? Zażąda dokumentów? Nerwowo mierzyłem zmniejszającą się odległość do bramy. Spojrzenie przebiegało z szybkością prądu. Tam i z powrotem. Tam i z powrotem. Wyobraźnia tworzyła przerażające wizje:

Strażnicy każą nam się zatrzymać. Nie ma rady, musimy uciekać. Strażnicy repetują pistolety maszynowe. Strzały odbijają się echem między domami. Psy szczekają (nie było w okolicy nawet kulawego psa). Biegniemy. Babcia upada, nie wiem, czy trafiona, czy może potknęła się. Przechodnie zbierają się tłumnie, obserwują nas, mają skamieniałe twarze. Krzyczą. Nie rozumiem ani słowa. Nie znam ich mowy. Jestem im obcy. Oni nienawidzą obcych. Cieszą się. Jeszcze nie wiem, dlaczego. Po sekundzie dowiaduję się. Strażnicy zamykają bramę. Jesteśmy w pułapce.

Koszmar pryska. Granatowy policjant zdejmuje czapkę, jego towarzysz saltuje, żydowski udaje, że nas nie widzi. Niemiec sięga po aparat fotograficzny, namierza na nas soczewkę, może się mylę, ale wydaje mi się, że słyszę stuknięcie przesłony. Przechodzimy przez bramę starannie odmierzonymi, dostojnymi krokami. Dziadek pozdrawia strażników głośnym „niech będzie pochwalony“ (jak mu to wpadło do głowy?), chwilę potem znajdujemy się poza gettem. Niby już świat względnie wolny, ale nie... Jeszcze nie. Jeszcze czuję ukłucia ich spojrzeń na plecach. Jeszcze wiążą mnie te spojrzenia z gettem, jak długa smycz. Mam na to ogromną ochotę, ale wiem, że nie wolno mi się odwrócić. Czy tak to odczuwał Lot, gdy uciekał z Sodomy?

Pieszo doszliśmy aż do Starowiślnej. Tam, przy plantach Dietlow-skich, przystanęliśmy, aby zaczerpnąć tchu.

„Dalej pojedziemy tramwajem“, powiedziałem. Trasę miałem szczegółowo opracowaną.

„Tramwajem?“, zdumiała się babcia. „Od dwóch lat nie jeździłam tramwajami“.

„Zakonnice zawsze jeżdżą tramwajem“.

„Skąd jesteś taki mądry?“, wtrącił dziadek.

„Odrobiłem lekcje“.

„Dobre dziecko“.

„To już nie dziecko. To duży łobuz“, zauważyła babcia. Chciałem zapytać z przekąsem, czy wyrosłem już z wieku, w którym dostaje się na lody, ale zdusiłem w sobie aroganckie pytanie.

Wczesnym popołudniem dotarliśmy do przystanku autobusów podmiejskich. Kolejka do kasy zdawała się nie mieć końca. „Proszę przepuścić księdza“, odezwałem się głośno. Nikt nie zaprotestował. Kupiłem dwa bilety do Słomnik. Nikt nie potrafił mi powiedzieć, o której godzinie odchodzi autobus. „Jak przyjedzie, to i pojedzie“, wyjaśniła stoicko kasjerka.

„Kiedy?“, chciała wiedzieć babcia.

„Jak przyjedzie, to i pojedzie“, powtórzyłem. Babcia wyglądała na obrażoną. „Poczekam tu z wami“, dodałem szybko, aby ją udobruchać. „Ciocia Malda czeka na was na przystanku w Słomnikach. A w najbliższą niedzielę wpadnę z wizytą“.

Autobus do Słomnik jeździł tylko dwa razy dziennie, na ogół bez ustalonego rozkładu jazdy. Gdy wreszcie „przyjechał, aby odjechać“, ucałowałem dziadka w rękę, jak przystało na ministranta żegnającego księdza. Babcia pogłaska mnie po policzku. Szybko wepchnąłem jej w dłoń plik banknotów.

„Co to?“, zdumiała się.

„Drobne na lody“, odparłem pyszałkowato.

Rok później wysiedlono mieszkańców getta słomnickiego do obozów zagłady. Akcja była zaplanowana skrupulatnie, jak to zwykle u hitlerowców. Rada Żydowska musiała im dostarczyć dokładną listę wszystkich członków gminy. Precyzyjna biurokracja była warunkiem precyzyjnej działalności specjalnych oddziałów SS. Mieszkańcom getta kazano stawić się na stacji kolejowej. Sprawdzano nazwiska, czy aby nie brak jakiejś ofiary. Nieszczęśnicy nie mieli pojęcia, co ich czeka. Jak zwykle, Niemcy uspokajali ich zapewnieniem, że jadą na roboty. Ludzie chcieli wierzyć. Ale nie wszyscy. Nie mój dziadek. Czy posiadał jakąś nadprzyrodzoną zdolność przewidywania wydarzeń?

Nie wiem. Wiem tylko, że postanowił zostać w mieszkaniu. Niestety, listy nazwisk szybko ujawniały nieobecnych. SS-mani i ich pomocnicy przeszukiwali dom po domu. Nikt nie potrafił powiedzieć, co dokładnie się wydarzyło, gdy dziadek usłyszał wchodzących po schodach oprawców. Po wojnie, gdy próbowałem zrekonstruować bieg wypadków, dowiedziałem się od sąsiadów, że dziadek wyszedł naprzeciw SS-manom, brocząc krwią. Za nim, jak postaci wyjęte z greckiego dramatu, broczące krwią, szli babcia, ciotka Matylda, jej mąż Jakub i ich osiemnastoletnia córka Krystyna. W chwili krańcowej rozpacz - a może była to chwila najwłaściwszej decyzji? - podcięli sobie żyły. Podcięli je brzytwą, opowiadali naoczni świadkowie w podnieceniu, a krew tryskała na ściany. Gdy zjawiłem się tam, wczesnym latem roku czterdziestego siódmego, klatka schodowa była już wybielona, a ślady krwi na kamiennych schodach starte podeszwami.

10

Wilgoć obrastająca ściany naszej sutereny była znakiem nadchodzącej jesieni. Zimno było dokuczliwe, ojciec, cierpiący na reumatyzm, odczuwał je najbardziej. W głębi pokoju stał wprawdzie piec, lecz nigdzie nie można było kupić węgla. Domokrążca przynosił czasami drutem związany krążek smolnych szczap, sprzedawał je na wagę złota, ale drewno z trudem wystarczało na ugotowanie zupy. Po deszczach oczekiwane były śnieg i mróz, prognoza stawała się coraz gorsza. Poprzedniej zimy słupek rtęci spadł poniżej dwudziestu stopni. Tej zimy jednak los się do nas uśmiechnął. Starucha przywlokła do domu, diabeł wie skąd, prawdziwą choinkę i zaczęła ją stroić na święta, a anioł zbawiciel podrzucił nam pod nią wspaniałą podarek. Było już ciemno, zimą mrok zapada szybko, gdy ktoś zadzwonił do drzwi. Gospodyni nie słyszała, albo udawała, że nie słyszy. Od kiedy zamieszkaliśmy z nią, nikt nigdy jej nie odwiedził. My również nie oczekiwaliśmy gości; zaś goście nieproszeni zwiastowali jedynie kłopoty. Ojciec złożył gazetę, którą czytał po raz piąty chyba, wymienił krótkie spojrzenie z matką i skinął na mnie, bym otworzył. „Nie ma powodu do obaw“, skonstatował. „*Oni* nie dzwonią tak delikatnie“.

Mężczyzna w progu nosił się jak chłop. Miał na sobie długi płaszcz, z głowy zsunął mokrą baranicę i zmarszczył czoło, nie oswojony jeszcze z półmrokiem. Miał około pięćdziesięciu lat i wyglądał na zmęczonego. Nie było to przemijające zmęczenie po ciężkim dniu, lecz stałe i nieusuwalne, spowodowane ciężkim życiem. Wziąłem go za żebraka i już chciałem powiedzieć, żeby się wyniósł, bo sami nie mamy miski gorącej zupy, ale przybysz przestąpił próg i zapytał cicho: „To pan jest doktor Wilhelm Frister?“

Cisza. Przerazenie. Napięcie. W naszych wspaniale sfalszowanych dowodach osobistych figurowało zupełnie inne nazwisko. Skąd znał prawdziwe?

„To jakaś pomyłka. Pan się pomylił w adresie“, rzucił szybko ojciec.

„Chybam się nie pomylił“, trwał przy swoim nieproszony gość. Potem, jakby nagle zdał sobie sprawę z naszego napięcia, dodał: „Nie ma się co strachać. Nazywam się Kruczek“.

„Nie przypominam sobie, abym miał kiedyś przyjemność...“

„Wolno mi wejść? Nie trza, żeby ta...“, wskazał na naszą gospodynię, „nie trza, żeby wiedziała, w czym sprawa“.

„Jaka sprawa?“, spytał ojciec nieprzyjaźnie. Matka podsunęła przybyszowi krzesło. Kruczek opadł na nie z widoczną ulgą.

„Przepraszam, alem się zmęczył. Przyjechałem na rowerze, a już chyba nie mam tych lat“, usprawiedliwił się i powtórzył:

„Kruczek jestem“.

„Słyszałem. Ale ja nie nazywam się Wilhelm Frister“.

„Ja też słyszałem. Nie przyszedłem ze szkoda. Przyszedłem pomóc“.

„Dziękuję, ale niepotrzebna nam żadna pomoc“.

„Mam gospodarstwo w Garlicy Duchownej. Pan wie, to niedaleko, za Zielonkami. Mniej niż godzina furmanką. Mała wieś, jak to się rzecze, wieś, gdzie Pan Bóg mówi dobranoc. Bez Niemców. Przed wojną pracowałem w magazynie zbożowym Szapirów. Słyszał pan?“

„Nigdy“.

„Pański adres dostałem od Zofii Siwek. Zna pan?“

„Znam. Dlaczego nie powiedział pan od razu?”

Kruczek rozejrzał się wokół.

„Ta kobieta i to miejsce... Nie myślę, że to dobre schowanie. Na pewno nie na zimę. Mróz ściśnie, a w mieście to i spokoju człowiek nie zazna. Czemu byście nie zamieszkali u mnie? Zwykła chata, ale rada. Bez luksusu, ale i tutaj to nie pałac”.

„Co prawda, to prawda”, przytaknął ojciec.

„Dwadzieścia pięć lat pracowałem u pana Szapiry. Prawie od dziecka. Mam kawałek ziemi, nie najprzedniejszy, wszystkiego razem trzy morgi, wyżyć z tego nie można. Pięć gąb mam w domu. Bez pracy w magazynie to bym chyba nie dał rady. Dwadzieścia pięć lat. Kawał drogi-śmy zrobili razem, pan Szapiro i ja. Zacząłem od prostego robotnika, worki na plecach. Przed samą wojną byłem za kierownika. Sto złotych miesięcznie. Pan wie, ile to było? Majątek. A to jeszcze nie wszystko. Pan wie jak to na roli. Żyjemy od powodzi do suszy i od suszy do powodzi. Jak nas mocno przycisnęło, mówił mi «weźcie sobie worek pszenicy». Dobry człowiek był”.

„Umarł?”

„Och, nie. Żyje z rodziną na Węgrach. Jak się to wszystko zaczęło, te opaski i łąty z żydowską gwiazdą, i jak wszyscy mówili, że ciężkie czasy przychodzą na Żydów, to mu powiedziałem, żeby wziął żonę i dzieci i przyjechał do Garlicy przeczekać. Przecież to wariactwo musi się skończyć, prawda? Bo jak długo można? Ale on nie chciał. Nie chciał, bo nie potrzebował. Człowiek był jak dąb, żadna piła go nie ruszy. Jak pogonili Żydów do getta, wyjechał ze swoimi do Budapesztu. Wszystko sobie pozalał, i wizy, i paszporty, i bilety. Pomagałem im z walizkami na peron. Pięć minut przed odjazdem pociągu pociągnął mnie na bok, tak mnie tu trzymał za kłapy, i powiedział: «Stuchajcie, Kruczek, my jesteśmy już uratowani. Na Węgrach spokój. Ale jak spotkacie kiedyś Żyda, co mu grozi niebezpieczeństwo, traktujcie go jakby był Szapiro». Tak powiedział, jak Boga kocham. Teraz pan jesteś dla mnie Szapiro, a u nas w domu jest miejsce dla pana, dla pani i dla panicza”.

Dopiero gdy skończył, zaproponowała mu matka szklankę herbaty.

„Mamy prawdziwą. Jest także cukier”. Banalne słowa wyrażały zaufanie.

„Coś gorącego dobrze by mi zrobiło”, przyznał. Matka wstała, podeszła do pieca zaparzyć herbatę. Starucha pospieszyła nalać wody do czajnika. Czyżby słyszała? Kruczek zrzucił płaszcz, przrzucił go przez oparcie krzesła i wyprostował nogi.

„Stare kości. Trzeszczą”, uśmiechnął się.

„Niech pan odpocznie”, powiedział ojciec. „Mamy czas, możemy pogadać. Do godziny policyjnej daleko”.

Wyjąłem filiżanki z szafy, która służyła także jako kredens, rozstawiłem je na stole i zapytałem z nie ukrywaną troską:

„Co z moją pracą? Co powiem Białeckiemu?”

Chata Kruczków w Garlicy Duchownej miała słomianą strzechę. Dotychczas widziałem takie chaty tylko na rysunkach. Ściany pociągnięte były modrą farbą, jak kolor nieba na obrazkach w książkach dla dzieci. Wieśniacy w Garlicy wierzyli, że modre odpędza złe duchy, podobnie jak przybita do drzwi podkowa przynosi szczęście, a czterolistna koniczyna zapewnia dziewczynie małżeństwo. Od życia nie żądali zbyt wiele; urodzaju, zdrowia dla rodziny i kłęski żywiłowej dla konkurentów, bo wiejska sielanka była tylko złudzeniem i zasłoną dymną, za którą ukrywały się zawiść, upór i spory sąsiedzkie. Głód ziemi był prawdziwym motorem waśni.

Kruczek mieszkał w chacie odziedziczonej po ojcu, ojciec odziedziczył ją po dziadku, dziadek po pradziadku, i chyba niewiele się w niej zmieniło w ciągu ostatnich stu lat. Wodę brano ze studni w podwórzu, izby oświetlano karbidem, wygodka stała w ogrodzie, prawdziwa wapnem bielona sławojka. We wszystkich chatach Garlicy ludzie i zwierzęta mieszkali pod jednym dachem. U Kruczków obora i chlew miały osobne wejście, ale sąsiadowały z kuchnią przez glinianą ścianę. Do kuchni wchodziło się na lewo z wąskiego korytarza. Na prawo były dwie izby mieszkalne, pierwsza do siedzenia (w nocy rozkładano tu sienniki dla trojga dzieci), druga do spania.

Kruczkowie mieli dwie dojne krowy i kilka prosiaków. Obora i chlew były domeną gospodyni, bo Kruczek wciąż jeszcze dojeżdżał do pracy w Krakowie. Nawóz wywoziła taczkami do sadu. Wodę przynosiła najstarsza córka. Tak było we wszystkich gospodarstwach. Od wieloletniego kręcenia korbą dziewczyny wyrobiły sobie mięśnie prawego przedramienia. Czasami, gdy były w dobrym

humorze, pokazywały mi swoje muskuły z dumą chłopaka przed bójką. Pamiętam je, wiejskie serdeczne dziewczuchy, a szczególnie Bronkę, która wprowadzała mnie w tajniki świata, w którym zmysły zastępują rozum. Ale najlepiej pamiętam smak wody studziennej wydobytej z głębi ziemi, kryształowo czystej, spływającej w gardło jak boski nektar.

Chata przytulona była jednym bokiem do zarośniętego chwastami wzgórza, drugim zwrócona w stronę wąskiego strumyka, który wił się między zagrodą a drogą. Była to jedyna droga dojazdowa do wsi, błotnista i wyboista, bo od lat nikt jej nie naprawiał. Po większym deszczu, gdy wyboje groziły połamaniem osi, chłopci zasypywali je kamieniami i żwirem. Te amatorskie naprawy nie wystarczały, by jesienią droga była dostępna dla pojazdów mechanicznych. W lecie każdy przejeżdżający samochód wznosił tumany kurzu, ale chłopci nie narzekali, bo tylko Niemcy mieli samochody, tak że z dala widoczny słup kurzu ostrzegał ich przed niemiłą wizytą. „Najgorzej jest zimą, jak spadną śniegi, bo Niemcy lubią sanie“, wyjaśniał Kruczek. „Cholery zasuwiają bez dzwonek, nic się nie usłyszysz, jeżdżą jak złe duchy“.

Rwący strumyk nawet w największe mrozy nie pokrywał się lodem. Kruczek co i raz przerzucał przezeń deskę, dzieci ze wsi co i raz brały ją na ognisko. Strumyk tak wąski, że bez trudu można było splunąć z brzegu na brzeg, wydawał się odgradzać mnie od świata. Po drugiej stronie, tam, gdzie szosa, leżała ziemia zakazana. Przekroczenie kładki oznaczało wejście na pole minowe. Pozornie nie miało to logicznego związku. Po obu stronach strumyka oddychało się tym samym powietrzem, po obu stronach rozpościerał się taki sam krajobraz. Pola i sady. A jednak tylko tam, przy szosie i za nią, były okupacja, getta, więzienia i obozy zagłady. „Mój“ brzeg strumienia stanowił enklawę spokoju w sercu burzy.

Kruczek przygotował nam świetną kryjówkę. Pod stertą słomy, rozrzuconą niedbale w kącie obory, znajdował się włącz do piwnicy. Nikt by nie przypuszczał, że chata jest całkowicie podpiwniczona. Pomieszczenie służyło do nielegalnego uboju świń. Ściany skutecznie tłumiły kwik zarzynanych prosiąt. Chłopci wykręcali się jak mogli od obowiązkowych dostaw, cichcem hodowali nie kolczykowane krowy i świny, aby mieć dla siebie i na sprzedaż⁷. Nim Kruczek przywiózł nas na wieś drabiniastym wozem wypełnionym sianem, wyczyściła Kroczkowa podziemne pomieszczenie, ustawiła w nim trzy łóżka, szafę i stół z krzesłami, a na ścianie powiesiła obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. „Ona będzie was chronić, mimo żeście Żydzi“, zapewniła. Podobnie jak mąż, była osobą bardzo wierzącą. Ojciec odpowiedział:

„To oczywiste; przecież jej syn także był Żydem“.

Świńska piwnica, tak nazywałem naszą kryjówkę, miała nam służyć jako schronienie jedynie na czas doraźnego niebezpieczeństwa, w dni, w które do wsi przyjeżdżali policjanci, komornicy lub inni przedstawiciele władz. „Sytuacje takie zdarzają się bardzo rzadko“, zapewniał Kruczek. Na co dzień oddano do naszej dyspozycji izbę „salonową“. Sienniki dwudziestoletniej córki i jej dwóch młodszych braci wnoszono na noc do sypialni ich rodziców. Doskwierały mi nie tyle fizyczne warunki bytowania, ile beczyność. Nie umiałem „zabijać czasu“. Po niezwykle aktywnym trybie życia w Krakowie nie wiedziałem, jak i czym można wypełnić puste wiejskie godziny. Matka stawiała pasjansy. Nie bez kozery wywodziła się nazwa gry od cierpliwości. Ojciec spędzał godziny, manewrując drutem nad kawałkiem kwarcu, usiłując wyłowić ze słoika udającego radio przytłumione bębnienie londyńskiej BBC. Zazwyczaj udawało mu się zlokalizować jedynie stacje nadające zwycięskie komunikaty Wehrmachtu. Nawet w jasne południe nie docierało tu słońce, bo gmbie lniane zasłony w oknach chroniły nas przed spojrzzeniami sąsiadów lub przypadkowych przechodniów. Mnie światło nie było potrzebne. Na ogół siedziałem przy stole i liczyłem muchy dogorywające na zwisającym z sufitu lepie. Nikt nie zwracał na mnie uwagi. Jedynie Kruczek odezwał się kiedyś:

„A może by sobie coś poczytał?“

„Chętnie, ale co? Nie ma tu nawet elementarza“.

„A co chciałby poczytać?“

Zwracał się do mnie w trzeciej osobie. W Krakowie mówił do mnie „paniczu“, ale teraz przypuszczalnie utraciłem w jego oczach swój status i chyba miał trudności z umieszczeniem mnie w odpowiedniej kategorii klasowej.

⁷ Władze hitlerowskie kolczykowały i spisywały bydło, aby zmusić hodowców do obowiązkowej dostawy mięsa.

„Najgrubszą książkę, jaką kiedykolwiek wydrukowano“, zażartowałem i szybko zapomniałem o naszej rozmowie. Kruczek pamiętał. Po tygodniu przywiózł z miasta dzieła zebrane Tołstoja, dwanaście tomów w prawdziwej skórze, a także oprawiony rocznik przedwojennych „Wiadomości Literackich“.

„To dla niego“, powiedział, kładąc ogromną paczkę na stole.

„Na miłość boską, to kosztowało chyba majątek!“, zawołałem.

„Ale skąd“, machnął ręką. „Kupiłem wszystko za bańkę mleka. Książki to dzisiaj nie towar“.

Czytać dało się tylko kilka godzin, bo dni były krótkie, po trzeciej zapadał mrok, a karbid do lampy droższy był od Tołstoja. „Szkoda, że nie mogę przespać zimy jak niedźwiedź“, powiedziałem półżartem. Ojciec podniósł wzrok znad słoika-radia, niezadowolony, że mu przeszkadzam. Od dawna nie zamieniliśmy słowa. Nie mając wyjścia, spędzałem czas w towarzystwie Gorgonowej⁸, Anny Kareniny i Wrońskiego. Porwał mnie epos „Wojny i pokoju“, ale nie rozgryzłem prawdziwego przesłania zawartego w „Spowiedzi“. Za młody byłem i zbyt praktyczny, aby pojąć tołstojowskie poszukiwania treści życia.

Wieczorami pozwalano mi wyjść na dwór, by zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. Opatulony w ciepły płaszcz, z czapką opadającą na uszy, chodziłem w krąg gospodarstwa. Kręgi powiększały się wraz ze zwiększającym się poczuciem pewności siebie. Tak poznałem Bronkę. Także ona wyszła z domu, zwabiona czarem wieczoru rozpościerającego się między nakrapianym gwiazdami niebem a śnieżystą bielą ziemi. Bronka mieszkała po sąsiedzku, jej rodzice z trudem wiązali koniec z końcem, ale bieda nie zdusiła w niej radości życia. Wręcz przeciwnie. Wydawać się mogło, że wzmogła jej chęć poznawania wszystkiego, co nowe. Z ciekawością słuchałem plotek z wiejskich zagrod. Bronka, ze swej strony, marzyła o wielkim mieście.

„Dlaczego wyjechaliście z Krakowa? Czego szukacie w tej zapomnianej przez Boga dziurze?“

Wymyśliłem historyjkę tak długą i tak skomplikowaną, że straciłem zdolność orientowania się w labiryncie własnych kłamstw. Bronka nie podejrzewała niczego. Była dziewczyną prostolinijną, nie znającą kręctw, wzięła moje bzdury za dobrą monetę. Co ważniejsze, знаła Gar-licę Duchowną jak własną kieszeń i już podczas drugiego spotkania zaprowadziła mnie do otwartej stodoły. Usiedliśmy na sianie. Nie czułem mrozu.

„Umiesz się całować?“

„Pewnie, że umiem“, odparłem. „Chcesz spróbować?“

„Pewnie“, odparłem i byłem zadowolony, że w ciemności nie widziała, jak się zaramieniłem. Objęliśmy się dosyć nieudolnie. Bronka przycisnęła swoje usta do moich, językiem próbowała podważyć moje zaciśnięte zęby. Nigdy jeszcze nie zaznałem smaku takiego pocałunku. Przymknąłem oczy. W pełnej napięcia ciszy słyszałem jej szybki oddech.

„Lubisz tak?“

Milczałem.

„O czym myślisz?“

„O niczym“. Czy miałem jej powiedzieć, że myślę o Gretchen?

„Wiem, o czym myślisz. Ja też myślę o tym. Ale dzisiaj nie można“.

Była starsza ode mnie nie tylko wiekiem - akurat skończyła szesnaście lat - ale także doświadczeniem. Bez krzty zażenowania powiedziała, że ma miesiączkę i niemal jednym tchem wyjaśniła, kiedy są jej „pewne“ dni. Kto wie, jak potoczyłyby się sprawy, gdyby nie interwencja rodziców. Chłopcy Kruczka, którzy węszyli dokoła jak młode ciekawskie psy, szybko wyniuchali naszą stodołę i naskarżyli na nas w domu. Czwartego wieczora, gdy wróciłem zadowolony, że wreszcie znalazłem sposób na przyjemne „zabijanie czasu“, posadził mnie ojciec naprzeciw siebie i spytał z zachmurzoną twarzą:

„To prawda, że spotykasz się z jakąś dziką dziewczuchą?“

„Ona nie jest dzika“, próbowałem bronić jej honoru.

„Straciłeś chyba rozum“, zgromił mnie. „Zapomniałeś, kim jesteś? Chcesz sprowadzić na nas nieszczęście? Tego tylko brakuje, żeby zobaczyła, że jesteś Żydem!“

„Tato, to jej nawet do głowy nie przyszło“.

„To nie zależy od głowy, głupcze. Czy zapomniałeś, że jesteś obrzezany?“

⁸ Małgorzata Gorgonowa - oskarżona o zamordowanie dziewczynki w domu, w którym służyła jako gospodyni, w Brzechowicach pod Lwowem. „Wiadomości Literackie“ poświęciły procesowi serię artykułów.

Do widzenia, Bronko, do widzenia, Anno Karenino. Nadszedł kres małej przerwy w wielkiej przygodzie. Nie przez Bronkę musieliśmy opuścić wieś, lecz przez konia. Przez brązowego konia z białą łatą na szyi, skradzionego ze stajni sąsiada.

Gdy tylko nastąpiła odwilż, rozpleniła się epidemia kradzieży. „Co roku to samo“, skarżył się Kruczek. „Zimą koniokrady trzymają się z daleka. Śladów na śniegu nie zatrzesz, a chłop, jak się zeźli, to pogoni za takim na koniec świata i widłami dobije albo siekierą zatłucze. Na wiosnę i w lecie przyjdą i pójdą jak złe duchy, nijak ich wytropić“.

Koniokrady uważani byli za najpodlejszy gatunek złodziei, bo ranili najczulsze miejsce wieśniaka. Bez konia nie ma orki, a bez zaoranej ziemi nie ma chleba. Zwierzęta pociągowe stanowiły największy skarb każdego gospodarstwa. Dla nas nocne włamanie do stajni oznaczało konieczność natychmiastowego pakowania manatek. Skradziony koń figurował w rejestrze sołtysa i musiał odrabiać kilkadziesiąt dniówek rocznie. Niemcy nie znali żartów w takich sprawach, więc sąsiad - chcąc nie chcąc - musiał pójść do Michałowic, zgłosić kradzież na posterunku. Jeżeli maczali w tym palce partyzanci, sprawę zawsze przejmowało Gestapo. W przypadkach zwykłej kradzieży, gdy nie podejrzewano aktu sabotażu, śledztwo prowadziła polska policja. „Granatowi“ łasi byli na poleć słoniny albo korzec kartofli, łatwo się było z nimi dogadać. Poszperali trochę po chałupach i wystawiali dokument, że „koń skradziony, a sprawcy nie ustaleni“. Tego szperania po chatach obawiał się ojciec. Kruczek uważał, że wystarczy, abyśmy zeszli na kilka godzin do kryjówki pod oborą. „To zbyt ryzykowne“, upierał się ojciec. „Ktoś łapnie językiem albo sami się spostrzegą i koniec. Nie wykupimy się za żadne pieniądze, policjanci doniosą Niemcom. A Niemcy wiadomo, co zrobią. Nie tylko nas zabiją, ale także was. Nie ma rady, musimy wracać do miasta“.

Do Krakowa przyjechaliśmy w południe, kilka godzin przeczekaliśmy pod sianem na drabiniastym wozie Kruczka, a pod wieczór mieliśmy już klucze do dwupokojowego mieszkania przy ulicy Długiej 76. Zofia Siwek wynajęła je „dla swoich krewnych z Poznania“. W użycie znów weszły sfalszowane dowody tożsamości; matka twierdziła, że są „lepsze od prawdziwych“. Według lewej *Kennkarty* nazywałem się Roman Wrześniowski. Prawdziwy Roman Wrześniowski, katolik z krwi i kości, zginął ponoć wraz z rodzicami w wypadku samochodowym, rok przed wybuchem wojny, a przekupny urzędnik usunął z ksiąg zapis o ich zgonie. Nawet gdyby próbował ktoś grzebać w naszej urzędowej przeszłości, nie doszukałby się śladu żydowskiego pochodzenia. Tak więc bez obaw stawiałem się nazajutrz w biurach firmy Kuniecki i Białecki. Hrabia wyjechał na kilka dni do posiadłości swego stryja Antoniego. Białecki wahał się:

„Nie chciałbym decydować bez współnika“.

„Ma pan kogoś lepszego na moim miejscu?“

„Nie mamy nikogo“.

„Więc w czym problem? A poza tym... Poza tym nie mamy z czego żyć“, skłamałem.

„No, to niech będzie. Kiedy chcesz zacząć?“

„Teraz“, odparłem, wskazując na rower oparty o ścianę korytarza.

Ojciec nigdy nie wspomniał, że Kruczek znalazł w Garlicy Duchownej schronienie także dla ciotki Sydonu. Ciocia Sydzia, jak ją nazywano w rodzinie, zakwaterowana została wraz z szesnastoletnią córką u przyjaciół Kruczka, w odległej chacie, przy drodze do Korzkiewa. Bezskutecznie usiłowałem zgadnąć, skąd czerpał dziadek inspirację, nadając sześciorgu dzieciom dosyć niecodzienne imiona. Mojego ojca nazwał Wilhelm. Żadne dziecko z dobrego żydowskiego domu tak się nie nazywało. Czyżby chciał uczcić cesarza, który pobił Francuzów i połączył Niemcy pod pruskim berłem? A brat ojca? Dlaczego Marian? Etymologia wskazywałaby na Marię, ale to chyba niemożliwe. Zaś imiona córek - Sydonia, Zofia, Hermina i Matylda - brzmiały w moich uszach jak imiona bohaterki powieści obyczajowej z ubiegłego stulecia.

Sydonia była najstarsza. Przed wojną mieszkała przy ulicy Czystej 17. Podczas każdego pobytu w Krakowie znajdowałem czas, aby ją odwiedzić, nie tyle z miłości rodzinnej, ile z radości wdrapywania się na rozłożystą gruszę rosnącą pośrodku podwórza. Wspinanie się po pniu drzewa

kosztowało sporo podartych portek, a soczyste bery zostawiały trudne do usunięcia plamy na koszulach.

Męża Sydonii, wujka Leona, zmobilizowano we wrześniu trzydziestego dziewiątego. Jego pułk zaczął działalność wojenną od pospiesznego wycofywania na wschód i nim zdążył wyróżnić się na polu bitwy, wszyscy żołnierze wpadli w niewolę sowiecką. Wuj Leon był adwokatem, ale kancelarię prowadził z mniejszym niż ojciec powodzeniem, ponieważ oprócz filatelistyki nic go tak naprawdę nie interesowało. Wielokrotnie byłem świadkiem narzekań Sydzy na „wariactwo, które doprowadzi nas do ruiny“. Leon umarł na zesłaniu koło Omska, blisko granicy Kazachstanu i Sybiru, ale gdy go wspominam, jego okrągła twarz nie kojarzy mi się z grubymi okularami krótkowidza, lecz z lupą, przez którą oglądaliśmy razem znaczki z jego zbioru. Miał ich tysiące, starannie umieszczone w albumach, posegregowane według krajów i serii; kraje według kontynentu, a serie według tematu. Przypuszczam, że wuj Leon nauczył mnie więcej o świecie niż nauczycielka geografii w szkole podstawowej.

Nie mam pojęcia, kiedy i jak pojawiła się ciocia Sydzia w Garlicy Duchownej. Wszystko, co wiem, pochodzi z opowiadań. Powiedziano mi, że wraz z córką zamieszkała u gospodarza, który sądził, że są Polkami wysiedlonymi z terenów przyłączonych do Rzeszy, po tym jak ojciec rodziny zginął w niewoli. Przypadki takie były stosunkowo częste i nie powodowały kłopotliwych pytań. Chłopi, u których zamieszkały, byli ludźmi, którzy nie chcieli żerować na nieszczęściu bliźnich. Za izbę i utrzymanie pobierali skromną opłatę. Gdyby nie kradzież brązowego konia z białą łatą u szyi, przypuszczalnie przeżyłyby tam w spokoju do końca wojny. Zapowiedziany przyjazd policji pokrzyżował piękne plany i zmusił także je do szybkiej ucieczki. Ponoć nie posiadały tak „pewnych“ dowodów osobistych jak nasze i gdyby policjanci odkryli prawdę, także los niczego nie świadomych gospodarzy byłby przesądzony. Niestety, ciocia Sydzia leżała ciężko chora i nie mogła mszyć się z miejsca. Kruczek i jego najstarsza, tak mi opowiadano, przenieśli ją do pustej stodoły, w nadziei, iż nikt do niej nie zajrzy. Zastanawiam się, czy aby nie była to ta sama stodoła, w której wymieniałem gorące pocałunki z Bronką. Sydzia bredziła w malignie, nikt nie rozumiał, czego chciała. Córka miała przy niej czuwać, ale nerwy odmówiły jej posłuszeństwa i gdy policjanci zjechali do wsi, uciekła przez tylną furtkę. Także tę wersję znam jedynie z nie sprawdzonych źródeł. Pewny jest jedynie fakt, że przyłączyła się do oddziału partyzantów, doczekała wyzwolenia, wyszła za mąż i wyemigrowała do Francji. Los cioci Sydzy pozostał nie wyjaśniony. Będąc już w Krakowie, ojciec ostro krytykował zachowanie swojej siostrzenicy. „Jak mogła porzucić chorą matkę“, oburzał się. Nie dyskutowałem z nim, mimo iż zupełnie inaczej oceniałem sytuację. Jaki sens ma ofiarność bez granic, jeśli niczego nie może zmienić? Gdyby policjanci znaleźli ją w stodole, zginęłaby razem z matką. Doktor Kalter, mój nauczyciel w piątej klasie, często oparował lekcje religii wybranymi cytatami z Talmudu. Jedną z tych talmudycznych przypowieści mówiła o dwóch wędrowcach, którzy zbłądzili na pustyni wyposażeni w jeden niemal pusty bukłak z wodą. Do najbliższej oazy było kilka dni marszu. Gdyby się podzielili sprawiedliwie, obaj niewątpliwie umarliby z pragnienia. W imię świętości ludzkiego życia jeden z nich powinien był wypić wszystko, aby uratować jedno chociaż...

Wróciłem do „normalnego“ życia. Znów przemierzałem ulice Krakowa z karpiami w koszyku, znów zadzwoniłem do drzwi Gretchen. Przywitała mnie jak zaginionego syna.

„Na miłość boską, już myślałam, że coś ci się stało. Gdzie się podziewałeś?“

„Spędziłem kilka miesięcy u krewnych na wsi“.

„Widać“, uśmiechnęła się. „Dobrze wyglądasz. I chyba wydorosłaś“.

„Tak. Minęło sporo czasu“, powiedziałem, wydobywając karpie z koszyka. Mimo że magazynier w firmie łupnął je drewnianym młotkiem po głowie, wciąż jeszcze trzepotały w rękę. „Gdzie je położyć?“

„Tam“, wskazała na stół kuchenny. Drzwi z przedpokoju do kuchni były otwarte. Gdy znów stanąłem przed nią, ujęła mnie pod brodę.

„Zacząłeś się golić?“

Przesunąłem otwartą dłońią po policzkach. Były zupełnie gładkie.

„Nie“. Po chwili poprawiłem się: „jeszcze nie“.

„Napijemy się po kieliszku likieru, jak dawniej?“

Przytaknąłem. Weszliśmy do salonu. Grete wyciągnęła ramiona, by wyjąć kieliszki z górnej szafki kredensu. Była smukła. Czy całuje się inaczej niż Bronka? Natychmiast przepędziłem niesforną myśl,

ale ona wróciła jak natrętna mucha. Nie chciałem, by czytała z moich oczu. Ostentacyjnie wędrowałem spojrzeniem po salonie. Skórzane fotele i barowe krzesło stały w swoim kącie, pozostałe meble były nowe. Ścisłej mówiąc - antyczne. Miejsce tanich litografii na ścianach zajęły obrazy olejne i akwarele. Rozpoznałem konie Kossaka i kolory Pronaszki, innych nie znałem. Gretchen zauważyła obojętnie:

„Podoba ci się? To z likwidacji getta. Kurtowi udało się uratować kilka drobiazgów. Muszę przyznać, że na tej sztuce zna się naprawdę. Wypijemy za mój nowy nabytek?”

Pomyślałem o dziadkach. Jednym haustem wlałem w gardło zawartość kieliszka.

„Nie tak uczyłam cię pić likier. Drambui to nie schnaps. Likier smakuje się pomału, delektując się każdą kroplą. Popatrz, jak ja to robię”.

Grete zademonstrowała właściwy sposób picia likieru. Uniosła głowę, przymknęła oczy i lekko przytknęła brzeg kieliszka do ust.

„Widziałeś?”

„Widziałem”.

„Następnym razem przećwiczmy to razem”.

Nie było następnego razu.

Przez ostatnie półrocze firma powiększyła się znacznie, wynajęto nowe pomieszczenia. Kuniecki i Białecki konkurowali skutecznie nawet z niemiecką siecią sklepów rybnych „Franz Jantzen”. Miałem pełne ręce roboty. Krąg klienteli obejmował teraz niemal wszystkich dygnitarzy hitlerowskich. Pod czujnym okiem zaufanego magazyniera pakowano przesyłki, większe lub mniejsze, lepsze lub gorsze, starannie dobierane według stanowiska adresata. Wkrótce znałem na pamięć adresy i nazwiska co ważniejszych oficerów SS i Gestapo. Niektóre wywoływały dreszcz przerażenia. Po upadku Rzeszy prawie wszystkie pojawiły się na liście zbrodniarzy wojennych. Wówczas, w roku czterdziestym trzecim, chętnie widziano mnie w ich domach. Białecki miał wszelkie powody, aby być dumny ze swego chłopca na posyłki. W zamian za szczodre podarunki hitlerowcy usuwali przeszkody biurokratyczne, które mogłyby hamować rozwój przedsiębiorstwa, przymykali oczy, gdy część produkcji wędrowała na czarny rynek i wrzucali do kosza skargi jednostek wojskowych, które otrzymywały nadpsute konserwy. Białecki funkcjonował jako „minister spraw zagranicznych” firmy, utrzymując bezustanny kontakt z urzędami Generalnej Guberni. Hrabia Kuniecki rzadko spotykał się z Niemcami. Nieraz wyjeżdżał na kilka tygodni, w biurze mówiono, że spędza czas w jednej z rodzinnych posiadłości wiejskich. Po wojnie dowiedziałem się, że w posiadłościach tych uratowali się Żydzi, między innymi mecenas Bronisław Szaten i dziewczyna o nazwisku Liebeskind.

Jeszcze przed ostateczną likwidacją naziści zacieśniali pętlę wokół getta, odcinając coraz to nowe bloki, nieustannie zmniejszając jego powierzchnię. O całkowitej likwidacji dowiedziałem się od Białeckiego. „Uważaj, bo miasto roi się od hycli szukających Żydów, którzy uciekli stamtąd w ostatniej chwili”, rzucił jakby od niechcienia, wręczając mi kilka puszek z marynowanymi śledziami, tygodniową rację Wilhelma Kunde. Nazwisko Kunde wymawiano w getcie szeptem. Był jednym z okrutniej szych oficerów policji bezpieczeństwa. Nosząc mu śledzie, nie mogłem przewidzieć, że wkrótce drogi nasze skrzyżują się w zupełnie innych okolicznościach.

Gretchen nigdy nie wspomniała, że getto przeznaczone jest na zagładę i że ostatni jego mieszkańcy uwięzieni zostaną za drutami obozu w Płaszowie. Być może, przed naszym wyjazdem do Garlicy Duchownej sama nic nie wiedziała. Ojciec, oczywiście, wiedział. Kilka dni po ostrzeżeniu Białeckiego powiedział: „uważaj, bo stąpasz po lodzie”.

Kraków zamienił się w ogromny teren polowania. Przelew krwi stał się zjawiskiem powszechnym, tyle tylko, że krew ta miała tak wysoką cenę, że nikt nie chciał jej przelewać za darmo. Z dna najniższej warstwy społecznej wypelzły na ulice miasta dziesiątki szmalcowników⁹, którzy postanowili zbić majątek na cudzym strachu, a przede wszystkim na pragnieniu życia tych, którzy wymknęli się hitlerowcom i gorączkowo szukali ratunku po tak zwanej aryjskiej stronie muru. Niektórzy, zaszczuci i wyzbyci nadziei, znajdowali ratunek w samobójstwie. Na czarnym rynku pojawił się nowy towar: cyjankali. Trucizna droższa od złota. Nawet jeśli dostałbym ją za darmo, wiedziałem to z całą pewnością, nawet w sytuacji bez wyjścia, nie szukałbym ucieczki w śmierci.

⁹ Szmalcownik - popularne określenie ludzi, którzy szantażowali ukrywających się Żydów. Zwalczani czynnie przez niemal wszystkie polskie podziemia.

Życie wydawało mi się zbyt cenne, by się go pozbawić własnoręcznie. Zwłaszcza że nie odczuwałem bezpośredniego zagrożenia. Nie odczuwałem go, mimo iż przed wyjazdem do Kruczków spaliłem mój czarny pancierz Hitlerjugend. Nie wierzyłem, aby szmalcow-nik tracił swój cenny czas na chłopca rozważającego ryby. Nie obawiałem się żandarmów bezustannie patrolujących miasto. Spoglądałem na nich z odrobiną poczucia wyższości, sam nie wiem, skąd się brało, gdy kroczyli sztywni, jakby połknęli kij od miotły. Na piersiach nosili ogromną blachę z wytłoczonym orłem, na głowie dziwne kształtem czako. Widząc zbliżający się patrol, przechodnie przechodzili na drugą stronę ulicy. Janie.

Zaliczam się do tych szczęśliwców, których Holocaust nie ściga nocnymi marami. Sądzę jednak, że wówczas, w Krakowie, *chucpa* służyła mi jako namiastka spalonego munduru. Broniła mnie w dzień, ale nie działała we śnie. Kilka nocy z rzędu nawiedzał mnie identyczny sen. Biegłem wąską ścieżką. Po prawej wznosiła się gładka skała, po lewej ciągnęła ciemna przepaść. Goniło mnie poczucie nieokreślonego niebezpieczeństwa. Nie wiedziałem, co mi grozi, czy zagrożenie powoduje człowiek, zwierzę, czy jakaś nadludzka istota. Czułem, że tracę oddech. Gardło miałem ściśnięte, serce waliło jak młot. Widocznie krzyczałem, bo kiedyś wyrwało mnie ze snu mocne potrząśnięcie. Ojciec stał pochylony nade mną i pytał, czy nie jestem chory.

„Nic mi nie jest“, odparłem niegrzecznie, bo byłem w defensywie. Nie lubiłem być przyłapany na chwili słabości.

„Cały zlany jesteś potem“, powiedział i okrył mi ramiona kołdrą. Tak układała mnie do snu Hilda Baron, gdy byłem pięcioletnim dzieckiem. Ojciec wyglądał na zatroskanego. Może czekał na słowo wyjaśnienia, ale szybko przymknąłem oczy, udając, że śpię. Ojciec cierpiał na bezsenność. Godzinami leżał na wznak, ze wzrokiem utkwionym w sufit. O czym myślał? O sobie? O nas? O tym, co nas czeka? Nigdy nie dzielił się ze mną myślami. Zamknięty między czterema ścianami pokoju, zamykał się także od wewnątrz, sam w sobie. A ja? Ja nigdy nie próbowałem otworzyć tych niewidocznych zamków.

Pomału zacząłem ograniczać włączęgi po mieście. Coraz częściej wracałem do domu prosto z pracy. Nie wynikało to ze strachu. W każdym razie nie ze strachu, którego byłbym świadom. Po prostu nie odczuwałem już takiej potrzeby. Równocześnie znajdowałem dziesiątki wykrętów, aby uniknąć dalszych wizyt u Grete. Nagle przypomniałem sobie, jak rzuciła mi „masz żydowski sposób rozumowania“ i jak kiedyś przyznała, że nie zachwyca się jasnymi włosami i niebieskimi oczyma Aryjczyków, że woli mężczyzn ciemnej karnacji, „na przykład Włochów“. Owego dnia długo stałem przed lustrem, badając swoje piwne oczy, odstające uszy i kręconą czuprynę. Niechętnie musiałem przyznać, że baczny obserwator bez trudu doszuka się u mnie semickich rysów. Czego nie zobaczyła Gretchen, zauważyć może kto inny.

Rodzice nie wiedzieli, dlaczego zmieniłem sposób bycia. Zapiisałem się do prywatnej wypożyczalni, popołudnia i wieczory spędzałem na czytaniu. Łatwo zyskałem sympatię właścicielki biblioteki. Przed zamknięciem uniwersytetów wykładała historię literatury, miała słabość do dobrej książki i jej czytelnika. Szybko zwróciła uwagę na mój wybór i równie szybko stała się moją doradczynią. Cierpliwie prowadziła mnie od klasyki francuskiej do romantyzmu dziewiętnastowiecznej literatury polskiej, wciąż od nowa analizowała ze mną język Rabelais'go («Gargantua i Pantagruel» to jeszcze nie dla ciebie, ale spróbuj...“) lub komentowała twórczość Zoli. Czasami, gdy pomieszczenie było puste, wyjmowała spod lady tomik wierszy Tuwima i czytała głośno. „Wypożyczyć nie mogę; żydowscy autorzy są zabronieni. Co za nonsens“. Nigdy nie domyśliła się, że ja także byłem zabroniony.

Książki połykałem z szybkością mrówkojada. Miałem zwyczaj czytania do późnej nocy, póki któreś z rodziców nie zażądało, abym zgasił światło. Tyle tylko, że w przeciwieństwie do czasu, gdy ukrywaliśmy się w Garlicy Duchownej, teraz nie utożsamiałem się z postaciami stworzonymi przez autorów. Ich los przestawał mnie interesować z chwilą zamknięcia książki. Czytanie traktowałem jak zwykłą akumulację wiedzy, a bohaterów powieści rejestrowałem w pamięci jak magazynier sporządzający inwentarz części zamiennych.

„To cię zaciekawi“, powiedziała bibliotekarka, podając mi gruby, oprawiony na czarno tom powieści. „Czasami trzeba odpocząć od klasyków i rozerwać się czymś lżejszym“.

„Romansidło?“, zdumiałem się.

„Nie. Autentyczna historia pułkownika Redla, rosyjskiego szpiega w sztabie armii austro-węgierskiej. Akcja dzieje się przed pierwszą wojną światową w Przemyślu i w Wiedniu. Wpadł przez... Nie, nie zepsuję ci zabawy. Sam się dowiesz, przez co wpadł“.

Wepchnąłem książkę pod pachę i wyszedłem na ulicę. Była piąta po południu, ulica pusta jak wymiół, tylko tu i ówdzie jakiś spieszący przechodzień. Wypożyczalnia mieściła się na Starym Mieście, w kamienicy pamiętającej ubiegłe wieki. W podobnym starym domu, tuż za rogiem, miał sklep pan Kulka, dyplomowany optyk, pozdrawiający mnie grzecznym „dzień dobry“, gdy przystawałem przed wystawą, aby popatrzeć na ruchomą reklamę soczewek Zeissa. Teraz także zatrzymałem się tam na chwilę. Pan Kulka wytknął głowę przez drzwi, myślałem, że przywita mnie jak zwykle, ale zobaczywszy coś za moimi plecami, natychmiast się cofnął. Odwróciłem się. Na chodniku stało dwóch żandarmów. Zamierzałem, jak zwykle, nie zauważać ich obecności. Jeden z nich zagroził mi drogę i huknął:

„Kennkarte!“

Żandarm przerastał mnie o dwie głowy. Bez wahania podałem mu dowód osobisty. Niemiec łamał sobie zęby na moim fałszywym nazwisku, podał dokument koledze, ten z kolei wzruszył ramionami i warknął coś o przekłętym polskim języku. Nie było powodu do niepokoju. Wszystko odbywało się w myśl dobrze mi znanej rutyny. Nie proszony podałem zaświadczenie urzędu zatrudnienia. Na kartce maszynopisu z pieczęcią Rzeszy napisane było czarno na białym, że Roman Wrześniowski jest gońcem w firmie uprzywilejowanej, dostarczającej żywność na potrzeby armii.

U wylotu ulicy pojawiło się kilka osób, sądząc z odzieży robotnicy wracający z pracy. Gdy tylko zauważyli, co się dzieje, pospiesznie zawrócili i zniknęli z pola widzenia. Tylko jeden człowiek, na którego przedtem nie zwróciłem uwagi, stał nieruchomy na chodniku, w odległości około dziesięciu metrów, wyróżniając się obojętnością i jakby czekając na kogoś lub na coś. Ten jego bezruch przykuł moją uwagę. Starszy pan, niskiego wzrostu, bardzo szczupły, mimo słonecznej pogody odziany w staromodną jesionkę, prawą ręką dotykał kapelusza, jakby się obawiał, że wiatr zerwie mu go z głowy. Jak już wspominałem, pogoda była piękna, ani śladu wiatru. „Dziwny typ“, skonstatowałem, dziwiąc się, dlaczego nie odchodzi, bo przecież u hitlerowców nigdy nie było wiadomo, co im do głowy strzeli. Zwłaszcza że jego dziwna sylwetka i postawa wzbudzić mogły podejrzenie u mniej wyszkolonych ludzi niż niemieccy żandarmi. „Żyd?“, błyskawicznie przebiegła mi przez głowę szaleńcza myśl. Białecki wspominał Żydów, którzy uciekli z getta. Nie, to niemożliwe, odrzuciłem ją równie szybko. Obcy w jesionce i kapeluszu nie sprawiał wrażenia kogoś, kto się boi. Ja również nie bałem się niczego. Zdarzało się w przeszłości, że musiałem się legitymować. Po sprawdzeniu *Kennkarty* i zaświadczenia pracy Niemcy zawsze kazali mi zmykać. Na razie nie miałem żadnego powodu, aby sądzić, że istnieje jakiś związek między dwoma żandarmami a tym obcym mężczyzną. Dopiero gdy żandarm trzymający mój dowód posłał mu jakby pytające spojrzenie, poczułem kłujący skurcz w brzuchu. Obcy skinął głową. Był to ruch powolny, wydawałoby się całkowicie przypadkowy, a może przeznaczony wyłącznie dla wprowadzonych w jakiś spisek. Wciąż jeszcze nie rozszyfrowałem ich gry.

„Jude?“, zapytał żandarm.

„Też coś. Dlaczego *Jude?*“, odparłem łamaną niemieczyzną. Większość Polaków kaleczyła niemiecki.

„*Jude*” powiedział. Nie było to już pytanie, lecz stwierdzenie faktu.

„Pan się myli“, zaprzeczyłem z pewnością siebie. „Ja pracuję dla *Hauptscharführera* Kunde, dla *Sturmbanführera* Haaze, dla panów Hujara i Frumera z Gestapo. Można sprawdzić“.

Jak iluzjonista na scenie wyciągałem z rękawa asy - nazwiska hitlerowskich dygnitarzy figurujące na liście odbiorców paczek firmy „Kuniecki i Białecki“. Nazwisko Grete ominąłem, sam nie wiem dlaczego. Żandarmi wyglądali na skonfundowanych. Ten wyższy uniósł ramię, moja *Kennkarte* znalazła się wysoko w powietrzu, wiedziałem, że za sekundę opuści ją ku mnie, odda dowód i każe zmykać. Nigdy się nie dowiem, jaki popełniłem błąd i co spowodowało, że wbrew wszelkim oczekiwaniom wetknął *Kennkartę* za szeroki mankiet mundurowej bluzy, mówiąc:

„Muszę się poradzić“.

„Po co?“, zareagowałem beczelnie. „Przecież każdy widzi...“

„Zamknij pysk“, ofuknął mnie niższy wzrostem żandarm. „Nie ruszaj się z miejsca“, dodał i podszedł do cywila w jesionce. Obaj naradzali się, obserwowałem ich uważnie, ale nie mogłem się domyślić, o czym rozmawiali. Nawet jeśli nie uświadamiałem sobie jeszcze, że wpadłem w pułapkę,

kolka w brzuchu dawała mi się coraz bardziej we znaki. Niski żandarm wrócił, pchnął mnie w kierunku najbliższej bramy, rozkazując:

„Wejź tam. Szybko“.

Wysilałem wzrok w mrocznej sieni. Kamienica była bardzo stara, dawniej powiedziałbym, że to historyczna budowla, teraz czułem jedynie mocny zapach pleśni. Żandarm próbował zapalić światło, ale żarówka pod powałą była przepalona, a może lokatorzy odcięli prąd, aby oszczędzić na rachunku. Żandarm zaklął. Nie widziałem tego drugiego, lecz słyszałem go wyraźnie, gdy powiedział: „Oszczędź sobie tych przekleństw dla żony. Skończmy tego żydowskiego bękarta na miejscu i chodźmy dalej“. Więc taki będzie mój koniec? Strzelą mi w łeb i pójdą sobie, jak gdyby nigdy nic. Teraz już tylko cud mógł mnie uratować. Ale ja nie wierzyłem w cuda, zaś oni nie zamierzali mnie uśmiercać.

„Zdejm spodnie“, rozkazał ten niższy.

„Nie rozumiem“, wybąkałem. Jak bezsensowna była ta próba wygrania jeszcze jednej minuty.

„Warto ci zrozumieć“, warknął i wskazał, co mam zrobić. Dalsze udawanie nie miało sensu. „Pułkownika Redlą“ wciąż jeszcze ściszałem pod pachą. Położyłem książkę na kamiennej posadzce. Żandarm podniósł ją, przewertował kilka kartek i cisnął w kąt.

„No, ile można czekać!“

Niespodziewanie zapaliło się światło. W głębi korytarza, przy schodach, zazgrzytały zawiasy otwieranych drzwi. Z parterowego mieszkania wyjrzała kobieta. Odziana była w sięgający kolan kwiecisty szlafrok, a w samym środku jej pucułowatej twarzy, po obu stronach orle-go nosa, błyskały zaciekawione oczy. Echo głosów w sieni zwabiło ją na zewnątrz. Nasze spojrzenia skrzyżowały się na ułamek sekundy. Czy zorientowała się w sytuacji? Rozpiąłem pasek spodni. Kobieta postąpiła dwa kroki do przodu, uśmiechnęła się do Niemców. Sprawiali wrażenie, że jej nie widzą.

„Twarzą do nas“, syknął żandarm. Spodnie opadły do kostek. „Gacie też“.

Posłusznie spuściłem kalesony. Nie wiedziałem, co jest gorsze: strach przed nieuchronnym wykryciem prawdy czy wstyd przed nieznaną kobietą. Stałem jak sparaliżowany, spodnie i majtki wiązały mi kostki jak kajdany. Nawet gdybym chciał, nie mógłbym uciekać. Instynktownie zasłoniłem się dłońmi. Niski żandarm wydobył pistolet z kabury i końcem lufy odtrącił je na bok. Potem zdjął czako, podał je koledze, i pochylił się nad moim członkiem, miękkim i zwiniętym jak ślimak. Badał go uważnie jak kolekcjoner robaków zdumiony nieznanym okazem. Wreszcie wyprostował się i powiedział:

„Diabeł go wie“.

Kamień spadł mi z serca. Nie potrafił rozróżnić obrzezanego. Ale za wcześniej było na westchnienie ulgi. Wysoki zawyrokował:

„Zawołaj naszego Żyda. On się zna na tym lepiej od nas“.

Człowiek w jesionce przybiegł na wezwanie, przystanął na chwilę u wejścia, jego długi cień padł na mnie. „Na co czekasz?“, zdenerwował się ten wyższy. „Nie jesteś na urlopie“.

Człowiek w jesionce stąpał bezszelestnie, nosił buty na grubej, gumowej podeszwie. Wystarczyło mu jedno krótkie spojrzenie. „Głupcze“, szepnął, jakby to była moja, a nie jego wina. Żandarmom nie musiał niczego wyjaśniać, wystarczył im wyraz jego twarzy.

„Ubierz się“.

Gdy naciągałem spodnie, wysoki żandarm sięgnął po *Kennkartę*, głośno przeczytał adres, tym razem bez zająknięcia, i spytał: „Tam mieszkasz?“

„Tak“.

„Kto mieszka z tobą?“

„Nikt. Jestem sam“.

„To możesz opowiadać swojej babci“.

„Moja babcia nie żyje“.

„Za chwilę sprawdzimy to sami“.

Drzwi w końcu korytarza znów zazgrzytały zawiasami. Kątem oka widziałem kobietę w szlafroku znikającą w swoim mieszkaniu. Donosiciel w jesionce znikł, jakby go nigdy nie było. Nikt nie zgasił światła. Wyszliśmy na ulicę. Przypomniałem sobie o rzuconej w kąt książce. „Bibliotekarka nigdy mi tego nie wybaczy“, pomyślałem.

Żandarmi nakazali mi iść kilka kroków przed nimi i udawać, że nic się nie stało. Szedłem dwa kroki przed nimi, wiedząc, że ojciec jest w domu, że otworzy drzwi synowi, a wejdzie śmierć. Miałem

nadzieję, że matka nie wróciła jeszcze z pracy, że przynajmniej ona się uratuje. Miałem nadzieję, że nigdy, naprawdę nigdy, nie dowie się, jak się to stało.

Z miejsca, w którym mnie zatrzymano, do domu przy ulicy Długiej 76 szliśmy piętnaście minut. Nikt z przechodniów nie mógł się zorientować, że jestem aresztantem. Aresztant? Boże, przecież to słowo zawsze było bez znaczenia. Żandarmi kroczyli za mną, słyszałem ich podkute obcasy, wiedziałem, że mają zarepetowaną broń, że próba ucieczki jest z góry skazana na niepowodzenie. Zapomniałem, że mam zdrowe nogi, że znam każde przejście między domami, że... Nie założono mi kajdanków. Byłem skuty przestraczem. Wielomiesięczna brawura zniknęła jak krótki epizod w długim życiu. Co gorsze, czułem się jak przewodnik prowadzący kata w miejsce, na którym stanie szafot. Słońce chyliło się ku zachodowi, barwiło domy czerwienią. Straszne poczucie winy ciążyło jak kamień młyński.

BRAMA DRUGA: CENA ŻYCIA, SMAK MIŁOŚCI

**Trzech rzeczy pojąć nie mogę,
a czterech nie znam:
drogi orła po niebie,
drogi węża po skale,
drogi okrętu po morzu,
drogi mężczyzny w kobiecie.**

Stary Testament, Księga Przysłów XXX

1

Samolot linii lotniczych Swissair wystartował z lotniska Kloten z dokładnością szwajcarskiego zegarka. Była sobota, siedemnasty lipca 1967 roku. Zamierzałem przenocować w Hamburgu, aby nazajutrz udać się pociągiem do Kilonii. W ten sposób nie musiałem wstawać wcześniej rano, bo jazda, nawet osobowym, trwa około godziny, a w sądzie landu Schleswig-Holstein miałem się stawić dopiero w poniedziałek. Byłem jednym z głównych świadków w sprawie przeciwko byłemu oficerowi SS, Wilhelmowi Kunde.

Upatrywałem szczególnej symboliki w fakcie, że proces odbywał się w landzie, który stanowił ostatni bastion władzy nazistowskiej. Trzy tygodnie po samobójstwie Hitlera i szesnaście dni po ostatecznej kapitulacji, wciąż jeszcze urzędował tu oficjalny rząd Trzeciej Rzeszy. W fotelu prezydenta zasiadał admirał Karl Dönitz, były szef niemieckiej marynarki wojennej, człowiek, który chciał przechylić szalę wojny za pomocą łodzi podwodnych i zdobył pełne zaufanie Führera. Podczas krótkiej kadencji zdelegalizował partię narodowo-socjalistyczną, mając nadzieję zaskarbić sobie również zaufanie państw sprzymierzonych. Nadzieja okazała się płonna. Szesnastego maja czterdziestego piątego roku aresztowano wszystkich członków politycznego pogrobowca. Trybunał Międzynarodowy w Norymberdze skazał Dönitza na dziesięć lat więzienia. W pewnym sensie, stwierdziłem w duchu, jest wyrazem sprawiedliwości dziejowej postawienie Kundego przed sądem w tym właśnie zakątku Niemiec. Żadna inna sprawiedliwość nie miała dla mnie znaczenia. Żadna inna, mimo iż rysy twarzy byłego SS-mana wryły się w moją pamięć na zawsze, a jego wyglansowane do połysku buty z cholewami widziałem po raz ostatni leżąc na podłodze, w oczekiwaniu na strzał, który wyzwoli mnie z cierpienia.

Z nazwiskiem Kunde spotkałem się po raz pierwszy na liście odbiorców łapówek firmy „Kuniecki i Białecki“. Jak większość jego kolegów, nigdy nie odmawiał drobnych подарunków. Ale w okresie, w którym skrzyżowały się nasze drogi, w prowizorycznym więzieniu na terenie zlikwidowanego getta krakowskiego, połasczył się Kunde na kąsek znacznie większej wartości. Postanowił zagarnąć dla siebie majątek moich rodziców: gotówkę, kosztowności i futra. Kunde dowodził grupą „oczyszczającą“ dzielnicę żydowską. W marcu czterdziestego trzeciego ostatni mieszkańcy getta przesiedleni zostali do obozu w Płaszowie, zbudowanego na terenie dwóch starych cmentarzy. Kunde ustalił swoją kwaterę w byłym budynku Ordnungdienst, czyli żydowskiej służby porządkowej. Oficjalnie policja ta podlegała Judenratowi, radzie zarządzającej gettem, ale ponieważ Judenrat ślepo wykonywał wszystkie polecenia nazistów, faktycznie wykonywała ona rozkazy SS i Gestapo. Żydowscy policjanci nosili mundury khaki i okrągłe czapki z żółtym otokiem. Oni i ich rodziny cieszyli się szczególnymi względami, ich dzieci nie wysyłano do obozów zagłady, nie znali głodu i strachu, a czego nie dostali od Niemców, brali sutą od sterroryzowanych współwyznawców. Kilkunastu funkcjonariuszy policji żydowskiej pozostało w opróżnionej dzielnicy, aby uniemożliwić kradzież pozostawionego mienia, pomagać w poszukiwaniu ukrywających się w piwnicach i na strychach, a także pilnować więźniów. Niemal wszyscy zostali później rozstrzelani, podobnie jak szpicle wysyłani na stronę aryjską, aby wyławiać uciekinierów z tłumu bezimiennych twarzy. Uśmiercanie żydowskich kolaborantów nierzadko było wynikiem sporów kompetencyjnych między

Gestapo a SS. Gestapo rządziło w mieście, SS sprawowała władzę w płaszowskim obozie, ale oba organy wyciągały chciwe ręce po żydowski dobytek.

Więzienie stanowiło część kwatery Kundego. W zasadzie przeznaczone było dla Żydów takich jak my, Żydów, którzy „wpadli“. Od czasu do czasu zamykano w nim również Polaków przyłapanych na grabieży. Ryzykantów, którzy chcieli uprzedzić drużyny przychodzące co rano z obozu w Płaszowie. Drużyny te zbierały i sortowały wszystko, co zostało porzucone: meble i odzież, dywany i żyrandole, sprzęt medyczny i miechy kowalskie, pościel i porcelanowe serwisy, obrazy i sztuce, zbiory książek i maszyny do szycia, garnki i zegary ścienne, maszyny do pisania i koce, obuwie i szabasowe świeczniki, a nawet resztki żywności i drewna. Każdy przedmiot był spisywany z niemiecką dokładnością, pakowany w skrzynie lub wory i odwożony na rampę kolejową. Ciężko wyładowane pociągi odchodziły na zachód, w głąb Niemiec. Nawet obity emaliowany nocnik uważany był za mienie Rzeszy i biada temu, kto o tym zapominał. Ale pokusa była zbyt wielka, by się jej oprzeć. Nie brakowało chciwców, gotowych ryzykować życiem, zwłaszcza że z ust do ust przechodziły pogłoski o skarbach ukrytych w piwnicach i na poddaszach. Męty społeczne grzebały w pozostałościach jak nocne szczury i jak szczury wpadały w pułapkę, zostawiając za sobą poprute materace i wybebeszone szafy. Na dziedzińcu kwatery Kundego rozstrzeliwano ich bez sądu. Skazańców wyprowadzano z cel tuż przed brzaskiem, a strzały plutonu egzekucyjnego często były dla mnie pobudką.

Nasz areszt mieścił się w podłużnym, kamiennym baraku. Do każdej celi wchodziło się z zewnątrz, z chodnika biegnącego wzdłuż budynku. Od dziedzińca i od nieba chodnik odgradzony był drutem kolczastym. W ciągu dnia drzwi cel pozostawały otwarte, wolno nam było wychodzić na ten chodnik, który z odrobiną wisielczego humoru nazywaliśmy *la pergola*. Cele miały po dziesięć, dwanaście metrów kwadratowych, nie było w nich okien ani wywietrzników. Trzypiętrowe prycze zajmowały prawie całą powierzchnię, z trudem można było przecisnąć się pod ścianą. Do każdej celi Niemcy wciskali ponad piętnaście osób. Na tak zwane ludzkie potrzeby mieliśmy jeden kubeł. Nocami przelewał się przez brzegi, odór kału stał w powietrzu jak zatruta chmura i z biegiem czasu przesiąkaliśmy nim całkowicie, bo nie mieliśmy bielizny na zmianę. Smród miał też swoją dobrą stronę, bo SS-mani woleli nie wchodzić do cel, ale korzyść była mała, ponieważ każda cela miała swojego *kalifaktora*, władającego nami w sposób okrutny. Starsi więźniowie umieli się jakoś urządzać, nowi zdani byli na łaskę jego zachcianek. Na przywitanie kopnął mnie w jądra, po czym wskazał miejsce na górnej pryczy. Musiałem się na nią wczołgać, bo sufit wisiał zaledwie kilka centymetrów nade mną; w mroku, gdy zapominałem, uderzałem głową w powalę, a *kalifaktor* rechotał z zadowolenia. Tam, na górze, powietrze było jeszcze bardziej gęste, jeszcze bardziej śmierdzące i urągające wszelkim formułom traktującym o proporcjach między tlenem, azotem a wodorem. We śnie czułem, jak kładzie się kamieniem na piersiach i wciska pod czaszkę zawsze ten sam, znany mi już, sen o biegu ścieżką między górą a przepaścią. Drżałem na myśl, że ścigający stwór dogoni mnie i... Tak naprawdę, to nie wiedziałem, czy strąci mnie w przepaść, czy zabije, ale chyba zamierzał udusić, bo budziłem się ze ściśniętym gardłem, wyskakując z nocnej mary prosto w zmorę dnia. Nigdy nie było to zwykle przebudzenie: przetarcie oczu, przeciągnięcie się dla wyprostowania kości. Zmysły opierały się konieczności patrzenia, słuchania i wachania. Jeszcze nie wyzwoliłem się z nocnego zmęczenia, a już czekała rzeczywistość następnego dnia w więzieniu. Odpychając ją, wracałem na ścieżkę nad przepaścią. Długie minuty pozostawałem wciśnięty między dwa światy i dopiero gdy uderzał we mnie smród kubła z ekskrementami, wiedziałem, że nie śpię.

O szóstej rano żydowscy policjanci otwierali drzwi cel, zamykali je pół godziny przed zapadnięciem zmroku. Nie pracowaliśmy, nie nakładano na nas żadnych obowiązków. Cały dzień mieliśmy na nasze czarne myśli. Kto chciał, mógł wyjść na spacer pod „pergolę“ z zasieków i patrzeć na dziedziniec Kundowej kwatery jak ptak z zamkniętej klatki. Obszerne podwórze, nie brukowane i nie asfaltowane, dzieliło barak więzienny od głównego budynku.

W budynku wrzało jak w ulu niemal dwadzieścia cztery godziny na dobę. W jednym z pokoi na drugim piętrze spotykali się dwaj zawzięci przeciwnicy, *Hauptscharführer*¹⁰ Kunde i Amon Goeth, dowódca płaszowskiego obozu. Gdy Kunde rozstrzeliwał szpiclów pracujących dla Goetha, Goeth polecał uśmiercać funkcjonariuszy Ordnungsdienstu stojących pod rozkazami Kundego. Echa tej walki na śmierć i życie docierały do nas na bieżąco. Żydowscy strażnicy, łągodzeni szczodrą ręką co

¹⁰ *Hauptscharführer* - ranga podoficerska w SS i innych służbach bezpieczeństwa równorzędna ze starszym sierżantem.

zamożniejszych aresztantów, chętnie dostarczali wiadomości o tym, co dzieje się za murami kwatery. Wiadomości miały swoją cenę i wartość, bo los wielu z nas zależał od tego, który z dwóch nazistów będzie górą. Obaj przesłuchiwali, obaj stosowali wszystkie możliwe chwyt, aby wydobyć z ust więźniów jak najwięcej informacji, ale przekazanie jej niewłaściwemu rywalowi groziło kulą w łeb.

Na parterze usadowili się podoficerowie i urzędnicy, oficerowie i ich adiutanci. Spisywali inwentarz i donosy, wypełniali stopy blankietów i formularzy, prowadzili dziennik ruchu pojazdów mechanicznych, a przede wszystkim starannie zbierali dane do sprawozdań statystycznych, zajęcia szczególnie poważanego przez hitlerowski aparat władzy. Berlin domagał się wciąż nowych sprawozdań, także kancelaria gubernatora Franka na Wawelu chciała być informowana na bieżąco. Cała ta mrówcza działalność umundurowanych biurokratów była przerywana jedynie wtedy, gdy Wilhem Kunde przyjmował gości. Kunde kupował życzliwość właściwie uplasowanych osób, sprowadzając je do kwatery, a jego goście traktowali te wizyty jak wycieczkę do ogrodu zoologicznego, w którego klatkach umieszczono nowy transport egzotycznych zwierząt. Za każdym razem, gdy sadowili się wygodnie za balustradą tarasu wychodzącego na dziedziniec, wiedzieliśmy, że czeka nas nowa tragedia. Podczas ładnej pogody - przez cały miesiąc nie spadła ani kropla deszczu - Kunde i jego goście bawili swoje oczy sprawnie wyreżyserowanym spektaklem. Nakręcany korwą staroświecki gramofon wprawiał ich w odpowiedni nastrój. Zagłębieni w fotelach przywleczonych z jakiegoś opuszczonego mieszkania, pili piwo i nucili ulubione piosenki. Jednoręki pomocnik Kundego, *Rottenführer* Ritschek, zmieniał płyty. Największym powodzeniem cieszyła się, a jakże, dobrze znana „Liii Marlene“. Fala nostalgii płynęła z tarasu i unosiła się w niebo. Stojąc za drutami kolczastymi „pergoli“, bez trudu rozpoznawałem kilku odbiorców żywych i konserwowanych karpi, dostarczanych regularnie przez panów Kunieckiego i Białeckiego. Męża Grete nie widziałem nigdy i zastanawiałem się, dlaczego nie dostąpił zaszczytu zasiadania w tym dostojnym gronie.

Muzyka i trunki stanowiły tylko preludium do „Wielkiego Widowiska“. Natura obdarzyła Kundego wybitnymi zdolnościami reżyserskimi; gdyby przyszedł na świat jakieś dwa tysiące lat wcześniej, reżyserowałby chyba rzymskie igrzyska. Aczkolwiek, prawdę mówiąc, pobożni Żydzi w chałatach nie bardzo przypominali gladiatorów. Cesarskim gestem nakazywał wprowadzać ofiary na arenę. Przepraszam: na dziedziniec. Przywożono je z małych miasteczek, w których istniały jeszcze getta. Kiedyś, gdy stali rzędem przed tarasem kwatery, nie przeczuwając jeszcze, co ich czeka, powiedział Kunde do swoich gości: „spójrzcie, jakie to malownicze“. Dobę przed „Wielkim Widowiskiem“ spędzali w piwnicy kwatery, w zupełnym odosobnieniu od pozostałych więźniów. Gdy wybiła godzina, ustawiano ich w półmetrowych odstępach jak szybkobiegaczy na bieżni, zwróconych plecami do „łóży oficerskiej“ i wówczas przez krótką chwilę widziałem ich twarze. Wszyscy mieli brody i pejsy. Kunde podnosił się z fotela i, stojąc za nimi, wygłaszał krótkie przemówienie. Nie krzyczał, nie groził, nie przeklinał. Mówił spokojnie, niemal jak duszpasterz do swoich owieczek:

„Kto inny na moim miejscu nie traciłby czasu na zabawy, postawiłby was pod ścianę i koniec. Ja daję wam wielką szansę. Widzicie ten murek po prawej stronie? Odległość wynosi trzydzieści metrów. To jest bieżnia waszego życia. Strzał w powietrze sygnalizuje początek wyścigu. Kto pierwszy dobiegnie do mety, otrzyma w nagrodę własne życie. Wszyscy inni zostaną rozstrzelani. Biercie przykład z Jamesa Owensa!¹¹“

Goście repetowali broń, przyciągali krzesła i fotele do balustrady, opierali się na niej łokciami, trzymając pistolet obojgiem rąk, tak jak tego uczą na każdej strzelnicy, i cierpliwie czekali na sygnał. Ritschek podnosił igłę gramofonu, zalegała cisza, i tylko my, którzy kilkakrotnie widzieliśmy te „igrzyska“, znaliśmy jej złowrogie znaczenie. Staliśmy nieruchomo, nikt z nas nie wymawiał słowa. Kunde strzelał w powietrze. Żydzi rzucali się przed siebie, szaleńczy wysiłek miał ich ratować przed śmiercią, poły kapot powiewały w powietrzu jak skrzydła pokracznych czarnych ptaków, goście otwierali ogień, rzadko kiedy chybiać. Funkcjonariusze Ordnungdienstu zbierali trafionych, ciągnęli ich za nogi na drugi koniec podwórza, gdzie czekał wóz do przewozu trupów. Rannych i zabitych chowano we wspólnym grobie na terenie obozu pławowskiego. Gdy koniom trudno było ruszyć z miejsca, żydowscy policjanci smagali je biczem, jak gdyby pragnęli wyładować w ten sposób

¹¹ James Owens - amerykański Murzyn, uczestnik Olimpiady 1936 r. w Berlinie, który zdobył trzy złote medale w lekkoatletyce, podważając hitlerowską teorię o wyższości rasy nordyckiej.

wszystkie nagromadzone frustracje. Nieliczne ofiary, którym udało się dobiec do murku bez szwanku, odprowadzano do piwnicy, aby mogły wziąć udział w następnym „Wielkim Widowisku“.

„I na nas przyjdzie kolej“, powiedział więzień stojący po mojej lewej ręce.

„Nie gadaj głupstw“, zachnąłem się.

„Zobaczysz, co będzie, jak skończy im się zapas chałaciarzy“.

Przeraziłem się. Uwaga współwięźnia nie była pozbawiona logiki.

Czarna przepowiednia nie spełniła się nigdy. Kunde nie posłużył się nami do swoich „igrzysk“. Przepuszczalnie dlatego, że musiał kontynuować śledztwa; a może dlatego, że po prostu nie byliśmy wystarczająco „malowniczy“.

Kilka razy w tygodniu *Hauptscharführer* Kunde wzywał mnie na przesłuchania, czasami samego, ale najczęściej razem z matką. Mimo niskiej stosunkowo rangi urzędował w przestronnym gabinecie i był niepodzielnym władcą kwatery. Początkowo traktował mnie uprzejmie, niemal jak dobry wujek: gdzie ukrywaliśmy się, kto nam udzielił schronienia, skąd wzięliśmy fałszywe dowody tożsamości, kto jeszcze ukrywa się poza murami getta? „Nie wiem, panie *Hauptscharführer*“, stanowiło moją standardową odpowiedź. Po paru dniach, gdy z uporem trwałem przy swojej wersji, zmienił postępowanie. Za każde „nie wiem“ byłem policzkowany, a potem, doprowadzony do wściekłości, kopał mnie w brzuch lub, ujmując za kark, walił moją głową o blat biurka. Matka stała z boku. Kunde zostawiał mnie na chwilę i zwracał się do niej: „mów ty, jeśli nie chcesz, żebym ci zabił dziecko“. Gdy nadal trwała w milczeniu, tłukł ją gdzie popadło i groził, że uśmiercam ją moim uporem. Raz spytał: „jak to jest u was, żydłaków? Wy nie kochacie waszych matek?“ Na próżno przysięgałem, że nie mam pojęcia, skąd wzięły się nasze *Kennkarty*, i że nigdy nie słyszałem o kimś, kto posługiwałby się fałszywymi aryjskimi dokumentami. Była to prawda.

Natomiast Kruczków, o których wiedziałem wszystko, nie wydałbym, nawet gdyby obdzierał mnie ze skóry.

Ojciec, matka i ja, każde z nas więzione było w innej celi, ale izolacja nie miała sensu, bo w ciągu dnia mogliśmy spotykać się pod „per-golą“ i rozmawiać swobodnie. Podczas jednego takiego spotkania matka powiedziała: „Nie przerażaj się, gdy podnosi na mnie rękę. Kunde mnie nie zabije. Potrzebna mu jestem żywa“.

Owego dnia, o którego przebiegu świadczyć miałem przed sądem kilońskim, a którego daty nie pamiętam, bo przecież nie miałem kalendarza, wprowadzono mnie do gabinetu Kundego o bardzo wczesnej godzinie. Matka już tam była. Siedziała na krześle ustawionym w samym środku pomieszczenia. Kunde przemierzał pokój nerwowymi krokami, drewniana podłoga skrzypiała pod ciężarem jego ciała. Matka miała na sobie ciemnozieloną wełnianą sukienkę z krótkim rękawem, obcisłą i spiętą wysoko pod szyją; sukienkę, w której aresztowano ją przed dwoma miesiącami. Dopiero teraz zwróciłem uwagę, że nie czesała się już ze zwykłą starannością, że miała podkrążone oczy i bardzo bladą cerę, że w ciągu niespełna sześćdziesięciu dni postarzała się o dziesięć lat. Gdy tylko znalazłem się w gabinecie, posłała mi ukradkowe spojrzenie. Niewątpliwie było w nim jakieś przesłanie, może przestroga, ale nie udało mi się rozszyfrować jego treści. Kunde nie powiedział nic, nie zwracał na mnie uwagi. Znając procedurę poprzednich przesłuchań, stanąłem pod ścianą i czekałem na wezwanie. Kunde wciąż jeszcze przemierzał pokój jak rozjuszony zwierz w klatce, ręce miał splecione na plecach, policzki czerwone, nie wiedziałem, czy z podenerwowania, czy może z przepicia. Kunde chętnie zaglądał do kieliszka, ale miał także uzasadniony powód do zdenerwowania. Przed chwilą matka przypomniała mu nie dotrzymaną obietnicę: jej i moje życie w zamian za rodzinne kosztowności.

„Ja dotrzymałam umowy“, rzuciła mu w twarz. „A pan? Gdzież pańskie oficerskie słowo honoru?“

Ritschek siedział przy małym sekretarzyku pod oknem, jednym palcem stukając na maszynie do pisania. Lewe przedramię stracił ponoć na froncie wschodnim, podczas ataku artylerii radzieckiej; kikut ukryty miał pod spiętym w pół rękawem munduru. Inwalidztwo zapewniało mu wygodną służbę na tyłach, nic więc dziwnego, że czynił wszystko, co w jego mocy, aby zadowolić przełożonych. Jak zwykle, także tym razem, spisywał protokół przesłuchania.

„Gdzie pańskie oficerskie słowo honoru?“, powtórzyła z naciskiem.

Kunde przystanął.

„Nie wiem, o czym mówisz“.

„Mówię o futrze karakułowym, o biżuterii i sześciu tysiącach dolarów“.

„Żydowska bezczelność!“, huknął.

„Bezczelnością jest niedotrzymanie umowy“, odparta spokojnie matka. Przez chwilę pomyślałem, że zastrzeli ją na miejscu. Ku memu zdziwieniu zauważył jakby od niechcenia:

„Nawet nie przyszłoby mi do głowy układać się z Żydówką“.

„A jednak zrobił pan to“.

„Żydowskie łganie“.

„Nie jestem Żydówką! Pan wie, że nie jestem Żydówką!“

Kunde trzasnął rękawiczką w cholewę oficerek. Nie mam pojęcia, kiedy i jak zjawily się rękawiczki w jego zaciśniętej dłoni. „Masz chorą wyobraźnię!“, ryknął. „A za swoje brednie i kłamstwa drogo zapłacisz“.

„Brednie? Nie był pan ze mną w mieście, u naszych sąsiadów? Nie odebraliśmy schowanych tam rzeczy? Wszystko wymyśl i brednie? Nie zabrał pan futra, biżu...“

„Zamknij pysk!“

„Mogę się zamknąć, ale Bóg i tak mi świadkiem...“

„Ja jestem tutaj bogiem“, przerwał jej w pół zdania. „W każdym razie dla ciebie. I zamknij już swój żydowski pysk.“

„Nie zamilknę, póki żyję“.

Widziałem, jak znieruchomiał, zdumiony determinacją matki. Kunde nie był przyzwyczajony do takiej postawy przesłuchiwanego. Kunde nie cierpiał sprzeciwu. Kunde był tu panem. Kunde wiedział, że jego pomocnik zapisuje każde słowo. Kunde wiedział, że protokół zostanie odesłany do komendy głównej. Kunde wiedział, co czeka członka SS, który sprzeniewierzył się przysiędze. Kunde wiedział, że rywale z Gestapo tylko czekają na jego potknięcie. Kunde nie mógł sobie pozwolić na kardynalny błąd. Kunde musiał się pozbyć żywego świadka. Kunde sięgnął do kabury, wydobyl pistolet. Kunde stanął za oparciem krzesła. Kunde trzymał broń za lufę, uniósł ją wysoko, uderzył. Kolba pistoletu roztrzaskała czaszkę. Matka nie zdążyła wydać z siebie głosu. Ciało przeważyło do przodu, ześlizgnęło się z krzesła, znieruchomiało na podłodze.

Ritschek zerwał się na nogi.

„Nie ruszać się!“, wrzasnął Kunde.

Ritschek wyrecytował posłusznie: „Tak jest, *Herr Hauptscharführer*“: „Siadać!“

„Tak jest, *Herr Hauptscharführer*“.

Kunde jakby dopiero teraz zauważył moją obecność.

„Twoja kolej, żydowski bękarcie“.

Wcisnąłem plecy w ścianę, instynktownie szukając oparcia. Kunde pociągnął mnie za ramię.

„Kładź się na podłozde!“, rozkazał.

Położyłem się.

„Twarzą w dół!“

Uczyniłem, jak kazał.

„Blżej twojej śmierdzącej Żydowy!“

Dotknąłem ciała matki. Poczułem ciepło. Było kłamliwe, wiedziałem przecież, że przestała oddychać. „Mamo“, szepnąłem i dopiero gdy odpowiedziało mi milczenie, zdałem sobie sprawę, że nigdy już nie usłyszę jej głosu. Leżała na boku, twarzą zwrócona ku mnie, nie było na niej śladu rozlanej krwi, wręcz przeciwnie, krew, która uciekła z policzków, uczyniła je szarymi jak popiół. Kunde dotknął mnie szpicem buta. Tak dotyka się leżącego psa, aby wiedział, kto tu panem, a kto ma wykonywać rozkazy. Nie mogłem znieść niepewności. Pomału odwróciłem się na plecy. Kunde nosił oficerki wypastowane na wysoki połysk. Nie zareagował na moją samowolę, tylko stanął nade mną rozkraczony, emanujący siłą.

„Widziałeś, jaki los spotyka kłamców?“, spytał.

Przeżalenie odebrało mi głos. Kunde kopnął mnie w zebra.

„Ogłuchłeś?“

„Widziałem, *Herr Hauptscharführer*“

„I będziesz pamiętał?“

„Będę pamiętał“, powtórzyłem za nim.

„Do śmierci?“

„Do śmierci“.

Kunde oparł nogę na moim brzuchu i nacisnął mocno, bacznie obserwując moją reakcję. Myślę, że z bólu oczy niemal wyskoczyły mi z orbit. Kunde uśmiechnął się zadowolony.

„Bolało?“, zapytał z udaną troską.

Przytaknąłem. Kunde wciąż jeszcze trzymał pistolet, tyle tylko, że teraz był skierowany na mnie wylotem lufy. „Nie martw się, skrócimy te męki“, zadrwił.

Kunde włożył palec w uchwyt spustu. Zamknąłem oczy. Sekundy wybijały tętnem w skroniach. Po raz pierwszy w życiu dostałem bólu głowy. Czekałem na strzał. Przed chwilą byłem świadkiem śmierci mojej matki. Nie wydała jęku, nie cierpiała. Pomyślałem: śmierć nie boli. Otwarłem oczy. Kunde ważył w dłoni pistolet, potem wsunął go do kabury, zapiął ją starannie i zupełnie niespodziewanie wybuchnął głośnym śmiechem:

„Wszyscy jesteście tchórzami. Wstań!“

Gdy próbowałem się podnieść, kopnął mnie w pośladki. Upadłem. Upadłem prosto na zwłoki matki. Kunde stracił nagle zainteresowanie moją osobą. Szybkim krokiem opuścił pokój, trzasnąwszy za sobą drzwiami. Nie wiedziałem, co czynić, nie miałem odwagi wstać. Ciało matki stygło pode mną; a może wydawało mi się, że stygnie. Nie pamiętam, ile czasu minęło, aż na stoliku Ritschka zadzwonił telefon. Ktoś wydał polecenie zwolnić mnie do celi. „Masz więcej szczęścia niż rozumu“, powiedział Ritschek i wezwał żydowskiego policjanta, aby mnie odprowadził do więzienia. Trupa matki grabarze zabrali jeszcze przed zamknięciem cel. Mimo wysiłków, nigdy nie udało mi się odnaleźć jej grobu.

Wtopiony w miękkie siedzenie pociągu zdążającego z Hamburga do Kilonii odtwarzałem w pamięci owe dramatyczne chwile sprzed dwudziestu czterech lat. Mówi się, że czas robi swoje i chyba jest w tym powiedzeniu sporo prawdy, bo nie czułem ani krzty nienawiści do mordercy. W sercu wiozłem jedynie złość. Nie, nie gniewałem się na zabójcę matki, lecz na siebie samego. Był to gniew szczególnego rodzaju; gniew za to, że nie mogłem wykrzesać z siebie ani jednej iskry nienawiści, ani odrobiny chęci zemsty. W gruncie rzeczy pragnąłem tylko tej jednej, małej satysfakcji: zobaczyć Kundego na ławie oskarżonych, trzęsącego się ze strachu, tak jak ja się trząsałem, leżąc na podłodze jego gabinetu. Wiedziałem, że rozpoznam go natychmiast i zastanawiałem się, czy Kunde rozpozna we mnie chłopca, któremu zamordował matkę. Ciekaw byłem, czy spojrzy mi w oczy, gdy stanę przy pulpicie świadków i opowiem sędziom, co widziałem owego dnia, daty nie pamiętam, gdy jednym uderzeniem pistoletu parabellum, standardowej broni podoficerów SS, roztrzaskał czaszkę mojej matki. Była to zwykła ludzka ciekawość, nie kryło się za nią żadne inne uczucie.

Pociąg osobowy zatrzymywał się na małych stacyjkach, czystych i uporządkowanych, bardzo niemieckich. Pasażerowie wsiadali i wysiadali, nowe twarze, obce i obojętne, zwyczajni ludzie, zwyczajna codzienność. Nikt się do mnie nie odniósł prócz konduktora sprawdzającego bilety. Podałem mu swój, wydrukowany w komputerze, wymieniliśmy grzecznościowe „bitte schön“, „danke schön“. Konduktor zasunął za sobą drzwi przedziału, słyszałem jego oddalający się głos, aż rozmył się całkowicie w mieszaninie innych dźwięków. Współpasażerowie rozmawiali ze sobą półgłosem. Mieli twardy akcent, charakterystyczny dla mieszkańców północnych dzielnic kraju, tak bardzo inny od wiedeńskiej niemczyzny matki. Znów, jak już wielokrotnie przedtem, zastanawiałem się, w jakiej mierze zbiegi przypadków decydują o ludzkich losach. Czy postępowanie człowieka jest wynikiem planowania, przemyślanych pociągnięć i wyrozumowanych decyzji, czy też dochodząc do skrzyżowania, każdorazowo postanawiamy na ślepo skrócić w prawo lub w lewo? I to także było przedmiotem moich podróźnych rozważań: w jakiej mierze los nasz zależny jest od postanowień podejmowanych przez innych ludzi? Na przykład: jak potoczyłby się los matki, gdyby nie znała tak dobrze języka Goethego i Hitlera? Bo przecież bez znajomości niemieckiego nie mogłaby nawiązać kontaktu z mordercą. Zaś bez dobrego kontaktu z mordercą zapewne nie stałaby się jego ofiarą.

Matka zaczęła naukę niemieckiego jeszcze w dzieciństwie, aby móc później, w wieku licealnym, zapisać się do szkoły w Wiedniu, jak przystało na córkę szacownej, inteligentnej rodziny żyjącej pod austriackim zaborem. Wyjechała tam mając lat czternaście, gdy szala pierwszej wojny światowej nie przechyliła się jeszcze na korzyść państw Ententy, a ludzie pokroju mojej babci wierzyli, że Wiedeń pozostanie pępkiem świata na zawsze. Przeznaczeniem stolicy Austrii było zostać również wieczną stolicą świata kultury, sztuki i dobrych obyczajów; miasto miało do spełnienia wielką misję cywilizacyjną w tej części świata, w której operetki Lehara i tort Sachera uważane były za szczyty

osiągnięć ludzkości. Wysłanie Frani - tak nazywano matkę zdrobniale - do szkoły w Wiedniu i znalezienie jej tam pensjonatu dla panienek z dobrych domów stanowiło naturalną konsekwencję takiego rozumowania. Zapisano ją do liceum handlowego i znaleziono odpowiedni internat w dziewiętnastym *Bezirku*, drobnomieszczańskiej dzielnicy Döbling. W odległości piętnastu minut jazdy tramwajem, w podmiejskiej wsi Grinzig, słynnej ze swoich ludowych winiarni i cienkiego sikkacza zwanego *Heuriger*, poznała przystojnego podporucznika artylerii górskiej, który przyjechał tam na krótki urlop z frontu włoskiego, i który później został moim ojcem.

Nie bez głębokiej przyczyny wybrano dla niej średnią szkołę zawodową. Za tym postanowieniem kryło się osobiste doświadczenie babci, dyktujące pogląd, że kobieta powinna mieć w ręku zawód zapewniający niezależność na czarną godzinę, aby nie stała się ciężarem dla własnych dzieci, jak to miało miejsce w jej przypadku.

W roku, w którym Japończycy przegonili Rosjan z Portu Artura, a więc w tysiąc dziewięćset czwartym, wycofał się mój dziadek Salomon Rosenwiesen z frontu domowego i po kilku udanych potyczkach z babcią spakował walizki, by je znów rozpakować w Zurychu. Dziadek rzucił wyzwanie wielkiemu światu, postanawiając zdobyć go bez dział i karabinów maszynowych. Jak już wspomniałem, pozostawił za sobą żonę i dwoje dzieci: moją matkę, której nadał imię Franciszka, z sympatii do cesarza Franciszka Józefa, oraz jej brata Maksa, nazwanego dla uczczenia pamięci Maksymiliana z rodu Habsburgów, niefortunnego cesarza Meksyku. Niestety, wysoko ustosunkowane koneksje imienne zdały się na nic, gdy papiery wartościowe, mające zapewnić utrzymanie rodziny pod jego nieobecność, okazały się papierami bez wartości. Babcia, nie posiadając żadnego zawodu, została bez grosza. Gdyby nie pomoc dalekich krewnych, nigdy nie mogłaby zrealizować swoich marzeń i moja matka nigdy nie kształciłaby się w Wiedniu. Znowu zbieg okoliczności?

Tarapaty, w jakich pozostawił rodzinę, nie poruszyły sumienia dziadka Salomona i nie przeszkodziły mu w poszukiwaniu szczęścia daleko od galicyjskiej prowincji. Kilka lat ślęczał z lupą w oku nad mechanizmami zegarków, a gdy stał się dyplomowanym mistrzem w zawodzie, także Szwajcaria okazała się krajem zbyt małym na miarę jego sił i zamiarów. Z początkiem lat dwudziestych wylądował w kraju nieograniczonych możliwości i otworzył sklep zegarmistrzowski w Milwaukee, w stanie Wisconsin. Po bliższym zaznajomieniu się z amerykańską rzeczywistością doszedł do wniosku, że droga do fortuny prowadzi na południe. Majątek zbił na sprzedaży taniej biżuterii czarnym strojnisiom w Missisipi i Alabamie, aż w końcu zainwestował oszczędności swego życia w klejnot innego rodzaju: gdy przeniósł się na łono Abrahama, mając lat niemal dziewięćdziesiąt, dziedziczyła go dwudziestoosmioletnia małżonka.

Historia dziadka Salomona, który w Ameryce przekabacił się na Sola, nie byłaby pełna bez wspomnienia stryja Maksa. Młodszy od matki o dwa lata kształcił się w Polsce, w latach trzydziestych przeniósł się do Warszawy, gdzie zaoferowano mu posadę dyrektora w austriackiej firmie Julius Meini, największym w owych czasach importerze kawy, herbaty, przypraw korzennych i innych towarów kolonialnych. Wkrótce po przyłączeniu Austrii do Rzeszy dyrekcja firmy zwolniła z pracy wszystkich Żydów; stryj Maks wykorzystał przymusową bezczynność na urlop we Włoszech. Alicję Schwartz poznał we Florencji, oboje tak długo zachwycali się pięknem Ponte Vecchio, aż przeszli razem na drugą stronę mostu, przysięgając sobie miłość na zawsze. Alicja, skromna nauczycielka gimnazjalna, wróciła do rodzinnego Chicago, Maks pojechał do Warszawy, aby uzyskać dokumenty potrzebne do emigracji. Jesienią trzydziestego dziewiątego mieli się pobrać. W ostatnich dniach sierpnia wsiadł do pociągu Warszawa-Paryż via Berlin. W portfelu nosił bilet okrętowy na statek, który 16 września miał podnieść kotwicę w Le Havre, aby zarzucić ją tydzień później w porcie nowojorskim. Podczas kontroli paszportów na granicy niemiecko-francuskiej dowiedział się od celników, że Wehrmacht wkroczył do Polski. Z powodu wojny konsulat Stanów Zjednoczonych w Paryżu odmówił mu wydania obiecanej wizy i Maks, chcąc nie chcąc, stał się Żydem wiecznym tułaczem. Gdy hitlerowcy przygotowywali się do zwycięskiego marszu po Polach Elizejskich, przemycnicy andorscy przeprowadzili go przez Pireneje. Ponad rok przebywał w Hiszpanii, zmieniając miasta i adresy, zarabiając na utrzymanie jako kelner lub nocny stróż, z trudem tolerowany przez frankistowską gwardię cywilną, aż wylądował w Lizbonie. Dziadka Salomona nie wzruszyły rozpaczliwe listy syna i gdyby nie pomoc pieniężna narzeczonej z Chicago, głodowałby w pełnym tego słowa znaczeniu. W Portugalii szalało bezrobocie, nielegalnych imigrantów bez zezwolenia na pracę odstawiano, bez pardonu, do granicy. Salomon Rosenwiesen pozostawał twardy jak skała. „Będąc w twoim wieku, drogi synu, torowałem sobie drogę przez życie bez niczyjej pomocy“, pisał.

Stryj Maks pokazał mi te listy, gdy odwiedziłem go po raz pierwszy w Nowym Orleanie. Dwadzieścia pięć lat dzieliło go od tamtych wydarzeń. Siedzieliśmy w trzcinowych krzesłach, w ogrodzie jego domu, upalny wieczór przesiąknięty był wilgocią, jego amerykańska żona Louisa nalewała do szklanek zimną lemoniadę z rumem, a Maks oddawał się wspomnieniom:

„Podczas drugiej wojny światowej neutralna Lizbona była siedliskiem obcych wywiadów. Pieniądze wały się po ulicach, ludzie o pustych kieszeniach walali się po śmietnikach. Najgorsza jednak była niepewność. Każdego dnia mogli mnie wysiedlić. Posiadałem polski paszport, więc obawiałem się, że mnie odstawią do okupowanej Warszawy. Nie wiedzieliśmy, co się tam dzieje, listy wysyłane do twoich rodziców do Bielska i Krakowa wracały opatrzone pieczętką «adresat nieznan»». Ojciec pozostawił mnie swojemu losowi. Za wszelką cenę pragnąłem dostać się do Ameryki. Powiedziałem «za wszelką cenę», ale duma nie pozwoliła mi prosić Alicji o pomoc. Zresztą, nie proszona, posyłała mi co miesiąc kilkanaście dolarów uszczkniętych z i tak niewysokich poborów. Władze imigracyjne udzielały prawa wjazdu tylko tym osobom, którym obywatel Stanów gotów był przysłać *affi-davit*, rodzaj gwarancji finansowej, zapewniającej, że przyjezdny nie obciąży budżetu amerykańskiej pomocy społecznej. Dokument taki mogli wystawić ludzie posiadający odpowiedni rachunek bankowy lub co najmniej stałe zatrudnienie. Musiałem Uczyć, jak sobie tego życzył ojciec, jedynie na własne siły. Gdy Kuba przyłączyła się do państw sprzymierzonych i wypowiedziała wojnę hitlerowskiemu Niemcom, otworzyła się możliwość wyjazdu na wyspę, tak przecież bliską wybrzeży Florydy. Żydowskie organizacje charytatywne opłaciły przejazd i załatwiły pobyt na fermie rolniczej pod Hawaną. Było to jedno z tych wielkich gospodarstw, w których młodzi syjoniści przygotowywali się do pracy na roli w Palestynie. Ja jednak kierowałem wzrok na Zachód. Minął następny rok, aż zaakceptowałem *affidavit* podpisany przez Alicję. Co tydzień przysyłała listy pełne tęsknoty. Co tydzień pisałem, że kocham. Stałem na pokładzie, gdy cumowano nasz statek w Nowym Jorku. Widziałem jej szczupłą sylwetkę na redzie, machała kolorową chustą, którą kupiłem jej we Florencji. Była wyraźnie szczęśliwa. Oparłem się o poręcz, zdjąłem mój jasny panamski kapelusz, by się odwzajemnić, lecz ręka zamarła mi w bezruchu. Nagle upraytomniłem sobie, że podczas dwuletniej włości zgubiłem, nie potrafię powiedzieć gdzie i kiedy, tak, zgubiłem miłość do Alicji. Może została w górach, gdy przekradałem się przez Pireneje, a może splukałem ją do zlewu w jednym z zapluskwionych hotelików Lizbony. Schodząc po trapie, wiedziałem, że idę naprzeciw najtrudniejszej chwili mego dotychczasowego życia. Powiedziałem jej prawdę w taksówce jadącej do śródmieścia. Gdybym wówczas nie znalazł w sobie dosyć odwagi cywilnej, przypuszczalnie rozmawiałbyś teraz ze starym steranym człowiekiem, który unieszczęśliwił siebie i swoją żonę.

Alicja okazała się osobą mądrą i wyrozumiałą. Jeszcze tego samego wieczoru pożegnaliśmy się pocałunkiem w policzek. Przyrzekłem, że z pierwszych zarobionych pieniędzy spłacę dług. Minęło kilka lat, aż mogłem się wywiązać ze zobowiązania. Po krótkim pobycie w Nowym Jorku mszyłem na południe, na pierwsze prawdziwe spotkanie z ojcem. Zgodnie z telefonicznym poleceniem, stawiałem się w jego apartamencie w nowoorleańskim hotelu «Roosevelt». Znalazłem go w wyśmienitym humorze. Nie pamiętałem, jak wygląda, bo miałem zaledwie dwa lata, gdy opuścił Borysław, ale ojciec zachowywał się tak swobodnie, jak gdybyśmy rozstali się w zeszłym tygodniu. Dopiero znacznie później pojąłem, że pieniądź daje człowiekowi ogromną pewność siebie. Ucałowałem go w rękę. Przyjął ten gest jako samo przez się zrozumiały, rozwalął się na kanapie, zdjął buty i podając mi je obojętnym gestem, powiedział: «Mozesz je wyczyścić. Boyowi hotelowemu płacę dwadzieścia centów. Ty dostaniesz całego dolara». Początkowo sądziłem, że ma takie wyjątkowe poczucie humoru, ale nie, ojcu wcale było nie do śmiechu. Wstydziałem się za niego i wstydziałem się za siebie, za to, że wypastowałem mu buty na elektrycznej maszynie, która stała w korytarzu przy windzie. Pamiętać je będę do końca życia. Żółte sznurowane trzewiki z ciemnobrązową wypustką... Myślę, że dosyć tych opowiadań, jak na jeden wieczór. Dodam tylko, że oprócz tego dolara nigdy niczego od niego nie dostałem. Ojciec nie przyjął zaproszenia na ślub z Louisa, aby, broń Boże, nie wydać centa na prezent, i nie odwiedził mnie w szpitalu po usunięciu nerki, przypuszczalnie z obawy przed koniecznością pokrycia kosztów hospitalizacji“.

Babcia nie dożyła tych czasów. W ten sposób oszczędziła sobie dodatkowego bólu serca. Zmarła w latach trzydziestych, przekonana, że przynajmniej dzieci są dobrze urządzone. Na pewno nie przyszło jej do głowy, że posyłając Franię do szkół w Wiedniu, była niemal proroczko przewidująca. W liceum handlowym uczono zarówno greki i łaciny, jak i niemieckiej stenografii. Matka zdawała na

same piątki, ale dopiero podczas wojny zdała ostateczny egzamin. Zdarzyło się to na krótko po wyjeździe z Garlicy Duchownej. Rodzice sprzedali trochę kosztowności, żyło nam się względnie dobrze, ale brak zaświadczenia o pracy w firmie zatwierdzonej przez władze okupacyjne uniemożliwiał swobodne poruszanie się po mieście. Niemcy zaskakiwali przechodniów policyjnymi łapankami. Kto nie pracował dla hitlerowskiego „wysiłku wojennego“, narażał się na areszt i wysyłkę w głąb Rzeszy, na przymusowe roboty w przemyśle zbrojeniowym lub u chłopów, którym zmobilizowano synów i robotników. Wyjście z sytuacji znalazło się przypadkowo, gdy oko matki padło na ogłoszenie w okupacyjnym dzienniku „Krakauer Zeitung“:

Instytucja wojskowa poszukuje pilnie sekretarki ze znajomością języka niemieckiego.
Pożądana jest umiejętność stenografii.
Kandydatki zgłoszą się do Klubu Oficerskiego przy ul. Sapiehy.

„Posada jakby stworzona dla mnie“, powiedziała.

„Nigdy się na to nie zgodzę“, oznajmił ojciec. „Po co samemu pchać się w paszczę lwa? Nie mieliśmy dość tej nieszczęsnej przygody we Lwowie?“

Matka wzruszyła ramionami, wyraźnie dając do zrozumienia, że od dawna czyni to, co uważa za słuszne. Położyła przed sobą gazetę i odpisała adres.

„Jutro pójde się przedstawić“.

„Rób, jak chcesz, ale...“

Ojcowskie „ale“ zawisło w powietrzu jak groźba. Gdy nazajutrz wybierała się na spotkanie, nie wyrażał już zastrzeżeń. Swoje niezadowolenie pokrywał lekką ironią. *Das ewig Weibliche*¹², mruknął, obserwując, jak stała przed lustrem, pudrowała nos i poprawiała uczesanie.

„Nie rób kwaśnej miny“, przymilała się, pocałowała go w czoło i wyszła. Trzy godziny w napięciu czekaliśmy na jej powrót. Wróciwszy, uśmiechnięta zamachała mu przed nosem zapisaną kartką papieru.

„Co za radość. Wygrałaś na loterii?“

„W pewnym sensie. Czytaj. Proszę cię, przeczytaj. Zostałam zaangażowana, jakbym była co najmniej Renatą Müller¹³“. Ojciec zachmurzył się.

„To nie najlepszy przykład“, zauważył szorstko, założył okulary i uważnie przestudiował dokument. Potem zapytał z nie ukrywaną troską:

„Dasz sobie radę?“

„Mam odpowiednie kwalifikacje. Wszystko, co nam teraz potrzebne, to łut szczęścia“.

Objąłem ją mocno. Powiedziałem:

„Jestem pewien, że zrobisz zawrotną karierę“.

„Jak we Lwowie“, wtrącił złośliwie ojciec.

„Nie było tak strasznie, Wilek. Mieliśmy kilka dobrych miesięcy“, odparła, głaszcząc go po źle ogolonym policzku. „Zobaczysz, wszystko się ułoży“. Ojciec przytaknął, lecz nie wyglądał na przekonanego. Wiedział, że od jutra pozostanie sam w czterech ścianach mieszkania, spędzając godziny w pełnym napięciu oczekiwaniu na powrót żony i syna.

Matka szybko zyskała sympatię bywalców kasyna. Hitlerowcy polubili jej wiedeński akcent, „przecież Führer także był Austriakiem“, mówili i oczarowani kobiecym wdziękiem adorowali ją, jakby była jedną z nich. Z dumą opowiadała ojcu o swoich sukcesach, nie zauważając chyba, że słucha z narastającym przygnębieniem.

Praca w kasynie przywróciła jej poczucie samodzielności, stwarzała iluzję normalnego, pozbawionego zagrożeń życia. Ojciec nie mógł zrozumieć tej przemiany. Ja tak. Przecież przeżyłem to samo. Z biegiem czasu, gdy praca przeciągała się do późnego wieczora, wystawiono jej przepustkę na poruszanie się po godzinie policyjnej. Od zmierzchu do brzasku ulice były puste jak wymiottł. Często odwożono ją do domu samochodem. Ojciec stał w oknie i patrzył, jak żegnający się oficerowie całowali ją w rękę. Niektórzy, zmęczeni tęsknotą, otwierali przed nią serca, opowiadali o swoich domach, a także o tym, co dzieje się na frontach. Wiadomości były zaskakujące. Marszałek Paulus,

¹² Wieczna kobiecość.

¹³ Renate Müller - aktorka niemiecka, która wslawiła się główną rolą w filmie „Prywatna sekretarka“. Zmarła w roku 1935, mając 31 lat.

dowódca 6 armii rozgromionej pod Stalingradem, nawołuje Niemców do złożenia broni. Korpus Afrykański, po serii zwycięstw, znajduje się w odwrocie. Legendarny Rommel popadł w niełaskę. W Casablance wylądowali Amerykanie, w Tunezji żołnierze de Gaulle'a... Matka sypała dobrymi wieściami, ojciec rozchmurzał czoło. Wieczorami, pochylony nad gazetami przyniesionymi z klubu, uczył się języka goebbelsowskiej propagandy i rozszyfrowywał treść zagmatwanych komunikatów wojennych. Każdy komunikat o „przegrupowaniu wojsk“ oznaczał kolejne niepowodzenie. Matka znała nazwy miejscowości, ojciec odszukiwał je w starym atlasie, kreślił i mazał przesuwając się linię frontu i z doświadczeniem oficera austro-węgierskiej artylerii konnej przewidywał dalszy rozwój wypadków. Gdy „Völkischer Beobachter“, oficjalny organ partii hitlerowskiej, publikował nominacje nowych generałów i marszałków polnych, matka niemal zawsze umiała powiedzieć, co stało się z tymi, którzy musieli odejść. Piwo i wino rozwiązywały języki bywalców klubu. Większość stanowili oficerowie Wehrmachtu niezbyt życzliwie ustosunkowani do swoich kolegów z jednostek SS. Niechęci tej dawali wyraz dopiero po paru kieliszkach, bo władze bezpieczeństwa twardą ręką tłumili najmniejszy przejaw oporu i nic, nawet wysoka ranga oficerska, nie chroniło przed śledztwem w kazamatach Gestapo.

Nie tylko goście w klubie oficerskim prawili matce komplementy za jej wspaniały niemiecki. Nieco później także Wilhelm Kunde zwykł mawiać, w rzadkich przystępach dobrego humoru, że wzywa ją na przesłuchania, aby „uprzyjemnić sobie dzień“ jej wiedeńską wymową. Posadzony na ławie oskarżonych będzie twierdził z uporem, iż rozmawiał „z matką tego świadka“ jak człowiek z człowiekiem, że wprowadził usiłował wydobyć zeznanie o jej kontaktach z fałszerzami dokumentów, członkami polskich organizacji podziemnych, ale nigdy, przenigdy, nie podniósł na nią ręki.

Śledztwo w kwaterze Kundego składało się z niemal codziennych spotkań, na ogół w cztery oczy. Wracając z przesłuchania, spotykaliśmy się pod „pergolą“ i matka relacjonowała nam, ojcu i mnie, przebieg rozmów. Odnosiła wrażenie, że Kunde skłonny jest przyjąć przedstawioną mu wersję, że nawet darzy ją odrobiną sympatii. Zwierzyła mu się ze swojej miłości do ojca, miłości młodej panny z polskiej rodziny do oficera żydowskiego pochodzenia i ze ślubu, który spowodował wykluczenie jej z grona katolickich krewnych i przyjaciół. Z przejęciem apelowała do jego sumienia, prosząc o litość nad losem jedynaka. Za jego bezpieczeństwo, oświadczała, gotowa jest ponieść każdą ofiarę. Była to wersja bardzo prawdopodobna, misternie zbudowana z drobnych szczegółów, mająca szanse powodzenia. Nie mogła zaprzeczyć żydowskiego pochodzenia ojca. Był obrzezany. Natomiast jej dokumenty były nie do podważenia, ponieważ stanowiły wypis z ksiąg prawdziwej Polki, która zginęła w wypadku samochodowym. Ustawy Norymberskie zezwalały dzieciom zrodzonym z mieszanych małżeństw na pobyt poza murami getta. Ostateczna decyzja leżała, indywidualnie w każdym przypadku, w gestii władz bezpieczeństwa. Właściwie zaopiniowane podanie mogło zdecydować o moich dalszych losach. Wszystko zależało teraz od dobrej woli Kundego. Matka zaproponowała mu nasz ukryty majątek w zamian za moją i jej wolność i za zobowiązanie, że ojciec zostanie odstawiony do obozu w Płaszowie cały i zdrowy. Kunde targował się. Twierdził, że nie ma wpływu na postępowanie Amona Goetha, bezapelacyjnego pana w Płaszowie. Matka obstawała przy swoim. W końcu ugiął się. Ojca przetransportowano do obozu. Dostaliśmy od niego gryps: „wszystko w porządku“. Kunde dotrzymał słowa. Teraz z kolei matka miała spełnić warunki umowy. „Jutro jadę z nim do naszego mieszkania na Długiej“, powiedziała mi, wróciwszy z przedostatniej rozmowy z Kundem.

Kunde zabrał ją do miasta służbowym samochodem z tablicami rejestracyjnymi policji i SS. Zachowywał się jak gentleman. Zaprosił ją na obiad do niemieckiej restauracji, obwiał wokół rynku, pytał, czy chciałyby kogoś odwiedzić i dopiero po tym pojechali na Długą. Aż do tego dnia nie wiedziałem, że, podobnie jak to miało miejsce z Królami we Lwowie, także w Krakowie wykorzystywała znajomość z sąsiadami, aby ulokować u nich odzież i futro. Bizuteria zakopana była w piwnicy, pod skrzynią na węgiel. Pojawienie się hitlerowskiego oficera wywołało popłoch. „Nie ma powodu do obaw“, uspokajała sąsiadów, „ten pan nie interesuje się ludźmi“. Zdumiona sąsiadka bełkotała w przerażeniu: „a mówią, że nikt jeszcze nie wrócił *stamtąd*!“. Kunde wymierzył jej policzek. „Dosyć tych głupstw, wracamy“, mknął, zarzucił karakuły na ramiona matki, ponownie sprawdził, czy bizuteria znajduje się w teczce i wyszedł. Gdy znaleźli się przed domem, elegancko otworzył matce drzwi samochodu, usadowił się przy kierownicy i ruszył w drogę powrotną do kwatery. Wieczorem, tuż przed zamknięciem cel, szepnęła mi:

„Najgorsze już poza nami. Dzisiaj kupiłam za bezcen twoje i moje życie“.

Wyniki wojen nie są przesądzone na polach bitew. Jeśli miałem co do tego jakiegokolwiek wątpliwości, rozproszyły się całkowicie podczas krótkiej jazdy taksówką z lotniska do centrum Hamburga. Widziałem dziesiątki fotografii zrujnowanego miasta, ofiary „dywanowych“ nalotów podczas drugiej wojny światowej. Niemcy mówili o barbarzyństwie aliantów bombardujących ludność cywilną. Ale widok przesuwający się za oknami pędzącego samochodu w niczym nie przypominał powojennych zdjęć. Po obu stronach drogi Hamburg wystawiał na pokaz odrodzone bogactwo metropolii, symbolizował prawdziwe zwycięstwo.

W tych dniach zakończyła się w moim kraju wojna, zapisana w historii jako „wojna sześciodniowa“. Będąc frontowym reporterem skrętnie zapisywałem bieg wydarzeń, od buńczucznych zapewnień Gamala Abd el-Nasera obiecującego zmieść Izrael z map Bliskiego Wschodu, aż do euforii zwycięstwa po zdobyciu Kanału Sueskiego, Jerozolimy i Wyżyny Golan. Pod prasy maszyn drukarskich szły albumy piejące peany na cześć izraelskiej armii; wszystkie zostaną rozchwyte jak świeże bułki. W tym samym czasie pisałem serię reportaży, nagrodzoną później jako najlepiej odzwierciedlająca problematykę wojny. Nie były to reportaże o bohaterstwie. Moim czytelnikom przedstawiłem zapomniany rachunek zwycięstwa: cierpienie tych, którzy przypłacili je ciężkim inwalidztwem.

Nieprzypadkowo odszukiwałem takich inwalidów wojennych, których rany cielesne wywołały reakcję łańcuchową i doprowadziły do załamania psychicznego. Większość nie zdawała sobie sprawy ze związku między utraconą ręką lub nogą a głęboką raną duchową. Bohaterami reportaży byli żołnierze i oficerowie, którzy wyróżnili się brawurą w obliczu wroga, ale nie znaleźli w sobie odwagi, by odnowić normalne pożycie małżeńskie, lub wspaniali piloci nurkujący wprost na lotniska egipskie, ale nie potrafiący już wylądować w swoim domu rodzinnym. Był wśród nich beznogi dowódca czołgu, kontynuujący wojnę z wózka inwalidzkiego. Państwo wynagrodziło go za zasługi pięknym domem w pustynnym mieście Arad. Za każdym razem, kiedy jego żona chciała wyjść z tego domu, choćby po zakupy lub na krótki spacer dla zaczerpnięcia świeżego powietrza, ogarniała go ślepa zazdrość. Młoda kobieta, która spędziła długie tygodnie przy łóżku męża w szpitalu, nie wytrzymała awantur i bijatyk. Porzuciła go. Czasami ofiara rodziła ofiarę. Poznałem lekarkę, której małżeństwo rozpadło się, mimo obopólnej miłości. Jej mąż wrócił z frontu bez rąk. Stracił je podczas natarcia na zaminowany bunkier syryjski. Zamiast dłoni przyprawiono mu doskonale funkcjonujące szczypce z nierdzewnej stali. Z dumą pokazywał, jak wsypuje nimi łyżeczkę cukru do szklanki herbaty. Cóż z tego? Każdej nocy, gdy obejmował żonę, ta dostawała torsji. Nie mogła znieść dotyku chłodnej stali. „Jak długo jeszcze mogę to wytrzymać?“, zwierzyła mi się dwa dni przed umieszczeniem w zakładzie dla nerwowo chorych. Wkrótce potem mężczyzna stał się narkomanem.

Reportaże opowiadały o tych, którzy nie mogli przystosować się do nowej rzeczywistości. Czyż nie był to także problem ludzi, którzy przeżyli Holocaust? Czy zawsze są świadomi urazu psychicznego? Oto ja: jadę taksówką do centrum Hamburga, mam na sobie dobrze skrojone włoskie ubranie, krawat Givenchy, a w teczce zapas ulubionych cygar. Twarz wyraża obojętność, jakby nic nie wiedziała o bliźnie na duszy. A dusza? Jeśli w ogóle istnieje, przestała absorbować wrażenia. Coś się skomplikowało w przemianie chemicznej materii produkującej wzruszenia. Nawet świadomość, że w ciągu dwudziestu czterech godzin stanę twarzą w twarz z zabójcą matki, nie powodowała napięcia. Taksówkarz szeptem coś do radiotelefonu, potem zdawkowo zapytał, czy to moja pierwsza wizyta w Hamburgu. Nie odpowiedziałem. Nie zrażony milczeniem gorąco polecał wyprawę do hamburskiej dzielnicy czerwonych lamp. „Sankt Pauli znana jest w całym świecie“, zachwalał, jakby był co najmniej współnikiem jednego z domów publicznych. Znowu nie odpowiedziałem. Cóż miałem mu do powiedzenia, prócz nazwy hotelu? Taksówkarz machnął lekceważąco ręką, widocznie nie byłem wymarzoną pasażerem. Aż do końca trasy nie raczył mnie zauważać. Miał chyba rację, bo naprawdę nie byłem sobą, lecz kimś, kto tylko wypożyczył na chwilę moją zewnętrzną powłokę. Duchem byłem daleko. Nie myślałem o wczorajszej wojnie i zwycięstwie, ani o jutrzejszej rozprawie sądowej. Cień innej śmierci odprowadzał mnie do hamburskiego hotelu. W naszym domu w Tel-Awiwie została Szu-la. Skończyła zaledwie trzydzieści cztery lata, lecz oboje wiedzieliśmy, że koniec

jest bliski. Medycyna schyłku dwudziestego wieku była bezradna wobec jej niemocy. Jak większość zjawisk potwornych, także choroba Szuli wyrosła z gleby Holocaustu, niczym chwast opomy na wszelkie zabiegi ogrodnika. Europa pogrążona była w ciemności, gdy dostała zapalenia nerek. W owym czasie palec wskazujący szpiclów stanowił broń groźniejszą od broni konwencjonalnej. Szula i jej matka ukrywały się w mieszkaniu przyjaciół w Gorzkowicach, zapomnianym przez Boga miasteczku koło Grójca. Wezwanie lekarza równoznaczne było ze złożeniem losu w ręce obcego człowieka. Obcym nie wolno było ufać. Przysięga Hipokratesa nie obowiązywała wszystkich lekarzy, a za głowę ukrywającego się Żyda można było dostać głowę cukru. Schorzenie toczyło Szulę jak robak dojrzałe jabłko.

Przy stolikach kawiarni „Nizza“ w Tel-Awiiwie spotykali się, w drugiej połowie lat pięćdziesiątych, nowi imigranci z Polski. Język polski był tam „językiem wykładowym“, nauczyła się go nawet kelnerka urodzona w Maroku. Tylko pan kierownik Deutsch, niski, łysy i brzuchaty Żyd z Dortmundu, z uporem przemawiał do nas po niemiecku. Pan Deutsch emocjonował się naszymi przeżyciami i przygodami, może dlatego, że brakło mu własnych, a ponieważ był człowiekiem towarzyskim, żadnej tajemnicy nie chował dla siebie. Z rozbijającą szczodrością rozpowszechniał kawiarniane plotki, nie zawsze prawdziwe, ale na ogół frapujące. Nad filiżanką espresso - na więcej nie mogłem sobie pozwolić - wyjawiał mi, że siedząca pod ścianą dziewczyna, pulchna brunetka o wesołych oczach i zaskakująco delikatnej twarzy, poszukuje kogoś, kto byłby jej pomocny w tłumaczeniu prac Leszka Kołakowskiego. Tak poznałem Szulę, najinteligentniejszą kobietę w moim życiu. Szula władała bezbłędnie zarówno polskim, jak i hebrajskim, doprawdy nie wiem, po co chciała pomocy. Kilka tygodni pracowaliśmy wspólnie, a gdy tłumaczenie oddane zostało wydawnictwu, mieszkaliśmy już razem.

Do Izraela przybyłem dwa lata wcześniej. Bardzo szybko udało mi się zacząć w prasie. Moja żona, Mira, pracowała jako kelnerka, siedmioletni Awigdor uczęszczał do drugiej, adoptowana Ariela do piątej klasy szkoły podstawowej. Pożyczka hipoteczna, udzielana nowym imigrantom na korzystnych warunkach, umożliwiła nam nabycie skromnego trzypokojowego mieszkania w podmiejskiej dzielnicy, graniczącej z pustynnymi piaskami, przed wschodem słońca goszczącej wyjące szakale. Mira nie czuła się szczęśliwa w obcym środowisku. Tęskniła do Polski. Gdyby nie mój nacisk, nigdy nie wyjechałaby z kraju. W pewnym sensie wyrządziłem jej krzywdę, zwłaszcza że już przed emigracją małżeństwo utknęło na mieliźnie obojętności, a nadzieja na ożywienie zgasłych uczuć była bardziej niż nikła. Łudziłem się, że utrzymamy przynajmniej formalne ramy naszego związku, ale kryzys był głębszy niż sądziłem. Brakło jedynie katalizatora przyspieszającego rozkład tkanki. Katalizatorem okazała się Szula.

Mira nie zadawała trudnych pytań, gdy wracałem do domu późnym wieczorem. Nie robiła skandali, gdy całą noc zostawałem poza domem. W jak głęboką depresję wpadła, dostrzegłem dopiero wówczas, gdy wróciwszy po północy, z zapachem obcych perfum na ciele, zastałem ją pogrążoną w głębokim śnie. Bez powodzenia usiłowałem ją obudzić. Puste pudełka po tabletkach nasennych nie pozostawiały wątpliwości: Mira próbowała odebrać sobie życie. Wezwałem lekarza. Lekarz, sąsiad i znajomy, przybiegł w popłochu. Po krótkim badaniu zdecydował, że nie ma rady, że musimy wezwać karetkę pogotowia. „Wiem, że wolałbyś to załatwić bez rozgłosu, ale nie mogę przyłożyć do tego ręki. Tylko szybkie pompowanie żołądka może ją ocalić“, stwierdził. Pojechałem z nią do szpitala. O drugiej po północy, kilka minut po udanym zabiegu, otworzyła oczy, a dostrzegłszy mnie opartego o łóżko, powiedziała cicho:

„Jeśli mnie porzucisz, zrobię to znowu“.

Dyżurny lekarz i pielęgniarka stali przy oknie. Pochyliłem się nad Mirą, mówiąc szeptem, aby nie mogli usłyszeć:

„Nie wierzę w miłość pod groźbą kary śmierci“.

Odpowiedź była brutalna, ale sądziłem, chyba słusznie, że tym razem nie wolno stwarzać iluzji. Sytuacja była zbyt dramatyczna i zbyt realna, aby składać obietnice, których nie miałem zamiaru dotrzymać. Pielęgniarka przeprosiła lekarza i podeszła do nas. Jej oburzony wzrok zdradzał, że słyszała każde słowo.

„Proszę nas zostawić, musimy porozmawiać“, rzekłem.

„Nie“, odparła kategorycznie. „Pacjentka jest bardzo osłabiona, potrzebuje odpoczynku“.

Wyszedłem.

Po tygodniu usiedliśmy przy stoliku w „Nizy“, aby ustalić warunki rozwodu. Mimo wzburzenia, które nadaremnie próbowała ukryć, Mira przejawiała rozsądek i zdecydowanie. Zrobiwszy rachunek sumienia i podsumowawszy moje grzechy, ustaliła ich cenę na pięć tysięcy funtów, sumę przekraczającą moje roczne dochody. Żaden bank nie udzieliłby mi takiej pożyczki. Ponadto miałem zrezygnować z mojego udziału we wspólnym mieszkaniu oraz wziąć na siebie wychowanie i utrzymanie dwojga dzieci, aż do osiągnięcia przez nie pełnoletności. Adwokat, który zgodził się nas wspólnie reprezentować, uniósł brew ze zdumienia. „Jaka matka rezygnuje z dzieci? Nie mogę tego pojąć“, zdziwił się. Ja mogłem. Adwokat spisał umowę. Żądane pieniądze oraz odpowiednie zapisy w księgach wieczystych miałem zdeponować w banku. Zostaną jej przekazane, tak wynikało z treści porozumienia, za okazaniem świadectwa rozwodu.

Rodzice Szuli niechętnym okiem patrzyli na naszą znajomość. Oboje byli, wypisz wymaluj, „strasznymi mieszczanami w strasznych mieszkaniach“, typowi przedstawiciele drobnej burżuazji, przerażeni związkiem jedynaczki z mężczyzną żonatym, dzieciatym i w dodatku nie śmierzącym groszem. Szula miała własne, dwupokojowe mieszkanie, ale ojciec groził jej skandalem, wydziedziczeniem i wszystkimi innymi możliwymi sankcjami, jeśli pozwoli mi się tam wprowadzić. Nie chcąc zaognić i tak napiętych stosunków, a może przede wszystkim dla wygody dzieci, wynająłem skromne mieszkanie w centrum miasta. Czynyż pożerał niemal całe pobory, ale byłem na swoim. Po kilku tygodniach nastąpiło nieuniknione: Szula przeprowadziła się do mnie. Takiego wstydu rodzina nie mogła przeżyć. Matka Szuli zatelefonowała do redakcji, proponując rozmowę. Nie, broń Boże, nie w domu; w parku. Spotkaliśmy się tego samego popołudnia. Pogoda była marcowa, siąpił deszcz. Przyszła punktualnie, opatulona w ciepły płaszcz. Usiedliśmy na ławce pod jej rozpiętym, czarnym jak kruk parasolem.

„Ani słowa mężowi“, szepnęła, bojaźliwie rozglądając się wkoło, niemal jak tajna agentka.

Skinąłem głową na znak porozumienia.

„Ani słowa Szuli“.

Skinąłem po raz wtóry. Starsza pani wcisnęła mi w rękę podłużną paczuszkę zawiniętą w brązowy papier pakunkowy i związaną zwykłym szpagatem.

„Co to?“, zdumiałem się. „Materiał wybuchowy?“

„Coś w tym rodzaju“, odparła. „Całe miasto szumi od tego, co wyrabiacie, ty i nasza córka. Nie możemy pokazać się na oczy sąsiadom. Przyjaciele wyśmiewają się z nas za plecami. Na szczęście, jak każda dobra gospodyni, mam swój węzełek. W paczce jest pięć tysięcy gotówką. Wpłać je do banku i załatw ten przeklęty rozwód. Tylko szybko. Jeśli moja zwariowana córka upiera się wyjść za takiego mężczyznę, niech to przynajmniej będzie z błogosławieństwem rabina“.

„Dziękuję“, bąknąłem, ściskając paczkę z pieniędzmi. Matka Szuli wstała. Papier mókł na deszczu. Wsunąłem paczkę za pazuchę. Na odchodnym rzuciła:

„Mąż kazał ci powiedzieć, że jeśli z niej zrezygnujesz, dopłaci ci drugie tyle. Co ty na to?“

Na błogosławieństwo rabinatu musieliśmy poczekać¹⁴. Kilka dni po wpłaceniu pieniędzy staliśmy, Mira i ja, przed trójką starszych brodatych sędziów, którzy mieli udzielić nam rozwodu. W przypadkach obopólnej zgody nie czyniono stronom trudności. Sądziłem, że będzie to przykra, ale krótka formalność. Nagle jeden z sędziów zdjął okulary, zmierzył mnie przenikliwym spojrzeniem i powiedział:

„Obawiam się, że sąd nie jest kompetentny dla rozpatrywania tej sprawy“.

„Dlaczego?“, zaniepokoił się nasz adwokat.

„Sąd rabinacki nie jest uprawniony do rozpatrywania wniosków złożonych przez innowierców“.

„Innowierców?“ Zdumienie adwokata było prawdziwe.

„Tak“, stwierdził rabin. „Roman, to bardzo nieżydowskie imię. Może przeszedłbym nad tym do porządku dziennego, gdyby nie imię ojca. Wilhelm, prawda? Czy pan mecenas słyszał kiedykolwiek, żeby Żydowi urodzonemu w ubiegłym stuleciu nadano imię cesarza niemieckiego?“

Rabin ostentacyjnie zamknął tekturową teczkę.

„Chwileczkę!“, zaprotestował adwokat. „Przecież można to udowodnić“.

„Przerywam rozprawę do godziny jedenastej. Ma pan dwie godziny na sprowadzenie dwóch wiarygodnych świadków“.

¹⁴ W Izraelu nie ma ślubów cywilnych i rozwodów sądowych.

Wszelkie próby przekonywania spaliły na panewce. Nie mieliśmy wyjścia. Skąd wziąć o tej porze, gdy większość znajomych pracuje, dwóch wiarygodnych świadków? „Jurek Press!“, zawołałem głosem odkrywcy prawa Archimedesesa. Jurek był bezrobotny, lubił wylegiwać się do późna, a ponadto miał ciemną brodę. „Nałóż jarmułkę i będzie wyglądał jak urodzony talmudysta“, powiedziałem. „Ale skąd weźmiemy drugiego?“ Adwokat uśmiechnął się tajemniczo: „Nic się nie martw. Ja mam drugiego świadka“.

O jedenastej znów stawiliśmy się przed obliczem sądu. Jurek zrobił świetne wrażenie. Rabini nie kwestionowali jego świadectwa, gdy zeznał pod przysięgą - trochę krzywą, ale czegoż nie robi się dla przyjaciół - że nasi ojcowie modlili się w tej samej bóżnicy.

„A drugi świadek?“

„Drugi świadek znajduje się w tej sali“, oznajmił adwokat triumfująco. „Wprawdzie jest to świadek głuchy i niemy, ale jego prawdomówność jest nie do obalenia“.

„Nie widzę nikogo“, rzeki rabin z lekką nutką zniecierpliwienia.

„Proszę wysokiego sądu, mój klient jest obrzezany“.

Zmarłem w bezruchu. Byłem przekonany, że natychmiast zostaniemy wyproszeni z sali. Ale nie. Trzej rabini zaczęli się naradzać. Po chwili jeden z nich zaprosił mnie do bocznego pokoju, kazał spuścić spodnie i zawyrokował spokojnie: „rzeczywiście, nie ma żadnych wątpliwości“. Nikt nie zauważył, że zbladłem. Jak żywa stanęła przede mną scena sprzed dwudziestu lat, gdy w bramie starej krakowskiej kamienicy spuszczałem spodnie przed dwoma hitlerowskimi żandarmami i żydowskim szpiclem w kapeluszu...

Z Szulą pobraliśmy się w kwietniu 1961. Marzyliśmy o skromnym ślubie w gronie przyjaciół, ale znaleźliśmy się w luksusowej sali bankietowej z orkiestrą i dwustu zaproszonymi gośćmi. Gdyby rodzice Szuli dali nam połowę sumy, którą wydali na huczne wesele, mielibyśmy dosyć na urządzenie mieszkania. Dla nich jednak ważniejsze były pozory. Zaraz po tym wyjechaliśmy na „trzydniowy miesiąc poślubny“ w Tyberiadzie, nad brzegiem jeziora Genezaret. Po powrocie musieliśmy myśleć o utrzymaniu czteroosobowej rodziny. Wkrótce okazało się, że problemy materialne nie były naszym największym zmartwieniem. Ariela i Awigdor nie mieli pojęcia o umowie zawartej z Mirą, nie mogli zrozumieć, dlaczego muszą mieszkać z obcą kobietą, i w konsekwencji uparcie odrzucali wszelkie próby zbliżenia. Szula miała w sobie dużo macierzyńskiego ciepła i miłości, ale one nie przyjmowały tego, co pragnęła im ofiarować. Wszystko to miało miejsce znacznie wcześniej, zanim dowiedzieliśmy się, że sama nigdy nie urodzi dzieci.

Prawda o jej stanie zdrowia dotarła do nas dopiero w Szwajcarii, podczas spóźnionej o kilka lat prawdziwej podróży poślubnej. Podróż zamierzaliśmy rozpocząć w Europie, a zakończyć w Kanadzie, dokąd zaprosił nas wujek Szuli, Henryk. W przeciwieństwie do jej matki, Henryk był człowiekiem umiejącym używać majątku, którego się dorobił, wyróżniał się gościnnością i szerokim gestem, zawsze hołdując liberalnej zasadzie *leben und leben lassen*¹⁵. Pasjonował się wędkarstwem w jeziorach północnej Kanady i nie stronił od towarzystwa pięknych dam. Nasza przyjaźń, zapoczątkowana w dniu ślubu, przetrwała do dnia dzisiejszego. Ale on także nie należał do wtajemniczonych, nie wiedział nic o ciężkim schorzeniu siostrzenicy.

Mogę się jedynie domyślać, dlaczego rodzice Szuli utrzymywali jej chorobę w tak głębokiej tajemnicy. Sądzę, że nie mieli dosyć samozaparcia, aby przekroczyć barierę psychologiczną wzniesioną z mieszaniny wstydu i poczucia winy. Zapewne obawiali się, że otoczenie skieruje na nich palec oskarżycielski, a może nie znaleźli w sobie odwagi, by powiedzieć córce całą okrutną prawdę. Dopiero kilka godzin przed wyjazdem, gdy siedzieliśmy już na spakowanych walizkach, wpadła do nas matka Szuli, aby ją uściskać na pożegnanie. Przy okazji rzuciła niemal od niechcenia:

„Pamiętasz profesora Schafhausena w Zurychu? Byliśmy u niego przed kilku laty. Właśnie rozmawiałam z nim przez telefon. Przyjmie cię w piątek o dziesiątej rano“.

„Po jaką cholere?“ zezłościła się Szula. Łatwo wpadała w złość i równie łatwo uspokajała się.

„Nic specjalnego. Ot, takie sobie okresowe badanie. Strzeżonego Pan Bóg strzeże“.

W taki to przypadkowy sposób dowiedziałem się, że Szula, która nigdy nie odwiedzała żadnej kliniki w Izraelu, była kiedyś pacjentką znanego szwajcarskiego nefrologa. Myślę, iż bagatelizowała

¹⁵ W wolnym tłumaczeniu: używać życia i użyć bliźniemu.

te wizyty, a było ich kilka, ponieważ pan profesor nigdy nie wyjawiał, jak bardzo była chora. Tym razem było inaczej. Po długim badaniu oznajmił jej bez osłonek:

„Nie wolno pani mieć dzieci. Cięża grozi śmiercią“.

Niczego więcej nie chciał powiedzieć. Profesor Schafhausen był jak szwajcarscy bankierzy, którzy nade wszystko cenią zamknięte usta.

„Dokładne rozpoznanie choroby prześlę bezpośrednio pani lekarzowi w Izraelu“, powiedział, wstając z fotela.

„Ale ja nie mam żadnego lekarza“, zaprotestowała Szula.

Profesor Schafhausen spojrział na nią podejrzliwie. Potem zerknął do teczki pacjenta i mruknął: „zapomniałem; korespondencja idzie na adres pani rodziców. Jeśli chodzi o rachunek, proszę się tym nie kłopotać. Pani matka uregulowała go z góry“.

Szula wyszła z gabinetu lekarskiego, nerwowo zagryzając dolną wargę. Siedziałem w przestronnej poczekalni. Przez ostatnie pół godziny sekretarka profesora zabawiła mnie rozmową o pogodzie, o jakości ręcznie produkowanych zegarków i o bezgranicznej bezczelności Japończyków wtykających nos w tradycyjny przemysł Szwajcarów. Sekretarka mówiła bez emocji, jak przystało na bardzo zadbaną panią w średnim wieku, odzianą w ciasno przylegający biały kitel i ukrywającą oczy za okularami w modnej oprawie. Ona również spostrzegła nerwowy odruch Szuli i z profesjonalną troską, bez cienia osobistego zaangażowania, zaproponowała jej szklanekę zimnego napoju. Szula przeszła przez sekretariat nie zauważając nikogo. Wybiegłem za nią. Dopiero gdy zatrzymała się przy windzie, miałem okazję zapytać: „Na miłość boską, co się stało?“

Drzwi windy otwarły się bezszelestnie. Weszliśmy i stanęliśmy oparci o przeciwległe ścianki, razem, a jednak osobno, dwoje ludzi zamkniętych w odciętej od świata klatce. Szula przejrzała się w lustrze. „Tak. Nie jestem już kobietą“, wyrzuciła z siebie. „Nie jestem już kobietą“, powtórzyła.

„Nie wyglądasz na mężczyznę“, próbowałem zażartować.

„Nie ma w tym nic śmiesznego“, zachnęła się.

„Co powiedział profesor?“

„Powiedział, że nie wolno mi zająć w ciąży“.

„Nie ma sprawy. Kupisz sobie pigułki przeciwciążowe“.

„Nic nie rozumiesz albo nie chcesz zrozumieć“, odparła i zamilkła.

Winda zjeżdżała tak miękko jakby szyb był wyłożony watą i równie miękko zatrzymała się na parterze. Szula nosiła buty na wysokich obcasach stukających o marmurową podłogę hallu. Pchnąłem przed nią oszklone drzwi obrotowe. Znaleźliśmy się na ulicy. Padał deszcz. „Zmokniemy“, powiedziałem. Woda niszczyła wygląd jej starannie uczesanych włosów. „Psujesz sobie fryzurę“, dodałem, otwierając parasol. Ale Szula, wyraźnie pragnąc zademonstrować swój nowy stosunek do kobiecości, odmówiła ochrony przed deszczem. Po chwili rozmazał się jej makijaż oczu. Nie byłem pewien, czy ciemnoniebieska strużka spływająca po policzkach to tylko deszcz, czy też deszcz pomieszany z łzami. Lato miało się ku jesieni. Przypominała o tym żółknąca korona rozłożystego kasztana rosnącego naprzeciw biurowca, z którego wyszliśmy przed chwilą. Drzewo rosło samotnie wśród szarych murów i oświetlonych okien wystawowych, samym swoim istnieniem przypominając, że świat to nie tylko domy, ulice i samochody. Pomyślałem o sile przyrody kierującej naszym życiem, o drzewach, które nie tracą soków, nawet gdy tracą liście. Szula zacisnęła pasek deszczowca, pasek bez klamry, związany niedbałym węzłem. Spontaniczny ruch symbolizował w moich oczach chwilę odcięcia od otoczenia. Taką wryła mi się w pamięć, jak fotografia, która nigdy nie żółknie.

Macierzyństwo uważała za nieodłączną część kobiecości, zaś kobiecość za najistotniejszy element swego życia. Nie była to kobiecość z rodzaju, jaki feministki wypisują na sztandarach, lecz taka, która wymaga obecności mężczyzny, bo dopiero w jego towarzystwie uzyskuje pełną wyrazistość. Teraz odkryła, że brak jej istotnego ogniwa w łańcuchu istnienia i dlatego byt stracił znaczenie. Nie znaczy to, iż należy mu położyć kres, mówiła, ale nie ulega wątpliwości, że od tego dnia będzie jak potrawa, którą zapomniano posolić. Bez smaku.

Różniliśmy się zasadniczo poglądami na kwintesencję życia. Byłem mistrzem w fachu racjonalizacji. Zawsze umiałem sobie wytłumaczyć, że potknięcie uratowało mnie przed upadkiem; że upadek umożliwił mi stanąć na nogi lepiej niż poprzednio; że rozbite małżeństwo nie stanowiło żadnego nieszczęścia, ponieważ byłem wolny do zawarcia lepszego; a przede wszystkim wierzyłem święcie i bez zastrzeżeń, że tak jak każdy żołnierz nosi w plecaku buławę marszałkowską, tak ja mam ukryty w zakamarkach duszy przysłowiowy łut szczęścia. Szula była inna. Natura nie wyposażała jej

w tę wspinałą cechę postrzegania kolom czarnego jako biały lub, w najgorszym przypadku, jako jeden z odcieni szarości. Nie posiadała umiejętności oszukiwania samej siebie i za brak ten płaciła zawsze pełną cenę niepowodzenia. Ja proponowałem kontynuację podróży, Szula sprzeciwiła się kategorycznie. „Jak długo będziemy mogli udawać, że nic się nie stało, że wszystko w porządku?“, chciała wiedzieć. „Ile razy będziesz musiał odwracać wzrok, aby nie widzieć mojej skwaszonej miny?“ Dyskusja nie miała sensu. Wysłaliśmy depezę anulującą wizytę u wuja Henryka w Kanadzie, aby nazajutrz wrócić do domu. Na lotnisku Ben Guriona w Tel-Awiwie oczekiwali nas rodzice Szuli. W drodze do miasta teść siedział milczący za kierownicą wypieszczonego opla; teściowa szczebiotała jak dzierlatka, ani słowem nie odnosząc się do tak nagle przerwanej podróży.

Jeszcze tego samego tygodnia Szula zwróciła się do lekarza-specjalisty, prosząc o dokładną diagnozę. Gdy pojęła, że nie ma takiego leku na świecie, który mógłby przywrócić jej zdrowie, zaproponowała z całą powagą: „musimy się rozwieść“.

„Bzdury“, odtrąciłem propozycję. „Mamy dzieci z moich poprzednich małżeństw. Jak się nie ma, co się lubi...“

„To nie to samo“.

Rozumiałem jej przygnębienie, ale nie czułem go. Przypuszczalnie dlatego, że nigdy nie dałem własnym dzieciom miłości, na jaką zasługiwały. W liście do mojej córki napisałem kiedyś, że gdyby urządzono olimpiadę dobrych ojców, nie miałbym szansy nawet na brązowy medal. Także obce dzieci nie rozgrzewały mi serca. Pamiętam, jak w pierwszych dniach po wojnie z wyraźną wrogością patrzyłem na młode kobiety wyprowadzające swoje pociechy na spacer, podające niemowlakom pierś lub butelkę, kołyszące je w ramionach, zmieniające pieluszki, zawsze uśmiechające się tym jedynym w swoim rodzaju, matczynym uśmiechem. Z trudem znosiłem myśl, że w noc, podczas których poczynano te dzieci, przewracałem się z boku na bok na obozowej pryczy, nie będąc pewien następnego dnia.

Rozmawialiśmy w telawiwskiej kawiarni, której stoliki i krzesła wypełzły z małego pomieszczenia na zalany słońcem chodnik. Szula sączyła przez słomkę sok pomarańczowy. Ja, jak zwykle, trułem się mocną kawą. Może się to wydawać dziwne, ale właśnie ludzie przy sąsiednich stolikach oraz liczni przechodnie stwarzali atmosferę intymności. Nie na darmo mówi się, że w tłumie człowiek czuje się najbardziej samotny. Szula tak bardzo zniżyła głos, że chwilami zagłuszały go przejeżdżające autobusy.

„Mów trochę głośniej“, prosiłem. Szula wiedziała, że wyszedłem z obozów głuchy na prawe ucho.

„Ta rozmowa nie zmieni niczego, nawet jeśli będę krzyczała,“ powiedziała. „Nawet jeśli zaakceptujesz mnie taką, jaką jestem, nigdy nie uda mi się wyzbyć poczucia winy. Poczucia, że oszukałam cię, podobnie jak oszukiwałam cały świat“.

„Nie czuję się oszukany“.

„Głuptas“. Palcem wskazującym lekko dotknęła moich ust. „Głuptas, ale nie na długo. Wkrótce otworzysz oczy i zobaczysz, jak bardzo jestem ułomna. Znam cię. Znam cię dobrze. Wówczas nie ty, lecz ja stanę twarzą w twarz z rzeczywistością“.

„Obrażasz mnie“.

„Nie. Jedyne czego pragnę, to uzmysłwić ci powagę sytuacji. Powiedzieć, że jedyna droga, by od niej uciec, to uciec ode mnie“.

„Przejdziemy przez ten trudny okres razem“.

„Nie będzie innego okresu. Nie ma światła w końcu tunelu“.

„Kocham cię“, rzekłem stanowczo i już w sekundzie, w której wyzwoliły się słowa i nie można ich było cofnąć, nie byłem pewien, czy powiedziałem prawdę. Co do jednego nie miałem wątpliwości. Wiedziałem, że cokolwiek by się nie stało, nie opuszczę jej; że nie zostawię jej, nawet jeśli będzie to zadanie trudne do wykonania. Nie miałem złudzeń, oboje zdawaliśmy sobie sprawę, że choroba jest nieuleczalna. Czego nie znałem jeszcze, to ciężaru powietrza wdychanego we wspólnej celi skazanych na śmierć, celi w której tylko jeden więzień czeka na amnestię.

Szula kroczyła naprzeciw śmierci z podniesionym czołem. Jeśli ogarniał ją strach przed wiadomym niewiadomym, potrafiła go skrzętnie ukrywać. Było jej niezłomnym postanowieniem utrzymać bez zmian stary porządek dnia. Nadal zajmowała się tłumaczeniami. Istotna była nie tylko satysfakcja, ale także przyczynek do domowego budżetu. Praca zawodowa nie przeszkadzała jej przyjmować gości jak dawniej, jak gdyby nigdy nic. Dopiero gdy ostatnia z zaproszonych osób

zamykała za sobą drzwi, padała półżywa na łóżko. Nawet wówczas niosła z sobą uśmiech mówiący: widzisz? zwyciężyłam.

Szula nie wyróżniała się urodą. Uwiodły mnie jej mądrość i inteligencja. Tak się jednak stało, że z postępowaniem choroby przykładała coraz więcej znaczenia do miłości cielesnej. Jej pożądanie wkrótce stało się obopólną zgorzelą. Moja gotowość stanowiła dla niej najistotniejszy miernik jakości życia. Działo się tak przeważnie wówczas, gdy wzrastało ciśnienie krwi i groziło pęknięciem serca. Nerwowo i obsesyjnie szukała dowodu, że ciało moje nie jest obojętne na jej wdzięk, a nie znajdując go w sprężystej gotowości na każdy dotyk, rzucała gorzko:

„Już jestem dla ciebie martwa“.

Żadne rozsądne wyjaśnienie nie mogło zastąpić reakcji potwierdzającej, że wciąż jeszcze jest królową mojego łóżka. Zresztą, czy mogłem się przyznać, że paraliżuje mnie strach, że ogarnia mnie niemoc za każdym razem, gdy czuję rosnące ciepło jej bioder? Nieustające próby nalania z pustego zatruwały atmosferę sypialni. Lekarze przestrzegali mnie: każdy wysiłek, psychiczny lub fizyczny, grozi atakiem serca. Szula reagowała na moją wstrzemięźliwość wybuchami złości lub, na przemian, histerycznym płaczem. Noce stawały się coraz dłuższe, dni coraz trudniejsze. Może dlatego nie miałem wyrzutów sumienia, gdy na horyzoncie pojawiła się inna kobieta. Wiedziałem przecież, że ta druga nigdy, przenigdy nie spowoduje prawdziwej zdrady. Czym głębiej zanurzała się Szula w chorobę, tym mocniejszy wydawał mi się nasz związek. Gdy otrzymałem wezwanie sądu krajowego w Kilonii, nie chciałem jechać, bo nie byłem pewny, czy zobaczymy się jeszcze po powrocie. Ale Szula uparła się: „Jest twoim obowiązkiem pojechać, świadczyć i doprowadzić do skazania mordercy. To dług zaciągnięty wobec matki i nie ma takiej siły na świecie, która mogłaby cię z tego długu zwolnić“.

Wszystkich mogła zwodzić, ale nie własny organizm. W ciągu roku stan Szuli pogorszył się tak dalece, że lekarz zalecił natychmiastową dializę w prywatnej klinice. W przeciwieństwie do swego szwajcarskiego kolegi, profesor Josef Rosenfeld w Tel-Awiiwie hołdował zasadzie, że ciężko chory pacjent powinien znać całą prawdę, aby „być panem swego losu“. Bez zbędnych konwenansów oświadczył, że miejsca na jego oddziale w szpitalu są ograniczone i że kierując się lekarskim sumieniem, musi je oddawać do dyspozycji tych osób, które rokują nadzieję na poprawę zdrowia.

„To znaczy, że ja nie rokuję żadnej nadziei“, logicznie zauważyła Szula.

Siedzieliśmy w piątce: Szula, jej matka Róża, wujek Henryk z Kanady, lekarz i ja. Po dziesięciu napiętych sekundach słowa profesora Rosenfelda brzmiały jak echo kamieni wrzucanych do głębokiej studni:

„Dializa nie uratuje ci życia, ale może je przedłużyć.“

„O ile przedłuży moją agonię?“, naciskała Szula. „Nie jestem Panem Bogiem. Jestem tylko lekarzem.“

„Niech się pan nie bawi ze mną w chowanego. O ile? O rok? O miesiąc?“

„Medycyna to nie matematyka. Nie potrafię udzielić dokładnej odpowiedzi. Co by nie było, dializa zapewni ci kilka miesięcy względnie normalnego życia“.

„To, co pan uważa za normalne, w moim przekonaniu wcale nie jest normalne“, oznajmiła. „Rezygnuję z dializy“. Wujek Henryk otarł łzę. Szula pogładziła go delikatnie po wierzchu dłoni. „Wiem, że byłeś gotów ponieść wszystkie koszty. Dziękuję za twoje dobre chęci“, powiedziała. Matka wybuchła histerycznym płaczem. Szula podała jej chusteczkę.

„Obetrzyj te swoje krokodyle łzy“, powiedziała zimno. „Tak się mówi do własnej matki?“, obruszyła się Róża. „Każdy ma własny styl mówienia. Mój jest może bezpośredni, ale nie ma w nim fałszu“.

„Wyrządzasz mi krzywdę“.

„To jest obopólne, mamó“. Szula wstała, dając do zrozumienia, że nie życzy sobie dalszej dyskusji.

Przez kilka tygodni matka miała zakaz wstępu do naszego domu. Ale gdy Szula nie mogła już wstawać z łóżka i nie znajdowała w sobie dosyć siły na opór, dała się przekonać i pozwoliła jej dyżurować w godzinach mojej pracy. Było późne lato roku sześćdziesiątego dziewiątego, czas, w którym rodzice Szuli przestali się wstydzić zięcia. Należałem już do czołówki izraelskiego dziennikarstwa, zebrałem kilka prestiżowych nagród za osiągnięcia zawodowe, byłem dosyć znanym autorem programów radiowych i telewizyjnych. Jak na człowieka, który dziesięć lat temu nie znał alfabetu hebrajskiego, było to nie najgorsze osiągnięcie.

Dwa dni przed wilią żydowskiego Nowego Roku, gdy ślęczałem nad ostateczną redakcją świątecznego wydania gazety, zadzwonił telefon na biurku. „Obawiam się, że Szula dostała ataku serca. Wezwałam lekarza,“ wołała Róża do słuchawki. Zanim znalazłem wóz na parkingu i dojechałem do domu, nie żyła. Lekarz okrył ją prześcieradłem. Odsłoniłem jej twarz. Była blada, ale bardzo spokojna.

Gdyby nie wyraźne żądanie Szuli, wątpię, czy zgodziłbym się polecieć do Niemiec, aby świadczyć przeciw Kundemu. Czy miała rację, wywierając na mnie tak trudny do odparcia moralny nacisk? Byłem już w samolocie połykającym powietrze na trasie z Zurychu do Hamburga i wciąż jeszcze nie czułem owego „świętego obowiązku“, o którym Szula mówiła z przekonaniem pełnym patosu. Wręcz przeciwnie. Z upływem czasu oddalałem się, z szybkością ośmiuset kilometrów na godzinę, od lotniska, na którym zostawiłem wszelkie wspomnienia. Z głową opartą o chłodny owal okna bezmyślnie przyglądałem się chmurom wyścielającym trasę lotu, aż głos młodej kobiety przebił jak szpilka bańkę mojej obojętności: „Czy można podać panu coś do picia?“

W przejściu między fotelami, lekko pochylona do przodu, stała stewardesa. Zapach dobrych perfum ulatniał się z jedwabnej chusty zarzuconej przez szyję. Szula lubiła perfumy. Bez trudu poznałem drażniący zapach *Joy*. Podniosłem wzrok. Stewardesa z wdziękiem nosiła uprzejmy, zawodowy uśmiech. Zdawało mi się, że pod warstwą makijażu ukrywa zmęczenie.

„Kawę. Poproszę kawę“.

„Może jakiś alkohol? Mamy...“

„Dziękuję uprzejmie. Tylko kawę“.

Teraz zwróciła się do pasażera siedzącego obok, po mojej lewej: „Dla pana?“

„Piwo“, rzucił krótko. Dopiero gdy zrobiła krok w stronę następnego rzędu, dodał apodyktycznie: „Pilzneńskie; i żeby było zimne“.

Mój sąsiad miał stanowczy głos, który bez żadnej określonej przyczyny brzmiał mi odpychająco. Minęło dwadzieścia minut od startu w Klotem Przez cały ten czas, zamknięty we własnej próżni, nie poświęciłem mu żdźbła uwagi. Był mężczyzną chyba sześćdziesięcioletnim, o surowych rysach twarzy, dziwnie kontrastujących z mięsistym nosem. Nosił modnie uszytą marynarkę z angielskiego tweedu, ale węzeł krawatu - małe popielate prostokąty zdradzały dobre pochodzenie, tylko *Hermes* robił takie krawaty - przesunięty był krzywą od wyznaczonego mu miejsca w kołnierzu białej koszuli. Dalszą obserwację przerwała stewardesa, która przyfrunęła bezszelestnie na obłoczku *Joya* i postawiła przed nami zamówione napoje. Kawa była bez aromatu, ale piwo z pianą. Mój sąsiad wypił je jednym haustem. Zafascynowany patrzyłem na jabłko Adama poruszające się przy każdym łyku. Wysoką szklankę piwa trzymał między kciukiem lewej ręki a palcem serdecznym, bo zamiast wskazującego miał tylko krótki kikut. Gdy skończył, otarł z ust resztki piany i zwrócił się do mnie twarzą. Teraz malowało się na niej nie ukrywane zadowolenie człowieka, który zaspokoił pragnienie. Uśmiechnął się. Po chwili, zauważywszy na moich kolanach hebrajski tygodnik - leżał tam nietknięty od chwili startu - zapytał: „To hebrajski gazeta?“

Jego niepoprawny angielski nasycony był niemieckim akcentem.

„Tak“. Lakoniczna odpowiedź była wyraźnym sygnałem mojej niechęci. Nie miałem ochoty na towarzyskie rozmowy. Ale Niemiec nie dawał za wygraną.

„Pan jest z Izraela?“, dociekał.

„Tak“.

„Uchylam kapelusza przed wami“.

„Nie ma pan kapelusza“, zauważyłem bez cienia humoru.

„Z całym szacunkiem. Wielka rzecz. Wielka rzecz zrobiliście w Synaju. Dużo egipskich czołgów kaput, widziałem w telewizji. Lepiej od lisa pustyni“.

Wiedziałem, że miał na myśli nazistowskiego marszałka Rommla. Nie chciałem wywoływać sprzeczki. Z grzeczności przytaknąłem. Mój sąsiad odebrał to jako zaproszenie do pogłębienia znajomości.

„Był pan na froncie?“, spytał.

„Tak“.

„Dobrze. Bardzo dobrze. Trzeba walczyć. Ja dużo rozumiem na wojnie. Na drugiej światowej byłem w Waffen-SS. Panzerwaffen. Ja wiem ogień i ruch, ruch i ogień. Doktryna Guderiana. Ale Izraelczycy jeszcze lepiej. Tyle arabskich tanków kaput! Pan też oficer rezerwy?“

„Tak“.

„Pan pozwoli uścisnąć rękę. Na znak uznania. Jak żołnierz i żołnierz“.

Nim zdążyłem odpowiedzieć, porwał moją dłoń. Próbowałem ją wyrwać z niespodziewanego uścisku. Filiżanka na składanym stoliku przewróciła się, resztki kawy spłynęły mi na kolana. Dopiero wówczas pojął, jak bardzo byłem wzburzony. Równie nagle wypuścił moją rękę i wtoczył się w oparcie siedzenia, jakby cofając przed moim milczącym atakiem.

„Ja przepraszam“, wymamrotał. „Ja bardzo przepraszam. Ja myślę, że nie ma powodu do gniewu. Ja byłem tylko żołnierz, pan też tylko żołnierz. Ja nie mam nic przeciw Żydom. Nigdy nie miał nic przeciw Żydom. Nigdy nie strzelał do cywilów. Waffen-SS to jak wojsko. Tylko wojna. Tylko front. Przeciw komunistom. Dla cywilizacji. Dla Europy bez bolszewików. Teraz ja w interesach. Businessman. Lekarstwa i chemikalia. Dobra szwajcarska firma... Tyle lat minęło... Nie można... Nie można...“

„Czego nie można?“

„Emocje, to źle. Nie wolno być cały czas w przeszłości“.

Milczałem. Cały czas uciekałem przed przeszłością, aż mnie złapała za rękę, tutaj, dziesięć tysięcy metrów nad powierzchnią ziemi. Wróciła podstępnie, wdarła się do mojego domu jak nieproszony gość. Nie wiedziałem, jak go wystawić za drzwi. Nie znam lekarza psychiatry, który potrafiłby zmasać na zamówienie to, co dla nas niewygodne. Wykarczować wspomnienia zakorzenione w jakimś ciemnym zakątku duszy. Umożliwić nam pełną kontrolę naszych myśli. Jakże często wydaje nam się, że jesteśmy panami naszych uczuć i odczuć, aż do chwili, gdy znikąd pojawia się zupełnie nieoczekiwany stymulator i, działając niczym sprężyna, otwiera akurat tę szarą komórkę mózgu, w której ukryliśmy wspomnienia przeznaczone na wieczne zapomnienie.

Spojrzałem na sąsiada. „Bardzo pana proszę...“, zacząłem, lecz nie musiałem kończyć. Niemiec skinął głową ze zrozumieniem.

„Nie chciałem urazić“, szepnął. „Naprawdę nie chciałem urazić“.

Po chwili wstał i przeniósł się na wolny fotel w głębi kabiny. Próbowałem czytać gazetę, ale litery nie układały się w słowa, słowa nie tworzyły zdań, a zdania nie łączyły się w logiczną treść. Silniki samolotu brzęczały monotonna, niewidoczna bariera dźwięku odgradzała mnie od rzeczywistości. Asocjacja nasunęła się sama: szum odrzutowca przypominał głosy nadajników, którymi państwa komunistyczne zagłuszały wolne radiostacje Zachodu. Potem, jak na przekorę, uszy wypełniły się głośnym łomotem: Kunde; Kunde; Kunde; kolba pistoletu; kolba pistoletu; uderzenie; krew; śmierć.

Do diabła z tą siłą, która odbierała mi zdolność formułowania myśli!

Urzędnik w recepcji hotelu „Bismarck“ bez trudu znalazł moje nazwisko na liście gości.

„Witamy w Hamburgu, *Herr Frister*“, powiedział, podając mi mały kluczyczek yale przytwierdzony do ogromnej drewnianej gruszki. Potem położył przede mną ilustrowaną broszurę reklamującą atrakcje dzielnicy czerwonych latarni. Czym byłby Hamburg bez domów publicznych w Wielkiej Wolności?

„Winda jest na końcu korytarza“, powiedział i zapytał, czy wezwać chłopca do noszenia walizek.

„Dziękuję, dam sobie radę“, odparłem. Szula spakowała mi całą podróżną garderobę do jednej walizki.

Pokój był przestronny, o wysokim suficie, takim jakie znajdujemy tylko w starych, renomowanych europejskich hotelach. Umebłowanie stanowiło mieszaninę starego i nowego, wszystko funkcjonalne i nie przeładowane, czuło się rękę architekta wewnątrz. Podwójne łóżko o mosiężnym wezglowiu dotykało ściany, na której wisiała czarno-biała reprodukcja szkicu Kokoschki. Brakowało jedynie aksamitnego baldachimu, aby je nazwać łóżem królewskim. Położyłem walizkę na półce koło szafy, wypakowałem przybory do golenia, zaniósłem je do łazienki, ustawiłem na szklanej płytce pod lustrem umywalki, aby w końcu usiąść na brzegu łóżka. Było tak miękkie, że mogło przyprawić o morską chorobę. Zdjąłem marynarkę i zauważyłem wystającą z kieszeni broszurę. Zacząłem wertować kartki. Nie mogłem powstrzymać się od uśmiechu. Dziwna była ta symbioza solidnego starego hotelu z publikacją zachwalającą po niemiecku, angielsku i francusku występy striptizerek,

atrakcje barów „tylko dla dorosłych“, w których koksynele produkowali się w aktach miłosnych, oraz wdzięki dam do towarzystwa wszelakiej maści, od rodzimych blondynek do pań importowanych z Turcji, Brazylii i innych egzotycznych krajów. „Wielka Wolność“, zapewniała broszura, „udziela zniżek turystom“. Niedawno stuknął mi czwarty krzyżyk, ale nigdy nie spędziłem nocy z prostytutką. Odpychała mnie myśl kupowania za pieniądze tego, co zawsze nabywałem na zasadzie handlu wymiennego: uczucie za uczucie, rozkosz za rozkosz.

Autorzy broszury znali się na rzemiośle. Trójjęzyczny tekst obiecywał ucieczkę od stresu w objęciach „namiętej damy“, przyrzekał zagłuszenie głosu sumienia przy dźwiękach zespołów rockowych, namawiał do oczyszczającej kąpieli w krytym basenie obsługiwanym przez syrenki, z których żadna nie miała więcej niż osiemnaście lat. Odłożyłem książeczkę na marmurowy blat nocnego stolika, zrzuciłem z siebie ubranie i zaniechawszy mycia, wsunąłem się pod kołdrę. Pościel była dobrze wykrochmalona, chłodna, przyjemna w dotyku. Sięgnąłem po gazetę. Była pokryta brunatnymi plamami kawy. Przypomniał mi się były oficer SS, mój sąsiad z samolotu. Cisnąłem ją na podłogę. Spojrzałem na zegarek. Było wcześniej. Obawiałem się, że nie zasnę. Pierwszy pociąg do Kilonii odchodził o szóstej rano. Wykręciłem numer portierni i zamówiłem pobudkę. Zgasilem światło. Nie wiem jak i kiedy przeniosłem się z jawy w dziwny, męczący sen:

Idę ulicami obcego miasta. Miasto jest niemieckie, ale chyba nie Hamburg i nie Kilonia. Miasto bez nazwy. Ulice są mi obce, domy malowane na kolor brunatny. Domy są wysokie, przecięte w poprzek równymi rzędami okien. Na parapetach stoją białe doniczki. W doniczkach kwitną czerwone kwiaty. Płatki mają duże, kształtne jak ludzka dłoń. Z okna wychyla się stara kobieta, śle mi odpychający bezzębny uśmiech. Nie znam jej, nie wiem, kim jest, nie wiem, jak się nazywa. Nasze spojrzenia krzyżują się w powietrzu, uśmiech zamienia się w grymas. Niebo zmienia kolory, raz jest modre, raz szare i przytłaczające, mimo iż nie ma na nim ani jednej chmury, a słońce, skąd bierze się słońce na szarym niebie, jest tak oślepiające, że muszę mrużyć oczy. Idę ulicami tego miasta, między brunatnymi domami, patrzę na ludzi. Wyrastają przede mną obce twarze: okrągłe i podłużne, wesołe i smutne, dobre i złe, a także obojętne; twarze bez wyrazu. Zachrypiły głos szepcze mi w ucho: uważaj, wszyscy życzą ci najgorszego. Szukam właściciela głosu, rozglądam się, podnoszę wzrok i widzę, że płynie z ust wiedźmowatej staruszki. Z całą mocą głębokiego snu zaprzeczam wszystkiemu co mówi, ale stara stoi uparcie przy swoim: wszyscy są twoimi wrogami. Przestań, wołam, wynoś się, krzyczę, nie męcz mnie, proszę, nie pastw się nade mną, błagam. Przewrotnie nakłaniam ją, aby weszła w sen innego człowieka, ale ona, zawzięta w swoim starczym uporze, trwa ze mną do rana. Policjant na skrzyżowaniu zatrzymuje ruch, aby mogła przejść na drugą stronę jezdni. Skąd się wzięła na ulicy, skoro tkwi w oknie? Policjant zamienia się nagle w kogoś innego. Tak, to Wilhelm Kunde. Ruch zastyga. Policjant i starucha trzymają się za ręce, idą wolno w moim kierunku. Policjant nosi błyszczące buty z cholewami, starucha ma krzywe, rachityczne nogi. Przechodnie znikają z pola widzenia i tylko ta dziwna para stąpa coraz bliżej. Wyciągają ramiona, jakby chcieli mnie objąć. Nie chcę tego uścisku. Kobieta dotyka mnie palcem, dotyk parzy jak ogień... Dlaczego jestem teraz w sklepie z materiałami? Ekspedient głaszcze wierzchem dłoni rozwiniętą belę czerwonego jedwabiu w drobne prostokąty. Z takiego jedwabiu uszyty był krawat mojego sąsiada w samolocie. Jedwab nie jest już jedwabisty, wyrosły mu kolce, kolce ranią sprzedawcę, sprzedawca krwawi. Kto to? Pragnę zobaczyć jego twarz, ale on usuwa się w cień, nie chce być rozpoznany. Wyraźnie słyszę ochrypiły śmiech starej kobiety. Wysilek mnie męczy. Mówię coś do sprzedawcy, sam nie wiem co, on odmawia odpowiedzi, tylko kręci przecząco głową. Brunatne domy miasta zalewają się czerwienią aksamitu. Gdzieś z dala płyną dźwięki znanej melodii „Liii Marlen“. Ludzie na ulicy, tak, znów są tam ludzie, ludzie tańczą tango. Wszyscy tańczą oprócz jednego człowieka stojącego tam, gdzie stał przedtem policjant. Znam go. To Wilhelm Kunde w swoim nazistowskim mundurze. Oczy ma głęboko osadzone w oczodołach, jakby przyklejonych do nasady nosa. Nie chcę oglądać tej twarzy. Gdzie jest twarz subiekta? Dosyć, dosyć, dosyć. Męczy mnie to spotkanie z ludźmi, oszałamia ta mnogość obcych twarzy. Męczy mnie nie kończąca się próba wyłowienia z tłumu twarzy mojej matki. Dlaczego są tu wszyscy, tylko jej nie ma? Pogrążam się w przepastnym dole, może to studnia bez dna, a może masowy grób, spadam coraz niżej, w głuchotę i ciemność, aż dzwonek telefonu wyzwała mnie z nocnej zmory.

Przez zasunięte franki sączyło się delikatne, nie rażące światło poranka. Na ślepo sięgnąłem po słuchawkę. Zaplątany w senną pajęczynę przyłożyłem ją do ucha. Obcy kobiecy głos zawiadamał uprzejmie:

„Godzina szósta zero zero“.

Odłożyłem słuchawkę na widełki. Wciąż jeszcze nie otwarłem oczu. Czulem, jak senna mara wykrusza się z pamięci, jak sen ucieka w przestrzeń pokoju hotelowego, ale właśnie teraz, gdy przestał mnie męczyć, pragnąłem go zachować. Dopiero gdy zebrałem wszystkie odpryski i skleciłem je w wyraźną mozaikę, zdecydowałem się wyskoczyć z łóżka. Sam nie wiem, po co mi to było potrzebne. Dzisiaj chętnie pozbyłbym się tego dziwnego snu, ale on przyczepił się do mnie jak pijawka, nie sposób się od niego uwolnić. Teraz wlewam go w treść książki, w nadziei, że uschnie i zostanie na zawsze między jej kartkami.

Pociąg wtoczył się na dworzec kolejowy w Kilonii ściśle według rozkładu jazdy. Pociągi w Niemczech nie spóźniają się. Wszedłem na peron. Wszystkie perony świata mają ten sam zapach. Szklany, półkolisty dach rozpostarty był nade mną jak przezroczysty parasol. Z wagonów wysiadło zaledwie kilkunastu pasażerów. Podniosłem z ziemi walizkę i już zamierzałem pójść ich śladem w kierunku podziemnego przejścia, gdy nagle wyrosła przede mną postać młodej kobiety.

„Chcę wierzyć, że miał pan wygodną podróż“, powiedziała.

„Ja?“, zdumiałem się.

„Pan Frister, jeśli się nie mylę?“

„Nie, nie myli się pani“.

Czym różniłem się od innych pasażerów? Czy miałem wypisane coś na czole, czy wzrok zdradzał coś, co pragnąłem ukryć, czy emitował jakieś fale, o których istnieniu nie miałem pojęcia?

„Nie przypominam sobie, abym miał przyjemność...“

„Nie. Nigdy nie spotkaliśmy się. Nic takiego się nie zdarzyło, w każdym razie nie w dosłownym tego słowa znaczeniu. Ale ja pana znam, a może, mówiąc ściślej, znam pański życiorys. Mam na myśli ten okres pańskiego życia, który spowodował przyjazd do Kilonii. Niech pan nie patrzy na mnie tak podejrzliwie. Zaraz wszystko wyjaśnię... To cały pański bagaż?“, spytała, wskazując na walizkę.

„Tak. Nie przyjechałem na urlop“.

„To była zbędna uwaga“, powiedziała lekko urażona. „Tłumaczę ją stanem pańskiego ducha. Mogę sobie wyobrazić, co pan przeżywa“.

„Nie chciałem urazić. Ale jeśli wolno spytać, to wciąż jeszcze nie wiem, w czym mogę pani pomóc?“

„To ja jestem tutaj, aby być pomocna. Wie pan, hotel, restauracja, taksówki. Jestem ochotniczką w luteranckim towarzystwie filantropijnym. Nasz Kościół postanowił zająć się osobami przybywającymi na proces. Spodziewamy się dwunastu świadków z całego świata. Chciałybyśmy pokazać, że są także inne Niemcy. Naszym zdaniem, stanowi to poważny wkład w dzieło odbudowy zaufania i sprawiedliwości. W naprawę krzywd“.

„Czy można naprawić coś, co jest nie do naprawienia?“

„Nie wiem“, wzruszyła ramionami. „Naprawdę nie wiem. Byłam małym dzieckiem, gdy to wszystko się działo. Ale jeśli naprawa nie ma sensu, to bezsensowne jest także posadzenie Kundego na ławie oskarżonych“.

„Być może. W każdym razie przepraszam raz jeszcze“.

„Nie ma za co. W niezwykłych sytuacjach ludzie zachowują się niezwykle. Czy ma pan zamówiony hotel?“

„Nie. Powiedziano mi, że w Kilonii nie będę miał trudności...“

„Jeśli pan pozwoli“, przerwała mi, „to chciałabym polecić hotel «Rebs». Prawdę rzekłszy, już zarezerwowałam tam pokój. To nie zobowiązuje do niczego. Jeśli nie spodoba się, znajdziemy coś innego. W Kilonii nie brak hoteli. Jesteśmy miastem gościnnym. Mój wóz parkuje przed dworcem. Proszę pójść za mną“.

Miała starego volkswagena garbusa, który bez powodzenia próbował odmłodzić się nowym lakierem, ale prowadziła go pewną ręką i z takim zadowoleniem, jakby siedziała za kierownicą rasowego jaguara. Nie przekroczyła chyba trzydziestki, nie malowała twarzy. Twarz miała okrągłą, pyzată, wzbudzającą sympatię. Z profilu była ładna. Nosila niebieską bawelnianą sukienkę z białym koronkowym kołnierzem gim-nazjalistki. Albo była naprawdę, albo świetnie udawała naiwną.

„Ja nie muszę się już przedstawiać. A pani? Jak mam się do pani zwracać? Per anioł stróż“, zażartowałem.

„O Boże, przy całym tym gadaniu zapomniałam mego dobrego wychowania. Mam nadzieję, że mi pan wybaczy. Po raz pierwszy występuję w takiej roli. Nie mam doświadczenia. Może wyglądam na opanowaną, ale wewnątrz... Nie mogłam przewidzieć, jak pan przyjmie moją ofertę pomocy... Nazywam się Trudę. Trudę van Gluck. Pochodzę z flamandzkiej rodziny, ale tego pan się chyba sam domyślił“.

Jechaliśmy w kierunku portu i starówki, przy przystani promów do Oslo zawróciliśmy. Trudę najwyraźniej, zaraz na wstępie, chciała pokazać mi miasto z jego najlepszej strony, a może chciała zyskać trochę czasu dla nawiązania lepszego kontaktu. „To już niedaleko“, powiedziała, gdy sądziła, że zaczynam tracić cierpliwość. Potem, ni stąd, ni zowąd, wyrecytowała swój życiorys. Ojciec był lekarzem wojskowym w ochotniczym pułku Musserta, belgijskiego kolaboranta z nazistami. Zginął na froncie wschodnim. W ostatnim liście pisał, że nie przeżyje białoruskiej zimy, lecz nie wiadomo, jak i gdzie poległ. Pośmiertnie odznaczony został Krzyżem Żelaznym drugiej klasy.

„Mam nadzieję, że nie zraniłam pańskich uczuć. Wiem, że to tylko moja osobista sprawa, ale bardzo chciałam, żeby pan wiedział, kim jestem“.

„Cenię to sobie“.

„Nie jest pan zmęczony?“

„Nie“.

„Czy mogę zaproponować małą wycieczkę po mieście? Oczywiście, dopiero po tym, jak się pan ulokuje w hotelu. Dzisiaj niedziela. Lubię Kilonię w niedziele. Jest taka spokojna. No i pogodę mamy wyjątkowo udaną. Na ogół nie wychodzimy z domu bez parasola“.

„Nie odmówię pani“, powiedziałem, gdy wóz zatrzymał się przed wejściem do hotelu „Rebs“.

Spacerowaliśmy do późnego popołudnia. Nie znalazłem w Kilonii owego urzekającego piękna, o którym mówiła moja przewodniczka, ale wszelkie uwagi zachowałem dla siebie. Czulem się osaczony między kamienicami z nie tynkowanej cegły, ulice wydawały mi się przejściami w ogromnych koszarach. Na krótką chwilę zatrzymaliśmy się przed gmachem sądów. „To tu?“, zapytałem. Trudę van Gluck przytaknęła. „Jutro o ósmej rano“. Neoklasycystyczne kolumny nadaremnie próbowały złamać surowość architektury. Naprzeciw budynku sądów, na wąskim paśmie zieleni, pod tabliczką Schützengraben Park, wypoczywali młodzi ludzie. Inne pokolenie, inne czasy. Dopiero nad brzegiem Kanału Kilońskiego poczułem się swobodniej. Potrzebowałem przestrzeni, słonego zapachu wiatru i uspokajającej zieleni. Na północnym brzegu rozpościerały się pola uprawne, a myśl, że ciągną się aż do granicy duńskiej, dawała mi poczucie wolności. Tak; wolności. Kanał był węższy niż myślałem, za to statki przepływające z Morza Północnego do Bałtyku większe niż sądziłem. Świat nie zawsze jest taki, jak go sobie wyobrażamy.

W drodze powrotnej zatrzymaliśmy się w podmiejskiej restauracji. Bez trudu znaleźliśmy stolik pod oknem. Kelner podał nam karty potraw. Trudę odłożyła swoją na bok.

„Być może popełniłam błąd, opowiadając o ojcu i jego Żelaznym Krzyżu“, powiedziała usprawiedliwiająco.

„Ten temat mamy już za sobą. Niech pani nie robi sobie niepotrzebnych wyrzutów“.

„Zwróciłam uwagę na pańską uprzejmość. Ojciec był adwokatem, jeśli się nie mylę. Dobra inteligencka rodzina. Nic dziwnego, że wyniósł pan z domu odpowiednią *Kinderstube*¹⁶. Pański niemiecki też do pozazdrosczenia. Na chwilę zapomniałam, że jest pan Żydem. Albo, ściślej mówiąc, Izraelczykiem. To nie to samo, prawda...? Przypuszczalnie nie powinnam była wspominać ojca. Tak bardzo chciałam, żeby pan mnie zrozumiał. Albo przynajmniej starał się zrozumieć“.

„Zrozumiałem, *Frau van Gluck*“.

„Wolałabym «panno Trade». To brzmi mniej oficjalnie. Oczywiście, jeśli to panu odpowiada... Znam tragiczny los pańskiej matki. A ojciec? Czy przeżył?“

„Zmarł w obozie. Tyfus plamisty“.

„Przykro mi“.

„Mnie również“.

„Znów popełniłam jakieś *fawc pas*. Powinnam chyba mniej mówić, a więcej milczeć. Matka od pierwszej chwili twierdziła, że nie dam sobie rady, że nie nadaję się do tego... do tego... Pan wie, co mam na myśli. W Kilonii żyją tysiące kobiet w moim wieku, ale te, które zgłosiły się na ochotnika, można policzyć na palcach jednej ręki. A ja tak bardzo chciałam się przyłożyć do tego, co nazywamy

¹⁶ Dosłownie: pokój dziecięcy; w przenośni: dobre wychowanie.

*Wiedergutmachung*¹⁷, do procesu, który pan lekceważy... Każdy drobiazg po ojcu, nawet ten nieszczęsny Żelazny Krzyż, jest drogi mojemu sercu. Nie przykładam najmniejszej wagi do czynu, za który został wyróżniony. Dowódca dywizji pisał nam, że ryzykował życiem, aby ratować rannych na polu bitwy. Przecież w waszej Torze też jest napisane, że kto ratuje jedną duszę, jakby ratował świat cały. Zna pan ten cytat? „Znam“.

„Pragnę podkreślić, że nie ma żadnego związku między moim uczuciem do ojca a moim stosunkiem do okresu, w którym żył. Jestem chrześcijanką, a więc to chyba jasne, że ideologia nazistowska stanowi przeciwieństwo wszystkiego tego, w co wierzę. Nie można być nazistą i wierzyć w Boga. Pan wierzy?”

„Nie“.

„Szkoda. Dużo pan traci. Wiara ma dla mnie ogromne znaczenie. Znalazłam w niej spokój i ukojenie. Moja mama jest całkiem inna. Wciąż jeszcze żyje w mydlanej bańce wspomnień, odcięta od świata, od zmieniającej się rzeczywistości. Skazana na wózek inwalidzki, cierpi na postępowy zanik mięśni, prawie nie wychodzi do miasta. Gdyby nie skromna emerytura, nie wiem, jak związałyby koniec z końcem. Ja zarabiam bardzo mało. Nasz dom został zburzony podczas bombardowania alianatów, dzielę z nią skromne mieszkanie w blokach robotniczych. Praktycznie biorąc, my również jesteśmy ofiarami tej strasznej wojny... Czy pan mnie słucha?”

„Oczywiście. Słucham uważnie“.

Zastanawiałem się, czy próbuje postawić na jednym poziomie cierpienia kata z cierpieniami ofiary, czy w sposób precyzyjnie wyspeku-lowany pragnie wyrównać niemożliwy do wyrównania rachunek, czy też, w pełni swej naiwności, pragnie zbliżyć się do mnie, czyniąc mnie współnikiem jej trosk i zmartwień. Nie miałem czasu, a szczerze mówiąc także ochoty, wnikać w głąb jej duszy. Wszak nie rozgryzłem do końca tajników własnej. Rozstaliśmy się zaraz po posiłku. Trudę van Gluck odwiozła mnie do hotelu. Zatraskując drzwi samochodu, rzuciłem na pożegnanie suche dziękuję, tak suche, że nie pozostawiało żadnych wątpliwości co do moich intencji. Czulem, że odprowadza mnie wzrokiem aż do hallu hotelowego, ale nie odwróciłem się, by pomachać jej ręką na do widzenia. W pokoju ktoś wstawił świeże kwiaty do wazonu. Usiadłem na łóżku i wykręciłem numer Szuli w Tel-Awiwie. Prosiła, abym myślał tylko o sobie i sprawie sądowej, twierdziła, że czuje się doskonale. Wiedziałem, że nie mówi prawdy.

Nie taki pojawił mi się Kunde we śnie; nie tak wyglądał na zdjęciu w gazecie, którą pokazała mi Trudę van Gluck w restauracji, gdy po zupie jarzynowej czekaliśmy na główne danie, ozór w szarym sosie. Jak go sobie wyobrażałem? Sam nie wiem. Ale na pewno nie sądziłem, że w Kilonii zobaczę starego człowieka, siedzącego na ławie oskarżonych jak widz, który przez pomyłkę zabłądził na niewłaściwe przedstawienie. Jeśli byłby podobny do owego oficera SS z krakowskiego getta, być może wykrzesałbym z siebie jakąś iskrę nienawiści. Ponieważ siedział milczący i zamknięty w sobie, skurczony w ubraniu o dwa numery za dużym, wydawał mi się zasuszonym pokurczem, który nie może już nikomu zaszkodzić.

Woźny sądowy wywołał moje nazwisko i wskazał przejście do pulpitu dla świadków. Nie poproszono mnie o składanie przysięgi. Jeden z obrońców zmierzył mnie badawczym spojrzeniem, drugi uklonił się sztywno. Sala wypełniona była publicznością. Oskarżyciel stał pochylony nad stołem i przeglądał stertę dokumentów. Sędziowie siedzieli na podwyższeniu, z czarnych tog wyrastały obce twarze. Przewodniczący zespołu zadał pierwsze pytanie. Moja relacja trwała dwadzieścia minut. Nazajutrz gazety kilońskie napiszą, że została przekazana „płynną niemczyzną i bez wzruszenia“.

„Co ma obrona do powiedzenia?”

Adwokat wstał ze swego miejsca, ale Kunde uprzedził go. Wyrwany nagle z prawdziwej lub udanej obojętności, zawołał:

„Pamiętam tę kobietę. Być może, że świadek jest jej synem, nigdy go nie widziałem, nigdy z nim nie rozmawiałem. Cała ta historia jest jakąś tragiczną pomyłką. Zawsze byłem przeciwny stosowaniu przemocy. Nie pamiętam szczegółów, ale wiem na pewno, że nigdy, absolutnie nigdy, nie zabiłem jego matki“.

„Ale zabrał pan jej kosztowności“, naciskał prokurator.

¹⁷ Wiedergutmachung - niemieckie określenie rekompensowania ofiar prześladowań nazistowskich. Dosłownie: znów robić dobrze.

„Nie wziąłem niczego. W każdym razie, nie dla siebie. Przecież powiedziałem, że całe to oskarżenie opiera się na pomyłce“.

„Świadek Ferster przekazał sądowi inną wersję“, upierał się oskarżyciel. Kunde usiadł. Dopiero teraz doszedł do głosu obrońca. Nie słuchałem go. Nie wyprowadziły mnie z równowagi wykręty Kundego. Oskarżonym wolno kłamać, nie zeznają pod przysięgą. Zezłościło mnie przekręcenie mego nazwiska. Jeśli nawet prokurator nie przykładą wagi do nazwisk, jak mogłem wierzyć, że istotni są dla niego ludzie, którzy je noszą? W pierwszej chwili chciałem poprawić błąd, potem rozmyśliłem się. Jaki sens miały szczegóły, skoro cały proces wydawał mi się bezsensowny?

„Świadek jest wolny“, oznajmił przewodniczący zespołu sędziowskiego, przypominając, że obrońce przysługuje prawo powtórnego wezwania mnie i zadania dodatkowych pytań. Woźny odprowadził mnie do drzwi. Moje kroki odbijały się głośnym echem w pustym, monumentalnym korytarzu. „Kasa jest piętro niżej. Należy się panu zwrot kosztów podróży“, wyjaśnił woźny. Kasjer wyraził zdziwienie: „Jechał pan z Hamburga drugą klasą? Jest pan uprawniony do pierwszej“. Na końcu języka miałem złośliwą uwagę na temat pociągów, którymi Kunde wysyłał swoje ofiary do obozów koncentracyjnych, ale schowałem ją dla siebie. Kasjer na pewno by sądził, że coś mi się pomieszało. Nie mógł pojąć. Był człowiekiem urodzonym po wojnie. Wolno liczył banknoty i monety, podsunął mi je i powiedział:

„Proszę podpisać, że otrzymał pan całą należną sumę“.

4

Wieczorem zatelefonowała panna van Gluck. „Obrona zrezygnowała z powtórnego przesłuchania“, oznajmiła i zapytała, jak długo mam zamiar zostać w mieście.

„Jak najkrócej“, odparłem, a nie chcąc lekceważyć jej dobrej woli, wytłumaczyłem, że muszę wracać do domu, bo żona jest bardzo chora. Trudę wyraziła gotowość odwiezienia mnie na dworzec o każdej porze dnia i nocy. Podziękowałem: „nie będę pani fatygował“.

„Jak pan sobie życzy“, powiedziała lekko rozgoryczona. „Nie mam zamiaru się narzucać“.

U portiera sprawdziłem rozkład jazdy. Nazajutrz kupiłem bilet pierwszej klasy do Hamburga. W kilka godzin później miałem lot przez Frankfurt do Tel-Awiwu. Po miesiącu otrzymałem krótki list z Kilonii. Trudę van Gluck zawiadamiała mnie, że oskarżyciel żądał dla Kundego siedmiu lat więzienia, ale przypuszczalnie nie zostanie skazany ze względu na zły stan zdrowia. Do dziś nie zainteresowałem się, czy odsiedział wyrok. Nie chciałem wiedzieć, czy żyje, czy umarł. Na próżno łudziłem się, że jeśli wykreślę mordercę z kręgu moich zainteresowań, automatycznie wykreśli się z pamięci także sam akt mordu.

Na moim biurku stoi fotografia matki, jedno z wielu powiększeń robionych przez Nolka. Zdjęcie zachowało się w chałupie Józefa Kruczka. Oddał mi je, zawinięte w lnianą chustę, wraz z innymi dokumentami rodzinnymi, gdy odwiedziłem go na krótko po moim powrocie z Czechosłowacji. Wieś nie zmieniła się, także Kruczek był taki jak dawniej, ubogi, prostolinijny i ludzki. Nie mogąc oprzeć się pokusie, spytałem o Bronkę. Kruczkowa parsknęła śmiechem:

„A, weszła paniczowi w krew. Wiedzieliśmy, co w trawie piszczy. Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Wyrośla, zmadrzała, w zeszłym roku wyszła za męża, a teraz się spodziewa“.

„Dość tych plotek“, zachnął się Kruczek. „Daj nam wypitek i coś na zagrychę... Niech panicz siada“, zwrócił się do mnie, zmiatając niewidzialny pyłek z krzesła. „Ładnie, że pamiętał o nas“.

„Jak mógłbym zapomnieć to wszystko, co pan dla nas zrobił?“

„Nie dla was, jeno dla Niego“, odrzekł i wskazał palcem w górę.

Kruczkowa przyniosła butelkę samogonu i kromki chleba grubo posmarowane smalcem. „On patrzy na nas z góry i sądzi uczynki. Nie ma nic lepszego od Jego sądu“, pokiwał głową i nalał nam po kieliszku. Wypiliśmy. Samogon był gorzki jak piołun. „Podprawiony“, uśmiechnął się Kruczek. Potem zapytał o rodziców. „To smutne. Szczęście, że chociaż młody pan przeżył. Bóg miał go w swojej opiece“.

„Dziękuję“.

„A jakie ma plany na przyszłość?“

„Sprzedałem dom po dziadkach w Krakowie.“

„Ten na Szlaku?”

„Ten na Szlaku. Mam pieniądze“.

„Pieniądz zawsze się przyda. Panicz jest młody, musi uważać, żeby nie roztrwonić“.

„Właśnie o tym chciałem porozmawiać“.

„Ja to nijakiej rady dać nie mogę. Pewnie są w mieście Żydzi, to mu poradzą, co i jak“.

„Sam wiem, co z tymi pieniędzmi zrobić. Po to przyjechałem. Chciałbym wam kupić kilka morgów ziemi we wsi. Pamiętam, zawsze pan marzył o większym gospodarstwie. Niech się pan nie odżegna, to nie dla pana, to dla dzieci“.

„Panicz też będzie miał kiedyś dzieci. Niech się zatroszczy o swoje“, powiedział z lekką przyganą w głosie.

„Ile by kosztowało pięć hektarów?“, spytałem, nie zauważywszy, że dotknąłem go do żywego.

„Ja jestem chłopem, nie handlarzem gruntów“.

„Chcę pana wynagrodzić. Co w tym złego?“

„Poczekam na nagrodę. Przecie będzie sąd ostateczny“, mruknął i wychylił następny kieliszek.

„Dlaczego czekać? Dlaczego nie ułatwić sobie życia? Sobie i rodzinie. Przecież widzę, że się u was nie przelewa“.

„Już powiedziałem: mój rachunek jest z Nim, nie z paniczem. Tylko z Nim“.

„Ale pan uparty, panie Kruczek.“

„Co robić. Chłopi to uparty naród“.

Jego odmowa była ostateczna. Wypiliśmy i zagryźliśmy, ale rozmowa już się nie kleiła. Po godzinie wstałem, by się pożegnać. Kruczek uściśnął mi rękę, ale nie zapytał, czy znów przyjadę. Czułem się obrażony. Brakło mi doświadczenia życiowego, nie potrafiłem pojąć jego uporu, nie rozumiałem go, a ściślej mówiąc nie czułem. Wróciłem do Krakowa rozgoryczony. Przywiozłem z sobą paczkę albumów, plik bezwartościowych akcji Narodowego Banku Polskiego oraz rozlicznych dokumentów. Gdyby nie zdjęcia, które przechowały się u Kruczka, nie wiem, czy potrafiłbym odtworzyć z pamięci postać mojej matki.

Dzisiaj, gdy fotografowanie jest jednym z moich ulubionych hobby, zdaję sobie sprawę, że dobre zdjęcie uwiecznia nie tylko osobę fotografowaną, ale także stosunek fotografa do obiektu. Z powiększenia mama patrzy w obiektyw spojrzeniem kobiety świadomej swojej urody i znającej wartość życia. Jest to zdjęcie zrobione na Górze Parkowej w Krynicy podczas ostatniej zimy przed wojną. W tle widać jakiś pawilon i ośnieżone jodły, ale mama nosi obcisłą wełnianą sukienkę z krótkim rękawem. Pod kołnierzem ma wpiętą złotą kokardę. Jej cienkie, ale bardzo ciemne brwi podkreślają subtelną biel cery. Oczy ma trochę zmrużone, bo słońce było ostre, ale nawet spod półprzymkniętych powiek promieniuje radość życia. Oparte na biodrze długie palce są jakby stworzone do noszenia pierścionków. Tak uwiecznił ją dla mnie Nolek, fotograf-amator i adorator.

Natura obdarzyła ją szczególnie urodą, ale matka nie polegała na darach przyrody i czyniła wszystko co w jej mocy, aby nie wpuścić starości za próg. Czas był jej najbardziej zawziętym wrogiem, nic więc dziwnego, że walczyła z nim wszelkimi dostępnymi środkami. Półka pełna słoików z kremami (Elisabeth Arden była wówczas uważana za najlepszą firmę kosmetyczną) stanowiła jej broń w walce ze zmarszczkami. Do tego dochodziły maseczki, masaże i stałe godziny wypoczynku, rytuał niemal święty, nienaruszalny. Każdy siwy włos wprowadzał ją w stan graniczący z paniką, a ja, dziesięcioletni brzdąc, bezlitośnie wykorzystywałem jej słabość. Zazwyczaj siadała w krześle, tyłem głowy zwrócona ku oknu, ja zaś, uzbrojony w pincetę, kasowałem pięć groszy za usunięcie każdego białego zwiastuna niepożądanego wieku. Pokusa była ogromna, a siwych włosów mało, więc oszukiwałem jak mogłem. Wrywałem jeden siwy, a potem dziesięć czarnych, za każdym razem prezentując zrozpaczonej mamie ten sam biały włos. Ojciec nie miał pojęcia, że w tak podły sposób powiększam swoje kieszonkowe. Nasze sesje odbywały się zawsze pod jego nieobecność. Wiedziałem, że mama nigdy mnie nie wyda, że łączy nas wspólna tajemnica. W gruncie rzeczy jednak jej zachowanie nie budziło we mnie szacunku. Wręcz przeciwnie. Lekceważyłem ją. Nie miała w moich oczach żadnego autorytetu. Pokpiwałem sobie z szaf wypchanych sukniami, kostiumami, kołnierzami ze srebrnych i rudych lisów, kapeluszami z woalką i bez, strusimi piórami, futrami, batystową bielizną, butami na wysokim obcasie, zwanym francuskim, szalami Coco Chanel, lakierowanymi paskami, jedwabnymi pończochami i tuzinami chusteczek z monogramem. Nie mogłem pojąć, dlaczego obawiała się zestarzeć, starość wydawała mi się czymś tak odległym jak

Wielka Niedźwiedzica, i nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego ubierała się jak modelka z żurnalu mody, dlaczego koniecznie chciała być najelegantszą kobietą w mieście.

Urlopy spędzała na ogół w lepszych uzdrowiskach Europy. Zimą zaszczyciała swoją obecnością modne miejscowości narciarskie. Latem spacerowała po deptakach niemieckich, austriackich i włoskich kurortów. Wszędzie obnosiła z dumą swoją piękną głowę; twarz bez jednej zmarszczki, ondulację bez jednego siwego włosa. Początkowo brała mnie z sobą. Widoki obcych miast i zapach dalekich krajów, które zwiedzaliśmy w latach trzydziestych, rozplynęły się wraz z wspomnieniami wczesnego dzieciństwa. Pozostały jedynie zdjęcia, niektóre poźółkłe, przechowane przez Kruczka. Na odwrocie niektórych zapisane są daty i nazwy: Pertschach, Como, Baden-Baden, Sopoty, Karlsbad, Krynica, Chamonix, Wiesbaden, Semmering. Gdy podrośłem i zacząłem chodzić do szkoły, wyjeżdżała sama.

Gdziekolwiek byśmy się znajdowali, w domu czy za granicą, nigdy nie próbowała ugiąć mnie silną ręką. Gdy przekraczałem granice dobrego wychowania, a rzecz zdarzała się często, wzywała ojca, aby utrzymał mnie w ryzach. Być może była to jeszcze jedna przyczyna mego braku szacunku dla niej. Nawet teraz, z perspektywy sześćdziesięciu lat, trudno mi sprecyzować synowskie uczucia. Czym głębiej próbuję je analizować, tym bardziej dochodzę do niemiłego wniosku, że odmawiałem jej zwykłej miłości, jaką każde chyba dziecko czuje do swojej matki. Osądzałem ją na podstawie słabostek, prawdziwych lub wyimaginowanych, a więc osąd, siłą rzeczy, musiał być niesprawiedliwy. A jednak, gdy pytam sam siebie, czy straciłem bezpowrotnie jedyny w swoim rodzaju okres życia, kiedy dziecko rozwija się w matczynej cieplarni i nabiera sił na przyszłość, odpowiedź jest jednoznaczna: nie sądzę, abym odczuwał niepowetowaną stratę. Zazwyczaj nie zdajemy sobie sprawy z utraty czegoś, o istnieniu czego nie mieliśmy pojęcia. Moja ocena matki zmieniła się diametralnie dopiero wtedy, gdy los wysadził nas z puchu na bmk i gdy to jej siła woli, przytomność umysłu i zdolność przystosowania do najtrudniej szych warunków była prawdziwym światłem w mroku. Taką jej postać noszę z sobą jak drogocenny klejnot.

17 stycznia roku 1939 miałem obchodzić jedenastą rocznicę urodzin. Nie przypuszczałem, że będą to moje ostatnie urodziny w Bielsku. Zaraz po Bożym Narodzeniu demonstrowali na ulicach miasta członkowie niemieckiego klubu sportowego BBSV, żądając uznania języka niemieckiego za język urzędowy, obok polskiego. Policja rozpędziła demonstrantów. Nazajutrz tajemnicza ręka rozlepiła w mieście plakaty: „Precz z Hitlerem, na latarnię, niech ta świnia zginie marnie!“ Ale manifestacja siły niemieckich piłkarzy nie była wydarzeniem odosobnionym. Radiostacje po drugiej stronie granicy ziały antypolską propagandą, rozmaite kluby mniejszości narodowej organizowały wiece otwarcie deklarujące poparcie dla ustroju nazistowskiego i mimo że prasa starała się pomniejszyć ich wagę, antagonizmy polsko-niemieckie wypełzyły z uśpionego podziemia na powierzchnię wydarzeń dnia. Ojciec nie miał złudzeń co do ich prawdziwego charakteru. „Dzisiaj żądają uznania języka niemieckiego, jutro zażądają Śląska, pojutrze... Daj psu palec, to chce całą rękę“, powiedział po kolacji, ostrzegawczo wbijając palec serdeczny w blat stołu. Wiedziałem, że nie jest to odpowiednia chwila na poruszenie tematu, który był dla mnie po stokroć ważniejszy, ale nie mogłem się opanować. Marzyłem o rowerze, a moje urodziny były za trzy tygodnie.

„Wybij to sobie z głowy“, uciął moje starannie przygotowane przemówienie.

„Wiesz przecież, jaki ruch jest na ulicy. Chcesz się zabić?“, dodała matka.

„Nie będę jeździł po ulicach. Tylko do Lasku Cygańskiego i...“ Spojrzenie ojca sygnalizowało, że nie mam najmniejszej szansy. „Słyszałeś, co powiedział ojciec“, rzekła. „Słyszałem, ale...“

„Nie ma żadnego *ale*, gdy ojciec powiedział *nie*. Postanowiliśmy, że nie będzie roweru. Dostaniesz inny prezent“.

„Postanowiliśmy“, przedrzeźniłem ją. Zawsze mówiła w liczbie mnogiej, gdy nie miała własnego zdania i chciała się ukryć za plecami ojca. Bliski byłem płaczu, ale po co płakać, skoro nawet morze łez nie wzruszy bezwzględności ojca. Gdy wiedziałem, że sprawa jest stracona, duma nie pozwalała mi okazać słabości. Odsunąłem talerzyk z deserem. Wstałem, wymamrotałem krótkie „dziękuję“ i pobiegłem do swojego pokoju. Tam, wsparłszy twarz o łokcie, pochylony nad dębowym biurkiem, cicho kontemplowałem ból i rozczarowanie, aż genialna myśl rozjaśniła mroczną perspektywę życia bez roweru. Postanowiłem, że Nolek będzie moim wybawcą.

Jego pełne imię i nazwisko brzmiało Anatol Lewik. Był chyba jedynym prawdziwym „złotym młodzieńcem“ w mieszczańskim krajobrazie Bielska. Spadkobierca właścicieli wielkich cegielni w

Krakowie i wspólnik świetnie prosperującej firmy obrotu nieruchomościami, dobry kierowca, miły interlokutor i człowiek, który zawsze miał czas dla wszystkich, uważany był za tak zwaną dobrą partię i znajomi nie mogli się nadziwić, jak to się stało, że wciąż jeszcze trwał w kawalerskim stanie. Nolek mieszkał w Krakowie i tam, w nie znanych mi okolicznościach, poznał mamę. Nie zobowiązująca znajomość przekształciła się w przyjaźń. Jego wizyty stawały się coraz częstsze, z czego byłem bardzo zadowolony, ponieważ każdą okupywał szwadronem ołowianych żołnierzy, aż w końcu stał się u nas niemal domownikiem. Nic dziwnego, że miejscowe damy szybko zaczęły ostrzyć na nim języki. Nolek nabył w Bielsku zbankrutowany zakład tekstylny i zajmował się jego odbudową, ale nawet moja obecność nie powstrzymywała plotkarek w kawiarni hotelu „Prezydent“ od twierdzenia, że uczynił to tylko po to, by mieć pretekst usprawiedliwiający w oczach opinii publicznej tak częste przyjazdy do miasta. Ojciec zdawał się nie przejmować gorszącymi plotkami. Nolek był młodszy od niego o piętnaście lat, a jednak dwaj mężczyźni przypadli sobie do gustu; nie słyszałem, by jeden o drugim kiedykolwiek powiedział złe słowo.

Nolek nie rozstawał się ze swoją „Leicą“. Nosił ją z sobą jak dobry oficer broń przyboczną i nie przeoczył żadnej okazji, by uwiecznić na filmie twarz mojej matki. Dzisiaj widzę, że na żadnej fotografii nie wyglądała na tak szczęśliwą, jak na zdjęciach robionych przez Noleka. Czy w swoim czasie widział to również ojciec? Czy umiał skomentować to zjawisko? Czy ich więcej niż poprawne stosunki służyły jedynie jako zewnętrzna przykrywka innych uczuć? Czy wieczna obecność gościa w naszym domu nie rzutowała na stosunki między rodzicami? Nie mam odpowiedzi na te dociekliwe pytania. Z biegiem lat, gdy wydorostałem i próbowałem przeanalizować ich współżycie, stanąłem wobec nierozwiązywalnej zagadki. Drzwi prowadzące z pokoju dziecinnego do sypialni wybite były grubym wołłokiem. Nigdy nie podejrziałem ich w intymnej scenie, nigdy nie podpatrzyłem, jak się całowali, nigdy nie podsłuchałem sprzeczki. Ich życie toczyło się ukryte pod pancierzem dobrych manier, chroniących przed okiem ciekawskich. A może nie mieli niczego do ukrycia? Może wszystko było jedynie wytworem mojej wyobraźni, rozbudzonej złymi językami plotkarek z „Prezydenta“, a playboy Anatol Lewik nie był niczym więcej jak ogniem sztucznym, który rozjaśnił na chwilę szarość codziennej egzystencji, kolorowym parawanem, za którym było tylko powietrze. Nie posiadałem i nadal nie mam klucza do „czarnej skrzynki“ małżeństwa moich rodziców.

W piątek, trzynastego dnia miesiąca, o którym przesądni mówią, że przynosi pecha, przyjechał Nolek na zwyczajowy weekend w Bielsku. Pogoda była zimowa, trochę śniegu, trochę chlapy. Wróciwszy ze szkoły, zrzuciłem w przedpokoju śniegowce i buty i boso podreptałem do gabinetu po książkę do czytania. Ojciec nie wrócił jeszcze z kancelarii, do obiadu zostało sporo czasu, dobra chwila na pogłębienie znajomości z doktorem Rawikiem. Byłem zafascynowany „Łukiem Triumfalnym“. Na tapczanie w gabinecie leżał Nolek, oczy miał przymknięte i nie zauważył mnie, aż nie powiedziałem „Dzień dobry“.

„Dzień dobry, jak leci?“, spytał bez większego zainteresowania. Miał zwyczaj zwracania się do mnie w stylu, który uważał za młodzieżowy.

„Tak sobie“.

„Co się stało? Dwójka?“

„Od kiedy to przynoszę dwójke?“, odrzuciłem lekceważąco. Przecież wiedział, że zaliczałem się do prymusów. Nauka przychodziła mi z łatwością, większość zadań domowych kończyłem na wielkiej przerwie.

„Więc co cię ugryzło?“

Wylałem przed rum cały mój kielich goryczy. Wymarzony rower i uparty sprzeciw rodziców. „Tylko pan może mi pomóc“, powiedziałem przymilnie.

„Niestety, nic z tego nie będzie. Przecież nie mogę udawać, że nic nie wiem. Jeśli rodzice nie zgadzają się, to przepadło.“

„Nie może pan udawać? Oczywiście, że pan może.“

„Nie mogę“.

„Pan po prostu nie chce“.

Musiałem go wyprowadzić z równowagi, bo podniósł się na łokciach i obrzucił mnie lo-ótkim spojrzeniem: „powiedzmy, że nie chcę -więc co?“

„Lepiej, żeby pan zechciał“, odparłem bezczelnie. Chyba odczytał w moich oczach, co knuję, bo usiadł i podniósł rękę. „Co ma znaczyć takie gadanie?“

„Ma znaczyć, że pan mi kupi rower, także bez zgody tatusia i mamusi. Może pan powiedzieć, że przywiózł go z Krakowa jeszcze nim ich prosiłem“.

„To będzie kłamstwo“.

„Może. Ale nie pierwsze i nie ostatnie“.

„Pohamuj się, i to szybko. Nie pozwól sobie na takie...“

„Pan jest ostatnim człowiekiem, który ma prawo zwracać mi uwagę“, przerwałem mu. „Wyobrażam sobie, że nie podoba się panu moje zachowanie - ale moja mama podoba się panu, co?“

Nolek wstał. Jego gniew nie był udany. „Oszalałeś?!“, zawołał. Górna warga drżała, a jego krótko przystrzyżony wąs jakby najeżył się na mnie. Mówiłem teraz szybko, obawiając się, że nie starczy mi odwagi na dotarcie do sedna sprawy, aż w końcu wypaliłem jednym tchem:

„Jak mi pan nie kupi roweru, powiem tacie, że pan całował mamę“.

„Ależ to nieprawda!“, zaprzeczył.

„Może wymyśliłem sobie to wszystko“, powiedziałem z nagle odzyskanym spokojem. Czułem się jak dziecko, które wskoczyło do głębokiej wody i widzi, że nie tonie. „Może to rzeczywiście kłamstwo. Ale zobaczmy, komu tatuś uwierzy“.

5

Gdy spakowaliśmy część dobytku, by go załadować do naszej skody w dniu ucieczki z Bielska, okazało się, że w aucie nie ma miejsca na prezent urodzinowy z takim trudem wymuszony na Nolku. Rower powędrował na strych. Paula obiecała przesmarować olejem wszystkie chromowane części, jeśli nie wrócimy do domu przed pierwszą jesienną ulewą. Nie znalazłem pocieszenia w fakcie, że także olejny portret mamy, malowany przez modnego wówczas wiedeńskiego portrecistę, opakowany został w dwa lniane obrusy i złożony na przechowanie na tymże strychu.

Matka dyrygowała załadunkiem i ustalała priorytety. Na jej polecenie dźwigał dozorca naszej kamienicy, człowiek, którego wszyscy nazywali dziadkiem, mimo iż nie miał ani dzieci, ani wnuków, czerwony kobierzec z Buchary, który przez lata wyścielał całą niemal podłogę salonu, potem wzorzysty Baluci z gabinetu ojca, a za nimi Sziruwan i Kaszan, dwa dywany zakupione na aukcji w Wiedniu i szczególnie lubiane przez mamę. Dziadek zwijał je zręcznie i grubym sznurem umocowywał do prętów bagażnika na dachu samochodu. Mama oświadczyła z całą powagą, iż woli śmierć z ręki hitlerowskiego najeźdźcy od okrutnej rozłęki z dywanami kolekcjonowanymi przez całe niemal życie. Kruche porcelanowe baleriny, otulone grubą warstwą waty i starannie ułożone w pudełkach na buty, umieszczone zostały na tylnym siedzeniu. Do bagażnika wepchnięto duże kufry podróżne pełne odzieży, łącznie z lisim kołnierzem i strusim piórem, a także okrągłą walizką z czarnej laki pełną kapeluszy. Znalazł się również kąk na srebrne nakrycia, prezent ślubny rodziców, i na dwie puchowe kołdry - „bo przecież nie można przewidzieć, kiedy to się skończy“. Zapłakana Paula bezskutecznie próbowała upchać jeszcze dwie poduszki. „Na czym państwo położą głowę?“, mamrotała w rozpacz, jakby w braku poduszek widziała czarną przepowiednię wiecznego braku odpoczynku.

Oparci o parapety okien sąsiedzi z zainteresowaniem śledzili bieg wydarzeń. Wszak nie codziennie nadarzał im się taki widok. Słyszałem, jak żona przysięgłego mierniczego z pierwszego piętra zapytała męża: „co się tu dzieje?“

„Nic wielkiego“, odparł mierniczy, „Żydy uciekają“. Jeszcze wczoraj witał moich rodziców służalczy niemal uchyleciem kapelusza.

Ojciec nalegał, abyśmy wyjechali z Bielska już tydzień przed wybuchem wojny. Mama sprzeciwiała się stanowczo; nie chciała rozstać się z domem. Niemal obsesyjnie przywiązana była do każdego mebla, każdego sprzętu, nawet do doniczek z kwiatami. Przymusowy wyjazd kojarzyła z pożegnaniem wszystkiego, co było jej bliskie i drogie. Woskowane parkiety w mieszkaniu utożsamiała z pokładem mocno zakotwiczonego okrętu. Nie chciała go opuszczać, obawiała się żeglugi po wzburzonych i obcych wodach. Nie zmieniła zdania nawet wówczas, gdy większość znajomych i przyjaciół telefonowała, by się pożegnać. „Bzdury“, zbywała lekceważąco każdego, kto wspominał niebezpieczeństwo wojny z Niemcami. 25 sierpnia minister spraw zagranicznych Józef

Beck i lord Halifax podpisali w Londynie przymierze wojskowe. W ślad za Anglikami poszli Francuzi. Fala optymizmu zalała kraj. Polska nie była osamotniona. Nie mieliśmy wówczas pojęcia, że, dowiedziawszy się o londyńskim spotkaniu, Hitler anulował podpisany już rozkaz ataku. Według planu noszącego kryptonim *Fall Weiss*, armie nazistowskie miały przekroczyć granicę następnego dnia o godzinie czwartej trzydzieści nad ranem. Nie wiedzieliśmy także, że odwołanie napaści stanowiło jedynie krótką zwłokę. Na ulicach miasta rozlepiono plakaty nawołujące do ochotniczej służby w obronie przeciwlotniczej. Obowiązywało całkowite zaciemnienie, a kto zapomniiał za-kleić okna, płacił sążnistą grzywnę. Niemal we wszystkich sklepach sprzedawano pasy papieru, które miały chronić szyby przed pęknięciem podczas nalotów bombowych. Na przedmieściach pospiesznie kopano rowy i stanowiska artylerii przeciwlotniczej. Ciotka Matylda zatelefonowała z Krakowa. Podenerwowana oznajmiła rodzicom, że mąż i szwagier, obaj aptekarze, zostali powołani i odesłani w niewiadome miejsce. Masz szczęście, że nie zmobilizowali także ciebie, zauważyła matka z lekką ulgą. Ojciec obruszył się. Czuł się dotknięty, że nie wezwano go pod broń w tak krytycznej dla Polski chwili. Hołubiona szabla legionowa rdzewiała w pochwie. Mundur oficerski od dawna stał się pokarmem moli, ale ojciec sądził, że miejsce pięćdziesięcioletniego, zdrowego mężczyzny jest na froncie. „Na razie nie ma wojny“, podkpiwała mama. „A poza tym masz pięćdziesiąt lat i dziesięć miesięcy. Nie rozumiem, o co ten rozgardiasz. Anglicy i Francuzi są z nami, Hitler nie odważy się uderzyć. Ale wy, mężczyźni, zawsze robicie wiele hałasu o nic“.

Matka nie była odosobniona w swoich poglądach. Wszyscy sąsiedzi twierdzili, że to tylko gra nerwów, poker polityczny, że Hitler tylko straszy i że wycofa się z gry w ostatniej chwili. Ludzie zawsze skłonni są wierzyć w to, w co wierzyć chcą. Wizja apokalipsy wojennej, jak zresztą każda inna katastrofa, od zderzenia pociągów do wybuchu wulkanu, obca była mentalności mamy. Otaczający ją świat stanowił, choćby tylko dzięki swemu trwaniu, gwarancję stabilności. *A priori* odrzucała każdą myśl o trzęsieniu ziemi, które mogłoby naruszyć budynek jej wiary. Gdy ktoś ze znajomych przyciskał ją do muru w trakcie gorącej debaty, a debat takich było bez liku, odpowiadała cytatami z artykułów redakcyjnych: „...nawet jeśli Hitler naruszy granice suwerennej Polski, armia polska pobije go na łeb, na szyję...“ W zaciętrzewieniu wołała: „Nie jesteśmy Czechosłowacją!“ Radio karmiło nas dniem i nocą hasłami o waleczności polskiego żołnierza, słowa marszałka Rydzas-Śmigłego, że „nie oddamy ani guzika“ powtarzano jak swoiste *pater noster*. Nawet najwięksi sceptycy nie sądzili, że wyposażenie armii było przestarzałe, że Polska nie dysponowała lotnictwem, które mogłoby się zmierzyć z niemiecką Luftwaffe, i że linie obronne, ponoć nie do zdobycia, istniały wyłącznie w imaginacji generalów.

Ojciec, mimo iż był „patriotą dyplomowanym“ i zwolennikiem rządów silnej ręki, nie poszedł na lep oficjalnej propagandy. Sytuację oceniał na zimno, bez sentymentów. Bielsko leżało zaledwie kilkadziesiąt kilometrów od granicy. Niemcy, twierdził, zajmą je bez jednego strzału już w pierwszych godzinach wojny. Dyskusje rodziców prowadzone były przy drzwiach zamkniętych, nie wiem, jakimi posłużył się argumentami, by przełamać opór matki, wiem tylko, że ruszyliśmy w drogę czterdzieści osiem godzin przed zajęciem miasta. Celem naszym był Chełm Lubelski, przekształcony w centrum sanitarne zaplecza, a więc stojący poza zagrożeniem hitlerowskimi bombowcami.

Gdy wczesnym pogodnym przedpołudniem, w środę 30 sierpnia, zostawiliśmy za sobą rogatki Bielska, napięcie sięgnęło zenitu. Radiostacja katowicka donosiła o rozpaczliwych wysiłkach zapobieżenia wojnie. Faszystowskie Włochy podjęły się ponoć misji pośrednika między Berlinem a Warszawą. Także Londyn próbował zażegnać niebezpieczeństwo zbrojnego starcia. Nocą, kilka minut po północy, brytyjski ambasador, Henderson, stawiał się w kancelarii Ribbentropa. Nazistowski minister spraw zagranicznych przyjął go z marsowym obliczem. Monotonnym głosem odczytał listę niemieckich żądań; na pierwszym miejscu figurowało ultymatywne żądanie przyłączenia Gdańska do Rzeszy. Henderson prosił o kopię dokumentu, aby ją przekazać władzom polskim. „Skończy! się piasek w klepsydrze“, oznajmił Ribben-trop, twierdząc, że pełnomocnik rządu JAP nie stawi! się na umówione spotkanie. „Wyczerpała się cierpliwość Führera“, dodał, odmawiając wszelkich komentarzy. Henderson nie podniósł rąk. Nad ranem udało mu się pozyskać treść ultimatum z rąk Hermanna Göringa. Prosto z pałacu nazistowskiego marszałka lotnictwa udał się do ambasady polskiej. Ale gdy ambasador Lipski pragnął! przekazać tekst żądań swojemu ministrowi w Warszawie, skonstatował ze zdumieniem, że jego telefon został wyłączony. Rzeczywistość nie pozostawiała już żadnych wątpliwości: Hitler nie pragnął dalszych rokowań. Hitler chciał wojny.

Pierwszego wieczora stanęliśmy na nocleg w domu naszej krakowskiej rodziny. Babcia zaskoczyła mnie swoją szczodrością. Gdy nikt nie widział, wetknęła mi w dłoń srebrną monetę: całe dwa złote. „Śpij słodko“, powiedziała i ucałowała mnie w czoło. Spałem w ogromnym łóżu małżeńskim ciotki Matyldy. Nim zasnąłem, słyszałem przez pół-przymknięte drzwi do salonu zmieniające się głosy spikerów radiowych. Gdy obudziłem się o siódmej rano, wciąż jeszcze wypełniali mieszkanie denerwującymi wieściami. Kanclerz Rzeszy zawiadamiał, że Polska odrzuciła wszystkie jego prawne żądania i że drogo za to zapłaci. Mama skarciła mnie, bo źle zasznurowałem buty. Służąca cioci Maldy wpadła do pokoju zalana łzami. „Co będzie ze mną, co będzie ze mną“, płakała. Mama zwróciła jej uwagę, że nie wchodzi się do salonu bez pukania. Ojciec prosił o ciszę, bo właśnie nadawano komunikat z Warszawy. Wykorzystałem zamieszanie, aby wykręcić się od mycia zębów.

Po śniadaniu mszyliśmy w drogę. Dziadek patrzył z okna, jak wsiadaliśmy do przeladowanego samochodu i kiwał głową, nie wiem, czy ze zdziwienia, czy na pożegnanie. Jechaliśmy lewym brzegiem Wisły, przez Zielonki, Połaniec i Sandomierz, w kierunku na Lublin. Pod Annopolem trzeba było przeciąć rzekę, ale zabroniono nam wjazdu na most. Saperzy minowali przęsła. Ponad trzy godziny czekaliśmy w kolumnie wozów, aż nadeszła nasza kolej. Oficer w zakurzonym mundurze majora zażądał dowodów tożsamości. Wszędzie rozlepiano plakaty przestrzegające przed szpiegami, w każdym obcym widziano niemieckiego sabotażystę. Gazety pisały o Polakach niemieckiego pochodzenia zagrażającym bezpieczeństwu kraju. Czujność była nakazem chwili. Ojciec wysunął przez okna swoją książeczkę wojskową.

„Jest pan porucznikiem rezerwy?“

„Sam pan widzi.“

„Dlaczego nie został pan zmobilizowany?“

„Moja jednostka stacjonuje w Lublinie. Właśnie tam jadę.“

„Z dzieckiem, żoną i tymi wszystkimi gratami?“

„Rodzina zostanie w mieście, ja przyłączę się do pułku“. Jaki pułk?“

„Artyleria lekka. Czwartą pułk, czwartą baterią“. Major zmarszczył czoło. „Pańskie nazwisko Frister?“

„Mecenas Frister“, poprawiła go mama. Ojciec próbował ją uciszyć, potem zwrócił się do majora: „Frister. Tak jest napisane w dowodzie.“

„Brzmi po niemiecku“, skonstatował major. „Pan żartuje“, zaprotestował ojciec.

„No to może po żydowsku“. Ton majora świadczył o tym, że także Żydzi są podejrzani.

„Jestem polskim oficerem rezerwy“, dobitnie powiedział ojciec.

„Dobrze już, dobrze. Ruszycie na drugą stronę, jak tylko skończymy robotę“.

Saperzy pracowali niemal do zmierzchu. Było już po ósmej, gdy minęliśmy Kraśnik. Dopiero wtedy dowiedziałem się, że celem podróży jest Chełm Lubelski i że mamy tam krewną, panią doktor Wilenko, która czeka na nasz przyjazd.

Trzeciego września była piękna pogoda i w letnim słońcu wydawało się, że nie ma miejsca spokojniejszego od Chełma. Główne ulice miasteczka pięły się pod górę, aby spotkać się przy parku okalającym katedrę. Przechodniów można było zliczyć na palcach dwu rąk, nikt się nigdzie nie spieszył, zdawać się mogło, że w zapomnianym przez Boga miasteczku, jak zresztą we wszystkich miejscowościach Polski B, czas nie miał wielkiego znaczenia. Ale nie było nic bardziej iluzorycznego od tej leniwej beczynności. Od ponad czterdziestu ośmiu godzin trwały zacięte walki. Od pierwszego strzału widoczna była przytłaczająca przewaga Niemców. Nie wystarczały odwaga i patriotyzm, aby zmierzyć się z dwoma i pół tysiącami czołgów, niezliczonymi eskadrami bombowców i myśliwców oraz dwoma i pół milionami uzbrojonych po uszy żołnierzy, których Hitler rzucił na front polski. W ciągu dwóch dni miasteczka obróciły się w perzynę, linie obronne piechoty załamały się pod naporem przeważających sił wroga, urzędy i ministerstwa w Warszawie zaczęły przygotowywać się do ewakuacji. Radiostacje wciąż jeszcze starały się podtrzymać nas na duchu, ale coraz więcej ludzi, między nimi nawet najwięksi optymiści, zaczęli zdawać sobie sprawę z nieuchronności klęski. Dopóki jednak fala uciekinierów nie dotarła na prawy brzeg Wisły, nic nie wytrącało Chełma z jego leniwej drzemki. Wczesnym popołudniem zaczęli zjeżdżać na zakupy chłopcy z okolicznych wsi. Furmanki stały wzdłuż głównej ulicy, znudzone konie przebierały kopytami i zanieczyszczały asfalt. Po południu wypełniały się karczmy. Takiego to zwyczajnego dnia mama zdecydowała, że musi kupić buty; po raz pierwszy w życiu - na płaskim obcasie.

Z każdą minutą rosła góra pudeł przynoszonych z półpietra przez uprzejmą sprzedawczynię. Mama badała towar skrupulatnie, krzywiła się niezadowolona, krytykowała gatunek skóry, model i wykończenie. Na próżno ekspedientka przekonywała ją, że „wszyscy to kupują i nigdy nie było reklamacji“. Ale gusty i opinie ludzi mieszkających na wschód od Wisły nie były dla mojej matki argumentem. Znów coś przymierzała, wybrzydząc na szorstką podszewkę, gdy do sklepu wdarł się jęk syreny alarmowej. Do pierwszej przyłączyły się następne, jedna po drugiej wzmacniały straszliwy dźwięk, aż w końcu wszystkie zawodziły chórem jak stado zgłodniałych wilków.

„Dokąd idziesz?“, zawołała mama, stojąc na jednej bosej nodze.

„Zaraz wrócę!“, krzyknąłem od drzwi. Wybiegłem na ulicę. Za żadne skarby nie zrezygnowałbym z widoku pierwszego w życiu bombardowania. Przechodnie rozpierzchli się w popłochu, na ulicy zostały tylko konie obojętnie żujące siano. Głos syren rozplątał się w przestrzeni i zanikł. Z dala nadciągał głęboki, przytłumiony warkot motorów. Brzmiał jak bzyk roju rozszierzonych os. Na horyzoncie, ponad dachami, na których powiewały flagi Czerwonego Krzyża, pojawiła się eskadra samolotów. Piloci kolejno łamali szyk, raz w lewo, raz w prawo, sępiim lotem nurkowali nad miasto, wypływali ładunek bomb i natychmiast uciekali w sam środek nieba. Widok był fascynujący, stałem nieruchomo, zahipnotyzowany powietrzną ekwilibrystyką. Bomby wybuchały daleko, słyszałem ich świst i detonację, widziałem słupy dymu wyrastające z dzielnicy, w której wszystkie szkoły przekształcono w szpitale. Gdzieś za moimi plecami odezwała się spóźniona bateria dział przeciwlotniczych. Pociski godziły w puste niebo, każdy błysk rodził małą popielatą chmurkę, cienką i delikatną niczym kłębek waty. Ktoś wołał:

„Hej, dziecko, uciekaj stąd!“

Ani mi w głowie było opuścić świetny punkt obserwacyjny. Z domu po drugiej stronie ulicy wyszło dwóch oficerów, jeden z nich przyłożył do oczu lornetkę i krzyknął entuzjastycznie:

„Patrzcie, patrzcie, szwabskie samoloty uciekają!“

Nawet ja, jedenastoletni smarkacz, zdawałem sobie sprawę, że to nonsens. Było jasne, że niemieckie bombowce zakończyły swoje niszczycielskie dzieło i wracają do baz. Po chwili znów rozległo się zawroczenie syren, wzrastające i opadające na przemian, tym razem na odwołanie alarmu. Wróciłem do sklepu. Sprzedawczyni zmierzyła mnie zdziwionym spojrzeniem:

„Szukasz tej pani? Ona wyszła zaraz za tobą.“

Stałem w drzwiach. Ekspedientka wskazała na stertę pootwieranych pudełek i rozłożyła bezradnie ręce. Wydawała się zupełnie nieświadoma tego, co działo się na zewnątrz. Jeźdźnią przemknęła karetka pogotowia, konie spłoszyły się, kobieta w czarnej sukni biegła w dół ulicy krzycząc, że bomba trafiła w lazaret wojskowy, że są ranni i zabici. Ekspedientka zaczęła pakować buty do pudełek, potem wyprostowała się i powiedziała, że mama wyszła na podwórze.

Obawiałem się, że ojciec mnie skarci za to, że wymknąłem się spod opieki matki akurat podczas alarmu. Strach ogarnął mnie na myśl, że mama jest już w domu, że wszyscy wyszli mnie szukać. Zrozpaczony pobiegłem na podwórze. „Mamo, mamo!“, wołałem głośno, acz bez wielkiej nadziei. Przy ścianie, pod rynną, stała ogromna beczka ściśnięta zardzewiałymi obręczami. Miejscowi zbierali w niej wodę deszczową, miękką, dobrą do mycia głowy. Ale deszcz nie padał od dawna, beczka była sucha, natomiast wystawał z niej... kapelusz mamy.

„Już po wszystkim?“, spytała.

„Tak; już po wszystkim“, przytaknąłem i parsknąłem głośnym śmiechem.

Ciotka Wilenko, która chętnie odstąpiła nam pokój w swojej drewnianej willi, była osobą nadzwyczaj gościnną. Co rano, o bardzo wczesnej godzinie, wychodziła, by w kiosku na rogu kupić ojcu gazetę, gotowała nam nasze ulubione potrawy, rozpieszczała mnie słodyczami i miłym słowem. „Zawsze chciałam mieć syna“, mówiła. Od wielu lat owdowiała - jej mąż, pediatra, zaraził się szkarlatyną od małego pacjenta i umarł, sama wychowywała cztery córki. Najmłodsza miała na imię Malinka, nomen omen, bo była słodka, a buzię miała pucułowatą i zaróżowioną. Podobała mi się od pierwszego wejrzenia i chyba dlatego czułem się w jej towarzystwie odrobinę zawstydzony. Po raz wtóry spotkałem ją po dwudziestu ośmiu latach, w Tel-Awivie. Marcowe wypadki przepędziły ją z Łodzi, jej mąż, chemik, nie mógł znaleźć odpowiedniej pracy, ich życie w Izraelu nie było lekkie, ale nic nie było w stanie zmyć jej sympatycznego uśmiechu. Malinka po prostu kochała życie. Dwie inne siostry, Janka i Geja, zginęły w obozach. Najstarsza, Marysia, uratowała się, ale została psychiczną inwalidką.

Historia Marysi warta jest opowiedzenia, choćby ze względu na jej morał. Los obszedł się z nią łaskawie, oboje z mężem Izaakiem zostali wyzwoleni przez Armię Czerwoną i rozpoczęli względnie wygodną egzystencję w Polsce komunistycznej. Tyle tylko, że w drodze z obozu porzucili swoją żydowską tożsamość i pojawili się w Warszawie jako rdzenni Polacy. Pod tym względem nie różnili się od wielu innych Żydów, którzy z Rosenbergów i Schneiderów szybko przekształcili się w Różańskich i Krawczyków. Izaak był prawdziwym oportunistą, bez trudu przystosował się do nowej rzeczywistości, wstąpił do partii i szybko wspinał się po szczeblach zawodowej kariery. Gdy spotkaliśmy się w roku 1948, wyłożył mi swoje credo: żydostwo było ziarnem, które rodziło zatrute plony. Nie dało mu niczego prócz cierpień i poniżenia. Nie miał siły taszczyć z sobą tego zbędnego balastu w nowe, fascynujące życie. Syn Michał został ochrzczony i nigdy nie miał dowiedzieć się prawdy o swoim pochodzeniu. Gdy podrośl, poproszono, abym zaprzestał moich odwiedzin, bo „dziecko może się domyślić“. Myślę, że moja obecność nie mniej przeszkadzała Marysi i Izaakowi. Byłem jedynym ogniwem łączącym przeszłość, którą pragnęli wymazać raz na zawsze, z teraźniejszością, którą chcieli sobie stworzyć. Zaszyci w swoim schowku obawiali się, że ich wydam, jak kiedyś szmalcownicy wydawali Żydów w ręce Gestapo. Obawiali się demaskującego światła dziennego. Ich demonstracyjna pewność siebie służyła jako zasłona dymna tej obawy. Nie wiedzieli jeszcze, że człowiek bez korzeni jest jak drzewo skazane na ścięcie i że za błąd ten zapłacą wysoką cenę. Nie mieli pojęcia, że człowiek, którego nazwisko sobie przywłaszczyli, służył podczas okupacji jako agent Gestapo, że władze bezpieczeństwa trafią na jego ślad i że po nitce do kłębka dojdą do Izaaka¹⁸. Po aresztowaniu najtrudniejszą chwilą była konieczność powrotu do odepchniętej prawdy. „Zarzut jest absurdalny, przecież urodziłem się Żydem“ - tych siedem słów, niemal siłą wyrwanych z krtani i rzuconych do protokołu bezpieki, kosztowały go atak serca. Bez nich przypuszczalnie zakończyłby życie za kratami. Ale najsurowsza kara dopiero czyhała za węglem. Ukochany syn Marysi i Izaaka nie wybaczył rodzicom kłamstwa.

Od dzieciństwa uczono go, że Żydzi są czymś gorszym, niegodnym szacunku, skazanym na potępienie. Teraz na siłę rzucono go w świat, którym gardził. W swoje szesnaste urodziny zatrzasnął za sobą drzwi, aby nigdy już nie wrócić do domu. Nawet gdy ojciec umierał, złożony nieuleczalną chorobą serca, nie chciał go widzieć. Izaak zmarł w pełnej świadomości życiowej klęski. Marysia żyje za granicą, samotna, nie odpowiadając na listy siostry. Powiada Malinka: „żał mi jej, bo sama nie wie, że jest prawdziwą ofiarą Holocaustu“.

Załamaniem się polskich linii obronnych załamało także ojca. Nie chciał wierzyć, że Niemcy prą na Warszawę, że ministrowie i wyżsi urzędnicy proszą o azyl w Rumunii, że los kampanii wrześniowej został przesądzony. Ale z faktami nie sposób było się spierać. Niebezpieczeństwo stawało się coraz bardziej namacalne, nadszedł czas rozstania z ciotką Wilenko. Mocno przerzedzone bagaże znów powędrowały do samochodu. Jedziemy. Dokąd? Nieważne. Byle dalej na wschód. Byle dalej od Niemców. Tak jak wszyscy. Jak dziesiątki tysięcy uciekinierów. Gorączka paniki ogarnęła bogatych i biednych, zdrowych i chorych, Polaków i obcych. Luksusowe samochody dyplomatów wlokły się przez zatłoczone drogi na równi z chłopskimi fiūmankami. Szosy na kresach nie były asfaltowane, kurz pokrył szyby naszej małej skody, świat za oknami wozu był zamazany, brązowy. Manewrowanie między wybojami, pojazdami, które utknęły w drodze z braku paliwa a nie kończącym się tłumem pieszych wymagało niezmiernej ostrożności. Od czasu do czasu wszyscy usuwali się na pobocza gościńca, aby zwolnić miejsce dla ryczącej klaksonem wojskowej ciężarówki. Kierowcy w mundurach zachowywali się bezwzględnie, nieraz zostawiali za sobą rozbite od uderzenia wózki, spłoszone konie i przestraszonych ludzi. Z mego względnie wygodnego siedzenia z zaciekawieniem patrzyłem na tę masę ludzką łudzącą się, że uda jej się uciec przed okropnościami wojny. Ale wojna deptała nam po piętach, ścigając uciekinierów złowrogim warkotem bombowców Stuka, spadających na maszerujące kolumny jak sępy spragnione łatwego łupu. Nie było nikogo, kto mógłby je przepędzić, oprócz żołnierza, który nie wiadomo dlaczego został na wozie drabiniastym, gdy wszyscy uciekli z szosy, i gorączkowo wypróżniał magazynek pistoletu, strzelając do nadciągającej eskadry. Karabiny maszynowe samolotów opylały drogę setkami pocisków, krótka seria ugodziła go

¹⁸ Dzieje Izaaka, jego aresztowania i załamania psychicznego posłużyły jako kanwa innej książki autora: „Skradziona tożsamość“, wyd. Zmora & Bitan, Tel-Awiv 1982.

śmiertelnie, żołnierz spadł z wozu, krew z otwartych ust wsiąkała w kurz gościńca. Po raz pierwszy w życiu widziałem zabitego. Nie byłem wstrząśnięty.

Przypatrywałem się tej scenie z otworu betonowej rury biegnącej pod nawierzchnią drogi. Widziałem wszystko jak przez lunetkę ogromnej armaty. Takie rury o dużej średnicy przecinały drogę od rowu do rowu, działając w czasie jesiennych ulew jak naczynia połączone, zapobiegając zalaniu. Teraz stanowiły jedyną możliwość ochrony przed niemieckimi samolotami. Narastający warkot silników lotniczych ostrzegał przed niebezpieczeństwem. Kto żyw wpełzał w te przewody. Dla wszystkich, rzecz zrozumiała, nie było tam miejsca. Dlatego też często biegliśmy w pole, byle dalej od pasma szosy, i padaliśmy między bruzdy, twarzą w ziemię, wierząc naiwnie, że skoro nie widzimy niemieckich pilotów, to może oni* nas także nie widzą.

Na noclegi, gdy było to możliwe, zajeżdżaliśmy do przydrożnych karczm, w których miejscowi do późnej nocy zalewali swoje zmartwienia. W świetle lamp naftowych sylwetki ich wydawały mi się żywcem wyjęte z Gogola. Czekając na wieczorną strawę, zazwyczaj polewkę z kaszy gryczanej lub kluski zalewane gorącym mlekiem, przysłuchiwałem się rozmowom. Po ćwiartce monopolowej prorokowali apokaliptyczny koniec wszelkiego bytu, spierając się głośno na temat sposobu, w jaki świat pożegna się z życiem. Granice powiatu stanowiły dla większości granice tego świata, bowiem tylko nieliczni zapędzili się kiedykolwiek dalej niż do siedziby starostwa. Ciemnota królowała tu również w jasny dzień, przesady wypełniały życie mistyczną treścią, a żołądki bywały na ogół puste, bo uprawiana w pocie czoła ziemia nie mogła wyżywić wielodzietnych rodzin. W każdym pokoleniu przybywało sy-nów-spadkobierców, gospodarstwa dzieliły się na coraz mniejsze działki, tereny uprawne przypominały szachownicę poletek zboża, ziemniaków i buraków pastewnych. Latem trzydziestego dziewiątego niebo nad tą ziemią było bezchmurne, chłopci przewidywali ubogie plony.

Susza niosła z sobą podwójne nieszczęście, bo tylko ulewy, tak mówiono po zajazdach, mogą zatrzymać najeżdżcę. Ludzie wierzyli, że Matka Boska Królowa Polski nie porzuci swojego narodu. Księża kazali bić w dzwony, wieśniaczki składały kwiaty w przydrożnych kapliczkach. Niech spadną deszcze, modlono się, i zamienią drogi w błotniste szlaki, na których ugrzęzną niemieckie czołgi, a ich załogi zdziesiątkowane zostaną przez naszych ułanów. Ale chyba nie na darmo hitlerowcy mieli wybite na kłamrach żołnierskich pasów *Gott mit uns*¹⁹, bo ziemia pozostała sucha, przychylna nie koniom, lecz broni pancernej. Niełaskawe niebo przyspieszyło ostateczną klęskę.

Tutaj, na Kresach, chłopci dzielą zapałkę na czworo, a buty wkładają tylko w niedzielę, gdy idą do kościoła. Tak opowiadała mama, gdy jedliśmy gorącą kaszę z kluskami. Wyławiałem z potrawy czarne ziarna i kładłem je na brzegu talerza. Wciąż jeszcze byłem rozpieszczonym jedynakiem z Bielska, aczkolwiek, patrząc dookoła, pomału zaczynałem rozumieć sens matczynej uwagi, gdy wybrzydzałem przy stole. „Inne dzieci“, zwykła mówić, „byłyby szczęśliwe, gdyby dostawały to co ty“. Musiałem zawędrować aż tutaj, w Hrubieszowskie, aby pojąć, co miała na myśli.

Przymusowa podróż do wschodnich dzielnic Polski była dla mnie podróżą odkrywcy w dalekie, egzotyczne kraje. Po raz pierwszy w życiu widziałem kurną chatę, prawdziwą, a nie wyciętą z ilustracji książki z bajkami. Nigdy przedtem nie spotkałem na drodze pijanych mężczyzn i bosych dzieci. Ze zdumieniem patrzyłem na opatulone w chusty wieśniaczki, które stały na skrzyżowaniach z koszami jaj i sera. Wybiła ich dobra godzina, bo przed wybuchem wojny nikt nie płacił tu trzydziestu groszy za kurze jajko lub dwóch złotych za oselkę sera. Mama narzekała na paskarzy, ale płaciła bez zmrużenia oka, bo o targowaniu się nie mogło być mowy. Prawo popytu i podaży dyktowało ceny. Sprzedający napotkani trzeciego lub czwartego dnia naszego exodusu w ogóle odmawiali przyjmowania pieniędzy, szczególnie papierowych. Gdy skończył się zapas srebrnych pięcio- i dziesięciozłotówek, wróciliśmy do epoki handlu wymiennego: kurczak za pięć pope-linowych koszul ojca, bochenek chleba za komplet jedwabnej bielizny mamy. Lecz nie żywność, ale paliwo stanowiło największy problem. Na całej trasie z Chełma do wschodniej granicy państwa nie została ani jedna czynna stacja benzynowa. W miasteczkach natychmiast powstała nowa warstwa społeczna: spekulanci. U nich można było nabyć wszystko. Z ciężkim sercem matka zgodziła się poświęcić swoje dywany, ale spekulanci śmiali się jej w twarz. Przyjmowali tylko złote monety. „Przecież ten Kaszan wart jest setki dolarów“, przekonywała. Na próżno. Spekulanci nie odróżniali perskiego kobierca od maszynowo tkanego dywanu, a nawet gdyby się na tym znali, wątpliwe, czy w domach bez parkietów i chatach bez podłóg znaleźliby nabywców. Benzyna była towarem najbardziej

¹⁹ Bóg z nami.

poszukiwanym, jeśli ktoś nie mógł za nią zapłacić, nie pozostawało mu nic innego, jak tylko iść pieszo.

U wjazdu do jednego z miasteczek, jeśli mnie pamięć nie myli był to Uściług, zatrzymaliśmy się przy ciężarówce wojskowej, która stoczyła się do rowu i tkwiła tam ze złamaną osią. Kierowca miał pięć kanistrów, w każdym kanistrze dwadzieścia litrów etyliny, i gotów był je sprzedać za polskie złotówki. Ojciec powiedział, że z takim zapasem paliwa na pewno ujdziemy przed Niemcami. „Pewnie, wystarczy aż do Moskwy“, zakpiłem. Ojciec zmierzył mnie złym spojrzeniem i krzyknął gromko: „Nie wymądrzaj się, zacznij wyrzucać dywany!“ Potrzebne było miejsce na zbiorniki z benzyną. Syczorykiem przeciąłem sznury, ściągnąłem z dachu wozu czerwony bucharski i cisnąłem go do rowu. Za nim powędrował Baluci z trzema tkanymi obramowaniami, po tym mały Szirwan, a w końcu ulubiony przez matkę Kaszan z postaciami perskich myśliwych. Szofer w mundurze pomógł nam umocować kanistry na dachu i na błotnikach. Zadowolony z dokonanej transakcji splunął w palce, przeliczył banknoty, wepchnął je do tylnej kieszeni spodni, ściągnął z siedzenia ciężarówki wypchany chlebak, kopnięciem zatrzasnął drzwi kabiny i wmieszał się w tłum uciekinierów, nie obejrawszy się za siebie. Kilku chłopów stało pod pobliskim płotem, żaden z nich nie ruszył się, by zabrać porzucone dywany.

Matka z trudem powstrzymywała szloch. Ująłem ją za rękę i pocieszyłem z całą naiwnością dziecka:

„Nie martw się, mamo. Ja też musiałem zrezygnować z moich ołowianych żołnierzy“.

O Zdobunowie nie uczono mnie na lekcjach geografii ani historii i dopóki nie dotarliśmy do miasteczka, nie słyszałem o jego istnieniu. Sądzę, że figurowało na niemieckich mapach sztabowych, ale z pewnością nie jako miejsce, w którym można odpocząć po zwycięstwie. Stąd do granicy sowieckiej, mając parę wypoczętych koni, jechało się mniej niż godzinę. Pierwszy obcy żołnierz, którego spotkałem w miasteczku, nie był Niemcem, lecz Rosjaninem. Nosił wyblakły mundur i dziwną spiczastą czapę z czerwoną gwiazdą. Niemal wpadłem na niego, gdy wychynął zza rogu otoczony gromadką rozwrzeszczanych dzieciaków. Przestraszyłem się. Ale czerwonoarmista nie wyglądał groźnie. Miał wesołą twarz i niedbale przewieszony przez ramię karabin. Powiedział coś, co brzmiało jak powitanie, ale nie rozumiałem ani słowa.

„Skąd on się tu wziął?“

„Stamtąd“, odparł jakiś wyrostek i wskazał na koniec ulicy.

„Po jakiemu on mówi?“

„Jak to po jakiemu? Po rusku“.

Zawróciłem na pięcie i pobiegłem do domu, podzielić się z rodzicami sensacyjną nowiną. Matka wysłuchiwała mnie spokojnie i lakonicznie skwitowała wiadomość:

„Tylko tego nam brakowało; bolszewicy“.

Nie zdawałem sobie sprawy, że jestem świadkiem historycznego wydarzenia. Nikt w miasteczku nie wiedział, że ministrowie spraw zagranicznych Trzeciej Rzeszy i Związku Radzieckiego podpisali tajne porozumienie o czwartym rozbiórce Polski. Obszary na wschód od Bugu oddane zostały pod rosyjską okupację. 17 września sowiecki komisarz do spraw zagranicznych przekazał notę dyplomatyczną informującą ambasadora RP w Moskwie, że Armia Czerwona wkroczyła na Kresy, „aby chronić życie i mienie mieszkańców Ukrainy i Białorusi“. Pełna treść dokumentów podpisanych przez Wiaczesława Mołotowa i Joachima von Ribbentropa dotarła do wiadomości Polaków dopiero pięćdziesiąt lat później, po obaleniu władzy komunistycznej.

Nie tylko matka, także ojciec uważał, że bolszewicy są gorsi nawet od hitlerowców. Ale w trzecim tygodniu września bolszewicy nie wyrządzili nam żadnej krzywdy. Ofiarą padła nasza mała skoda, zaparkowana na podwórzu domu, w którym wynajęliśmy pokój. Przyszli wczesnym rankiem, rosyjski oficer i dwóch milicjantów - lokalna milicja zorganizowała się natychmiast po wkroczeniu Armii Czerwonej - i zażądali kluczy od wozu. Ojciec oddał im klucze bez dyskusji. Oficer uruchomił silnik, zmagął się chwilę z lewarkiem skrzyni biegów, chciałem mu pomóc, ale ojciec przytrzymał mnie za ramię, coś zazgrzytało, samochód rzucił się wstecz jak zraniony zwierzak i z całej siły uderzył w mur okalający zabudowanie. Biedna skoda nie wytrzymała tak brutalnego traktowania. Bagażnik zgniótł się jak harmonia, z dyferencjału polał się olej, silnik zgasł. Oficer otworzył drzwiczki, ocenił szkodę i patrząc ojcu w oczy, oznajmił:

„Taki jest los kapitalistycznego majątku“.

Trójka reprezentująca władzę opuściła pole bitwy bez dalszych komentarzy. W nocy nieznanymi sprawcy rozebrali wóz na części, pozostawiając jedynie wypatroszoną karoserię. Stała tam, ogołocona ze wszystkiego, co dało się rozmontować, aż do dnia, w którym wsiedliśmy do pociągu kursującego dwa razy w tygodniu na trasie Równe-Lwów.

Tymczasową kwaterę znaleźliśmy w domu miasteczkowego bogacza Zalmana, którego wszyscy nazywali, z niewiadomego mi powodu, rabbi Szmuel. Do Zdołbunowa przybyliśmy piętnastego września w południe. Pierwszy spotkany przechodzień skierował nas do rodziny Krau. Matka sfinalizowała z Zalmanem-Szmuelem skomplikowaną umowę o wynajęcie pokoju na tydzień w zamian za kilka sukien dla jego żony Sury. Na znak dobrej woli dołożyła mu pudełko z masy perłowej na tabakę. Podarunek zrobił na rabbinie Szmuelu ogromne wrażenie, bo jak świat światem w Zdołbunowie nikt nikomu nie dawał niczego za darmo.

Dom rodziny Krau był dla mnie nie kończącym się źródłem odkryć. Gdybym znał już wówczas malarstwo Chagalla, na pewno wierzyłbym, że nocami fruwały skrzydła wykrada się z jego płócien i krąży w świetle księżycy nad dachem domu, ciągnąc smyczkiem wzruszające chasydzkie melodie. Ponieważ jednak w lekturę dzieciństwa zakradły się także przerażające bajki braci Grimm, puszczałem wodze fantazji i wyobrażałem sobie, że dom rabbi Szmuela to krzywa chata z pierników, do którego zła czarownica wabi niewinne dzieci, aby je otruci. W całym budynku, drewnianym, na niskiej podmurówce, nie było jednej prostej ściany. W przedpokoju, a raczej korytarzu między pokojami, panował wieczny półmrok. Ochrypli głos grubej Sury brzmiał w moich uszach jak krakanie stada wron. Umieszczono nas w pokoju po lewej stronie korytarza. Okno wychodziło na ulicę. Na główną ulicę, wzdłuż której ciągnęły się drewniane chodniki, znak, że cywilizacja nie pominęła tej deski zabitej dziury. Na parapecie stała doniczka z wyschniętymi szczątkami geranium. Pluszowe fotele przesiąkły zapachem zupy i czosnku.

Nigdy nie udało mi się doliczyć dzieci zdołbunowskiego bogacza. Jak we wszystkich żydowskich ortodoksyjnych rodzinach, także u Krau „co rok prorok“, a że żonaty był od niepamiętnych czasów, potomków miał całą plejadę. Co chwilę inny dzieciak uchylał drzwi do naszego pokoju, oczywiście bez pukania, i wbił w nas parę zaciekawionych oczu. Byliśmy dla nich stworami z innej planety. Nie nosiliśmy czarnych jedwabnych kapot, nie mieliśmy pejsów, mama nie zgoliła włosów i nie zakrywała głowy chustą, jak przystało na pobożną mężatkę.

„Jesteście Żydami?“, zapytała któraś z dziewczynek, kalecząc polski. Miała nie więcej niż siedem lat, była rozczochrana, wyglądała jak wystraszony kurczak.

„Oczywiście“.

„Nigdy nie widziałam takich Żydów jak wy“, rzekła zdziwiona.

„Ja także nie widziałem takich Żydów jak wy“, odparłem.

„Skąd jesteście?“

„Z Bielska“.

„Gdzie jest ta wieś?“

„To nie wieś, to miasto“.

„Duże?“

„Takie sobie“.

„Większe od Zdołbunowa?“ Roześmiałem się. „Znacznie większe“.

„Kłamiesz“, oburzyła się. „Ojciec powiedział, że Zdołbunów jest największy“. Potem zatrzasnęła drzwi i uciekła. Słyszałem oddalający się tupot jej małych czarnych lakierków. Wieczorem, gdy zasiedliśmy do stołu z całą rodziną, nie miała odwagi spojrzeć mi w oczy.

Ponad dwa tygodnie mieszkaliśmy u rabbi Szmuela. Dla mnie były to dwa tygodnie intensywnej nauki o świecie, który znałem jedynie z opowiadań Lejba Pereca i Szaloma Alejchema. Zrozumiałem, że nieprzypadkowo skierowano nas do tego, a nie innego domu, bo takim luksusem - bieżącą wodą z kranu i prawdziwą ubikacją z sedesem i „nia-garą“ - poszczycić się mogło zaledwie kilka budynków w miasteczku. Szmuel-Zalman nie był milionerem, ale w Zdołbunowie, gdzie nędza wyglądała z każdego kąta, a każdy, kto miał w swoim sklepiku smar, mydło i powidło uważany był za kupca, wystarczyło mieć kredyt w banku, aby zwać się bogaczem. Szmuel-Zalman był mężczyzną drobnej postury, ale w szczupłym ciele krył się apodyktyczny duch pana na włościach. Zdumiewał mnie jego huczący baryton, wydobywający się z klatki piersiowej gruźlika, terroryzujący wszystkich

domowników. Emanował pewnością siebie, a fakt, że był jednym z nielicznych lokalnych Żydów mówiących płynnie po polsku powodował, że stał się niezbędnym pośrednikiem we wszystkich sprawach między starozakonny-mi a władzą. Idąc po ulicy, odpowiadał lekkim skinieniem głowy na pozdrowienia przechodniów. Chłopi kłaniali mu się w pas, a on przyjmował to jak należny mu hołd. Wszak kupował ich plony, często jeszcze na pniu, za obniżoną odpowiednio cenę, a gdy przycisnęła ich bieda, nie odmawiał pożyczki. Dłużnicy narzekali ponoć na wysokie odsetki, ale tylko w czterech ścianach, aby głos protestu nie doszedł, broń Boże, do uszu dobroczyńcy. Na bożnicę dawał szczerą ręką, nic więc dziwnego, że miał tam zarezerwowane honorowe miejsce, a sam rabin naczelny Zdołbunowa czuł się zaszczycony, gdy rabbi Szmuel zapraszał go na sobotnią wieczerzę. Zawsze nosił się bogato. Jedwabna czarna kapota i okrągła sobolowa czapa były symbolem stanu i majątku. W upalne wrześnieowe dni pocił się w tym stroju jak mysz, a mama zatykała nos, nie ukrywając wstrętu. „Boję się pomyśleć, co będzie, jak skończy mi się flakonik perfum“, mówiła.

Wojna zmiotła z powierzchni ziemi żydowskie miasteczka na Kresach; zostały po nich pieśni żałobne oraz albumy zdjęć pełne nostalgii. Z tęsknotą mówi się o bogactwie duchowym żydostwa, którego już nie ma. W zapomnienie poszły nędza, wyzysk, prostactwo i brud. Pamięta się mądrość bohatera komedii ludowych Hersza z Ostropola. Najpopularniejszy musical lat siedemdziesiątych, „Skrzypek na dachu“, uwiecznił postać Tewiego Mleczarza. Legenda mędrców i cadyków przechodzi z pokolenia na pokolenie, sławiąc kulturę i tradycję zabita przez nazistów. Jak to się stało, że całe to bogactwo i piękno ducha wymknęło się mojej zdolności postrzegania rzeczywistości? Czyżbym miał spojrzenie tak płytkie, że nie dostrzegało podziemnego nurtu? A może wszystko jest fikcją stworzoną dla ludzkiej potrzeby idealizowania przeszłości? Jakakolwiek by ta prawda nie była, jedno jest pewne: nie ma już w Zdołbunowie Żydów, ani biednych, ani bogatych, zaś sylwetka rabiego Szmuela siedzącego w swym fotelu jak król na tronie nie pachnie już potem i czosnkiem. Została mi w pamięci jak jeszcze jedna z postaci w muzeum figur woskowych pani Tussaud.

6

W niedzielę, dwudziestego drugiego czerwca 1941 roku, o trzeciej piętnaście nad ranem, niemal godzinę przed oficjalnym wypowiedzeniem wojny, rozpoczęła się hitlerowska ofensywa na Związek Radziecki. Gdy hrabia Schulenburg, ambasador Trzeciej Rzeszy w Moskwie, wręczał Mołotowowi odpowiednią notę dyplomatyczną, bombowce Luftwaffe wracały już z pierwszego rajdu na Odessę, Kijów i Mińsk. Stalin był zaskoczony. Do ostatniej chwili wierzył, że Hitler nie złamie tak niedawno podpisanego paktu o nieagresji. Sprawozdania wywiadu przewidujące napaść na ZSRR wrzucane były do kosza, ponieważ nie odpowiadały koncepcji politycznej Generalissimusa. Na Kremlu panowało przekonanie, iż dopóki trwają walki na frontach zachodnich, Niemcy nie zaryzykują uderzenia na Wschodzie. Tak samo sądził mój ojciec. Sobotni wieczór spędził ze znajomymi w kawiarni na jeszcze jednej rozmowie o zbliżającym się końcu wojny. Po Francji, Belgii, Holandii, Danii i Norwegii padły także Jugosławia i Grecja, a w północnej Afryce marszałek polny Rommel zbliżał się do granic Egiptu. Potrzebna była spora doza naiwnego optymizmu, aby dyskutować o warunkach kapitulacji Trzeciej Rzeszy, która wydawała im się „jedynie kwestią czasu“. Mówiono o tygodniach, najwyżej miesiącach. Tylko przy kawiarnianym stoliku, nad szklanką namiastki kawy, mógł ojciec uciec od rzeczywistości składającej się z pracy fizycznej i pustki duchowej. Od kilku miesięcy pracował jako woźnica. Ojciec mojego przyjaciela z Bielska, Arika, założył spółdzielnię przetwórstwa owocowego i mianował się dyrektorem naczelnym. Pamiętam, jak twierdził, że wszyscy Rosjanie biorą łapówki, ale trzeba wiedzieć, komu je dawać. Siedząc już za dyrektorskim biurkiem, mianował ojca szefem transportu. Oznaczało to, że tuż po wschodzie słońca tato ładował na platformę skrzynki z towarami, potem wsiadał na kozioł, ściągał lejce i mszał na objazd lwowskich sklepów. Nie narzekał, bo większość starych znajomych, lekarze, adwokaci i kupcy, zadawali się ostatnimi zająkami: zamiatali ulice, pracowali na budowie, sprząkali biura. Często żartował, że nareszcie wykorzystuje doświadczenie nabyte podczas służby wojskowej w artylerii konnej jego cesarskiej mości, ale nigdy nie udało mu się skutecznie ukryć smutku pod płaszczkiem sztucznego humoru.

Noce nie przynosiły ulgi. Armia pluskiew zakwaterowała się w pokoju odnajętym od rodziny Król i walczyła do ostatniej kropli naszej krwi o swój *Lebensraum*, czyli przestrzeń życiową. Na nic zdały się bohaterskie wysiłki matki. Budzona ze snu ukąszeniami, zapalała światło i ruszała do ataku na szwadrony pluskiew, starając się je zgnieść nim zdążą się wycofać w popłochu pod osłonę wypłowiałych tapet. Umierając na polu bitwy, wydawały dźwięk targanego papieru i wypełniały pokój przyprawiającym o mdłości słodkawym zapachem. Liczbę zabitych mogłem oszacować co rano według ciemnorudych plam na ścianie. W gruncie rzeczy bój to był nie tyle ostatni, ile raczej nie kończący się, bo zdolność mnożenia się pluskiew przekraczała stokrotnie szybkość ich zabijania. Jeśli mama kontynuowała tę beznadziejną walkę, to czyniła tak przede wszystkim dlatego, że poddanie się, na pozór bez znaczenia, oznaczałoby dla niej rezygnację z ludzkiej godności. Walka ze stworzeniami wypijającymi naszą krew miała w sobie coś symbolicznego; była ostatnią linią obrony przed utratą człowieczeństwa.

W pojęciu mojej mamy istniała tylko jedna rzecz bardziej zniechęcająca od pluskiew: bolszewicy. Śmieszyl ją ich ubiór, kpiła z braku dobrych manier, nie mogła pogodzić się z zachowaniem, które postrzegala jako zanik kanonów cywilizacji dwudziestego wieku. Otwarcie lekceważyła żony oficerów i dygnitarzy kupujące jej koronkowe koszule nocne, aby pojawić się w nich na potańcówkach i balach. Brzydziła się mężczyzn, którzy pili alkohol prosto z butelki i palili tanią machorkę, nie myli się dwa razy dziennie i wonieli potem, a nade wszystko gardziła tymi, którzy dukali teksty jak z płyty, zachwalając swój zacofany kraj. Naukę Marksa-Engelsa-Lenina-Stalina, którą próbowali prać nam mózgi, traktowała jak truciznę i gdyby tylko mogła, zabroniłaby mi uczęszczać do szkoły, abym się nie zaraził komunistycznym plugastwem.

Ja nie cierpiełem ani z powodu komunizmu, ani wyimaginowanego plugastwa. Wręcz przeciwnie. Dzieci miały uprzywilejowane miejsce w imperium towarzysza Stahna. Przecież byliśmy „przyszłością narodu“. W domu jadłem zgniłe ziemniaki i wodnistą zupę, ale w szkolnej stołówce karmiono nas mięsem i świeżymi jarzynami. Szybko nauczyłem się rosyjskiego, „bałakałem“ trochę po ukraińsku.

Nikt nie zmuszał mnie do studiowania „Kapitału“, natomiast Puszkina i Lermontowa czytałem z wielką przyjemnością. Wandę Wasilewską traktowałem jako przymus do wytrzymania. Nie czułem owego prania mózgu, przed którym ostrzegała mama, ponieważ odbywało się pod miejscowym znieczuleniem.

Rodzice zdecydowali się na mniejsze zło i zapisali mnie do szkoły Makowieckiej i Filskiej, dwóch starszych dam, które przekształciły swój zakład edukacyjny w bastion polskości. Zajęci po uszy nie cierpiącymi zwłoki akcjami natury politycznej, towarzysze komisarze nie znaleźli czasu na oczyszczenie instytucji oświatowych z imperialistycznych pozostałości. Wskutek tego kardynalnego zaniedbania ścianę pokoju nauczycielskiego wciąż jeszcze ozdabiał biały orzeł z koroną, herb państwa praktycznie nie istniejącego. Ale co się odwlecze, to nie uciecze. Z początkiem zimy dobrało się do szkoły ministerstwo edukacji Socjalistycznej Republiki Radzieckiej Ukrainy, panie Filaska i Makowiecka, tak głośniła plotka, wysłane zostały na dłuższe doksztalcanie w gułagu, zaś w gabinecie dyrektora usadowił się członek jedynie właściwej partii i szybko wprowadził nasz zakład na jedynie słuszne tory.

Poszczęściło mi się, bo w klasie dzieliłem ławkę z Arikim. Natomiast grubo mylili się rodzice, jeśli sądzili, że umieścili mnie w azylu chroniącym przed złymi wpływami otoczenia. Arik i ja czuliśmy się wyobcowani. Pozostali uczniowie, niemal wszyscy bardzo polscy i bardzo narodowi, nie uprzyjemniali nam życia. „Żydki“ było jednym z najłagodniejszych przezwisk, jakimi nas częstowano. Wychowawczynie nakazywała nam czekać za drzwiami, gdy klasa rozpoczynała pierwszą lekcję niedozwolonym „Zdrowaś Mario, łaskiś pełna“. Kiedyś, gdy towarzyszył dyrektor, dokonując niespodziewanego przeglądu zeszytów, odkrył ukryte między kartkami święte obrazki, natychmiast posądzono nas o donosicielstwo. Od tego czasu traktowani byliśmy jak trędowaci. Nikt nie rozmawiał z nami na przerwach. Po lekcjach, gdy wychodziliśmy na ulicę, ciskano w nas kamieniami. Wszystko to działo się pod czujnym okiem pani Bronisławy, wychowawczynie i nauczycielki geografii. Pani Bronisława, osoba wysoka, szczupła i ascetyczna, posługiwała się wycofanymi z obiegu mapami Rzeczypospolitej, zaś nauczając o wschodnich rubieżach, nie omieszkala podkreślać, że obecnie ziemie te są pod władzą, którą uznają jedynie mniejszości narodowe, a przede wszystkim Żydzi. Nie musiała wytykać palcem, wszyscy i tak mierzyli nas wrogim spojrzeniem. Czułem się poniżony. Wbijalem wzrok w ziemię, jak gdybym był naprawdę winny. Często chciałem prosić rodziców o

przeniesienie do innej szkoły, ale tak bardzo zajęci byli codziennymi kłopotami, iż nie miałem pewności, czy mnie zrozumieją.

Pewnego dnia zaskoczyła nas pani Bronisława zadziwiającą propozycją. Niespodziewanie podeszła do nas podczas wielkiej przerwy, gdy staliśmy z Arikiem na korytarzu, i zapytała:

„Chłopcy, powiedzcie szczerze, z ręką na sercu: kochacie Polskę?”

„Całym sercem“, odparł Arik i zaczerwił się ze wzruszenia.

„Gotowi jesteście do czynu patriotycznego?”

„Oczywiście, proszę pani“, mruknąłem lekko zawstydzony. Byłem przekonany, że wychowawczynie obarczy nas jakąś tajną misją; może każe nam zabić Stalina, a może tylko wymalować jakieś hasła na murze. Gotowi byliśmy na każde poświęcenie, byle udowodnić, że jesteśmy nie mniejszymi patriotami od naszych szkolnych kolegów. Poszliśmy za panią Bronisławą do pokoju nauczycielskiego. Tam kazała nam usiąść przy stole, starannie zamknęła drzwi i położyła mi rękę na ramieniu.

„Wiedziałaś, że można na was polegać“, powiedziała przyciszonym głosem. Napięcie było ogromne. Za chwilę zostaniemy wprowadzeni w krąg wtajemniczonych, skończy się bojkot towarzyski, zaczniemy nowe życie. Spojrzałem pani Bronisławie prosto w oczy.

„Zapewne słyszeliście o pionierach“, zaczęła. „To jest taka organizacja dla dzieci w komunizmie. Przedśionek do Komsomołu i do partii“.

„Co nas to obchodzi?“, spytał Arik.

„Jest nowe rozporządzenie; w każdej klasie muszą być pionierzy“.

„Niech sobie będą“, powiedział Arik. Wciąż jeszcze nie widzieliśmy związku między miłością do Polski a pionierami.

„Chciałabym prosić, abyście się zapisali na ochotnika“.

„Dlaczego my?“, zdumiałem się.

„Ponieważ będzie to czyn patriotyczny“, powiedziała.

Nie widziałem w pionierach niczego odstręczającego. Członkowie organizacji mieli swój „pałac młodzieży“ ze świetnie wyposażoną salą gimnastyczną i dużą biblioteką. Często urządzano tam pogadanki i wieczory taneczne dla starszych dzieci, a raz w tygodniu organizowano fascynujące wycieczki po Lwowie lub okolicy. Ale sposób, w jaki przedstawiła tę sprawę wychowawczynie, wzbudził we mnie podejrzenie, że za propozycją ukrywa się jakaś nieczysta intencja.

„Nie rozumiem, co ma pięść do nosa“, odezwał się Arik zaczepnie. Wychowawczynie udawała, że nie słyszy jego arogancji. Wciąż jeszcze opierając się na moim ramieniu, wyjaśniła:

„Jesteście inteligentnymi chłopcami, więc bez trudu pojmiecie, o co chodzi. Aby oszczędzić szkole przykrości, musimy wykonać nakaz władz oświatowych i w każdej klasie założyć małą drużynę pionierów. Sami chyba rozumiecie, iż nie mogę tego żądać od pozostałych uczniów. Wy jesteście Żydami, w was to nie godzi. Zgadzaście się?”

Arik nie był przekonany. „Znów powiedzą, że jesteśmy zdrajcami i donosicielami“, zaprotestował.

„Wręcz przeciwnie. Wyrażając zgodę, uratujecie nas wszystkich od wielkiego wstydu. Rozmawiałam z klasą. Wszyscy będą wam wdzięczni“.

„Jeśli tak...“, odezwał się pojednawczo. Potem skinęliśmy głowami na znak zgody.

„Wiedziałaś, że nie sprawicie zawodu. Jutro po lekcjach stawicie się w stołówce. Będą tam dzieci ze wszystkich klas, będzie przedstawiciel partii i poczęstunek. Dziękuję wam“, zakończyła, otwierając drzwi. Wyszliśmy na korytarz. Arik szturchnął mnie łokciem w bok.

„Nie wiem, jak przyjmie to twój tato. Mojemu to się nie będzie podobało bardzo, ale to bardzo“.

Czerwona chusta pionierów, spięta pod szyją srebrną klamrą z płomieniami znicza, wydawała mi się udanym dodatkiem do garderoby. „Na miłość boską!“, krzyknęła matka, gdy zadzwoniłem do drzwi, „wyrzuć tę szmatę nim ojciec wróci z pracy, bo żywy z tego nie wyjdiesz“.

Ojciec mnie wprawdzie nie zabił, ale po raz pierwszy od wybuchu wojny znów podniósł na mnie rękę. Tyle tylko, że tym razem nie była to kara ściśle przemyślana, cięgi nie były liczone i dokładnie odmierzane. Nie panując nad gniewem, tłukł gdzie popadło, nie zważając na lament matki proszącej o litość i wyrozumienie dla dziecka. Przez następne dni z trudem siedziałem na twardej drewnianej ławce. Pani Bronisława udawała, że tego nie widzi. Ofiara nie została wynagrodzona, bo ojciec zabronił mi chodzić do „pałacu młodzieży“, a koledzy szkolni nie odwołali bojkotu.

Tak czy tak, moja przynależność do pionierów nie trwała długo. W tydzień po rozpoczęciu ofensywy armie hitlerowskie zajęły całą zachodnią Ukrainę. Bolszewicy wycofali się z miasta bez

jednego strzału. W krótkiej przerwie między ucieczką czerwonarmistów a wkroczeniem hitlerowców mama zdążyła spalić moją czerwoną chustę i legitymację pionierów. Dzień przedtem odrzuciła propozycję sowieckiego lejtenanta, który gotów był załadować nas na ewakuacyjną ciężarówkę. Młody oficer mieszkał w dwóch pokojach zarekwirowanych od państwa Królów. Gdy żołnierze weszli na górę, by zabrać oficerski dobytek, powtórzył:

„To już ostatnia chwila, towarzyszeko Frister. Za kilka godzin będą tu Niemcy“.

„Nie słyszałam, żeby pożerali ludzi“.

„Może nie pożerają ludzi, ale na pewno mordują Żydów“.

„Przestałam wierzyć waszej propagandzie“.

„To nie propaganda. To fakt“.

Nie było takiej siły, która mogłaby ją ruszyć z miejsca. „Cenię sobie wasze dobre serce, ale zostaniemy we Lwowie“, powiedziała z wymuszoną uprzejmością. Lejtenant odwrócił się do nas plecami, zszedł na półpiętro, przystanął, wahał się chwilę, jakby chciał jej dać czas do namysłu, po raz ostatni spojrzął wstecz. Matka uśmiechnęła się i pomachała ręką na pożegnanie.

7

Wiatr niósł dmuchawce, zapowiadając koniec lata. Rosły dziko wzdłuż polnej drogi oddzielającej folwark od żółtych działek rzepaku uprawianego przez ukraińskich wieśniaków. Codziennie o piątej po południu wspinała się tą drogą czarna limuzyna z tablicami rejestracyjnymi SS i policji i przywoziła mamę do domu. Wybiegałem jej naprzeciw. Niemiecki szofer poznawał mnie z daleka i zwalniał biegu, abym mógł wskoczyć na stopień i jechać tak, trzymając się okna, aż samochód wjechał na dziedziniec i zatrzymał się przed pałacykiem, w którym mieszkaliśmy.

Było to dla mnie bez troskie lato, pełne słońca i niczym nie ograniczonej swobody. Nie sądziłem, że kiedykolwiek się skończy. W salonie na parterze znalazłem szafkę z płytami. Najczęściej wybierałem płytę ze starymi niemieckimi szlagierami, przysłuchiwałem się, jak nie znana mi piosenkarka śpiewała: *Nach einem Dezember kommt wieder ein Mai*²⁰.

Od poprzedniej jesieni żyliśmy na tym folwarku, w białym dwupiętrowym pałacyku, w odległości dwudziestu kilometrów od Lwowa. Folwark stał na szczycie łagodnego wzgórza, gdy wychodziłem na balkon, mogłem cieszyć oczy widokiem zsuwających się w dół pól uprawnych, krojonych w kolorowe pasy jak materiał, z którego wiejskie kobiety szyły sobie spódnice. Daleko, u podnóża pagórka, obrębiała je trakcja kolejowa. Powietrze przepojone było zapachem polnych kwiatów kwitnących niemal o wszystkich porach roku. Dzieci z pobliskiej wsi Suchowola uciekały na mój widok, ja również nie szukałem ich towarzystwa. Dobrze mi było samemu z sobą. Nie chodziłem do szkoły, czasu miałem w bród, wykorzystywałem go na spacer po okolicznych lasach. Chłopi witali mnie głębokim ukłonem, jak przystało w stosunkach między włościanami a reprezentantem władzy okupanta. Ojca nazywano we wsi „niemiecki pan“, o mamie mówiono „ta pani z policji“. Nie czyniłem najmniejszego wysiłku, by przeanalizować naszą dziwną sytuację. Wojna została za szynami kolejowymi, za siedmioma lasami i siedzioma rzekami, poza granicą moich zainteresowań.

Czyżbym był aż tak dziecinny, że nie dostrzegałem rzeczywistości? Dzisiaj, gdy próbuję odtworzyć tamten czas, dochodzę do wniosku, że tak chyba było. Oderwałem się całkowicie od wszystkiego, co nie graniczyło bezpośrednio z folwarkiem, widziałem jedynie to, co widzieć chciałem. Czasami przyjeżdżali do nas oficerowie SS, aby spędzić koniec tygodnia na świeżym powietrzu. Rodzice grali z nimi w brydża. Myślę, że była to dla nich strzępiąca nerwy rozrywka. Znając moją naiwność, skazywali mnie w takie weekendy na przymusowy pobyt w pokoju na drugim piętrze. Nawet zamknięty między czterema ścianami czułem się wolny i bezpieczny. Czytałem dużo. Nie zdawałem sobie sprawy z niebezpieczeństwa, z jakim związana była praca matki w instytucji podlegającej lwowskiej komendzie SS.

Folwark w Suchowoli stanowił część ogromnego kombinatu skórzanego przejętego przez hitlerowców natychmiast po zajęciu Lwowa i przekazanego w administrację wydziałowi gospodarczemu SS. Niemieckie służby bezpieczeństwa stworzyły meandryczną sieć zakładów produkcyjnych zasilających kasę środkami pozabudżetowymi. Nawet najgorliwsi inspektorzy i

²⁰ Po grudniu znów przychodzi maj.

kontrolerzy gubili się w labiryncie departamentów, oddziałów oraz innych nie mniej ważnych instancji. Folwark suchowolski miał swoje ściśle określone miejsce. Hodowano tam rośliny służące jako garbnik i transportowano je do fabryk we Lwowie. Paweł Jotsch, pastor ewangelicki, przedstawił mamę Kurtowi Brücknerowi, wysokiemu oficerowi SS zarządzającemu kombinatem garbarskim. W przeciwieństwie do większości hitlerowców Brückner był człowiekiem wierzącym i liczył się ze zdaniem swojego kapłana. Rodzice poznali go podczas przypadkowego spotkania u wspólnych znajomych, na krótko przed wycofaniem się Rosjan. Pastor wiedział, że jesteśmy Żydami. Także Jezus był Żydem, zwykł mawiać, dając nam do zrozumienia, że nie ma żadnych uprzedzeń. Lubiłem go bardzo, szczególnie ceniłem jego skromność i powściągliwość w wyrażaniu krańcowych opinii. Przy tym nigdy nie ukrywał tego, co myśli i rzucał ludziom prawdę w oczy, nawet gdy była niemiła. Przedstawiając mamę Brücknerowi, nie zawahał się skłamać. Wykorzystując cały swój kapłański autorytet, oświadczył, iż zna panią Franciszkę Frister od wielu lat i ręczy za jej czysto aryjskie pochodzenie. Brückner szukał sekretarki, pastor Jotsch zapewnił, iż nie znajdzie lepszej pracownicy od mamy. Dyrektor garbarni połknął przynętę, zaś pastor Jotsch natychmiast wystawił nam fałszywe metryki, przezornie wpisując je do ksiąg kościelnych. Za tę usługę zażądał od rodziców „dobrego uczynku za dobry uczynek“; zgody na mój chrzest. Woda święcona była tylko i wyłącznie dla mnie, powiedział, ponieważ nie wierzy w możliwość zbawienia duszy ojca i matki. Nawet jeśli zgodziliby się zmienić religię, niewątpliwie uczyniliby to nie z przekonania, lecz pod presją zaistniałych warunków. Jego zdaniem krok taki byłby większym grzechem niż trwanie przy starej wierze. O mnie zaś sądził, że jestem na tyle młody i otwarty na świat, iż mogę jeszcze ujrzeć światło i otworzyć serce dla świętej prawdy Marcina Lutra.

Mama została zatrudniona jako stenografka. Głównym zajęciem było protokołowanie posiedzeń dyrekcji. Brückner wyraził zadowolenie z jej pracy. Po trzech miesiącach mianował ją sekretarką swojego gabinetu. Wszystkie dokumenty firmy przechodziły przez jej biurko. W kasie pancerniej stojącej w rogu pokoju przechowywała tajną korespondencję. Tylko Brückner i moja mama mieli klucze do tej kasy. Gdy Brückner wyjeżdżał w podróże służbowe, kierownicy wydziałów zwracali się do niej, jakby była co najmniej zastępcą dyrektora. Dyrektor jeździł często, a z każdej podróży przywoził mamie jakiś drobiazg. Raz flakon wody kwiatowej, innym razem konserwy mięsne. Gdy poprosiła, aby przekazał ojcu nadzór nad fermą w Suchowoli, zgodził się od razu. „Niech mi pani nie dziękuje“, powiedział, gdy wyraziła swoją wdzięczność, „to ja mam w stosunku do niej dług wdzięczności. Tak niewielu jest dzisiaj ludzi, którym można zaufać“. Z westchnieniem ulgi rozstaliśmy się z zastępami wygłodzonych pluskiew i przenieśliśmy się na wieś. Dy-rekcyjny horch zabierał teraz mamę o siódmej trzydzięci rano i przywoził ją na folwark o piątej po południu. A gdy dyrekcja wydała bal z okazji pięćdziesiątej trzeciej rocznicy urodzin Hitlera, matka była wśród zaproszonych gości. Z balu przywoziła do domu lekki zapach alkoholu oraz oprawiony w skórę egzemplarz „Mein Kampf. Aż do ostatniego dnia pobytu w Suchowoli książka leżała na biurku ojca, stanowiąc jeszcze jeden widoczny symbol jego stanowiska.

Pogoń za pieniądzem powodowała napięcia, a nawet wrogość między poszczególnymi organami hitlerowskich władz bezpieczeństwa. SS często działała na szkodę armii, Gestapo konkurowało z SS w konfiskowaniu zdobytego mienia, SD pisała donosy na Schupo. Podczas cotygodniowych posiedzeń dyrektorzy w mundurach SS starannie planowali każde pociągnięcie: jak oszukać dyrekcję kolei i uzyskać dla przewozu skór wagony przeznaczone do transportu broni; jak pozyskać dodatkowy kontyngent więźniów do pracy w garbami, mimo iż Berlin chciałby ich wykorzystać w przemyśle zbrojeniowym; jak zdobyć fundusze na zakup sprzętu wbrew polityce finansowej ministerstwa skarbu. W każdym przypadku fabrykowano fałszywe sprawozdania, sporządzano lewe dokumenty i przepisywano daty na listach przewozowych. Oszustwa pakowane były w skrzynki legalności. Matka skrętnie protokołowała przebieg tych posiedzeń, używając stenografii, której nikt poza nią nie potrafił odczytać. Stawała się coraz bardziej niezbędna, z każdym dniem zaskarbiała sobie dodatkowe zaufanie szefa. Gdyby choć część tych protokołów wpadła w ręce Gestapo, odwiecznego konkurenta SS, Brückner przypłaciłby wpadkę nie tylko końcem kariery, ale, być może, także długoletnim więzieniem. Wspólna tajemnica stworzyła atmosferę bliskości, pobory mamy wzrosły dwukrotnie, a pewnego popołudnia, gdy zakończyła rozszyfrowywanie stenogramu, wezwał ją Brückner do swojego gabinetu i zaproponował:

„Postanowiłem pomóc wam w otrzymaniu statusu *Volksdeutsche*“.

Volksdeutsche nie byli wprawdzie pełnoprawnymi obywatelami Rzeszy, ale korzystali z szeregu uprawnień, które ułatwiały życie. Otrzymywali lepsze kartki żywnościowe, wolno im było jeździć pociągami *nur für Deutsche*, nie obowiązywała ich godzina policyjna i mieli prawo do pracy w urzędach państwowych. Dla nas dowody osobiste *Volksdeutscher* byłyby prawdziwą polisą ubezpieczeniową od niebezpieczeństwa zdemaskowania.

„Nie ma niczego, czego pragnęłabym bardziej, ale...”

„Bez ale, *Frau Frister*“, przerwał jej zdanie w połowie. „Przemyślałem to sobie dokładnie. Jest pani ewangeliczką, nazwisko męża jest niewątpliwie niemieckiego pochodzenia, pani znajomość języka dowodzi przynależności do kręgu niemieckiej kultury. Mam tutaj wszystkie niezbędne formularze. Proszę je dokładnie wypełnić. Przykro mi, że tyle przy tym biurokracji, ale musimy rzucić urzędnikom coś na pożarcie“.

„Sądzi pan, panie dyrektorze, że mam szansę?“

„Moje osobiste polecenie przesądzi sprawę“, powiedział i wpisał do odpowiedniej rubryki formularza: „pani Franciszka Frister znana mi jest osobiście jako osoba godna zaufania, czynnie zaangażowana w ruch na-rodowo-socjalistyczny i bezgranicznie oddana sprawie Trzeciej Rzeszy“. Gdy skończył, podsunął jej tekst do przeczytania.

„Co pani na to?“

„Ja na to, że Bóg zesłał mi pana, panie dyrektorze“.

Mimo licznych ponagieł Brücknera władze w Berlinie zwlekały z odpowiedzią. Gdy w końcu nadeszła, nie wróżyła niczego dobrego. Do odmowy Centralnego Biura do spraw Rasy dołączony był list kwestionujący aryjskie pochodzenie mamy. Kopie wszystkich dokumentów przesłano do Gestapo we Lwowie. Brückner podał jej pismo z Berlina, mówiąc:

„Niech się pani tym nie przejmuj. Wszystko bzdury. Wiem, że to bezpodstawne podejrzenie. Przecież osobiście za panią ręczyłem“.

Matka szybko przejrzała treść listu i zbladła. Aby ukryć wstrząs, powiedziała z oburzeniem:

„To nie są bzdury! Podejrzewać mnie o pochodzenie żydowskie! To nie bzdury, to po prostu obraza!“

„Niech się pani nie denerwuje. Przecież wiemy, z kim mamy do czynienia. Biurokraci. Nie mogą zasnąć, dopóki nie znajdą ofiary, żeby się nad nią pastwić“.

„Więc co mam zrobić? Może mnie pan aresztuje aż do wyjaśnienia sprawy?“, rzekła, wysuwając przed siebie ręce jakby skute w kajdanki. Brückner ucałował wyciągniętą dłoń.

„Nie ma powodu do paniki“.

„Kopia poszła do Gestapo. Oni nie przejdą nad tym do porządku dziennego. Na pewno zechcą mnie przesłuchać. Chcę pana zapewnić, panie dyrektorze, że nie pisnę ani słowa o posiedzeniach dyrekcyj. Umiem trzymać język za zębami“.

„Nie miałem wątpliwości. Bóg obdarzył mnie zdolnością wybierania właściwych ludzi na właściwe stanowiska. Poza tym nie pozwolę, aby Gestapo poniżało moich pracowników. Nie musi pani do nich biegać“.

„Nie rozumiem“.

„Uzgodniłem z szefem Gestapo, że przyśle tutaj jednego ze swoich śledczych.“

„Kiedy?“

„Dzisiaj o czwartej po południu. Ma pani trzy godziny, aby się przygotować do rozmowy. Na pewno przyjdzie taki, co w każdym kącie węszy zdradę. To ich specjalność. Co by nie było, jestem przekonany, że prawda jest jak olej; zawsze wypływa na powierzchnię. No i proszę nie zapominać, że stoję przy pani murem“.

Brückner zerknął na zegarek.

„Przykro mi, ale mam pilne spotkanie. Zobaczymy się po czwartej. Na razie trzymam kciuki za panią“.

Matka uśmiechnęła się. Po raz pierwszy zwróciła się do niego jak do oficera SS:

„Dziękuję za wszystko, *Herr Standartenführer*“.

Nim wybiegła z biura, wcisnęła do torebki pieczętkę i puste blankiety nakazów podróży umożliwiających pracownikom SS i ich rodzinom przejazd pociągami pospiesznymi w wagonach zarezerwowanych tylko dla Niemców. Szybko przejrzała szuflady biurka, sprawdzając, czy nie zostawia czegoś, co może naprowadzić na nasz ślad, potem zbiegła tylnymi schodami na podwórze

magazynów, odczekała, aż wartownik na bramie podniesie szlaban dla wyjeżdżającej ciężarówki i nie zauważona wymknęła się na ulicę. Na dworzec kolejowy jechała autobusem. Kierowca taksówki mógłby zapamiętać jej twarz i stację docelową. Bez trudności kupiła bilet na pociąg podmiejski do Suchowoli przez Zimną Wodę i o wpół do trzeciej dotarła do domu. Plan ucieczki, który wykoncyrowała do ostatniego szczegółu, miał szanse powodzenia pod warunkiem, że uda nam się zniknąć zanim oficer Gestapo zapuka do drzwi gabinetu Brücknera.

Nie zostałem wtajemniczony w bieg wydarzeń, o szczegółach dramatu dowiedziałem się znacznie później, ale gdy tylko powiedziano mi, że wyjeżdżamy natychmiast, intuicyjnie wyczułem, iż uciekamy przed wielkim niebezpieczeństwem. Ukraińska służąca, która pomagała w pakowaniu dwóch małych walizek, puściła do mnie oko. „Jedziesz poużywać sobie, co?“, powiedziała. Ojciec posłał po naczelnego agronoma gospodarstwa i zdradził mu, prosząc o zachowanie tajemnicy, że otrzymał polecenie stawienia się bez zwłoki w lubelskiej komendzie SS. „Przypuszczalnie przejmie pod nasz zarząd jeszcze jedną fermę“, oznajmił. Zasłona dymna musiała być gęsta, pozory zachowane do końca. Każde potknięcie groziło katastrofą.

Na dziedzińcu stangret zaprzęgał już konie. Tym razem nie poprosiłem, jak zwykle, o trzymanie lejcy. Usiadłem na kocu rozpostartym na siedzeniu bryczki, rodzice usadowili się po bokach. „Na stację kolejową“, rozkazał ojciec. Woźnica zaciął z bata. Bryczka potoczyła się polną drogą. Nie było już dmuchawców. Patrzyłem wstecz, folwark i biały pałacyk oddalały się szybko. Było mi smutno.

Zawiadowca stacji siedział znudzony i zaspany w drewnianym baraku służącym równocześnie jako biuro i poczekalnia. Okna przesłonięte były lnianą firanką, która kiedyś, bardzo dawno temu, była biała. W kącie stał stół na jednej nodze. Jedyną jego ozdobą była popielniczka wypełniona niedopałkami. Biurko z podrapanym blatem przysunięte było do ściany baraku, na ścianie widniał oprawiony portret Adolfa Hitlera. Nie znające szacunku muchy upstrzyły szkło ciemnymi śladami. Zawiadowca wstał na nasz widok, wygładził zmięte spodnie munduru, obdarzył nas zdumionym spojrzeniem i sprężyscie zasalutował ojcu. Wytrąciliśmy go z błogiej beczynności, w której tkwił od wielu miesięcy. Tylko nieliczne pociągi zatrzymywały się na suchowolskiej stacyjce. O przybyciu tych pociągów zawiadamiał go telegraf, dziwny przyrząd z drzewa i mosiądzu, pamiętający chyba czasy carów. Gdy tylko rozlegał się znajomy terkot, zawiadowca wybiegał na peron. Na cześć pospiesznego prostował się na baczność i czerwoną chorągiewką sygnalizował swój urzędniczy status. Stał tak, jak dzielny wojak Szwejk na apelu, aż ekspres zniknął z pola widzenia. Dopiero po tym pozwalał sobie wypchnąć brzuch i odetchnąć jak człowiek, którego ominęło kolejne nieszczęście. Wystarczyło jedno głupie zażalenie, zasadne lub bezzasadne, aby stracił posadę. Całe życie spędził w tej „Chandrze Unyńskiej“ i jedynym jego marzeniem było dociągnąć bez problemów do wieku emerytalnego. Czasami, gdy nie miałem ciekawszych zajęć, zaglądałem do baraku na peronie i gawędziłem z zawiadowcą. W chwili szczególnej szczerości przyznał, że jeśli jest coś, czego boi się bardziej od Hitlera, a nawet od komendanta policji w Zimnej Wodzie, to jest to długa starość bez emerytury.

„Pomóżcie nam z walizkami“, polecił ojciec głosem nie dopuszczającym sprzeciwu. Zaraz potem zwrócił się do stangreta:

„Pojutrze przyjedziecie odebrać nas ze stacji“.

„Tak jest“.

„I żebyście się nie spóźnili...“

„Nie spóźnię się“.

„Zawiadowca powie wam, kiedy przyjeżdża pociąg.“

„Zapytam go“.

„No to wracajcie na folwark“.

Stangret wdrapał się na kozioł i popędził konie. Ojciec polecił zawiadowcy postawić walizki na ławce. „Co z tymi walizkami?“, zapytał.

„Jak Boga kocham, dobry człowieku, nie wiecie, po co przynosi się walizki na stację kolejową?“

„Pewnie, że wiem“.

„To nie zadawajcie głupich pytań. O której przyjeżdża ekspres ze Lwowa do Krakowa?“

„O piętnastej siedemnaście“.

Ojciec spojrział na zegar wiszący pod dachem baraku. „Mamy sporo czasu“, powiedział.

Zawiadowca nie ukrywał zakłopotania: „A do czego, jeśli wolno spytać?“

„Do pospiesznego na Kraków“.

„Stąd?“ Zakłopotanie zawiadowcy zamieniło się w przerażenie. „Oczywiście, że stąd. A coście myśleli?“

„Ale to jest *D-Zug*. Tylko dla Niemców. Nie zatrzymuje się tutaj.“

„Nie ma rady, będziecie go musieli zatrzymać.“

„Niemiecki ekspres?“

„Nie martwcie się“, wtrąciła mama. „Mąż jedzie służbowo.“

„Nie mogę zatrzymać tego pociągu“, powiedział zawiadowca. Na jego czole pojawiły się krople potu. „Oczywiście, że możecie.“

„Nijak nie pójdzie. Zabronione“.

„Chcecie się zapłacić w sprawę o odmowę wykonania rozkazu?“, zagroziła matka. „Mamy rozkaz podróży, tutaj, popatrzcie. Jest pieczętka i wszystko co trzeba“.

„Nie czytam po niemiecku“.

„Najwyższy czas, żebyście się zaczęli uczyć“, skarcił go ojciec.

„Nie“, zaparł się kolejarz. „Nie mogę. Pracuję tu od czterdziestu lat, ale taka rzecz nigdy jeszcze się nie zdarzyła“.

„Wszystko ma swój pierwszy raz“, powiedziała matka z uśmiechem.

Ojciec położył dłoń na ramieniu zawiadowcy. „Nie chciałbym wam zaszkodzić, dobry człowieku“, przemówił spokojnie, „ale odmowa może was drogo kosztować“.

„Za nie przestrzeganie przepisów są straszne kary“.

„Odpowiedzialność spada na mnie“.

Zawiadowca stacji znalazł nagle wyjście z dylematu.

„Połączę się z dyrekcją kolei we Lwowie. Co każą, to zrobię“.

„Bardzo dobrze“, zgodziła się mama.

Siedziałem na ławce oparty o walizkę. Dlaczego przystała na propozycję kolejarza?, dziwiłem się. Było to zagranie bardzo hazardowe. Zawiadowca zriikłw swoim pokoiku. Firanka była odsunięta, widziałem, jak kręci korbą telefonu.

„Co będzie, jeśli uda mu się połączyć?“, zaniepokoił się ojciec. Mimo iż zawiadowca nie mógł go słyszeć, dla ostrożności mówił po niemiecku.

„Przecież wiesz, że telefony działają tu raz w roku“ - rzekła stoicko mama.

„Może dzisiaj jest właśnie ten jeden raz“.

„Na Boga, uśmiechnij się. Zawsze umiałeś uśmiechać się w trudnych chwilach“.

Linia była głucha. Zawiadowca wyszedł na peron i bezradnie rozłożył ramiona.

„Nikt nie odpowiada“, powiedział. „Nie mam kogo zapytać.“

„Spytajcie Pana Boga“, doradził ojciec i uśmiechnął się.

Zawiadowca zrobił kilka kroków w kierunku przekładni semafora. Czerwone ramię zaczęło się wolno podnosić, aż zatrzymało się w pozycji horyzontalnej.

„Zrobiłem to“, wyszeptał, ocierając pot z czoła.

Pociąg zatrzymał się ze zgrzytem hamulców. Z okien wyglądali zaskoczeni pasażerowie, niemal wszyscy umundurowani. Konduktor otworzył drzwi wagonu pierwszej klasy. Wsiedliśmy. „Walizki, prędko!“, zawołała mama. Zawiadowca wepchnął je na korytarz, szybko, jakby parzyły mu ręce. Oficer prowadzący pociąg wyskoczył na peron, krzyczał coś do zawiadowcy, zapewne chciał wyjaśnić, co się stało. Zawiadowca wskazał na wagon pierwszej klasy. Oficer złapał go za kłapy i potrząsał nim z całej siły. Zniecierpliwiony maszynista uruchomił syrenę. Zawiadowca, wyzwoliwszy się z rąk oficera, pobiegł ku przekładni. Czerwone ramię zaczęło opadać. Pociąg ruszył, przyspieszył, nabrał pędu. Wyprężony jak struna kolejarz stał na peronie z chorągiewką zwiniętą pod pachą. „Co będzie z jego emeryturą?“, pomyślałem.

W przedziale, do którego wnieśliśmy nasz bagaż, siedział tylko jeden pasażer, pułkownik piechoty odznaczony Żelaznym Krzyżem. Ramię miał na temblaku. Na nasz widok wstał ze swego miejsca przy oknie i zsalutował lewą ręką. Zdumiało mnie, że nie podniósł jej w zwyczajowym u nazistów faszystowskim pozdrowieniu.

„Cieszę się, że nareszcie będę jechał w towarzystwie kobiety“, rzekł i przedstawił się. Był w drodze na urlop zdrowotny w Niemczech.

„Ja, niestety, jadę służbowo“, wyjaśnił ojciec.

„Z żoną i dzieckiem?“, uśmiechnął się domyślnie pułkownik.

„Jestem człowiekiem rodzinnym“, zażartował ojciec i usiadł naprzeciw pułkownika. Dwaj panowie wymieniły krótkie uwagi o zakłóceniach w komunikacji kolejowej. „Co robić, *Räder müssen rollen für den Sieg*²¹“, skostatował Niemiec. Drzwi do przedziału rozsunęły się. Oficer prowadzący pociąg długo sprawdzał nasze dokumenty, potem złożył je we czworo i oddał rodzicom, życząc nam dobrej podróży. „W Krakowie będziemy przed północą“, powiedział na pożegnanie.

Nie dojechaliśmy do Krakowa. Ranny pułkownik zasnął. Ja również spałem. Ojciec obudził mnie, szepcząc: „wysiadamy“. Półprzytomny wytoczyłem się na oświetlony peron.

„Gdzie jesteśmy?“

„W Przemyślu“, odparł ojciec.

Nikt nie zwracał na nas uwagi, gdy torowaliśmy sobie drogę w tłumie zapełniającym peron. Zapadał zmierzch, obowiązywała godzina policyjna, czekający na spóźniające się pociągi nie mogli wrócić do miasta, musieli spędzić tu całą noc.

„Dlaczego wysiedliśmy?“

„Za dużo pytasz“, obruszyła się mama.

„Wysiedliśmy, aby zapobiec spotkaniu z kompanią honorową na dworcu w Krakowie. Brückner na pewno szaleje ze złości, a Gestapo ma lepsze telefony niż ten zasuszony kolejarz w Suchowoli“, wyjaśnił ojciec.

„Gdzie będziemy nocować?“

„Znowu nudzisz“, mruknęła mama.

„W poczekalni. Ze wszystkimi“, powiedział ojciec i pchnął mnie lekko w plecy.

Do rana siedzieliśmy na podłodze w poczekalni trzeciej klasy. Przed szóstą odchodził pociąg osobowy do Krakowa. Siłą wywalczyliśmy sobie miejsca w przepelnionym wagonie. Całą drogę staliśmy na korytarzu. Dwukrotnie przeczesali go policjanci Straży Ochrony Kolei. Szukali przemytników żywności. Aresztowali kobietę, która ukrywała pod spódnicą półcie słoniny, i mężczyznę z walizką pełną papierosów. Nasza solidna aparycja ochroniła nas przed rewizją. Na dworzec krakowski pociąg wtoczył się wczesnym popołudniem. Tragarz poniósł nasze walizki do dorożki. Po kwadransie pukaliśmy do drzwi Zofii Siwek, dozorczyń w kamienicy dziadków przy Szlak 20.

„Czułam, że was zobaczę“, przywitała nas serdecznie. Rodzice zrelacjonowali pokrótce przebieg zdarzeń. Siwkowa zaparzyła herbatę, posłodziła sacharyną i powiedziała:

„Coś ciepłego dobrze wam zrobi. Dzięki Bogu, że najgorsze jest już za wami“.

8

Pamiętam dzień, w którym prosto z dworca przyjechaliście do nas. Nasze matki wyszły na tylne schody, pamiętasz, te, które prowadzą na podwórze, i coś sobie szeptały. Ty i ojciec siedzieliście na walizkach, mimo że były w pokoju krzesła. Ja z bratem umieraliśmy z ciekawości, ale nikt nam nie powiedział, co się dzieje, a gdy zaczęliśmy zadawać dociekliwe pytania, mama wyrzuciła nas na dwór. To było po południu, taki ciepły dzień, przestraszony kot wyskoczył ze śmietnika, pogoniliśmy go i zapomnieli o wszystkim innym. Także potem, gdyście mieszkali na swoim, to było na Długiej pod numerem 76, twoja mama przychodziła na narady z moją. Tak mi się zdaje, że omawiały, jak i gdzie ukryć wasz majątek. W tym samym czasie kręcił się u nas niejaki Diamant, wszyscy wiedzieli, że to Żyd, ale konfident Gestapo. Ten Diamant ciągle węszył po kątach jak ten kot ze śmietnika i ciągle pytał o Żydków, co uciekli z getta. Dlaczego akurat u nas? «Pani ma dobre serce, nie odmówiłaby pomocy», mówił. Pamiętam dobrze, że jeden raz przyszedł na swoje wstrętne rozmowy akurat, jak twoja mama była u nas z wizytą. Twoja nie straciła przytomności umysłu. Jak tylko zobaczyła obcego, poprosiła moją: «jutro o szóstej będzie msza na intencję tej naszej sąsiadki, co się jej zmarło, pani wstaje bardzo wcześnie, to może skoczy do nas i mnie obudzi». Ale tego Diamanta niełatwo było wyprowadzić w pole. Miał nos do niuchania, taki co tylko szpicle mają. Tylko wyszła twoja mama, zaraz zaczął pytać, skąd się znają, kim jesteście i gdzie mieszkacie. Moja mama trochę się zaplątała, bo odpowiedziała, że nie wie, a na to Diamant: «jak pani nie wie, to jak może pójść ją

²¹ Koła muszą się toczyć dla zwycięstwa - popularne hasło niemieckie podczas wojny.

obudzić?» Nie chciałem wysnuwać pochopnych wniosków i łączyć tych dwóch wydarzeń, ale kilka dni potem, gdy akurat staliśmy z mamą na rogu Długiej i Szlaku, widzieliśmy, jak was prowadzili żandarmi. Mama przeżegnała się, tak jak się to robi na widok martwych, i powiedziała: «to ich koniec». Dlatego tak się wzruszyłem, jak zobaczyłem, że pan jest zdrowy i cały ...»

Tak pisał Julian, syn Zofii Siwek, po tym, jak rozpoznał mnie na ekranie telewizora, w programie warszawskiej jedyńki, latem roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego.

List „młodego“ Siwka (stuknął mu już siódmy krzyżyk) wyrwał z zapomnienia owe dramatyczne chwile sprzed ponad czterdziestu lat, gdy aresztowano mnie na ulicy w Krakowie, gdy żydowski agent Gestapo potwierdził, że jestem obrzezany i przypieczętował mój los. Szpicel upewnił żandarmów ledwo widocznym skinieniem głowy, szybkim krokiem wyszedł z ciemnej klatki schodowej i znikł. Dwaj żandarmi głośno dyskutowali, jak mnie prowadzić: w kajdankach czy bez. W końcu zdecydowali, że nie należy zwracać uwagi przechodniów, że nie pójdę skuty. Jeden z nich, ten, który schował mój dowód tożsamości za mankietem rękawa, zapytał szorstko:

„Z kim mieszkasz?”

„Powiedziałem już: mieszkam sam“.

„Nie opowiadaj bajek. Żydzi mają duże rodziny“.

Milczałem. Żandarm kopnął mnie w podbrzusze. Nie czułem bólu. Żandarm kopnął mnie ponownie i wrzasnął:

„Ogłuchłeś ze strachu?! Pytam, gdzie jest twoja rodzina?”

„Nie mam rodziny“.

Drzwi w głębi klatki schodowej znów się otworzyły i znów zobaczyłem tę obcą kobietę w podomce. Teraz zorientowała się, co się dzieje i spiesznie wycofała z pola widzenia. Żandarm zamierzał kopnąć mnie po raz trzeci. Słowa wymknęły mi się spod kontroli:

„Mieszkam sam. Mieszkam przy ulicy Długiej 76“.

Żandarm sięgnął po *Kennkartę*, sprawdził adres, obojętnie wepchnął ją na miejsce w rękawie munduru i stwierdził z zadowoleniem:

„Zgadza się. Mały nie kłamie“.

„Żydzi kłamią mądrze. Dlaczego miałby kłamać, skoro mamy to czarno na białym?“, wtrącił drugi żandarm, ten wyższy.

„Idziemy z rodzinną wizytą“, zaśmiał się niższy.

„Nie mam rodziny“, upierałem się. „Nie znajdziecie żywego ducha“.

„To może Duchą Świętego“, parsknął pełnym śmiechem niższy żandarm. Był wyraźnie zadowolony. „Nie ma jak osobista inspekcja. Sprawdzimy na miejscu. Ruszaj się, Żydzie, ruszaj, szkoda każdej minuty. W domu na pewno czekają na ciebie z niecierpliwością. Ale się ucieszą: synek przyprowadzi gości. Jak twoi krewni? Gościnni?“ zarechotał.

„Nie mam nikogo“, powtórzyłem.

„Pójdiesz pierwszy, nie więcej niż trzy kroki przed nami. I niech ci jakieś głupstwo nie strzeli do głowy, bo my strzelamy ostrą amunicją“.

Przytaknąłem na znak, że zrozumiałem. Ruszyliśmy w drogę. Szedłem, jak mi kazano. Cóż mogłem uczynić? W dowodzie osobistym zapisany był adres, bez trudu znaleźliby nasz dom. A jednak przez wszystkie te lata gnębiły mnie męczące pytania: dlaczego zgodziłem się być przewodnikiem morderców? Dlaczego nie wyrwałem *Kenn-karty* z ręki żandarma i nie próbowałem uciec? Przecież znałem wszystkie okoliczne kamienice, wszystkie mroczne korytarze dziewiętnastowiecznych budowli, wszystkie przejścia przez podwórza. Znajdowałem dziesiątki wyjaśnień i wykrętów: że uczucie potwornego poniżenia, gdy stałem przed żandarmami ze spuszczoneymi spodniami, sparaliżowało moją zdolność reakcji; że byłem pod wrażeniem podłości żydowskiego konfidenta; że w żadnym przypadku nie udałooby mi się umknąć żandarmom. Jakikolwiek byłoby usprawiedliwienie, prawda tkwiła głęboko we mnie: bałem się śmierci.

Żandarmi szli moim śladem. Bałem się odwrócić, ale słyszałem ich kroki. Tuk-tuk, klap-klap, stukwały podkute buty o kamienne płyty chodnika. Tuk-tuk, klap-klap, terkotał niewidoczny telegraf strachu. Na sekundę nie opuszczała mnie myśl, że broń mają odbezpieczoną i że na każdy podejrzący ruch zareagują pociągnięciem za spust. Myśl ta była tak realistyczna, iż niemal boleśnie czułem wyimaginowane uderzenie pocisku w plecy. Mimo iż nie potrafiłem ocenić różnicy między kulą w plecy a kulą w serce, podświadomie zdawałem sobie sprawę, że to nie to samo. Niebezpieczeństwo zagrażające z tyłu, niewidoczne dla oka i tykające jak bomba zegarowa, bowiem nie wiemy, kiedy

przekształci się z założenia w rzeczywistość, niebezpieczeństwo takie zawiera w sobie dynamit niepewności i zwielokrotnia nasz lęk przed niewiadomym. Nagle pojąłem treść powiedzenia „minuta długa jak wieczność“. Droga z miejsca, w którym mnie aresztowano, aż do końca ulicy Długiej trwała piętnaście wieczności. Szedłem pomału. Dlaczego? Czy chciałem zyskać na czasie? Żandarmi nie poganiali mnie, jakby zapomnieli, że szkoda każdej minuty. Czyżby bawili się w kota i mysz? Coraz bardziej chciałem się odwrócić, zobaczyć wyraz ich twarzy, odczytać z niego zamiary, ale nie starczyło mi odwagi. Kto wie, czy nie odpowiedzą ogniem. Ludzie w stresie działają szybko i nie zawsze przemyślanie. Szedłem więc, patrząc prosto przed siebie, wyprostowany jak struna, głowę niosłem wysoko jak człowiek wolny. Marsz złudzeń. Byłoby mi lżej, gdyby mnie uderzyli lub przeklinali. Milczenie wzmagało moje uczucie bezbronności. Moje skurczone serce pulsowało głośno: tuk-tuk, klap-klap. Kto się zlituje nade mną? Kto udzieli mi pomocy? Z elewacji kościoła patrzył w dół Syn Boży i milczał. Zdjąłem czapkę, jak to było w powszechnym zwyczaju. Zawsze tak robiłem, aby nie wyróżniać się z tłumu.

„Po co te głupstwa!“, ryknął żandarm.

Nareszcie ludzki głos. Ulżyło mi. Skinieniem głowy dałem znak, że zrozumiałem. Wcisnąłem kaszkiet głęboko, aż oparł się na moich odstających uszach. Z bramy kościelnej wyszła para starszusków, on niósł parasol, mimo pięknej pogody, ona ścisnęła pod pachą czarną torebkę z rafii. Dziwne, że w *takich* chwilach zauważamy *takie* szczegóły. Ucieczka od sedna rzeczy do mało istotnych szczegółów. Starszy pan przystanął zaciekawiony, starsza pani pociągnęła go za ramię. „Chodź już“, powiedziała dostatecznie głośno, abym mógł usłyszeć każde słowo. „Chodź już; chcesz sobie napytać kłopotów?“ A więc dramat człowieka może być dla bliźniego niewiele znaczącym kłopotem. Starszuskowie skręcili w prawo, my szliśmy dalej, prosto przed siebie, ulicą Świętego Filipa, wąską, obcą i starą jak wyschnięte koryto rzeki. Murowany wąwóz. Ściany strome, odporne na wszelkie ludzkie odczucia. Okna były zasłonięte firankami, okiennice zamknięte. To także był sposób na odcięcie się od zewnętrznego świata; świata rządzonego przez okupanta. Martwe okna miały swoją wymowę: rządźcie się na ulicy, ale mieszkania są na razie nasze. Podniosłem wzrok ku tym zamkniętym oczodołom kamienic i zapytałem w duszy: co byście zrobili, dobrzy i odseparowani ludzie, gdybym nagle wskoczył w jedną z bram, wspiął się na pierwsze, na drugie, na trzecie piętro, zapukał do pierwszych, do drugich przypadkowych drzwi, intruz w waszym złudnym bastionie odosobnienia - i poprosił o schronienie? Nie musiałem pytać. Na pewno zamknęliby te drzwi na siedem spustów. Czy miałem prawo ich winić lub ganić? Dlaczego miałiby ryzykować życiem dla kogoś, kogo nie znają? Dla obcego. Dla Żyda. A ja? Czy postąpiłbym inaczej, będąc na ich miejscu? Odpowiedź na to pytanie pozostanie na zawsze wielką niewiadomą.

Zagłębiając się w zbędnych dywagacjach nie spostrzegłem, że dotarliśmy do końca Długiej. Tam, na targu kleparskim, chłopki z okolicznych wsi sprzedawały malwy i kwiaty polne. Popyt był duży, zarówno zwycięzcy, jak i pokonani łaknęli trochę kolom i zapachu. Jeden z żandarmów lekko uderzył mnie w plecy:

„Stój“.

Zatrzymałem się. Jego kolega podszedł do straganu, długo wybierał, aż wyrósł mu w rękach bukiet. Sprzedawczyni schowała pieniądze w torbie ukrytej pod fartuchem. „Niech pan wrzuci do wody aspirynę, będą się dłużej trzymały“, radziła. Żandarm nie rozumiał. Sprzedawczyni powtórzyła radę okaleczonym niemieckim. Twarz żandarma rozjaśniła się. „*Janke schön, danke schön*“, podziękował. Potem zwrócił się do niższego:

„To dla mojej przyjaciółki“.

„Będziesz miał pachnące dupczenie“, roześmiał się.

Od domu dzieliło nas pięćdziesiąt kroków. Wzrok mój powędrował ku oknom mieszkania. Ojciec lubił opierać się o parapet i obserwować ruch na Rynku. Miałem nadzieję, że jest tam także teraz, że nas zauważy i schowa się. Wiele lat później, gdy po raz tysięczny analizowałem wszystko, co mi się wówczas wydarzyło, doszedłem do trudnej konkluzji: gdyby stał w oknie, spostrzegł nas i nie uczynił niczego, by się ratować, mógłbym zrzucić na niego część odpowiedzialności za to, co się stało. Ale ojca w oknie nie było, cała odpowiedzialność spadła na mnie.

„To tutaj“, powiedziałem.

Czy miałem wyjście z sytuacji? Oczywiście. Moje ciało, leżące na chodniku, podziurawione kulami, mogło oczyścić moje sumienie. Ale co warte jest czyste sumienie, skoro człowiek nie żyje?

„To tutaj“, powtórzyłem.

„Bardzo dobrze“, skwitował moje oświadczenie wyższy wzrostem żandarm.

Weszliśmy na drugie piętro i znów powiedziałem: „To tutaj“.

„Bardzo dobrze“, mruknął żandarm i wyjął pistolet z kabury. Nie miał wolnej ręki, kwiaty przeszkadzały mu, więc położył je na schodach.

„Dzwon“, rozkazał.

Położyłem kciuk na dzwonku i zawahałem się. Co powie ojciec? Co powiem ja? Jak się wytłumaczyć? Czy mnie zrozumie? Czy można zrozumieć coś niewytłumaczalnego? Czy wybaczy? Czy można wybaczyć coś, co jest niewybaczalne? Nacisnąłem guzik.

Z głębi mieszkania dobiegł najpierw metaliczny dźwięk dzwonka, potem szuranie ojcowskich pantofli. Drzwi uchyliły się, niski żandarm wstawił nogę w szczelinę. Wzrok ojca prześlizgnął się po mnie, jakby mnie tam nie było i zawisł dłuższą chwilę na żandarmie. Widziałem, jak krew ucieka mu z policzków. „Och nie“, wyjąkał i cofnął się o krok. Żandarm pchnął drzwi, drzwi otworzyły się na oścież, za plecami ojca zobaczyłem matkę. Zazwyczaj pracowała do późnego wieczora. Dlaczego, do jasnej cholery, akurat dzisiaj musiała wrócić wcześniej? Żandarm, już nie pamiętam który, szturchnął mnie, przekroczyłem próg. Obaj weszli za mną i starannie zamknęli drzwi.

„Na pewno można ich przekupić“, były moje pierwsze słowa. Te, które sobie zaplanowałem, uwięzły mi w krtani. Nic lepszego nie przyszło mi do głowy. Może była w tym zdaniu naiwna, nieświadoma próba pomniejszenia wagi sytuacji? Może sam chciałem się przekonać, że jeszcze nie wszystko stracone?

„Niech panowie wejdą“, odezwała się mama, jakby rzeczywiście potrzebne im było zaproszenie. Ani na chwilę nie straciła przytomności umysłu. Żandarmi rozglądali się z zaciekawieniem.

„Proszę, niech panowie usiądą“. Matka wskazała na krzesła przy stole. Na haftowanym obrusie, w wysokim szklanym dzbanku stały przycięte malwy. Żandarmi nie ruszyli się z miejsca. Matką sięgnęła po torebkę rzuconą w kąt kanapy, szperała w niej dłuższą chwilę, w jej torebce zawsze panował nieporządek i nigdy niczego nie potrafiła znaleźć, wydobyla legitymację kasyna oficerskiego, podała ją Niemcom i powiedziała spokojnie:

„Obawiam się, że wasz trud jest daremny. Nie ulega wątpliwości, że zaszła jakaś przykra omyłka“.

Żandarmi nie sięgnęli nawet po dokument. Matka nie mogła wiedzieć, że znają już całą prawdę, że sprawa jest przesądzona. Odłożyła torebkę i, wciąż jeszcze trzymając wyciągniętą rękę z legitymacją, spytała zdziwiona:

„Nie chcecie sprawdzić?“

„Pokaże ją pani na komisariacie“.

„Pracuję w kasynie oficerskim Wehrmachtu. Poskarżę się szefowi“. „Zamknij się, brudna Żydówko, nasza cierpliwość jest na wyczerpaniu“.

„Nie jesteśmy Żydami. Już powiedziałam, że to jakaś...“

„Mamo“, szepnąłem, „oni mi spuścili spodnie“. Rodzice wymienili szybkie spojrzenia.

„Nie jesteśmy zamożni, ale mamy trochę oszczędności“, odezwał się ojciec. Wysoki żandarm zachnął się:

„Zamknij pysk! Bierzcie palta.“

„I bez płaszczy będzie im gorąco“, zachichotał niski.

Ojciec zapytał, dokąd nas biorą, ale odpowiedź była tak oczywista, iż w ogóle jej nie oczekiwał.

Żandarmi zachowywali się względnie przyzwoicie. Poczekali, aż ojciec zasznurował buty, matce nie pozwolili wyjść do sąsiedniego pokoju, ale elegancko odwrócili wzrok, gdy szybko przebierała się w inną suknię. Następnie skuli rodziców kajdankami. Mieli tylko jedną parę. Moje ręce związali sznurem do suszenia bielizny, który znaleźli w kuchni.

„Klucze?“, spytał niski.

„Tkwia w zamku“.

Wysoki sięgnął po kwiaty w dzbanku, otrząsnął lodygi z wody. Wyszliśmy na klatkę schodową. Żandarm zapalił światło, starannie zamknął mieszkanie, schował klucze do kieszeni i dołączył nasze malwy do swojego bukietu. „Dobrze pachną“, skonstatował. Na schodach nie było nikogo, wyszliśmy na ulicę nie zauważeni. Szukałem wzrokiem sprzedawczyni kwiatów, ale już jej nie było.

„Dokąd idziemy?“, spytała matka, ale nie dostała odpowiedzi. Szliśmy pieszo przez całe prawie miasto. Przechodnie udawali, że niczego nie zauważają. Komisariat znajdował się w pobliżu Wawelu. Matka prosiła, aby pozwolono jej zatelefonować do kasyna. Dyżurny stuknął się palcem w czoło. Żandarmi zaczęli wypełniać jakieś formularze. Sprowadzono nas do aresztu w piwnicy i

zrewidowano. Torebka matki i papierosy ojca zostały skonfiskowane. Znaleźliśmy się w celi bez okien. Panowały egipskie ciemności. „Przynajmniej jesteśmy razem“, powiedział ojciec. W matce natychmiast obudził się zmysł obrony.

„Powtórz na głos «Zdrowas Mario»,,, zażądała.

„Po co?“

„Mogą sprawdzać. Jesteśmy katolikami, zapomniałeś? Każdy katolik zna zdrowaśki na pamięć“.

Nie na darmo chodziłem do kościoła. Znałem wszystkie możliwe modlitwy, tyle tylko, że nikt, nawet Pan Bóg, nie chciał ich wysłuchiwać. Rodzice spędzili bezsenłą noc. Ja spałem. Nikt nie wchodził do celi. Rano znów nas skuli. Tym razem znalazły się kajdanki także dla mnie. Zielonym wozem policyjnym, Niemcy nazywali go żartobliwie „zielona Berta“, odwieziono nas do więzienia na terenie opustoszałego getta. Wilhelm Kunde już czekał na nas.

Przez ponad czterdzieści lat szedłem przez życie z poczuciem winy za śmierć rodziców. List Juliana Siwka przyniósł mi chwilę ulgi. Chętnie zbudowałem sobie nowy scenariusz wydarzeń: gestapowski szpicel Diamant zdemaskował naszą tożsamość, podał swoim mocodawcom nasz adres, śledził mnie w drodze z biblioteki do domu i nasłał na mnie żandarmów. Wszystko, co uczyniłem, lub wszystko, czego nie zrobiłem, nie miało żadnego wpływu na ostateczny wynik. Diamant przesądził los ojca i matki. Ja jestem niewinny. Dziękuję ci, Julku, dziękuję ci z całego serca. Dodałeś jeszcze jeden argument do tysiąca istniejących wykrętów i usprawiedliwień.

9

Program „Blżej świata“ emitowano w niedzielne popołudnia i w okresie największego powodzenia docierał do pięciu milionów widzów. Brałem w nim udział przez czternaście miesięcy i, mimo że wygłaszałem rozmaite „herezje“ o antysemityzmie lub ksenofobii, stałem się postacią dosyć popularną zarówno w Warszawie, jak i na prowincji. Skłamałbym, gdybym twierdził, że było mi to obojętne. Obcy ludzie kłaniali mi się na ulicy, kelnerzy obsługiwali z demonstracyjną uprzejmością, w hotelach dostawałem najlepsze pokoje, celnicy na przejściach granicznych do Niemiec i Czechosłowacji przepuszczali mnie, nigdy nie otwierając bagażnika. Im bardziej rosła moja popularność, tym grubsza była paczka listów, którą odbierałem raz w tygodniu z gmachu telewizji przy Woronicza. Niektórzy piszący przyznawali mi rację, większość była odmiennego zdania. Bez względu na treść, listy widzów rozwierały szczelinę w murze dzielącym mnie od otoczenia i umożliwiały zerknięcie w dusze bliźnich, przeważnie zmagających się z trudami życia i znajdujących wentyl dla swoich frustracji w obwinianiu obcych. Czasami przerażała mnie siła tych uczuć, wyrażanych otwarcie lub w zawaolowanej formie, porażał antysemityzm, który atakował listami jak zatrutymi strzałami z kołczanu nienawiści. Niemal wszystkie zaczynały się od konwencjonalnego „gdyby wszyscy Żydzi byli tacy jak pan redaktor, to nie miałbym powodu do żalu, ale...“ Po takim „ale“ następowała litania grzechów i zbrodni, od ukrzyżowania Chrystusa, poprzez deptanie tradycji chrześcijańskich w latach komunizmu, aż do opisu drobnych krzywd wyrządzonych przez żydowskich sąsiadów. Zaskakujący był list Haliny S. z Krakowa, która pisała: „...Jestem Polką, wyznaję religię rzymskokatolicką, staram się żyć zgodnie z nakazami wiary i tak też wychowywać dzieci. Sama nie wiem, czy dlatego, że mamy czarne włosy, czy też coś innego w wyglądzie, w każdym razie od pewnego czasu słyszę za sobą głosy «Żydowa, Żydowa do gazu». Dzieci również to spotyka. Staramy się to bagatelizować, ale zdaję sobie sprawę, że w miarę pogarszania się sytuacji w kraju nastroje agresji nasilają się, i po prostu zaczynam się bać...“ Były też listy krótkie i lapidarne. „Mój ojciec pomagał Żydom podczas okupacji. Jestem w trudnej sytuacji, przydałaby się jakaś zapomoga,“ pisał widz ze Szczecina. Emeryt z Radomia przysłał mi „Protokoły Mędrców Syjonu“, pytając, dlaczego chcemy zawaładnąć światem, czy nie wystarcza nam Palestyna? Kobieta z Częstochowy rozpisała się maczkiem na pięciu stronach o podłym charakterze żydowskim, ujawniającym się w nieuczciwej konkurencji sklepikarza, który odbiera jej klientów, sprzedając taniej i na kredyt...

Ciekawsze listy odkładałem do teczki z napisem „Listy do Żyda“. Jeden z warszawskich tygodników chciał je opublikować. Nie zgodziłem się. Uważałem, że byłoby to nadużyciem zaufania,

jakim obdarzali mnie piszący. Ich listy były dla mnie ważnym przyczynkiem do poznania Polski, której nie znałem. Ale nawet najbardziej wrogie i jadowite nie zmieniły mojego stosunku do kraju. Wiedziałem, że wychodzą spod pióra ludzi gorliwie szukających kogoś, kogo można by obarczyć winą za własne niepowodzenia. Nie wywoływały u mnie gniewu, może tylko próbę zrozumienia i krztynę litości. Na szczęście poczta przynosiła również mnóstwo listów od przyjaciół, z którymi kontakt utraciłem i których nie widziałem ponad trzydzieści lat. Pisały dziewczyny, które poznałem tak dawno, że nie pamiętałem ich twarzy; przyjaciółki z lat szumiącej młodości, mające już dzieci i wnuki, zapraszały mnie do swoich domów, do swoich rodzin. Listy te i wizyty pomału wymazywały białą plamę moich niełatwych stosunków z krajem, w którym się urodziłem. Obraz tych stosunków nie byłby pełny, gdybym nie wspomniał listu, który umożliwił mi spotkanie z Krysią. Krysia była córką z mego pierwszego małżeństwa; małżeństwa tak krótkiego, że pierwsza okazja rozmowy z własną córką nadarzyła mi się dopiero, gdy miała czterdzieści dwa lata. Lecz przede wszystkim muszę wyjaśnić, co spowodowało mój powrót do Polski.

W styczniu 1990 poznałem Roberta Maxwella, wówczas jednego z największych na świecie potentatów prasowych i wydawniczych, właściciela drukarni i stacji telewizyjnych, finansistę spekulującego na wszystkich giełdach Europy i Ameryki, właściciela ponad trzechset firm rozsianych po kuli ziemskiej i tworzących labirynt, którego nikt nie zdołał spenetrować nawet po jego dramatycznej śmierci. W londyńskim City, w którym mieściły się kwatery główna koncernu Maxwell Communication Corporation oraz redakcja „Daily Minor“, brukowca ukazującego się w nakładzie czterech milionów egzemplarzy dziennie, Robert Maxwell nie cieszył się najlepszą opinią. Mimo iż figurował na liście dziesięciu najbogatszych ludzi Wielkiej Brytanii, nigdy nie został w pełni zaakceptowany przez zamknięte kręgi angielskiej arystokracji. Nie pomógł Victoria Cross, jedno z wyższych odznaczeń wojennych za odwagę, wręczony mu osobiście przez marszałka Montgomery'ego, nie zmienił niczego faktu, że w pewnym okresie zasiadał w parlamencie jako poseł z ramienia Partii Pracy. Drzwi do ekskluzywnych klubów pozostały dla niego zamknięte, a podczas debat publicznych przeciwnicy często wypominali mu jego prawdziwe pochodzenie.

Maxwell nie urodził się w luksusowej oksfordzkiej posiadłości, którą zamieszkiwał od wczesnych lat siedemdziesiątych. Przyszedł na świat jako Ludwik Hoch, syn ubogich, głęboko religijnych rodziców, żyjących w małym żydowskim miasteczku na Zakarpaciu. Podstawowe wykształcenie odebrał w *chederze*, czyli izbie szkolnej dla dzieci z ortodoksyjnych rodzin. Przez wiele lat próbował wymazać z życiorysu swoje żydowskie pochodzenie; ożenił się z Francuzką i swoich ośmioro dzieci wychowywał w duchu chrześcijańskim. Dopiero gdy wybił mu szósty krzyżyk, częściowo pod wpływem żony studiującej dzieje Holocaustu, wrócił do swoich żydowskich korzeni.

W Izraelu przyjmowany był z wszelkimi honorami. Dla licznych Izraelczyków stanowił symbol żydowskiej siły przebicia: oto prosty człowiek z naszego ludu, który dźwignął się z dna i wspiął na szczyt piramidy. Maxwell stał się częstym gościem w Jerozolimie, a każdy jego przyjazd związany był z nową, wielomilionową inwestycją. Przedsiębiorczy drukarz wydrukował nalepki z napisem „Maxwell, kup mnie!“ i zarobił mnóstwo pieniędzy. Ludzie naklejali je na tylnej szybie samochodu, niektórzy jako żart, inni z całą powagą. Być kupionym przez Maxwella oznaczało kres finansowych kłopotów. Politycy i przemysłowcy odbywali do niego pielgrzymki, jakby był świętym, który uzdrawia chorych i kaleki. On zaś przyjmował „maluczkich“ jak padyszach z czasów imperium otomańskiego. Gdy w listopadzie 1991 został pochowany w Jerozolimie, w kondukcje pogrzebowym kroczyli ministrowie, a mowę pożegnalną nad grobem wygłosił prezydent państwa. Tak było aż do końca. Dopiero po śmierci Maxwella okazało się, że jego przedsiębiorstwa od dawna stały na skraju bankructwa, a nieboszczyk akumulował swój majątek sposobami, których nawet najwięksi jego przyjaciele nie mogli określić jako całkowicie zgodne z prawem.

Od dwudziestu pięciu lat byłem redaktorem w „Ha'aretz“, najpoważniejszym dzienniku Izraela. Praca w gazecie, w której byłem odpowiedzialny za ponad sto stron weekendowego wydania, stanowiła niewątpliwe osiągnięcie dla człowieka, który przybył do Izraela nie znając ani jednej hebrajskiej litery. Wydawało mi się jednak, że wyczerpałem swoje zawodowe możliwości, a ponieważ nienawidziłem monotonii, nie uważałem, że osiągnąłem wiek, w którym należy osiąść na laurach. Psychicznie gotów byłem zaakceptować każdą zmianę, ale nawet w najśmielszych snach nie wyobrażałem sobie, że będzie tak drastyczna: Robert Maxwell włączył mnie w krąg dyrektorów naczelnego koncernu.

Podniecona wagą chwili sekretarka w jednej z tych ogromnych kancelarii adwokackich, które służą poradą prawną możnym tego świata, szepnęła mi na ucho, że Robert Maxwell postanowił poświęcić mi pięć minut. Na pewno sądziła, że, w myśl dewizy „czas to pieniądz“, pięć minut Maxwella to co najmniej pięć milionów dolarów. Otworzywszy mi drzwi do sali posiedzeń, pospieszyła na korytarz. Nie wiedziałem jeszcze, że Maxwell jest postrachem otaczających go pracowników, i że większość woli nie mieć z nim jakiegokolwiek kontaktu. Teraz siedział przy stole konferencyjnym z polerowanego, wiśniowego drewna, mężczyzna barczystej postury w czapce gracza golfowego z napisem „kapitan“. Po drugiej stronie stołu czekał Dov Judkowski, izraelski dyrektor sieci „Mirror“. Adwokat, jeden z bardziej znanych w Izraelu, właściciel kancelarii zajmującej pół piętra w imponującym biurowcu ze szkła i betonu, podał mi filiżankę herbaty z takim pietyzmem, jakby był lokajem zatrudnionym przez Maxwella. Herbata była wrząca. „Sfite zdążę wypić, mam tylko pięć minut“, powiedziałem pół żartem, pół serio. Maxwell machnął lekceważąco ręką, potem spojrzał na mnie uważnie i nagle twarz rozjaśniła mu się serdecznym uśmiechem. „Cieszę się, że pan przyszedł“, powiedział. W niedalekiej przyszłości dowiem się od ludzi z jego otoczenia, że gwałtowne przejścia od uśmiechu do wybuchu gniewu i od słów pieszczących *ego* rozmówcy do poniżających przekleństw stanowią jedną z cech jego charakteru. Sekretarz związku zawodowego brytyjskich drukarzy powiedział o nim, że jest człowiekiem, który wywabia swoim czarem słowiki z korony drzewa, aby je potem... zastrzelić. Trudno o bardziej trafne określenie.

Podczas rozmowy telefonicznej poprzedzającej spotkanie poproszono mnie o przygotowanie życiorysu. „Pisz krótko i zwięźle, Maxwell nie czyta długich epistoł“, doradził mi znajomy aplikant adwokacki. Napisałem:

Urodziłem się w Polsce, w roku 1928. Ukończyłem sześć klas szkoły powszechnej. Wojna uniemożliwiła mi dalszą naukę. Jestem samoukiem. Rodzice zginęli podczas Holocaustu. Byłem więźniem obozów koncentracyjnych w Oświęcimiu i Mauthausen. Do Izraela przyjechałem w roku 1957 i po krótkim czasie zacząłem pracę w hebrajskiej prasie. Obecnie jestem członkiem kolegium redakcyjnego dziennika „Ha'aretz“, szefem studiów dziennikarskich na uniwersytecie Bar-Ilan oraz korespondentem radia Wolna Europa. Napisałem pięć książek, w tym trzy beletrystyczne. Jestem laureatem dwóch nagród dziennikarskich. Znam język hebrajski, angielski, niemiecki, polski i czeski. Jestem żonaty.

Maxwell przebiegł wzrokiem po tekście i przykrył go pustą popielniczką jak przyciskiem do papierów. Pustą, bo nie palił i nikomu nie pozwalał palić w swojej obecności.

„Dobrze“, chrząknął, „kiedy może pan wyjechać do Polski?“

Nie czekając na odpowiedź, zwrócił się do Judkowskiego:

„Pokryjesz wszystkie niezbędne wydatki. Chcę, żeby ten człowiek był jutro w Warszawie“.

„Jutro?“, zdumiałem się. „Bardzo mi przykro, ale to wykluczone“.

Maxwell był zaskoczony. Nie spodziewał się takiej odpowiedzi. Wszystko, czego sobie życzył, musiało być wykonane. Miły uśmiech zamienił się w grymas niezadowolenia.

„Co za problem?“, rzucił niecierpliwie.

„Jestem pracownikiem redakcji «Ha'aretz». Nie mogę ot tak sobie powiedzieć do widzenia i odejść. W najlepszym przypadku obowiązuje mnie trzymiesięczne wypowiedzenie“.

„Ile panu płacą?“

Wymieniłem sumę znacznie wyższą od rzeczywistej. „Podwoję pańskie pobory“.

„Nie w tym sedno rzeczy, sir. Po prostu nie mogę...“

Maxwell nie słuchał. Na twarzy adwokata malowało się zakłopotanie. Dziesiątki osób bezskutecznie ubiegało się o taką audiencję, a ja, szczęśliwy wybraniec losu, nie raczyłem pokłonić się w pas z bezkrytyczną akceptacją dla wszystkiego, co proponował Wielki Człowiek. Ale Robert Maxwell nie wyglądał na urażonego. Zawsze otoczony sforą „wazeliniarzy“, których lekcewał i którymi pomiatał, wydawał się być mile zaskoczony. Nie huknął na mnie, nie pokazał mi drzwi. Wręcz przeciwnie. „Niech pan nie zapomina o swojej herbacie“, powiedział i wdał się ze mną w rozmowę o sytuacji politycznej w krajach wschodniej Europy i o postkomunistycznych środkach masowego przekazu. To był temat, w którym każdy egzamin mogłem zdać na piątkę. Maxwell nie ukrywał zadowolenia. Sekretarka weszła do pokoju na palcach, szepcząc, że minął już kwadrans i że następnii zaproszeni goście czekają na korytarzu. Maxwell zbył ją niecierpliwym gestem. Rozmawialiśmy jeszcze dwadzieścia minut. Doszliśmy do porozumienia.

Uzgodniliśmy, że poproszę o urlop, spędzę miesiąc w Polsce i sporządzę w miarę szczegółową listę gazet, drukarni i „wszystkich innych obiektów“ wartych nabycia lub inwestycji. Za swój trud zostanę odpowiednio wynagrodzony, zapewnił. Ja nie pytałem, a Maxwell z własnej inicjatywy nie wymienił żadnej sumy.

Captain Bob, tak nazywali go przyjaciele, działał intuicyjnie, ale nie łudziłem się, że chciał nabyć moje usługi li tylko ze względu na ni stąd, ni zowąd obudzoną sympatię. W latach osiemdziesiątych byłem członkiem prezydium Światowej Federacji Dziennikarzy z siedzibą w Brukseli i utrzymywałem z jej ramienia rozgałęzione kontakty ze zdelegalizowanym Stowarzyszeniem Dziennikarzy Polskich oraz z działaczami Solidarności regionu Mazowsze.

Spotykaliśmy się w prywatnych mieszkaniach lub w barze „Frascati“ przy ulicy Wiejskiej. W wyniku tych spotkań przeprowadziłem przyjęcie SDP do Federacji, mimo żywego sprzeciwu kilku państw zachodnich utrzymujących dobre stosunki z rządem Jaruzelskiego. Po Okrągłym Stole wielu znajomych działaczy wyszło z podziemia, aby objąć kierownicze stanowiska w nowej administracji. Maxwell sądził, iż będę miał dostęp do gabinetów, które pozostaną zamknięte dla konkurencji i obliczył, ile funtów szterlingów warto mu postawić na tę kartę.

Mój krótki wypad do Polski był udany. Nie miałem trudności z odnowieniem znajomości z wpływowymi osobistościami. Liczne drzwi pomógł mi otworzyć także Mordechaj Palcur, pierwszy ambasador Izraela po ponad dwudziestoletniej przerwie. Wystarczyła jedna jego rozmowa telefoniczna, abym stał się *persona grata* w URM-ie. Drobne prezenty pomogły mi trafić do ludzi z tak zwanej starej gwardii, którzy wciąż jeszcze zasiadali w zarządzie RSW Prasa i zarządzali największym w kraju imperium środków masowego przekazu. Moje szczegółowe sprawozdanie znalazło się w Londynie pod koniec stycznia. Zawierało ono dane, które mógł zebrać tylko człowiek posiadający odpowiednie koneksje. Dokument zrobił na Maxwellu duże wrażenie. Niemal natychmiast zaproponował mi przystąpienie do swojego „dworu.“

„Dwory“ mieli wielcy rabini i cadycy, żyjący przed wojną światową w Europie Wschodniej. Maxwell nieprzypadkowo posłużył się tym określeniem. Zawsze uważał się za pierwszego po Bogu. Niektórzy twierdzili, że uważał się za samego Pana Boga. Wysokość poborów, które gotów był mi płacić, przyprawiła mnie o lekki zawrót głowy. Ale maxwellowska róża miała swoje kolce. Byłem dziennikarzem, zawsze zbierałem informacje o osobach, z którymi miałem do czynienia. W tym przypadku zebrane wiadomości nie wróżyły różowej przyszłości. Mówiły o dyrektorach, których wywabiał z dobrych posad jak owe ptaki z korony drzew, i których bez litości i bez odszkodowania powyrzucał na bruk, gdy nie byli już potrzebni. Maxwell traktował ludzi jak pionki na szachownicy. Po skończonej grze przestawali dla niego istnieć.

Brakowało mi trzech lat do emerytury. Nie mogłem ryzykować. Nie miałem najmniejszego zamiaru paść ofiarą jego zmiennych nastrojów. Zażądałem pisemnej umowy na okres dzielący mnie od wieku emerytalnego. Jeden z bliskich współpracowników Maxwella stuknął się palcem w czoło. „Oszałałeś“, powiedział, „captain Bob nigdy niczego nie podpisuje“. Jego telawiwski adwokat namawiał mnie do ustępstw. „W ciągu roku zarobisz więcej niż na posadzie dziennikarskiej do końca życia“, twierdził. W gruncie rzeczy miał rację. Sam nie wiem, dlaczego trwałem w uporze. Było to zmaganie liliputa z Guliwerem i wątpię, czy skończyłoby się pomyślnie, gdyby nie nagła i niewytłumaczalna zmiana jego stanowiska. W marcu 1990 zatelefonował z Londynu Peter Jay, były ambasador Wielkiej Brytanii w Waszyngtonie, „nabyty“ przez Maxwella na stanowisko dyrektora gabinetu, i zawiadomił mnie, że captain Bob czeka na mnie w jerozolimskim hotelu „Larom“ w najbliższy poniedziałek o godzinie dziesiątej rano. Przyjął mnie, jak zwykle, w ogromnym salonie pełnym sekretarek i asystentów. Telefony zwykłe i komórkowe nie przestawały dzwonić, fax bezustannie wypływał zapisane tasiemce papieru. Raz było na Unii Tokio, raz Nowy Jork, niemal cały czas Londyn. Maxwell rzucał do słuchawki krótkie, urywane zdania. Nie byłem pewny, czy w całym tym rozgardiaszu wiedział, z kim rozmawia. Gdy wprowadzono mnie do pokoju, nie ukrywał niecierpliwości. „Mamy do czynienia z upartym klientem. Weź go do mojej sypialni i skończ sprawę; albo wóz, albo przewóz“, powiedział do Samuela Pisara i odrócił się do mnie plecami.

Samuel Pisar, autor poczytnej autobiografii „Jak Feniks z popiołów“, w której zrelacjonował swoje przeżycia podczas Holocaustu i zawrotną karierę prawniczą w Los Angeles, Nowym Jorku i Paryżu, zaliczał się do szerokiego grona Maxwellowskich doradców. Niewątpliwie wpłynęły na to jego koneksje. Gdy Jimmy Carter mianował go doradcą w Białym Domu, Kongres uchwalił specjalną ustawę umożliwiającą mu natychmiastowe uzyskanie obywatelstwa amerykańskiego. Pisar przyjaźnił

się z wielkimi tego świata, nabył zamek w dolinie Loary, stając się w ten sposób sąsiadem prezydenta Giscarda d'Estaing; dzięki autorstwu wielu międzynarodowych umów gospodarczych miał wspaniałe kontakty z Kremlem i poruszał się swobodnie zarówno w biurach manhattańskich milionerów, jak i w salonach arystokracji francuskiej. Maxwell miał szacunek dla ludzi ze szczytu piramidy.

Pisara poznałem rok wcześniej, jako recenzent hebrajskiego wydania jego książki. Teraz ujął mnie pod ramię jak starego znajomego i zaprowadził do sąsiedniego pokoju. Był miły i przyjazny, rozmowa przeciągała się, ale nie doszliśmy do porozumienia. Po dwudziestu minutach przyłączył się do nas captain Bob.

„No, skończyliście?“, spytał, znów wyraźnie zniecierpliwiony.

„Nie“, odparł Pisar. „Znam Fristera, wiem, że to człowiek uzdolniony i godny zaufania. Ale umowa na trzy lata? Co się stanie, jeśli rynek polski okaże się nieciekawym? Powiem ci, co się stanie: utkwisz z tym człowiekiem na trzy długie i kosztowne lata“.

Maxwell rozłożył się na łóżku. Sprężyny głośno zajęczały pod ciężarem jego ciała. Nasze spojrzenia spotkały się w pół drogi. Siedzenie krzesła wydało mi się nagle twardsze niż było. Oczekiwałem wybuchu wściekłości. Maxwell ziewnął. Pisar milczał. W pokoju zapanowała szarpiąca nerwy cisza. Po chwili rozległ się tubalny głos Maxwella, wydobywający się, tak mi się wydawało, z głębi jego potężnego brzucha:

„Ten człowiek nie wydaje mi się być *szmokiem*²². Być może zechcę mieć go na karku przez najbliższe trzy lata“.

W dwa tygodnie później przyjechałem do Londynu, aby podpisać umowę o pracę. Robert Maxwell i jego starszy syn łan przyjęli mnie w małym, intymnym gabinecie przylegającym do głównych biur prezesa korporacji. Była ósma wieczorem. Na dziewiątym piętrze Maxwell House, w odległości kilkuset metrów od słynnej Fleet Street, przy której mieściły się redakcje najważniejszych brytyjskich dzienników, praca wrzała, jakby to były zwykłe godziny biurowe. Budynku strzegła umundurowana ochrona, jakiej nie powstydziliby się Fort Knox. Tylko wybrani dyrektorzy firmy mieli prawo wstępu na dziewiąte piętro. Oprócz Petera Jaya urzędowały tu takie osobistości, jak: Sir Thomas McCaffrey, były rzecznik premiera Jamesa Callaghana, Sir James Morgan, arystokrata z rodowodem sięgającym średniowiecza i były ambasador w Polsce, Meksyku i Korei, Joe Haines, były sekretarz premiera Harolda Wilsona i autor oficjalnej biografii szefa, a nawet były bułgarski minister Ognian Doynov, postać wyglądająca w tym dystygowanym towarzystwie jak przeniesiona z innego przedstawienia. Zamiast magicznego zaklęcia „Sezanie, otwórz się“ wszyscy używali kart magnetycznych pasujących do szyfrowych zamków. Pomieszczenia wyłożono wykładziną tkaną we wzór łechzczący ego Maxwella: duża czarna litera M rzucająca cień na kulę ziemską.

„Proszę, niech pan usiądzie“, powiedział łan, podając mi tekst umowy. „Ojciec już podpisał. Potrzebny jest pański podpis na każdej stronie i przy każdej poprawce“.

Maxwell siedział przy okrągłym stoliku i bębnił palcami po blacie. Zacząłem czytać. Umowa liczyła kilka stron spisanych trudnymi do zrozumienia, prawniczymi sformułowaniami. Mimo iż władałem angielskim, miałem trudności z rozgryzieniem niektórych paragrafów. Maxwell obmszył się:

„Po jaką cholere czytasz każdą literkę? Nie masz do mnie zaufania?“

„Mam do pana pełne zaufanie, sir. Ale czy chciałby pan zatrudnić człowieka, który nie czyta kontraktów, które ma podpisać?“

Maxwell roześmiał się. Nie ulegało wątpliwości, że odpowiedź spodobała mu się. Wróciłem do tekstu. Trzy akapity poświęcone były obowiązkowi zachowania tajemnicy służbowej. Można by sądzić, że rekrutowano mnie do M-5, czyli brytyjskiego wywiadu. Znalazłem kilka drobnych odstępstw od uzgodnionych warunków, lecz postanowiłem przejść nad nimi do porządku dziennego. Trzeba powiedzieć prawdę: ten człowiek i ten budynek zrobiły na mnie wrażenie. Bardziej niż wszystkiego zapragnąłem stać się posiadaczem magnetycznej karty otwierającej drzwi do tej twierdzy kapitalizmu. Obawiałem się, że dalszy upór może stanowić niebezpieczne przeciągnięcie struny. Szczerze mówiąc, spodziewałem się zmian w umowie. Wiedziałem już, że Robert Maxwell zawsze i wszędzie musi mieć ostatnie słowo. Podpisałem, jak mnie proszono, na każdej stronie i przy każdej poprawce.

²² Po żydowsku: chujem.

Jeśli dziewiąte piętro uważano za szczyt piramidy, to dziesiąte stanowiło prawdziwe sanktuarium. Wyżej było już tylko lądowisko helikoptera szefa. Rodzinna rezydencja, stary angielski pałac otoczony wypielęgowanym ogrodem, znajdowała się w Oksfordzie. Tam mieszkała jego żona Betty. Robert Maxwell spędzał większość nocy w prywatnym apartamencie na dziesiątym piętrze swojego biurowca. Na-zajuz doznałem szczególnego wyróżnienia: zaproszono mnie na dalszy ciąg rozmowy piętro wyżej niż sięgały moje najdziksze marzenia. Osobisty lokaj Maxwella, cichy Portugalczyk Jose, podsunął nam tacę z kieliszkami wina.

„Château Latour, rocznik 1953“, rzucił obojętnie Maxwell i zmierzył mnie krótkim spojrzeniem, badając, czy doceniam jakość i cenę trunku. Zamoczyłem usta w kieliszku.

„Wyśmienite“ powiedziałem, po czym z niemalą dozą beczelności dodałem: „Aczkolwiek trochę to wczesna pora na ciężkie czerwone“. Maxwell nie obraził się.

„Nigdy nie jest za wcześnie na przyjemności życia“, powiedział obojętnie, wypił trunek do dna i odstawił pusty kieliszek na stół w stylu imperium rzymskiego. Jose sprzątnął szkło szybko i dyskretnie. Dwaj synowie Maxwella, Ian i Kevin, obaj dyrektorzy naczelni w koncernie, nie tykali alkoholu w obecności ojca. Kevin siedział rozparty wygodnie w fotelu, nie ukrywając swego niezadowolenia z powodu ostatniego „nabytku“ firmy.

„Jeśli wolno zapytać“, odezwał się z celowo źle maskowaną ironią, „to chciałbym wiedzieć, jakie ma pan doświadczenie w biznesie?“

„Nieduże“, odparłem. „W gruncie rzeczy sprowadza się do kilku nieistotnych transakcji“.

„Na przykład?“

„Co cztery lata sprzedaję stary samochód i kupuję nowy“, wyjaśniłem spokojnie.

Kevin obdarzył mnie kwaśnym skrzywieniem ust. Najwyraźniej nie wyróżniał się poczuciem humoru. Był absolwentem najbardziej prestiżowego uniwersytetu w Anglii, gdzie doskonalono go w trudnej sztuce biznesu, ale nie nauczono uśmiechać się. Natomiast ojciec uśmiechał się pełną gębą.

„Pamiętasz panów dyrektorów, którzy mieli doktoraty z Harvardu lub Oksfordu i mimo to zrezygnowaliśmy z ich usług?“, wtrącił Maxwell i wymienił długą litanię nazwisk.

„Oczywiście, że pamiętam“.

„Wiesz, czego brak było tym gentlemanom? Brak im było tego, co posiada ten facet: zdrowego rozsądku“. Kevin skinął głową.

„Rozumiem. Zdrowy rozsądek jest teraz najbardziej poszukiwanym towarem w tym domu“.

Robert Maxwell udawał, że nie odczytał synowskiej ironii.

Tak więc zaangażowany zostałem przez korporację na etat „zdrowego rozsądku“. Tego samego dnia zamówiono dla mnie firmowe wizytówki z moim nowym, budzącym respekt tytułem: międzynarodowy dyrektor d/s rozwoju środków przekazu. Wkrótce potem pojechałem do Stuttgartu, by odebrać prosto z fabryki służbowego mercedesa. Jeszcze przedtem, mimo protestów działu finansowego korporacji, zostałem jedynym uprawnionym dysponentem rachunku korporacji Maxwella w warszawskim Banku Handlowym S.A. Wynająłem i wyremontowałem biuro w budynku „Czytelnika“ na Wiejskiej, po czym stanąłem niemal na stałe w najlepszym podówczas stołecznym hotelu, w „Victorii“.

Życie wydawało się być jednym nie kończącym się pasmem sukcesów. Niestety, były to tylko pozory. Udzielając mi swego błogosławieństwa na drogę, Maxwell „zapomniał“ wspomnieć, że w niedalekiej przeszłości wydał pięknie oprawioną biografię Jaruzelskiego, jedno z dzieł w serii zyciorysów przywódców komunistycznych we wschodniej Europie. W serii tej znalazły się panegiryki o rumuńskim Ceausescu, bułgarskim Żiwkowie i Honeckerze z NRD. Nie powiedział mi również, że złożył generałowi oficjalną wizytę w Belwederze, sankcjonując w ten sposób stan wojenny i ściągając na siebie otwartą wrogość antykomunistycznej opozycji. Nasi konkurenci, koncerny wydawnicze Ruperta Murdocha i Hersanta, karmili prasę wiadomościami o rzekomych i prawdziwych potknięciach politycznych Roberta Maxwella. Kampania ta osiągnęła szczyt w artykule, który zarzucał mu współpracę z wywiadem sowieckim.

Jakby nie dosyć, na co dzień przyszło mi zmagać się z nową biurokracją, która w dużej mierze odziedziczyła po uprzednim ustroju paniczną wręcz obawę przed podejmowaniem decyzji. Poza tym dyrektorzy departamentów, a nawet sekretarze stanu, zagrzewali swoje fotele zaledwie przez kilka miesięcy. Ciągłe zmiany na kierowniczych stanowiskach uniemożliwiały rozsądną kontynuację pertraktacji i prowadziły do niespodziewanych zmian w przepisach podatkowych i celnych, co z kolei

przekreślało możliwość długofalowego planowania, niezbędnego dla poczynienia poważniejszych inwestycji. Miejsce dygnitarzy komunistycznych zajmowali nader często ludzie związani z Solidarnością, pełni dobrej woli, ale pozbawieni odpowiednich kwalifikacji. Większość z nich nie posiadała żadnego doświadczenia ani w administracji publicznej, ani w handlu zagranicznym, nie znała mentalności wielkich zachodnich finansistów i nie rozumiała zasad gry obowiązujących na wolnym rynku.

Wkrótce po otwarciu biura Maxwell Communication Corporation w stolicy, zaczęli pojawiać się ludzie proponujący nam najdziwniejsze w świecie interesy, od nabycia zbankrutowanego kombinatu mleczarskiego w Białostockiem do kupna klejnotów skradzionych ponoć ze szkatuły carów. Początkowo zdumiewały mnie te propozycje, potem zrozumiałem, że stanowią nieodłączną część nowego folkloru gospodarczego. Znacznie większym zaskoczeniem była wizyta Sławka L. Po dziesiątkach lat pracy w tajnych służbach Polski Ludowej znalazł się poza nawiasem i za wszelką cenę szukał jakiegoś zajęcia. Gotów był wykonywać każdą pracę, nawet chłopca na posyłki, i za każde pobory, nawet najskromniejsze. Miał sześćdziesiąt lat, oszczędności i nie najgorszą emeryturę, zabijała go przymusowa bezczynność. Gdy przyszedł po raz pierwszy, nie wiedziałem jeszcze, jak bardzo był zaangażowany zarówno w działalność antysyjonistyczną, jak i w zwalczanie Solidarności. Mimo to decyzja nie była łatwa. Na moim biurku wciąż jeszcze leżała gazeta, w której oskarżono Maxwella o współpracę z KGB. Obawiałem się, że teraz oskarżą nas o udzielanie azylu byłym oficerom wywiadu i bezpieki. Ale patrząc na błagalne spojrzenie Sławka, wiedziałem, że nie znajdę w sobie dosyć obojętności, aby mu odmówić. Sławek był kiedyś moim serdecznym przyjacielem.

Z początkiem lat pięćdziesiątych nakłonił mnie Sławek do wynajęcia pokoju w tej samej willi, w której zamieszkiwał od dłuższego czasu. W tym czasie studiował w Wyższej Szkole Ekonomicznej, był wyjątkowo uzdolnionym studentem i bardzo przystojnym, wysokim blondynem, o zimnych jak lód błękitnych oczach. Jego wykwintne maniery świadczyły o przepaści, jaka dzieliła go od prostego, robotniczego domu rodzicielskiego w Łodzi. Ja byłem wówczas 22-letnim brunetem o kręconych włosach, ambitnym jak Sławek i niewiele mniej przystojnym, redaktorem w „Słowie Polskim“ oraz posiadaczem jednego z trzech prywatnych samochodów we Wrocławiu. Szybko staliśmy się nierozłączną parą. Naszej przyjaźni nie zmąciło nawet zwerbowanie Sławka do Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Ministerstwo wypłacało mu pokaźne stypendium do czasu ukończenia studiów, w zamian za co sprzedał im, jak to się zwykło mówić, ciało i duszę. Podejrzywałem, że zaczął swoją działalność jeszcze na uczelni, lecz nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Istniało między nami milczące porozumienie, w myśl którego temat jego współpracy z instytucją szerzącą postrach w całym kraju stanowił swoiste tabu.

Przeciętny obywatel nie mógł nawet marzyć o otrzymaniu zezwolenia na posiadanie broni palnej. Sławek obnosił się ze swoim pistoletem, model TT produkcji radzieckiej, z dumą dziecka, które dostało zabawkę dla dorosłych. Jeden jedyny raz wymierzył go we mnie. Stało się to podczas mroźnej zimy, gdy dziewczyna poderwana na dancingu i zaproszona do naszej willi odmówiła mi swoich wdzięków. Jako dobrzy koledzy dzieliliśmy się wszystkim, także kobietami. Ale piękna dwudziestolatka nie uznała tej wspólnoty. Drzwi między naszymi pokojami pozostały otwarte, słyszałem jej płacz, gdy kazał jej zmienić łóżko. „Zostaw ją w spokoju“, prosiłem. Nigdy nie miałem zapędów gwałciciela, nie czułem pociągu do kobiet, które mnie nie chciały. Moja prośba trafiła na zimny upór Sławka. Dla niego nie była to tylko kwestia przyjaźni, lecz przede wszystkim autorytetu. Nikt nie miał prawa sprzeciwiać się jego żądaniom. Krnąbrna dziewczyna została wystawiona za drzwi. Przez okno widziałem, jak stała w zaśnieżonym ogródku, bosa i naga. Temperatura spadła poniżej zera, nie ulegało wątpliwości, że nocna przygoda skończy się zapaleniem płuc. Błagałem Sławka, by pozwolił jej przeczekać do rana w mieszkaniu. „Za nic w świecie“, oznajmił. Po jakimś czasie, gdy wydawało mi się, że zasnął, zebrałem jej odzież i po cichu otwarłem okno. W chwili gdy zamierzałem rzucić buty, sukienkę i płaszcz, poczułem na plecach dotknięcie chłodnej lufy pistoletu. „Uważaj, jest nabyty“, powiedział o-chryplym głosem. Zrejterowałem i dlatego nigdy się nie dowiem, czy rzeczywiście nacisnąłby spust.

Po studiach przeniesiono go do Warszawy. Ja zostałem aresztowany, a po zwolnieniu nie szukałem go. Być może nie chciałem wystawiać naszej przyjaźni na tego rodzaju próbę. Sławek należał do gatunku ludzi dbających przede wszystkim o własną skórę. Kontakt z osobą podejrzaną o sabotaż mógłby zagrażać jego karierze. Los zetknął nas z sobą dopiero po dwunastu latach, gdy

pojawił się w Tel-Awiiwie jako attache kulturalny ambasady PRL. Trochę mnie ta funkcja śmieszyła, przecież wiedziałem, jaka jest jego prawdziwa profesja. Był zbyt inteligentny, aby udawać lub zaprzeczać. Sprawę postawił jasno: „Ty wiesz i ja wiem. Zapomnijmy o tym. Oprzemy naszą znajomość na dawnych zasadach: same przyjemności, żadna praca. Potrzebne mi jest miejsce pod słońcem, a ściślej mówiąc dach, pod którym mógłbym wypić ćwiartkę bez obawy, że ktoś weźmie mnie na spytki, gdy będę zalany, i pod który mógłbym sprowadzić sobie dziewczynę bez obawy, że izraelski kontrwywiad sfotografuje mnie w dziesięciu różnych pozach. Przysięgam ci, że nigdy nie zadam ci krępującego pytania i nigdy nie posłużę się tobą dla zdobycia potrzebnych mi informacji“. Niepisaną umowę przypieczętowaliśmy uściskiem dłoni. Jak zwykle w takich przypadkach, żaden z nas nie dotrzymał słowa.

Zerwanie stosunków dyplomatycznych z Izraelem znów rozłączyło nas na prawie dwanaście lat. Przez cały ten czas odmawiano mi wizy turystycznej do Polski. Dopiero w roku 1978, z okazji otwarcia baraku żydowskiego w muzeum oświęcimskim, pod presją światowej opinii publicznej, władze PRL udzieliły wiz wjazdowych małej grupie dziennikarzy izraelskich. Sławek pojawił się w moim pokoju uśmiechnięty, zadowolony i pewny siebie jak zawsze. Przed hotelem czekał na niego samochód z kierowcą. „Odmawiano ci wizy?“, zdumiał się. „Dlaczego nie zwróciłeś się do mnie? Załatwiłbym to od ręki“. Dwa lata później, gdy pragnąłem pokazać kraj mojej żonie, zatelefonowałem pod jego domowy numer. Tego samego dnia otrzymałem zwiadomienie z ambasady polskiej w Wiedniu, że wiza jest do odebrania w każdej chwili.

Sławek pracował u mnie dziewięć miesięcy. Sterta listów dotyczących jego przeszłości rosła na moim biurku z tygodnia na tydzień. Niektóre były anonimowe, inne podpisane pełnym nazwiskiem, z adresem i numerem telefonu. Od czasu do czasu pojawiał się na Wiejskiej były pracownik aparatu bezpieczeństwa, opowiadał o pracy Sławka i ostrzegał przed jego bezwzględnością. Nie mogłem pojąć, co kierowało tymi ludźmi, dlaczego pisali i przychodzili, ale wiedziałem także, że nie ma dymu bez ognia. Moi informatorzy twierdzili, że Sławek był osobiście zamieszany w próbę zamordowania Adama Michnika, opowiadali o donosach, które pisał na kolegów, o kontaktach ze światem arabskim wrogim Izraelowi oraz o intensywnym zbieraniu materiałów dotyczących organizacji żydowskich w Stanach Zjednoczonych. Gdy przedstawiałem część zarzutów Sławkowi, zaprzeczał kategorycznie. Wciąż od nowa grał na nucie przyjaźni, coraz częściej próbował obudzić we mnie litość. Ale jedynym, co obudził, było poczucie obrzydzenia. Stokrotnie wolałem Sławka wciskającego mi lufę pistoletu w plecy od Sławka żebrzącego o jeszcze jeden miesiąc pracy. Mimo to nie zwolniłem go.

Raz w miesiącu stawiałem się u Roberta Maxwella w Londynie na rozmowę w cztery oczy, która, w zależności od jego humoru, trwała pięć minut lub pełną godzinę. O Sławku L. nie wspominałem ani słowa, Maxwell nie interesował się drobiazgami. Natomiast z całą ostrością przedstawiłem kwestię jego image'u w Polsce. Twierdziłem, że potrzebne jest spektakularne pociągnięcie, które przywróci mu dobre imię. Miałem pomysł. Maxwell odrzucił go. „Każdego, kto mnie oczerni, podaj do sądu“, zażądał. Gdyby w księgach rekordów Guinnessa odnotowywano skargi o zniesławienie, Robert Maxwell figurowałby w nich co roku. Od lat zatrudniał baterię adwokatów, którzy procesowali się bez końca z autorami artykułów nie schlebających przewodniczącemu korporacji. Wynik kosztownej procedury był całkowicie nieistotny. Gazety Maxwella, a przede wszystkim brukowy „Daily Mir-ror“, zawsze odnotowywały wielkimi czcionkami fakt złożenia skargi. Jeśli sędziowie orzekali potem na jego niekorzyść, wyrok bywał przemilczany. Z trudem udało mi się go przekonać, że angielska recepta nie wykuruje rozprzestrzeniającej się epidemii niechęci w Polsce. „Dobrze“, zgodził się, „przyślę ci do Warszawy Sir Johna. To wytrawny dyplomata, on już będzie wiedział, co zrobić“.

Nim został dyrektorem *public relations* w korporacji Maxwella, Sir John Morgan pełnił funkcję ambasadora Wielkiej Brytanii w Polsce. Tyle tylko, że jego świetne koneksje odnosiły się do wpływowych osobistości, które dawno już zeszyły ze sceny politycznej. Nawet jego następcą nie udawał uszczęśliwionego, gdy gościł nas na.fi.ve o'clock w pałacyku ambasady brytyjskiej przy ulicy Pięknej. Mieszając srebrną łyżeczką w filiżance aromatycznej herbaty, z powściągliwą kurtuazją oznajmił, że działalność prywatnych firm nie leży w sferze jego zainteresowań, w związku z czym dziękuje nam uprzejmie za gotowość informowania go o poczynaniach Maxwell Communication Corporation na polskim rynku. Nie, ambasada nie ma zamiaru obarczać nas zbędnym trudem.

Jeśli dotychczas miałem jeszcze jakieś wątpliwości co do stosunku arystokracji brytyjskiej do wzbogaconego parweniusza z Rusi Podkarpackiej, słowa nowego ambasadora Jej Królewskiej Mości rozwiały je ostatecznie. Sir John był całkowicie inny. Mimo iż szczylił się pokoleniami wysoce

honorowanych przodków, nigdy nie wieszał psów na Maxwellu, nigdy nie powiedział złego słowa o jego pochodzeniu. Tylko raz, gdy zadziałała zasada *in vino veritas*, przyznał, że pracuje w korporacji, ponieważ musi „przepchać swoich dwóch rozpieszczonych synów przez kosztowne uniwersytety“. Gdyby nie rodzina, noga jego nie powstałaby w Maxwell House. W gruncie rzeczy Sir John był osobą towarzyską. Nigdy nie stronił od kieliszka i wesołej kompanii. Od pierwszej chwili, gdy tylko spotkaliśmy się w starym baraku portu lotniczego na Okęciu, przypadliśmy sobie do gustu. Wieczorem po wizycie u Jego Ekscelencji zasiadliśmy do poważnej rozmowy. Oceniliśmy bukiet czerwonego i klarowność białego wina, wymieniliśmy kilka zasadniczych uwag na temat urody Polek i doszliśmy do wniosku, że w zaistniałej sytuacji nie pozostaje nam nic innego, jak spisanie odpowiednio wywato-wanego sprawozdania z podróży. Przy redagowaniu tego dokumentu odkryłem prawdziwe zdolności Sir Johna. „Znam Maxwella na wylot“, mówił, wyszczególniając nazwiska i tytuły osobistości, z którymi spotkaliśmy się podczas jego krótkiego pobytu w Warszawie. „Captain Bob ceni pracowników otwierających właściwe drzwi. Zapraw sprawozdanie kilkoma dobrymi nazwiskami oraz odrobiną statystyki, okraś je perspektywą przyszłych zarobków, przemieszaj fakty z fantazją, a masz pewność, że szef będzie zadowolony“, pouczał. Podczas następnych miesięcy udzielił mi mnóstwa rad ułatwiających życie na maxwellow-skim dworze. Niestety, sam sobie pomóc nie potrafił: jesienią 1990 Maxwell posłał go na zieloną trawkę bez dwudziestoczęterogodzinnego wypowiedzenia.

Przybywszy do Polski, wierzyłem, że mogę przynieść pożytek zarówno Robertowi Maxwellowi, jak i polskiej prasie. Licznym gazetom groził upadek. Niezbędne były ogromne nakłady finansowe, aby je unowocześnić. Większość cierpiała na brak zawodowej kadry dziennikarskiej. Niewielu redaktorów wiedziało, jak działać w warunkach prawdziwej wolności środków przekazu, jeszcze mniej położyło kiedykolwiek rękę na klawiaturze komputera. Na palcach jednej ręki policzyć można było ludzi, którzy mieli pojęcie o zarządzaniu firmami wydawniczymi w warunkach wolnego rynku i rzeczywistej konkurencji. Reprezentowałem koncern, który miał w owym czasie prawie nieograniczone środki materialne, dysponował najbardziej nowoczesną technologią i wieloletnim doświadczeniem, a co ważniejsze, na jego czele stał człowiek o nieograniczonym apetycie. Aby pobudzić ten apetyt, wypracowałem plan²³, który zyskał jego natychmiastową aprobatę: nabycie udziałów w jednym warszawskim i kilku wojewódzkich dziennikach umożliwi zbudowanie sieci, którą można będzie zarządzać sprawnie i oszczędnie. Stołeczna redakcja zajmie się centralną obsługą reporterską sejmu, rządu i wszelkiej innej działalności koncentrującej się w Warszawie. Na zasadzie wymiany dzienniki regionalne przesyłać będą do stolicy co ciekawsze wiadomości z terenu. Główne biuro ogłoszeń zaproponuje klientom równoczesną i stosunkowo taną reklamę w Warszawie, Krakowie, Gdańsku, Wrocławiu lub innych miastach. Papier gazetowy, serwisy zagranicznych agencji prasowych, nawet meble i komputery - wszystko nabywane będzie hurtowo, a więc taniej. W przyszłości możliwe będzie wprowadzenie jednej, ujednocionej księgowości.

W marcu 1990 rozwiązany został partyjny gigant RSW Prasa. Związane z nim pisma miały być sprzedane w przetargach, przy czym utworzonym *ad hoc* w każdej niemal redakcji spółdzielni dziennikarzy zapewniono prawo pierwokupu. Nie trzeba było być wielkim finansistą, aby przewidzieć, że spółdzielnie takie nie uporają się z czekającymi je trudnościami, a przede wszystkim nie będą w stanie zmobilizować kapitału niezbędnego do wymiany infrastruktury. Poza tym pozostawienie pism w rękach ludzi, którzy redagowali je w latach stanu wojennego, było politycznym nonsensem. Zakładałem, że z biegiem czasu rząd wprowadzi poprawki do ustawy o likwidacji RSW Prasy, ale na razie zacząłem objeżdżać wybrane gazety, od „Dziennika Bałtyckiego“ na północy po „Dziennik Zachodni“ na Śląsku, próbując przekonać zarządy spółdzielni do poparcia projektu. Od pierwszej chwili traktowano mnie ze sporą dozą podejrzliwości. Korporacja Maxwella nie żądała pakietu większościowego i z góry zobowiązaliśmy się nie ingerować w politykę personalną poszczególnych redakcji, ale liczni rozmówcy obawiali się, że zagraniczny inwestor przejmie rolę zlikwidowanego koncernu partyjnego. Dobrze wypracowany plan umarł jeszcze przed narodzeniem. *Nolens volens* zdecydowałem się na stawanie do przetargów tylko w tych przypadkach, w których udało mi się uzyskać poparcie zespołów redakcyjnych. Do każdego przetargu stawałem jako wspólnik mniejszościowy, nigdy nie żądając więcej niż 49 procent udziałów. W ten sposób próbowałem utracić

²³ Wspólnie z Michałem Komarem, wówczas wiceprezesem Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik“.

zarzut opanowania prasy przez obcy kapitał. Atmosfera społeczna nie sprzyjała wielkim inwestycjom zagranicznym, istniała niczym nie uzasadniona obawa przed pieniądzem napływającym z zagranicy, przed jakąś wymyśloną „zmową kapitalistów“. Tworzyłem więc spółki, na czele których stały znane polskie firmy i osobistości. Niestety, szybko zorientowałem się, że przetargi były z góry ukartowaną imprezą. Rzekomy pluralizm w środkach przekazu opierał się na zasadzie „ręka rękę myje“. Nawet spółdzielnie zostały na lodzie. „Życie Warszawy“ i „Dziennik Łódzki“ sprzedano komuś innemu, mimo iż mieliśmy pełne poparcia zespołów redakcyjnych oraz Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Fakt, że oferowaliśmy wyższą sumę i obiecywaliśmy unowocześnienie przestarzałego sprzętu drukarskiego, nie miał żadnego znaczenia wobec bezprawnej „instrukcji“ Belwederu dla członków Komisji Likwidacyjnej. Poza tym Maxwell wciąż jeszcze był *persona non grata*.

Obecnie, gdy moim kolejnym przystankiem życiowym jest gabinet rektora Szkoły Dziennikarskiej w Tel-Awivie, a główną troską przygotowanie młodej kadry zawodowej dla izraelskich środków masowego przekazu, ogarnia mnie niemal przerażenie na myśl, że mógłbym zrealizować wszystkie ambitne plany - i zostać na lodzie. Teraz wiem, że w czasie gdy dopingował mnie do zwiększenia inwestycji, Maxwell stał już nad skrajem przepaści i przypuszczalnie nie byłby w stanie wypełnić przyjętych na siebie długofalowych zobowiązań.

W londyńskiej centrali korporacji, podczas lunchów w stołówce dla dyrektorów, coraz głośniejszemu mówiono o trudnościach finansowych spowodowanych pochopnym nabyciem amerykańskiego giganta wydawniczego McMillan. Robert Maxwell, tak twierdzili eksperci, pragnął za wszelką cenę stać się wpływowym wydawcą w USA. Aby utracić konkurencję, zapłacił za McMillana o miliard dolarów więcej od jego realnej wartości na giełdzie. Od tej chwili nad wszystkimi jego przedsięwzięciami zawisł ponad dwumiliardowy dług bankowy.

Długo nie dowierzałem tym plotkom. Akcje Maxwell Communication Corporation nie wykazywały groźnej tendencji spadkowej. Nawet najzagorzalsi przeciwnicy Maxwella przyznawali, że jego „Daily Mirror“ zarabia milion funtów szterlingów tygodniowo na czysto. W Moskwie, Warszawie i Sofii uruchomiłem szkoły języków obcych Berlitz²⁴. Wszystkie związane z tym koszty zostały pokryte do ostatniego grosza. Nasz rachunek w Banku Handlowym SA. nigdy nie wykazywał debetu.

W marcu 1991 roku poleciałem do Nowego Jorku. Maxwell był w euforii. „Masz zarezerwowany apartament w hotelu «Pierre»». Nie ruszaj się stamtąd, dopóki cię nie wezwę!“, krzyczał do telefonu. Nim zdążyłem zapytać, jaki jest cel podróży, odwiesił słuchawkę. W godzinę później połączyła się ze mną kierowniczka kancelarii i wyjaśniła sprawę: „Captain Bob rozmawiał ze mną z pokładu swego odrzutowca. Za dwie godziny wylądaje na lotnisku w Newark, a wieczorem rozpocznie pertraktacje o nabycie największego nowojorskiego dziennika «N.Y. Daily News»”. Pracownicy pisma strajkowali od pięciu miesięcy. Robert Maxwell wierzył, że osiągnie porozumienie z wszystkimi zainteresowanymi związkami zawodowymi i kupi gazetę za bezcen. „RM chce cię mieć blisko siebie“, tłumaczyła. „Pamiętał, że byłeś członkiem prezydium Światowej Federacji Dziennikarzy i ma nadzieję, że pomożesz mu w rokowaniach ze związkiem dziennikarzy“. Trzy dni nie wychodziłem z hotelowego pokoju, czekając na wezwanie. Telefon milczał jak zaklęty. Wiedziałem, że Maxwell sprowadził do Nowego Jorku swój jacht „Lady Ghislane“, polecił zakotwiczyć go naprzeciw wysokościowca ONZ-tu i stamtąd kieruje całą akcją. Czwartego dnia rano zadzwoniłem na pokład jachtu. Ktoś z załogi poinformował mnie, że Maxwell wrócił już do Londynu. Widocznie nie byłem mu potrzebny, a ludzi zbędnych zawsze wymazywał z pamięci.

Po powrocie do Warszawy znalazłem na biurku notatkę żądającą szybkiego sfinalizowania umowy z NOT-em. Od kilku miesięcy negocjowałem nabycie udziałów w siedemdziesięciu periodykach „Sigmy“, firmy podległej Naczelnej Organizacji Technicznej. Nabywcą miała być londyńska firma „Pergamon“, drugi największy na świecie wydawca pism naukowych. Jej założycielem, zaraz po drugiej wojnie światowej, był Robert Maxwell. Firma ta przyniosła mu pierwsze miliony i ze zrozumiałych względów miał do niej szczególny sentyment. Bez sekundy wahania mianował mnie członkiem dyrekcji naczelnej „Pergamonu“. Była to konieczność z punktu widzenia prawnego. Bez nominacji nie mógłbym podpisać umowy. Warszawska firma doradcza wyceniła wartość 49-

²⁴ Wartość 300 szkół sieci Berlitz, jednej z towarzystw-córek Maxwella, wynosiła ponad 200 milionów dolarów.

procentowych udziałów na cztery miliony dolarów. Była to suma znacznie zawyżona, zwłaszcza że prawa własności do niektórych periodyków stały pod znakiem zapytania, ale nie targowałem się. Wejście na polski rynek wydawniczy przez furtkę NOT-u wydawało się być pociągnięciem słusznym z punktu widzenia dalekosiężnej polityki inwestycyjnej.

Podpisanie umowy wyznaczaliśmy na pierwszą połowę kwietnia. Do wyjaśnienia pozostał tylko jeden szczegół. Strona polska chciała zapewnić naszej spółce prawo do nieodpłatnego tłumaczenia artykułów z wszystkich pism „Pergamonu“. Popierałem to żądanie. Wielu inżynierów i naukowców zdobyłoby w ten sposób bezpośredni dostęp do najaktualniejszych prac naukowych publikowanych na Zachodzie, zapewniając polskiemu periodykom stosunkowo wysokie nakłady. Nie mogłem jednak przyjąć na siebie odpowiedzialności za podpisanie takiego paragrafu bez zgody „Pergamonu“ w Londynie. Zakładałem, że prawa autorskie do niektórych prac mogły pozostać w rękach piszących. W wewnętrznej księżce telefonicznej Maxwell Communication Corporation bez trudu znalazłem numer prezesa „Pergamonu“.

„Najmocniej pana przepraszam“, zastrzegł się z rezerwą mój rozmówca, „ale z kim mam przyjemność?“

„Moje nazwisko Frister. Jestem dyrektorem w firmie“.

Po drugiej stronie linii zapanowała dłuższa cisza.

„Przykro mi, ale nigdy nie słyszałem pańskiego nazwiska. Poza tym nic mi nie wiadomo o działalności «Pergamonu» w Polsce. Proponuję zwrócić się w tej sprawie do pana Maxwella“.

Roberta Maxwella nie było w Londynie, ale sekretariat otrzymał polecenie przełączania moich rozmów w każde miejsce, w którym się znajduje. Tym razem był to Gulfstream-4, prywatny samolot znajdujący się w drodze z Francji do Włoch.

„Nie przejmuj się“, roześmiał się Maxwell. „Nie muszę chyba zawiadamiać każdego durnia o moich nominacjach. A jeśli chodzi o Polaków, to daj im wszelkie prawa autorskie i szybko załatw sprawę do końca“.

Ponieważ byłem jedynym sygnatariuszem umowy ze strony brytyjskiej, obawiałem się, że w przypadku jakiegoś nieporozumienia zostanę obarczony pełną odpowiedzialnością. Było nieprawdopodobne, aby Maxwell znał na pamięć szczegóły umów zawieranych między cztery-stoma tygodnikami i miesięcznikami „Pergamonu“ a autorami poszczególnych artykułów. Sir John i inni nowi znajomi z dziewiątego piętra nauczyli mnie przestrzegania żelaznej zasady: każde polecenie telefoniczne należy potwierdzić faksem, ponieważ Robert Maxwell cierpi na zanik pamięci, gdy chodzi o rozkazy, które z biegiem czasu okazują się błędne. Napisałem: „Działając na podstawie pańskiego przyzwolenia z dnia 26 marca, godzina 13:00 czasu polskiego, dopisuję do umowy z «Sigma» paragraf zapewniający bezpłatne korzystanie z materiałów drukowanych w pismach «Pergamonu»„.

Pilot potwierdził odbiór faksu. Odetchnąłem z ulgą. Ale nie na długo.

Robert Maxwell triumfował. Po korzystnym kupnie „New York Daily News“ przyłączył do swojego imperium poczytny hebrajski „Ma'a-riv“. Była to jego pierwsza inwestycja w środki przekazu w Izraelu. Niemal równocześnie założył w Tel-Awii tygodnik w języku rosyjskim. Masowa imigracja Żydów ze Związku Radzieckiego zapewniała gazecie wysokie nakłady i duże wpływy z reklamy. Zostałem zaproszony na uroczystość otwarcia. Do samolotu wsiadałem zadowolony. Na lotnisko Ben Guriona przybyłem zdeprymowany. Podczas krótkiej przerwy w locie, we Frarikfurcie, gdy przeglądałem egzemplarz „Financial Times“, wpadł mi w oko tytuł: „Maxwell sprzedaje «Pergamonu»„. Z krótkiej wiadomości dowiedziałem się, że holenderski wydawca Elsevier nabywa „ulubioną firmę“ Roberta Maxwella za 210 milionów funtów szterlingów. Czuję, jak krew uderza mi do głowy. Dlaczego naraził mnie na nieprzyjemności? Dlaczego ryzykował swoje pieniądze? Dlaczego zataił przede mną intencję sprzedania „Pergamonu“? W przeszłości dzielił się ze mną niejedną biznesową tajemnicą. Milczałem jak ryba, gdy miliony dolarów przechodziły przez moje ręce, aby dotrzeć do najdziwniejszych adresatów na świecie. Wiedział, że może polegać na mojej dyskrecji. Dlaczego akurat teraz wystawił mnie rufą do wiatru? Wszystkie te pytania postanowiłem rzucić mu w twarz i nie wracać do Warszawy bez zadowalających odpowiedzi.

Recepcja odbywała się w Błękitnej Sali hotelu „King David“ w Jerozolimie. Od wylądowania pozostawały mi dwie godziny, dosyć czasu, aby wpaść do mojego telawińskiego mieszkania i przebrać się w wyjściowy garnitur. Pogoda była piękna, autostrada do stolicy niezbyt zatłoczona,

miałem nadzieję, że uda mi się zamienić z Maxwellem kilka słów jeszcze przed rozpoczęciem uroczystości. Gdy wszedłem na salę, prowadził ożywioną rozmowę z premierem Icchakiem Szamirem. Gdy tylko skończył, podszedłem do niego, zręcznie wyprzedzając kilku ministrów i innych VJJP-ów czekających na okazję, by uściskać mu dłoń. Captain Bob tryskał dobrym samopoczuciem, rzucał na prawo i lewo dowcipne powiedzonka, uśmiechał się do kobiet. Niewątpliwie czuł się w swoim żywiole. Był ośrodkiem powszechnego zainteresowania, każdy z zaproszonych szukał jego bliskości, jakby samo otarcie się o jego rękaw zapewniało złoty deszcz. Z trudem wysłuchał moich pretensji. Najwyraźniej nie miał zamiaru psuć sobie humoru nieistotnymi, jego zdaniem, sprawami. Gdy skończyłem, niemal ojcowskim mchem położył mi rękę na ramieniu i powiedział:

„Zapomnij o «Pergamonie». Kupimy te pisma dla Robert Maxwell Holdings. Polakom jest przecież obojętne, kto im płaci“.

Nie miałem pojęcia, co to takiego „Robert Maxwell Holdings“ i nie sądziłem, że Naczelnej Organizacji Technicznej jest obojętne tożsamość zagranicznego wspólnika. Ale prowadzenie dyskusji nie miało sensu. Na salę wszedł Szimon Peres. Maxwell posłał mu przyjazne spojrzenie. Przestałem dla niego istnieć.

„A co z prawami do przekładów?“, zdążyłem jeszcze zapytać. Maxwell nie pamiętał, o co chodzi. Sekretarka podała mu telefon komórkowy. Na linii było Tokio. W Japonii była piąta rano. Potem stanął za pulpitem i wygłosił płomienne przemówienie na cześć Gorbaczowa. Gdy kelnerzy zaczęli roznosić szampana, po prostu zniknął.

Nazajutrz wróciłem do Warszawy. Rozpoczęliśmy gorączkową pracę nad przepisywaniem wszystkich dokumentów. Nie miałem większych trudności z przekonaniem dyrektorów „Sigmy“, iż zmiana zagranicznego partnera nie będzie miała wpływu na istotę naszej spółki. Gorzej było z notariuszem. Odmówił potwierdzenia umowy, ponieważ nie potrafiłem przedstawić upoważnienia do jej podpisania w imieniu maxwellowskiego holdingu. Wkrótce sprawy skomplikowały się jeszcze bardziej. Robert Maxwell Holdings nie była zarejestrowana w Ministerstwie Współpracy Gospodarczej z Zagranicą, a więc z punktu widzenia prawnego nie mogła działać na terenie Rzeczypospolitej. Aby ją zarejestrować, musiałem sprowadzić cały plik dokumentów, łącznie z gwarancjami bankowymi. Mój radca prawny, poseł na Sejm i prezes Naczelnej Rady Adwokackiej Maciek Bednarkiewicz, obiecał użyć swoich wpływów, aby możliwie szybko przebrnąć przez pole minowe biurokracji. Niestety, nie znałem ani adresu firmy, ani nazwisk jej dyrektorów. Nie figurowała również we wspomnianej już książce telefonicznej MCC. Późnym wieczorem zatelefonowałem do Londynu. Robert Maxwell znów polecał do Stanów, ale jego adiutanci, przyzwyczajeni do pracy o każdej godzinie dnia i nocy, zobowiązali się dostarczyć potrzebne papiery w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin. Przesyłka, wysłana służbą kurierów, nadeszła na czas, ale okazało się, że brak w niej pisma National Westminster Bank, bez którego nie mogłem otworzyć nowego rachunku w Banku Handlowym. Znów połączyłem się z Londynem. Tym razem rozmawiałem z Ianem Maxwellem.

„Nie rozumiem, co się tu dzieje“, powiedział. „Przecież ojciec wie, że w ogóle nie możemy nabyć tych periodyków w Polsce.“

„Przepraszam?“, wyjąkałem.

„Ian wyjaśnił, że Elsevier zastrzegł sobie w umowie, iż w ciągu pięciu lat od daty nabycia „Pergamonu“ żadna z firm korporacji nie będzie wydawała pism naukowych.“

„Przykro mi, ale taka jest prawda“, zakończył z usprawiedliwiającą nutką w głosie.

Cisnąłem słuchawkę na widelki, Ian nie obraził się. Myślę, że rozumiał moje rozgoryczenie.

Coraz poważniej zacząłem myśleć o złożeniu rezygnacji i powrocie do Tel-Awiwu. Posunięcie takie byłoby równoznaczne z zarznięciem kury znoszącej złote jaja, ale dawno już odkryłem, że pieniądze nie są skutecznym lekiem na frustrację. Robert Maxwell nie chciał nawet słyszeć o takiej możliwości. Twierdził, że jest zadowolony z moich osiągnięć w Rosji i Bułgarii, namawiał mnie na przeniesienie biura z Warszawy do Pragi, gdzie mielibyśmy lepsze widoki na kupno dzienników i drukarni. Dla mnie jednak Czechosłowacja była równie mało interesująca jak Rosja lub Bułgaria. Sukcesy pragnąłem odnosić w Polsce. W Polsce oddychałem powietrzem mojego dzieciństwa. Moja żona, Szulamit, przyjeżdżała do Warszawy raz w miesiącu i szybko stworzyła mi w apartamencie

numer 700 w hotelu „Victoria“ warunki niemal domowe. Od dwudziestu pięciu lat byliśmy małżeństwem powszechnie uważanym za doskonałe; tylko ona i ja wiedzieliśmy, że zagraża mu kryzys. Nie przeszkodziło to Szulamicie stać u mojego boku, gdy tego potrzebowałem i usuwać się w cień, gdy jej obecność wydawała mi się zbędna.

Szulamit posiadała daleko rozwinięty, bardzo kobiecy, instynkt samozachowawczy. Niewątpliwie przeczuwała, że zbliża się koniec naszego współżycia i chyba sądziła, że w domu uda jej się odwołać nieodwołalne, bo gorąco namawiała mnie do wyjazdu. Przypuszczalnie spakowałbym walizki i zamówił bilety lotnicze do Izraela, gdyby nie nagła zmiana sytuacji. Na przyjęciu urodzinowym u jednego z moich warszawskich przyjaciół poznałem Andrzeja Gelberga, redaktora naczelnego tygodnika „Solidarność“. Małe mieszkanie przy Świętojer-skiej było tak wypełnione gośćmi, że postanowiliśmy usiąść na schodach. Siedząc za drzwiami, wsłuchując się w mieszaninę głosów i wplecioną w nią starą melodię płynącą ze starej płyty na starym patefonie, trąciliśmy się kieliszkami. Gelberg żalił się na zły stan tygodnika:

„W podziemiu byliśmy bezkonkurencyjni. W tamtych czasach istotna była treść przekazu, nie forma. Teraz zmieniły się zasady gry. Bez kolorowej okładki nikt cię nie kupi. Potrzebny jest dobry papier, dobry dmk, dobrzy dziennikarze. Niestety, najlepsi odchodzą do konkurencji. Konkurencja płaci lepiej i ma więcej czytelników. Bez poważnego zastrzyku forsy...“

„Wzięłyby pan pieniądze Maxwella?“; zapytałem ostrożnie.

„Nawet pieniądze samego szatana“, odparł Gelberg bez wahania.

Etos Solidarności wstąpił już w stan agonii, ale dla nas była to jedyna w swoim rodzaju szansa. Wejście Maxwell Communication Corporation w spółkę z mchem, który wciąż jeszcze symbolizował obalenie komunizmu zmyłoby z nas raz na zawsze oficjalną ekskomunikę i otworzyło nowe możliwości inwestycyjne. Jeśli oświadczenie redaktora Gelberga nie było gołosłowne, to mogłem powiedzieć, że wygrałem los na loterii.

„Muszę to sobie przemyśleć“, rzuciłem obojętnie. W żadnym przypadku nie chciałem, aby się zorientował, jak bardzo zelektryzowała mnie myśl o mariażu z „Solidarnością.“

„Poza tym muszę uzyskać zgodę Roberta Maxwella. Nie będzie to łatwe, bo Maxwell stroni od zaangażowania w wewnętrzne spory polityczne. A pański tygodnik, to przecież sama polityka“.

„Można to zmienić“, zasugerował Gelberg.

„Czyżby?“

„Oczywiście. Sami pragniemy przekształcić tygodnik w pismo dla szerokich rzesz czytelniczych“.

„W przyszłym tygodniu będę w Londynie. Natychmiast po powrocie dam panu odpowiedź“, obiecałem.

Maxwella zastałem w tak złym humorze, że zastanawiałem się, czy rozmowa na temat tygodnika „Solidarność“ ma w ogóle sens. Początkowo przypisywałem to spadkowi cen jego akcji na giełdzie londyńskiej, ale szef kancelarii zdradził mi prawdziwą przyczynę: za dwa tygodnie, a ściślej mówiąc 23 września, prestiżowy program „Panorama“ telewizji BBC miał być poświęcony oszukańczej loterii w dziennikach Roberta Maxwella. Peter Jay sądził, iż po artykule o tarapatach finansowych MCC na kontynencie amerykańskim, który ukazał się ostatnio w nowojorskim „Wall Street Journal“, mógł to być początek groźnej lawiny.

„Mam dla ciebie pięć minut“, oznajmił Maxwell zza swego ogromnego biurka.

„To samo powiedziano mi, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy“, uśmiechnąłem się. Maxwell ostentacyjnie spojrzął na zegarek i mruknął:

„Minęło trzydzieści sekund“.

Wyłożyłem sprawę zwięźle jak tylko mogłem, podkreślając jej polityczny aspekt. Ku mojemu zdziwieniu odparł bez namysłu:

„Wiedziałem, że można na tobie polegać. Załatw to jak najszybciej i pozdrów ode mnie Lecha Wałęsę“.

„Wałęsa jest teraz prezydentem. Przewodniczącym Krajowej Komisji NSZZ jest...“

Maxwell machnął ręką. Nie interesowały go szczegóły. Wstał, dając mi do zrozumienia, że ma inne, ważniejsze sprawy na głowie.

Jeszcze tego samego dnia wróciłem do Warszawy. Wieczorem spotkałem się z redaktorem Gelbergiem. Nazajutrz pojechaliśmy razem do Gdańska na omówienie warunków umowy z Marianem Krzaklewskim. Pod koniec tygodnia Maxwell przysłał do Polski dwóch pracowników,

specjalistę od kolorowej poligrafii oraz człowieka, który miał przygotować zarys planu biznesowego przyszłej spółki. Negocjacje utrzymywane były w całkowitej tajemnicy. Zarówno Krzaklewski, który musiał uzyskać zgodę prezydium Krajowej Komisji Solidarności, jak i redaktor Gelberg obawiali się, że przedwczesne ujawnienie szczegółów może zmobilizować nieprzyjazną reakcję regionu Mazowsze, który obawiał się utraty wpływów na treść tygodnika. 19 września projekt ostatecznej umowy został podpisany w siedzibie KK NSZZ przy Walach Piastowskich w Gdańsku. W nowej, kolorowej szacie tygodnik miał poświęcić nie więcej niż piętnaście procent treści tematyce związanej z Solidarnością. Komisja Krajowa zastrzegła sobie prawo mianowania redaktora naczelnego, ale umowa przewidywała, iż z uwagi na duże doświadczenie korporacji Maxwella w prowadzeniu działalności komercyjnej jedno miejsce w trzyosobowym zarządzie spółki zarezerwowane będzie dla nas. Ustnie ustaliliśmy, że przedstawiciel korporacji Maxwella w zarządzie zajmie się finansami przedsiębiorstwa. Ponieważ cały sprzęt drukarski miał być dostarczony z Wielkiej Brytanii na warunkach leasingu, nie ulegało wątpliwości, że faktyczna kontrola pisma znajdzie się w naszych rękach. Po raz pierwszy od dłuższego czasu czułem, że wkroczyłem na właściwą drogę.

4 października otrzymałem z Londynu krótką, jednoznaczną depezę: „RM wycofuje się ze spółki z Solidarnością. Brian Cole“.

Brian Cole był bńskim współpracownikiem Maxwella. Zналиśmy się dobrze, spotykaliśmy się często, w Warszawie i Londynie. Cole, wysoki, szczupły, powściągliwy Anglik, który zawsze darzył mnie sympatią, nie potrafił wytłumaczyć, co spowodowało tę nagłą i zupełnie niewytłumaczalną decyzję. „RM nie chciał udzielić żadnych wyjaśnień“, tłumaczył się przez telefon, wyraźnie zakłopotany. Próbowałem połączyć się z Maxwellem, ale bezskutecznie. Rzekomo był nieuchwytny. Marian Krzaklewski wysłał mu niemal błagalny list z prośbą o wznowienie kontaktu, ale nie otrzymał odpowiedzi. To była owa przysłowiowa słomka, która złamała grzbiet wielbłąda. Zawiadomiłem pracowników, że pod koniec miesiąca zamykam biuro, wypłaciłem im odprawę, pożegnałem się z przyjaciółmi, wysłałem do Londynu dwie skrzynie z dokumentami firmy i zacząłem pakować walizki. 20 października w nocy zatelefonował Maxwell:

„Czy dobrze słyszałem?“; zapytał.

„Słyszał pan doskonale“.

Byłem przygotowany na wybuch wściekłości. Ale Maxwell mówił spokojnie:

„Dobrze. Jeśli chcesz, możesz zlikwidować oddział w Warszawie. W tych dniach jestem bardzo zajęty, potem wyjeżdżam na krótki urlop. Dziewiątego listopada o ósmej rano stawisz się u mnie“.

„Po co? Czy nie otrzymał pan mojej rezygnacji?“

„Popracujesz trochę w Londynie, a później zobaczymy“.

„Przykro mi, sir, ale postanowiłem wrócić do Tel-Awiwu“.

„Moja decyzja jest ostateczna“, oznajmił sucho.

„Moja także“.

Dopiero teraz, tak mi się zdawało, dotarło do jego świadomości, że nie ma nade mną władzy.

„Dlaczego nie chcesz pracować w Londynie?“; zdumiał się. „Powie panu, dlaczego. Bo w Londynie będę chłopcem na posyłki z pensją dyrektora.“

„Cóż w tym złego?“

„Jednego dnia zastanowi się pan, dlaczego płaci tyle pieniędzy chłopcu na posyłki i da mi pan kopniaka w dupę. A ja mam delikatne pośladki, nie lubię, gdy sieje kopie“.

Maxwell ryknął śmiechem. Potem powtórzył „dziewiątego listopada o ósmej“ i odłożył słuchawkę.

26 października usiadłem za kierownicą firmowego mercedesa i ruszyłem do Frankfurtu. Towarzyszyła mi Elżbieta. Nie wiedziałem jeszcze, że po dwóch latach przyjedzie do Izraela, aby zostać moją żoną. Podróż trwała trzy dni. 30 października zaparkowałem samochód na lotnisku, klucze zostawiłem we frankfurckim biurze Berlitz, wieczorem wylądowałem w Tel-Awiwie. Kura znosząca złote jaja została ostatecznie zarżnięta. Zakończyłem jeszcze jeden fascynujący rozdział książki życia. Piątego listopada zakończył swoje życie Robert Maxwell. W nie wyjaśnionych dotychczas okolicznościach spadł z pokładu swojego jachtu. Jego ciało poszło na dno Atlantyku obciążone kamieniem młyńskim miliardowych długów.

Moja córka Krystyna mieszkała w Jeleniej Górze, u podnóża Karkonoszy, w świecie zielonym i pozornie spokojnym, przypominającym mi Beskid Śląski, krajobraz mego dzieciństwa. Jej matka, Ziuta, wyszła za mąż powtórnie i urodziła jeszcze dwie córki. Drugi mąż przysposobił Krysię i chyba było to pociągnięcie właściwe, bo tak naprawdę to nigdy nie dałem jej tego, co ojciec powinien dać córce. Nasze związki ograniczały się do sporadycznej wymiany listów, pisywaliśmy do siebie raz w roku, a może rzadziej. Po ślubie zmieniła nazwisko i adres, gdzieś mi się zapodziała jej ostatnia kartka, kontakt urwał się całkowicie. Po raz ostatni widziałem ją w maju roku 1957, kilka dni przed emigracją do Izraela. Przyjechałem wówczas do Jeleniej Góry, aby się pożegnać. Ziuta pracowała w bufecie kolejowym. Kupiłem małej czekoladkę, bufetowa skrapulatnie przeliczyła pieniądze, pocałowałem dziecko w czoło i - jak to się zwykło mówić - rozpląnąłem się w sieniej mgle. Nie sądziłem, że ją jeszcze kiedykolwiek zobaczę.

Krystyna zobaczyła mnie na telewizyjnym ekranie i natychmiast zatelefonowała do ambasady Izraela w Warszawie z prośbą o mój adres. Młody dyplomata zapisał jej dane i obiecał je przekazać, lecz znów za-igrał sobie los, świstek papieru z danymi Krysi gdzieś mu się zawieruszył, a ponieważ nie zapamiętał nazwiska, stał przede mną z opuszczoną głową i prosił o wybaczenie. „Nie ma rady, poszukamy sami“, powiedziała Szulamit. Przeczesałiśmy Jelenią Górę, tak na ślepo, no i oczywiście bez rezultatu. Po południu pojechaliśmy w pobliskie góry, do Sosnowki, w samo centrum zapachu drzew iglastych, gdzie w roku 1948 przez pewien czas byłem kierownikiem ośrodka wczasowego. Okres ten nie wart byłby wspomnienia, ot przemijający epizod nie pozostawiający śladów, mimo iż Ziuta stłukła tam parasolką urzędniczkę, którą podejrzewała o romans ze mną, już sam nie pamiętam czy słusznie, gdyby nie fakt, że w Sosnowce poznałem Józefa Muszkata, człowieka, który w dużej mierze wpłynął na dalszy bieg mego życia. Ale o tym później.

Jak już napisałem, na próżno szukaliśmy Krysi, ale Krysi nie dała za wygraną i w końcu odnalazła mnie w warszawskiej „Victorii“, i zostawiła na portierni swój numer telefonu. McLuhan, teoretyk praso-znawstwa, określił świat jako „globalną wieś“ i chyba wiedział, co czyni. Szef hotelowej recepcji, Witek Dąbrowski, który przekazał mi wiadomość od córki, jest w chwili tłumaczenia tej książki dyrektorem Orbisu w Tel-Awiiwie, a Krystyna, od ponad roku obywatelka Izraela, jedzie właśnie w odwiedziny do bliskich w Jeleniej Górze.

Gdy rozmawialiśmy po raz pierwszy przez telefon, Krystyna była w wyraźnym stresie. Ja nie. Wciąż jeszcze nie wiedziałem, czy zechcę ją przywrócić w krąg moich intymnych odczuć, krąg, z którego praktycznie została wymazana jeszcze przed narodzeniem. Obiecałem odwiedziny w najbliższy weekend. Znów pojechaliśmy razem, Szula-mit i ja. Jazda trwała ponad pięć godzin. Niemal całą drogę milczałem. Czym bardziej zbliżaliśmy się do celu podróży, tym bardziej rosła moja ciekawość. Krystyna miała czterdzieści dwa lata, była już babcią, a tak naprawdę to nic o niej nie wiedziałem. Dopiero później zaczęła obierać swoją przeszłość z łupiny udanej obojętności. Opowiedziała, że dwukrotnie uciekała od matki, by odnaleźć ojca, o którym Ziuta powiedziała jej tylko tyle, że „był Żydem i inteligentem, a więc nic dobrego z tego wyjść nie mogło“, i dwukrotnie sprowadzono ją siłą do domu. Nikt jej nie powiedział, że wyjechałem z Polski. Po raz trzeci uciekła w przypadkowe małżeństwo, zakończone fiaskiem. Powtórzył się błąd mojego związku z jej matką. Była za młoda i zbyt niedoświadczona, aby przyjąć na siebie ciężar współżycia. Wydaje mi się, że szukała ciepła, które znaleźć można jedynie w obopólnym zrozumieniu, ale ponieważ tak mało miłości dostała od życia, niewiele miała do dania. Także późniejsze próby zbudowania domu i rodziny zakończyły się niepowodzeniem. W dniu naszego spotkania była zamężna po raz trzeci, znów bez głębszego uczucia. Gdy zobaczyłem ją stojącą przed domem, może dlatego że była przerażająco szczupła, wydała mi się być zranionym ptakiem, który nigdy nie rozwinie skrzydeł. Porównanie to wywołało u mnie poczucie pewnej niewygody, takiej jaką odczuwamy czasami na widok osoby niepełnosprawnej. Przyszłość pokaże, że było to wrażenie pozorne. Zresztą, od pierwszej chwili Krysi demonstrowała pewność siebie, chwilami tak przesadną, iż nie ulegało wątpliwości, że stanowi jedynie zasłonę dymną. Pod tym względem była podobna do mnie. Ale jeszcze bardziej uderzające było podobieństwo zewnętrzne. „Wygląda na to, że wyrzeźbiono was z tego samego kamienia“, powiedziała Szulamit.

Takie same oczy, takie same brwi, takie same rysy. Nawet taki sam sposób lekkiego garbienia się. Zauważyłem to natychmiast, jeszcze zanim zaparkowałem na podjeździe. Krystyna czekała tam od kilku godzin. Nigdy nie powiedziała, co myślała w tym czasie. Wysiadłem z wozu, podszedłem do niej i objąłem ją, ot tak zwyczajnie, jak gdybyśmy się widzieli wczoraj lub przedwczoraj. Czułem, że drżała. Potem odsunęła mnie lekko, zmierzyła baczny spojrzeniem i powiedziała: „Wszystko w porządku“.

Była w tych trzech słowach pełna akceptacja; gotowość przyjęcia mnie takim, jakim byłem.

„Tak. Wszystko w porządku“, odparłem.

Szulamit stała z boku i obserwowała nas, nieświadoma ładunku emocjonalnego zawartego w sytuacji.

11

W Polsce żyje także mój syn Leon. Krystyna nie zna Leona. Leon nie zna Krystyny. Krystyna napisała do niego list, ale nie doczekała się odpowiedzi. Być może, Leon nie chciał dzielić się z półsiostrą ćwiartką swojego ojca. Leon urodził się w październiku 1952 roku.

Nie byłem mu dobrym ojcem. Szczerze mówiąc, wcale nie chciałem być jego ojcem. Sędzia we Wrocławiu zmusił mnie do tego. Chwilę przed rozpoczęciem rozprawy wezwał mnie do swego pokoju i zapytał:

„Dlaczego nie chcecie uznać ojcostwa?“

„Nie ma żadnej pewności, że to moje dziecko“.

„Jest oświadczenie matki. Daję mu pełną wiarę“.

„Na jakiej podstawie, obywatelu sędzio? Na jakiej podstawie? To była przypadkowa i przemijająca znajomość. Jest bardziej niż możliwe, że w tym samym czasie szanowna pani matka dzieliła łóżko z tuzinem innych mężczyzn“.

„Najwyższy czas, abyście się dostosowali do nowej rzeczywistości, młody człowieku. W społeczeństwie socjalistycznym każde dziecko musi mieć ojca. Przyprawdźcie mi kogoś, kto przyzna się do ojcostwa, a zwolnię was z wszelkiej odpowiedzialności. Ale dopóki nie ma nikogo innego, wyjdziecie stąd na miasto jako ojciec Leona. Notabene, widziałem go. To bardzo pyszny niemowlak“.

„Nie wysłuchaliście mojej wersji, obywatelu“.

„Wasza wersja pomoże jak kadzidło umarłemu. Powództwo jest dobrze uzasadnione. Oczywiście, jeśli się upieracie, przeprowadzę pełny przewód sądowy. Będą świadkowie, trochę prania brudnej bielizny, jednym słowem dużo radości na saħ. Nie wiem, jak to wpłynie na waszą dziennikarską karierę. Kolegom po fachu możecie oszczędzić trudu gryzmolenia. Sentencja wyroku jest gotowa i nie mam zamiaru zwracać sobie głowy taką lub inną wersją. Musicie zrozumieć, że dobro dziecka oraz interes społeczny ważniejsze są od waszych prywatnych, chyba urojonych praw. Co powiecie?“

„Obywatel sędzia nie pozostawia mi wyjścia“.

„Lubię rozmawiać z rozsądnymi ludźmi. Będziecie płacić dwieście złotych miesięcznie. To mniej niż jedna piąta waszego uposażenia. Nie tak strasznie, prawda?“

„Teraz nic nie jest już straszne“.

„Podpiszcie tutaj... Dobrze... Także tu, na dole...“ Sędzia wskazywał miejsca, w których miałem złożyć podpis. Zauważyłem, że miał skrzywiony palec wskazujący. Gdy skończyłem i wsunąłem wieczne pióro do kieszeni, zatarł dłonie i włożył dokument do kartonowej teczki. Zwróciłem się ku drzwiom. Sędzia chrząknął. Odwróciłem się. Stał za swoim biurkiem lekko uśmiechnięty. Posłałem mu pytające spojrzenie. Sędzia podniósł skrzywiony palec wskazujący i powiedział:

„Rada na przyszłość, młody człowieku: używajcie prezerwatywy. Ja zawsze to robię i nigdy jeszcze nie miałem sprawy o alimenty“.

W korytarzu, oparta o parapet wysokiego gotyckiego okna, stała Agata. W rękach trzymała brązową torebkę, tak kurczowo, jakby zawierała wszystkie skarby świata. Widziałem, jak zbiegły palce ściskające metalowy zamek. Obok, lekko pochylona, stała jej siostra. Coś szeptały do siebie, ale

na mój widok zamilkły. Nie pamiętam już wyglądu siostry. Agata miała wówczas dwadzieścia cztery lata, była niskiego wzrostu, ale dobrze zbudowana i oglądała świat parą zawsze wesołych oczu.

„Masz, co chciałaś“, rzuciłem w jej stronę. Korytarz sądowy był pusty. Agata odłożyła torebkę, wyglądało, że gotuje się do skoku, ale powiedziała spokojnie:

„Nie posyłaj mi alimentów. Rezygnuję z twoich pieniędzy, damy sobie radę bez nich. Ale nie miałam prawa rezygnować z ojcostwa. Leon jest twoim synem, twoje nazwisko prawnie mu się należy“.

„Wielka mecyja“, zadrwiłem i odszedłem, nie czekając na odpowiedź.

Nie tak traktowałem ją przedtem. Pragnąłem jej od chwili, gdy nasze spojrzenia skrzyżowały się nad parkietem w restauracji „Polonia“. Nie wiem, czemu to przypisać. Nie było w niej ani krzty prowokacji, która mogłaby do tego uprawniać. Często się zdarza, że pytamy zdziwieni „co on w niej widzi?“ - i nie znajdujemy odpowiedzi. Tak było i w tym przypadku.

Agata mieszkała z matką i siostrą w dwupiętrowym domku rodzinnym, w robotniczej dzielnicy Wrocławia. Jej pokój był na parterze, sąsiedował z kuchnią. Na piętrze mieszkała siostra z mężem i matka. Ojciec nie żył. Przed wojną był treserem koni w cyrku Staniewskich. Od dzieciństwa musiała torować sobie drogę przez życie bez pomocy obojga rodziców. Zdała maturę, ale uniwersytet to już za wysokie progi, chleb powszedni był ważniejszy od nauki, więc zarabiała nań jako manikierzystka w zakładzie fryzjerskim. Natura obdarzyła ją pogodą ducha, kochała życie i na swój sposób umiała z niego korzystać. Nade wszystko lubiła śmiać się i tańczyć. Znacznie później odkryłem, że za wesołym śmiechem często ukrywała się łza, a lekkość, z jaką poruszała się w tańcu, nie przeszkadzała jej obu nogami stać twardo na ziemi.

Dwa lata przed rozprawą, w wieczór nie różniący się od innych wieczorów, postanowiłem zabawić się w „Polonii“. Z początkiem lat pięćdziesiątych „Polonia“ była najbardziej wziętym lokalem we Wrocławiu, ponieważ z przyczyn całkowicie niezbadanych władze przymykały oczy na fakt, iż tańczono tam w takt melodii uważanych za szczyt burżuazyjnej dekadencji. Trzeba pamiętać, że były to lata, w których każdy, kto nosił kolorowe skarpetki, uważany był za „bikiniarza“, czyli element obcy lub nawet wrogi ustrojowi. Restauracja z dancinżem znajdowała się w podupadłym hotelu o tej samej nazwie, pięćset metrów od głównego dworca, gdzie po zapadnięciu zmroku zbierały się męty społeczne i pijacy. Ulica była źle oświetlona, najczęściej odwiedzana przez milicjantów i prostytutki, nazywane „gruzinkami“, bo świadczyły usługi w pobliskich gruzach. W owym czasie spora część miasta leżała jeszcze w gruzach. Mimo tego „Polonia“ zawsze była pełna, a bez sutego napiwku nikt nie miał szansy na wolny stolik. Na ogół restauracje takiego autoramentu służyły mężczyznom jako teren polowań na łatwą zdobycz. W łowach tego rodzaju nie miałbym żadnych widoków na odstrzał bez koleżeńskej pomocy Sławka lub Roberta. Mój słuch słusznie określiła „pani Mozart“, nauczycielka muzyki w rodzicielskim domu, jako zerowy, a poczucie rytmu także pozostawiało wiele do życzenia. Krótko mówiąc, jedynym tańcem, który miałem jako tako opanowany, było tango. Niestety, tango tańczono albo w Argentynie, albo na herbatce u starszej cioci. Młodzież chciała się wyszu-mieć w ognistym boogie-woogie, od biedy w sambie i rumbie, wszystko import z kapitalistycznego Zachodu, a każdy dziki skok na parkiecie wydawał się być protestem lub manifestacją polityczną.

Jasne, że osoba tak ograniczona jak niżej podpisany byłaby zgubiona bez wspomnianego już Roberta. Robert, młodszy ode mnie o rok, statystował wprawdzie w teatrze żydowskim Idy Kamińskiej, ale daleko mu było do urody teatralnego amanta. Był niski i trochę otyły, po polsku mówił z tak zwanym akcentem i, ogólnie biorąc, nie był atrakcyjny, ale gdy na horyzoncie pojawiała się dziewczyna pragnąca wyładować nadmiar energii w porywistym tańcu, natychmiast zamieniał się w lwa-zdobywcę. Mama troszczyła się o jego potrzeby, ale ponieważ prowadził życie beztroskie, zawsze miał puste kieszenie. Nasz układ oparty był na uczciwym podziale funkcji: ja płaciłem za kolacje i napoje, Robert włókł do stolika przypadkowo poznane dziewczyny. Dancinżowy *savoir-vivre* pozwalał zapraszać do tańca również panie, które przyszły w męskim towarzystwie. Trzeba było tylko grzecznie pokłonić się pożądaney osobie płci słabej i równie grzecznie poprosić o zezwolenie jej partnera.

Dziewczyna o jasnych włosach, siedząca w towarzystwie brodatego, bardzo przystojnego faceta, przykuła moją uwagę. Jej partner zalewał chyba robaka, bo już przed dziesiątą oparł głowę na stoliku zawalonym talerzykami po sałatce z majonezem, śledziem po japońsku i kanapkach z wędliną. Dziewczyna rozglądała się po sali, trochę bezradna, jakby szukająca pomocy. Nasze spojrzenia

spotkały się wcale nieprzypadkowo. Moje emitowało pewność siebie myśliwego, który ma zwierzynę na muszce. Jej odpowiadało: nie, mój miły, wcale nie jestem taka, za jaką mnie bierzesz.

„Zaproś ją do tańca“, szturchnąłem Roberta.

Robert wzruszył ramionami.

„Tę? Nie warta inwestycji. Są ładniejsze od niej“.

Robert miał szczególnie sposób klasyfikowania kobiet. Gdy mówił „dziesiątka“, chciał przez to powiedzieć, że jeśli do dziesiątej wieczorem nie trafimy lepszej, spróbujemy szczęścia u tej, która jest. „Dwójka“ była najniższą rangą, ponieważ oznaczała, że nie jest warta zachodu, chyba że do drugiej w nocy nie nawinie się nic lepszego. W tej skali ocenił obiekt mojego zainteresowania „między jedynką a dwójką“, ale godzina była, jak już wspomniałem, zaledwie dziesiąta.

„Każda potwora ma swojego amatora“, zażartowałem.

„Co ci się stało? Stoi ci?“

„Po prostu podoba mi się“.

„No to masz problem“.

„Chyba tak“.

„Wiesz jaki? Nie wiesz? No to ci powiem: jak chuj twardy, to rozum miękki“.

„Dziękuję za pouczenie“.

„Proszę bardzo. Zawsze do usług. Ale ja także mam problem. Mogę z nią tańczyć do białego rana, ale jak się pozbyć tego brodatego? Pijani bywają nieobchwalni“.

„Powiedz jej, że za kwadrans będę czekał na nią w samochodzie“.

Słowo „samochód“ brzmiało jak magiczne zaklęcie. Po Wrocławiu jeździły trzy prywatne auta, jedno z nich było moje. Dzisiaj nikt nie splunąłby nawet na jego widok. Pod maską białej sportowej lancierki tkwił dwutaktowy motor DKW, podobny do silników motocyklowych napędzanych mieszanką benzyny i oleju. Dziurawa rura wydechowa robiła hałas budzący ze snu nawet głuchego. Ale w Polsce Ludowej 1951 roku nawet taki pojazd stanowił symbol statusu społecznego.

Pilnie obserwowałem wskazówki zegarka. Przyszła dokładnie z wybiciem piętnastej minuty. Otworzyłem drzwiczki.

„Mam na imię Roman. Cieszę się, że przyjęła pani moje zaproszenie“.

Weszła do wozu i powiedziała:

„Wiem“.

„Wie pani, że się cieszę?“

„Wiem, że ma pan na imię Roman“.

„Skąd?“

„Byłam na balu sylwestrowym dziennikarzy. Nawet chciałam z panem zatańczyć, ale...“

„Pani jest dziennikarką?“ zdziwiłem się.

„Nie. Jestem manikiurzystką. Na imię mi Agata“.

„Bardzo mi miło“, powiedziałem, całując ją w rękę. Przyciągnąłem ją.

„Nie tak szybko“, zaprotestowała. „Sama decyduję kto i kiedy może mnie całować“.

„Proszę nie polegać na mojej cierpliwości“.

„Nawet mi to do głowy nie przyszło. Wiem, że nie można na panu polegać.“

„Dlaczego?“

„Słyszałam to i owo. Wrocław nie Paryż, wszyscy znają wszystkich.“

„Udowodnię, że jestem godny zaufania“, przyrzekłem i uruchomiłem silnik.

„Dokąd jedziemy?“

„Do mnie. Mam w domu...“

„Sama sprawdzę, co pan ma i czego panu brak. A teraz proszę jechać na Sępólno“.

„Co zgubiliśmy na Sępólnie?“

„Ja tam mieszkam“.

Rozbieraliśmy się bez pośpiechu. Ja lekko zawstydzony, ona ze swobodą, na jaką mogą sobie pozwolić jedynie kobiety dobrze zbudowane. Sypialnia była malutka. Pod oknem stało łóżko z mosiężnym wezglowiem, przy ścianie szafa, koło drzwi okrągły stolik i dwa krzesła. Na stole świeciła się nocna lampa okryta abażurem i stwarzała ciepłą, intymną atmosferę. Stała przede mną naga, bez cienia wstydu lub pru-derii, milcząca i oddająca głos pięknu jej ciała, a ja czułem, jak krew pulsuje mi w żyłach. Prześlizgnąłem się spojrzeniem po zaokrąglonych biodrach. Potem, gdy odwróciła się i pochyliła, by ściągnąć z łóżka kapę, poczułem nagłą chęć uderzenia jej w pośladki.

Nigdy przedtem niczego takiego nie zrobiłem. Moja otwarta dłoń zostawiła różowy ślad. Usprawiedliwienie cisnęło mi się na usta, szukałem odpowiednich słów, ale nim zdążyłem powiedzieć choć jedno, szepnęła: „Jesteś moim panem. Rób ze mną, co tylko pragniesz“. Trudno mi było pojąć, jak to się stało, że Agata, która jeszcze przed niespełną godziną dyktowała warunki naszego zbliżenia, pragnęła tak zupełnego poddania się. Nie mogłem ukryć wzrastającego pożądania. Agata dotknęła mnie i znów szepnęła: „Rób ze mną, co tylko pragniesz“. Nie musiała tego powtarzać. Bezwzględnie korzystałem z udzielonego mi prawa. „Jestem twoją niewolnicą“, powiedziała trochę ochryplym głosem. Po raz pierwszy w życiu zakosztowałem smaku pełnej władzy nad kobietą. Niespodziewanie odkryta namiętność prowadziła nas razem w daleką, odkrywczą podróż do granic obopólnego zbliżenia. To była ta niewiadoma droga mężczyzny w kobiecie, jak w Biblii, jak w raj, jak w piekle. Gdy dobiegła szczytu, złapała mnie mocno za barki i wybuchnęła: „kocham cię“.

Nie szukałem miłości. Nie przyszło mi na myśl, że mówi to, co myśli. Miałem przecież kobiety, które wyznawały mi miłość tylko dlatego, że tak było przyjęte. Miłość była w ich ustach określeniem zastępczym dla pożądania. Musiało minąć ponad czterdzieści lat, aż dotarło do mnie, że miłość Agaty była inna. Prawdziwa. Być może, że zrozumiałbym to wcześniej, gdyby nie dramatyczne okoliczności, które zmusiły mnie do nagłego wyjazdu z Wrocławia.

Nic nie wydawało mi się bardziej pewne od mojej przyszłości w zawodzie dziennikarskim. Ponowne wezwanie do Urzędu Bezpieczeństwa spadło na mnie jak grom z jasnego nieba. Tym razem nie przesłuchiwał mnie ryży major Benjamin Rygier, a pretekst aresztowania wydawał się być znacznie groźniejszy niż poprzednio: oskarżono mnie o sabotaż.

Nie byłem ślepy, a jednak nie widziałem otaczającej nas rzeczywistości. W każdym razie, nie widziałem jej we właściwym świetle. Wprawdzie nigdy nie wyznawałem wiary marksistowskiej i nigdy nie wierzyłem, że wszyscy ludzie są sobie równi bez względu na zdolności, wykształcenie i pochodzenie społeczne, ale nikt z nas nie brał poważnie oficjalnych haseł *urawniłowki*. Wiedziałem, że najwyższe stanowiska zastrzeżone są dla partyjnych i gdyby zaszła tego potrzeba, przypuszczalnie nie wahałbym się poprosić o legitymację członkowską. Pod tym względem nie różniłem się od setek tysięcy ludzi nazwanych potem oportunistami. Nie na darmo reżim otaczał nas otoczką specjalnej opieki. Spoglądaliśmy na bliźnich z pozycji sytego, który nigdy nie pojmie cierpienia głodnych. Nasze pobory znacznie przewyższały średnią krajową, legitymacja prasowa otwierała drzwi zamknięte dla zwykłych zjadaczy chleba, a ponieważ karmiono nas informacją niedostępną dla innych, naiwnie łudziliśmy się, że mamy wgląd w bieg wypadków. Aczkolwiek nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy, prasa była narzędziem władzy, a nie wyrazicielem opinii publicznej. Wszystko, co działo się dookoła, wydawało mi się przyjęte i naturalne. Sądy ferowały wyroki na podstawie prawa, ale ani na sekundę nie wpadło mi do głowy, że samo prawo może być bezprawne. Kodeks karny wprowadził pojęcia szkodnictwa społecznego i sabotażu; bez trudu można było podciągnąć pod nie każdą działalność człowieka, od sprzedaży dziesięciu dolarów do naruszenia socjalistycznej dyscypliny pracy. Znajomy nauczyciel poszedł do więzienia za rozpowszechnianie społecznie szkodliwych pogłosek - opowiadał uczniom o roli Kościoła katolickiego w historii Polski. Ktoś inny został skazany za rozpowszechnianie kłamliwych wiadomości. Rzecz zrozumiała, prawda była zmonopolizowana przez państwo, tak jak destylacja spirytusu lub produkcja tytoniu i zapalek. Każdą wiadomość wprowadzającą władzę w zakłopotanie piętnowano jako szkodliwe kłamstwo. W środkach przekazu sprawy te regulowała cenzura; bez jej błogosławieństwa nic nie mogło ukazać się w druku, nawet komunikat meteorologiczny. Całkowicie zabroniona była krytyka Związku Radzieckiego. Nie wolno było pisać o ciężkich wypadkach przy pracy, zanieczyszczeniu otoczenia, rozruttnej gospodarce finansowej, produkcji braków, niedomogach zaopatrzenia w żywność i produkty przemysłowe. Nie wolno było publikować statystyk o alkoholizmie, chorobach wenerycznych i eksporcie. Broń Boże wspomnieć o złym stanie zdrowia tych co na świeczniku. Co jakiś czas uzupełniano listę obowiązujących zakazów. Zdarzało się, że cenzura nakazywała recenzentom przemilczenie jakiejś książki lub zalecała krytyczne ustosunkowanie się do jakiegoś autora. Tylko redaktor naczelny, jego zastępcy i redakcyjny sekretarz partii mieli dostęp do dokumentów cenzury przechowywanych w kasie pancernej. O dziwo, również cenzura wydawała mi się rzeczą jak najbardziej naturalną. Może dlatego, że jako dorosły człowiek nigdy jeszcze nie widziałem wolnej prasy.

Biorąc pod uwagę epokę i jej warunki, w przeddzień aresztowania mogłem uważać się za osobę nieźle urządzoną. Mieszkałem w ładnej willowej dzielnicy miasta, byłem szczęśliwym posiadaczem samochodu i kochanki, gruźlica przestała mi dokuczać, wyglądałem zdrowo, mając zaledwie dwadzieścia trzy lata pracowałem jako kierownik działu miejskiego oraz jeden z trzech zastępców redaktora naczelnego „Słowa Polskiego“, najpoczytniejszej gazety Dolnego Śląska, a co najważniejsze, wierzyłem w swoją szczęśliwą gwiazdę.

Dwa razy tygodniowo dyżurowałem w nocnej redakcji dziennika. Do moich obowiązków należało czytanie każdej strony i potwierdzenie jej „praworządności“. Mnóstwo ekwilibrystyki wiązało się z tą czynnością, bo tak zwana linia partyjna przeginała się raz w lewo, raz w prawo, zależnie od okresowej wykładni kanonów ideologii. Dopiero znacznie później zrozumiałem, że nagłe zmiany kierunku wiatru sygnalizowały burze na partyjnym Olimpie. Jedno jednak było dla mnie jasne: w przypadku wątpliwości należy czynić wszystko, co możliwe, aby przerzucić odpowiedzialność za decyzję na funkcjonariuszy Komitetu Wojewódzkiego PZPR. W sprawach szczególnej wagi szczebel wojewódzki zwracał się do szczebla krajowego, ale nawet zastrzeżone dla „aparatu“ linie wysokiej częstotliwości uporczywie milczały, gdy nie znaleziono kogoś, kto chciałby przyjąć na siebie rolę decydenta. Najgorsza odpowiedź, jaką mógł otrzymać dyżurny redaktor nocny, brzmiała: „sprawę pozostawiamy do waszej rozważki“.

Moje fatalne spotkanie zaczęło się od wywiadu, którego Stalin udzielił organowi chińskiej partii komunistycznej. Jak przystało na „Gołąbka Pokoju“, wypowiedział się przeciw produkcji i użyciu broni atomowej. Szpiegowska para Ethel i Juliusz Rosenberowie²⁵ zdążyli już przekazać Rosji Sowieckiej materiały dotyczące rozwoju broni atomowej w Stanach, Kreml był całkowicie świadom przegranej w wyścigu zbrojeń nuklearnych, rozumiałe więc, iż czynił, co w jego mocy, aby potępić „kapitalistyczny spisek atomowy“. Przy okazji sygnalizował chińskiemu towarzyszom, że wara im od atomowych zabawek dla dorosłych.

Kilka minut po dwunastej w nocy przyniósł mi redaktor depeszowy Gert Grędziaak „szczętkę“ pierwszej strony porannego wydania. Publikowany przez nas przedruk wywiadu nadszedł z Warszawy i zawierał szczegółowe instrukcje dotyczące szaty graficznej, tytułu i podtytułów. Nikt w kraju nie odważyłby się zmienić nawet przecinka. Oryginalny tytuł głosił:

WYPOWIEDŹ GENERALISSIMUSA STALINA W SPRAWIE ZAKAZU PRODUKCJI BRONI ATOMOWEJ.

W myśl zalecenia, tytuł miał być wydrukowany w jednym wierszu, dużą czcionką, na szerokość całej kolumny. W piśmie naszego formatu była to rzecz niewykonalna. Grędziaak był w kłopotcie. Obawiał się zmniejszyć czcionkę, aby go nie posądzono o brak szacunku dla towarzysza Stalina. Dwuwierszowy tytuł był nie tylko sprzeczny z instrukcją, ale także brzydki. Najlepsze wyjście widział w skreśleniu jednego słowa, takiego, które nie wypaczałoby treści wypowiedzi. Jaki skrzat podszeptał mu rozwiązanie, dlaczego nie poradził się nikogo, dlaczego skreślił akurat słowo „zakazu“, tego nie umiał później wytłumaczyć. Czytając „szczętkę“, nie miałem przed sobą tekstu nadesłanego z Warszawy. Tekst wydawał się logiczny, dobrze i wyraźnie zredagowany, a poza tym polegałem na skrupulatności korektorów i na czujności cenzora. Bez wahania podpisałem stronę do druku. Dlaczego zatwierdził ją także cenzor, nie dowiedziałem się nigdy, bo od tej chwili jakby zapadł się w ziemię.

Pracę zakończyliśmy o pierwszej po północy. Po nocnym dyżurze przysługiwały nam dwadzieścia cztery godziny wolnego. Kawiarnia „Artystyczna“ otwarta była do późna, czekały tam na nas dwie baletnice, które występowały tego wieczoru w „Czerwonym Maku“. Balet Gliera cieszył się wielkim powodzeniem, reżyser opery wrocławskiej wybrał do zespołu nie tylko najlepsze tancerki, ale również najładniejsze dziewczyny. Spędziliśmy z nimi dzień i noc koło Polanicy Zdroju, w małym pensjonacie, w którym stuzłotowy banknot doskonale zastępował dowód tożsamości.

²⁵ Juliusz Rosenberg i Ethel z domu Gruenwald zostali aresztowani latem 1950 roku pod zarzutem szpiegostwa atomowego na rzecz Związku Radzieckiego. Mimo protestów światowej opinii publicznej oboje zostali skazani na śmierć.

Do miasta wróciliśmy o dziewiątej rano. Gert wziął ode mnie klucze i zabrał towarzyski krótkiej przygody na poprawiny w moim mieszkaniu. Ja poszedłem prosto do pracy. Sekretarka naczelnego zbladła na mój widok:

„Na miłość boską, co ty tu robisz? Wszyscy mówią, że uciekliście za granicę“.

„Niby dlaczego mieliśmy uciekać?“ , Jak to dlaczego? A ten sabotaż, to nic?“

Położyłem rękę na klamce do mego pokoju. Sekretarka zniżyła głos: „Nie wchodź. Robią tam rewizję“.

„Przestań bredzić“, zachnąłem się i otworzyłem drzwi na oścież.

Po drugim noclegu w celi więziennej zaproponował mi śledczy porozumienie: za podpisanie zeznania obarczającego Gerta Grędziaka pełną odpowiedzialnością za rzekomy sabotaż zostaną zwolniony z aresztu i będę mógł wrócić na moje stanowisko w „Słowie Polskim“. Wystarczy, jeśli przyznam, powiedział, że Gert poczęstował mnie wódką, a gdy zorientował się, że jestem pijany, szybko podsunął mi stronę do podpisu. Uśmiechałem się w duchu: Panie śledczy, może jestem jeszcze młody, ale ze zbyt wielu pieców jadłem chleb, żeby się nabrać na takie gadanie. Każde dziecko wychowane w Polsce Ludowej wiedziało, że za brak czujności idzie się za kratki. Odmówiłem. Oficer śledczy zachwalał swój towar:

„Podkreślimy, że działaliście bez wrogiej intencji, nie zdając sobie sprawy ze szkodliwości czynu“.

„Nie“, trwałem w uporze.

„Popelniacie straszny błąd“, naciskał. Milczałem, a on pomału wysunął szufladę, wydobyl pęk kluczy i położył go na blacie biurka. Rozpoznałem klucze do mego mieszkania. Aluzja była przejrzysta: także Gert siedzi. Miał pecha, pomyślałem, pewnie wyciągnęli go z bardzo ciepłego łóżka. Śledczy zmienił ton na prawie przymilny:

„Co was obchodzi, że spędzi dziesięć lat w więzieniu? Jak Boga kocham, nie wart waszego wysiłku, i tak nie wyciągniecie go z błota. Przecież wiecie, że to Ślązak niemieckiego pochodzenia, do dzisiaj ma rodzinę w NRF-ie. Już zapomnieliście, co wam Niemcy zrobili? Wam i waszym bliskim“.

Poruszyłem się w krześle.

„Siedźcie spokojnie, jeszcze nie skończyłem. Niepotrzebnie narażacie swoją karierę. Widziałem waszą teczkę. Macie przed sobą wspaniałą przyszłość. A on? On i tak jest stracony. A poza tym podał nam was upieczonego na rożnie. Chcecie przeczytać jego zeznanie?“

Śledczy pomachał mi przed nosem kartką papieru. Nim zdążyłem zareagować, wrócił do swego monologu:

„Nie chcecie? Nie trzeba, sam wam przeczytam. Pisze tu, że zaplanowaliście ten sabotaż z żydowską perfidią. Przed rozpoczęciem zmiany kupiliście pół litra czystej, chwileczkę, jest nawet adres sklepu, ale to nieważne, istotne są fakty obciążające... Nie chciał pić, powiedział, że jest na dyżurze, ale namawialiście go jako szef, więc trudno mu było odmówić. Powiedzieliście także, że kieliszek lub dwa nikomu jeszcze nie zaszkodziły i że potem będzie wam rażniej z dziewczynami. «Mam słabą głowę, upijam się szybko», zeznał. Czytam dokładnie, słowo po słowie. Widzieliście w jakim był stanie i szybko wykreśliliście jedno słowo z tytułu. Widział to na własne oczy, ale nie mógł zareagować, bo był już zalany. W koszu na papiery znaleźliśmy pustą butelkę, a na butelce odciski waszych palców...“

Słuchałem z wzrastającym zdumieniem. Cała historia szyta była grubymi nićmi. Nigdy nie pobrano mi odcisków palców, więc nie mogli ich znaleźć na szkle butelki. A ponad wszystko ani przez sekundę nie wierzyłem, że przyjaciel mógłby zrobić coś takiego przyjacielowi. Śledczy jakby czytał moje myśli.

„Piliście jak kumple, ale Grędziak nie był kumplem. Wykorzystał was“.

„To nieprawda“.

„To święta prawda“. Śledczy przesunął klucze na moją stronę biurka. „Podpiszcie, a klucze są wasze. Te dwie ślicznotki na pewno nie zdążyły się jeszcze ubrać“.

„Niczego nie podpiszę“.

„Chciałem wam pomóc, ale na głupotę nie wynaleźli jeszcze leku. Szkoda was, ale nie ma rady...“

Nie wzywano mnie więcej na przesłuchanie. Po tygodniu wypuszczono mnie bez jakichkolwiek wyjaśnień. Tak samo bez wyjaśnienia Gert Grędziak odsiedział bez sądu i bez wyroku dziewięć

miesiący. Rzekomo byłem człowiekiem wolnym, ale w rzeczywistości każdy, kto wycierał cele więzienne od wewnątrz, nosił z sobą wilczy bilet. Bez zdziwienia odebrałem list polecony z wymówieniem. Nie wpuszczono mnie do redakcji, gdy przyszedłem pozbierać osobiste przedmioty. Nawet płaszcz deszczowy został na wieszaku w dziale miejskim. W kasie odebrałem kilkaset złotych za przepracowane dni miesiąca. To był cały mój majątek. Przy rozrutm trybie życia nie myślałem o oszczędnościach. Sprzedałem samochód. Kupił go chłop bez prawa jazdy, musiałem go odwieźć na wieś. Próby otrzymania innej pracy z góry skazane były na niepowodzenie. Wszędzie rozmawiano ze mną jak z trędowatym. Wyjechałem nie pożegnawszy się z nikim, nawet z Agatą. Postanowiłem przenieść się do Warszawy, skorzystać z anonimowości wielkiego miasta, zgubić się w tłumie. Nie bez znaczenia był fakt, że znalazłem tam otwarty dom i otwarte serce Miry.

Ponoć droga do piekła wybrukowana jest dobrymi chęciami. Gdy zamieszkałem u niej, w Świdrze pod Warszawą, przekonany byłem, że kierują mną dobre intencje. Łatwo wmówiłem sobie, że zbrzydło mi życie motyla przelatującego z kwiatka na kwiatek, i że nadszedł czas, by się ustatkować i założyć rodzinę. Mira wydawała się być idealnym partnerem: przystojna, inteligentna i solidnie osadzona w rzeczywistości. Dzisiaj z perspektywy wielu lat i z ręką na sercu muszę przyznać, że była raczej deską ratunkową w trudnej chwili mojego bym. Popełniłem błąd, a cenę tego błędu zapłaciła, niestety, Mira.

Nie znalazło się w stolicy ani jedno pismo, które byłoby skłonne zatrudnić dziennikarza z opinią wlokącą się za mną jak smród po gaciach. Oficjalnie nie oskarżono i nie skazano mnie, nie toczyło się przeciw mnie żadne śledztwo i wciąż jeszcze, chyba przez niedopatrzenie władz, byłem członkiem Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, ale w zamkniętych pokojach dyrekcji RS W Prasy ktoś, kogo nie znałem, i którego nazwiska nie mogłem się dowiedzieć, przypieczętował mój los. Jedynym człowiekiem, który nie przyjął tego dyktatu, był Rafał Praga, redaktor naczelny „Expressu Wieczornego“. Wykazując sporo odwagi cywilnej, drukował w odcinkach powieść o odbudowie warszawskiej Starówki, potworną chałę w duchu realizmu socjalistycznego, którą spłodziłem wspólnie z kolegą, Zygmuntem Rzeżuchowskim. Honorarium autorskie było liche, dorabiałem tłumaczeniami i artykułami pisanymi pod pseudonimem. Ucieszyłem się, gdy tygodnik „Motor“ zamówił reportaż o bazie transportowej fabryki wagonów we Wrocławiu. Minął rok, miasto nie zmieniło się, ale ja byłem już całkiem inną osobą. Nie redaktor poczytnego dziennika, nie właściciel samochodu. Człowiek z marginesu. Zamówiłem pokój w „Polonii“. Była zima bez śniegu. Plucha. Kaloryfery nie grzały należycie, z chorych na luszczycę ścian odpadały tapety, pościel była szara jak życie urzędnika pocztowego, a w łazience unosił się ostry zapach środków dezynfekcyjnych. Ziało obcością. Z parteru dobiegały przytłumione dźwięki orkiestry tanecznej. Telefon stał w recepcji i gdy rozmawiałem z Agatą, na pewno słyszała muzykę. Spodziewałem się uszczypliwych uwag, przygotowałem sobie zapas wykrętów, ale głos Agaty w słuchawce brzmiał serdecznie, można było pomyśleć, że cały czas czekała tylko na dzwonek mojego telefonu.

„Pogoda pod zdechłym Azorkiem, nie wychodzę z domu. Weź taksówkę i przyjeżdżaj“.

„Mam trochę pracy. Mogę przyjechać za godzinę?“, spytałem.

„Oczywiście. Czekałam rok, poczekam jeszcze sześćdziesiąt minut“.

Nie miałem nic do roboty. Wstydziłem się przyznać, że nie mogę sobie pozwolić na jazdy taksówkami. W zaistniałej sytuacji wolałem kupić bukiet kwiatów - nawet najtańsze kwiaty były o tej porze roku bardzo drogie - i pojechać tramwajem. Agata otworzyła mi drzwi i wprowadziła prosto do tak dobrze znanej sypialni. Jak to było dawniej w moim zwyczaju, przesunąłem ręką po ścianie, aby znaleźć kontakt. Agata złapała mnie za przegub dłoni.

„Nie teraz“, szepnęła. „Proszę cię bardzo, nie teraz“.

„Co się stało?“, zażartowałem. „Przytyłaś?“

„Za chwilę zrozumiesz wszystko. Chodź“.

Grube firanki chroniły ciemność pokoju przed światłem ulicznych latarni. Z trudem widziałem jej sylwetkę na tle okna. Słyszałem szelest opadającej sukienki.

„Po co ten pośpiech?“

„Rozbierz się i nie mów nic. Chcę cię poczuć blisko siebie. Cała noc przed nami, będzie czas na rozmowy. Jeśli w ogóle masz mi coś do powiedzenia“.

„Winien ci jestem wyjaśnienia“.

„Psst, mów ciszej“.

„Ciszej? Dlaczego?“

„Szepnij mi w ucho, że mnie kochasz“.
„Tęskniłem za tobą“, odparłem, gorączkowo szukając sutek. Były nabrzmiałe.
„Nie zadowolę się tęsknotą. Potrzebna mi jest miłość“. Dotknąłem jej płaskiego brzucha.
„Rób ze mną, co tylko zapragniesz“, powiedziała cicho, tak jak zawsze. Sprężyny łóżka zaskrzypiały. Nie; to nie były sprężyny. To był stłumiony płacz niemowlęcia.
„Co to?“; zdumiałem się. Jeszcze nim odrzekła „to twój syn Leon“, przeczułem prawdę. Westchnąłem:
„Och, tylko nie to“.
„Właśnie to“, roześmiała się, wstała i zapaliła światło. „Popatrz na niego. Podobny do ciebie. Tyle tylko, że spokojny i nie robi kłopotów“.

W sierpniu 1973 roku czekałem na Leona w porcie lotniczym imienia Ben Guriona koło Tel-Awiwu. Z saha odpraw celnych kroczył ku mnie dwudziestotrzyletni mężczyzna, twarz miał okoloną brodą, niósł małą walizkę i nerwowo rozglądał się dokoła. Gdyby nie zdjęcie przezornie przysłane przez Agatę, wątpię, czy bym go poznał. Przywitaliśmy się bez łez i dramatu, jak dwaj przyjaciele, którzy nie widzieli się od dłuższego czasu. Leon przyjechał, by poznać swojego ojca. Ja go zaprosiłem, by poznać syna. Wizyta zorganizowana była potajemnie, bo Polska Ludowa nie utrzymywała stosunków dyplomatycznych z Izraelem, za kontakt z syjonistycznym tatusiem w Tel-Awiwie mógł popaść w poważne tarapaty. Paszport wystawiono mu do Austrii. Mój przyjaciel Icchak Patisz, ambasador Izraela w Wiedniu, wystawił mu wizę na osobnej wkładce, aby nie zostawić śladu pobytu w „zakazanym kraju“. W drodze powrotnej, odprowadzając Leona do Wiednia, postarałem się, aby austriacka straż graniczna nie zabrudziła mu paszportu pieczętą wjazdu. Wszystkie te środki ostrożności okazały się niewystarczające, bo natychmiast po powrocie do Wrocławia został wezwany na rozmowę przez SB. O swoich perypetiach z władzami nie opowiadał mi nigdy.

Mimo iż bardzo chciałem uprzyjemnić mu pobyt w Izraelu, nie udało nam się nawiązać dobrego kontaktu. Serce ojca nie zabiło mocniej na jego widok, a jeśli się nie mylę, to także Leon nie zapalał nagle synowską miłością. Obaj przestrzegaliśmy niepisanych reguł gry o nazwie „wszystko w porządku“. Wiedziałem, że Leon jest żonaty, ale ponieważ nigdy nie wspomniał swojego małżeństwa, pomijałem ten temat milczeniem. Natomiast sporo rozmawialiśmy o jego matce. Czym więcej słyszałem, tym większego nabierałem dla niej szacunku. Agata nauczyła się księgowości i wkrótce została główną księgową spółdzielni spożywców „Społem“ we Wrocławiu. Po jakimś czasie wyszła za mąż za Waclawa i urodziła Tacka. Waclaw wyraził gotowość przysposobienia Leona, lecz napotkał na kategorię sprzeciw. „To dziecko jest owocem mojej miłości do innego mężczyzny. Walczyłam o to, by mógł nosić jego nazwisko i nigdy z tego prawa nie zrezygnuję“, oświadczyła. Od pierwszej chwili wychowywała Leona w pełnej świadomości, że jego biologiczny ojciec żyje w Izraelu, i że nikt inny nie zajmie jego miejsca. Leon był zbyt mały, aby pojąć matczyne motywy; wiedział tylko, że cierpi z jej powodu. W szkole podstawowej nieraz usłyszał, że jest żydowskim bękartem. Często wracał do domu zapłakany, prosząc matkę, aby pogrzebała swoją przeszłość - dla jego przyszłości. Bez skutku. Nie było takiej siły, która wpłynęłaby na decyzję Agaty. Leon szedł przez życie pod nazwiskiem, które sędzia we Wrocławiu wpisał do jego metryki urodzenia wbrew mojej woli.

Stały kontakt z Agatą odnowiłem dopiero po przyjeździe do Warszawy jako dyrektor w korporacji Maxwella. Kilkanaście lat wcześniej, gdy Leon pakował walizki, aby spędzić urlop w Tel-Awiwie, prosiłem, by przywiózł ze sobą fotografię matki. „Mama odmówiła“, powiedział mi zaraz na lotnisku. „Mama chce, abyś ją pamiętał taką, jaką była, gdy ją kochałeś“. Dopiero gdy spotkaliśmy się w hallu hotelu „Victoria“ zrozumiałem, dlaczego nie chciała przysłać zdjęcia. Lata nie były dla niej łaskawe. Zbielały włosy, twarz pokryła się zmarszczkami, zgasł wesoły chochlik w oczach, talia straciła kobiecy urok. Ucałowałem ją w policzek, odsunąłem na odległość ramion i wymamrotałem: „w ogóle się nie zmieniłaś“. Agata uśmiechnęła się, w uśmiechu kryło się trudne do rozszyfrowania cierpienie, chwilę milczała, potem powiedziała: „Nie musisz kłamać. Mam w domu lustro“. Ani podczas tego pierwszego spotkania, ani później, gdy otworzyła swój dom dla mnie i dla Szulamit, nie słyszałem z jej ust słowa skargi. Nigdy nie okazała niechęci, a jeśli chowała w sercu żal, ukrywała go tak skrętnie, że nie mogłem go dostrzec. Mieszkała skromnie w małych, ale niezwykle schludnych trzech pokojach, oboje z mężem żyli z emerytury, oboje przed czasem złożeni chorobami. Nieduże sumy, którymi ją od chwili spotkania wspierałem, umożliwiły jej wykupienie mieszkania na

własność, ale nie zdążyła już nacieszyć się tą własnością. Zmogło ją zmęczone serce. Zmarła 16 stycznia roku 1991, w przeddzień moich sześćdziesiątych trzecich urodzin. Siedziałem przy oknie apartamentu numer 700 w „Victorii“ i patrzyłem, jak przed Grobem Nieznanego Żołnierza zmienia się warta, plac Piłsudskiego pokrył się cienką warstwą śniegu, w lodówce chłodziło się wino i zakąski, bo na wieczór sprosiłem gości, gdy zadzwonił telefon. Na drugim końcu linii był Leon.

„Mama zmarła“, powiedział. Potem zapytał: „Jutro pogrzeb; przyjedziesz?“

„Oczywiście“.

Ogarnął mnie bezgraniczny smutek. W nocy dostałem gorączki. Nazajutrz rozpętała się zawierucha śnieżna, szosa była śliska, do Wrocławia jechałem prawie pięć godzin, aby wyrazić jej ten szacunek, którego nie zaznała ode mnie za życia. Pogrzeb odbywał się na cmentarzu dzielnicowym, w małej kaplicy zebrali się krewni i przyjaciele, siedzieli zmarznięci w krzesłach ustawionych przed katafalkiem i milczeli. Nie znałem nikogo oprócz Leona i jego drugiej żony, Zosi. Nikt nie zwrócił na mnie uwagi. Czułem się obcy i zbędny. Po chwili podszedł do mnie Leon i szepnął: „Nie pocałujesz mamy?“ Postąpiłem dwa kroki ku otwartej trumnie. Pachniały kwiaty. Mimo mocnego makijażu twarz Agaty była biała jak śnieg na dworze. Powieki miała zamknięte. Pochyliłem się nad ciałem, musnąłem wargami zimne czoło i w tej właśnie chwili, w ułamku sekundy, dotarło do mojej świadomości, że kochała mnie do ostatniego tchnienia.

Ksiądz dał znak, że nadszedł czas. Ktoś, nie pamiętam kto, przykrył ją wiekiem trumny. Czterech mężczyzn podniosło trumnę na barki. Maty kondukt ruszył w kierunku grobu wykopanego w zmarzniętej, nieprzyjaznej ziemi. Szedłem na końcu, czarna owca nie należąca do stada. Myśli rozpięzchły się, mózg był pusty, pusty, pusty... Zimny wiatr wdarł się pod poły płaszcza. Ksiądz odmawiał modlitwę za umarłych, nie słyszałem słów. Jakaś kobieta płakała, chyba siostra Agaty. Stałem nad otwartym grobem, ciało i dusza zlodowaciałe, nie zauważyłem, kiedy ludzie zaczęli się rozchodzić. Leon dotknął mojego ramienia:

„Ojciec wybaczy, że nie odprowadzę go do samochodu. Rodzina idzie do cioci“.

„Idź, idź“, odparłem. Podniosłem kołnierz palta i skierowałem się ku bramie. Wiatr ustał, ale śnieg wciąż jeszcze prószył. Słyszałem, jak skrzypi pod butami. Idąc dróżką między nagrobkami, rozpalony gorączką i zziębnięty uczuciem obcości, doszedłem do wniosku, że po śmierci Agaty zostałem wymazany ze świata, w którym żył Leon. Było to ostateczne pożegnanie nie tylko z Agatą, ale także z naszym synem i z wszystkim, co nas łączyło.

12

Patrząc na bladą twarz Agaty w cmentarnej kaplicy, przysięgłem sobie, że nigdy, ale to nigdy, nie będę szukał postaci osadzonych głęboko w mojej przeszłości, bo każde poszukiwanie uwieńczone powodzeniem niosło z sobą rozczarowanie, czasami wręcz ból. Podróż wehikułem czasu nie prowadziła w lata bujnej młodości; niemal zawsze była to nie zamierzona wizyta w pustym budynku, w którym straszyły duchy. Osoby dramatu zmieniły nie tylko swój wygląd, ale także osobowość. Nie wolno podnosić kurtyny, bo z przedstawienia została na scenie jedynie wyblakła dekoracja. Kolory wypływały, głosy ochrypiły, kwiaty zwiędły. Tylko to co zachowaliśmy w pamięci bez konfrontacji z terażniejszością uniknęło zniekształcenia.

Monika była kobietą, którą pragnąłem uratować przed utratą świeżości wspomnień. Z łatwością mogłem ją odnaleźć, lecz nie uczyniłem niczego, co mogłoby doprowadzić do spotkania po trzydziestu ośmiu latach. Sądzę, że Monika myślała podobnie, bo przecież nie było nic prostszego od podniesienia słuchawki telefonu, by zadzwonić do hotelu lub telewizji, a jednak przez cały czas mojego prawie dwuletniego pobytu w Polsce nie dała znaku życia. Oboje zamknęliśmy naszą miłość w klatce przeszłości, oboje woleliśmy nie wystawiać jej na próbę terażniejszości.

Jeśli sądziłem, że Holocaust zabił we mnie wszystkie głębsze uczucia, Monika wyprowadziła mnie z błędu. Byłem zakochany jak sztubak. Monika była pierwszą osobą, która spowodowała, że działałem bez rozmysłu i bez samokontroli. W jej obecności czułem, że serce jest nie tylko pompą do pompowania krwi, że istnieje ogień, który nie parzy ciała, lecz grzeje duszę, i że ja, człowiek zamknięty w sobie, potrafię odkryć karty bez obawy przegranej. Dawniej potrafiłem nawiązywać dobrą więź z otoczeniem jedynie wówczas, gdy wymagało tego moje dziennikarskie rzemiosło. Pod

tym względem podobny byłem do aktora-jąkały, który wchodząc na scenę teatru, wcielony w postać, którą gra, wygłasza teksty bezbłędnie i zapomina o swojej ułomności, aż do chwili gdy schodzi ze sceny i wraca do życia. Zjawisko to znane jest wielu psychologom. W oczach ludzi, z którymi przeprowadzam wywiady, często rysuję się jako miły i rozmowny dziennikarz, czasami wręcz gawędziarz. Ani przez chwilę nie podejrzewają, że to po prostu gra, że w rzeczywistości jestem zamknięty w swojej skorupie jak ślimak, i że moja otwartość stanowi sztucznie przysposobioną część pragmatycznego stosunku do otoczenia. Jedynie w kontakcie z kobietami, które wyzwalają moje najskrytsze żądze, zupełnie jakby wyzwalały dzina z butelki, jedynie w kontakcie z takimi kobietami potrafię prowadzić dialog wolny od udawania. Porównać to mogę do nauki obcego języka, jakiegoś nie wynalezionej jeszcze esperanto, umożliwiającego bezpośrednią więź z bliźnim.

Monika, starsza ode mnie o rok, wychowała się u urszulanek, ale nawet zachowawcze, bardzo katolickie wychowanie nie zgasiło w niej nieprzeparłej chęci ciągłego poznawania dobrego i złego. W czasie gdy ją spotkałem, studiowała prawo na Uniwersytecie Wrocławskim. Co wieczór pędziłem na motocyklu z Jeleniej Góry, aby spędzić z nią kilka godzin. Kułem na pamięć całe fragmenty z Sokratesa, aby mieć temat do rozmowy, błysnąć zapożyczoną wiedzą. Mówiłem swobodnie o prawie rzymskim, napoleońskim i kanonicznym, a w myślach widziałem ją nagą, oddającą każdą pieszczotę z nadwyżką. Po kilku miesiącach, gdy znaleźliśmy dość odwagi, aby zmaterializować ukryte pożądanía, żalowaliśmy wszystkich straconych okazji.

Matka Moniki była redaktorem prowincjonalnych wydań „Słowa Polskiego“, ja zaś stawiałem pierwsze kroki w zawodzie. Od dawna pisałem „do szuflady“. Nie miałem odwagi pokazać komuś moich opowiadań i esejów. Nie sądziłem, że nadają się do druku. Józef Muszkat, redaktor jeleniogórskiego wydania gazety, sądził inaczej. Przynajmniej tak twierdził, gdy zaprosił mnie do siebie. Wielkie, trochę ciemne mieszkanie redaktora, a szczególnie teleks zamontowany w gabinecie, zrobiły na mnie ogromne wrażenie. Byłem mu wdzięczny, że nie traktował mnie jak smarkacza i nim założył okulary i zabrał się do czytania, poczęstował mnie kieliszkiem pomarańczowego likieru. Siedzieliśmy naprzeciw siebie w głębokich fotelach, dzielił nas metalowy stolik, na stoliku stała butelka i dwie lepkie szklaneczki. Muszkat pomału wertował kartki rękopisu, nie zapominając dolewać nam likieru. Bacznie obserwowałem każdy jego ruch, z każdego skinięcia głową próbowałem odczytać aprobatę lub niezadowolienie. Przeczytane kartki rzucał na ziemię, chciałem je zebrać, ale myślałem, że nie wypada. Nie umiałem pić, słodki likier uderzył mi do głowy, rozlał się ołowiem w nogach.

„Nie, więcej nie mogę“, podziękowałem, gdy po raz któryś dopełnił moją szklaneczkę. Muszkat nie ukrywał ironii:

„Nigdy nie zostaniesz wielkim pisarzem. Najlepsze utwory zostały napisane pod wpływem alkoholu“.

Wychyliłem szklanekę do dna i natychmiast poczułem, jak wywraca mi się żołądek. Przeprosiłem: „muszę do ubikacji“. Muszkat wskazał mi drogę. Pochyliłem się nad muszlą. Zwymiotowałem. Spuściłem wodę zawstydzony myślą, że słyszał wszystko. Gdy wróciłem do gabinetu, zdjął okulary, przetaił je chusteczką do nosa, zmierzył mnie badawczym spojrzeniem i uśmiechnął się:

„Nie przejmuj się. Zdarza się w najlepszej rodzinie“.

„Czas na mnie, panie redaktorze“, wymamrotałem.

„Zdawało mi się, że chcesz wysłuchać mojego zdania“, powiedział, wskazując na rozrzucone na dywanie kartki.

„Tak, ale kręci mi się w głowie. Chciałbym do domu“.

„Usiądź. Poczekaj, aż skończę czytać. Niewiele zostało“. Muszkat policzył strony. „Najwyżej kwadrans“.

„Wolałbym...“

„Nie pozwolę ci wariować na motocyklu. Musisz wytrzeźwieć. Jesteś moim gościem, ponoszę odpowiedzialność za twoje zdrowie.“

„Jak pan uważa“.

„Tak uważam“. Głos jego nie był już strofujący, lecz miękki, niemal ojcowski. „Rozbierzesz się, prześpisz, jutro będziesz jak nowo narodzony“.

Muszkat odłożył ostatnie kartki rękopisu, kątem oka spostrzegłem, że nasiąkają rozlanym likierem, ujął mnie za rękę i poprowadził jak dziecko do sypialni. Usiadłem na krawędzi łóżka. „Zostaw, ja to zrobię“, powiedział, gdy nie mogłem sobie poradzić z węzłem sznurowadeł. Przykleknął i dopiero

wówczas zauważyłem, że ma łysinę. Rozebrałem się. Bolała mnie głowa. Z uczuciem ulgi wślizgnąłem się pod kołdrę. Kwaśnawy smak wypełnił mi usta, obawiałem się, że znów zwymiotuję, zacisnąłem zęby i, nie wiedząc kiedy, straciłem poczucie rzeczywistości. Śniło mi się, że czuję zapach obcego potu. Coś ciepłego przylgnęło do pleców. Świadomość wracała pomału, z daleka. Nie, to nie był sen. Wyraźnie słyszałem przyspieszony oddech Muszkata. Jego ręce dotknęły moich pośladków. Odsunąłem się machinalnie. Muszkata ścisnął mnie mocno w biodrach.

„Nie ruszaj się“, rozkazał. Mówił autorytatywnie, jak nauczyciel do ucznia. Wrzasnąłem:

„Proszę mnie nie dotykać!“

„Nie bój się“, szepnął. „Nie zrobię ci krzywdy“.

Wytrzeźwiałem w mgnieniu oka. Wskoczyłem z łóżka. Muszkata leżał nagi, miał erekcję, był chudy, żebra odstawały i napinały białą wysuszoną skórę. Widok był odpychający.

„Brzydziej się“, rzekł, jakby czytając moje myśli.

„Dlaczego pan to zrobił? Dlaczego pan to zrobił?!“, wybuchnąłem. „Tak, brzydziej się panem. Nienawidzę pana!“

Nie panowałem nad sobą. Muszkata nakrył się prześcieradłem. „Przecież nie jesteś już dzieckiem. Powinieneś zrozumieć“, zaczął i nie dokończył.

Miał rację. Nie byłem już dzieckiem. Rozumiałem, ale nie mogłem wybaczyć. Jeszcze przed godziną był dla mnie postacią na cokole, ideałem dobrego dziennikarza, jeśli marzyłem o czymś, to o tym, aby dopiąć tego, czego dopiął Muszkata. Teraz pomnik ten leżał w gruzach. Miałem mu za złe, że pozbawił mnie pięknego marzenia. Gorączkowo zacząłem się ubierać, najpierw buty potem spodnie, buty zaplątały się w ciasnych nogawkach, zakląłem głośno. Chciałem uciec stąd jak najprędzej, oddalić się od miejsca wstydu, zniknąć w ciemności nocy. Muszkata zapalił światło. Obdarzyłem go wściekłym spojrzeniem. Odpowiedział usprawiedliwiającym uśmiechem. „Niewiniątko!“, pomyślałem złośliwie w duszy. Na głos rzuciłem:

„Gdzie jest mój rękopis? Wynoszę się stąd natychmiast. I na zawsze“.

„Nie odchodź“, powiedział błagalnie. „Poniosło mnie. To się nie powtórzy, przyrzekam“. Muszkata stał teraz owinięty prześcieradłem i badał moją reakcję. „Jesteś taki młody i taki przystojny, nie oparłem się nagłej pokusie“.

„To kłamstwo. Zaplanował pan każdy krok. Od pierwszej chwili, od momentu, gdy mnie pan zwabił do tego mieszkania“.

„Nie zwabiłem, lecz zaprosiłem. Ale słowa nie mają znaczenia. Załóżmy, że zaplanowałem, cóż w tym zbrodnego? Nie chciałem cię skrzywdzić. Miłość mężczyzny do mężczyzny może być równie piękna jak miłość mężczyzny do kobiety. Nigdy nie doświadczyłeś stosunku z mężczyzną?“

„Doświadczyłem“.

„Czy jestem gorszy od tamtego?“

„Tamten był potworem“.

„Opowiedz“.

„Nie. To długa historia“.

„Cała noc przed nami. Tak czy tak nie uda nam się zasnąć. Opowiedz“.

„Nie mogę. Może kiedyś, nie teraz i nie tutaj“.

„Więc napisz“.

„Co?“, zdumiałem się.

„Po prostu usiądź przy moim biurku i pisz“.

„Wszystko się we mnie gotuje. Nie mogę pisać“.

„O to właśnie chodzi. Pisz, dopóki wrzesz gniewem, dopóki złość cię rozdziera na kawałki. Czytałem twoje opowiadania. Są dobre. Ale nie *bardzo* dobre. Wiesz, czego im brak? Brak im osobistego zaangażowania, duszy, diabelskiego ognia i siarki. Na wszystko patrzysz jak obojętny obserwator. Pisz teraz, a zobaczysz różnicę“.

„To przecież szaleństwo“.

„Ale jest w nim metoda“, przypieczętował rozmowę.

Była godzina druga po północy. Muszkata zgasił światło i wrócił do łóżka. „Obudź mnie, jak skończysz“, powiedział. W głębi duszy musiałem przyznać mu rację. Wiedziałem, że nadeszła chwila, że jeśli nie napiszę teraz, nigdy nie wyduszę z siebie tych słów, nigdy nie przeleję ich na papier. Zamknąłem za sobą drzwi do sypialni, wszedłem do gabinetu. Lampa na biurku rzucała kojące,

zielone światło. Butelka likieru wciąż jeszcze stała na okrągłym stoliku. Cisnąłem ją do kosza na śmieci. Ująłem pióro lepkimi palcami i zacząłem pisać:

„Wszyscy nazywali go Arpad Bacsí. Był człowiekiem, który odsiedział więcej lat w więzieniach aniżeli w budynkach szkolnych. Karierę zawodową rozpoczął we wczesnym dzieciństwie jako kieszonkowiec na głównym dworcu w Budapeszcie. Gdy dorósł, został włamywaczem, mimo iż było to rzadkie rzemiosło wśród Żydów węgierskich. Dzięki wysokim wyrokom cieszył się szczególnymi przywilejami u współwięźniów i na swój sposób cieszył się życiem. Dla Niemców, którzy wkroczyli do jego kraju, był zwykłą płótką. Żydowski król świata podziemnego został odstawiony do Oświęcimia znacznie wcześniej niż znalazły się tam ofiary Eichmanna²⁶. Wkrótce potem przeniesiono go do obozu przy hucie «Zgoda» w Świętochłowicach; tam, zimą czterdziestego czwartego, skrzyżowały się nasze drogi. Arpad Bacsí znów korzystał z uprzywilejowanej pozycji więziennego weterana. Miał talent domorosłego artysty, rzeźbił wymyślne figury szachowe wzorowane na postaciach z erotyki hinduskiej, wszystkie ulepione z najcenniejszego w obozach materiału, z chleba. Stali odbiorcy, strażnicy i oficerowie SS, dostarczali mu tego surowca niemal bez ograniczenia. Hitlerowcy lubili jego «dzieła sztuki», Arpad Bacsí lubił chłopców, chłopcy lubili chleb - i tak zamykał się krąg.

Stary wyga bystrym okiem wyławiał młodych więźniów z «cygangów», czyli transportów nowo przybyłych. Kilka dni po moim przybyciu do Świętochłowic włączył mnie do grupy przeżuwaczy chleba. Po apelu wieczornym sadzał nas ustawionych w podkowę, pięciu, sześciu nastolatków, na podłodze baraku i rozdzielał po pół bochenka chleba. Naszym zadaniem było przeżuwać miąsz tak długo, aż nasiąknięty śliną stawał się brunatną mazią. Musieliśmy go wałkować między językiem a podniebieniem w sposób, który nazywał naukowym, bo tylko dobrze wyrobiony materiał nadawał się do lepienia i zapewniał - tak nam tłumaczył - wieczny żywot wyrzeźbionym kochankom. Odpowiednio przeżuta masa miała się ostać zębowi czasu, zgubnym wpływom wilgoci i atakom przeróżnego robactwa.

Smak chleba był boski, lecz biada temu, kto próbował przełknąć choćby kruszynę. Arpad Bacsí nie znał w tych sprawach litości. Siadał zawsze tak, aby mógł nas objąć wzrokiem, bacznie obserwował grdykę każdego z nas, gotowy w każdej chwili utłuc tego, który nie oparłby się pokusie. Wiedział doskonale, jak bardzo byliśmy wyголоzeni i znał wszystkie sztuczki, którymi próbowaliśmy go oszukać.

Przeżuty miąsz wypluwaliśmy na białą, lnianą szmatę. Arpad Bacsí badał jakość towaru poważny i skupiony jak kontroler jakości brylantów, sprawdzał konsystencję masy, przecierając ją między kciukiem a środkowym palcem, a gdy wynik nie zadowalał go, zeskrobywał deseczką i oddawał do wtórnego przerobu. Szczęki bolały, aż dostawaliśmy obiecane wynagrodzenie: skórki od chleba.

O dziesiątej gaszono światła. O tej porze musieliśmy leżeć na pryczach, mieć więzienne pasyaki złożone w kostkę i ogolone głowy odkryte do ewentualnej kontroli starszego baraku. Tylko starszy i, oczywiście, Arpad Bacsí mogli poruszać się swobodnie także po dziesiątej. Starszy baraku wolał ryglować się w kłitce przy drzwiach sypialni dla tak zwanych prominentów. Arpad Bacsí miał inne zwyczaje. Dwa tygodnie przeżuwałem chleb, aż przyszedł wyegzekwować prawdziwą cenę suchych skórek. Mój współnik do pryczy nie zaprotestował słowem, gdy Arpad Bacsí przepędził go, by zająć jego miejsce. Jeszcze nim mnie dotknął, przeczuwałem co nastąpi. Jego dłoń wędrowała po moim grzbiecie, ześlizgnęła się wzdłuż kręgosłupa, szukała wejścia. Namaszczony tłuszczem palec bez trudu namacał pierścień odbyticy, wtargnął i wiercił w niej ruchem obrotowym. Napięte mięśnie pośladków próbowały bronić wstępu, ale doświadczony rozpustnik umiał pokonać każdą próbę obrony. Palec wyskoczył jak korek z butelki i nim zdążyłem zrobić unik, Bacsí wdarł się w ciało nabrzmiałym członkiem. Chciałem krzyknąć z bólu, lecz w tejsze sekundzie, przewidując moją reakcję, zatkał mi usta drugą ręką. W półzamkniętej dłoni trzymał kawał chleba. Zduśiłem krzyk w krtani. Jadłem mu z ręki. Gdy tylko połknąłem pierwszą porcję, podsunął mi drugą. Łykałem duże kęsy, aby musiał podsunąć trzeci kawał nim skończy. Arpad Bacsí, fachowiec także w tej dziedzinie, wchodził we mnie krótkimi, rytmicznymi uderzeniami. Każdy ruch rozdzierał ciało. Pierwszy, krótki

²⁶ Adolf Eichmann, oficer SS odpowiedzialny bezpośrednio za zagładę Żydów węgierskich. Po wojnie zbiegł do Argentyny. W roku 1960 odnaleziony przez wywiad izraelski, porwany i w 1961 r. skazany na śmierć przez sąd w Jerozolimie.

ból zamienił się w nie kończące się cierpienie. Czułem, że krwawię. Ale dopiero gdy wycofał się ostatecznie, a ja przełknąłem ostatni kęs chleba, obudziło się we mnie poczucie wstydu za to, że za trzy kromki komiśniaka oddałem swoją ludzką cześć. To nie był gwałt. Nie sprzeciwiałem się, nie protestowałem, nie wołałem o pomoc. Milczałem również wówczas, gdy pożegnał mnie niemal przyjacielskim uderzeniem w pośladek i wrócił na swoje wyrko w pokoiku sąsiadującym z kłitką starszego baraku.

Nie odszedł z pustymi rękoma; o tym przekonałem się w jakiś czas później, gdy obudziłem się z nocnej mary wyczerpany do kresu sił. Znikła moja pasiasta czapka. Więzień bez czapki był więźniem martwym. Na porannym apelu kapo i dyżurny oficer zabijali każdego, kto stawał się bez nakrycia głowy. Często zabawiali się naszym kosztem. Kapo porywał czapkę niczego nie spodziewającej się ofiary i ciskał ją daleko od siebie. Oficer strzelał. Jeśli więzień stał w miejscu, mordował go za brak czapki; jeśli rzucił się, by ją podnieść, mordował za próbę ucieczki.

Szatan syn szatana, przeklinałem w duchu Węgra. Pozostały mi dwie, może trzy godziny życia. Zimny pot wystąpił mi na plecach i spływał wzdłuż kręgosłupa, tam, gdzie przesuwiał się palec Arpada Bacsiego. Jego intencja była jasna: chciał się mnie pozbyć. Chciał się pozbyć niepożądanego świadka. Dawniej nie przywiązywałem wagi do faktu, że coraz to inny chłopak z gmpy przeżuwa zniknął bez śladu lub ginął w dziwnych okolicznościach. Ostatni wpadł do otworu w obozowej latrynie i utopił się w kale. W pierwszym odruchu złości chciałem podejść do niego i stanowczo zażądać mej czapki. Poznałbym ją natychmiast. Miała mdłą plamę z krwi. Rozsierzdzony kapo uderzył mnie kiedyś drążkiem od łopaty. Ale jaki sens by to miało? Arpad Bacsiego na pewno wybuchnąłby ironicznym śmiechem lub po prostu zarzucił mi kłamstwo, a może zawołałby starszego, aby mnie ukarać za naruszenie nocnej ciszy. W imperium zła dowody rzeczowe nie miały żadnego znaczenia i nie było w nim śmieszniejszego określenia od słowa sprawiedliwość. Arpad Bacsiego był uprzywilejowanym prominentem, ja byłem bezwartościowym dodatkiem do numeru wytatuowanego na przedramieniu. Nie miałem żadnych szans w otwartym konflikcie z tym człowiekiem.

Pomału zsunąłem się z pryczy. Bosymi nogami dotknąłem betonowej podłogi. Była zimna jak lód, ochłodziła wzburzone myśli. Musiałem działać bardzo ostrożnie. Przeczesałem spojrzeniem wąskie przejście między legowiskami więźniów. Goła żarówka zwisająca z haka nad drzwiami rzucała blade światło. Wnętrze baraku przypominało mroczny tunel. Ruszyłem w głąb wąskiego korytarza. Na pryczach po lewej i po prawej spali więźniowie. Słyszałem ich oddechy. Ktoś chrapał. Ktoś charczał. Stąpałem wolno, przystawałem, nasłuchiwałem i znów posuwałem się metr do przodu. Miałem wzrok kota. Szukałem ofiary. Szukałem bliźniego, który był na tyle nieostrożny, że zapomniał ukryć czapkę pod kocem. Drżałem z zimna i ze strachu. Złapany na gorącym uczynku zostałem natychmiast zlinczowany. Nikt nie stanąłby w mojej obronie. Kradzież uważana była za niewybaczalny grzech. Odbytka piekła z bólu jak wszyscy diabli. Ktoś zakaszał. Zastygłem w bezruchu. Nikt się nie obudził. Zrobiłem dalsze dwa kroki i znów przystanąłem. Mózg gorączkowo wymyślał wykręty na wypadek, gdybym został odkryty. Widziałem kiedyś, jaki los spotyka więźnia przyłapanego na kradzieży: współwięźniowie powiesili go na belce stropowej. Nie pomogły mu żadne tłumaczenia. Zwłoki kołysały się w pętli przez cały następny dzień, ostrzeżenie dla innych. Podświadomie podniosłem wzrok ku belce stropowej. Jest! Na trzecim, najwyższym poziomie prycz spała moja ofiara. Twarz miała przykrytą kocem, rozek czapki wystawał spod zgiętego ramienia. Pociągnąłem za ten rozek, delikatnie i bezszelestnie. Czapka była moja. Przycisnąłem ją do piersi. Odetchnąłem z ulgą. Wepchnąłem czapkę pod bluzę pasiaka, szorstki materiał drażnił skórę. Byłem szczęśliwy. Nadszedł czas odwrotu. «Tylko bez pospiechu», szepnąłem w duchu. Znów nasłuchiwałem. Cisza. Słyszałem jedynie łomot własnego serca. Stąpałem na palcach. Minęło dziesięć minut, a może była to tylko minuta, nim dotarłem do swojego legowiska. Wspólnik do pryczy leżał na swoim miejscu. Czy widział coś? Wstrzymałem oddech. Spał jak zabity. Zmęczenie kładło wszystkich. Wdrapałem się na legowisko. Czapkę wsunąłem do spodni. Tam była najbezpieczniej schowana. Zmęczenie kładło wszystkich, a ja nie mogłem zasnąć. Do pobudki nie zmrużyłem oka.

Apele odbywały się punktualnie o piątej rano. Teren oświetlony był ostrym blaskiem reflektorów, niebo było jeszcze ciemne, ale bezchmurne, mróz ścinał krew. Staliśmy bez ruchu w oczekiwaniu na codzienny rytuał liczenia więźniów. Uplasałem się w drugim rzędzie wyprężonej na baczność kolumny. Wybór miejsca miał ogromne znaczenie. Nie należało stać pośrodku pierwszego rzędu, by nie wpaść w oko kapo lub SS-manom. Także stojący na poboczach kolumny z łatwością stawali się ofiarami ich kaprysów. Za nieostrożność tego rodzaju zapłaciłem kiedyś rozbitą głową. Kapo rąbnął

mnie drążkiem od łopaty za ponoć źle zasznurowane drewniaki. Najbezpieczniej było tam, gdzie się wcisnąłem: nie za blisko i nie za daleko. Przede mną, trochę na lewo, stał Arpad Bacsi. On mógł sobie pozwolić na wymianę spojrzeń z dyżurnym oficerem SS, żaden kapo nie odważyłby się go dotknąć, nie groziło mu żadne niebezpieczeństwo. Poznałem go natychmiast, mimo iż zwrócony był do mnie tyłem. Tylko on miał kark przelewający się przez kołnierz pasiaka; kark ludzi sytych. I tylko on nosił czapkę z rudą plamą. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego ją włożył. Miał przecież swoją. Może podniecał go sposób w jaki ją zdobył...

W którymś rzędzie za mną stał człowiek, który zdawał sobie sprawę, że nie ujrzy brzasku. Oprócz niego tylko Arpad Bacsi i ja wiedzieliśmy, co się stanie. Ale ja wiedziałem więcej; wiedziałem, że zginie przypadkowa ofiara. Wyobrażałem sobie rozczarowanie «artysty», gdy zobaczy mnie żywego. Nie miałem pojęcia, co czuł człowiek bez czapki. Nie chciałem wnikać w jego myśli. Wolałbym, aby nie istniał. Lecz jeśli jeden z nas miał zginąć, moje życie było dla mnie ważniejsze od jego życia.

SS-man i kapo sprawdzali każdy rząd stojących. Nikt się nie zgłosił na zapytanie «kto chory?» Widoki niezdolnych do pracy na przeżycie dnia były mniej niż nikle. Kapo głośno liczył obecnych; ja liczyłem sekundy. Chciałem, żeby to się skończyło jak najszybciej. Teraz rozpoczęli kontrolę czwartego rzędu. Człowiek bez czapki nie prosił o litość. Ofiara i morderca znali reguły gry. Strzał padł bez słowa ostrzeżenia. Ukłuł mnie krótki, suchy dźwięk bez echa. Oficer na pewno strzelił w potylicę. Zawsze strzelali w tył głowy, zawsze z małej odległości. Nie chcieli chybić. Była wojna, należało oszczędzać amunicję. Nie popełniłem błędu żony Lota. Nie obejrzałem się. Nie chciałem pamiętać człowieka, który zginął“.

Koniec, kropka. Zapisane kartki leżały na biurku, wiersze były równe jak rzędy więźniów podczas apelu, litery chyliły się w tył, odporne w niemym sprzeciwie. Przesunąłem wierzchem dłoni po pierwszej stronie manuskryptu, usuwając nie istniejący pyłek kurzu. Byłem zmęczony. Ponowna konfrontacja z faktami, po tylu latach, widziana z innej perspektywy i w innych warunkach, wyczerpywała do cna. Byłem zadowolony, że nie szukałem ucieczki w strefę szarej półprawdy. Ale nie starczyło mi siły woli, aby przeczytać tekst od nowa, poprawić styl, skorygować błędy. Obawiałem się, że uderzy we mnie jak bumerang, a ja, w pierwszym odruchu samoobrony, podrę go na strzępy i spalę, aby nikt nie mógł mnie osądzać według wyrwanego z ram czasu kodeksu moralnego. Odsunąłem kartki od siebie, jakbym pragnął zdystansować się od tego, co napisałem. I właśnie w tej chwili wszedł do pokoju Muszkat i położył rękę na kartkach.

„Będzie pan czytał teraz?“

„Obaj jesteście ciekawi“, odparł.

Gdy usiadł i zagłębił się w czytaniu, a czytał wolno, kilkakrotnie wracając do tych samych ustępów, obserwowałem go bacznie, z ciekawością całkowicie innego wymiaru. Dopiero teraz spostrzegłem lekkie drganie powieki za szklami okularów oraz pierwsze bielejące nitki w wypielęgnowanych wąsach. Nosił dobrze skrojone jasne ubranie, skrywające kościste ciało. Lewą nogę założył na prawą, potem zmienił sposób siedzenia, prawą założył na lewą; jedną ręką trzymał zapisane kartki, drugą oparł na blacie biurka i bębnił po nim palcami. Nie wiem, dlaczego denerwowało mnie to bębnienie, może dlatego, że było przerywane, dostosowane nie do jakiegoś stałego rytmu, lecz do toku jego myślenia. Panowało między nami napięcie, lecz nie potrafiłem określić przyczyny. Skończywszy czytanie, zdjął okulary i obdarzył mnie badawczym spojrzeniem, jakby nie wierząc, że jestem autorem tego tekstu.

„Wszystko oparte na prawdziwym zdarzeniu?“ , zapytał po chwili milczenia.

„Wszystko“.

„Zapewne chcesz wiedzieć, co o tym sądzę.“

„Na to czekam“.

„Opublikujemy to opowiadanie w niedzielnym dodatku «Słowa»,„.

„Nie zgadzam się“.

„Co powiedziałeś?“ , zdziwił się.

„Powiedziałem, że opowiadanie nie jest przeznaczone do publikacji.“

„Więc po co je napisałeś?“

„Nie wiem. Czuję wewnętrzną potrzebę. Może z powodu...“

„... tego co się stało wieczorem?“

„Może“.

„I wciąż jeszcze jesteś wzburzony?”

„Chyba tak”.

„Najwspanialsze dzieła powstały w burzy”.

„Przedtem mówił pan o alkoholu. Zresztą, co by nie było, nie mam zwariowanych aspiracji. Nie jestem i nie będę Dostojewskim”.

„To prawda. Piszesz bez pasji, a szkoda. Ale opowiadanie zawiera morał, który nadaje mu szczególną wartość”.

Nie pojąłem znaczenia tej uwagi. Muszkat oparł dłoń na moim kolanie. Był to ruch całkowicie niewinny, po prostu starszy nauczyciel tłumaczył coś uczniowi i pragnął podkreślić wagę słów, ale każdy dotyk był mi niemiły, więc stanowczo go odepchnąłem. Muszkat zrozumiał. Zastanowił się chwilę, przesunął krzesło pół metra do tyłu i trochę w bok, aby siedzieć naprzeciw i patrzeć mi prosto w oczy, po czym wycedził:

„Spoglądam na ciebie, i co widzę? Widzę młodego, przystojnego człowieka o kręconych włosach, ciemnych oczach, gęstych brwiach i smagłej cerze. Jesteś dobrze ułożony, przyswoili ci należyte maniery, jednym słowem, typowy chłopiec z dobrego domu. A jednak wszystko to mam. Każdy z nas ukrywa swoje prawdziwe ja pod powłoką ze-wnętrznosci. Potrzebny jest lancet chirurga, aby wydobyć nasze wnętrze na światło dzienne. Zrobiłeś to. Nie wolno ci się cofnąć. Prowadziłeś ostrze pióra od rany do rany, cokolwiek postanowisz, blizna zostanie na zawsze. Pomyśl o tym, gdy pójdziesz do kuchni zaparzyć kawę”.

Piliśmy kawę i jedliśmy świeże drożdżowe ciastka klejące się do podniebienia jak mięsz Arapada Bacsi. Muszkat pogodził się z moim postanowieniem. Wsunąłem do kieszeni mój rękopis. Zanim wstałem zażądał, abym wysłuchał, co on ma do powiedzenia. Była to dziwna spowiedź. Skłonność do mężczyzn odkrył w sobie dopiero w obozie koncentracyjnym. W maju czterdziestego piątego wyszedł na wolność, ale wyzwolenie nie było pełne, bo szedł z tą skłonnością przez życie, ścigany obawą, że zostanie wykryta. „Zazdroszczę ci”, powiedział, „zazdroszczę ci, ponieważ wiem, że do śmierci nie znajdę w sobie odwagi, aby przeciąć otoczkę mojej dostojności i publicznie ujawnić swoje wnętrze”. Śmierć przyszła po niego w stęchłym mieszkaniu w Ramat Ganie koło Tel-Awihu, w którym konał pomału, cierpiąc na schorzenie, któremu nawet najlepsi lekarze nie umieli postawić diagnozy: tęsknotę do Polski. W marcu 1968 roku zmyła go fala antysemitycznych czystek. Popularny kierownik działu łączności z czytelnikami w warszawskim „Expressie Wieczornym” od dawna drażnił swoją bezkompromisową walką o prawa małego człowieka. W teczkach tajnych służb znajdował się zapis o jego homoseksualizmie. Władze postawiły go pod sąd za stosunek z nieletnim. Młodociany agent bezpieczeństwa zeznał pod przysięgą, że redaktor Muszkat przyrzekł mu zwolnienie ze służby wojskowej w zamian za powolność. Rzekomo zaprosił go do swojego nowego mieszkania i po dłuższej rozmowie telefonicznej z Dowództwem Okręgu oświadczył, że sprawa jest załatwiona. Zaraz po tym wyegzekwował należność. Muszkat nie chciał adwokata, bronił się sam. Rozprawa odbywała się przy drzwiach zamkniętych, na salę wpuszczono tylko obserwatorów ze stowarzyszenia dziennikarzy. „W jakim miejscu stał telefon i jakiego był koloru?”, spytał świadka. Ten, nie wahając się ani sekundę, odparł: „telefon był czarny, stał na parapecie okna”. Następnego dnia Muszkat zaskoczył sędziów i prokuratora, przedstawiając zaświadczenie poczty stwierdzające, że nie założono mu jeszcze telefonu. Proces został najpierw przerwany, potem anulowany, ale zwycięstwo okazało się Pyrrusowe. Nie pozwolono mu wrócić do redakcji „Expressu”, bo jego miejsce jest - tak mu wyjaśniono - w państwie syjonistów. Muszkat nigdy nie pogodził się z losem. Moja pomocna ręka była splątą długa, ale nie mogła mu wynagrodzić tego, co stracił.

Po owej pamiętnej nocy w Jeleniej Górze nigdy nie próbował fizycznego zbliżenia. Zastąpiła je bliskość duchowa. Muszkat wprowadził mnie w tajniki dziennikarskiego rzemiosła, z jego polecenia przyjęto mnie do pracy w „Słowie Polskim”, początkowo jako reportera, a później redaktora wydania jeleniogórskiego. Gdy powinęła mi się noga, znalazł sposób na wypłatanie mnie z matni, którą sam spowodowałem i zaaranżował przeniesienie do redakcji we Wrocławiu.

Jak przystało na dziennik służący „budowie zrębów socjalizmu”, gazeta drukowała wiadomości nadsyłane przez „korespondentów robotniczych” zatrudnionych w dużych zakładach przemysłowych. Na ogół pisywali o osiągnięciach swoich miejsc pracy, a za usługi byli wynagradzani skromną wierszówką. Zarówno korespondencja, jak i honoraria przechodziły przez moje ręce. Moim

obowiązkiem było tłumaczenie wiadomości „z polskiego na polski“, bo wykształcenie piszących pozostawiało sporo do życzenia; raz w miesiącu wypłacałem im należne pieniądze. Niestety - głównie z powodu zalotów do Moniki - gwałtownie wzrosły moje potrzeby finansowe. Rozwiązanie było proste. Stopniowo zacząłem likwidować sieć korespondentów robotniczych, samemu zbierając materiał i pisząc artykuły. Stworzyłem listę martwych dusz, dla których nadchodziły honoraria. Sfałszowanie podpisów było dziecinną igraszką. Miałem teraz dosyć pieniędzy na kwiaty i drobne prezenty dla ukochanej, a także na eleganckie koszule i krawaty kupowane w sklepach komisowych. Sprawy układały się ku zadowoleniu mojemu i redakcji zafascynowanej raptownym wzrostem liczby i jakości nadsyłanej korespondencji. Zadowolenie to było tak duże, iż po kilku miesiącach sukcesów i odebraniu paru listów pochwalnych, redaktor naczelny „Słowa“ polecił mi zorganizować uroczysty zjazd „korespondentów robotniczych“. On sam, tak napisał, przyjedzie do Jeleniej Góry i wygłosi przemówienie powitalne. Miałem zamówić salę i godziwy poczęstunek w najlepszej restauracji w mieście oraz dołożyć wszelkich starań, aby wszyscy piszący zjawili się na spotkaniu. Punktem kulminacyjnym uroczystości miało być rozdanie dyplomów honorowych. Padł na mnie blady strach. Próbowałem „zorganizować salę“ przy pomocy znajomych, był wśród nich nawet porucznik Milicji Obywatelskiej, ale nie znalazłem chętnych, którzy nawet za cenę suto zakrapianej kolacji skłonni byli ożywić moją listę martwych dusz. Najbardziej obawiali się wzmianki o odbieraniu dyplomów i wygłaszaniu podziękowań na temat, o którym nie mieli zielonego pojęcia. Nie było rady, musiałem pojechać do mego protektora. Józef Muszkat podał się do dymisji, aby zwolnić dla mnie fotel redaktora w Jeleniej Górze i był teraz jednym z popularniejszych dziennikarzy „Słowa Polskiego“ we Wrocławiu. Podejrzywałem, że zechce wykorzystać moją podbramkową sytuację tak jak to uczynił w swoim czasie Arpad Bacsi, ale Muszkat zachował się jak prawdziwy przyjaciel. Cierpliwie wysłuchał mojej trochę pogmatwanej „spowiedzi“, ryknął głośnym, zdrowym śmiechem, szarpnął mnie za ucho i obiecał załatwić „tę śmieszniejszą sprawę“. Afera zakończyła się ostrą naganą oraz stwierdzeniem, że jestem dobrze zapowiadającym się dziennikarzem, wymagającym bezustannej kontroli. W tym celu natychmiast przeniesiono mnie do Wrocławia na stanowisko pomocnika redaktora wszystkich wydań prowincjonalnych, bo przecież, jako osoba doświadczona, mogłem zapobiec podobnym oszustwom w Opolu, Legnicy i Wałbrzychu. Redaktorem była pani Maria, typowy produkt *ancien regime* 'u, kobieta ogromnej kultury, wszechstronnie wykształcona i miła dla otoczenia (wszystko to cechy nie rokujące jej kariery w nowych warunkach), która darzyła mnie sympatią od chwili, gdy mnie poznała. Jeszcze przed przeniesieniem do Wrocławia byłem niemal codziennym gościem w jej domu - i główną przyczyną jej bólu głowy. Wszystko, oczywiście, z powodu mojej miłości do Moniki.

Czytelnik zapewne już się domyślił, że Monika była córką pani Marii. Matka zaplanowała przyszłość córki, córka poddała się woli matki. Uzgodniono, że wyjdzie za mąż za kandydata zatwierdzonego przez obie rodziny, to znaczy rodzinę narzeczonej oraz rodzinę narzeczonego, ślub zaś odbędzie się wkrótce po tym, jak przyszły małżonek zakończy studia na krakowskiej Akademii Górniczo-Hutniczej. Pani Maria, przeczuwając chyba moje intencje, uznała za stosowne wyjaśnić istniejące układy już tego samego wieczoru, w którym zaprosiła mnie po raz pierwszy na kolację. Jakby chciała ostrzec: kolacja kończy się słodkim tortem i niczym poza tym. Szybko okaże się, że przeliczyła się, zarówno jeśli chodzi o posłuszeństwo córki, jak i o mój szybko rosnący apetyt.

Wieczory w trójkę zostały zinstytucjonalizowane, gdy pani Marii wyrwało się kiedyś: „traktuj ten dom jak własny“, a ja przyjąłem zaproszenie z całą powagą dwudziestotrzyletniego adoratora. Przymuszczałnie była zbyt delikatna, aby mi wyjaśnić, że nic się nie stanie, jeśli spędzę jeden wieczór w innym towarzystwie, a ja byłem zbyt zakochany, aby wezwać pod broń moje dobre wychowanie. Zazwyczaj spędzaliśmy długie godziny na jałowych, akademickich dyskusjach i niemal nigdy nie tykaliśmy napojów wysokowych. Pewien grudniowy wieczór stanowił wyjątek. Pani Maria postawiła na stole butelkę francuskiego koniaku, niebywały rarytas na owe czasy, i nim się spostrzegłem, zakręciło mi się w głowie. Pani domu zdecydowała, że nie wypuści mnie na mróz i ślizgawicę, moje fałszywe protesty nie zmieniły jej zdania, rozłożyła składane łóżko w kuchni, życzyła dobrej nocy i wycofała się do sypialni w głębi mieszkania. Monika miała swój pokój zaraz przy kuchni. W każdym innym przypadku bez wahania przebyłbym tę trzymetrową przestrzeń w chwili, gdy zamknęły się drzwi za panią matką. Ale Monikę kochałem naprawdę, a miłość, jak wiadomo, jest ślepa. Straciłem zdolność obiektywnego oceniania sytuacji. Za nic w świecie nie chciałem jej stracić. Obawiałem się kosza. Gdyby nie uczyniła pierwszego kroku, chyba nigdy nie spotkaliśmy się naprawdę. Słyszałem lekkie zgrzytnięcie zawiasów. Drzwi otwierały się pomału;

zbyt pomału, jak na moje napięcie. Zrobiłem jej miejsce w łóżku. Dotknąłem jej. Ona dotknęła mnie. Kochaliśmy się nurtem głębokiej, leniwej rzeki; chciałem, aby toczyła swoje wody bez końca, aby nigdy nie wpadała do morza.

Następne noce spędzaliśmy w jej pokoju. Na nocnej szafce stało oprawione zdjęcie przyszłego męża. Nigdy nie zapomniała położyć fotografii twarzą w dół przed zgaszeniem światła. Ale czego nie widział Przyszły, widziała pani Maria. Gdy zorientowała się, co w trawie piszczący, zareagowała we właściwy jej sposób:

„Zauważyliście, jak gorąco było w nocy?“, rzuciła od niechcienia przy śniadaniu. „Trzykrotnie wstawalam, żeby napić się wody“.

Zaczerwieniłem się. Wchodząc do kuchni, musiała zobaczyć puste łóżko.

„Miło, że potrafisz się czerwienić“, zauważyła i nadgryzła kromkę chleba posmarowaną masłem.

„Mamo, jestem już pełnoletnia“, oburzyła się Monika.

„Zakładam, że trochę się w sobie podkochujecie“, kontynuowała pani Maria, udając, że nie słyszy protestu.

Przytaknąłem.

„W takim razie muszę wyjaśnić ci parę zasadniczych spraw.“

„Mamo, nie teraz!“

„Jeśli nie teraz, to kiedy? Jak będzie za późno?“ Następnie zwróciła się do mnie: „Monika wie, co mówi; jest już pełnoletnia. Ty także jesteś pełnoletni. Gówniarz, ale pełnoletni. Nie zdradzam tajemnicy mówiąc, że nie podoba mi się wasze zachowanie pod moim dachem. Mimo to nie mam zamiaru prawić morałów. Ja także byłam kiedyś młoda i zakochana. Każde pokolenie jest przekonane, że wymyśliło miłość i gry miłosne, ale to wcale nie tak. Wierzcie Eklezjaście, nie ma niczego nowego pod słońcem. Potrafię zrozumieć znacznie więcej niż sądzicie. Dlatego powiem tylko jedno: róbcie co chcecie, ale proszę, bez złudzeń na przyszłość. Czy wyraziłam się dostatecznie jasno?“

Gdy się ma dwadzieścia trzy lata, przyszłość wydaje się być pojęciem zupełnie niesprecyzowanym; rysuje się przed nami tak mgliście, że nie sposób ogarnąć jej czystym rozumem. To właśnie terażniejszość kształtuje się jak materia, wyraźna a równocześnie nieskończona. Wydaje nam się, że nie ma początku i nie ma końca, że porusza się razem z nami w wymiarze czasu, bo przecież zawsze w niej istniejemy i zawsze nas otacza. Wraz z Moniką bagatelizowaliśmy barierę usytuowaną daleko przed nami, bo przecież nie uznawaliśmy faktu, że kiedyś do niej dojrzymy.

Po przeniesieniu z Jeleniej Góry do Wrocławia wynająłem pokój przy ulicy Parkowej, w mieszkaniu Lidii. Wybór nie był przypadkowy. Od domu pani Marii dzielił mnie stamtąd pięciominutowy spacer. Lidię poznałem na sali sądowej, gdy relacjonowałem dla „Słowa“ przebieg procesu jej męża oskarżonego o napad rabunkowy. Wyrok był ciężki i nawet jeśli zostałby zmniejszony za dobre sprawowanie, czekało go wiele lat więzienia. Nigdy nie pytałem Lidii, dziewczyny dwudziestoletniej, inteligentnej i przystojnej, jak wpakowała się w małżeństwo z rabusiem, a ona nigdy nie wyraziła chęci roztrząsania przeszłości. „Wszystko, co było, zostało wymazane z pamięci“, twierdziła. Potakiwałem, nie wiedząc jeszcze, że bez przeszłości, terażniejszości i przyszłości nie ma życia. Przeprowadziłem z nią wywiad i dowiedziałem się tylko tyle, że w bardzo młodym wieku podjęła pracę w agencji artystycznej „Artos“, opuściła dom rodzinny i czuła się bardzo samodzielna. To było oczywiście kłamstwo. W gruncie rzeczy bezustannie szukała opiekuńczego skrzydła. W takim układzie droga do jej łóżka była jeszcze krótsza niż droga do domu Moniki. W stosunek z Lidią nie wkładałem uczucia miłości, dlatego też nie widziałem sprzeczności w tym, co czyniłem. Z perspektywy dziesiątków lat mogę uznać za okoliczność łagodzącą również fakt, że nowa znajomość zaczęła się w okresie, gdy związek z Moniką był całkowicie platoniczny, zaś mój dosyć wybujały temperament domagał się swego. Rzecz zrozumiała, nigdy nie przyznałem się do tego, że z Lidią łączy mnie coś więcej od stosunków lokatora z osobą wynajmującą pokój. Także Monika miała coś do ukrycia. Od dłuższego czasu wiedziała, że jej Przyszły zakończył studia, i że obie rodziny ustaliły datę ślubu, lecz nie podzieliła się ze mną tą tak istotną informacją. Całkiem niespodziewanie, gdy pomału wygrzebywałem się z łóżka, była chyba czwarta nad ranem, przyciągnęła mnie do siebie i zapłakała. „Co się stało?“

„To nasz ostatni raz“, szlochała. „Jutro będę kobietą zamężną. Przysięgam, że nie będę go zdradzać“.

Nie zaproszono mnie na ślub, ani na kościelny ani na cywilny. Ten ostatni odbywał się w starym gmachu ratusza na wrocławskim Rynku. Jeśli jest Bóg, myślałem, to stoi po mojej stronie. Nad miastem wisiały spęczniałe deszczem chmury. Zatelefonowałem do redakcji i zawiadomiłem, że wykorzystam dzień urlopu. Zarzuciłem angielski prochowiec nabyty ostatnio od kogoś, kto otrzymywał paczki z zagranicy, i wyszedłem na ulicę. Padało. Jeszcze nie ulewa, ale już nie kapuśniaczek. Silnik zapalił od pierwszego dotknięcia startera, mimo że w wilgotne dni bywał kapryśny. Uznałem to za dobry znak. Pojechałem na Rynek i zaparkowałem dokładnie przy wyjściu z Urzędu Stanu Cywilnego. Lało jak z cebra. Przede mną stały dwie zamówione taksówki. Podeszedłem do kierowcy. „Panowie czekacie na młodą parę?“, spytałem, a gdy odpowiedział twierdząco, wyjaśniłem, że uczestnicy ślubu wyjadą innym wyjściem i prosili, aby czekać na nich po drugiej stronie budynku. Taksówkarz kupił informację. Wkrótce potem skończyła się ceremonia, ukryci pod parasolami goście daremnie szukali taksówek. Nikt nie zwrócił na mnie uwagi. Jedynie Muszkat rozpoznał mnie natychmiast, podeszedł do auta i ręką dał znak, abym otworzył okno. Cienki strumyk wody spłynął mi na twarz.

„Żeby ci jakieś głupstwo nie wpadło do głowy“, ostrzegł mnie. Nie ulegało wątpliwości, że wiedział wszystko.

„Spokojna głowa; chcę tylko popatrzeć“.

Nawet jeśli nie powiedziałem prawdy, nie skłamałem. Nie miałem pojęcia, jak się sprawy rozwiną. Nie planowałem niczego. Pozwoliłem im się rozwijać siłą własnej inercji. W bramie wyjściowej pojawili się Monika, za nią mąż i matka. Z satysfakcją skonstatowałem, że nie był typem mężczyzny, który już na pierwszy rzut oka wzbudza zazdrość. Zmókł i wycierał sobie twarz chusteczką. Monika rozglądała się bezradnie. Otworzyłem drzwiczki samochodu. Przestraszyła się.

„Co tu robisz? Przecież prosiłam...“

„Wsiądź na sekundę“, powiedziałem, wciąż jeszcze nie wiedząc, co przyniesie następna chwila. „Nie mogę.“

„Na sekundę“. „Jesteś szalony.“

„Zawsze taki byłem.“

„Tylko na sekundę“.

Nacisnąłem pedał gazu. Drzwiczki zatrzasnęły się od impetu startu. Kątem oka zauważyłem nowożeńca wymachującego parasolem jak czarną chorągwią. Krzyczał coś, ale słowa zostały daleko za nami, w deszczu. Skręciłem w prawo. Monika milczała. Dodałem gazu. Wciąż jeszcze milczała. Skręciłem w lewo, przeleciałem Świdnicką, potem na Krzyki i dalej prosto na autostradę. Było bardzo ślisko. Licznik wskazywał sto kilometrów na godzinę. Dopiero teraz odezwała się:

„Dokąd jedziemy?“

„W każde miejsce, które wybierzesz“.

„Na Rynek“.

„W każde miejsce, które wybierzesz, oprócz Rynku“.

Wysunęła ku mnie rękę. „Widzisz tę obrączkę?“ Nie zareagowałem, więc dodała zduszonym głosem: „przysięgam wierność“.

„Jedziemy do Domu Dziennikarza w Szklarskiej Porębie“, oznajmiłem spokojnie. Odpowiedź zrodziła się w ułamku sekundy. Stowarzyszenie Dziennikarzy posiadało w Karkonoszach własny dom wypoczynkowy z pięknym ogrodem i skrawkiem lasu. Spędziliśmy tam kilka niezapomnianych weekendów. Monika sięgnęła do torebki po lusterko, zaczęła poprawiać makijaż.

„Chcesz wracać?“

To była brzydka prowokacja zadufanego w sobie prowokatora. „Nie wiem“, odparła cicho.

Tym krótkim stwierdzeniem przerzuciła na mnie odpowiedzialność za wszystko, co się dzieje i co się stanie w przyszłości. Ale przyszłość, jak już wiemy, była dla mnie pojęciem abstrakcyjnym. Do teraźniejszości dopisaliśmy trzy dni szalonego zapomnienia. Czwartego dnia Monika zatelefonowała do matki. Było mi wygodnie nie podsłuchiwać rozmowy. Tego samego wieczoru przyjechał po nią mąż. Stałem ukryty za filarem na peronie małej górskiej stacji, gdy wsiadała do pociągu; stałem tam, aż oddalające się czerwone światło ostatniego wagonu ostatecznie przypieczęto wielką przygodę jak lakowa pieczęć na ważnym dokumencie, który należy zachowywać na zawsze w archiwum pamięci.

Nazajtrrz wróciłem do Lidii.

Lidia zaszła w ciążę. Z mieszanymi uczuciami śledziłem jej pęczniejący brzuch. Nie odstraszała mnie myśl o tym, że będę ojcem. Lidia była smukłą blondynką o podłużnej, delikatnej twarzy, jej złociste włosy miękko opadały na barki, patrzyła na świat błękitnymi oczami, a co najważniejsze, miała ciepłe serce. Z łatwością zdobywała przyjaciół, lubiła się bawić, ale najlepiej czuła się w domu. Nie ulegało wątpliwości, że będzie dobrą matką. Będąc w trzecim miesiącu, napisała do męża list z prośbą o zgodę na rozwód. Nigdy nie snuliśmy planów małżeńskich, moje milczenie na ten temat Lidia przyjęła jako niemą akceptację. Na odpowiedź czekaliśmy kilka miesięcy; nadeszła w przeddzień porodu. Naczelnik więzienia potwierdził autentyczność podpisu. Bóle porodowe złapały ją w niedzielę rano. Odwiozłem ją do szpitala. Lekarz na oddziale położniczym uśmiechnął się: „proszę się nie przejmować. Zdrowa kobieta, szerokie biodra, urodzi jak młoda łania. Niech pan przyjdzie za kilka godzin, będzie pan już ojcem“. Poszedłem pieszo do miasta. Ulice były wyludnione. Bezmyślnie czytałem plakaty na słupach ogłoszeniowych, oglądałem półpuste wystawy, włóczyłem się po parku. Po południu wróciłem do szpitala. Mina lekarza nie wróżyła niczego dobrego. Szedłem za nim długim korytarzem zalatującym zapachem lizolu. U progu swojego gabinetu zatrzymał się.

„Przykro mi, ale położnica nie przeżyła porodu“, oznajmił sucho i spojrzął na zegarek, dając do zrozumienia, że jego czas jest ograniczony. Z trudem wydusiłem z siebie kilka słów. „Przecież powiedział pan...“

„To był jeden z tych przypadków, których nie sposób przewidzieć. Miała skrzep w nodze. Wskutek wysiłku powędrował prosto do serca i... Ile lat miała?“

„A co z dzieckiem?“

„Płód? Brak tlenu, wie pan, jak to jest. Skoncentrowaliśmy się na ratowaniu położnicy. Zresztą, co by pan zrobił z niemowlakiem?“

„Rzeczywiście. Co zrobiłbym z niemowlakiem?“, powtórzyłem za lekarzem.

„Współczuję“, powiedział i wyciągnął rękę na pożegnanie. Miał wilgotną dłoń. Byłem już na parterze, gdy uświadomiłem sobie, że za-

pomniałem zapytać, czy miałem być ojcem chłopca czy dziewczynki. Pogrzeb odbył się we wtorek. Patrząc na otwarty grób, myślałem o mojej matce.

Nigdy nie dowiem się, gdzie pochowano matkę. Na przedmieściach Krakowa, przy szosie do Wieliczki, w miejscu dawnego obozu plaszowskiego, stoi pomnik ku czci ofiar Holocaustu. W roku czterdziestym siódmym, wkrótce po przyjeździe z Czechosłowacji, złożyłem pod nim pęk liliowych bzów, kwiatów dzieciństwa. Okoliczne wzgórza pokryte były zielenią. Panowała uspokajająca cisza. Powietrze pachniało wiosną. Nic nie przypominało tego czasu, gdy pojawiłem się tutaj, czterdzieści osiem godzin po tym, jak Wilhelm Kunde zamordował mamę. To tutaj, chyba między pagórkami po lewej a stokiem po prawej, w miejscu, w którym kwitły teraz jaskry, obwieściłem ojcu: „Mama nie żyje“.

Ludziłem się, że oszczędzi mi wnikania w szczegóły, że nie będę musiał przeżywać po raz wtóry tego, co działo się w kwaterze Kundego. Ale ojciec nie ustąpił. Chciał znać każde słowo, każdy ruch. „Jaki miał wyraz twarzy?“ - pytał. „Czy był wściekły, czy mordował z zimną krwią? Co powiedziała mama? Co powiedział Kunde? Co powiedział Ritschek? Czy cierpiała? Skąd wiem, że nie? Jak zachowali się współwięźniowie? A jak żydowscy policjanci? Kiedy zabrano zwłoki? Kto je zabrał? Dokąd...?“

„Tato“, prosiłem, „przestań, nie wytrzymuję tego śledztwa“. Ojciec zadawał wciąż nowe pytania i skończył dopiero wówczas, gdy zamilkłem, gdy widział, że sięgnąłem kresu możliwości.

Za naszymi plecami przemaszerowała kolumna więźniów. Na komendę kapo zaczęli śpiewać jedną z tych piosenek ulubionych przez Niemców, wesołą i melodyjną jak muzyka operetki. Chciałem wrzasnąć, żeby przestali, żeby uczcili pamięć mamy. Krzyk utknął mi w gardle. Nawet gdyby go usłyszeli, nie mogliby pojąć. Tyle matek zostało zamordowanych, jedna więcej nie zmieniała rachunku. Ojciec przytulił mnie i wybuchnął płaczem.

„Nie płacz“, zaskomliłem jak szczeniak. „Nie płacz. Tu nie wolno płakać“.

Ojciec trzymał się mojej szyi jak koła ratunkowego. Miał drżący głos.

„Płacz ze mną, Romku. Płacz, bo tylko to nam zostało. Jak wypłaczymy wszystkie łzy, skończy się człowieczeństwo“.

Wstydzilem się moich suchych oczu. „Najważniejsze, że chociaż ty żyjesz“, powiedziałem. „Tak“, odparł. „Może masz rację; może samo życie jest naszą zemstą“.

Z biegiem lat, gdy wydorostałem, pojąłem, że wydarzenia układają się w pamięci cienkimi warstwami, każdy czas ma swój poziom, a wszystkie razem kształtują naszą świadomość. Zazwyczaj nie dostrzegamy tego skomplikowanego procesu, podobnie jak ziemia nie odczuwa wrastających w nią korzeni, nie wie, czy to rośliny pożyteczne, czy chwasty. Dziwna i nie zbadana jest synteza odepchniętych wspomnień z rzeczywistością. Nie umiemy jej kontrolować. Każda sadzonka niby zapomnianych wrażeń stanowi komórkę związków chemicznych kształtujących naszą osobowość. Wszystko jest przemieszane: ludzie i uczynki, dźwięki harmonijne i dysonanse, słabostki i siła woli, upór i pogodzenie z losem; wszystko wiąże niewidzialna nić samoistnej logiki życia. Nawet jeżeli cudem udaje nam się zajrzeć do kotłującego się wnętrza, nigdy nie jesteśmy w stanie zmienić temperatury wrzenia. Jakże frustrujące jest uczucie tej bezsilności, jak przygnębiająca świadomość, że nie mamy takiej władzy nad przemianami świadomości jaką mamy nad funkcjonowaniem ciała. Wady tego funkcjonowania nazywamy kalectwem. Ale krótkie spięcie w przewodach z duszy do mózgu traktujemy jako zjawisko zrozumiałe samo przez się.

Tak tłumaczyć należy, jeśli się nie mylę, mój pozornie absurdalny stosunek do otoczenia. Nie uroniłem łzy, patrząc na mord matki i nie zdołałem wydobyć z siebie szlochu, opowiadając ojcu o jej śmierci, ale tani melodramat na ekranie zwilża mi oczy. Bez wahania gwałtownie naciskam hamulce, gdy pies wpada mi pod koła, ale bez zmrużenia oka rozprawię się z przeciwnikiem stojącym mi na drodze. Niewiele mam w sobie litości dla bliźnich, ale nie lituję się również nad samym sobą. Każdorazową reakcją steruje świadomość. Uczucia ukrywają się pod warstwami pamięci, na samym dnie, jak ptaki więzione w klatce, nie wiedzące wcale, że są w niewoli. Potrzebny jest mocny wstrząs, aby otwarła się ta urojona klatka i ptak mógł zaćwierkać.

W Płaszowie studiowałem wyższą naukę przetrwania. Rzeczywistość wypisywała oceny, lecz nigdy nie otrzymałem dyplomu. Od czasu do czasu przebiegała przez obóz plotka o „strasznej“ klęsce Niemców i rozplywała się w kolejnej, ogólnej frustracji. Jedynie złe wieści miały to do siebie, że się sprawdzały. Łapaliśmy się każdej słomki nadziei i znajdowaliśmy złudne ukojenie w wyjaśnianiu niewytłumaczalnych sytuacji. Ojciec uciekł w opary nikotyny. Zachowywał się jak narkoman. Początkowo zamieniał ćwierć racji chleba, potem już połowę, na pył tytoniowy, który skręcał w skrawki starej gazety. Dosłownie nił w dymie. Zacząłem się troszczyć o jego zdrowie. Schudł, zgarbił się, cera mu zżółkła, poruszał się z coraz większym trudem, oddychał ciężko. Potem zacząłem się złościć. Wciąż byłem głodny. Często potrafiłem określić smak tego głodu. Tak, głód ma swój smak. Tyle tylko, że czujemy go nie na podniebieniu, lecz w żołądku. Soki trawienne są wówczas kwaśne. W niemym rozjątrzeniu patrzyłem, jak ojciec lekkomyślnie sprzedaje kruszyny życia. W zanadru chowałem nigdy nie rzucone pytanie: jeśli z taką łatwością rezygnuje z chleba, dlaczego nie daje go synowi?

Spotykaliśmy się dorywczo. W ciągu dnia pracowaliśmy w różnych warsztatach: ojciec w tapicerskim, ja w metalowym. Nocowaliśmy w odległych od siebie barakach. W godzinie zmierzchu, między zakończeniem pracy a początkiem godziny policyjnej, mogłem go odwiedzać. Rozmowy nie kleiły się. Ojciec omijał tematy związane z naszym bytem w obozie, jakby wierząc, że uporczywe milczenie może wymazać niepożądane fakty. Wolał mówić o przyszłości. Spostrzegłem, że rysując przede mną lepsze jutro, zawsze wracał do tego, co znał z przeszłości. Ten sam dom, Bielsko, Mickiewicza 37, ci sami przyjaciele, te same sprawy. Matki nie wspominał nigdy. Nie chciał pogodzić się z faktem, że jej nie będzie. Czasami próbowałem podważyć optymistyczny obraz czekającego nas świata, ale wówczas zbywał mnie niecierpliwym „jesteś zbyt młody, aby zrozumieć“. Nauczyłem się milczeć. Ojciec zadawała się posłusznym uchem. Monologi powtarzały się, były długie jak Księga Estery, lecz nie chciałem przerywać, mimo iż wkraczały w zabronione godziny; wracając do siebie, musiałem przemykać się między zabudowaniami, aby nie wpaść w oczy strażników. Szczęście dopisywało mi aż do tego wieczora, gdy...

Przebyłem połowę drogi do mego baraku, gdy wysoko na firmamencie zabłysło złote światło pędzące z ogromną szybkością, jak foton, dla którego nie ma istnienia bez prędkości. Podniosłem głowę i śledziłem je z zaciekawieniem. Meteoryt lub kometa w drodze do innej galaktyki symbolizowały bezgraniczną wolność kosmosu. Nasza stara, dobra Paula wierzyła, że jest to moment na życzenia, bo nic, tak jak spadająca gwiazda, nie zapewnia ich spełnienia. Obawiałem się, że nie wymyślę niczego zanim zgaśnie. Nie przychodziło mi na myśl żadne sensowne pragnienie. Dopiero w ostatnim ułamku sekundy, gdy światło wnikało już w aksamit nocy, zawołałem: „chcę żyć!“

Z wąskiego przejścia między ścianami baraków zabrzmiał tubalny głos:

„Czego tu szukasz, brudny Żydzie?!“

Z ciemności wyłoniła się sylwetka komendanta obozu Amona Goetha. Widziałem go tylko raz. Dwa tygodnie po przybyciu do obozu pojawił się w naszym baraku; dowódca żydowskiej policji Chilowicz dreptał za nim jak wiemy piesek. Padła komenda „bacność!“, ustawiliśmy się wyprężeni wzdłuż pryz, Chilowicz mówił w jidysz. Przemówienie było krótkie i rzeczowe: mamy oddać natychmiast wszystkie posiadane pieniądze i kosztowności. Amon Goeth znał ten tekst na pamięć, bo położył na stole odwróconą czapkę oficera Gestapo i dodał: „Życzę sobie, aby była pełna w ciągu dwóch minut. Nie będę sprawdzał, kto wrzucił i ile. Za niewykonanie rozkazu grozi wam kula w łeb“. Potem odwrócił się i zaczął liczyć: jeden, dwa, trzy, cztery - i tak do stu dwudziestu. Ku memu zdumieniu czapka wypełniła się znacznie wcześniej. Goeth wepchnął rękę w kupę monet, obrączek i naszyjników. Jego twarz wyrażała całkowitą obojętność. „Nie zapomnieliście o niczym?“, spytał. Barak odpowiedział milczeniem. „Przeszukaj tego“, ryknął na Chilowicza, wskazując starszego więźnia. Widocznie kierował się siódmym zmysłem, bo w skarpecie ofiary znalazł się dwudziestodolarowy banknot. Goeth przyłożył mu pistolet do gardła i nacisnął spust. Krew tryskała z grdyki w rytm pulsującego jeszcze serca. Stałem dwa kroki od niego. Lufa pistoletu przesunęła się w poprzek mej piersi, zatrzymała na lewo ode mnie, padł jeszcze jeden strzał po czym Goeth, włożywszy pistolet do kabury i zabrawszy czapkę, wyszedł z baraku.

Amon Goeth należał do tego typu ludzi, których wystarczy zobaczyć raz, aby zapamiętać na zawsze. Nawet w mroku jego barczysta postać rysowała się wyraźnie na tle rozgwieżdżonego nieba. Był wysokim, zawsze starannie ubranym oficerem, osobą o dużej ogładzie towarzyskiej i czytanej, bo przed wstąpieniem na służbę pracował jako lektor w dużym, austriackim wydawnictwie książkowym. Obozowe pogłoski wieściły, że był równie inteligentny jak okrutny, charyzmatyczny i szybki w dobywaniu broni, i że uśmiercał więźniów z taką samą zaskakującą szybkością z jaką przekształcił Płaszów w prywatny róg obfitości. Uczty i popijawy, które urządzał w swoim domu na terenie obozu, cieszyły się sławą wśród całej krakowskiej kadry oficerskiej. Żydówka, pracująca tam jako pokojówka, zginęła od strzału w potylicę, gdy zorientował się, że po pijanemu, przez pomyłkę, podał jej rękę. Żydowski koniuszy, były oficer jazdy w Wojsku Polskim, musiał umrzeć, bo odważył się wypowiedzieć krytyczną uwagę na temat sposobu, w jaki Majola, kochanka Goetha, trzymała się w siodle. Jego dwa psy, Rolf i Ralf, tresowane były do ataku na więźniów. Bez mrugnięcia powieką rozkazał zabić ośmiu pracowników, bo w warsztacie, w którym pracowali, znaleziono bułkę z plasterkiem kielbasy. Z jego biura wychodziły codziennie nowe rozkazy uśmiercania, torturowania i poniżania. Był postrachem obozu. A jednak nie wiedzieliśmy o nim wszystkiego. Gdy po wojnie zasiadł na ławie oskarżonych, przewod sądowy ujawnił setki przestępstw, o których nie mieliśmy pojęcia. Najwyższy Trybunał Narodowy w Krakowie skazał go na karę śmierci.

Stałem naprzeciw tego człowieka między ścianami dwóch baraków, świadomy, że wówczas wystarczało naruszenie godziny policyjnej, aby zostać skazanym na śmierć.

„Stóóój!“, zahuczał.

Nawet gdybym chciał, nie mógłbym się ruszyć. Nogi wrosły mi w ziemię. Sparaliżowany strachem śledziłem ruch jego prawej ręki. Pomału opadła do poziomu pasa. Goeth wydobył pistolet, lufę skierował we mnie, ale nie nacisnął spustu. Opóźniał rozstrzygającą chwilę. Podobała mu się ta gra w kota i mysz. Śmierć wisiała w powietrzu, a on był jej panem. Wiedział, że w sekundzie, w której ugodzi mnie pocisk, zakończy się gra, skończy się poczucie władzy. Cóż to za przyjemność panować nad trupem? Nie potrafiłem ocenić, ile czasu minęło od chwili gdy stanął mi na drodze do momentu decyzji. Usłyszałem suchy szcęk. Nagle dotarło do mojej świadomości, że pistolet spalił na panewce. Amon Goeth głośno przeklinał swoją broń. Wysunął magazynek i znów go wcisnął, repetował kilkakrotnie, coś mu się tam zacięło, w mroku nie mogłem dostrzec szczegółów. Jego

przekleństwa były jedynym objawem ludzkiej reakcji. Ta chwila jego bezsilności przywróciła mi pełną jasność umysłu: teraz albo nigdy! Odwróciłem się na pięcie i popędziłem przed siebie jak szalony. Nie miałem pojęcia, dokąd biegnę. Za plecami brzmiał tubalny głos:

„Halt! Stój, brudny Żydzie!“

Zatrzymałem się dopiero, gdy brakło mi tchu. Oparłem się o ścianę baraku. Najchętniej wtopiłbym się w źle oheblowane deski, wsiąkłbym w mrok. Dyszałem. Wydawało nu się, że ciężki oddech odbija się stokrotnym echem po całym obozie, bez powodzenia usiłowałem go zdusić w płucach. W skroniach waliły młoty. Goeth nie słyszał mnie, ale ja słyszałem Goetha. Stek przekleństw oddalał się, aż rozpląnął się w przestrzeni. Zapanowała całkowita cisza. Nogi ugięły się pode mną. Osunąłem się wzdłuż ściany. Odpoczywałem. Ruchome światło na firmamencie zgasło dawno, lecz nie ulegało wątpliwości, że Paula miała rację; moje życzenie zostało spełnione.

Amon Goeth przybył do Krakowa z rejonu lubelskiego, gdzie wprawiał się w rzemiośle mordowania Żydów. Stało się to kilka miesięcy przed naszym aresztowaniem. Obóz w Płaszowie zbudowano jesienią roku czterdziestego pierwszego, ale dopiero pod komendą Goetha przekształcił się w miejsce masowej zagłady. Od pierwszego dnia ustalił morderczy rytm pracy. Aby przyspieszyć roboty budowlane, wyjaśnił żydowskim inżynierom, iż za każde opóźnienie zapłacą życiem ich żony i dzieci. W dniu ostatecznej likwidacji getta obóz był gotów do przyjęcia dziesiątków tysięcy więźniów. Początkowo więziono tam również Polaków, ale od końca roku 1944, gdy Płaszów stał się obozem koncentracyjnym, znajdowali się w nim wyłącznie Żydzi. Tyle tylko, że obaj z ojcem byliśmy wówczas zupełnie gdzie indziej. W lecie załadowano nas do bydłowych wagonów i odtransportowano do obozu pracy w Starachowicach. Byłem szczęśliwy, że los nas nie rozdzielił; nie sądziłem, że nastąpi to wkrótce, że tylko jeden z nas przeżyje.

Nie odziedziczyłem po ojcu ani złudnych nadziei na lepsze jutro, ani owego pół bochenka chleba ukrytego u wezłowania. Jedynie wszy przeniosły z martwego ciała krew zatrutą tyfusem plamistym. Nawet gdy stało się jasne, że jestem chory, udawałem sam przed sobą, że to niemożliwe. Zmęczenie kładłem na karb ciężkiej pracy, gorączkę tłumaczyłem ciepłem akumulowanym przy piecach do wytapiania stali. Ale jak długo można siebie oszukiwać? Zarazki tyfusu okazały się być mocniejsze od siły woli. Obozowi sanitariusze zawlekli mnie do tego samego szpitala, w którym skonał ojciec. Siedem dni trząsałem się jak w febrze. Straciłem poczucie rzeczywistości, a gdy wynurzyłem się z długiego ciągu halucynacji, twarz Fredka Minca była pierwszą rzeczą, którą ujrzałem. Długo trwało, zanim nabrała określonych kształtów, zanim uszy stały się uszami, nos stał się nosem, a oczy nabrały wyrazu. Chciałem coś powiedzieć, chyba podziękować, ale język przyległ do suchego podniebienia, nie mogłem wydobyć głosu. Fredek wlał między moje spieczone wargi trochę wody. Nazajutrz przyniósł pół bochenka chleba, lichy wie skąd, i wepchnął go pod siennik. Skoro tylko wyszedł, wgryzłem się w chleb i nie przeżuając połykałem duże kęsy. Obawiałem się, że „sanitariusz“ mi go skonfiskuje. Ale szpitalne łapiduchy były syte. Jeden z nich pokiwał nade mną głową: „żryj, żryj“, powiedział. „Tutaj albo wszy zżerają ludzi, albo ludzie żrą chleb“. Po kilku dniach wróciłem do pracy.

Noce grzmiały odległym hukiem. Po chorobie straciłem słuch w prawym uchu. Początkowo zdawało mi się, że huk rodzi się we mnie, że wydobywa się z trzewi, niemal jak u brzuchomówcy, i że odbieram ten dźwięk nie słyszącym uchem. Ale odbierali go także inni. Coraz głośniejsze grzmiała ta odległa burza i coraz głośniejsze mówiono o walkach toczących się na prawym brzegu Wisły. Łomot artylerii koił nerwy jak najcudowniejsza muzyka. Szybko znaleźli się specjaliści, twierdzący, iż rozróżniają huk wystrzału od wybuchu pocisku. Niektórzy odgadywali kaliber i rodzaj działa. Domorośli stratedzy twierdzili, że ostrzał artyleryjski zawsze stanowi wstęp do wielkiej ofensywy i wysnuwali jedynie słuszny wniosek, że wyzwolenie zbliża się milowymi krokami. Jakakolwiek byłaby prawda, Niemcy nie potrafili ukryć narastającego niepokoju. Kompania ukraińskich żołnierzy w czarnych mundurach SS wzmocniła straż obozową. W pośpiechu wzniesiono dwie dodatkowe wieże wartownicze. Obóz otoczony był podwójnym ogrodzeniem: od wewnątrz wysoki drut kolczasty, od zewnątrz równie wysoki parkan z desek. Od zapadnięcia mroku aż do brzasku oświetlony był jaskrawym światłem reflektorów. Wartownicy gasili je tylko na jęk syren zapowiadających alarm lotniczy. Zdarzało się to coraz częściej, ponieważ radzieckie bombowce - a może były to samoloty amerykańskie lub brytyjskie? - nawiedzały nasz rejon kilka razy tygodniowo.

Ani przez chwilę nie przyszło nam na myśl, że bomby mogą nas zabić; jakby istniało niepisane przymierze ustalające, iż będą spadać tylko i wyłącznie na głowy hitlerowców.

Pięciu więźniów wykorzystało zaciemnienie, aby zbiec z obozu. Wybrali moment, w którym ciężarówka wjeżdżała w otwartą bramę i czmychnęli na zewnątrz nie zauważeni przez wartowników. Ucieczka wyszła na jaw podczas porannego apelu. Tego dnia nie wyprowadzono nas do pracy. Godzinami staliśmy na placu apelowym. Potem kazano nam zamknąć się w barakach. Niemcy obawiali się, że przykład udanej ucieczki zachęci innych. Jeszcze tego samego wieczoru uruchomili aparat propagandy wewnętrznej. Więźniowie znani ze swoich dobrych kontaktów z funkcyjnymi rozpowszechniali pogłoskę o specjalnych jednostkach SS przeczesujących całą okolicę. Szmuel z magazynu odzieżowego, o którym wiadano, że jest obozowym donosicielem, wyjaśniał nam, dramatycznie przykładając rękę do serca:

„Ci, co zbiegli, to samobójcy. Nie mają żadnej szansy na przeżycie.

Lasy są w rękach niemieckich. Bądźcie rozsądni. Słyszycie ten huk? To wolność. Jeszcze kilka dni i wszyscy będziemy wolni. Nie warto ryzykować. Siedźcie na dupie, a wszystko ułoży się jak najlepiej“.

Słuchaliśmy nie komentując, choć każdy wiedział, że Niemcy boją się lasu jak diabeł święconej wody, że nawet po drogach wiodących przez zalesione tereny poruszają się jedynie w ciężko uzbrojonych konwojach. Polscy robotnicy w hucie często opowiadali o partyzantach i ich udanych zasadzkach. Niestety, optymizm trwał krótko. Zaledwie tydzień po ucieczce komenda obozu ogłosiła, że zbiegów ujęto i że wyrok śmierci wykonany zostanie na naszych oczach.

Szafot stanął na placu apelowym. Załoga obozowych cieśli wzniosła go nocą. Josek-stolarz, tak nazywaliśmy go od czasu, gdy zarządzał brygadą budującą wieże wartownicze, był odpowiedzialny za sprawne działanie szubienicy. Jasek nie miał w sobie nic z oprawcy. Wręcz przeciwnie; był ogólnie lubianym kolegą. Swoim poczuciem humoru i wieczną pogodą ducha zyskał także sympatię Niemców i chyba dlatego zaszczycili go tak poważną funkcją. Gdy pogoniono nas na plac apelowy, dwie godziny przed pobudką, sprawdzał ostatnie detale. Uderzał młotem w bele, jak kolejarz badający hamulce wagonów, naciągał sznury, aby się upewnić, że udźwigną ciężar powieszonych i znikł nam z oczu dopiero wtedy, gdy oddział *szaulisów* otoczył nas zwartym kordonem. Staliśmy twarzą zwróceniu ku wschodzącemu słońcu, mijały godziny, zaczęło przypiekać, bezchmurne niebo odbijało blask i oślepiało nas coraz bardziej. Przez bramę wjazdową wtoczyła się do obozu zielona ciężarówka, zatoczyła szeroki krąg i zatrzymała się tuż przy miejscu straceń. Kapo uwijali się między szeregami więźniów, wybierając kilkunastu najsilniejszych. Ich zadaniem było wyładować drewnianą klatkę. Siedziało w niej pięciu skazańców. Ciężarówka odjechała. Klatka stała na ziemi. Cała piątka zaczęła śpiewać piosenkę, której pierwsze słowa i refren - *Alle V;gel sind wieder da*²⁷ - mówiły same za siebie. Cały ten spektakl był starannie wyreżyserowany, niczego nie pozostawiono ręce przypadku, nawet oślepiające słońce zaplanowano z góry. Tysiąc wyprężonych na bacność więźniów stanowiło widowieństwo. Zastanawiałem się, jakimi torturami, lub jaką kłamliwą obietnicą, zmuszono przybyszów do śpiewania wesołej piosenki.

„Każdego zbiega szubienica czeka!“ recytował przez tubę komendant obozu, a my powtarzaliśmy za nim chórem, najgłośniej jak tylko umieliśmy: „każdego zbiega szubienica czeka!“ Był to rodzaj wokalnego preludium do drugiego aktu przedstawienia. *Szaulisi* otworzyli drzwi klatki, zakryli głowy więźniów szarymi płóciennymi workami i pomogli im wstąpić na podest szubienicy. Skazańcy nosili odzież typową dla starachowickiego obozu: nie pasiaki, lecz cywilne spodnie i marynarki pomalowane olejną farbą w żółte i czerwone pasy. Ręce mieli skute za plecami. Komendant obozu głośno odczytywał nazwiska, spod worków dobiegało zniekształcone, posłuszne, pięciokrotne „jest!“ . Podoficer SS założył każdemu pętlę. Oficer z obozowej załogi stanął z boku, przyłożył do oka aparat fotograficzny i czekał na odpowiedni moment. Oczy piekły mnie coraz bardziej, słońce zdawało się wypalać źrenice, ale nie spuściłem wzroku.

„*Los!*“; krzyknął komendant obozu. Dwaj *szaulisi* mocno szarpnęli za hak szafotu, pomost pod nogami skazańców zapadł się w mgnieniu oka, ciała poderwały się w jakiejś ostatniej konwulsji i zawisły bez ruchu. Głowy mieli przechylone, z daleka, pod światło, wyglądali jak kukły z teatru potworności. Lekarz w mundurze SS spojrzął przelotnie na zwłoki i skinieniem głowy stwierdził

²⁷ Wróciły wszystkie ptaki - refren popularnej niemieckiej piosenki ludowej.

śmierć. Fotograf-amator przewiesił aparat przez ramię, grupa Niemców oddaliła się w stronę budynku komendantury, na miejscu zostały tylko trupy powieszonych i my, publiczność. Do pracy wyszliśmy z kilkugodzinnym opóźnieniem. Po powrocie, było już zupełnie ciemno, kazano nam przemaszerować przed pustym szafotem. Szubienicy nie rozebrano. Została na miejscu dłużej. Miała służyć jako ostrzeżenie skierowane do wszystkich, którym przy szlaby do głowy zębna myśl o ucieczce.

Po kilku dniach obleciała obóz przedziwna plotka, głosząca, iż pięciu skazanych na śmierć nie było wcale uciekinierami ze Starachowic. Początkowo traktowano ją lekceważąco. Dopiero po tym, jak wydało się źródło informacji, zaczęliśmy podejrzewać, iż byliśmy świadkami okrutnej manipulacji ludzkim życiem. Grabarze, którzy pochowali zwłoki w dole wykopanym za drutami obozu, twierdzili, że nie rozpoznali powieszonych. W obozie niemal wszyscy znali wszystkich, pomyłka w identyfikacji była prawie niemożliwa. Co więcej, grabarze gotowi byli przysiąc, że ofiary nie były obrzezane, a więc nie mogły być Żydami. Minął jeszcze tydzień, z kancelarii obozu zaczęły się przecieki: hitlerowcy powiesili w Starachowicach pięciu „politycznych” przywiezionych prosto z więzienia Gestapo w Kielcach. Przypuszczalnie Polaków.

Po tym, jak tajna akcja stała się tajemnicą poliszynela, postanowiono wprowadzić bardziej drastyczne środki zastraszania. Na szubienicę pójda nie prawdziwi lub fałszywi zbiegowie, lecz zakładnicy. Za każdego więźnia, który ucieknie z obozu, uśmierconych zostanie kilku jego towarzyszy losu. Zasadę tę doprowadził do perfekcji sam pan Wilczek, żydowski dowódca obozu, totumfacki komendanta załogi SS. Niemiec ten zwykł mówić o nim, że darzy go tak wielkim zaufaniem, iż nie zawahałby się powierzyć mu kluczy od kasy. Była to wieloznaczna pochwała, bo w kasie znajdowały się pieniądze i kosztowności zrabowane przez SS-manów właśnie przy pomocy Wilczka.

Wilczek cieszył się szczególnymi przywilejami. Jako jedyny w obozie mieszkał z żoną i synem w osobnym, niezłe umeblowanym baraku. Na rodzinnym stole nigdy nie brakło jedzenia. Bez względu na porę dnia lub nocy mógł się swobodnie pomszać po obozie, a czasami, pod pozorem wizytacji placówek roboczych, wychodził na miasto bez konwoju. Nikt z nas nie wiedział, dokąd szedł i jakie sprawy załatwiał. Wilczek był najwyższym po Niemcach autorytetem w sprawach przydziału pracy i podziału żywności. Kto służył mu wiernie, jadał do syta i nie pracował ciężko. Wprawna ręka pociągał za sznurki sieci donosicieli, umacniających jego władzę w obozie oraz pozycję u oficerów SS. Swojego syna mianował szefem policji obozowej, ale poszczególnych policjantów dobierał osobiście i dokładał wszelkich starań, aby wiedzieli dokładnie, z której strony smarowana jest kromka chleba. Każdy wybraniec składał mu przysięgę wierności, aczkolwiek ani przysięgi, ani wierność nie miały w tych czasach wielkiego znaczenia. Znacznie istotniejszy był fakt, że musieli być czuli na każdy kaprys Wilczka, bo przecież było w jego mocy anulować nominację i odesłać delikwenta do pracy przy piecach martenowskich. Za tę przymusową wierność Wilczek przymykał oko na fakt, że policjanci bmtalnie wykorzystywali swoją władzę dla poprawy bytu codziennego. Czego nie udało się wynieść z magazynów, to konfiskowali współwięźniom. Nie trzeba chyba dodawać, że żydowska policja obozowa, znienawidzona czasami bardziej od Niemców, bez drgnienia powieki wykonywała każde żądanie mocodawców. Wątpliwe jest, czy bez tej kolaboracji udałoby się nazistom wprowadzić w obozie żelazną dyscyplinę i tenor.

Często zastanawiałem się, dlaczego Niemcy wybrali właśnie Wilczka. Był osobą niepozornej postury, wystawiał się z trudnością, poruszał ciężkim, niedźwiedzim krokiem, miał duże odstające uszy i tylko długi orli nos użyczał jego twarzy jakiegoś mizernego rysu charakteru. Opowiadano, że przed wojną zaliczał się do zamożniejszych mieszkańców pobliskiego Wierzbnika i że wcale nie miał węża w kieszeni. Wręcz przeciwnie. Liczni ubodzy Żydzi korzystali ponoć z jego wsparcia. Był wzorowym ojcem rodziny, co sobotę modlił się w bóżnicy, nigdy nie kłął i mimo że nie stronił od dobrej gorzałki, nigdy nie wypił o kieliszek za dużo i nigdy nie skrzywdził przysłowiowej muchy. Dlaczego więc jego wybrali Niemcy? Czyżby kierowali się szczególnym zmysłem pozwalającym wykryć duszę złooczyńcy w ciele człowieka? A może zło tkwi w każdym z nas, przytłumione konwenansami i kodeksem moralnym narzuconym przez otoczenie, potrzebując tylko odpowiedniej okazji, aby wyhynać na powierzchnię? Jakakolwiek by nie była odpowiedź, to syn Wilczka przedłożył Niemcom ojcowski projekt zwalczania ucieczek: od zmierzchu do rana patrolować będą wzdłuż drutów, oczywiście po ich wewnętrznej stronie, patrole złożone z więźniów. Patrolujący zostaną wyposażeni w gwizdki, nosić będą białe kitle, aby byli dobrze widoczni w świetle reflektorów, a nawet w świetle księżyca, i będą się zmieniać co dwie godziny. Ich obowiązkiem

będzie zaalarmowanie wartowników na wypadek każdego podejrzanego ruchu w obozie, nie mówiąc już o próbie zbliżenia się do drutów kolczastych. Za każde zapobieżenie ucieczce wynagrodzeni zostaną specjalnym przydziałem chleba. Za każdą udaną ucieczkę zapłacą życiem.

Uchylam przed wami kapelusza, panowie Wilczek. Wymyśliście rzecz prostą, a genialną. Zdarza się jednak, że nawet geniusze popełniają błąd. A pomysł białych patroli był błędem kardynalnym. Nie doceniliście, szanowni panowie, siły ludzkiego strachu, zapomnieliście, że strach ma dwa oblicza. Czym bardziej zbliżały się echa wojny, tym bardziej mnożyły się wieści o likwidacji obozów znajdujących się w bezpośredniej bliskości frontu. Naziści, mówiono, zacierają za sobą ślady zbrodni, nie zostawiając żywych świadków. Było tylko kwestią czasu, kiedy zabiorą się do Żydów więzionych w Starachowicach, wyrzną nas do ostatniego, wysadzą w powietrze zakłady przemysłowe i wycofają się, zostawiając za sobą spaloną ziemię. Strach działał jak najlepsze spoiwo, wspólnota przeznaczenia stała się bardziej wyrazista. Po pracy ludzie spotykali się w barakach, dyskutowali zażarcie i milkli natychmiast, gdy zbliżał się ktoś spoza ich grona lub ktoś podejrzanym o współpracę z Wilczkiem. Fredk Minc i ja, nie mając jeszcze szesnastu lat, nie byliśmy dopuszczani do rozmów dorosłych. Sądziliśmy, że dyskutujący omawiają sytuację na froncie i kalkulują, kiedy nastąpi dzień wyzwolenia. Nie tak było w rzeczywistości.

Syreny alarmowe zawyły o drugiej po północy. Nie słyszałem ich zawodzenia. Zmęczenie było tak wielkie, że nawet wybuch bomby tuż pod pryczą nie byłby w stanie mnie obudzić. Ze snu wyrwał mnie lekki szelest płynący falą poprzez barak. Wydawało się, że wnikał we mnie wszystkimi porami, że działał nie tyle na zmysł słuchu, co na napięte nerwy. Czuję, że coś nadzwyczajnego dzieje się wokół mnie, lecz, wciąż jeszcze walcząc ze snem, nie potrafiłem określić charakteru tego niecodziennego ruchu. Ludziom zmęczonym potrzebny jest ułamek sekundy do zanurzenia się w sen; powrót do rzeczywistości wymaga siły i czasu. Nawet gdy byłem już całkowicie trzeźwy, opadłe powieki odmawiały posłuszeństwa. Ktoś nadepnął mi na brzuch obutą nogą. Wrzasnąłem, bardziej z gniewu niż z bólu, i natychmiast pojąłem, co się dzieje.

„Wariat, dokąd pędzisz?!“

To nie ja, to był podenerwowany głos Fredka. Pytanie wysłane w ciemność baraku nie wróciło odpowiedzią. Drzwi na zewnątrz stały otworem, widok całkowicie niezwykły. Syreny przestały wyć. Widziałem sylwetki ludzi przebiegających przez prostokąt otwartych drzwi i znikających w półmroku.

„Wszyscy uciekają!“, zawołałem w nagłym podnieceniu.

„Nie słyhać gwizdków“, zauważył rzeczowo Fredk.

Wciągnąłem na nogi drewniaki, gorączkowo wiążąc sznurowadła.

„Co robisz?“

„To co wszyscy.“

„Ja się nie ruszam“, mruknął Fredk.

„Coś ty...“

„Za duże ryzyko.“

„Chcesz być mądrzejszy od mądrych?“

„Rób, co chcesz, ja się nie ruszam.“

„Chcesz zdechnąć na leżąco?“

„Od kiedy to jesteś takim bohaterem?“

„To ze strachu. Chcę być ze wszystkimi.“

„No to leć, kretynie. Ja zostanę, przynajmniej będzie ktoś, kto zmówi za ciebie *kadisz*²⁸.“

„Gwizdź na twoje modlitwy. Pytam po raz ostatni: ruszasz?“

„Nie.“

Fredk schował głowę pod koc.

Skończona dyskusja, skończona przyjaźń. Nie było czasu na rozważania, kto porzuca kogo i co warta jest przyjaźń nie wytrzymująca próby ognia. Każda sekunda była droga. W każdej chwili syreny mogły ogłosić koniec alarmu, umożliwić wartownikom zapalenie reflektorów. Działaniem pod wpływem impulsu. Zeskoczyłem z pryczy, wybiegłem na dwór, pobiegłem w ślad za przytłumionymi głosami. Wzrok przyzwyczał się do ciemności. Widziałem przecięte zasieki i kilka wyrwanych desek

²⁸ Żydowska modlitwa za umarłych.

z płotu. Ludzie popychali się nawzajem, dziko walcząc o miejsce w wyrwie. Ktoś mnie kopnął. Złapałem go za rękaw, człowiek uskokczył, wyrwany rękaw koszuli został mi w kurczowo zaciśniętej dłoni. Bezmyślnie wsunąłem go do kieszeni spodni. Człowiek przede mną miał szerokie bary i mocne łokcie, jak taran torował sobie drogę w tłumie. Instynktownie przylgnąłem do jego spoconych pleców. Żelazne kolce dały nogawki, raniły ramiona. Znów stanął mi ktoś na drodze, próbował oderwać od otworu na wolność, darłem się jak obdzierany ze skóry, nie panowałem nad sobą, ugryzłem jak wściekły pies; jeszcze jeden krok, jeszcze jeden mały wysiłek - i znalazłem się poza obozem.

„Biały patrol“ nie działał po myśli Wilczka. Więźniowie w kitlach wyczuli koniec sezonu przemocy i z całym zapalem przystąpili do wykonania planu przygotowanego przez tajną grupę operacyjną. Godzina realizacji ustalona została na pierwszą bezksiężycową noc, podczas której ogłoszony zostanie alarm lotniczy i wartownicy zgaszą światła. Gdy spełniły się przewidziane warunki, patrolujące dwójki przecięły druty kolczaste i wyrwały deski z płotu zewnętrznego w czterech z góry wyznaczonych miejscach, w tej części ogrodzenia, które zwracało się ku pobliskim lasom. Spiskowcy podzieleni byli na cztery grupy, każda miała swojego przewodnika i wiedziała dokładnie, przez którą wyrwę ma wybiec na wolność. Konspiratorzy nie przewidzieli, że za kilku dziesiątkami wtajemniczonych runą ławą setki innych.

W uszach bębniło. Biegłem przez zaorane pole, nieświadom tego co czynię, opętany amokiem. Potknąłem się. Upadłem, zaryłem nosem w wysuszone grzędy. Wstałem. Znów biegłem. Obok mnie, przede mną i za mną biegli inni. Słyszałem ich przyspieszone oddechy. Jeszcze dwieście metrów; jeszcze sto. Ciemniejszy od nocy pas lasu wybiegał mi naprzeciw, był niemal w zasięgu dotyku, gdy doścignął mnie strumień białego światła. Jeden po drugim zapalały się reflektory na wieżach strażniczych i zalewały przedpole śmiertelną jasnością. Ile sekund dzieli mnie od pierwszych drzew? Tach-tach-tach, zaszczekały karabiny maszynowe. Po lewej i prawej padali zabici, może tylko ranni. Ile metrów jeszcze? Trzydzieści, dwadzieścia, dziesięć, meta!

„Wszyscy za mną!“, zawołał Mały Zelig.

Bez trudu poznałem jego głos. Przydomek „Mały“ przylepiono mu ze względu na niemal karłowaty wzrost. Mały Zelig pracował w grupie obozowych grabarzy. Ponieważ urodził się i wychował w Starachowicach, znał w tej okolicy każdy metr kwadratowy. Szliśmy za nim przez haszcze dzikich malin. Ziemia usłana igłami sosen i świerków tłumiła kroki. Strzelanina w dali wciąż jeszcze trwała, ale w lesie czuliśmy się bezpieczni. Zelig powtarzał od czasu do czasu „wszyscy za mną“, abyśmy nie stracili śladu. Po jakimś czasie, nie umiałem go zmierzyć, przystanął i powiedział:

„Daję wam dziesięć minut na odpoczynek. Przed nami jeszcze pół godziny drogi do punktu zbornego. Spotkamy tam pozostałe trzy grupy. Jeśli partyzanci nie zmienili obozowiska, znajdziemy ich w ciągu najbliższej godziny“.

Usiadłem na kępcie mchu. Mały Zelig liczył nas jak owce. Było nas dwudziestu trzech. „Im dalej w las, tym więcej drzew“, instruował, żądając, abyśmy szli gęsiego, każdy dotykając wyciągniętą ręką pleców kroczącego przed nim. „To są prawdziwe bory, łatwo się zgubić“, ostrzegał. Mówił w jidysz, z trudem go rozumiałem. Wspólnik do kępy mchu dziwił się:

„Jak to możliwe, że Żyd nie mówi po żydowsku?“

„U nas mówiono po polsku“.

„U was? Gdzie jest to: u was?“

„Na Śląsku Cieszyńskim“.

„A w domu?“

„Także po polsku“.

Sąsiad pokiwał głową.

„Niemożliwe. W Polsce wszyscy Żydzi mówią po żydowsku“.

„Widocznie mamy na myśli dwie różne Polski“, odparłem lekko zniecierpliwiony.

„Albo dwóch różnych Żydów“, odparował ironicznie. Potem, aż do końca postoju, opowiadał o swoim prawdziwie żydowskim domu. Gdy nadeszła pora wymarszu w dalszą drogę, nie mogłem wstać. Mocny ból uniemchomił lewą nogę. Dotknąłem jej poniżej kolana. Nogawka spodni była mokra. Podniosłem otwartą dłoń bliżej oczu. Była zakrwawiona. Podkasałem spodnie. Byłem ranny. Nie czułem, kiedy i jak trafiły mnie kule, dziwiłem się, że bez przeszkód zawlokłem się tak daleko. Mały Zelig pchnął mnie w ramię.

„Co z tobą, synku? Czekamy na pociąg?”

„Złapałem dwa pociski“, wymamrotałem.

Zelig przetarł nogę garścią liści, obejrzał ranę i zawyrokował, że jest powierzchowna.

„Tu nie ma mamusi, żeby pomogła. Dźwignij dupę i w drogę. Partyzanci ci to opatrzą“.

Partyzanci tak pewnie czuli się w swoim leśnym królestwie, że nie zatroszczyli się nawet o wystawienie wart. Z daleka spostrzeżliśmy kilku mężczyzn rozłożonych wokół płonącego ogniska na polanie, pijących i zawodzących smętną melodię. Po broń sięgnęli dopiero, gdy wyłoniliśmy się spośród drzew, ale i wówczas bez paniki i pośpiechu. Zelig kazał nam stanąć w miejscu, sam wkroczył na polanę i podniósłszy ręce do góry, wołał: „nie strzelać! Nie strzelać!“

„Witamy w kuchni dla biednych“. Jeden z partyzantów przedrzeźniał żyłaczem Zeliga, potem skinął: „chodź bliżej, dawno nie mieliśmy tu karła“. Mały Zelig kroczył na swoich krzywych nogach, kołysząc się w biodrach jak marynarz. Ruszyliśmy za nim, ale kazano nam cofnąć się do linii lasu i czekać. Nie słyszeliśmy, o czym rozmawiał z kimś, kto był chyba dowódcą oddziału, dopiero gdy uścisnęli sobie ręce odetchnęliśmy z ulgą. Po chwili wrócił i powiedział:

„Wszystko w porządku. Za chwilę podgrzeją nam zupę, jutro rano omówimy przyjęcie do jednostki. Nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo. Od miesiąca nie widzieli tu Niemca. Na razie usiądźcie rzędem wzdłuż tych sosen. Dlaczego? Nie zadawajcie głupich pytań. Tutaj oni wydają rozkazy, a my je wykonujemy. Może nadejdą tymczasem pozostałe grupy. Nie wiem, dlaczego nie przyszły na umówiony punkt spotkania. A jak się komuś tu nie podoba, może wrócić i zaśpiewać, że wszystkie ptaki wróciły do gniazda“.

Znów podwinąłem nogawkę. Krwawienie ustało, ale rana piekła jak wszyscy diabli. Przestraszyłem się, że partyzanci nie zechcą przyjąć rannego. Trzeba było opatrzyć nogę i wyprać spodnie.

Mały Zelig był w świetnym humorze, opowiadał ordynarne dowcipy, wszyscy się śmiali. Nagle uświadomiłem sobie, że co najmniej od roku nie słyszałem śmiechu. Głośny, swobodny, ludzki śmiech był świadectwem wolności. Odkrycie powinno było mnie wzruszyć, ale byłem zbyt przejęty raną, aby myśleć o czymkolwiek innym. Pomału zacząłem przesuwać się w tył, podpierając ciało rękami i szorując tyłkiem po ziemi. Gdy znalazłem się poza zasięgiem światła, wstałem. Nikt nie zauważył mego zniknięcia, tylko zwierzątko podobne do wiewiórki wyskoczyło na mój widok z dziupli i czmychnęło w pobliskie krzaki. Nie jest tak źle, pomyślałem, dopóki są stworzenia, które się mnie boją. Kuśtykałem pomału w głąb boru. Pamiętałem kierunek, pamiętałem strumyk, przy którym zatrzymaliśmy się na odpoczynek. Było coraz ciszej i coraz ciemniej. Nie wiem, skąd wzięła się ta głupia myśl: „czy Pan Bóg widzi w mroku?“, zastanowiłem się i zaraz sam sobie odpowiedziałem: „jeśli kot widzi, to dlaczego Pan Bóg miałby nie widzieć“.

Strumyk był płytki, brodziłem w wodzie po kolana, miły ziąb chłodził rozognione rany. Przypomniałem sobie o rękawie koszuli w kieszeni, wy dobyłem go i użyłem jako opatrunka. Końce zacisnąłem mocno, aż poczułem tętno w żyłach pod kolanem. Przepłukałem spodnie i wyszedłem na brzeg z samopoczuciem człowieka, który pokonał pecha.

Krótką serią strzałów rozdarła nocną ciszę. Instynktownie padłem, nakryłem głowę rękami. Nasłuchiwałem. Cisza. Gdzie są wszyscy mądrze, którzy twierdzili, że Niemcy nigdy nie odważą się zapuścić w las? Znów seria, tym razem dłuższa. Echo sucho trzaskało po lesie, uciekało i wracało, nie sposób było ustalić, skąd padają strzały. Wydawało mi się, że strzelają ze wszystkich stron, że jestem otoczony. Minęła minuta, może pięć, strzelanina ustała, las znów przemawiał szelestem drzew i pluskiem wody w strumyku.

Co robić? Dokąd pójść? Pomału, Romanie, pomału, nie rób głupstw, nie ruszaj się. Jazgot pistoletów maszynowych może odezwać się powtórnie, czekaj, odczekaj. Czeakać? Na co? Jak długo? Postanowiłem: policzę do stu. Policzyłem do pięciuset. Postanowiłem: muszę dostać się na polanę, do swoich. Woda chlupała w butach. Kulałem. Posuwałem się ostrożnie, badałem, czy nie mylę kierunku. Co chwila przystawałem, nasłuchiwałem. Nic. Tylko sowa hukała gdzieś nade mną.

Pojaśniało. Zastłona dymna rozwiła się, teraz widziałem wyraźnie trupy zabitych. Śmierć spadła na nich zniecka, niektórzy wyglądali jakby spali na siedząco, wciąż jeszcze oparci plecami o pnie drzew, w miejscu, z którego wycofałem się przed niespełną godziną. Zwłoki zastrzelonych leżały także pośrodku polany, może wybiegli naprzeciw oprawcom, może błagali o litość. Partyzanci wlekli

zwłoki jak worki kartofli, aby je rzucić do dołu. Zastanawiałem się, kiedy zdążyli go wykopać. A może był tam od dawna, tak sobie, na wszelki wypadek? Gdybym mógł, wcisnąłbym się w ziemię, bo wszystko czego pragnąłem, to zostać nie zauważony. Bałem się głośno oddychać. Nie pamiętam, jak długo trwało, aż nakryto dół mieszaniną gałęzi i ziemi. Partyzanci rozłożyli się wokół dogasającego ogniska, nakryci kocami, zmęczeni. Znów nie wystawili wart. Czekałem, aż całun całkowitej ciemności pokryje miejsce zbrodni, wyczołgałem się z ukrycia, wstałem i wolno ruszyłem w głąb lasu, w niewiadome.

Na próżno próbowałem zgłębić przyczyny tego, co się stało. Dlaczego musieli zginąć moi przypadkowi towarzysze losu, dlaczego tak tragicznie, u samego progu wolności? Co powodowało partyzantami, że z zimną krwią zabili dwudziestu dwóch mężczyzn zdolnych do noszenia broni i gotowych walczyć z hitlerowcami? Pytania cisnęły się na usta, ale nie było nikogo, kto umiałby na nie odpowiedzieć. W ową noc sabatu czarownic nie wiedziałem jeszcze, że w okolicznych lasach i borach działała także partyzantka, dla której Niemcy nie byli wrogiem numer jeden. Ale nawet gdybym znał na pamięć labirynt, w którym poruszały się poszczególne organizacje podziemne, wątpię, czy wiedza taka ułatwiłaby mi wyjście z sytuacji. Byłem sam na sam ze swoją bezradnością, przerażeniem i brakiem orientacji. Brakło Małego Zeliga, żeby wskazał drogę. Musiałem podjąć decyzję, może najważniejszą w życiu, ale idąc przez las, zdawałem sobie sprawę, że w gruncie rzeczy czekam na cud, który nie nastąpi. Jedynie w bajkach dobre krasnoludki ratują zabłąkane dzieci. Zresztą, nie byłem już dzieckiem; byłem dorosłym człowiekiem, który przypadkowo miał dopiero szesnaście lat. Gdybym mógł, najchętniej zapadłbym w nicość. Gdyby to zależało od mojej woli, zatrzymałbym obroty kuli ziemskiej, anulował siłę przyciągania, zamroził czas. Nigdy jeszcze nie czułem się tak samotny. Nigdy nie odczuwałem tak głębokiej potrzeby bycia razem, bycia z ludźmi, nieistotne z jakimi, lepiej z wrogami niż z nikim. I nigdy przedtem nie bałem się ludzi tak jak w tę nocną godzinę. Rachubę godzin utraciłem w chwili, gdy wyrwałem się poza druty kolczaste. W obozie mierzyłem czas według skurczów żołądka między poranną pajdą chleba a wieczorną zupą z brukwi, według kolumny robotników przychodzących na dragą zmianę w hucie, według powolnego pełzania cienia po ścianie baraku. W ciszy, w mroku, pojęcie czasu przestało być wymierne. A jednak wszystkim zmysłami czułem i słyszałem tykanie niewidzialnego zegara. Czas był wszędzie, obejmował mnie ze wszystkich stron, przytłaczał koniecznością pośpiechu.

Oddalałem się od polany, wybierałem najłatwiejsze przejścia między krzewami dzikich malin i jeżyn, nie mając pojęcia, dokąd idę. Dniało, gdy doszedłem do krańca lasu. Za ostatnimi drzewami rozpościerały się pola uprawne. Zboże rosło w całej swojej krasie, złotawe, nakrapia-ne błękitnymi plamami chabrów. Wybrałem ścieżkę wydeptaną między dwoma działkami, bo na jej końcu, tam, gdzie znikająca za horyzontem, widziałem chłopskie zagrody. Powietrze nie zdążyło się jeszcze nagrzać, pachniało świeżym brzaskiem, oddychałem pełną piersią. Wybrałem chatę stojącą na uboczu, odległą od wsi dwieście metrów, a może i więcej. Zawiasy furtki zaskrzypiały głośno, myślałem, że słyhać ten skrzyp w całej okolicy, widocznie strach ma nie tylko wielkie oczy, ale także uszy. Zajrzałem przez zamknięte okno. W izbie nie było nikogo. Obszedłem chatę dookoła. Na podwórzu stał wóz drabiniasty i długim dyszlem tarasował drogę do obory, ale drzwi były uchylone. Pochyliwszy się, bez trudu wszedłem do mrocznego pomieszczenia. Znużona krowa wolno przeżuwała pokarm, obojętna na wizytę nieproszonego gościa. W kącie stało drewniane naczynie, na dnie zostały resztki mleka. Wypiłem je. „Czego tu szukasz?”

Głos kobiety dobiegł z przeciwległego kąta obory. Nie zauważyłem jej przedtem, ale ona musiała mnie obserwować od pierwszej chwili. Nie wyglądała na zaskoczoną. Chyba spała w oborze, bo przecierała zaczerwienione oczy, a do sukni przyłgnęło trochę sieczki. Próbowała ją strzepnąć, słoma wczepiła się mocno w materiał, zrezygnowała z wysiłku, machnęła ręką i spytała:

„Kto zacz?”

Ogolona głowa i pasiasta odzież nie pozwalały na kłamstwo.

„Niech pani da trochę jedzenia i pójdę sobie“, odezwałem się cicho.

„Jesteś głodny?”

„Tak“.

„Żydek?”

Przytaknąłem. Zaprzeczanie nie miało sensu.

„Bierz nogi za pas i uciekaj, nim mąż się obudzi“, powiedziała z nagłą stanowczością. „Uciekaj, póki nie za późno“.

„Nie mam dokąd“, wymamrotałem. „Pani popatrz: to ubranie każdy pozna. Może pani da jakieś spodnie i kurtkę?“

„Masz pieniądze?“

„Ani grosza“.

„No to złoto“.

„Złota też nie mam“.

„Za nic dostaje się gówno, rozumiesz? Taki jest świat.“

„Rozumiem, proszę pani“.

„Ja tam to żadna pani. Chłopka jestem. Jezusie najśłodszy, niczego go tam nie nauczyli. Coś ty, z księżycy spadł? Tu niczego nie ma za darmo. Jest wojna. Słyszałeś, że jest wojna? Wieś biedna, do pyska nie ma co włożyć. A ty chcesz spodnie! Za darmo! Partyzanci, żeby ich nagła krew zalała, zabierają wszystko, co się da. A jak coś zostanie, wezmą Niemcy. Co ty myślisz, że ja dla wygody sypiam w oborze? Starej krowy pilnuję, bo to wszystko, co mamy. Kolczykowana. Jak ją partyzanci wezmą, Niemce nas ukatrupią. Ale nie wszystkie Niemce takie złe“ - chłopka pokazała w uśmiechu dwa rzędy pożółkłych zębów. - „Są też Niemce, co dają nagrody. Za takiego Żydka jak ty zapłacą głowę cukru albo worek mąki. Tyle jesteś wart, synu. Niemało, co? Nie bój się, nie bój. Ja tam na Gestapo nie polecę. Niech inni latają. Miałam chłopaka, jeszcze mu szesnaście nie było, być bohaterem mu się zachciało, poszedł do lasu i nie wrócił. Wyrwij stąd, i to szybko. Mąż się nie polituje, wyda. Głowa cukru, Jezusie najśłodszy, cukru tośmy od lat nie widzieli. Zaraz wstanie do pracy. Uciekaj, uciekaj.“

„Może...“

„Mam go zawołać?“

„Nie trzeba. Sam pójde“.

Spróbowałem szczęścia w innym gospodarstwie. Wyglądało na zamożniejsze. Chłop pogonił mnie władami. U sąsiada nie poszło mi lepiej. Przeklinał mnie od szatanów, poszczuł psem. Nie wiem, czy spuścił go z łańcucha. Biegłem przez pole na ukos, zadyszany przystanąłem, kucnąłem, kłosa zamknęły się nade mną, odsapnąłem, wstałem, znów biegłem. Krzyk i szczekanie odprowadzało mnie daleko, niemal aż do lasu. Potem wszystko ucichło; nie, nie wszystko, bo w ciszę wdarł się świergot ptaków. Niebo pojaśniało, udawało, że nic się nie stało, ale mnie nie mogło oszukać. Wiedziałem już, że malownicza wieś, chabry w polu, poranne zaloty ptaków, zapach nagrzewającej się ziemi, nawet szelest lekkiego wiatru w polu, wszystko to razem nie jest niczym innym, jak kolorową siecią kamuflażową, pod którą ukrywa się zimny, nieprzyjazny świat. W takim świecie jedynym schronieniem mógł być las.

Jeżyny były jeszcze niedojrzałe, z pulchnych poduszek mchu, kurczowo przyczepione do korzeni drzew, wyrastały grzyby, lecz nie umiałem rozróżnić między prawdziwkiem a muchomorem. Byłem spragniony. Nie potrafiłem znaleźć drogi do strumyka. Dlaczego, do wszystkich diabłów, zamiast tracić czas na jazdę konną nie zapisałem się do harcerzy? Przez korony drzew prześwitywały promienie słońca, ale las nie poddawał się, panował w nim miły chłód. Usiadłem, oparłem głowę o pień i przez przymknięte powieki patrzyłem na grę światła w listowiu. Tylko myśli kłębiły się jak chmury. Może mogłem uciec spod widel wieśniaka, ale nie mogłem uciec przed podjęciem decyzji. Nie miałem żadnych widoków na przeżycie tygodni, może miesięcy, w głębi lasów. Strachem przejmowała mnie myśl o ponownym spotkaniu z partyzantami. Umysł pracował coraz bardziej gorączkowo, jasność w listowiu zamieniła się w pełny krąg, jak aureola nad głową świętego, przymknąłem oczy, bo oślepiła i wówczas, na pograniczu światła i cienia, zrodziła się decyzja. Była równie wariacka jak logiczna: postanowiłem wrócić do obozu.

Było późne popołudnie, gdy dotarłem w pobliże obozu. Odetchnąłem z ulgą: nareszcie znajomy widok. Absurdalne uczucie? Może. A jednak, gdy stałem na skraju lasu, wydawało mi się, że najbardziej naturalne miejsce jest za drutami. Na razie dzieliło mnie od tych drutów kilkaset metrów zaoranego pola, odległość nie do pokonania w ciągu dnia. Musiałem czekać do zmroku. Siedziałem ukryty w chaszczach, bezustannie nasłuchiwałem jak zając wietrzący niebezpieczeństwo. Nic nie zakłócało ciszy. Wszystko wskazywało na to, że życie w obozie toczyło się zwykłym trybem. Godziny wlokły się, nie czułem, kiedy zmorzył mnie sen. Obudziło mnie poczucie wewnętrznego niepokoju. Była noc, ale, w przeciwieństwie do poprzedniej, leżała pod wygwieżdżonym niebem, namaszczone srebrzystym połyskiem księżycy. Wzdłuż obozowego płotu paliły się lampy, reflektory na wieżach strażniczych były zgaszone. Przy samym płocie parkowały trzy ciężarówki pokryte

brezentem. Serce waliło młotem. Najrozsądniej byłoby prze-czołgać się wzdłuż bruzdy, ale pełzanie na brzuchu i łokciach trwałoby godzinę lub więcej, wiedziałem, że nie starczy mi spokoju ducha, że nerwy wysiądą i popełnię jakiś fatalny błąd. Wybrałem większe ryzyko, ale krótsze: bieg. Biegłem skulony, noga bolała, ziemia była miękka, drewniane podeszwy wtapiały się w nią jak w brązową maź, bałem się podnieść głowę, nie potrafiłem ocenić, ile metrów przebyłem, a ile jeszcze przede mną, aż nagle skończyło się pole, za dróżką okalającą obóz wyrastały deski parkanu. Stojąc tak blisko wysokiego płotu byłem niewidoczny dla żołnierzy na wieżach strażniczych. Znalazłem wyrwę, przez którą wymknęliśmy się na wolność; zaszyto ją drutem kolczastym. Zbliżyłem się do ciężarówek. Miały tablice rejestracyjne policji i SS. Dotknąłem maski silnika opla-blitza ostatniego w rzędzie. Była zimna. Kabiny kierowców były zamknięte. Wdrapałem się na maskę, drewniaki ślizgały się po gładkiej blasze, wydawało mi się, że słyhać mnie na drugim końcu świata. Zamarłem w bezruchu. Nic nie zamąciło ciszy. Odczekałem chwilę, potem wciągnąłem się na dach szoferki, stamtąd na brezentową płachtę samochodu. Kurczowo trzymałem się linki, która, przewleczona przez metalowe kółka, przytwierdzała brezent do żelaznych pałąków. Leżąc na tej wysokości, powyżej drewnianego płotu, bez trudu sięgałem wzrokiem do placu apelowego w obozie. Tylko jedno okno w baraku komendantury było oświetlone. Postanowiłem czekać na zmianę wart, aby nie natknąć się na *szaulisów* zdążających na swoje posterunki. Pamiętałem, że zmieniają się co dwie godziny. Z zadowoleniem stwierdziłem, że w terenie nie ma już „białych patroli“. Gdy nadszedł moment czynu, wyprostowałem się, rozkołysałem pod sobą elastyczny brezent, ugiąłem nogi w kolanach i jednym ruchem - do ostatniej sekundy nie wierzyłem, że mi się uda -oderwałem się od ciężarówki jak skoczek od trampoliny. Obie przeszkody, płot z desek i druty kolczaste, zostały pode mną. Przeleciałem nad nimi jak wystraszone ptaszysko bez skrzydeł i wylądowałem po drugiej stronie, całym ciężarem ciała uderzając w ubitą ziemię obozowego placu. Przewróciłem się. Znów leżałem bez ruchu, zamknąłem oczy, nie chcąc widzieć, co się stanie, ale nic się nie stało; otworzyłem oczy, strach minął, został tylko ból nogi. Nogawka nasiąkała krwią. Ktoś zatrzasnął drzwi w baraku komendantury, jedyne oświetlone okno pociemniało, słyszałem rozmowę po niemiecku, lecz nie mogłem rozróżnić poszczególnych słów. Niemcy oddalili się, zniknęli za węglem. Podniosłem się na czworaki, trochę jak kulejący pies; gdybym miał ogon, chyba pomachiwałbym nim z zadowolenia. Wróciła mi pewność siebie. Wyprostowałem się. Ruszyłem w stronę „mojego“ baraku, siedłem wolno, przedpole było puste, nikt mnie nie zauważył, nawet drzwi do baraku nie zaskrzypiały. Wewnątrz panowała całkowita ciemność. Przesuwałem ręką po pryzkach, było mnóstwo znaków, wystający gwóźdź, źle oheblowana deska, zardzewiały hak, które służyły jako drogowskazy. Bez trudu znalazłem moje stałe miejsce. Dopiero teraz, gdy wzrok przyzwyczaił się do mroku, zauważyłem, że liczne pryzce były puste. Ilu uciekinierów uratowało się naprawdę, ilu zginęło w lesie, ilu wylapią Niemcy?

Fredek Minc obudził się, dotknął mnie i szepnął zdumiony:

„To ty?“

„Nie. Duch Święty.“

„Masz dreszcze.“

„Zimno mi“.

Fredek uniósł zrębek koca. „Włóż“, powiedział i zrobił mi miejsce koło siebie. Położyłem otwartą dłoń na jego głowie. Tak bardzo pragnąłem dotknąć żywego człowieka. Fredek uściśnął ją.

„Ptaszek wrócił do gniazda?“, spytał, lecz nie było w tym pytaniu ani złośliwości, ani ironii.

„Tylko nie praw mi morałów“, zastrzegłem się. Nim zdążył odpowiedzieć, zasnąłem.

Apel poranny odbył się, jak zawsze, o szóstej rano. Fredek opowiedział, że wczoraj więźniowie nie wyszli do pracy. „Cały dzień spędziliśmy na placu albo w barakach, liczyli nas bez przerwy, żywych, martwych i rannych. Ściągnęliśmy nawet zabitych z pola, zdaje się, że pięćdziesięciu trzech uciekło“.

Coś popsuło się w tym rachunku, bo dziś rano nie stawiło się do apelu tylko pięćdziesięciu dwóch więźniów. Wilczek i jego policjanci szaleli. Dyżurny oficer SS przeklinał głośno. Dla Niemców nie istniało nic gorszego od zakłócenia porządku. Co kilka minut odchodzili na bok, wymieniali szeptem uwagi, ale widocznie nikt i nic nie było w stanie wyjaśnić, skąd ten jeden dodatkowy człowiek. Bałem się, że ktoś wskaże mnie palcem i zawoła: tego młodego nie było na wczorajszym apelu! Ale nikt nie wysunął palca wskazującego, przypuszczalnie nie tyle z poczucia solidarności, ile raczej z tej prostej przyczyny, że nikt nie interesował się otoczeniem. Każdy żył tylko dla siebie. Nikt nie skojarzył pomyłki w rachunku z moim powrotem do obozu. Jedyne człowiek, który znał prawdę to Fredek, a na

nim mogłem polegać jak na Zawiszy. Fredek nie wydałby mnie, nawet jeśli miałby to przypłacić życiem.

Znużeni i zniechęceni zamknęli się, Wilczek, kilku żydowskich policjantów i kilku Niemców, w baraku komendantury. Narada trwała bardzo długo. *Szaulisi* otaczali nas z wszystkich stron, pilnowali, abyśmy nie rozmawiali. Godziny mijały, dzień pracy i tak był stracony. Gdy w końcu stanął przed nami Wilczek, ręce podparte pod boki - to była jego ulubiona postawa - wszystko się wyjaśniło. Gromkim głosem zawiadomił nas, że jeszcze tego samego dnia opuszczamy Starachowice. W tej samej chwili przez bramę wejściową wmaszerowała kolumna żołnierzy w czarnych mundurach.

„Nie ma powodu do paniki“, oznajmił Wilczek. „To tylko eskorta na drogę do stacji kolejowej“.

„Dokąd jedziemy?“, wymknęło się jednemu z więźniów.

„Do piekła“, odparł syn Wilczka i parsknął donośnym śmiechem.

15

Młodego Wilczka udusiliśmy w pociągu wiozącym nas do Oświęcimia. Piszę „udusiliśmy“, mimo iż osobiście nie przyłożyłem ręki do zabójstwa. Byłem zbyt powolny. Obolała noga nie pozwoliła mi przyłączyć się do wykonawców aktu zemsty. Z kąta wagonu patrzyłem na nich, widziałem palce ściskające gardło szefa obozowej policji, a gdy wyzionął ducha, sercem byłem z tymi, którzy go uśmiercili. Czułem, że sprawiedliwości stało się zadość. Kto powiedział, że tylko instancje sądowe posiadają monopol na ustalanie wymiaru kary? Syn Wilczka zapłacił cenę swoich zbrodni.

Stary Wilczek siedział w odległości splunięcia i śledził bieg wydarzeń spojrzeniem bez wyrazu. Nie błagał o litość dla syna, nie protestował, nie uczynił niczego, by go ratować. Może cieszył się w duszy - jeśli stworzenia tego rodzaju mają duszę - że mściciele wyładowali całą długo akumulowaną nienawiść na jednej tylko ofierze. Podczas gdy bacznie obserwował ostatnie podrygi jedynaka, ja równie bacznie czytałem wyraz jego twarzy. Chciałem odczytać z niej cierpienie, ale na próżno. Nawet jednym krótkim drgnieniem powiek nie zdradził swoich uczuć. Jego głowa i barki kołysały się rytmicznie w takt kół uderzających w łącza torów.

Po zewnętrznej stronie wagonu widniał napis, że przeznaczony jest dla tuzina koni lub 24 sztuk bydła. Nie wiem, dlaczego napis był po francusku. Nie miało to zresztą żadnego znaczenia, bo było nas co najmniej stu. Wnętrze zaplombowanego wagonu ziało smrodem uryny i kału. Od ponad dwudziestu godzin nie odsunięto drzwi, zaś małe odru-towane okienko, umieszczone wysoko pod dachem wagonu, nie wpuszczało świeżego powietrza. Gdzieś w innym kącie stało wiadro mające zastąpić latrynę, ale nie sposób było przepchać się doń.

Jeszcze na samym początku, gdy tylko zagoniono nas do wagonów, stary Wilczek ściągnął swoje wypolerowane oficerki i siedział, mając stopy owinięte onucami. Nikt z więźniów nie mógł nawet marzyć o takich butach. Gdybym mógł je włożyć, wysoka cholewa zasłoniłaby rany. Nie znaleźmy jeszcze celu podróży, ale każdy z nas wiedział, że ranni i chorzy mają nikłe szanse na przeżycie. Dokądkolwiek by nas nie zawiózł ten pociąg, na stacji docelowej na pewno czeka nas selekcja. Gdy uwaga Wilczka skupiona była na duszeniu syna, nadszedł moment działania. Szybko pochylałem się do przodu i sięgnąłem po błyszczące oficerki. Czarna skóra była miękka, przyjemna w dotyku. Nim je włożyłem, gładziłem tę skórę jakby była jakimś miłym zwierzątkiem domowym.

Wilczek dostrzegł swoje buty na moich nogach dopiero wówczas, gdy więźniowie przestali kopać ciało uduszonego. Pomału odwrócił głowę, nasze spojrzenia skrzyżowały się na sekundę, w moim kryło się samozadowolenie, jego wyrażało wrogość. Wilczek spuścił oczy. To była chwila małego, samolubnego triumfu. Pan i władca obozu, postrach więźniów, zawsze pewny siebie i swojej przyszłości sługus hitlerowców nie miał odwagi spojrzeć mi w oczy. Ruchem, w którym krył się ogrom nagłej pogardy, podsunąłem mu moje brudne drewniaki. Wilczek przyjął je jak drogocenny dar.

Na tym etapie podróży nie wiedziałem jeszcze, że zdążamy do Oświęcimia. Nie czułem szczególnego niepokoju. Greta opowiadała, że fabryki śmierci umieszczone są na wschodzie, my zaś, co do tego nie było wątpliwości, poruszaliśmy się w kierunku zachodnim. Stojący blisko odratowanego okienka odczytywali nazwy stacji kolejowych mijanych bez zatrzymywania się. Dopiero pod koniec drugiej doby ktoś wykoncypował, iż wiozą nas do Oświęcimia. Nadal byłem

spokojny, nazwa „Oświęcim“ nie budziła żadnych skojarzeń, natomiast błyszczące oficerki Wilczka napawały mnie dawno nie znanym poczuciem bezpieczeństwa.

Niektórzy omawiali szanse ucieczki. Proszę bardzo, pomyślałem, ale beze mnie. Przygodę tego rodzaju miałem już za sobą, znałem jej efekt końcowy. Pierwszej nocy wyskoczyło z pędzącego pociągu dwóch więźniów, następna trójka poszła w ich ślady dwanaście godzin później. W duchu nazwałem ich kamikadze. Na wolność wydostali się przez otwór w podłodze. Przy pomocy współwięźniów wyrwali kilka desek w przedniej części wagonu, kładli się na brzuchu, a w odpowiedniej chwili, gdy pociąg zwalniał krzywą na zakręcie, towarzysze wypychali ich z całą mocą, głową do przodu, z rękoma ściśle przywierającymi do tułowia. Ich życie zależało od siły tego pchnięcia, bo musieli wylecieć z wagonu jak torpeda i w mgnieniu oka rozpląszyć się na kamieniach nasypu. Spóźnienie o ułamek sekundy znaczyło pewną śmierć. Tylna oś wagonu ścigała ich z zawrotną prędkością; jeśli dosięgła te „żywe torpedy“ w locie, zabijała jednym potwornym uderzeniem.

Oświęcim okryty był cienką, poranną mgłą, gdy pociąg zatrzymał się na słynnej rampie w Brzezince. Jak okiem sięgnąć rozpościerały się prostokąty baraków. Tysiące ludzi w szaroniebieskich pasiakach wypełniały place apelowe. Widok był wstrząsający w swojej niemej grozie. Wzdłuż wagonów stali uzbrojeni SS-mani, niektórzy trzymali na smyczy czarne owczarki belgijskie. Być może, doktor Mengele²⁹ miał akurat dzień urlopu, ponieważ oszczędzono nam selekcji, poganiając wprost do łaźni. Wilczek maszerował kilka rzędów przede mną. Nie przyzwyczajony do drewniaków potykał się co chwilę, aż zwrócił na siebie uwagę eskorty. Zniecierpliwiony SS-man uderzył go kolbą karabinu, Wilczek upadł, wstał i dołączył do kolumny, śląc mi błagalne spojrzenie.

„Nie dojdę“, jęknął.

Nie dojdiesz? Kogo to obchodzi? Nikt nie uroni łzy, jeśli cię tu wykończą. Idź pan do diabła, panie Wilczek, idź pan do swojego ukochanego synka... Tak powtarzałem w duchu i nawet teraz nie jestem w stanie pojąć, co mną powodowało, gdy w trakcie marszu zzułem piękne cholewy i podałem mu je bez słowa. Wilczek, który jeszcze przed krótką chwilą stwarzał wrażenie konającego, wdział je z iście akrobatyczną zręcznością. Ja szedłem bosy, bo nie przyszło mu do głowy oddać drewniaki. Cisnął je w bok jak zbędny balast. Rzecz zrozumiała, nie powiedział „dziękuję“. Fredek złapał mnie za ramię i syknął: „kretyn!“

Przed budynkiem łaźni rozkazano nam rozebrać się do naga, złożyć odzienie w kostkę i stać na baczność plecami do ściany. Młody podoficer lustrował nas, wolno krocząc przed szeregiem nagusów i uderzając ich od czasu do czasu cienką szpicrutą. Wyglądał na człowieka, który nie wie, co to pośpiech. Twarz miał znudzoną, rzemiosło anioła śmierci stało się rutyną, nie wywoływało już żadnego podniecenia. Za nim równie pomału kroczył kapo. Wilczek stał po mojej lewej stronie i oddychał ciężko. Więzień po prawej zauważył raną nogę i machinalnie odsunął się o kilka centymetrów dalej. Prześięknięty krwią prowizoryczny opatrunek wołał głośno: ten chłopak nie ma prawa do życia! Miałem nadzieję, że Niemiec zastrzeli mnie jednym strzałem, że nie będę cierpiał. Równocześnie wierzyłem, że przejdzie obok mnie, nie zauważając niczego. Nie było nic nadzwyczajnego w tej sprzeczności uczuć. Zmierzyłem odległość, która nas dzieliła: jeszcze trzydzieści sekund życia. Jak wykorzystać te pół minuty? Nie miałem żadnego ostatniego życzenia. Podoficer zatrzymał się dokładnie przede mną. Zimna fala przebiegła mi od nasady kręgosłupa aż po czubki palców u nóg. Tylko rany parzyły gorącem. Podoficer skinął na kapo:

„Widzisz?“

Kapo przytaknął.

A więc tak wygląda koniec drogi? Miejsce przestרחu zajęło niewytłumaczalne pogodzenie z losem. Odzyskałem wewnętrzny spokój. Niech się stanie, co ma się stać, przekroczyłem niewidzialną granicę śmierci, znalazłem się w strefie zupełnego zubożenia. I właśnie wtedy, gdy najgorsze było już poza mną, pojąłem, że uwagę SS-mana przyciągnęła nie moja krew zbroczona noga, lecz wspaniałe oficerki Wilczka.

„To twoje buty?“ zapytał. Wyraz znudzenia zmył się z twarzy. „Tak jest“, odpowiedział Wilczek i zeszytywniał. Podoficer pochylił się, dotknął szpicrutą miękkiej skóry cholew, pokiwał ze zdziwieniem głową. „Skąd je masz?“

²⁹ Josef Mengele, lekarz SS, który dokonywał zbrodniczych doświadczeń medycznych na więźniach i zazwyczaj brał udział w selekcjach na rampie oświęcimskiej.

„Od tego chłopca“, pospieszył wyjaśnić Wilczek i bez wahania wskazał na mnie.
„Nie kłam!“, ryknął kapo.
„Przysięgam na wszystko, co mi święte. To nie ja, to on.“
„Wiesz, że to część umundurowania armii niemieckiej?“, indagował SS-man.
Wilczek zaniemówił. Kapo uderzył go w twarz i wrzasnął: „Odpowiadaj na pytania!“
„Dostałem od niego... teraz... przed chwilą. Niech sam powie“. Podoficer nie słuchał. Nie ulegało wątpliwości, że podjął nieodwracalną decyzję.
„Miałeś żydowską bezczelność ukraść buty oficera Wehrmachtu. Wiesz, jaka grozi ci kara?“
„Byłem starszym obozu w Starachowicach. Mam prawo...“
„Tak. Masz prawo zdechnąć“, powiedział spokojnie podoficer i wymierzył prosto w czoło.
Wilczek złamał się w pół i padł mi pod nogi.

BRAMA TRZECIA: CENA ŻYCIA, SMAK WOLNOŚCI

**Nie ma pamięci o tych, co dawniej żyli,
ani też o tych, co będą kiedyś żyli,
nie będzie wspomnienia u tych, co będą potem.**

Stary Testament. Eklezjasta 1.11

I

Muzyka była słodka i wzruszająca, smętna i wesoła, a przede wszystkim tak nie na miejscu jak polonez na żydowskim pogrzebie. Jej dźwięki budziły dalekie wspomnienia, niosły w lata, gdy wolno było być dzieckiem. W Oświęcimiu pojęcie dzieciństwa było bardziej niż względne; wszak minęło zaledwie pięć lat od ostatnich wybryków i figli, a już czułem się zupełnie dorosły. Zegar biologiczny i czas odczuwalny różniły się krańcowo i może dlatego melodie przekraczające ich granice płynęły jakby z innego wymiaru, z innego wcielenia.

Na przedmieściach Bielska, w okolicy zwanej Laskiem Cygańskim, u podnóża góry, na którą wspinaliśmy się z ojcem w słoneczne niedziele, w drewnianym pawilonie z oszkloną werandą mieściła się restauracja słynna z węgierskiego gulaszu i cygańskiej muzyki. Orkiestry zmieniały się co miesiąc, a właściciele lokalu reklamowali przybycie każdego nowego zespołu ogłoszeniami godnymi wielkiego wydarzenia kulturalnego. Nigdy nie rozróżniałem poszczególnych stylów. W głębi duszy podejrzewałem, że grają zawsze ci sami Cyganie, mając publiczność zmianą dekoracji i strojów. Na niedzielne obiady i kolacje stolik należało zamawiać dzień lub dwa wcześniej, bo bielszczanie walili tu tłumem, delektując się ludową kuchnią i zawodzeniem cygańskich skrzypiec. Cyganki w kolorowych sukniach przeciskały się między stolikami, gotowe za marne dziesięć groszy zajrzeć w tajniki przeszłości, a za dwadzieścia przepowiedzieć przyszłość. Daleka podróż, szczęśliwa miłość i duży spadek należały do klasycznego repertuaru wróżek.

Gdy porcja gulaszu wypełniała brzuchy, a ekliwość melodii zmiękczyła serca, zadowoleni goście ciskali drobne monety do kapeluszy muzykantów. W dni powszednie ludzie patrzyli na Cyganów podejrzliwie. Rodzice kazali mi omijać ich tabory i nie pozwalali rozmawiać z ich dziećmi. Zatroskane matki tłumaczyły swoim pociechom, że cygańskie kobiety z całą pewnością wypaczą ich niewinne duszyczki ciemnymi mocami czarownic. Mężczyźni pilnowali portfeli, bo przecież wiadomo, że Cyganie przychodzą na świat jako kieszonkowcy. Dozorca domu, w którym mieszkaliśmy, przeganiał ich miotłą, gdy próbowali grać i żebrać na podwórzu. Policja molestowała ich na biwakach, bo rozpalali ogień, gdzie nie wolno, nie zawsze posiadali dowody tożsamości i ponoć kradli kury z kurników. Ja również nie darzyłem ich sympatią, ale z całkiem innego powodu. Kiedyś udało mi się podpatrzeć, jak tresują niedźwiedzia do tańca. Nigdy nie znajdowałem przyjemności w patrzeniu na tańczące zwierzę. Ciężkie łańcuchy uświadamiały mi, że wyrwane zostało ze swego naturalnego otoczenia i zmuszone do życia w niewoli. Faktu tego nie mogły osłodzić nawet dzwoneczki przypięte do szyi. Ale też sama tresura wydawała mi się nieludzka. Cyganie wprowadzali niedźwiedzia na rozpaloną blachę, aż wykształcił w sobie odruch Pawiowa i połączył dźwięk muzyki z uczuciem bólu w łapach. Podczas występów przed publicznością już pierwszy ton pobudzał zakodowane skojarzenie; to, co nam wydawało się wesołym tańcem, było po prostu odruchem warunkowym zmaltretowanego zwierza. Mimo to, czasami marzyłem o tym, aby przyłączyć się do wędrownego taboru i przemierzyć Europę w karawanie wozów, przy dźwiękach muzyki, parskania koni i szczekania biegnących psów.

Tym razem znajome melodie sączyły się przez druty kolczaste oddzielające nasze baraki od baraków, w których umieszczone zostały rodziny cygańskie. W myśl instrukcji Instytutu Badań Czystości Rasy także Cyganów zaliczono do kategorii podludzi skazanych na zagładę. Nawet jeśli nigdy nie słyszeli o Instytucie Badań, nie mieli pojęcia o biologii i nie zajmowali się polityką, musieli widzieć, co się dzieje i rozumieć znaczenie tego, co widzieli. Mimo to smyczki wydobywały ze

skrzypiec najpiękniejsze tony, zawodzenie fletów otwierało duszę, a tamburyn rozweselał metalicznym śpiewem dzwonek.

Pozostawienie mężczyzn, kobiet i dzieci w tym samym zespole baraków było dziwnym wyjątkiem. Oświęcim-Brzezinka nie stanowił miejsca stosownego do życia rodzinnego. Nie udało mi się zgłębić logiki tej decyzji. Podobnie jak my, również Cyganie nie wychodzili do pracy poza prostokąt oznaczony na planach obozu szyfrem B/ E/ U.

Gdyby można było spojrzeć na teren Oświęcimia z lotu ptaka, widzielibyśmy ogromną przestrzeń, wysuszoną i całkowicie pozbawioną zieleni, podzieloną na otoczone drutami prostokąty takie jak nasz, a w każdym z nich dwadzieścia drewnianych baraków i latryna. Całość zamykał podwójny płot z drutu kolczastego zasilanego prądem o wysokim napięciu. Podział na oddzielne sektory miał uniemożliwić bezpośrednie kontakty oraz porozumiewanie się więźniów, a w konsekwencji zapobiec wszelkiej konspiracji. Ale Cyganie, jeśli w ogóle zaprzęтали umysły czymś więcej oprócz problemu jedzenia, całkiem na pewno nie były to myśli o działalności podziemnej. Od wczesnego rana czekali na to, co przyniesie dzień, czyli na wielką niewiadomą. Wieczorami siadali przed barakami i umilali sobie zmierzch muzyką. Dzieci tańczyły boso. Na krótko przed przybyciem naszego transportu do Oświęcimia Niemcy zbudowali im małą karuzelę. Dziecięcy śmiech i cygańskie melodie unosiły się nad całym obozem, ponoć słyhać je było aż w „Kanadzie“, strefie, w której odbywała się selekcja odzieży, kosztowności i innych przedmiotów zrabowanych ofiarom. Oficjalna orkiestra oświęcimska, złożona z wybitnych żydowskich muzyków zwiezionych tutaj ze wszystkich zakątków Europy, grała jednostkom roboczym wychodzącym i wracającym przez bramę. Zdarzało się, że grała Lehara lub Straussa maszerującym do komór gazowych. Nie wiem, czy grała po to, aby podnieść na duchu morderców, czy też po to, aby zmylić naturalny instynkt obronny przeznaczonych na zagładę. Orkiestra ta, nawet jeśli było w niej coś z makabrycznej groteski, komponowała się z atmosferą obozu. Natomiast nie było nic dziwniejszego od cygańskiej muzyki zawieszanej w powietrzu jak obłok ludzkiej wrażliwości.

Strażnicy przymykali oko, gdy Cyganie nie przestrzegali godzin, w których wszyscy inni więźniowie musieli już leżeć na pryzkach przy zgaszonych światłach. Gdy kładłem głowę na surowe deski legowiska, skrzypce, flety i tamburyny kołysały mnie do snu. Cygańskie melodie słały aksamitną drogę do świata, w którym nie było komór gazowych i krematoriów, drutów wysokiego napięcia i głodu. Wydawało się, że dopóki ta muzyka płynie w ciemność nocy, jak wolny nurt rzeki życia, nie zagraża nam żadne niebezpieczeństwo. Nic jednak nie trwa wiecznie; nadeszła chwila, w której iluzja pękła jak bańka mydlana. W parną noc z pierwszego na drugiego sierpnia zamilkły cygańskie instrumenty, karuzela przestała się kręcić. Nagła cisza wytrąciła mnie ze snu i jeszcze nim obudziłem się całkowicie, dotarła do mej świadomości okrutna prawda: beztraskie cygańskie rodziny poszły do gazu milcząco. Poszły bez szlochu, bez próby walki z losem. Ciekaw byłem, czy ich kobiety potrafiły przepowiedzieć ten smutny koniec drogi, a jeśli tak - czy podzieliły się swoją wiedzą z wszystkimi, czy też zamknęły straszną tajemnicę w zakamarkach duszy?

Podobnie jak w Starachowicach, także tutaj dzieliłem legowisko z Fredkiem Mincem. Lecz w przeciwieństwie do tamtych starych dni, od czasu przybycia do Oświęcimia Fredek zapadł w stan ponurej obojętności. Twarz mu się wydłużyła, usta miał ciągle zaciśnięte, skąpił słów i unikał przyjacielskiej rozmowy. Nie» zdziwiłem się, gdy następnego dnia powiedział:

„Wraz z Cyganami umarła wszelka nadzieja. Dojechaliśmy do końcowej stacji mąk“.

„Trzeba wiedzieć, kiedy wysiąść“, próbowałem obrócić dramat w żart.

„Mądry po szkodzie“, warknął. Za każdym razem, gdy zawodziły go nerwy, używał tego powiedzenia.

„Gdzie jest napisane, że musimy jechać do końcowej stacji?“

„Nie mam siły na twoje gadanie“, zachnął się. „A na co masz siłę?“

„Odczep się!“

„Co się stało? Zbrzydło ci życie?“

„Zbrzydło mi czekanie na śmierć“.

„Rozumiem. W takim razie dlaczego nie skoczysz sobie na druty? Codziennie skacze na nie jakiś wariat“.

Często byliśmy świadkami sceny, gdy człowiek rzucał się na płot elektryczny. Zazwyczaj bez uprzedzenia wyrывał się z szeregu i pędził naprzeciw śmierci, jakby się obawiał, że w ostatniej

sekundzie powstrzyma go wrodzony instynkt życia. Po dotknięciu naelektryzowanych drutów nie było już odwrotu. Wysokie napięcie paraliżowało ciało i uśmiercało w mgnieniu oka. Zdarzało się, że trzeba było wyłączyć prąd, aby oderwać ofiarę z drutów. Fredek westchnął jak starzec:

„Nie starcza mi odwagi na życie, nie starcza mi odwagi na samobójstwo“.

Zamilkłem. Fredek uczepił się kurczowo mego ramienia. „Jesteś ślepy, czy co? Nie widzisz, że kto nie pracuje, tego los jest z góry przesądzony? Przedwczoraj Węgrzy, wczoraj Cyganie, jutro my“.

„Do jutra zostały jeszcze dwadzieścia cztery godziny“.

„Wierzysz w cuda?“

„Nie. Ale wierzę w szczęśliwe przypadki“.

Czy rzeczywiście wierzyłem w szczęście? Czy można je określić naukowo? Szczęście człowieka, który wygrał na loterii, jest odmienne od szczęścia człowieka, który poślizgnął się na skórce od banana i nie złamał nogi. A co ze szczęściem chorego na raka, który umarł szybko, oszczędzając sobie cierpienia? Wokół nas pełno było ludzi, do których los odwrócił się plecami tylko dlatego, że nie umieli podchwycić wyzwania, nie wiedzieli, iż należy je pielęgnować z taką samą troską jak roślinę wymagającą bezustannej opieki. Paula zawsze mówiła, że jeśli chcemy doczekać kwitnienia, musimy przemawiać do roślin. Ale jak się przemawia do losu? Czy trzeba błagać „losie, losie, uśmiechnij się do mnie“, czy może lepiej prosić „pomóż mi pomóc sobie samemu“? Tak, to chyba jest najwłaściwsza forma. Od dawna wierzyłem, że szczęśliwy los mnie nie zawiedzie, dopóki nie zdam się całkowicie na jego dobrą wolę. Istniał też problem spotkania losu. Owoce szczęśliwych przypadków nie dojrzywały w słońcu, lecz kryły się w cieniu gęstych mchów. Los aż nazbyt często znajdował się tuż pod nosem więźniów, czasami drzemał w kubłach odpadów kuchennych, czasami w szybkim uniku, w przytomności umysłu, ale zauważali go tylko nieliczni, a jeszcze mniej liczni umieli go wykorzystać. Wszystko, co należało uczynić, to przepelznąć, po zapadnięciu mroku, kilkadziesiąt metrów dzielących nas od sterty łupin po ziemniakach, napchać kieszenie i wrócić nie zauważony. Surowe łupiny były nie tylko pokarmem, ale również walutą, za którą nabywano inne produkty. Owszem, wyprawa taka połączona była z dużym ryzykiem, bo przyłapanych na gorącym uczynku uśmiercano na miejscu. Większość nie miała odwagi ryzykować życiem. Tak to zamykał się krąg. Niedożywienie atakowało szkorbutem, wykruszało zęby, nadymało brzuchy, pokrywało ciało ropiejącymi wrzodami i zabijało zdolność logicznego myślenia. Kapo mieli wzrok wyostrojony doświadczeniem, bez trudu rozpoznawali tych, których nazywano „muzułmanami“, zbierali ich jak osłabione ryby wypływające na powierzchnię wody i zmuszali do ostatniego wysiłku, marszu do komór gazowych. Stamtąd było już tylko jedno wyjście, żartowali, z dymem krematoryjnych kominów prosto do raju.

Dni mijały, kradzione łupiny i miska wodnistej lury z karpielei nie zaspokajały głodu, byłem coraz słabszy i coraz wyraźniej widziałem związek między słabością ciała i odpornością ducha. Świadomy postępującego procesu, powolnego, drażącego mózg jak tępe wiertło, z pogłębiającą się troską oczekiwałem dnia, w którym wyczerpią się akumulatory ładowane jeszcze w dzieciństwie i podobnie jak inni zaczną się pogrążyć w obojętności paraliżującej każdą inicjatywę. Dziesiątki więźniów w moim najbliższym kręgu toczyło się po tym zboczku na dno, bez nadziei powrotu. Obserwowałem ich z kliniczną niemal uwagą, bo tylko znając wszystkie szczeble upadku, miałem szansę na utrzymanie tego, co jeszcze zostało we mnie z człowieczeństwa.

Nieraz zastanawiałem się, czy istniała jakaś uniwersalna recepta na przeżycie. Podczas wojny wietnamskiej uczono żołnierzy amerykańskich, jak wytrwać w niewoli i jak przetrwać w dżungli. Jednostki brytyjskie walczące z Niemcami w północnej Afryce ćwiczyły w zdobywaniu wody na pustyni. Piloci wiedzieli, co czynić, gdy zestrzelono ich na tyłach wojsk nieprzyjaciela, jak się ukrywać i jak żywić się korzonkami. Czy potrafiłbym napisać podręcznik przetrwania dla więźniów obozów koncentracyjnych? Czy zebrałem dosyć doświadczeń upoważniających do dawania dobrych rad? Jak stawać na baczność przed oficerem SS, aby nie wywołać gniewu. Jak spowodować, aby rozdzielający zupę zanurzył chochlę głęboko w kotle i wrzucił do miski kilka ochłapów mięsa. Jak uniknąć pałki kapo z nudów szukającego ofiary. Jak panować nad własnymi odruchami, gdy na twoich oczach prowadzą kobiety i dzieci na zagładę. Jak zachować spokój wewnętrzny, gdy nadzieja za nadzieją wałęsa się jak mury Jerycha. Jakie doświadczenia z przeszłości mogą mieć wartość także na przyszłość? Żadne. Całe skumulowane doświadczenie nie jest warte grosza, bo wszystko, co widziałem i przeżyłem, było unikalne i niepowtarzalne.

A jednak komin krematorium nie był jedynym wyjściem z obozu. Na apelach porannych coraz częściej pojawiali się cywile wyszukujący rzemieślników przydatnych do pracy w przemyśle zbrojeniowym. Szczęśliwych wybrańców przenoszono natychmiast do podobozów rozlokowanych przy dziesiątkach zakładów pracy. Niestety, większość mieszkańców naszego baraku stanowili adwokaci, muzycy, rabini i urzędnicy, posiadacze zawodów nie zapewniających gletu do dalszego istnienia. A ja? Nawet szewcem nie byłem. Żaden Niemiec nie dałby za mnie złamanego szeląga. Czy miałem się poddać, podnieść ręce i w pokorze czekać na miłosierdzie boskie? Za nic w świecie. Za wszelką cenę postanowiłem wydostać się z tego przeklętego B/ E/ U. Najgorsze ryzyko było skuteczniejsze od najlepszej beczynności.

„Następnym razem, gdy znów będą poszukiwać fachowców, stawimy się do dyspozycji“, zaproponowałem.

Fredek skrzywił się:

„Na mnie nie licz“.

„Dlaczego? Co masz do stracenia?“

„Wszystko“.

„Przed chwilą twierdziłeś, że wszystko i tak stracone.“

„Co powiesz; że uczyłeś się zawodu w przedszkolu?“

„Nawet w łonie matki, jeśli to pomoże“.

„Zawsze byłeś nieodpowiedzialny. Gotów jestem wystąpić, jeśli będzie zapotrzebowanie na odlewaczy stali. Robiłem to w Starachowicach, na tym się znam“.

„Ja mogę pójść jako pilot, jako maszynista na kolei, nawet jako sute-ner. Grant, aby się stąd wydostać“.

„Nie pleć głupstw. Nie jesteś ani pilotem, ani maszynistą, ani sute-nerem. Jesteś zwykłym marzycielem“.

„No to pójde na etat marzyciela. Co w tym złego?“

„Przecież wiesz, kogo szukają: wykwalifikowanych robotników do obróbki metali“.

„Żaden zawód nie przynosi wstydu“.

„Powiesz, że jesteś frezerem albo tokarzem?“

„Dlaczego nie?“

„Mądry po szkodzie“.

„To wszystko, co masz mi do powiedzenia?“

„Tak. A co ty masz do powiedzenia?“

„Że to jedyna szansa“.

„Nie ma żadnej szansy. Myślisz, że są małym palcem zrobieni? Jak długo uda ci się oszukiwać: godzinę, dzień, dwa dni?“

„Dwa dni życia to sporo czasu.“

„Te dwa dni mamy także tutaj“.

„Przesłyszałem się, czy naprawdę mówiłeś, że to końcowa stacja?“

„Nie przesłyszałeś się. Ale co by nie było, na razie oddychamy.“

„Na razie... A co potem?“

„Odczep się!“

„Fredek, gdzie się podział twój optymizm? Wysrałeś go w latrynie?“

„Widziałem twój entuzjazm w Starachowicach. I czym się skończył? Wróciłeś z lasu na czworakach“.

„Zostawmy tę dyskusję na kiedy indziej. Nadejdzie moment rozstrzygnięcia i wtedy zdecydujesz“.

W głębi duszy byłem przekonany, że Fredek nie oprze się pokusie i gdy stanie twarzą w twarz z wielką szansą życia, nie pozwoli się jej wymknąć. Sądziłem, że nie zechce złamać przyjaźni zrodzonej w najcięższych chwilach, że rozstanie będzie dla niego równie trudne jak dla mnie. Pomyliłem się.

Apel poranny przeciągał się w nieskończoność. Zazwyczaj staliśmy wyprężeni na baczność godzinę, nigdy dłużej niż dwie. Tym razem burczenie w żołądku przypomniało, że jest już południe. Także w pozostałych blokach obozu nie pozwolono rozejść się do baraków. Dziesiątki tysięcy ludzi w

pasiakach czekały na niewiadome. Życie jakby zastygło. Zdarzyło się coś niezwykłego, na próżno próbowałem zgadnąć, co. Oficerowie SS przychodzili i odchodzili, najwyraźniej wytrąceni z równo wagi. Nasz kapo nerwowo drepta! w miejscu. Pod czaszką kłębiły się najbardziej fantastyczne myśli: może skończyła się wojna, może umarł Hitler, może wybuchł bunt? Nic z tego. Późnym popołudniem poznaliśmy przyczynę rozgardiaszu: dwóch Polaków uciekło z obozu, SS-mani podjęli oblławę na wielką skalę i ujęli zbiegów. Obaj pracowali w gospodarstwie rolnym poza naelektryzowanymi drutami, ale wciąż jeszcze w obrębie strzeżonym przez pierścień wartowników. Pod wieczór, gdy komando rolników wracało do swoich baraków, gdy policzono ich na bramie i stwierdzono, że nie brak nikogo, ściągano zewnętrzne posterunki i „szara strefa“ nie była pilnowana, aż do następnego poranka. Natomiast w przypadku, gdy nie zgadzała się liczba wracających, posterunki tkwiły w terenie aż do ujęcia uciekinierów. Bardzo nieliczne ucieczki uwieńczone były powodzeniem. W latach osiemdziesiątych spotkałem w Tel-Awiwie człowieka, robotnika izraelskiej wytwórni broni maszynowej, który uciekł z Oświęcimia. On także pracował w gospodarstwie rolnym uprawiającym jarzyny i owoce dla kuchni oficerskiej. Jego ucieczka była starannie zaplanowana i zapewne nie byłaby się udała, gdyby nie współpraca dwóch polskich więźniów politycznych. W trójkę wykopali dół w polu kwitnących ziemniaków, nakryli się ziemią i krzakami rozrośniętych kartofli, po czym rozlali kilka litrów nafty, aby zmylić węch psów gończych. Pełne trzy doby przetrwali w kryjówce, aż Niemcy zniechęcili się i odwołali zewnętrzne posterunki. Czwartej nocy uciekinierzy wyszli z kryjówki i udali się na z góry upatrzony punkt. Tam czekał na nich ktoś z organizacji podziemnej, wyposażył w cywilną odzież i fałszywe dowody osobiste i życzył szerokiej drogi. Trzech uciekinierów pożegnało się serdecznie, każdy udał się w inną stronę. Żyd wrócił do swego miasteczka na Słowacji. Wszystko to zdarzyło się w roku czterdziestym drugim, gdy Słowacja była już państwem faszystowskim popierającym Hitlera, ale jeszcze nie wysiedlała ludności żydowskiej. Dwa lata później mój telawiwski znajomy znalazł się w transporcie zdążającym do... Oświęcimia. Na próżno usiłował przekonać swoich rodaków, że Oświęcim to komory gazowe i krematoria i że tylko ucieczka z pociągu może ich uratować. Nie chcieli mu wierzyć, okrzyczeli go defetystą. A gdy sam postanowił wyskoczyć z wagonu, pobili go do nieprzytomności. „Żydzi w transporcie obawiali się zbiorowej kary“, opowiadał. „Na szczęście, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Ponieważ byłem nieprzytomny, zostawiono mnie na rampie. Wszyscy inni pomaszzerowali prosto do gazu. O zmierzchu wstałem, towarzysze z organizacji podziemnej przeszedli mnie do swojego baraku - i tak doczekałem wyzwolenia“.

Dwóch uciekinierów, którzy próbowali tej samej drogi latem roku czterdziestego czwartego, nie miało szczęścia. Wytropiono ich już po kilku godzinach. Przypuszczalnie zostali rozstrzelani. W każdym razie, gdy tylko zakończyła się oblawa, pojawiła się przed naszym barakiem grupa cywilów i wojskowych. Kapo zameldował liczbę obecnych i usunął się na bok. Mężczyzna w oliwkowym skórzanym płaszczu i myśliwskim kapeluszu ze sterzącym na ukos bażancim piórem zmierzył nas baczny spojrzeniem i zawołał:

„Tokarze, frezerzy i szlifierze wystąpią krok do przodu!“

Nikt się nie odezwał. Sekundy wybijały szybciej od pulsu. Za pół minuty będzie za późno. Za minutę powtórzą pytanie przed następnym barakiem. Za dziesięć minut opuszczą obóz.

„Chodź“, szarpnąłem Fredka za ramię. Powiedziałem to szeptem, ale wydawało mi się, że wszyscy słyszeli. Fredek pokręcił głową przecząco. Złapałem go za rękę, postąpiłem krok do przodu. Trzymałem mocno, ale Fredek całym ciałem odchylił się do tyłu, jego dłoń wyslizgnęła się z mojej, stałem sam przed frontem wyprężonej na baczność kolumny. Nie miałem odwagi obejrzeć się, wezwać go po raz ostatni; każdy nie kontrolowany odruch zmniejszał szanse powodzenia.

Cywil w skórzanym płaszczu zmierzył mnie podejrzliwie od stóp do głów.

„Ty?“ , spytał sceptycznie, jakby nie wierząc własnym oczom.

„Tak, ja“, odparłem głośno.

„Zawód?“

„Tokarz, proszę pana.“

„Ile masz lat?“

„Wygląda na niepełnosprawne dziecko“, zauważył dmgi cywil.

„Mam osiemnaście lat. Wyglądam na mniej, wszystko przez brak odpowiedniego pożywienia. Przy pracy podreperuję się szybko, z natury jestem silny jak byk“.

Mówiłem szybko, jakby obawiając się, że nie pozwolą mi skończyć zdania. Chyba przesadziłem, bo oficer w mundurze skrzywił się z obrzydzeniem. Więźniowie mieli odpowiadać na pytania krótko i rzeczowo, bez komentarzy. Ale mężczyzna w skórzanym płaszczu nie zraził się.

„Jeśli umiesz pracować tak, jak potrafisz gadać, dostaniesz dosyć żarcia“, uśmiechnął się. „Gdzie byłeś zatrudniony?“

„Skończyłem szkołę zawodową przy firmie «Zieleniewski-Fitzner-Gampner», wyrecytowałem, przypomniawszy sobie nazwę firmy z przedwojennych reklam. „Ostatnio pracowałem w zakładach imienia Göringa w Starachowicach“.

„Co tam produkowano?“

„Toczyłem lufy dział, proszę pana“.

Niemiec skinął głową. Kapo pchnął mnie końcem pałki i wskazał miejsce, w którym miałem czekać na dalsze rozkazy. Dopiero teraz mogłem bez obawy spojrzeć na Fredka. Stał w szeregu, nie patrząc na mnie. „Fredku, Fredku, dlaczego mi to zrobiłeś“, zapłakałem w sercu. W świecie, w którym człowiek człowiekowi wilkiem, zawsze znajdowałem w nim ostoję. Nawet wówczas gdy pogrążony w dziwnej melancholii odpychał mnie podenerwowanym „odczep się“, a także gdy zbywał mnie upartym milczeniem, wiedziałem, że mam w nim przyjaciela. Kapo nakazał rozejść się. Odprowadzałem Fredka wzrokiem. Widziałem, jak szedł lekko pochylony, zmęczony, przybity. Nie spuściłem go z oka, aż znikł w ciemnym wnętrzu baraku. Nie myślałem o tym, co mu los zgotuje. Byłem zły. Czułem się zdradzony.

Oficer zapisał mój numer wytatuowany na przedramieniu, cywil w skórzanym płaszczu potwierdził odbiór i od tej chwili, tak to odczuwałem, wydostałem się z kręgu bezpośredniego zagrożenia.

„Chodź za mną“, polecił.

Szliśmy ścieżką między barakami. Po drodze dołączyło do nas dwóch więźniów, znacznie ode mnie starszych. Rozmawiali po francusku, żywo gestykułując. Po naszej prawej ciągnęły się tory kolejowe i wybrukowany peron. To tutaj wyładowywano transporty Żydów z całej okupowanej Europy. Teraz był pusty. Prowadzono nas wzdłuż tych torów, aż do głównej bramy niewinnie wyglądającego budynku z czerwonej cegły. Wartownicy skrupulatnie badali przedstawione im dokumenty.

„Trzech więźniów do wyjścia!“, zawołał żołnierz SS.

„Trzech więźniów do wyjścia!“, odkrzyknął jak echo wartownik w wieżycy nad bramą.

„Trzech więźniów do wyjścia!“, potwierdził dyżurny oficer i podał naszemu cywilowi jakiś dokument do podpisania. Za bramą czekała okryta brezentem furgonetka. Dwaj żołnierze w mundurach wojsk lotniczych, uzbrojeni w zwykłe karabiny, kazali nam wejść i usiąść na podłodze. Sami usiedli na składanej ławce, broń trzymali niedbale między kolanami. Cywil przysiadł się do kierowcy. Ktoś z zewnątrz zasłonił otwór brezentową płachtą. Kierowca zastartował, samochód ruszył wyboistą szosą, nie miałem pojęcia dokąd, lecz, szczerze mówiąc, w ogóle mnie to nie interesowało, bo przecież nie mogło być miejsca gorszego od Oświęcimia. Nie sądziłem, że za kilka miesięcy zmienię zdanie.

2

Obóz przy hucie „Zgoda“ był jednym z licznie rozsianych po całym Śląsku. Wszystkie podlegały komendanturze macierzystego obozu koncentracyjnego i dlatego określono je zbiorową nazwą Auschwitz-III. Wzniesiony został w bezpośredniej bliskości huty, wystarczyło przejść jezdnię, aby znaleźć się na terenie zakładu. Sam zakład leżał w sercu okręgu przemysłowego, na przedmieściu Świętochłowic, jednego z tych miast zlepionych w kiść, które wiecznie nakryte były szarym całunem dymu i sadzy. Od pokoleń wydobywano tam węgiel, wytapiano rudę, produkowano stopy metali szlachetnych i budowano silniki okrętowe. Ludzie przyzwyczaili się do bytu w rejonie, którego znakiem fabrycznym było zanieczyszczenie środowiska. Działki, na których hodowali trochę kwiatów i warzyw, służyły im jako namiastka tego, co zwykle nazywa się zielonymi płucami miasta. Podobnie jak moje rodzinne Bielsko, także ten skrawek ziemi był widownią bezustannego konfliktu między Polakami a Niemcami. W ciągu stuleci przechodził z rąk do rąk, aż w końcu niektórzy mieszkańcy

przyswoili sobie odrębną tożsamość narodową i posługiwali się językiem trudno zrozumiałym dla obcych. Często podkreślali, iż nie są ani Polakami, ani Niemcami, lecz po prostu Ślązakami. Takim był właśnie Kurt Kolonko, człowiek, który podał mi pomocną dłoń, podczas gdy wszyscy inni odwróceni byli plecami.

„Zgoda“ symbolizowała w pewnym sensie historię całego Śląska. Uruchomiona przez niemieckich baronów przemysłowych w pierwszym trzdziestoleciu XIX wieku, przeszła w posiadanie kapitału polskiego po upadku cesarskich Niemiec w roku 1918, aby dostać się w ręce hitlerowców po klęsce wrześniowej. Gdy wysiłek wojenny nazistów osiągnął swój szczyt, przestawiono zakład z produkcji silników okrętowych na masową produkcję dział typu Flak-88. Naloty dywanowe alianckich bombowców coraz bardziej dawały się we znaki mieszkańcom Trzeciej Rzeszy, więc zapotrzebowanie na broń przeciwlotniczą rosło z dnia na dzień. Nasz obóz był jednym z sześciu dostarczających hucie darmowej siły roboczej. Pozostałe były obozami jeńców lub obozami prac przymusowych. Tylko nasz podlegał dowództwu obozów koncentracyjnych.

Wiosną 1991 roku, na zaproszenie dyrekcji, odwiedziliśmy z Szula-mitą hutę „Zgoda“. Zaproszenie otrzymałem po programie telewizyjnym, w którym opowiedziałem o mojej znajomości z Kurtem Kolonką. Gospodarze sprawili mi miłą niespodziankę, ofiarowując honorowy medal miasta. Ale pracownicy huty nie mieli wielu powodów do radości. Nowoczesne tokarki i frezarki zamontowane przez niemiecką Luftwaffe, jak mi wyjaśniono, zostały rozmontowane zaraz po zakończeniu wojny i wysłane w głąb Związku Radzieckiego. Zakład wrócił do tradycyjnej produkcji, do budowy silników okrętowych. Jednak w dniu, w którym oprowadzano nas po hucie, hale produkcyjne ziały pustką. Stały odbiorca, stocznie rosyjskie, nie miały twardej waluty. Sprzedaż za zdewaluowane ruble byłaby bezsensowna, szanse na zdobycie rynków zachodnich bardziej niż nikłe. Dyrekcja i załoga przygotowani byлина najgorsze.

Krótki pobyt w Świętochłowicach wykorzystałem do myszkowania w dokumentach archiwalnych odnoszących się do okresu wojennego. Dowiedziałem się, że 4 maja 1943 roku zarząd „Zgody“ (wówczas *Eintrachthütte*) zwrócił się do dowództwa SS z prośbą o dostarczenie wykwalifikowanej siły roboczej. Pertraktacje trwały kilka tygodni i zakończyły się umową handlową, na mocy której SS postawi do dyspozycji huty tysiąc więźniów w zamian za dzienną opłatę dwóch marek od łebka. Ustalono, że więźniowie słabi, chorzy lub nie posiadający odpowiedniego przygotowania zawodowego zostaną wymienieni bez dodatkowej opłaty. Dowództwo SS zobowiązało się wybudować w Świętochłowicach pododdział oświęcimskiego obozu koncentracyjnego i przejąć całkowitą odpowiedzialność za jego prowadzenie. Kosztami budowy obciążono Ministerstwo Zbrojeń Rzeszy. Porozumienie stwierdzało, że podczas pobytu w obozie więźniowie podlegać będą tylko i wyłącznie władzom SS, natomiast w hucie wykonywać będą polecenia dyrekcji zakładu, która ustali normy produkcyjne i dokładny harmonogram pracy. Część wartowników dostarczy Luftwaffe, główny odbiorca produkcji. Umowa zatwierdzona została przez Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy w Berlinie. Tak się więc stało, że wysiadłszy z furgonetki, która przywiozła nas do obozu w Świętochłowicach, nie mając pojęcia, że każdy dzień mojego produktywnego życia wnosi pełne dwie marki do kasy SS, zostałem powitany przez miejscowego kapo:

„Przybyliście w sam traf, bo właśnie odesłałem do gazu trzech takich dupków jak wy“.

Wszystko było znajome: takie same drewniane prycze bez sienników, w takich samych drewnianych barakach bez okien, takie samo ogrodzenie z drutu kolczastego pod wysokim napięciem, nawet wieże strażnicze takie same jak w Oświęcimiu. Polewka z brukwi miała podobny smak, apele były wyczerpujące jak zawsze, kapo nie mniej okrutni, współwięźniowie równie obojętni. A jednak wszystko było inne, bo dym pokrywający niebo szarą patyną był dymem pieców hutniczych, a nie krematoryjnych, zaś brak komór gazowych stwarzał iluzję, że życie nie wisi na włosku; że mamy szansę, przynajmniej dopóki Niemcy będą mieli pożytek z naszego trudu.

Ile wart był mój trud? Teraz wiem: dwie marki za dobę. Ale czy nie żalił się Eklezjasta, że wszystko marność nad marnościami i „cóż przyjdzie człowiekowi z całego trudu, jaki zadaje sobie pod słońcem?“³⁰ Doktor Kalter, szkolny nauczyciel Biblii w Bielsku, na zawsze zaszczepił ten werset w mojej pamięci. Już wówczas, jako dziecko, prowadziłem z nim żarliwe dysputy. Teraz, w Świętochłowicach, całkowicie negowałem tę filozofię marazmu. Jeśli rzeczywiście „co krzywe, nie

³⁰ Eklezjasta, Rozważania teoretyczne I, 15.

da się wyprostować, a czego nie ma, tego nie można liczyć³¹, to jaki sens miało bezustanne zmaganie o jeszcze jeden dzień wegetacji? Jeśli losy ludzkie ustalane są przez siłę wyższą i tylko modlitwa może wpłynąć na wyroki boskie, to po co ten nadludzki wysiłek, to kurczowe trzymanie się koła ratunkowego nadziei? Przecież na własne oczy widziałem, że Bóg, jeśli istnieje, nie znalazł litości ani dla głęboko wierzących Żydów wnoszących się na sąd ostateczny przez komin, ani dla niemowląt, które nie miały jeszcze okazji zgrzeszyć, a już musiały umrzeć - a zostawił przy życiu właśnie mnie, człowieka zatwardziały buntującego się przeciw jego samowładztwu. Nie, w żadnym przypadku nie chciałem polegać na jego, tak subiektywnej, sprawiedliwości. Całą noc rozważałem, ile warte będzie moje życie, gdy nazajutrz będę musiał wykazać się sprawnością zawodowego tokarza. Wciąż jeszcze oddychałem, widziałem, słyszałem, wszystkie zmysły wciąż jeszcze działały, lecz wątpiłem, czy znalazłby się hazardzista, który obstawiłby moją kartę. Gdyby zobaczył mnie Fredek Minc, zlanego zimnym potem napięcia, zapewne powiedziałby ironicznie: „nie narzekaj; przecież żresz, co sam sobie zgotowałeś“.

Leżąc na pryczy z wzrokiem wbitym w sufit, niczego nie pragnąłem więcej od odroczenia decydującej chwili. Gdybym mógł, zatrzymałbym wskazówki wszystkich zegarów, zabronił słońcu wschodzić, wymazał z kalendarza jutrzejszy dzień. Niestety, wiedziałem, że nawet złota rybka nie byłaby w stanie obiecać tego wszystkiego. Gdy brzask zajrzał przez otwarte drzwi baraku, jeszcze blady, chłodny i obojętny, próbowałem wyobrazić sobie moment, w którym stanę oko w oko z losem, który przybiera tysiąc i jedną postaci, a za kilka godzin przekształci się w niemą maszynę. Ale siła wyobraźni zawiodła, może dlatego że nie bardzo wiedziałem, jak wygląda prawdziwa tokarka; najbliższa przyszłość schowała się za nieprzejrzystym czarnym całunem.

Zawsze od nowa zadziwiał mnie niemiecki porządek. Na porannym apelu kapo wywołał mój numer, oświadczył, że będę pracował na pierwszej zmianie, od szóstej rano do szóstej wieczorem, po czym kopnąwszy mnie mocno w tyłek, zaśmiał się: „głupi zawsze ma szczęście“. Stałem w kolumnie gotowej do odmarszu. Na próżno szukałem wzrokiem dwóch Francuzów, którzy przyjechali ze mną. Albo włączono ich do innej zmiany, albo po prostu nie potrafiłem ich rozpoznać. Utajone filtry cedziły twarze ludzi, którzy nie mogli mi być przydatni. Widziałem tłum, nie widziałem poszczególnych osób. Wyszliśmy z obozu. Kilku wczesnych przechodniów stało na chodniku po przeciwnej stronie ulicy, kilku robotników w niebieskich kombinezonach, kobieta z koszem na zakupy, starszy pan oparty o łaskę. Maszerujące kolumny więźniów stały się widokiem codziennym, nie budziły niczyjej ciekawości.

Punktualnie o godzinie szóstej znalazłem się przed tokarką szczerzącą na mnie zębate tryby, jakby chciała ukąsić. Patrzyłem na nią jak na śmiertelnego wroga. Majster postawił przede mną metalowy stojak z rysunkiem technicznym.

„Czytasz po niemiecku?“, zapytał.

Po niemiecku? Oczywiście, że czytałem po niemiecku. Ale kartka zarysowanego papieru była dla mnie chińszczyzną. Każda próba rozszyfrowania skomplikowanych linii z góry skazana była na niepowodzenie, zaś towarzyszące im liczby przypominały nierozwiązywalne zadanie z algebry. W ogromnej hali ustawiono dziesiątki maszyn, do każdej tokarki, szlifierki lub frezarki doczepiony był więzień w pasiaku. Rozejrzałem się wokół. Wiedziałem, że tutaj każdy istnieje tylko dla siebie, że nikt mi nie pomoże. Pośrodku hali wznosiła się metalowa wieżyczka z ośmiokątną oszkloną kłitką u szczytu. Z wysokości trzech metrów siedzący w niej kierownik produkcji miał nas przed sobą jak na dłoni. Tego ranka dyżurował tam „pan inżynier“ - tak należało go tytułować - i patrzył na nas, oparłszy czoło o szybę. Miał okrągłą twarz, gładko zaczesane włosy, a grube okulary nadawały mu dobroduszny wyraz. Szybko przekonałem się, że było to tylko złudzenie.

„Pan inżynier“ pasjonował się maltretowaniem więźniów. Kręcone żelazne schody wiodące do jego kłitki podłączone były do kontaktu. Od czasu do czasu wzywał do siebie kogoś z pracujących, a gdy nieszczęśnik znajdował się w połowie drogi, włączał prąd. Prąd nie był dostatecznie mocny, aby zabić, ale wystarczał, aby delikwent stoczył się w dół, podrygując jak ryba wyjęta z wody. Gdy tylko udało mu się odzyskać równowagę, musiał wspinać się powtórnie. Nikt nigdy nie wiedział, kiedy panu inżynierowi znudzi się zabawa i odeśle go z powrotem na jego stanowisko.

Wszystko to stało się dla mnie jasne nieco później, po tym jak ja i moja tokarka zakończyliśmy dialog głuchego z niemową. Wziąłem do ręki rysunek techniczny, czyniąc wszelkie możliwe wysiłki

³¹ Eklezjasta, Rozważania teoretyczne I, 15.

zaprzyjaźnienia się z jego treścią, ale dokument pozostał wrogi jak akt oskarżenia. Nie zauważyłem, że majster znów stanął za moimi plecami.

„Masz jakieś trudności?“, zagadnął nie bez ironii.

„Trudności? Ależ skąd. Po prostu chcę zapamiętać każdy szczegół“.

Majster nie odkrył oszustwa. Jeszcze nie. Odstawiłem rysunek na miejsce. Niemiec zmienił ton, wyjaśniał rzeczowo:

„Żądamy najwyższej dokładności. Dozwolona tolerancja nie może przekroczyć jednej setnej milimetra. Dzienna norma wynosi osiemdziesiąt cztery sztuki. Za każdą dodatkową dziesiątkę firma wynagradza stoma gramami chleba. Każda brakująca dziesiątka karana jest chłostą. Trzy chłosty stanowią bilet powrotny do Oświęcimia. Zrozumiałeś?“

„Tak jest, *Herr Meister*. Wszystko jasne jak słońce.“

„No to bierz się do roboty“.

Niemiec ruszył na inspekcję pozostałych maszyn. Wsunąłem surową sztabę stali w otwór głowicy, zacisnąłem ją kluczem w szczękach. Ale co dalej? Jeśli w ciągu najbliższych trzech minut nie uruchomię tokarki... Nie; nie chciałem myśleć, co się stanie. Nacisnąłem czerwony przycisk. Uparta maszyna nawet nie drgnęła. Nacisnąłem czarny. Na nic. Gdybym się nie bał zwrócić uwagi majstra, kopnąłbym tę przekłętą tokarkę lub trzasnął ją zaciśniętą pięścią. Z lewej i z prawej czułem spojrzenia ciekawskich. Na pewno widzieli już takich jak ja i dobrze wiedzieli, co mnie czeka. Tylko spojrzenie mego bezpośredniego sąsiada, niskiego, krępego blondyna z literą „P“ w czerwonym trójkącie pasiaka, a więc więźnia zakwalifikowanego jako polityczny, wydawało mi się bardziej ludzkie. Po starannym wymierzeniu odległości między obrabianą częścią a strumieniem chłodzącego, mlecznobiałego płynu, zwrócił się do mnie:

„Hej, Żydku, jak się nazywa ta wasza modlitwa za umarłych?“

„*Kadisz*“.

„Nigdy nie słyszałem czegoś takiego. Zmówiłeś już?“

Nie miałem zamiaru tłumaczyć, że *kadisz* odmawia syn zmarłego, a nie kandydat na nieboszczyka.

„Więc co będzie z tobą“. To nie było pytanie, lecz jakby stwierdzenie faktu.

„Bóg jest wielki i wszechmogący“.

„Nie dosyć wielki, żeby uruchomić za ciebie tokarkę“, zaśmiał się. „Chyba ma pan rację“.

„Nie tak głośno“, ostrzegł. „Tu nie wolno rozmawiać“.

„To po co pan gada?“

„Nie wymądrzaj się, Żydku“.

Nie odpowiedziałem, bo cóż miałem do powiedzenia? Że moja gadanina to tylko zasłona dymna, że tak naprawdę to drzę z przerażenia? „Wiesz, kto ja jestem?“

„Jest pan facetem, który wie, jak się pracuje na tokarce. To więcej warte od dyplomu profesora“.

„Głupek jesteś. W hucie wszyscy mnie znają.“

„Nie wszyscy. Ja pana nie znam.“

„Naprawdę?“, spytał zdziwiony. „Naprawdę. Przecież jestem nowy.“

„Nazywam się Kolonko. Kurt Kolonko. A ty?“

„Roman“.

„Nie masz nazwiska?“

„Miałem. Teraz nawet nazwisko jest fałszywe.“

„Znowu się wymądrzasz?“

„Przepraszam. Wypsnęło mi się. Ale to prawda. Aresztowano mnie pod fałszywym nazwiskiem i tak już zostało.“

„Znasz się na boksie?“

„Nie. Dlaczego?“

„Przed wojną byłem mistrzem w wadze piórkowej.“

„W reprezentacji Polski?“

„W reprezentacji Śląska, głupku“, sprostował z nie ukrywaną dumą. „Urodziłem się na Śląsku i biłem się za Śląsk. Możesz uwierzyć albo nie, ale od pięciu pokoleń żyjemy w tym samym mieście. Nie było żywej duszy, co by mnie nie znała, nawet Żydki, jeśli w ogóle mają duszę. I nie pytaj, co mają zamiast duszy, bo nie jestem ani księdzem, ani doktorem. Spytaj, czy mieli przede mną pietra, to ci odpowiem: jeszcze jak! Żydek, który nie zdążył zejść mi z drogi, łapał lewy sierpowy. Nie zwykły lewy sierpowy, ale taki, co się pamięta na całe życie. Jezu, ale było fajnie przyłożyć im po szczękach.“

To przez nich klepaliśmy bidę. Oni mieli sklepy i interesy, dobre posady i kobiety wymalowane na lalki, a my co? Czarną robotę. Wy to jesteście rasa, co się umie w życiu urządzić“.

„Daj Boże, aby miał pan rację“, zauważyłem gorzko.

„Więc co będzie z tobą? Wąchasz już zapach gazu?“

„Mówią, że cyklon B nie ma zapachu“.

„Umierasz, żeby się samemu przekonać“, zarechotał zadowolony z gry słów. „Widzisz, może nie jestem taki zasrany inteligent jak ty, ale co mam powiedzieć, to mówię. Nie jestem nieukiem. Szkołę zawodową skończyłem z wyróżnieniem. A ty? Pewnie uczyłeś się literatury. Ojciec jest bankierem albo adwokatem, ha?“

„Ojciec nie żyje“.

„A matka, lady w jedwabnych rękawiczkach, ha?“

„Matka też nie żyje“.

„Tak, teraz umiera się szybko. Czym szybciej umierasz, tym mniej cierpisz. Zawsze to jakaś ulga, bo i ty szybko wykitujesz. Nie jesteś pierwszy, co spadł tu z deszczu pod rynnę. Jutro wyślą cię tam, gdzie robią z Żydów mydło. Wiedziałeś, że robią z was mydło?“

„Przynajmniej ktoś wyjdzie z tego na czysto“, uśmiechnąłem się blade.

Odpowiedź spodobała mu się. Oparł rękę na moim ramieniu, odepchnął mnie lekko i podszedł do tokarki. „Co pan robi?“

Były mistrz wagi piórkowej pochylił się nad rysunkiem technicznym, jednym magicznym dotknięciem uruchomił maszynę, znów ją zatrzymał, i mruknął:

„Nie paplaj. Kryj mnie przed majstrem“.

Po minucie wszystkie noże rewolwerówki³² osadzone były w swoich miejscach. Kolonko sprawdzał kolejność obróbki, nie przerywając ani na chwilę toku wywodów:

„Nie bój się, tokarka nie gryzie. Masz w rękach wspaniałą maszynę, skrzynia Nortona, właściwie wszystko jest proste, bo automatyczne. Patrz dobrze i ucz się. Te noże są z widii, tną metal jak masło. Widziałeś, jak je zakładałem? Trzeba uważać, bo widia jest na przydział, Szwaby dostają szalu, jak się taki nóż wykrusza. Wzdłuż noża biegnie ścieżka, taki rowek, którym spływa chłodzenie. Później nauczę cię, jak go szlifować, żeby mleczo sikało prosto na obrabiany materiał. Widia wymaga dobrej opieki, jak herod baba. Dupczyłeś kiedyś herod babę?“

„Nie“.

„A w ogóle babę?“

„Nie“.

„Po boksie to mój ulubiony sport. Rób dokładnie, co ci pokazuję, a jeszcze poliziesz trochę tego miodu.“

„Dlaczego pan to robi?“

„Dlaczego? Bo jestem mężczyzną. A mężczyzna potrzebuje kobiety“.

Wskazałem na tokarkę: „miałem na myśli to.“

„Ach, to? Bo jak nie, to zrobią z ciebie mydło i nigdy się nie dowiesz, jak to jest z babą w łóżku.“

„Nic nie rozumiem“.

„Nie masz rozumieć, tylko patrzeć. Gdzie jest majster?“

„Na drugim końcu hali“.

„Inżynier?“

„Siedzi plecami do nas“.

„Fajnie. Prawie skończyłem. Noże założone jak trzeba, wszystko co masz robić, to wykręcać gotową część i zakładać nową. Mam nadzieję, że to nie za dużo dla inteligentnego gówniarza. Nie patrz na mnie jak cielę na malowane wrota. Patrz na moje ręce... Chcesz wiedzieć, dlaczego to robię? Powiem ci: przede wszystkim nie cierpię, jak ktoś partaczy na tokarce. To najważniejsze. A poza tym powiem ci jeszcze coś: nie lubię Żydów, ale, jak Boga kocham, Niemców nienawidzę bardziej. Zrozumiałeś? Pewnie nie. Nie ma nic gorszego, jak tępą sierota. Mam tylko nadzieję, że nie spartolisz roboty. Niemcy nie wybaczą fuszerki. Masz więcej szczęścia niż rozumu, że dali ci takie cacko do ręki. W naszym warsztacie nawet nie marzyłem o czymś takim“.

„Może się pan dorobi porządnej tokarki. Po wojnie...“

„Może“, westchnął i uśmiechnął się blade.

³² Rewolwerówka – tokarka o obrotowej głowicy, umożliwiającej równoczesne zainstalowanie kilku noży.

Matkę Kurta Kolonki poznałem jesienią czterdziestego siódmego. Jak ją znalazłem? Bardzo łatwo. Kurt opowiedział mi o swoim mieście i warsztacie tokarskim, który tam prowadził. Ojca miał kowala pracującego w kopalni węgla. Jak się wzenił w rodzinę z groszem, zainwestował posag we własny interes: dwie zdezelowane tokarki i trochę narzędzi ślusarskich, na wszelki wypadek, bo nigdy nie wiadomo, czego się człowiek musi imać. Czasy były ciężkie i dla tokarzy, i dla ślusarzy, Kurtowi urodził się brat, doszła gęba, a dochody coraz mniejsze. Ojciec szukał ucieczki w kieliszku i tak zalewał robaka, aż umarł, rok przed wojną, w szpitalu dla chorych umysłowo. To był wielki wstyd i wielka tajemnica rodzinna. Matka mówiła, że kamień młyński u szyi pociągnął go do grobu. Brat, Henryk, tak był podobny do Kurta, że brano ich za bliźniaków. We dwójkę próbowali ratować sytuację, ale, jak powiadał Kurt, zaczęli lewą nogą, bo on sam wolał ring od sutereny, w której mieścił się warsztat, zaś Henryk tak szybki był do sprzeczki, że klienci omijali go jak zarazę. Kiedyś złość poniosła także mamę, położyła Kurtowi na talerz medale za zwycięstwa i powiedziała: „to zarobiłeś, to będziesz jadł”. Wkrótce potem wierzyciele poszli do sądu, przyszedł komornik i obłożył sekwestrem tokarki i narzędzia. Nie poszły pod młotek tylko dlatego, że wybuchła wojna, więc odwołano licytację. Henryka wysłali na roboty u chłopą w Bawarii, Kurta aresztowało Gestapo. Za co? Za politykę. Za to, że poszedł w ślad rodzica i coraz częściej zaglądał do kieliszka. Nie było już zawodów pięściarskich, dom groszem nie śmierdział, ale był wyszynk na końcu ulicy, gdzie wciąż jeszcze sprzedawano na kredyt. Trzeba było tylko trochę alkoholu w krwi, wszystkie kłopoty wydawały się maleć, a poczucie własnej godności rosło jak na drożdżach. Nie daj Boże, żeby mu ktoś stanął na drodze. Żydów wywieźli, przyszedli Frycy - tak nazywano wówczas Niemców - Kurt gołnął o jednego za dużo i głośno perorował, że jednym lewym sierpowym położy każdego Fryca, nawet samego Hitlera. Ściany miały uszy, znalazł się ktoś, kto doniósł tam, gdzie się takie rzeczy donosi i jeszcze tej samej nocy zawlekli go na przesłuchanie. Matka szlochała przed budynkiem Gestapo, potem wysupłała ostatni grosik na adwokata, adwokat przedstawił pismo od bauera, że Henryk jest wzorowym pracownikiem, ale wszystko na nic. Kurt nie dawał znaku życia. Jak mu wsunęli elektrodę pod jądra, przyznał się do działalności w podziemiu, o którego istnieniu nawet nie słyszał. Sąd wojskowy skazał go za uprawianie wrogiej propagandy i za działalność na szkodę Rzeszy, i tak znalazł się Kurt Kolonko, pod koniec roku czterdziestego pierwszego, w Oświęcimiu. Zakwalifikowany jako więzień szczególnie niebezpieczny, pierwszy rok za drutami spędził w kompanii karnej, z której tylko nieliczni wychodzili żywi. Uratował go brak siły roboczej w zakładach przemysłu zbrojeniowego. W potrzebie Niemcy przypomnieli sobie o jego zawodzie i wybaczyli mu lewy sierpowy dla Hitlera.

„Jak już będziesz po wszystkim i zechcesz mnie odwiedzić“, powiedział kiedyś w przypiływie dobrego humoru, „wyjdiesz ze stacji kolejowej na główną ulicę, skręcisz drugą w lewo, pójdziesz prosto jeszcze ze sto metrów, zobaczysz napis «Ciasny Zaulek», to taka wąska ślepa uliczka, dosyć tam brudno, wszędzie sterty śmieci, ale to jest dzielnica, którą kocham, bo tam się urodziłem i tam chciałbym umrzeć. Po wojnie chyba ją wyczyszczą, ale i tak bez trudu trafisz do warsztatu. Po prostu pamiętaj: Ciasny Zaulek numer trzy“.

Pięć wytartych kamiennych schodów prowadziło z chodnika do sutereny. Drzwi były brudne, w miejsce wybitych szyb wstawiono spaczone wilgocią kawałki dykty. Niewprawną ręką nabazgrała na nich: „Prace tokarskie tanio i z gwarancją“. Szukałem dzwonka, ale niczego takiego nie było. Zapukałem. Nie było odpowiedzi. Zapukałem mocniej. „Otwarte!“, zawołał kobiecy głos. Drzwi otwierały się do wewnątrz. „Uwaga, jest jeszcze jeden stopień“, ostrzegła kobieta. Pomieszczenie pogrążone było w półmroku, jedynie nad tokarką, przy ścianie, pod talerzem szklanego abażuru paliła się żarówka. W głębi warsztatu stał mężczyzna, nie widziałem twarzy, bo abażur rzucał na nią zielony cień, lecz wydawało mi się, że rozpoznaję znajome rysy.

„Kurt?“, zapytałem.

„To nie Kurt, to jego brat“, odezwała się kobieta i stanęła między nami, jakby chciała zagrozić drogę. „Czego pan sobie życzy?“

„Chciałbym porozmawiać z Kurtem Kolonko.“

„W jakiej sprawie?“

Kobieta obdarzyła mnie podejrzliwym spojrzeniem. Zauważyłem, że wypchana teczka pod pachą budziła jej niepokój. „Jestem przyjacielem Kurta“, powiedziałem. „Kurt nie ma już przyjaciół“, odparła chłodno.

„To nieprawda“, zaprotestowałem. „Zawsze może liczyć na moją pomoc“.

„Kurt nie potrzebuje pomocy“, rzuciła sucho.

„Każdy z nas potrzebuje“, próbowałem przekonać. Czekala milcząco na dalszy ciąg, ale nie bardzo wiedziałem, co powiedzieć, jak do niej dotrzeć. Wciąż jeszcze stałem plecami do drzwi, nie rozumiejąc dziwnej sytuacji, w jaką się wplątałem. Spojrzałem na puste plecione krzesło, ale aluzja nie została odczytana. Ani Henryk, ani obca kobieta nie poprosili, abym wszedł i usiadł. Przedstawiłem się. Dopiero wtedy odparła:

„Jestem matką Kurta“.

„Tak myślałem“, bąknąłem skonfundowany i pochyliłem się, by ucałować ją w rękę. Matka Kurta szybko schowała ją pod fartuch, wyraźnie broniąc się przed próbą jakiegokolwiek dotyku. Zaraz potem cofnęła się, oparła o krawędź tokarki i cisnęła we mnie kilka zimnych, nieprzyjaznych słów:

„Nie ma co myśleć. Wszyscy wiedzą, że jestem matką Kurta. A pan? Nigdy nie słyszałam pańskiego nazwiska. Ani pan klient, ani taj-niak, więc czego pan tu szuka?“

Z opowiadań Kurta wiedziałem, że ma pięćdziesiąt lat, ale wyglądała znacznie starzej. Patrzała na mnie oczyma osadzonymi głęboko w pomarszczonej twarzy, ale nie było w tym spojrzeniu prawdziwego zainteresowania. Henryk wysunął się z cienia, dopiero teraz spostrzegłem, jak bardzo podobny był do brata. Chciał coś powiedzieć, ale matka wysunęła ramię, dając znak, że nie życzy sobie żadnej interwencji. Henryk wycofał się jak skarcone dziecko.

„A więc“, powtórzyła, „czego pan tu szuka?“

„Nie wiem, od czego zacząć“.

„Najlepiej niech pan zacznie od początku“.

„To długa historia“.

„Pan spróbuje ją skrócić“.

„W dużym skrócie mogę powiedzieć tylko tyle, że nigdy nie zapomnę, co dla mnie zrobił Kurt, i że przyjechałem, żeby spłacić dług, jeśli długi tego rodzaju dają się w ogóle spłacić. Przypuszczam, że pani wie, o co chodzi“.

„Nie zrozumiałam ani słowa“.

„Kurt nigdy o mnie nie mówił?“, zdumiałem się. A gdy znów odpowiedziała milczeniem, zacząłem wyjaśniać: „Byliśmy razem w obozie, w hucie «Zgoda», pani wie, że był tam, bo mu posyłała paczki. Dostawał je, nie zawsze, ale czasami, bo funkcyjni, którzy kradli wszystko, co się dało, trzymali się na baczności. Kurt nie był kapo, niby zwykły więzień, ale wszyscy go szanowali. Przewodził paczce Ślązaków, trzymali się razem, pomagali sobie wzajemnie, a jak przyszło co do czego, umieli przywalić. Może pani być dumna z takiego syna. Także za to, co zrobił dla mnie. Od chwili gdy rozeszły się nasze drogi, nie przestawałem o tym myśleć. Stałem tam jak na stracenie, żydowski chłopak bez nadziei, wszyscy odwróceny byli plecami, wie pani jak to jest, niepowodzenie nigdy nie ma współników, czułem, że świat dzieli się na katów i ofiary, czasami role się zmieniały, ale w owej chwili na pewno byłem ofiarą, i nagle, nie wiadomo dlaczego, Kurt... Tak naprawdę, to nigdy nie pojąłem, dlaczego akurat Kurt i akurat mnie. Mam nadzieję, że Kurt wiedział dlaczego, że teraz mi wyjaśni... Widzi pani tę teczkę?“

„Przecież nie jestem ślepa“.

„Jest w niej dosyć pieniędzy na dwie tokarki, z automatyczną skrzynią Nortona, takie o jakich Kurt marzył. To nie jest zapłata. Za życie nie ma ceny, ale nie znam innej drogi na wyrażenie wdzięczności. Uspokoiła się pani teraz? Teraz może pani zawołać Kurta?“

„Nie; nie mogę“.

Podąłem jej teczkę z pieniędzmi, ale nie wyciągnęła po nią ręki, wciąż jeszcze trzymała ją schowaną pod fartuchem, tylko całkiem niespodziewanie wyprostowała się, przedtem nie zwróciłem uwagi, że była przygarbiona, wyraz twarzy zmienił się gwałtownie, spadła maska obojętności, górna warga, cienka i zaciśnięta do białości, drgała w nerwowym skurczu, aż po krótkiej chwili niemego gniewu wybuchła:

„Jaką śmiałość masz tu przychodzić?! Jakie prawo masz żyć, podczas gdy mojego chłopca nie ma już między żywymi? Weź te swoje judaszowe trzydzieści srebrników i wynoś się!”

Henryk znów wysunął się z cienia, jakby przeczuwał, co się stanie, ale nim zdążył cokolwiek uczynić, matka Kurta podeszła tak blisko, że czułem ciepło jej oddechu. Nie mogłem się cofnąć, za mną były schody. Jej czoło było teraz na wysokości mojego, jej oczy na wysokości moich. Czytałem w nich bezmierną nienawiść. „Przeklęty Żydzie, przeklęty bądź po wieki wieków“, syknęła i plunęła mi prosto w twarz. Otarłem ślinę końcem rękawa, a ona, nie panując nad sobą, splunęła po raz wtóry.

„Pan jej wybaczy“, powiedział cicho Henryk. „Mój brat nie wrócił z Oświęcimia“.

Nogi wrosły mi w ziemię. Stałem bezradny, oszołomiony, niemy. Dopiero gdy chciała splunąć po raz trzeci, rzuciłem jej pod stopy wypchaną teczkę - a może po prostu wyślizgnęła mi się spod pachy? - i uciekłem.

Nie. Nie uciekłem. Są sytuacje, od których nie ma ucieczki. Nienawistny błysk oczu, rozeźlona twarz, syczący głos, jad śliskiej plwociny, nawet nerwowe drganie górnej wargi, wszystko odzywa we mnie za każdym razem, gdy stoję bezradny wobec gniewu, który rozumiem, lecz nie mogę usprawiedliwić; za każdym razem, gdy chciałem dobrze, a wyszło źle. Nie wiem dlaczego, ale zupełnie nie kontrolowanym ruchem ocieram wówczas twarz końcem rękawa.

4

Tego „przeklętego po wieki wieków Żyda“ wydobyłem z lamusa cierpkich wspomnień, gdy późnym popołudniem, było to chyba pod koniec października lub na początku listopada 1956 roku, na pierwszym piętrze warszawskiej kawiarni „Pod Arkadami“, oznajmiłem przyjacielom, że wyjeżdżam do Izraela. „Mimo iż minęło prawie dziesięć lat, trauma tamtego przeżycia“, twierdziłem z uporem, „nie pozwala mi pozostać w kraju“.

„Nie wstawiaj bajerów“, zirytował się Zyg, poetycka dusza, która awansowała na kierownika państwowej składnicy złomu i zbiła niezły majątek na nielegalnej sprzedaży szlachetnych metali. „Przypnij się bez bicia; przecież wiemy, że jedziesz tylko dlatego, że tam się lepiej żyje“.

Zaprzeczałem gorąco, ale w głębi serca wiedziałem, że jest w tym zarzucie żdźbło prawdy. Wprawdzie nigdy nie zapomniałem matki Kurta Kolonko i jej śliny piekającej skórę mojego policzka, ale do dziś dnia nie potrafię stwierdzić z całą pewnością, co w gruncie rzeczy skłoniło mnie do złożenia podania o wizę emigracyjną. Na pewno nie byłem osobą podejmującą ważne decyzje życiowe z dziesięcioletnim opóźnieniem. Poza tym nie należałem do ludzi, którzy noszą zawiść w sercu. Może to dziwne, ale znów wierzyłem, że świat i ludzie są w gruncie rzeczy dobrzy i nigdy, ale to nigdy, nie sądziłem bliźniego bez skrupulatnego zbadania obu stron medalu.

Stanowiliśmy zgraną paczkę młodych, trochę lekkomyślnych zdobywców świata. Najmłodszy z nas miał dwadzieścia dwa lata, najstarszy nie przekroczył trzydziestki. Paraliśmy się pisarstwem, dziennikarką, teatrem i pasożytnictwem, a wokół nas krążyła chmara ludzkich ciem, zwabionych wątpliwym zaszczytem spędzania czasu w towarzystwie „intelektualistów“. Niektórzy zarabiali dobrze, bo władza szczerze wynagradzała piewców realnego socjalizmu, niektórzy z trudem dociągali do końca miesiąca, ale pełna lub pusta kieszeń nie decydowały o niczym. Bilet wstępu do naszego towarzystwa „Pod Arkadami“ stanowiły bystrość myśli i styl bycia, a także, w uprzywilejowanej kolejności, powodzenie u dam. Nie przez przypadek akurat ta kawiarnia była miejscem naszych stałych spotkań. Partyjni dygnitarze, sami nie stroniący od uciech życia, oficjalnie walczyli „z rozwiązłością obyczajów“, propagując niemal wiktoriańską dwulicowość. Hotele, wszystkie, oczywiście, państwowe, wynajmowały pokoje tylko parom małżeńskim. Portierzy, w większości pozostający na usługach bezpieczeństwa, skrupulatnie badali dowody osobiste, gorliwie służąc sprawie socjalistycznej moralności. Wprawdzie stułotowy banknot czynił cuda, ale kto chciał się lekkomyślnie pozbawiać sumy, za którą można było kupić trzy butelki czystej? Z kawiarni „Pod Arkadami“ prowadziło bezpośrednie przejście do korytarza w hotelu o tej samej nazwie. Cholera wie, jak wydarzyła się taka karygodna pomyłka, ale dzięki braku czujności towarzyszy architektów mogliśmy wynajmować pojedynczy pokój i bezkarnie wprowadzać doń panie pragnące poznać nas bliżej. Oszczędność była spora, a poza tym, w przeciwieństwie do nas, płęć żeńska przedkładała dyskrecję nad nasze mielenie jęzorem.

Przez Polskę powiało nową nadzieją. 24 października 1956, na Placu Defilad, w cieniu Pałacu Kultury i Nauki sprezentowanego narodowi przez Józefa Wissarionowicza Dżugaszwili, ponad stutysięczny tłum entuzjastycznie witał Władysława Gomułkę, nowo mianowanego sekretarza partii. Zaledwie kilka dni przedtem wylądował na Boernerowie, wojskowym lotnisku stolicy, oburzony Nikita Chruszczow, otoczony świtą radzieckich dostojników. Byli tam Mołotow i Kaganowicz, i nawet, zapewne nie bez przyczyny, szef sztabu Układu Warszawskiego generał Iwan Koniew. Rosjanie pragnęli ingerować w przebieg obrad VIII Plenum Komitetu Centralnego PZPR. Gdy tylko Chruszczow zstąpił z wyżyn kremlowskiego samolotu, zaatakował Gomułkę za „nacjonalistyczne odchylenia“ i postawił mu absurdalny zarzut chęci sprzedania Polski kapitalistom i syjonistom. Ale w okresie, gdy popularność partii sięgała dna, niemal wszystkie skłócone ze sobą obozy, od „Natolińczyków“ do „Puławian“, widziały w Wiesławie jedyne remedium na przywrócenie jej utraconego autorytetu. Delegacja radziecka wróciła do Moskwy nie zmieniawszy niczego, zaś opinia publiczna odebrała ten odwrót jako oczywiste zwycięstwo „polskiej drogi do socjalizmu“. Entuzjazm ograniczył z euforią, nie więc dziwnego, że nadzieja na fundamentalne zmiany stanowiła główny temat naszych kawiarnianych dyskusji. Na próżno usiłowałem poruszyć sprawę Kampanii Synajskiej, która rozpoczęła się pięć dni po masowej demonstracji na Placu Defilad. Bliski Wschód leżał daleko od serc moich przyjaciół. Wiadomości z frontu czytałem w prasie zachodniej, zamknięty przed oczyma ciekawskich. Ku mojemu wielkiemu rozczarowaniu odkryłem, że nasza „paczka“, dla której gotów byłem pójść przez ogień i wodę, nie dzieli ze mną wszystkiego, co mi bliskie.

Nikt ze stałych bywalców „Pod Arkadami“ nie brał bezpośredniego udziału w październikowych wydarzeniach, patrzyliśmy na bieg wypadków trochę jak gracze totalizatora na Służewcu, każdy obstawiał swojego konia i czekał na rezultaty. Ja śledziłem wyścig w mniejszym napięciu, było mi obojętne, czy KC uwzględni żądanie partyjnych profesorów Uniwersytetu Warszawskiego i otworzy łamy prasy dla ogólnonarodowej dyskusji, i czy Kłosiewicz odwołany zostanie ze stanowiska przewodniczącego związków zawodowych. Wiedziałem, że zmiany, jakiegokolwiek by nie były, nie wpłyną na moje ostateczne i nieodwołalne postanowienie wyjazdu z Polski.

Zarzut pogoni za pieniądzem był bezpodstawny. Latem ubiegłego roku otwarte zostało w „Bristolu“, podówczas najelegantszym hotelu stolicy, przedstawicielstwo dziennika „New York Times“. Sydney Grusson został pierwszym warszawskim korespondentem tej gazety, która jeszcze do niedawna uważana była za tubę propagandy antyradzieckiej, a teraz sygnalizowała pierwsze krople odwilży. Nie znając polskiego, Grusson szukał przewodnika po meandrach przedsiódek elit politycznych. Tomasz Atkins, redaktor „Expressu Wieczornego“, syn Pomeranza, właściciela przedwojennej żydowskiej drukarni w Łodzi, który lata wojenne spędził w Anglii i wkrótce miał być aresztowany pod zarzutem szpiegostwa, uciec z więzienia i pojawić się w Izraelu pod znowu innym nazwiskiem, był pierwszą osobą spośród nas, która zarzuciła kotwicę w hotelowym apartamencie Grussona. Wkrótce potem również ja znalazłem drogę do źródła szeleszczących „zielonych“, dostarczając krótkie wiadomości dla gazety, i w ten sposób zakończył się dla mnie okres siedmiu lat chudych. Ale co niemal z łatwością oferował mi najbardziej prestiżowy dziennik amerykański, tego nie mogłem uzyskać w najmniejszej polskiej gazecie. Z Wrocławia wciąż jeszcze ścigał mnie cień rzekomego sabotażu, moje nazwisko nie zostało skreślone z czarnej listy RSW Prasa. Mogłem przytulić się na jakiś czas w piśmie marionetkowego Stronnictwa Demokratycznego, ale łamy prawdziwej prasy i mikrofony rozgłośni radiowych pozostały dla mnie zamknięte. Naiwnie wierzyłem, że odwilż polityczna umożliwi mi inną stałą, ciekawą pracę. Okazja nadarzyła się zupełnie nieoczekiwanie. Znajomy dyrektor „Orbisu“ wyjawiał mi, że firma poszukuje kierownika do działu obsługi turystyki zagranicznej, i że zaproteguje mnie na to stanowisko. Niewątpliwie byłem odpowiednim kandydatem. Znałem obce języki, kontakt z Sydneyem Grussonem umożliwił mi poznanie mechanizmów, które regulowały działalność zachodnich środków masowego przekazu, a poza tym posiadałem zdolność zachowania się w każdym towarzystwie, nie naruszając przepisów *bon tonu*, cechę dosyć rzadką wśród kadry kierowniczej pochodzącej z awansu społecznego. Podczas spotkania z gronem decydentów nie ukrywałem wrocławskich wydarzeń. Zapewniono mnie, że „Stalin umarł, a wraz z nim wszystkie idiotyczne podejrzania“. Ponieważ stanowisko było w tak zwanym kluczu partyjnym, moja teczka, zaopatrzona wszelkimi możliwymi rekomendacjami, przekazana została do ostatecznego rozpatrzenia w KC. Cierpliwie czekałem na odpowiedź. Mijały tygodnie, a z partii ani słyhu, ani dychu. Wysłałem list polecony. Nikt nie raczył odpisać. Próbowałem połączyć się telefonicznie, ale nie udało mi się przebrnąć przez mur sekretarek i

sekretarzy. Dopiero gdy, straciwszy cierpliwość, stawilem się osobiście w biurze jednego z dyrektorów naczelnych „Orbisu“, sprawa została ostatecznie wyjaśniona.

„Nie wiedziałem, jak to panu przekazać“, powiedział dyrektor z nie ukrywanym zakłopotaniem. „Pańskie podanie zostało odrzucone“.

„Znowu Wrocław“.

„Nie“. Dyrektor zaczerwienił się. „Powiedziano nam, że zbyt wielu Żydów zajmuje u nas kierownicze stanowiska, i że musimy znaleźć kogoś innego“.

To był cios poniżej pasa. Gdyby ktokolwiek zapytał mnie, czy odczuwałem nastroje antysemickie, odpowiedziałbym kategorię „nie“. Niemal wszyscy koledzy byli Polakami, wszystkie dziewczyny, które szły ze mną do łóżka, były Polkami. Pochodzenie nigdy nie przeszkadzało mi w nawiązywaniu kontaktów. Przecież mówiłem po polsku jak Polak, myślałem po polsku, zachowywałem się jak większość znajomych Polaków. Nie wlokłem za sobą żydowskiego balastu kulturowego. Dopiero wychodząc z budynku „Orbisu“ przy ulicy Brackiej, uświadomiłem sobie, że za każdym razem, gdy koledzy klepali mnie przyjacielsko, mówiąc, że lubią mnie, bo „przecież jesteś z naszych“, podkreślali, że akceptują mnie przede wszystkim dlatego, że wyrzekłem się jakiegokolwiek odrębności, i że w gruncie rzeczy pochwały te nie były niczym innym, jak zaprzeczeniem mego prawa do narodowości żydowskiej. Minęło wiele lat, nim uświadomiłem sobie w pełni znaczenie układu, w którym się poruszałem. Żyjąc w Polsce, byłem przekonany, że jestem u siebie. Dopiero po pełnym zaaklimatyzowaniu się w Izraelu doszedłem do przekonania, że Polska była dla mnie wspaniałym, gościnnym domem, ale dom prawdziwie mój jest nad Jordanem. I wciąż jeszcze nie wiem, kiedy dostrzegłem tę cienką granicę między moim a ich światem.

Dzisiaj zdaję sobie sprawę, że decyzja emigracji nie była wynikiem jednego, ściśle określonego wydarzenia. Narastała we mnie pomału, warstwa po warstwie, może narodziła się w dniu, w którym ze złością podarłem egzemplarz „Trybuny Ludu“ z artykułem o spisku żydowskich lekarzy przeciw Stalinowi, a może podczas przypadkowej rozmowy o żydokomunie, która ponoć zniewoliła powojenną Polskę, może podczas spotkania z księdzem w Świdrze (wkrótce będzie o tym mowa), a może w trakcie czytania artykułów przyrównujących syjonizm do nazizmu. W każdym razie tkwiła we mnie głęboko jak kłująca drzazga, nawet jeśli nie bolała i nie byłem świadom jej istnienia, drażniła, męczyła, czekała na katalizator, który wywoła reakcję. Myślę, że stało się nim wyznanie dyrektora: byłem „jednym z naszych“, a jednak nie bez stygmatu. Poza tym perspektywa pozwoliła zrozumieć, jak istotne jest dla człowieka poczucie przynależności. Mijające lata można przyrównać do długo nie używanego wodociągu. Gdy otwiera się kran, najpierw płynie mętna, rdzawa ciecz, dopiero po upływie dłuższego czasu woda staje się krystalicznie przejrzysta - jak prawda.

5

Mira i jej mąż Józef mieli małe dwupokojowe mieszkanie w Świdrze, w odległości dwudziestu minut jazdy kolejką elektryczną ze śródmieścia Warszawy. Mimo iż administrowały nim władze partyjne - Józef pracował wówczas jako kierownik Zenona Nowaka, członka Biura Politycznego KC - był to zaniedbany, drewniany budynek, bez bieżącej ciepłej wody i z jedną wygodką w podwórzu dla czterech zamieszkujących go rodzin. Zlew w kuchni służył do zmywania naczyń i jako zastępcza „łazienka“, a w zimowe mrozy żelazny piec na koks z trudem ogrzewał oba pomieszczenia. Ale dla mnie, po przybyciu z Wrocławia, na krótko po zwolnieniu z aresztu śledczego, bezrobotnego i gołego jak święty turecki, dom ten był czymś znacznie lepszym niż nocny azyl. Nie wydaje mi się, bym z góry kreślił jakieś nieczne plany mające na celu pozbawienie Józefa dachu nad głową. Sprawy potoczyły się niejako siłą inercji. Gdy telefonowałem do Miry z automatu na Dworcu Głównym, to przede wszystkim dlatego, że żaden inny z moich warszawskich znajomych nie posiadał telefonu. Z ręką na sercu, chyba także dlatego, że łączyła nas pamięć nie zakończonej przygody sprzed czterech lat w Jeleniej Górze.

Umówiliśmy się w restauracji, w bezpośrednim sąsiedztwie miejsca jej pracy. Mira była sekretarką w konsumie pracowników najwyższych władz partyjnych. Firma nie figurowała w żadnym spisie, nie miała szyldu ani okna wystawowego, a klienci nie musieli fatygować się osobiście po odbiór

zamówionych towarów; samochód dostawczy zawoził je pod każdy wskazany adres. W taki to sposób partia dbała o odpowiednie zaopatrzenie dla wybrańców narodu w okresie, gdy większość półek w sklepach dostępnych dla zwykłych śmiertelników pokrywała się kurzem. Towary nabywane w konsumie, od kawy kubańskiej po futra z syberyjskich soboli, często wędrowały na czarny rynek, powiększając dochody uprzywilejowanych. Nielegalny proceder, mimo iż był powszechny, nigdy nie został ukrócony. Cenzurowana prasa nie odważyła się poruszyć zakazanego tematu, zaś prawy obywatel, który usiłowałby złożyć zażalenie, powędrowałby przypuszczalnie do więzienia. Mira, która była świadkiem szybkiego bogacenia się partyjnych bonzów, nigdy nie wykorzystwała otwartych przed nią możliwości. Wyróżniała się uczciwością graniczącą z głupotą, uczciwością wpojona jej przez męża, który sam był niepoprawnym oszustem.

Jej przesadna uczciwość nigdy nie została wynagrodzona. Kilka miesięcy po naszym spotkaniu awansowała na stanowisko dyrektora gabinetu Stefana Ignara, zastępcy przewodniczącego Państwowej Komisji Planowania Gospodarczego. Na czele instytucji, będącej ramieniem wykonawczym Biura Politycznego, stał Hilary Minc, powszechnie zwany carem socjalistycznej gospodarki. Aby zachować pozory demokracji, dwaj jego zastępcy reprezentowali dwie kolaborujące partie polityczne. Ignar był przedstawicielem Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego, zaś głównym zadaniem Miry było czuwanie nad jego lojalnością. Jej błyskawiczna kariera zakończyła się równie raptownie jak zaczęła, a to wskutek przypadku, który dzisiaj odczytywany będzie niemal jak groteska.

Kancelaria wiceprzewodniczącego mieściła się na drugim piętrze zachodniego skrzydła gmachu wzniesionego na placu Trzech Krzyży, jednego z nielicznych miejsc, których nazwa nie została zmieniona na lepiej brzmiącą dla wrażliwego ucha komunistów. Wstęp do budynku uwarunkowany był posiadaniem specjalnej przepustki. Podczas rzadkich wizyt u Miry musiałem cierpliwie czekać, aż przyjdzie po mnie zaufany wartownik, zaprowadzi do windy i towarzyszyć mi będzie w drodze przez długi korytarz, cały czas opierając rękę na kaburze pistoletu, jakbym był co najmniej Alem Capone składającym kurtuazyjną wizytę w Forcie Knox³³. Każdy dokument traktowany był w tej instytucji jako ściśle tajny. Zresztą, pod tym względem PKPG nie różniła się od innych urzędów lub zakładów przemysłowych. Od lat tłumaczono nam, że wrogowie ustroju czyhają na ten jeden moment braku czujności, w którym uda im się szpiegować, sabotować lub ukraść pilnie strzeżone tajemnice państwowe. Za poufny uważany był każdy świstek papieru, czujność była zasadniczym składnikiem indoktrynacji. Z początkiem lat pięćdziesiątych nie wiedziałem jeszcze, że biurokracja każdego ustroju totalitarnego tworzy swój własny, specyficzny język, mający na celu ukrycie właściwego sensu słów. Hitlerowcy nigdy nie mówili o zagładzie narodu żydowskiego, lecz o ostatecznym rozwiązaniu. Ich teoria o czystości rasy odziana była w dziesiątki niewinnie brzmiących sformułowań naukowych. Podobnie było w krajach bloku radzieckiego. „Czujność“ była synonimem wzajemnych donosów, zaś „wróg“ oznaczał każdego, kto miał odwagę myśleć samodzielnie. Nikt z nas nie czytał „1984“ Orwella. Wywrotowa literatura tego rodzaju nie przechodziła przez ucho igielne cenzury, aczkolwiek nie było miejsca pod słońcem, w którym byłaby bardziej aktualna. George Orwell mistrzowsko przedstawiał związek między językiem a polityką, a także wpływ języka na sposób myślenia, aż do chwili, gdy - jak pisał - człowiek zaczyna wierzyć, że „wojna to pokój“, a „wolność to niewola“. Polskie środki masowego przekazu szybko przyswoiły sobie ten potworny polityczny żargon i zaraziły nim szerokie rzesze czytelników. Między masami pracujących a „światowym proletariatem“ zgubiła się indywidualność jednostki. Nie zachowałem artykułów pisanych przed aresztowaniem, ale prawdopodobnie również ja posługiwałem się polską wersją nowomowy, nie rozumiejąc jej prawdziwego znaczenia.

Trudno powiedzieć, że Mira ugięła się pod ciężarem pracy. Stefan Ignar często przebywał w zagranicznych delegacjach służbowych, a gdy jego luksusowy gabinet ział pustką, dyrektor kancelarii pogrążała się w przymusowej beczynności. Zatopiona w wygodnym fotelu, chroniona przed niespodziewanymi intruzami podwójnymi drzwiami otwieranymi na przycisk elektryczny, mogła poświęcać się ulubionemu zajęciu, czytaniu. Pewnego dnia, gdy cała jej uwaga skupiona była na fabule ostatniej powieści Borysa Polewoja, zadzwonił telefon. Nie chcąc utracić wątku, założyła czytana stronę legitymacją partyjną i odłożyła książkę do szuflady. Z niewiadomej przyczyny nie wróciła już do „Opowieści o prawdziwym człowieku“ i książka została zapomniana na dnie biurka. Po miesiącu, podczas głosowania w podstawowej organizacji partyjnej, nadaremnie szukała swej

³³ Fort Knox - miejsce, w którym Bank Federalny USA przechowuje zapasy złota.

legitymacji w torebce. Za żadne skarby nie mogła sobie przypomnieć, gdzie ją posiała. Członkowie egzekutywy odesłali ją z poleceniem natychmiastowego odszukania cennego dokumentu. Bez skutku przewróciła wszystkie papiery na biurku i w kasie pancernej.

„Zgubiliście?” - sekretarz zakładowej organizacji partyjnej uniósł brew w pełnym przestrogi zdumieniu.

„Musiałam ją zostawić w domu. Dajcie mi czas do jutra, na pewno znajdę”, prosiła. Na próżno. Obowiązkiem było nie rozstawać się z legitymacją, ni w dzień, ni w nocy, traktować ją jak najcenniejszy skarb wymagający bezustannego pilnowania, bo przecież każdy uświadomiony obywatel wiedział, że wróg tylko czeka na okazję, by położyć na nią swoje brudne łapy. Mira została zganiona i przeniesiona do działu książek kucharskich w Polskim Wydawnictwie Gospodarczym.

Przyjęła tę degradację bez słowa protestu, chyba dlatego, że sama uwierzyła, iż niedopatrzenie tego rodzaju jest czynem jak najbardziej karygodnym.

Gdy przyszła na spotkanie w restauracji rybnej, była jeszcze w drodze na szczyt kariery zawodowej. Szczupła w biodrach mimo dwóch porodów, wyróżniająca się delikatną semicką urodą, która zawsze przemawiała do mojego poczucia piękna, wydawała mi się szczęśliwa i beztraska. Zamówiliśmy pierogi z ziemniakami, zapiliśmy kwaśnym mlekiem i prowadziliśmy niezobowiązującą rozmowę, udając, że nie ma między nami erotycznego napięcia i wzajemnego oczekiwania na chwilę spełnienia. Miałem gorączkę, bo w celi więziennej nabawiłem się grypy, a Mira rzuciła mimochodem, że mogę zamieszkać u nich do czasu, aż wyzdrowieję i znajdę sobie własny kąt w Warszawie. Żadne z nas nie nawiązało do krótkiej, jeleniogórskiej przygody, gdy późnym wieczorem zadzwoniła do drzwi, oświadczając, że pragnie spędzić u mnie noc. Wiedziałem, że jej małżeństwo z Józefem utknęło na mieliźnie, i że szukała z niego ucieczki. „Przykro mi”, odpowiedziałem i zmusiłem ją, by wróciła do domu. Stawiałem wówczas pierwsze kroki na ścieżce dziennikarstwa. Józef, będąc sekretarzem partii w zakładach optycznych produkujących dla wojska, z łatwością mógł przekreślić moją, tak dobrze zapowiadającą się, przyszłość.

Związek Miry z mężem narodził się podczas drugiej wojny światowej i należy do tych dziwnych historii, które tworzą tylko dziwne sytuacje. Podobnie jak moi, również rodzice Miry uciekli przed Niemcami na Kresy i znaleźli się tam w czasie, gdy Hitler i Stalin podzielili Polskę. Lecz w przeciwieństwie do mojej matki, która nie chciała wsiąść do ciężarówki młodego radzieckiego porucznika i została we Lwowie, Fremderowie, tak nazywała się rodzina Miry, kontynuowali ucieczkę w głąb Rosji, do jednej z odległych republik za Uralem. Najważniejszym przedmiotem, który zabrali z sobą w drogę, nie były perskie dywany, lecz pudełko z zastrzykami insuliny. Matka Miry chorowała na cukrzycę, każdy zastrzyk przedłużał jej życie o jeden dzień. Bolszewicy osadzili ich w zapadłym *posiotku*, gdzie żyli w nadziei, że wojna skończy się wcześniej niż zapas insuliny.

Latem roku czterdziestego trzeciego, mimo wielu porażek, Wehrmacht znajdował się jeszcze daleko na wschodzie, oblegał Leningrad i nie zrezygnował z nadziei na zdobycie pól naftowych na Zakaukaziu. W Krakowie Greta przypuszczałnie wciąż jeszcze odbierała cenne przesyłki od brata na froncie, Wilhelm Kunde zapomniawszy chyba o morderstwie mojej mamy, zaś Amon Goeth szalał jak zwykle w pła-szowskim obozie. W tym samym mniej więcej czasie powstała w Związku Radzieckim Dywizja Kościuszkowska, która miała walczyć u boku Armii Czerwonej. Ojciec Miry postanowił się zaciągnąć. Na wygnaniu, w Turkmenistanie, została matka i córka, obie bez środków do życia. Mira była dzieckiem i nie wiedziała, czym ojciec tłumaczył swoje trudne do przyjęcia postanowienie. Zimą wyczerpał się zapas insuliny, matka konała w cierpieniach. W przerwach między stanami nieprzytomności płakała, bo zdawała sobie sprawę z nieuchronnego końca. Choroba najpierw zaatakowała wzrok, potem pogrążyła ją we śnie, z którego nie było przebudzenia. W całej okolicy nie znalazł się nikt, kto mógłby pomóc. W trzydziestostopniowym mrozie Mira ciągnęła jej zwłoki na sankach, aby pogrzebać ciało w stwardniałej ziemi miejscowego cmentarza. Miała piętnaście lat, samotna w obcym kraju, porzucona przez własnego ojca. Zimno przyrody zamroziło jej serce. Rachunek z ojcem wyrównała dopiero wtedy, gdy sam złożony niemocą, na łożu śmierci nadaremnie szukał jej bliskości.

Niemal zwierzęcy instynkt życia nie pozwolił jej poddać się okolicznościom. Szybko doszła do siebie i zostawiając za sobą grób bez nagrobka, grób, do którego już nigdy nie wróci, wsiadła w pociąg zdążający na północ, by odnaleźć swojego tatę żołnierza. Mężczyźni forsowali drzwi do

zimnych, cuchnących wagonów silnymi łokciami; kobiety za wejście płaciły wódką, a gdy nie było rady, własnym ciałem.

Ojca nie znalazła, ale armia stała się jej namiastką rodziny. Skłamała, podając w obozie mobilizacyjnym nad Oką datę urodzenia znacznie wcześniejszą niż prawdziwa. Dywizja przytuliła ją, a ściślej mówiąc, przytulił ją plutonowy Józef Wąsik. Dla samotnej dziewczyny, szukającej ramienia, by oprzeć na nim głowę, było to wyjątkowe szczęście. We dwójkę odbyli słynną marszrutę od Lenino, aż, już jako mąż i żona, dotarli do stacji końcowej w Świdrze.

Józef Wąsik przyjął mnie z prawdziwie polską gościnnością. Nie zobaczył we mnie konia trojańskiego, który wkrótce rozsądzi jego dom od wewnątrz. Nazywał mnie „ptakiem bez gniazda“, nie przeczuwając, że ma do czynienia z kukułką składającą jajka w cudzym legowisku. Rzecz cała nie była trudna, ponieważ szybko zorientowałem się, że Józef przekroczył już granicę pomiędzy zalewaniem robaka a alkoholizmem. Dwie córki, sześciolatka Franka i czteroletnia Ala, dla swych dużych czarnych oczu zwana Kropką, przebywały w domu dziecka. Zaprzysięgłemu komuniście nie przeszkadzał fakt, że był to zakład prowadzony przez siostry klaryski, i że dziewczynki odbierały katolickie wychowanie. Z każdą wypróżnioną butelką malało jego zainteresowanie dziećmi. Coraz częściej znikał z domu, włóczył się w towarzystwie pijaków i prostytutek, a jeśli wracał na dzień lub dwa, to tylko po to, by nabrać sił do następnej włóczędzy. Nie uskarżaliśmy się na ten stan rzeczy, bo dzięki temu mieliśmy mieszkanie dla siebie. Na wszelki wypadek przestrzegaliśmy zasad ostrożności; Mira spała w swoim małżeńskim łóżku, ja na materacu rozkładanym na podłodze salonu. Podczas nocy, w których Wąsik przedkładał ulicę nad dom, przychodziła do mnie. Nie rozmawialiśmy na ten temat, nie snuliśmy planów na przyszłość, nikt nikomu niczego nie obiecywał. Żyliśmy chwilą, wykorzystywaliśmy ją do cna. Nie wiadomo, jak potoczyłyby się sprawy, gdyby nie obudził nas nagły powrót Józka, późno po północy. Zdradzany małżonek przyłapał nas, mocno podпиты, w zupełnie niedwuznacznej sytuacji. Spodziewałem się awantury, w najlepszym razie wyrzutów za zdradę, za nadużycie gościnności. Nic takiego się nie stało. Gość we własnym domu nie wyglądał na wzburzonego. Opadł ciężko na krzesło, oparł łokcie o stół, wsunął podbródek w rozczapierzone dłonie i powiedział sucho: „spodziewałem się tego od pierwszej chwili“.

Usiadłem naprzeciw. „Chciałbym ci wytłumaczyć“, wyjąkałem. Wąsik nie pozwolił mi dokończyć.

„Co ci zostało do tłumaczenia? Może jestem zalany, ale nie ślepy“.

„Przepraszam“, wykrztusiłem, wiedząc, jak głupie są te słowa. Józef Wąsik wyciągnął do mnie rękę.

„Nie przejmuj się, mam to w dupie. W mieście są setki kobiet, wszystkie mają to samo między nogami. Po jaką cholere mam sterczeć akurat z taką, co bez przerwy ma jakieś pretensje? Po jaką cholere, powiedz sam?“

„Jeśli tak, dlaczego nie spakujesz manatek i nie pójdziesz do twoich kurew?“; oburzyła się Mira. Wąsik uśmiechnął się chytrze.

„Powiem ci, moja droga; powiem ci, dlaczego. Bo nie mam zamiaru dawać za darmo czegoś, co można sprzedać za pieniądze“.

„Pieniądze? Za co pieniądze?“

„Za ciebie, moja droga“.

„Oszalałeś?“, zawołała Mira.

Wąsik cofnął wyciągniętą rękę, potarł kciuk o palec wskazujący, czyniąc wyraźną aluzję do liczenia banknotów i zwrócił się do mnie:

„Powiedz szczerze, ile dla ciebie jest warta?“

„Pomyliłeś się w adresie, Józek“, wtrąciła Mira. „Nie jesteśmy na targu bydła“.

„To ci się tylko tak zdaje, moja droga.“

„Przestań mnie nazywać «moja droga».“

„Tanio cię nie sprzedam“.

„Chyba nie mówisz serio“, powiedziałem, aczkolwiek wiedziałem już z całą pewnością, że nie żartowałem.

„Nigdy nie mówiłem bardziej poważnie. Mówiąc szczerze: na ulicy, w samochodzie, czeka na mnie mój kumpel. Potrzebujemy forszę. Daj mi czterysta złotych i jest twoja. Cała, tak jak stoi. Daj cztery stowy i weź ją razem z tym zasranym mieszkaniem, z pluskwami i wszystkimi gratami. Daj

cztery razy po sto złotych, a pójdę sobie i więcej mnie nie zobaczycie na oczy. Jednorazowa okazyjna wyprzedaż. Co ty na to?”

Żądana suma stanowiła jedną trzecią przeciętnych miesięcznych poborów. Sięgnąłem ręką po portfel. Nagle odezwała się Mira, głos miała spokojny, zrównoważony:

„Nie bądź taki rozrzutny. Za dwieście też pójdzie“.

Wąsik nie opuścił ani grosza, ale dotrzymał słowa. Wziął pieniądze i więcej nie pokazał się w Świdrze. Utrzymywaliśmy z nim sporadyczne kontakty. Wkrótce potem, przyłapany na prowadzeniu samochodu po pijanemu, stracił posadę kierowcy. Koledzy partyjni załatwili mu posadę dyrektora PGR-u na Suwalszczyźnie. Gdy cielęta nie wytrzymały „zimnego chowu“ i zdechły, przeniesiono go do szpitala w Rabce na stanowisko... dyrektora politycznego. Jesienią, gdy Mira miała rodzić syna, Józek zaproponował jej łóżko i królewską opiekę na wydziale położniczym. Był to wyjątkowo ładny gest i Mira postanowiła przyjąć zaproszenie.

Do Rabki jechaliśmy sportowym, otwartym BMW, samochodem tak wyjątkowym na szosie jak widok bociana na Boże Narodzenie. Wprawdzie samochód był pożyczony, ale w pewnym sensie symbolizował przewrót w stanie moich finansów. Po długiej i wyczerpującej pogoni za groszem dotarłem do sadu, w którym złotówki dojrzewały na drzewach: koledzy załatwili mi posadę inspektora w warszawskim Wydziale Komunikacji. Wyposażony w mundur, który Józef Muszkat drwiąco nazywał „mundurem żydowskiego gajowego“ oraz w „lizak“ do zatrzymywania samochodów, czyhałem na niczego nie spodziewające się ofiary i bez najmniejszych skrupułów obłupiałem je z żywej gotówki. Moim oficjalnym zadaniem było sprawdzanie stanu technicznego wszystkich pojazdów oraz prawidłowości dokumentów uprawniających do poruszania się samochodami państwowymi. Miałem prawo odbierania dowodów rejestracyjnych i obowiązek składania pisemnych meldunków o każdym przekroczeniu przepisów komunikacyjnych.

Sekretarze stanu, dyrektorzy ministerstw, wyżsi funkcjonariusze partii, a także wyżsi urzędnicy czerwonej biurokracji, mieli do swojej dyspozycji samochód z kierowcą. Rangę ich dostojności poznawałem po marce pojazdu. Ministrowie i członkowie Biura Politycznego jeździli wielkimi, czarnymi chevroletami, przewrotnie zwanymi „demokratkami“; warstwa średnia rozpieszczała się na siedzeniach radzieckich czajek i pobied; wszyscy inni musieli się zadowalać samochodami polskiej produkcji. Bardzo szybko zorientowałem się, że w soboty i niedziele, gdy szoferzy mieli wolne, szefowie siadali za kierownicą i ruszali na weekend, czasami z całą rodziną, częściej z przystojną biuralistką, pragnącą przyspieszyć awans i podwyżkę. Wystarczyło zająć strategiczną pozycję na rogatkach, aby ich złowić w sieć. „Demokratek“ nie zatrzymywałem nigdy. Jeśli chodzi o inne wozy, to wysokość opłaty pobieranej za milczenie zależała od marki samochodu i od stanowiska delikwenta. Czym wyżej siedział, tym większą sumę gotów był zapłacić za ratowanie dobrej opinii i jeszcze lepszej posady.

Już po miesiącu pracy nasza sytuacja materialna poprawiła się tak dalece, że mogliśmy zatrudnić pomoc domową, wiejską dziewczynę, dla której wstawiliśmy do kuchni składane łóżko. Po dwóch miesiącach zaproponowałem Mirze zabranie Franki i AU z domu dziecka w Klarysewie. Ale, jak to zwykle bywa, apetyt wzrastał w miarę jedzenia. Zacząłem stołować się regularnie w „Bristolu“, Mira kupiła sobie drogą pelisę, a „Pod Arkadami“ zyskałem opinię fundatora. Łamałem sobie głowę, jak zwiększyć dochody. Jak zwykle z pomocą przyszedł przypadek. Staliśmy na szosie wyjazdowej do Lublina, gdy spostrzegłem zbliżającą się ciężarówkę z przeładowaną, mocno przechyloną na bok skrzynią. Ciężarówka jechała trochę ukosem, nie trzeba było być wielkim fachowcem, aby wiedzieć, że przednie i tylne osie nie są równoległe. Podniosłem „lizak“ a towarzyszący mi milicjant - tylko milicja miała prawo zatrzymywania samochodów - nakazał kierowcy zjechać na pobocze. Z kabiny wyskoczył trzydziesto-kilkuletni mężczyzna, uśmiechnął się szeroko i rzucił wesoło:

„Widzę, że nie zarobiliście jeszcze waszej dniówki“.

Milicjant usunął się dyskretnie, zostawiając mi pole do negocjacji w cztery oczy. Również on cierpiał na chroniczną pustkę w kieszeni. Ustaliliśmy, że od każdego frajera, który wpadnie w pułapkę, odpalę mu sto złotych. Tym razem jednak nie mieliśmy do czynienia z kimś, kto chciał się wykupić i jechać dalej. Właściciel ciężarówki był Alady-nem znającym zakłęcie „Sezamie, otwórz się!“

Nawet w scentralizowanym systemie gospodarczym znalazło się kilka luk, do których wcisnęła się inicjatywa prywatna i zbijała fortunę. „Badylarze“ dostarczający świeżych warzyw na targ, ginekolodzy i pokątni skrobacze, właściciele sklepów komisowych sprzedających wszystko, od

używanej odzieży amerykańskiej do starych srebrnych papierośnic z monogramem, instalatorzy, a także, o dziwo, właściciele zdezelowanych ciężarówek stanowili nową klasę posiadaczy. Właściciel zatrzymanej ciężarówki wiedział, że odebranie dowodu rejestracyjnego aż do czasu usunięcia nieusuwalnych usterek mechanicznych na długo pozbawi go źródła dochodu. Poszliśmy w bok, usiedliśmy na skraju rowu, „klient“ zapalił papierosa, prawdziwego chesterfielda z czarnego rynku, zaciągnął się z błogim wyrazem twarzy, wydobyl z przepastnej kieszeni skórzanej kurtki mion spiętych gumką banknotów i podał mi go nie licząc.

„Jest tu wielokrotnie więcej niż pańska miesięczna pensja“, powiedział. „Chce pan sprawdzić?“

„Wierzę na słowo“.

„Ale to jeszcze nie wszystko“, ciągnął. „Jeśli dojdziemy do porozumienia, zrobię z pana bogatego człowieka. Chce pan wysłuchać?“

Chciałem. Doszliśmy do porozumienia. Następnego dnia czyhałem na dwie ciężarówki jego konkurenta. Bez problemu odesłałem je do przeglądu technicznego. Z początkiem lat pięćdziesiątych nie było w Polsce prywatnego pojazdu bez zapowietrzonych hamulców, bez luzu w kierownicy albo wadliwie ustawionych świateł. Za każdy dzień przestoju płacił mi Nasielski, tak się nazywał mój nowy patron, okrągłą sumkę wystarczającą na chleb z masłem, kawiozem i francuskim szampanem. I odwrotnie: w sezonie wykopków, gdy rekwirowano prywatne ciężarówki do transportu płodów rolnych, płacąc właścicielom według śmiesznie niskich, nierealnych cenników, wystawiałem zaświadczenie stwierdzające, że stan techniczny samochodów pana Nasielskiego nie pozwala im na poruszanie się po drogach polnych. Wszystko to, rzecz sama przez się zrozumiała, na zasadach pełnej odpłatności.

Wspólnota interesów doprowadziła do stosunków koleżeńskich. Razem spędzaliśmy wieczory w najdroższych warszawskich lokalach. Towarzyszyły nam piękne dziewczyny, na ogół głupkowate nastolatki, nudzące mnie potwornie, ale stanowiące obiekt nie ukrywanej namiętności Nasielskiego. Poznałem siłę pieniądza kupującego wszystko i wszędzie, nawet w ustroju komunistycznym. Po kilku tygodniach powiedział, że „przydałaby się w interesie dobra żydowska głowa“ i zaproponował przystąpienie do spółki. Odmówiłem grzecznie. Zadowolilem się wypożyczeniem jego prywatnego BMW na kilkudniowy wyjazd do Rabki.

Józef Wąsik przyjął nas ładnie, nie omieszkając pochwalić się możliwościami swojego zaiste dziwnego stanowiska. Nie rozumieliśmy, jakie funkcje spełnia w szpitalu dyrektor polityczny, ale rezultaty mówiły same za siebie. Mira została umieszczona w osobnym pokoju, a siostry, które dawno już zapomniały znaczenie słowa „miłosierdzie“, opiekowały się nią dwadzieścia cztery godziny na dobę. Gdy nadeszła chwila bólów porodowych, wezwano najlepszego położnika w Rabce. Ale Wąsik nie zrezygnował z małej, żalosalnej zemsty. 18 października przyszedł na świat nasz syn i jeszcze tego samego dnia Józef Wąsik zarejestrował go w miejscowym urzędzie stanu cywilnego jako swoje dziecko, wybierając mu niemiecko brzmiące imię Zygfryd.

„Dlaczego to zrobiłeś?“, chciałem wiedzieć. „Przecież to nie jest twój syn“.

„Wiem“, zaśmiał się z nie ukrywaną satysfakcją. „Ale dużo wody upłynie w Wiśle, aż się z tego wypłaczenie“.

Niestety, miał rację. Mira nie miała oficjalnego rozwodu, więc miesiącami oblatywaliśmy wszystkie możliwe urzędy, aby zmienić zapis. Gdy wreszcie uznano, że niemowlak nazywa się Frister, byliśmy tak podekscytowani, że zapomnieliśmy o niemieckim imieniu. Zadowoliliśmy się przydomkiem Witek. Dopiero gdy Witek stał się faktem dokonany, trochę krzykliwym, ale bardzo słodkim, pojąłem Mirę za żonę. Ceremoniał zaślubin odbył się skromnie, bez orkiestry i hucznego wesela, w spartańsko umeblowanym biurze urzędnika stanu cywilnego w Otwocku. Z całego tego doniosłego wydarzenia pamiętam tylko jeden epizod: świadkiem Miry był kolega z I Armii, który w międzyczasie dochrapał się wysokiego stanowiska w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego. Gdy urzędnik, starszy pan przed emeryturą, zapytał o godność i zawód świadka, padła gromka odpowiedź:

„Bolesław Schweigert, pułkownik służb bezpieczeństwa“.

Urzędnik podniósł głowę znad papierów, zdjął okulary i zlustrował świadka pogardliwym spojrzeniem.

„Pułkownik bezpieczeństwa to funkcja, a nie zawód“, zauważył sucho.

Za mniej bezczelne uwagi skazywano ludzi na wiele lat więzienia. Pragnąłem obrócić przykry incydent w żart, ale urzędnik nie dał się zbić z tropu:

„Ja mogę sobie na to pozwolić. Zawsze mówię, co myślę. Mam raka wątroby“.

Miesiąc miodowy spędziliśmy w domu, mimo iż nic nie stało na przeszkodzie wyjazdowi do jednego z modnych wówczas ośrodków wypoczynkowych. Czasu miałem w bród, bo właśnie złożyłem rezygnację z intratnej posady w Wydziale Komunikacji. W zakończeniu swojej działalności na szosach widziałem wyzwanie podobne do wyzwania stojącego przed hazardzistą, który wygrał milion w miecie i postanowił przerwać grę nim znów straci wszystko. Oddając legitymację służbową, zarzynałem kurę znoszącą złote jajka, ale wiedziałem, że alternatywą może być wieloletnie siedzenie w „kurniku“.

Na pierwsze urodziny Witka postanowiliśmy zaprosić dziadka. Ojciec Miry mieszkał we Wrocławiu. Kilka razy rozmawiałem z nim przez telefon, lecz nigdy nie spotkaliśmy się osobiście. Serdeczny list z zaproszeniem nie doczekał się odpowiedzi. Nie mogłem pojąć jego zachowania. Najpierw córka, teraz wnuk. Obudziła się we mnie ogromna ciekawość i chęć poznania go bliżej. Wykorzystałem pierwszą nadarżającą się okazję i pojechałem do Wrocławia. Myślałem, że spotkam potwora w ludzkim ciele, ale Julian Fremder okazał się nadzwyczaj miłą osobą. Miał świetne poczucie humoru, był gościnnym, przyjemnym towarzyszem rozmowy i zdawał się nie przejmować niczym, nawet własną tuszą. Brzuch przelewał się przez pasek spodni, koszula nie dopinała na piersi, z usprawiedliwiającym uśmiechem twierdził, że żaden zakład nie produkuje koszul jego rozmiaru. Pracował w zakładach przemysłu zbrojeniowego, zamaskowanych jako dział w fabryce wodomierzy. Rzecz stanowiła tajemnicę poliszynela, w mieście kpiono, że wytwarza się tam same braki, bo za każdym razem, gdy z taśmy zejść ma zegar wodny, schodzi karabin maszynowy. Julek Fremder ubóstwiał ten dowcip. Ubóstwiał również swoją młodziutką towarzyszkę życia. Jeden diabeł wie, skąd ją wytrzasnął. Była lalkowato piękna jak miss Europy, uparta jak muł i głupia jak osioł. Nie umiała gotować, nie sprzątała mieszkania, nie dbała o swojego mężczyznę. Była o kilka lat młodsza od Miry i w tym chyba znalazł rekompensatę za wszystkie możliwe wady.

Przyjechałem do niego pierwszego maja, miasto tonęło w morzu flag i transparentów, więc dzielny wojak Fremder obwiesił się medalami i krzyżami zasługi. Wypiliśmy po kieliszku, ech, chyba po dwa albo trzy, gdy wskazując na udekorowaną pierś, chciałem mu pochlebić:

„Masz za sobą wspaniałą żołnierską przeszłość“. Dziewczyna parsknęła śmiechem. „Opowiedz mu“, prosiła. „Opowiedz“.

„Prawdziwe bohaterstwo kryje się w garnku z zupą cebulową“, o-świadczył filozoficznie.

„Zbyt skomplikowane, aby zrozumieć“, przyznałem.

„Wytlumacz mu, wytłumacz“, dopingowała dziewczyna.

„Czemu nie? To dosyć zabawna historia“, zgodził się, lekko dotykając orderu kołyszącego się na kolorowej wstążce. „Widzisz tę maskotkę? To za bitwę pod Lenino. Nie; nie. Nie bój się. Nie przelałem tam ani kropli krwi. Dostałem ją za pyszną zupę cebulową. Pewnie sądzisz, że tylko atak na bagnety wymaga odwagi i przytomności umysłu; a to wcale nie tak. Moja misja była znacznie bardziej skomplikowana. Dowódcy pułku zachciało się zupy cebulowej. Idź i znajdź cebulę w zaśnieżonych polach Białorusi. Panował mróz i głód, chłopci ukrywali każdą kruszynę chleba jak najcenniejszy skarb. Jedynie podstępem można im było wyrwać coś, co nadawało się do jedzenia. Potrzeba jest matką wynalazków, miałem doświadczenie w tych sprawach, znałem na wylot podstępne dusze chłopów. Znalazłem cebulę i wiązkę czosnku ukryte pod stosem chrustu. Chłopka płakała, jakbym co najmniej oderwał jej niemowlę od piersi. Nie zlitowałem się, bo litość na wojnie jest jak syfilis w miłości. Psuje wszystko. Wróciłem na miejsce postoju i ugotowałem podpułkownikowi tę jego ulubioną zupę. Miałem szczęście, bo co by było, gdyby zamówił na przykład *cor don bleu* w sosie musztardowym albo wędzonego łososia z cytryną i kaparami...? Dowódca natychmiast mianował mnie kucharzem pułkowym. Wygrałem los na loterii, bo nie miałem pojęcia, z której strony strzela pepesza i nie miałem najmniejszego zamiaru rzucać się z granatem pod gąsienice niemieckich czołgów... Czytasz po rosyjsku? Tak? No to przeczytaj, co tu jest napisane. Przczytałeś? «Za odwagę», prawda? Medal ma swoją piękną historię. Mieliśmy trochę spokoju, taka przerwa między dziką strzelaniną. Dowódca pułku umierał z nudów, jak nie było co jeść i nie było nikogo, kogo można zabić. Na dziedzińcu folwarku, w którym biwakowaliśmy, stała szkapa, chuda i znudzona jak podpułkownik. «Nigdy w życiu nie widziałem grubego Żyda w siodle», podpuszczał mnie. W końcu przyobiegał medal za odwagę, jeśli utrzymam się na kłaczach dziesięć minut i nie

spadnę. Konie były dla mnie dziecinną igraszką. Przed wojną, w Krakowie, miałem firmę transportową; rozwoziliśmy beczki z piwem na platformach zaprzężonych w belgijskie konie, ogromne bydłeta, co bez trudu ciągnęły kilka ton. W porównaniu z nimi białoruska szkapa była jak konik na biegunach. Wspiąłem się na siodło, kopnąłem ją obcasami, żeby wykrzesać z niej choć odrobinę energii, ale bestia była całkowicie pozbawiona ambicji. Jechałem na niej dziesięć minut, mniej więcej tak jak stara Arabka na mule, ale podpułkownik był człowiekiem honoru, dotrzymał słowa... Teraz popatrz na ten order...“

Teść uraczył mnie kilkoma równie zabawnymi dykteryjkami i przerwałem mu dopiero wtedy, gdy dziewczyna wyszła do kuchni po następną butelkę wódki. Zapytałem:

„Nigdy nie zainteresowałeś się losem Miry?“

„Musisz zrozumieć, były inne czasy; była wojna“.

„To przecież twoja jedynaczka“.

„Po co wyciągać stare historie z lamusa? Mira poszła swoją drogą przez życie, ma męża, dzieci, wszystko u niej w porządku. Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr“.

„Masz rację“, przytaknąłem. Dyskusja nie doprowadziła do niczego-

Siedzieliśmy przy stole, trochę alkoholu, trochę zakąsek i trochę anegdot, aż zegar wybił dwunastą i dziewczyna oznajmiła, że jest zmęczona, że idzie spać. Mnie pościeliła na kanapie w salonie. Julek życzył mi dobrej nocy, oparł ciężkie łapsko na karku dziewczyny, jakby pragnąc zademonstrować swoje prawo własności, i oboje udali się do sypialni. Mira zapomniała spakować piżamę, rozebrałem się szybko i nagi wślizgnąłem pod kołdrę. Wódka trochę mnie zamroczyła, zasnąłem natychmiast. Nie słyszałem otwarcia drzwi i nie czułem, kiedy „Miss Europy“ położyła się u mojego boku, znajdując oryginalny i przyjemny sposób budzenia. Nie pytałem o nic, ale ona powiedziała ochotniczo:

„Jak już muszę spać z Żydem, to wolę młodszego i szczuplejszego“. Nazajutrz wróciłem do domu. Mira nie prosiła o sprawozdanie ze spotkania, ja nie widziałem potrzeby wnikania w szczegóły. Nigdy więcej nie widziałem mojego teścia, nie prowadziliśmy korespondencji, nie rozmawialiśmy telefonicznie. Dopiero w latach sześćdziesiątych, gdy byliśmy już w Izraelu, nadszedł list z Wrocławia. Ojciec Miry był ciężko chory i prosił o pomoc. Przede wszystkim zależało mu na wsparciu moralnym. Umarł samotny i rozgoryczony, nie doczekawszy się odpowiedzi. Pod koniec lat osiemdziesiątych Mira pojechała do Polski, po raz pierwszy od czasu emigracji. Była to sentymentalna podróż w przeszłość. Grób ojca nie leżał na trasie tej podróży.

Wkrótce po urodzinach Witka ponowiłem propozycję sprowadzenia Franki i Ali. Pełni dobrych chęci pojechaliliśmy z Mirą do Klarysewa, ale siostry zakonne odmówiły wydania dzieci. Zgodnie z obowiązującymi przepisami, wyjaśniły, jedynie osoba, które je oddała do zakładu wychowawczego, ma prawo je odebrać. Józef Wąsik był tą osobą. Ale Józef Wąsik nie był skłonny pomóc.

„Nie dosyć, że zabrałeś mi żonę? Teraz chcesz także moje dzieci?“ , oburzył się.

Nie chciałem przypominać okoliczności, w jakich odebrałem mu Mirę. Próbowałem z innej beczki:

„W każdą niedzielę odwiedzamy dziewczynki; ciebie nie widziały od miesiący“.

„Miłości ojca nie mierzy się liczb wizyt“, odparł.

„To brzmi bardzo pięknie, ale nie ułatwia dzieciom życia „,

„Nagle zachciało ci się tatusiować? Ot, tak, bez żadnego wysiłku? Zróbcie sobie tuzin szczeniaków i hodujcie je, ale odczep się od moich córek“.

„Ala i Franka są również córkami Miry“, zauważyłem i dodałem złośliwie: „Zawsze wiadomo, kto jest matką, z ojcami różnie bywa“. Wąsik nie podjął rękawicy. Zastanowił się chwilę i powiedział: „Masz chyba rację. To nasze wspólne dzieci. Salomonowym sądem należy się nam po połowie. Niech Mira weźmie starszą, ja zostawię sobie młodszą“.

„Robisz straszną krzywdę Ali. Pomyśl, jak będzie się czuła bez ojca i bez siostry“.

„Szkoda twojego czasu. Albo pół na pół, albo nic“.

Wąsik trwał w uporze, nie przekonały go żadne argumenty. Tydzień później odebraliśmy Frankę. Siostry pobłogosławiły ją na pożegnanie i obdarowały dewocjonaliami. Szybko przekonaliśmy się, że dobra wola nie wystarcza. Franka z trudem aklimatyzowała się w naszym domu, długo nie mogła zaakceptować żydowskiej matki i żydowskiego ojczyma. Mira i ja nie byliśmy dostatecznie doświadczeni, aby sprostać zadaniu i uniknąć otwartego konfliktu.

W owym czasie, z początkiem roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego trzeciego, wiały we wschodniej Europie silne wiatry oficjalnego antysemityzmu. W Pradze zakończył się proces Slansky'ego. Jedenastu spośród czternastu zasiadających na ławie oskarżonych było pochodzenia żydowskiego. Latem pięćdziesiątego drugiego skazano na śmierć w moskiewskim procesie pokazowym dwudziestu pięciu twórców. Wszyscy byli Żydami. W styczniu 1953 prasa komunistyczna donosiła, że sześciu żydowskich lekarzy usiłowało zgładzić towarzysza Stalina oraz kilku członków radzieckiego Politbiura. Pisano, że amerykańsko-żydowska instytucja charytatywna, Joint, planowała i finansowała ten nieczny spisek. Nagromadzenie tych wydarzeń nie pozostawiło mnie obojętnym. Ja, o którym kumple zawsze mówili, że chyba nie ma we mnie ani kropli semickiej krwi, czułem się bardziej niż kiedykolwiek związany z losem narodu żydowskiego.

Aresztowani lekarze zostali zwolnieni z więzienia dopiero po śmierci Stalina. Slansky i inni musieli czekać na rehabilitację znacznie dłużej. Nie ulegało wątpliwości, że zmasowana akcja antysemicka, odbywająca się pod kryptonimem walki z“ syjonizmem, była kierowana z jednego ośrodka dyspozycyjnego, że nie było w niej nic przypadkowego. Najboleśnieszcy był dla mnie fakt, że właśnie żydowscy działacze partyjni w Polsce dolewali oliwy do ognia, czyniąc wszystko, aby nie wygasł płomień antyżydowskiej nagonki. Z obrzydzeniem czytałem książkę Szymona Zachariasza, który pisał, między innymi, że „Syjonizm i rząd Izraela, powiązane z międzynarodowym imperializmem, dokładają wszelkich starań, aby wskrzesić hitleryzm“. Gdy doszedłem do ostatniej strony, postanowiłem nawiązać kontakt z poselstwem Izraela w Warszawie. Z biegiem czasu kontakt ten rozwinął się i zacieśnił, lecz charakter moich związków z dyplomatami izraelskimi wykracza poza ramy tej autobiografii. W międzyczasie musiałem rozwiązać „problem żydowski“ pod własnym dachem. Mira znalazła święte obrazki schowane między kartkami zeszytów Frani. Po dokładniejszym przejrzeniu jej zapisków okazało się, że mała chodzi, w tajemnicy przed nami, na lekcje religii w przykościelnej świetlicy. Wzięta na spytki opowiedziała, że przygotowuje się do komunii, by przekonać szkolne koleżanki, wyzywające ją od „czarnej żydówki“, że jest nie mniej gorliwą katoliczką od nich. Byłem wstrząśnięty, ale rozumiałem pobudki jej zachowania. Franka nie chciała być inna, bo otoczenie nie tolerowało nikogo, kto się wyróżniał. Nie miała siły, aby płynąć pod prąd, a przede wszystkim nie miała takiej motywacji. Nie nasz dom, lecz kościelna świetlica była jej duchową przystanią. Mira postanowiła zakończyć ten stan rzeczy, jeśli nie po dobremu, bo na nic zdały się przekonywające rozmowy, to za pomocą drastycznej interwencji. Za decyzją nie kryło się jej żydowskie pochodzenie, lecz ateistyczny światopogląd. Kategorycznie żądała, abym rozmówił się z księdzem i zmusił go do usunięcia dziecka z lekcji religii. Chcąc nie chcąc, zrobiłem, o co prosiła.

„Usiądziemy w zakrystii i pogadamy spokojnie“, powiedział proboszcz, prowadząc mnie do małego pomieszczenia służącego zarówno do przebierania, jak i za biuro. Usiadłszy, rzekł usprawiedliwiająco:

„Skromnie tu, ale czym chata bogata, tym rada. Napije się pan wina?“

„Nie, dziękuję“.

„Kropla wina rozgrzewa krew i nie zobowiązuje do niczego“, uśmiechnął się i nalał sobie kieliszek. „Przyszedł pan w sprawie Frani?“

„Tak“.

„Francia jest bardzo rozwiniętym i wierzącym dzieckiem. Nie czyńcie niczego, co spowoduje rozdzielenie jej czystej duszyczki.“

„Temu właśnie pragniemy zapobiec“.

„Franka znalazła swoją drogę do Wszechmogącego. Wiem, że za żadną cenę nie zbroczy z tej drogi“.

„Nie ma jeszcze siedmiu lat. Jest za mała, by wiedzieć, czego chce“.

„Z całym szacunkiem, proszę pana, jest w tym twierdzeniu zasadniczy błąd. Wiara leży w sercu, nie w rozumie“.

„Przecież ksiądz wie, że jest Żydówką“.

„O tym można dyskutować“.

„Nie ze mną, proszę księdza“.

„Francia jest Żydówką według zasad waszej wiary. Według naszej, ponieważ ma ojca Polaka, jest katoliczką.“

„Ojciec jest bezbożnikiem i komunistą“.

„Bóg mu wybaczy. A poza tym należy pamiętać, że Polacy są narodem katolickim. Chrystus poświęcił się także dla takich ludzi jak on. Dla wszystkich. Dla zbłąkanych owieczek i nawet za pana. Niech pan nie mści się na dziecku za to, że nie jest pan Polakiem“.

Zezłościłem się.

„Na jakiej podstawie odbiera mi ksiądz prawo do bycia Polakiem? Urodziłem się na tej ziemi, a także moi przodkowie urodzili się na niej. Jestem takim samym ogniwem w łańcuchu polskiej historii jak ksiądz. Sutanna nie czyni go lepszym obywatelem ode mnie“.

„Nie miałem zamiaru urazić“.

„Ale czuję się urażony“, powiedziałem sztywno.

„W takim razie proszę o wybaczenie... Nie ulega wątpliwości, że jest pan obywatelem polskim. Posiada pan polski dowód osobisty i zapewne polską świadomość narodową. A jednak jest różnica“.

„Różnica?“

„Za nami tysiąc lat wspólnej historii. Nie kwestionuję wagi waszego wkładu w rozwój kraju. Mimo to jest różnica. Pańscy przodkowie wybrali ten kraj, wybrali jego obywatelstwo. Wybór jest wynikiem przemyślenia, czasami okoliczności. Wczoraj wybraliście Polskę, jutro, być może, wybieriecie Palestynę. Nie wyssaliście patriotyzmu z mlekiem matki. Wasza miłość do Polski pozbawiona jest głębokich korzeni, bo korzenie tego narodu wyrastają z chrześcijaństwa, a chrześcijaństwo jest wieczne, nie zmienia się nigdy. Nasz związek z Polską to ślub katolicki. Wy zawsze możecie się rozwieść. Moim zdaniem coś niezdrowego tkwi w tej możliwości wyboru ojczyzny, tak jak wybiera się utrzy-mankę. Mam nadzieję, że nie obraziłem. Nie znajdzie pan we mnie okrucu jakiegoś przesądu. Zawsze szanowałem Żydów. Nie zapominam nauki Chrystusowej, nie zapominam miłować bliźniego swego jak siebie samego. W imię tej miłości bliźniego apeluję do pana: niech pan nie staje na drodze Franki. Niech jej pan nie odbiera wiary, nie odbiera nadziei zbawienia“.

Obaj wiedzieliśmy, że nie przekonamy się wzajemnie. Tylko obawa przed interwencją władz mogła skłonić duchownego do ustępstw. Powiedziałem:

„Przykro mi rozczarować księdza, ale nasze dziecko nie jest obiektem przetargu“.

Ksiądz nie odczytał ukrytej w tym zdaniu intencji, bo zareagował jak przystało na kapłana:

„To wiara nie jest obiektem przetargu. Nie można targować duszą człowieka“.

„Obawiam się, że ksiądz nie pojął mnie należycie“.

„Serce do pojmwania, oczy do patrzenia, uszy do słuchania... To ze Starego Testamentu, nie z Nowego“.

„Łudziłem się, że załatwimy sprawę bez konfliktu, ale widzę, że muszę być bardziej bezpośredni. Nie jest tajemnicą, że żona pracuje w partii i że nie życzy sobie wychowywać córki w duchu religijnym. Jeśli ksiądz nie znajdzie sposobu, żeby usunąć Franię z lekcji, nie ulega wątpliwości, że złożę skargę u władz. Pragnąłbym tego uniknąć, ale... Ksiądz wie, że zarzut narzucania religii pod przymusem nie przyniesie mu korzyści“.

„Bóg miłosierny wybaczy wam ten grzech“, zakończył rozmowę i odprowadził mnie do drzwi. Słyszałem za sobą zgrzyt klucza w zamku.

Frankę przysposobiłem na krótko przed emigracją do Izraela. Miała już jedenaście lat, wyjazd traktowała jak wielką przygodę. Mira pakowała się bez entuzjazmu. Wciąż jeszcze nie czuła się Żydówką, nie chciała wyjeżdżać z kraju, w którym zapuściła korzenie. Jeśli mimo to nie protestowała, działo się tak wyłącznie dlatego, że nie chciała rozstać się ze mną. Gdybym był bardziej dojrzały i doświadczony, na pewno poradziłbym jej pozostanie w Polsce. Nie zrobiłem tego, mimo iż wszystkie znaki na ziemi i niebie wskazywały, że nasze małżeństwo nie ma widoków na przyszłość. Dlaczego? Bo byłem lekkoduchem, który niczego nie traktował poważnie.

W czerwcu 1957 roku ucałowałem Mirę i dzieci, usiadłem za kierownicą nowego plymoutha stanowiącego własność „New York Timesa“, teczkę z paszportem i innymi dokumentami położyłem na przednim siedzeniu obok mnie, zapaliłem silnik i ruszyłem w drogę. Ustaliliśmy, że dwie noce spędzę w mieszkaniu rodziców Roberta we Wrocławiu, trzeciego dnia przekroczyć granicę w Kudowie i jeśli wszystko ułoży się pomyślnie, zatelefonuję z Wiednia, aby Mira i dzieci wsiadły do pociągu i przyłączyły się do mnie w stolicy Austrii; stamtąd zamierzaliśmy razem kontynuować podróż, przez Włochy do Izraela. Takie były plany, ale w rzeczywistości sprawy potoczyły się odmiennie.

Mira miała wszelkie powody do podejrzenia, że wymyśliłem to wszystko, aby uprzyjemnić sobie pierwszy etap podróży towarzystwem jakiejś powabnej, chętnej damy. Tym razem było to podejrzenie całkowicie bezpodstawne. Tylko ze względu na swoje i jej bezpieczeństwo nie wyjawilem, że mam zamiar przemycić do Austrii spory ładunek srebra i zarobić na przemytniczym debiucie kilkaset dolarów. Autorem pomysłu był Szlomo Szkolnik, człowiek, który zbił majątek na produkcji „krówek“; zachodził czasami do naszej stałej kawiarni, zawsze z uwieszoną u ramienia poszukiwaczką przygód, i uważał się za arbitra we wszystkich sprawach męsko-damskich. Rzekomo nie tak nie zbliża mężczyzn jak wspólna kochanka, a takich miałem z nim sporo. Widocznie zdobyłem jego zaufanie, gdyż na zakończenie suto zakrapianej, pożegnalnej libacji zaproponował mi przewiezienie dwustu dwudziestu kilogramów srebra. Moje wynagrodzenie miało wynosić dziesięć procent od wartości towaru i zostać wypłacone podczas wyładunku w Wiedniu. Szkolnik był wielkim przeciwnikiem notatek, więc nazwisko i numer telefonu odbiorcy musiałem wykuć na pamięć. Nie gardziłem pieniądzem, ale jeszcze bardziej pociągała mnie sama przygoda i związany z nią dreszczyk emocji. Gdyby mnie złapano... Przemyt uważany był za szkodnictwo gospodarcze, bez pardonu karane drakońskimi wyrokami. Ale dlaczego miano mnie złapać? Czyż nie urodziłem się w czepku? Uściskiem dłoni dobiliśmy targu. Umówiliśmy się, że nazajutrz, po przyjeździe do Wrocławia, połączę się z nim telefonicznie, a pod osłoną nocy załadujemy srebro w warsztacie zaufanego prywaciarza.

Rodzice Roberta zajmowali obszerne mieszkanie w starej, zapuszczonej kamienicy przy ulicy Ofiar Oświęcimskich 18, w śródmieściu Wrocławia. Byli dziwną parą starszych ludzi, zawsze jakby trochę zdziwionych i nie dostosowanych do życia w świecie, w którym się znaleźli, a przede wszystkim przerażonych rozwiązłym trybem życia ukochanego jedynaka. Zawsze marzyli o solidnym synu, który ukończy studia i „wyjdzie na ludzi“, a tu pod nosem wyrósł im zongler życiowy, hedonista pragnący skorzystać z wszystkich możliwych uciech życia, nie inwestując w nie najmniejszego wysiłku.

Oboje przyjęli mnie serdecznie, wdzięczni za to, że Robert postanowił towarzyszyć mi w drodze na emigrację. Naiwnie wierzyli, że w młodym pionierskim Izraelu Robert wstąpi nareszcie na właściwą drogę życia. Oczywiście, wiedziałem, że nie ma on w sercu żadnych sentymentów dla państwa żydowskiego, i że wyjazd traktuje wyłącznie jako dalszy ciąg życia pełnego przygód. Jeszcze będąc w Warszawie, opowiedziałem mu o planach przemytu: „Nie chcę cię mieć na sumieniu, kto wie, co będzie, jeśli pośliznie mi się noga. Ale jeśli mimo wszystko chcesz jechać ze mną, będziesz pełnym współnikiem do zysku“. Robert oznajmił bez wahania: „zawsze byliśmy razem“. Ale wieczorem, na chwilę przed wyjazdem do warsztatu, poprosił:

„Nie mów, gdzie schowacie srebro“.

„Dlaczego? Przecież jesteśmy współnikami“.

„To prawda. Ale boję się, że nie będę mógł oderwać wzroku od schowka. A celnicy są dobrymi psychologami“.

Karoseria samochodu plymouth-station, rok produkcji 1956, oparta jest na dwóch kwadratowych, pustych w środku wspornikach, biegnących wzdłuż całego podwozia. Właściciel warsztatu podał mi palnik acetylenowy i pokazał, jak wyciąć otwory w każdym z tych wsporników. Wyciąłem je w samym środku między przednią a tylną osią wozu, może trochę niezdarnie, ale wystarczająco dobrze, aby wetknąć przez nie ładunek srebra. Sposób ładowania był bardzo prosty, jak większość genialnych wynalazków. Szkolnik pakował srebrne monety w grube, wełniane pończochy, pięć kilogramów do każdej, potem związywał je długim sznurem i podawał mi jedną po drugiej. Wkładałem je do wypalonego otworu, popychając drutem w głąb wspornika, w rękę zostawały mi tylko końce sznura. Przy wyładunku wystarczyło pociągnąć za te końcówki w odpowiedniej kolejności, aby wydobyć ukryty skarb. Cała operacja trwała nie dłużej niż trzy godziny. Mechanik przyspawał wycięte kawałki żelaza, a ja, aby zamaskować ślady palnika, pociągnąłem podwozie gorącą smołą, po czym przegoniłem samochód po podmiejskich piaskach. Na zakończenie postawiliśmy plymoutha na kanał, aby sprawdzić osiągnięte wyniki. Piasek był brudny, wyglądał jak przylepiony od miesiący, nawet wprawne oko celnika nie wykryłoby śladów manipulacji. O drugiej po północy wróciłem do miasta. Robert nie spał. Wyraźnie podenerwowany czekał na mnie w przedpokoju.

„Mira dzwoniła“, szepnął.

„Znowu zawraca głowę“, zbyłem go niechętnie.

„Nie dzwoniła z domu. Dzwoniła z Poczty Głównej w Warszawie“.
„Co się stało?“ Wciąż jeszcze demonstrowałem niecierpliwość.
„Mów ciszej“, prosił Robert. „Rodzice śpią. Nie daj, Boże, żeby się dowiedzieli“.
„Gadaj do rzeczy!“
„Milicja była u was w domu. Zrobili rewizję i pytali o ciebie. Powiedziała im, że jesteś już za granicą. Odebrali jej paszport i powiedzieli, że nie oddadzą, aż nie stawisz się do wyjaśnienia“.
„Do wyjaśnienia czego?“
„Nie wiem. Nie powiedziała. Telefonowała z poczty, bała się, że w domu jest podsłuch... Co zrobimy?“
„Wyjedziemy o piątej rano. O siódmej otwierają posterunek graniczny. Jeśli dobrze pójdzie, to o siódmej pięć będziemy w Czechosłowacji“.
„A jak nie pójdzie gładko?“
„Nie kracz“.
„Nie kraczę. Po prostu mam pietra“.
„To zostań w domu. Mamusia robi ci kakao na śniadanie“.
Robert pokręcił przecząco głową. Zrobiło mi się go żal. Sam nie byłem pewien tego, co mówiłem, ale zapewniałem solennie, że nie może być wpadki:
„Pamiętasz naszą nowelę o straży granicznej?“³⁴
„Pamiętam“.
„Przeprowadzaliśmy wywiady z oficerami WOP-u. Pamiętasz, na co się uskarżali?“
„Na brak łączności... Zaczynam rozumieć“.
„Niech żyje przestarzała technologia! Teleksy WOP-u nawalają bez przerwy“.
Robert wypiął pierś.
„Nastawię budzik na czwartą trzydzieści. I zrobię nam kakao do termosu“.

Żołnierz na przejściu granicznym Kudowa-Słone wziął nasze paszporty, kazał czekać w samochodzie i zniknął w przydrożnym baraku. Czekaliśmy pięć minut, dziesięć minut, żołnierz nie wracał, napięcie rosło.

„Pułapka“, wyszeptał Robert. „Co by nie było, nie ma odwrotu“, odpowiedziałem spokojnie. Był to spokój pozorny. Serce łomotało jak ptak złapany w sidła. Nagle zacząłem żałować, że wpuściłem się w tę awanturę. Włączyłem radio. Nadawało program muzyczny orkiestry Jerzego Haralda z Katowic. Robert nalał nam po kubku kakao. „Idzie“, powiedział i rozlał gorące kakao na kolana. Żołnierz podszedł do nas, przez otwarte okno podał mi oba paszporty i życzył szerokiej drogi. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki podniósł się przed nami biało-czerwony szlaban. Droga była wolna. Służba graniczna po czeskiej stronie była uprzejma i sprawna. Kazano nam zapłacić równowartość pięciu dolarów za ubezpieczenie cywilne i przybito pieczętki wjazdowe. Nasza wiza tranzytowa ważna była czterdzieści osiem godzin, ale postanowiliśmy nie zatrzymywać się na czeskiej ziemi. Późnym popołudniem dotarliśmy do Mikolova. Cztery kilometry dzieliły nas od Austrii.

Miasteczko przygraniczne było całkowicie wyludnione. Oprócz wojskowych nie widzieliśmy w nim żywego ducha. Drogowskazy prowadziły nas do posterunku za miastem. Po obu stronach szosy ciągnęły się, aż po horyzont, pasma drutów kolczastych oddzielonych szerokim polem minowym. A więc tak wygląda ta słynna żelazna kurtyna, pomyślałem, i nagle stanęły mi przed oczami druty Oświęcimia. Porównanie było jak najbardziej adekwatne. Ponury widok uświadomił mi, skąd wyjeżdżam i dokąd jadę. Wyjeżdżaliśmy z ogromnego, odratowanego obozu, który, o ironio losu, nazywano obozem pokoju.

W przeciwieństwie do dwóch poprzednich posterunków granicznych, Mikolov naszpikowany był celnikami. Kazano nam wyjść z samochodu i otworzyć wszystkie drzwi. Język czeski, którego nauczyłem się w czterdziestym szóstym, pomógł mi nawiązać z nimi rozmowę. Robert szybko wydobyl z walizki nasz zbiór opowiadań detektywistycznych.

„To o przemytnikach złapanych przez polską milicję“, wyjaśniłem i złożyłem na pierwszej stronie zamaszty podpis. Celnik przewertował kilka kartek i powiedział:

³⁴ „Naszynnik kapitana Holicza“ wyd. Iskry, 1956.

„Cenimy polskich ludzi pióra. Ale milicję macie nie najlepszą. Nie macie pojęcia, jaki przemysł idzie od was do Austrii. Na ogół srebro, bo to najbardziej opłacalne. My tu nakrywamy wszystkich, których przepuściły polskie służby graniczne. Zostańcie z nami dzień lub dwa, a będziecie mieli materiał do następnej książki. Nie macie pojęcia, na jakie pomysły wpadają przemytnicy. Ale nas także nie zrobiono małym palcem“.

„Niech nam pan coś opowie“, poprosiłem. „Wolno zapisać?“

„Nie tylko wolno, ale trzeba“, zachęcał celnik. „Dawniej udawało im się wywieźć nas w pole. Ale to się skończyło. Mamy prosty, lecz niezawodny sposób na wszystkie patenty. Jaki? Wypróżnimy samochód z bagażu, sprawdzamy, ile benzyny jest w baku, a potem stawiamy wóz na wagę. W dowodzie rejestracyjnym zapisany jest ciężar pojazdu; a jak nie, to mamy listę większości marek i modeli z dokładną wagą. Jeśli jest spora różnica między zapisem a rzeczywistym ciężarem, wzywamy naszych mechaników i rozbieramy samochód na czynniki pierwsze. Jeszcze się nie zdarzyło, żebyśmy czegoś nie znaleźli. Ostatnio był tu jeden, który wypchał srebrem zapasową oponę. Co wy na to, towarzyszu pisarzu?“

„Rzeczywiście szkoda, że nie możemy zostać. Ale jeśli nam pozwolą, wrócimy“.

„Warto wam“, powiedział poważnie mój rozmówca.

Gdy oficer straży granicznej przyniósł nasze paszporty, nie widziałem Roberta. Stał z boku, w odległości kilku metrów. „Nie śpij, jedziemy!“ zawołałem. Robert podbiegł, wskoczył na przednie siedzenie, zatrzasnął za sobą drzwiczki. Pomachałem Czechom na pożegnanie. Zasalutowali grzecznie. Ruszyłem pomału, nie chciałem sprawić wrażenia, że coś nas gna. Droga była wąska, manewrowałem między wybojami, tylko tego nam brakowało, aby złamać oś na jakiejś dziurze w asfalcie. Wciąż jeszcze byliśmy po czeskiej stronie granicy, za poboczami, w zaoranym polu, wciąż jeszcze widniały napisy „Uwaga, miny!“ Nagle poczułem dziwny zapach.

„Użyźniają pola, czy co?“ mruknąłem i zaraz zdałem sobie sprawę z nonsensu uwagi; przecież w promieniu kilku kilometrów nie było rolników.

„To ja“, powiedział Robert.

Zrozumiałem. „Jak się nazywa ta perfuma?“ zażartowałem.

„Strach“.

Kilka minut później było po strachu. Zatrzymaliśmy się przed budynkiem, na którym powiewała flaga austriacka.

„Jesteśmy wolni!“ krzyknął Robert i obaj parsknęliśmy gromkim, niemal histerycznym śmiechem.

6

Wolność ma niezliczone oblicza. Weźmy dla przykładu dwa tygrysy w niewoli. Tygrys na wybiegu w nowoczesnym ogrodzie zoologicznym zapewne czuje się swobodniejszy niż tygrys w klatce. Albo: jak czuje się wypielęgnowany i syty kot domowy w porównaniu z głodnym, niczym nie skrępowanym kocurem podwórzowym? Czy ograniczenie wolności jest zawsze równoznaczne z ograniczeniem szczęścia? Rozważaniom tego rodzaju można by poświęcić tomy dysertacji, przeciwstawiać tezę tezie, doświadczenie doświadczeniu i wciąż jeszcze szukać po omacku tej jedynej, nie istniejącej, całkowicie abstrakcyjnej prawdy. W halach produkcyjnych huty „Zgoda“ pojęcia te mierzyłem zupełnie inną, bo materialną miarką. Pochylony nad tokarką nie widziałem, nie chciałem widzieć, ciemnej strony księżycy. Mędrcy Talmudu pisali, że człowiek zadowolający się tym, co posiada, jest człowiekiem szczęśliwym. W pewnym sensie podpadałem pod tę kategorię ludzi. Wartownicy w hucie nie nękali więźniów. Nie byłem już tak głodny jak w Oświęcimiu. Miejsce pracy było ogrzewane. A co najważniejsze, nie patrzyłem w jutro z przerażeniem w sercu. Kurt Kolonko mógł być dumny ze swojego ucznia. W lańskim czasie opanowałem rzemiosło tokarskie i nawet, choć może zabrzmieć to absurdalnie, praca ta sprawiała mi przyjemność. Każda wytoczona sztuka, skrupulatnie kalibrowana przez niemieckiego kontrolera jakości i pakowana do skrzynki, wywoływała moje zadowolenie. Ktoś powie: chorobliwe zadowolenie. Może. Ani przez sekundę nie myślałem, że własnymi rękoma wzmacniam potencjał zbrojeniowy Trzeciej Rzeszy. Czułem, że własnymi rękoma tworzę coś, co ma wartość. Było to dla mnie całkiem nowe uczucie.

Z zakończeniem dwunastogodzinnej zmiany kończyła się również iluzja wolności. Na gwizdek kapo zbieraliśmy się przy wyjściu z hali. Wartownicy liczyli nas jak owce, a raczej jak bydło, i prowadzili do obozu. Wciąż jeszcze nie wiem, czy był to codzienny powrót do rzeczywistości, czy też rzeczywistość mieszkała w hucie, a obóz był poza jej granicami, nierealny w swojej rzeczywistości. Istniałem w dwóch światach równocześnie. Doba dzieli się na dzień i noc, rzecz prosta i rozumiała sama przez się, tylko ja, zatraciwszy poczucie granicy między fantazją a rozumem, doszukiwałem się w przejściu ze światła w ciemność i z mroku w słońce jakiegoś utajonego znaczenia.

Pory roku zmieniały się według wskazań przyrody, przypominając, że także zmienność kieruje się niezmiennymi prawami. Umarło lato, jesień konała, zima wdarła się w nasze życie podmuchem lodowatego wiatru. Barak w obozie nie był ogrzewany, murowany piec, biegnący przez całą jego długość, w najlepszym razie służył jako namiastka stołu. Po apelach przeciągających się w nieskończoność, a ściślej mówiąc, aż do czasu, gdy także Niemcom zaczął doskwierać mróz, w całym obozie nie znalazłem kąta, w którym mógłbym się ogrzać. Spaliśmy nie rozbierając się, co stanowiło wykroczenie grożące chłostą. Gdyby nie zmęczenie, wątpię, czy zmrużyłbym oko. Noce niosły z sobą nieustające cierpienie, ale najtrudniejsze było przebudzenie, bo wymagało podjęcia natychmiastowej decyzji. Codziennie o piątej rano, gdy gwizdek starszego bloku obwieszczał pobudkę, musiałem postanowić: poddam się czy walczę? Narzuciłem sobie rytuał będący w gruncie rzeczy sprawdzianem siły woli. Najpierw przecierałem spuchnięte powieki, potem liczyłem do dziesięciu, zrzuciłem z siebie koc i zeskakiwałem z pryczy. Siadałem po turecku na betonowej podłodze i sznurowałem buty, drewniaki z jutową przyszwą. Od gwizdka do apelu mieliśmy trzydzieści minut. Niemal wszyscy wykorzystywali je, aby przedłużyć odpoczynek. Najszybszym wystarczały trzy minuty, by doprowadzić się do porządku, złożyć koc w kostkę i wybiec na plac apelowy. Mnie potrzebny był kwadrans na mycie.

W obozie paliły się jeszcze lampy i barwiły śnieg żółtawym światłem. Temperatura na dworze stwarzała iluzję przekształcającą wyziębły barak w ciepły przytułek dla zmarzniętych. Do umywalni biegłem szybko, tak szybko, aby nie mieć czasu na rozmyślanie. „Po cholere te idiotyczne ćwiczenia?“, kpili ze mnie współwięźniowie. „Co chcesz przez to udowodnić? Że zdechniesz czysty?“ Zbywałem ich obojętnym wzruszeniem ramion. Cokolwiek bym powiedział, nie potrafiliby pojąć. Przecież tak samo jak innych wabiła mnie możliwość nakrycia się kocem na głowę i „wygrania“ jeszcze kilku minut złudnej drzemki. Ale jakiś wewnętrzny głos, nie potrafię powiedzieć skąd i jak się narodził, ostrzegał mnie, że każde odstępstwo od porządku, który sam ustaliłem, prowadzi nieuchronnie na dno przepaści, z której nikt jeszcze nie zdołał się wydźwignąć. Porządek ten, ustalony równoległe do porządku narzuconego przez regulamin obozu i utrzymywany z szaleńczym niemal uporem, dawał poczucie skrawka wolności. Ale nie to było najważniejsze. Bardziej czułem niż wiedziałem, że wystarczy jedno pęknięte ogniwo, aby rozpadł się łańcuch łączący mnie z tym, co potocznie nazywamy ludzkimi wartościami. Oblewając się wodą ciekącą z zardzewiałej rury „umywalni“, byłem panem samego siebie. Lodowata woda grzała serce. Byłem przekonany, że dopóki czuję, jak lód parzy moje półnagie ciało, nie ma takiej siły, która mogłaby mnie złamać.

Poranne hartowanie ciała i ducha nie rozwiązywało, oczywiście, zasadniczego problemu ochrony przed mrozem. Kurt Kolonko poradził mi sporządzić onuce ze starych gazet, które można było ukraść z ubikacji majstrów i wartowników. Ale mróz kłuł najgorzej w plecy, ból stawał się coraz trudniejszy do zniesienia i nie wiem, czy przetrzymałbym zimę, gdyby nie puste worki po cemencie porzucone przez jeńców sowieckich budujących magazyn przylegający do naszej hali produkcyjnej. Praca na budowie kończyła się z zapadnięciem zmroku, przed czwartą po południu. Oczekałem, aż wartownicy wyprowadzili jeńców, po czym, korzystając z nieuwagi majstra, prześlizgnąłem się przez wyrwę w murze. Musiałem się spieszyć. Gdyby mnie przyłapano... Nie, nie chciałem nawet myśleć, co by się stało. Zrzuciłem z siebie pasiasty żakiet, podniosłem worek, aby wyrwać w nim otwory na głowę i ramiona. Służyłby wówczas jako podkoszulek. Ale worki na cement szyte są z kilku warstw papieru, prawie nie sposób drzeć je gołymi rękami. Połamałem paznokcie i niczego nie wskórałem. Dlaczego nie pomyślałem o tym wcześniej, przecież mogłem wziąć ze sobą jakieś ostre narzędzie. Czas naglił, majster mógł w każdej chwili zauważyć moją nieobecność. Tarłem worek między dwoma kamieniami, tak chyba krzesali ogień ludzie pierwotni. Minęło kilkanaście trudnych minut, aż wciągnąłem na siebie papierowy pancerz. Resztki cementu przylepiły się do spoczonej skóry.

Włożyłem pasiak, spodnie zacisnąłem sznurem, bo nie miałem paska, i wróciłem na moje miejsce przy tokarce.

„Gdzie się zgubiłeś?“, spytał Kolonko.

„Wszystkiego razem nie było mnie dwie minuty“.

„Straciłeś nie tylko rozum; także poczucie czasu“.

Ufałem mu bez granic. Rozpiąłem więzienny żakiet, rozsunałem poły i pochwaliłem się jak małe dziecko:

„Popatrz. Widziałeś kiedyś ładniejsze futro?“

Kolonko trącił mnie w ramię:

„Nauczyłeś się czegoś w życiu, Żydku“, powiedział z wyraźnym zadowoleniem w głosie.

„Miałem dobrego nauczyciela“, schlebilem mu.

„Mnie nie mieszaj do tego. Jak cię złapią, obetną ci jaja“.

„Nie złapią“.

„Skąd ta pewność?“

„Stąd“, odpadem, przykładając palec do czoła.

„Bierzesz to zbyt poważnie“.

„Co?“

„Tę twoją żydowską głowę. Widziałem już parę takich głów na szubienicy“.

„Mojej nie zobaczysz“.

Tylko jeden człowiek w obozie świętochłowickim chciałby widzieć moją głowę w pętli wisielca: Arpad Bacsı. Byłem ostatnim żyjącym chłopcem spośród wszystkich, których zgwałcił. Pozostali zniknęli jakby ich ziemia pochłonęła. Nie miałem pojęcia, w jaki sposób pozbył się swoich chłopców, niewątpliwie miał skuteczne, jemu tylko znane sposoby. Arpad Bacsı był dostatecznie ostrożny, aby nie zostawiać przy życiu świadków swojego postępowania. Stosunki homoseksualne, aczkolwiek nagminne wśród obozowych prominentów, należały do tej kategorii wykroczeń, której nie tolerowano nawet u najbardziej protegowanych więźniów. Starałem się trzymać z daleka od jego osoby, ostentacyjnie nie zbliżałem się do nowej ekipy przeżuwaczy chleba, a gdy mimo wysiłków krzyżowały się nasze drogi, skrzętnie unikałem jego spojrzenia. Nie zawsze mi się to udawało. Byliśmy skoszarowani w tym samym baraku, nie posiadałem czapki-niewidki. Nie ulegało wątpliwości, że stary wyga czeka na chwilę, gdy powinie mi się noga, aby uderzyć. Nie wolno mi było popełnić błędu, bo mój błąd był jego okazją.

Często zastanawiałem się, co stało mu na przeszkodzie, dlaczego nie podpowiedział jeszcze jakiemuś kapo lub starszemu bloku, że chętnie zobaczyłby mnie w drodze do krematorium? Nie było nic łatwiejszego od rozplatania mi czaszki ostrzem łopaty. Nigdy nie prowadzono śledztwa, nie próbowano dochodzić prawdy, gdy kapo zabijał więźnia. Jedynym kłopotem byłaby konieczność sprowadzenia nowego tokarza z Oświęcimia.

Gdybym się wypowiedział przed Kurtem Kolonko, niewątpliwie roztoczyłby nade mną opiekuńcze skrzydła. Jego patronat stanowiłby wspaniałą polisę ubezpieczeniową. Ślężacy tworzyli zwartą, solidarną grupę, przed którą drżeli nawet „funkcyjni“. Zdarzało się, że kapo, który zapomniał zasad gry, zniknął bez śladu i dopiero po tygodniach znajdowano jego ciało w kloace. Winnych nigdy nie udało się wykryć, mimo rewizji, gróźb i okrutnych przesłuchań. Wystarczyłaby jedna krótka uwaga z ust Kolonki, aby Arpad Bacsı rozważył stokrotnie, czy warto mu ryzykować. A jednak nie mogłem się przemóc. Bałem się, że wyznając całą prawdę, zasłużę na pogardę. Czy mógłby okazywać mi nadal sympatię, gdyby wiedział, że tak łatwo poddałem się Węgrowi, i że bez wyrzutów sumienia kupiłem własne życie za cenę życia innego człowieka? Wątpię. Kurt Kolonko zaliczał się do tych nielicznych ludzi, którzy nawet w warunkach obozowych nie wyrzekli się swoich głęboko zakorzenionych zasad moralnych. Za fasadą twardego boksera i zawziętego antysemitę ukrywała się dusza prawdziwego człowieka.

Bardzo rzadko wspomnienie tego, co uczyniłem, wypływa z dna pamięci, albo, jeśli się nie mylę, z dna wymuszonego zapomnienia, i żąda ode mnie rachunku sumienia. Ale według jakich zasad moralnych, bo o prawnych nie można przecież dyskutować, według jakich zasad moralnych powinienem być sądzony? Czy według niezmiennych, nie liczących się z epoką, okolicznościami i miejscem, w których czyn został dokonany, czy też według takich, w których czas wydarzenia i jego okoliczności stanowią podstawowy trzon osądu? W myśl tych pierwszych, tak bardzo zasadniczych,

należałoby postawić mnie pod pręgierz. W myśl tych ostatnich, wydających mi się bardziej sprawiedliwymi, należałoby zastosować klauzulę braku dowodów winy. Nasze życie, mimo iż czasami wydaje się nie być warte złamanego szeląga, jest jednak najdroższym skarbem, jaki posiadamy. Według judaizmu życie ludzkie stanowi wartość najwyższą. Jeśli tak, czyż nie było moim obowiązkiem uczynić wszystko, aby je ratować, nawet za cenę życia bliźniego? Kto, oprócz Boga, jeśli istnieje, ma prawo osądzić, czyje życie było ważniejsze: moje czy nie znanego mi więźnia, którego skazałem na śmierć, kradnąc mu czapkę? Sprowadzając problem filozoficzny do jego realnych wymiarów, pragnę powiedzieć, że działałem w obronie własnej, całkowicie zgodnie z normami zachowania przyjętymi w owym czasie i w owym miejscu. Piszę te słowa z drżeniem ręki, bo są jak kamienie, z których łatwo wybudować gmach usprawiedliwiania najpotworniejszych poczynań, z ludobójstwem włącznie. A jednak prawdą jest, że huk wystrzału, który położył więźnia bez czapki, nie odbił się echem w sumieniu szesnastoletniego chłopca; dlaczego ma mnie dręczyć tylko dlatego, że chłopiec postarzał się o pięćdziesiąt lat?

Godzina Arpada Bacsiego nie wybiła przypadkowo. Planował ją z zimną krwią, przemyślał każdy szczegół, zbadał dokładnie fakty, przygotował teren działania i wybrał aktorów dramatu. Nigdy się nie dowiem, kto zdradził mu tajemnicę mojego papierowego podkoszulka. Obóz peten był donosicielami, gotowych popełnić każde draństwo za skórki chleba, których mu nigdy nie brakowało.

Raz w miesiącu odbierano nam pasiaki do odwszenia w kotłowni i dawano w zamian czyste. Żołnierze SS wykorzystywali tę okazję do przeprowadzania rewizji osobistych. Nie przypominam sobie, aby kiedykolwiek znaleźli ukryte skarby: łyżkę z rączką zaostrzoną jak nóż, gryps lub plik dolarów, ale rytuał szukania był jednym z kanonów dyscypliny i powtarzał się z całą niemiecką dokładnością. Tylko dzień i godzina do ostatniej chwili utrzymywane były w tajemnicy. Element zaskoczenia stanowił nieodłączną część ceremoniału. Czasami przeprowadzano te rewizje tuż po porannym apelu, czasami wieczorem, po powrocie z pracy. Obozowi funkcyjni, biorący czynny udział w widowisku, znali terminy i spieszyli ostrzec swoich podopiecznych. Żydzi nigdy nie mieli protektorów, zawsze brano nas przez zaskoczenie. Polegaliśmy jedynie na własnej ostrożności. Ja polegałem również na rutynie, która dla SS-manów była tym czym narkotyki dla narkomanów, i która wpływała z ich wiecznego dążenia do *Ordnung muß sein*. Rewizje odbywały się ściśle według kolejności prycz. Znajdowałem się zawsze w czwartej dziesiątce. Wyliczyłem, że podczas najbliższej zmiany pasiaków będę miał dosyć czasu, aby zrzucić z siebie papierowy wór i ukryć go w nigdy nie rozpalanym piecu. Nawet gdyby go znaleźli, niebezpieczeństwo wpadki było minimalne, a strata nieduża, bo w pustym magazynie koło hali produkcyjnej wciąż jeszcze leżała sterta worków po cement. Tyle tylko, że tym razem pomyliłem się w obliczeniach. Niemcy przekazali Arpadowi Bacsiego ustalanie kolejności. Cholera wie, jak to sobie załatwił, ale w chwili gdy dostrzegłem go wśród SS-manów i funkcyjnych, zrozumiałem, że nie jest dobrze. Jeszcze zanim otworzył usta, odczytałem w jego oczach błysk satysfakcji. Pomału, delektując się własną siłą i moją niemocą, wyciągnął ku mnie palec wskazujący i zawołał po niemiecku, z ciężkim węgierskim akcentem:

„Ta prycza idzie pierwsza!“

Kolana ugięły się przede mną. Nie byłem przygotowany na taki manewr. Sam byłem sobie winien, bo zlekceważyłem podstawowe przykazanie obozowej egzystencji: zawsze przewiduj nieprzewidziane.

Nasza dziesiątka ustawiła się gęsiego w przejściu między pryczami. Na rozkaz kroczyliśmy, jeden za drugim, w stałych, trzymetrowych odstępach, z jednego końca korytarza na drugi. Stół, za którym siedzieli funkcyjni, żołnierze SS, no i oczywiście Arpad Bacsiego, stał w połowie drogi. Naszym obowiązkiem było zatrzymać się przed stołem, rozebrać do naga, położyć buty, pasiak i bieliznę na blacie, aby starszy bloku mógł przewrócić kieszenie, poszperać w zmiętych kalesonach, obmacać kołnierze i gromko zameldować, że rewidowany jest „czysty“ lub „brudny“. Kto był czysty, maszerował dalej, aby w końcu korytarza wybrać sobie z rzuconej na ziemię sterty odwszoną odzież. Gdy stanąłem przed starszym bloku bez pasiaka, ale wciąż jeszcze w papierowym odzieniu, nie zawołał „brudny!“, lecz zapytał z nie ukrywanym zdumieniem: „Co to ma być?“

Milczałem. Cóż mogłem odpowiedzieć? Że przepraszam i błagam o litość? W obozowym leksykonie nie istniały takie słowa. Arpad Bacsiego trafił w sedno, mówiąc:

„Chłopak przygotował sobie opakowanie. Opakowanie na wysyłkę do gazu.“

Zadowolony z własnego humoru, zaśmiał się szyderczo. Śmiech brzmiał metalicznie. Po kilku sekundach urwał się jak struna instrumentu, który nie wytrzymał wysokiego C. Arpad Bacsi spojrzał mi prosto w oczy. Wiedziałem: chciał wyczytać w nich strach. Nie ma nic trudniejszego od ukrycia strachu czającego się w oczach. Łobuz był dobrym psychologiem, nie miałem w sobie dosyć siły, aby odebrać mu tę satysfakcję.

„Zdejmij to z siebie!“, mruknął starszy bloku tak cicho, że z trudem usłyszałem rozkaz. Ten jego spokój wydawał mi się groźniejszy od cienkiego chichotu Arpada Bacsi.

Zdjąłem worek i położyłem go obok pasiaka.

„Stań w rozkroku“.

Wykonałem rozkaz.

„Pochyl się“.

Znów wykonałem polecenie. „Mocniej!“, warknął starszy bloku.

Była to bardzo niewygodna pozycja stać pochylony głową w dół, nie zginać kolan, tylek trzymać wypięty w górę. Krew uderzała do mózgu falami, przed oczyma wirowały ciemne plamy. Aby nie stracić równowagi, wsparłem się dłońmi o betonową podłogę baraku. Starszy baraku wstał, obszedł mnie dokoła, taksując wzrokiem, jak to zwykli czynić handlarze na targu bydła. Potem nastąpił mi na bosą nogę podkutym butem i zapytał z ironiczną słodyczą:

„Boli?“

Przytaknąłem, ale wątpię czy zwrócił uwagę na ruch głowy, bo zaraz po tym stanął za mną, trzepnął po pośladku i zwrócił się do Arpada Bacsi:

„Sprawdź go, ale solidnie“.

Staremu Węgrowi nie trzeba było powtarzać tego dwukrotnie. Czulem nacisk jego palca, najpierw na karku, potem ześlizgującego się wzdłuż pleców, bez pośpiechu, jakby liczył poszczególne kręgi wystające spod suchej skóry. Napiąłem się z przerażeniem, bo przecież wiedziałem już dokładnie, do czego zmierza. Kciuk naciskał coraz mocniej, przesunął się między pośladkami zaciśniętymi w bezskutecznej obronie i wepchnął do odbytnicy. Nie było to jedno szybkie wtargnięcie, powodujące ból ostry, ale przemijający, lecz ruch obrotowy, jak gdyby palec zamienił się w wiertło próbujące zluzować zardzewiałą śrubę. Niewątpliwie wiedział, że ból rozdziera mnie od wnętrza, przecież był nie lada specem w tym sadystycznym fachu. Nie widziałem go, ale byłem przekonany, że uśmiecha się tym swoim zimnym uśmiechem, który pojawiał mu się na ustach za każdym razem, gdy odczuwał zadowolenie z cudzego cierpienia. Aby je spotęgować, oparł otwartą lewą dłoń na moich plecach, naciskając, aż poczułem ciężar całego ciała opadający na podpierające mnie ręce i dopiero wtedy wtargnął do mojego wnętrza, już chyba nie jednym, ale wieloma palcami. Byłem jak nadziany na szpadę. Z gardła wydarło mi się westchnienie bólu. Tłumiłem je z całych sił, bo głośny krzyk lub płacz brzmiały w uszach mojego oprawcy jak najsłodsza muzyka.

„Wstań i otwórz śmierzącą gębę“, polecił po kilku minutach. Wyprostowałem się i otworzyłem usta jak na fotelu dentystycznym. Palec wskazujący Arpada Bacsi wędrował po podniebieniu i pod językiem, a zanim go wyjął, zażądał, by był oblizany na czysto, jak „członek niemowlęcia“.

„A więc?“, chciał wiedzieć żołnierz SS.

„Nie znalazłem niczego“, zameldował Arpad Bacsi. Wydawało mi się, że słyszę ukryty ton rozczarowania. Starszy bloku otworzył zeszyt, wziął do ręki pióro, umaczał je w kałamarzu i spojrzał na mnie:

„Twój numer?“

„A 19818“.

Numer został zapisany, potem jeszcze jakaś uwaga, może wynik rewizji, a może tylko data i godzina, nigdy nie widziałem tego kajetu z bliska, dopiero teraz poczułem zimno, uświadomiłem sobie, że jestem nagi, i że betonowa podłoga mrozi stopy, przestąpiłem z nogi na nogę, starszy bloku i SS-man naradzali się półszepsem, Arpad Bacsi wrócił na swoje miejsce za stołem i siedział tam zachmurzony.

„Gdzie pracujesz?“ spytał Niemiec. „W hucie «Zgoda».“

„Zawód?“

„Tokarz. Obróbka metali szlachetnych“, wyrecytowałem.

Niemiec zastanawiał się. Im dłużej myślał, tym większa była nadzieja na przeżycie. Już dawno nauczyłem się, że o uśmiercaniu decyduje się w mgnieniu oka. Tylko przedłużanie życia wymagało przemyślenia i dyskusji. Po chwili szepnął kilka słów starszemu bloku, starszy bloku zapisał je

skrzętnie, po czym zawyrokował: „osiem godzin stójki“. Tak nazywano stawianie więźnia na baczność między drutami elektrycznymi. Była to kara znacznie surowsza od chłosty. Tylko nieliczni wytrzymywali ją do końca. Gdy wartownik wskazał mi miejsce, w którym miałem stać bez mchu przez najbliższe osiem godzin, czułem, że idę na szafot. Zastanawiałem się, ile godzin męki mnie czeka, nim się załamie i umrę. Silniejsi ode mnie załamywali się psychicznie i fizycznie i dotykali drutów po dwóch lub trzech godzinach. Wartownicy zostawiali zwłoki na pokaz.

Wprowadzono mnie między dmy w bezpośrednim sąsiedztwie bramy obozowej, gdzie co dwie godziny zmieniała się warta. O tej porze roku mrok zapadał szybko, wzdłuż ogrodzenia paliły się lampy, także w oknach komendantury było światło. Budynek SS znajdował się tak blisko, że bez trudu zaglądałem do pokoju, w którym dwóch oficerów żywo o czymś rozprawiało. Oni również mogli mnie widzieć, ponieważ stałem niemal naprzeciw ich okna. Słupek rtęci na termometrze opadł poniżej zera, cienki pasiak nie chronił przed zimnem atakującym od stóp i rozpełzającym się po całym ciele jak śliskie węże. Zawsze brzydziłem się gadów. Potem, gdy przestały ocierać się lodowatą łuską o plecy, podbrzusze i piersi, gdy przemarzłem do szpiku kości, straciłem poczucie dotyku, a co gorsze, również poczucie czasu. Nie wiedziałem, czy minęły minuty, kwadranse, czy godziny. Brak wewnętrznego zegara powodował niepewność, gdyż nawet w przybliżeniu nie potrafiłem zgadnąć, ile minut minęło, a ile mam jeszcze przed sobą. Stójka stała się dla mnie karą bez wymiaru czasu, a więc ciągnącą się w nieskończoność. Nigdy przedtem czas nie wydawał się być czynnikiem tak ważnym dla istnienia człowieka, a jego brak czynnikiem tak bardzo rozkładającym siłę opom. Wydawało mi się, że nie ma życia bez wymiaru czasu, tak jak go nie ma w atmosferze bez tlenu. Stworzyłem własny, wyimaginowany zegar, tykający w szarych komórkach coraz wolniej pracującego mózgu. Trzymałem się go kurczowo jak ostatniej deski ratunku. Liczyłem sześćdziesiąt sekund w minucie, aby policzyć sześćdziesiąt minut w godzinie, ale szybko straciłem rachunek. Liczenie było egzaminem wytrwania. Gdy przerwałem, przestraszyłem się własnej nieudolności. Wzbierał we mnie strach, bo oto miałem najlepszy dowód osłabienia pierwszego ogniwa w żelaznym łańcuchu przykuwającym mnie, głęboko w to wierzyłem, do chęci życia. Musiałem znaleźć inny sposób na utrzymanie pełnej przytomności. Mózg musiał pracować, musiałem zapewnić mu pożywkę. Skierowałem myśli ku dzieciństwu. Pragnąłem wyłowić je z przeszłości i przeciwstawić terażniejszości. Wezwałem Cygankę w kolorowej spódnicy, która wróżyła mi szczęście i zamorskie podróże, wszedłem pod kołdrę ojcowskiego łóżka, aby poczuć ciepły podmuch zbliżenia, ustawiałem w szyku bojowym pułki ołowianych żołnierzy, napełniałem usta słodyczami skradzionymi ze sklepu pana Hanna w Bielsku. Niestety, na tym kończyła się moja zdolność fantazjowania. Wyczerpał się zapas miłych wspomnień. Nieproszony odwiedził mnie Fredek Minc. Potem była już tylko biała wata i jednostajne brzęczenie w uszach. Długo trwało nim uświadomiłem sobie, że to prąd elektryczny gra na drutach wysokiego napięcia. Od tej chwili, aż do końca stójki, brzęk ten stanowił ostrzeżenie. Być może, pomógł mi utrzymać przytomność umysłu. Tak długo jak go słyszałem, zdawałem sobie sprawę z niebezpieczeństwa; miałem realnego wroga, z którym trzeba walczyć o życie.

Najtrudniej było panować nad powiekami. Zamykały się same, ciężkie jak sople lodu. Za każdym razem gdy spadała na mnie drzemka, ścierały się we mnie chęć życia i nieprzeparłe pragnienie wtopienia się w sen, bo tylko zaprzestanie wszelkich wysiłków nie wymagało żadnego wysiłku. Byłem jak mucha w słoiku z oliwą, która wpadła w gęstą ciecz, wygrzebuje się ostatkiem sił, wspina po tłustym, śliskim szkle i znów ląduje w oh wie, a wszystko po to, aby znów zacząć od początku. Słabość atakowała podstępnie, nie twarzą w twarz, lecz od tyłu, kładła na barki stukilogramowy ciężar zmęczenia i czekała, kiedy upadnę w śnieg. Mróz ścinał krew, wydawało się, że przestała krążyć, że jestem już zamrożonym ciałem w kostnicy. Chciałem poruszać nogami, podnieść jedną, opuścić drugą, jak w marszu, ale obawiałem się, że zwrócę uwagę wartownika. Więzień miał stać na baczność, za naruszenie dyscypliny przedłużano karę. Postanowiłem zadowolić się poruszeniem palców u nóg, ale nie czułem, czy zlodowaciałe w jutowych drewniakach poruszają się naprawdę.

Warta przy bramie zmieniła się, nareszcie wiedziałem, że minęły dwie godziny. Szosą przemknęła ciężarówka i prysnęła na żołnierza skrzepniętym, śnieżnym błotem. Wartownik klął głośno, a ja cieszyłem się, że słyszę ludzki głos. Widziałem, jak oparł karabin o słup daszka chroniącego przed deszczem i śniegiem i czyścił poły wojskowego płaszcza.

Dał o sobie znać przepełniony pęcherz. Natychmiast przekształciłem zmagania z nim w problem jak najbardziej zasadniczy. Wydawało mi się, że jeśli uda mi się utrzymać mocz, będzie to najlepszym dowodem pełnej władzy nad własnym ciałem. Parcie wzmagało się, nie pomogły

zaciśnięte kolana, mocz spływał po nogach ciepłym strumykiem. Pociężyłem się faktem, że przywrócił mi zmysł czucia. Po krótkiej chwili znikło poczucie miłego ciepła, mocz zamienił się w zlodowaciałą ciecz, nie mogłem opanować dreszczy.

Zgasło światło w oknach komendatury. Słyszałem trzaśnięcie drzwiami, szczekanie psa i oddalający się dźwięk samochodu. Potem znów zapanowała cisza wypełniona szmerem prądu wysokiego napięcia. Zacząłem recytować wiersze wyuczone na pamięć w szkole, lecz nie udawało mi się zebrać słów w rymowane rzędkie, rozlatywały się we wszystkie strony jak pszczoły po zadymieniu pasieki. Nie lepiej powiodło mi się w grze w szachy. Pionki, wieże, skoczki i królowe tańczyły po szachownicy w rozgardiaszu. Nie potrafiłem myśleć abstrakcyjnie. Nie pamiętałem już, ile razy zmieniła się warta przy bramie. Czas rozlewał się jak stopione zegary w obrazach Salvadora Dali, stał się pojęciem zupełnie nieuchwytnym. Istniała jedynie chwila obecna i nic poza nią. Wchłaniałem w siebie tę pustkę, lewitowałem w powietrzu całkowicie bezwładnie, wiedząc, że gdzieś w nieznanym przestrzeni czatuje na mnie czarna dziura kosmosu.

„Halo, ty!“, zawołał wartownik. Głos dobiegał z odległości stu lat świetlnych. Sylwetka żołnierza była prawie niewidoczna w kłębie mgły poprzedzającej brzask. Zza jego pleców wyłonił się podoficer SS w skórzanym płaszczu i mchem ręki nakazał mi zbliżyć się. Przejście dwóch lub trzech metrów, które nas dzieliły, wydawało się być niewykonalnym zadaniem. Płynąłem w zlodowaciałej mazi wypełniającej drewniaki. Zatrzymałem dech w piersi. Bałem się, że głębszy oddech wytrąci mnie z prostej, i że machinalnie dotknę drutów, aby utrzymać równowagę ciała. Zrobiłem pierwszy krok, niepewny, byłem jak dziecko, które uczy się chodzić. Postąpiłem jeszcze jeden krok naprzód, drewniana podeszwa poślizgnęła się na lodzie, zachłysnąłem się powietrzem, nic się nie stało. Wróciło poczucie czasu. Liczył się każdy ułamek sekundy. Skupiłem się cały na wymyślonej linii prowadzącej do stanowiska wartownika. Podoficer przypatrywał mi się w milczeniu, nie wiedziałem, czy czeka na mnie, czy też na moje potknięcie. Gdy tylko znalazłem się poza drutami, spytałem, jak gdyby była to najnaturalniejsza rzecz w świecie: „Przepraszam pana, która jest godzina?“

„Czwarta nad ranem“, odparł machinalnie i dopiero potem, połapawszy się, z kim ma do czynienia, obrzucił mnie stekiem przekleństw. Wartownik machnął lekceważąco ręką, jakby chciał powiedzieć, że nie wart jestem nawet obelgi. Wróciłem do baraku, wdrapałem się na swoje legowisko i zasnąłem, nie zdążywszy rozsznurować butów.

W drugiej dekadzie stycznia 1944 roku zlikwidowano obóz przy hucie „Zgoda“. Ewakuacja nie spadła na nas jak grom z jasnego nieba, bo likwidacja pobliskich obozów jenieckich odbywała się już od kilku tygodni. Oczywiście, nie wiedzieliśmy, dokąd nas przenoszą. Początkowo sądziliśmy, że wracamy do Oświęcimia. Pierwszą noc spędziliśmy na świętochłowickim dworcu kolejowym. Nad ranem załadowano nas do wagonów bydłowych, których podłoga zanieczyszczona była łajnem krów. Jeńcy radzieccy wyrzucili z nich przedtem zwłoki więźniów innego obozu. Po kilku godzinach, gdy pociąg ruszył w nieznaną, trupy wciąż jeszcze leżały na peronie.

Tym razem było nas w wagonie osiemdziesiąt osób, nieco luźniej niż w transporcie ze Starachowic, ale okienka zabite były deskami, więc nikomu nie udało się odgadnąć stacji docelowej. Po pierwszych dniach jazdy zrozumieliśmy, że ewakuują nas w głąb Rzeszy. Rzecz zrozumiała, nie wiedzieliśmy, że Armia Czerwona rozpoczęła ofensywę na froncie górnośląskim, i że czwarta dywizja Wehrmachtu, która według rozkazu miała walczyć do ostatniej kropli krwi, wycofywała się w popłochu. Hitler popadł we wściekłość, odwołał dowódcę dywizji i mianował na jego miejsce generała Schemera, oficera sztabowego wsławionego okrucieństwem i ślepo oddanego Führern wi. Nie wiedzieliśmy, że także Schemer nie powstrzymał ofensywy radzieckiej, i że w obliczu nieuchronnej klęski my, więźniowie obozów koncentracyjnych, mieliśmy ratować hitlerowski przemysł zbrojeniowy. W ostatecznym rozrachunku minister Rzeszy Albert Speer uratował nas przed śmiercią w komorach gazowych. Wszystkiego tego nie wiedzieliśmy, ale nawet jeśli znałbym każdy szczegół, nie zastanawiałbym się nad niczym innym poza sposobem utrzymania się przy życiu. W ciągu siedmiu dni tylko dwukrotnie otwarto zasuwane drzwi wagonów, podano wiadro wody i zezwolono na wyrzucenie zwłok tych, którzy nie wytrzymali. Podróż odbywaliśmy na stojąco. Co silniejsi wywalczyli sobie miejsca wzdłuż ścian wagonu, więc mogli się chociaż oprzeć. Słabsi stali pośrodku, co kilka godzin ktoś padał, nikt nie wołał o pomoc, bo szkoda było spalać energię na

próżno. Również ja nie odezwałem się słowem przez wszystkie te dni w wagonie. Zamknięty w sobie nie szukałem kontaktu z otaczającymi mnie ludźmi. Tkwiłem we własnym świecie, a świat ten poruszał się ze mną, był zawsze tam, gdzie byłem i ja. Większość drogi miałem oczy zamknięte, oscylowałem między snem a półświadomością, otworzyłem je dopiero wówczas, gdy osiągnęliśmy cel podróży. Kątem oka zauważyłem nazwę miasteczka: Mauthausen. Nigdy o nim nie słyszałem, nie wiedziałem, gdzie leży. Wysypaliśmy się na peron. SS-mani otoczyli nas ze wszystkich stron, niektórzy trzymali na smyczy psy. Pamiętam ten dzień jakby to było wczoraj, bo był wyjątkowo piękny. Słońce srebrzyło nieskończone połacie śniegu ciągnące się od stacji aż po horyzont, a powietrze czyste jak kryształ pachniało przestrzenią. Widok był kojący, śnieżna biel kłuła w oczy, oslepiała.

Kiedy oslepił mnie śnieg po raz ostatni? To było o siódmej rano, dokładnie przed sześciu laty. Byłem uczniem czwartej klasy szkoły podstawowej, trochę przemądrzałym jedyakiem, dzieckiem, które miało prawdziwe dzieciństwo. Paula upuściła na kamienną podłogę kuchni żelazną patelnię, hałas wytrącił mnie z przyjemnego snu, ale sen pierzchł jak motyl, nim zdążyłem go złapać w sieć pamięci. Księżyc panoszył się jeszcze na niebie, korzystając z zimowego spóźnienia słońca. Ośnieżone gałęzie kasztana, wspinającego się aż do mego okna na drugim piętrze, wyglądały jak łapy białego niedźwiedzia. Wstałem z łóżka, zostawiając za sobą zapach wykrochmalonej bielizny pościelowej, i otworzyłem na oścież okno. Powiało czystym chłodem, budzącym wspomnienie lodów cytrynowych, które jadłem poprzedniego dnia we włoskiej lodziarni przy placu Chrobrego. Byłem tam jedynym klientem, bo jaki rozsądny człowiek zajada się lodami w styczniowy, mroźny dzień?

Natura ma swoje nieubłagane prawa, księżyc wycofał się jak niepyszny za dachy na horyzoncie, od wschodu wjeżdżała na niebo okrągła tarcza słońca, forpocza nowego dnia. Śnieg na konarach zapalił się tysiącem małych iskier, kłuł w oczy jak szpilki. Musiałem je przymrużyć. Pomyślałem, że nie ma nic przyjemniejszego od wagarów w tak wyjątkowo piękny dzień. Blask śniegu podsunął mi dziecienny, ale jakże skuteczny sposób na wymiganie się od obowiązków szkolnych. Zamknąłem okno, wróciłem do łóżka, przykryłem się z głową i spokojnie czekałem na wejście Pauli. Co rano o siódmej piętnaście budziła mnie, pilnując, abym, broń Boże, nie spóźnił się na lekcje. Gdy zerwała ze mnie kołdrę, zawsze czyniła to jednym, zręcznym ruchem, zduszonym głosem szepnąłem, że niczego nie widzę, że chyba mam chore powieki, bo nie mogę otworzyć oczu. Wykręt był naiwny, ale pocziwa Paula nie mogła sobie nawet wyobrazić, że próbuję ją podejść. Przestraszona pobiegła obudzić mamę, matka obudziła tatę, ojciec nie miał kogo obudzić, więc po prostu był wściekły. Paula popłakiwała w kuchni, rodzice spirali się nad moim łóżkiem, sprawy zaszły zbyt daleko, nie było drogi odwrotu. Doktor Reich, pediatra, mieszkał w sąsiedztwie, więc przybiegł zadyszany po pięciu minutach, słyszałem, jak kładzie na krzesło ciężką lekarską torbę i grzebie w niej dłuższą chwilę. Chciałem zobaczyć, co mnie czeka, bo umierałem ze strachu przed szczypcami i zastrzykami, ale nie wolno mi było otworzyć oczu. Zaraz po tym jak dotknął powiek, postawił diagnozę: dziecko udaje. Ale ja zaparłem się jak osioł tylnymi nogami i z uporem godnym lepszej sprawy twierdziłem, że jestem ślepy. Doktor Reich znał mnie od lat i to na wylot, więc rzeczywiście zagroził zastrzykiem i kroplami, „które pieką jak ogień“. Wszystkie groźby były jak perły rzucone przed wieprze, bo tak naprawdę bardziej od rozmaitych niemiłych medykamentów bałem się ojcowego gniewu. Nic nie wyprowadzało go z równowagi bardziej od kłamstwa. Wpadłem w pułapkę, którą sam sobie nastawiłem, i mimo że bardzo pragnąłem zakończyć tę komedię, darłem się jak opętany: proszę bardzo, niech pan doktor robi swoje, zastrzyki, krople i wszystko, co trzeba, byle tylko przywrócił mi wzrok.

Daremnie przekonywał sędziwy pediatra, że dzieciak kłamie jak najęty, że w żadnej księdze medycznej nie ma wzmianki o schorzeniu, które nie pozwoliłoby otworzyć oczu, i że najlepszym lekarstwem byłby pas do ostrzenia brzytwy, który tylekroć w przeszłości dokonywał cudów i cudeńków. Ojciec niecierpliwie zerkał na zegarek (słyszałem dźwięk otwieranej koperty jego złotego, kieszonkowego „Schafhause-na“), kierowca czekał już przed domem, miał go zawieźć na ósmą do sądu, na ważne spotkanie z sędzią i klientem. Paula nie przestawała szlochać, teraz już nie tylko przeze mnie, ale również dlatego, że pan mecenas nie zdąży zjeść śniadania, świeżo zaparzonej kawy i dwóch jajek w szklance. Mama nie ukrywała paniki, zawsze bała się chorób, teraz głośno się zastanawiała, do którego ze słynnych profesorów w Wiedniu należy mnie zawieźć. Ojciec zawyrokował, że popołudniowym pociągami pojedziemy do Krakowa, wymienił nazwisko jakiejś

tamtejszej sławy w dziedzinie okulistyki i zakończył sprawę przyrzeczeniem, że jeśli krakowski specjalista uzna za stosowne, złapiemy nocny pospieszny do stolicy Austrii. Słyszałem, jak doktor Reich zatrzasnął teczkę i pożegnał się, nie kryjąc obrazy, jak ojciec wyszedł do przedpokoju, tam mieliśmy zawieszony na ścianie telefon, i długo rozmawiał z babcią. Potem mama połączyła się z Wiedniem i zamówiła wizytę u jakiejś austriackiej sławy, będącej zarówno profesorem medycyny jak i szanownym *Geheimratem*, i która natychmiast wyraziła zgodę na zarobienie znacznej sumy szylingów o każdej porze dnia i nocy. Było jasne, że przebrałem miarękę. Ojciec wrócił do pokoju.

„Nic się nie martw“, uspokajał matkę, „wszystko dobre, co się dobrze kończy“.

„Nie ma niczego, czego bym nie dała, aby Romeczek otworzył oczy“, odparła.

Natychmiast obudził się we mnie zawsze drzemiący chochlik. „Nawet kolejkę elektryczną z wystawy w sklepie pana Milnera?“, chciałem wiedzieć.

„Nawet kolejkę“, zapewnił tata.

Ojciec zawsze dotrzymywał słowa. Przetarłem oczy ruchem, którego nie powstydziliby się zawodowy aktor, skrzywiłem twarz w udanym bólu, otworzyłem oczy, znów je zamknąłem i znów otworzyłem.

„Widzę!“, zawołałem radośnie.

„Ja także“, powiedział ojciec. Głos miał o oktawę niższy niż zazwyczaj. Czulem naciągającą burzę.

Kolejkę elektryczną dostałem tego samego dnia pod wieczór. Ojciec otworzył pudełko, dał mi się nacieszyć widokiem pełnego zestawu wagonów, po czym oznajmił, że przez najbliższy rok nie wolno mi się nią bawić. Pas do ostrzenia brzytwy, lekarstwo przepisane przez doktora Reicha, został zaaplikowany tak skutecznie, że przez tydzień wierciłem się niespokojnie na twardej, szkolnej ławce. A wszystko przez biały, oślepiający śnieg.

Patrząc na zaśnieżone pola koło Mauthausen, musiałem przymrużyć oczy, aż oswoiły się z bielą i światłem, po tygodniu spędzonym w ciemnym wagonie. Strażnicy odliczali stojących w kolumnie. Oprócz nas nie było na stacji żywego ducha. Tupaliśmy nogami jak furmani, aby rozgrzać zmarznięte stopy. Mróz doskwierał także Niemcom, bo tarli zaczerwienione uszy. Na krytym peronie widniał duży plakat reklamowy: *Warum ist Juno rund? Aus guten Grund ist Juno rund*³⁵. Przez kilka sekund zastanawiałem się, jak go ukraść, bo był wydrukowany na grubym papierze i odpowiednio przycięty mógł służyć jako zimowy podkoszulek. Ale nim zdążyłem przemyśleć sprawę do końca, padł rozkaz wymarszu.

Nie wiem, jak to się stało, że tak mało wiedzieliśmy o hitlerowskich organach bezpieczeństwa, a jeszcze mniej o SS, armii stojącej ponad armią, imperium wewnątrz imperium. Tytuły *Brigadeführer* lub *Gruppenführer*, odpowiadające stopniom generała brygady lub dywizji, nadawane były szczerą ręką decydom w ministerstwach, a nawet kluczowym postaciom w przemyśle, i dzięki temu posiadacze czarnych mundurów z trupa czaszką przekształcili się z wyborowej jednostki mającej chronić bezpieczeństwo Rzeszy w potęgę polityczną i gospodarczą. W dniu, w którym nas przywieziono do Mauthausen SS była posiadaczem, oficjalnie lub nieoficjalnie, sporych gałęzi gospodarki niemieckiej. Większość przedsiębiorstw odebranych Żydom przeszła pod zarząd SS i dzięki temu stała się ona niemal monopolistą w produkcji mebli i... wód mineralnych. Roczny obrót tych zakładów wynosił dwadzieścia pięć milionów dolarów, a było to w czasach, gdy dolar był jeszcze dolarem. Będąc największym dostawcą taniej siły roboczej w podbitej Europie, zdobyła SS ogromny wpływ w środowisku wielkich przemysłowców. Znalezione po wojnie dokumenty świadczą, że pod koniec roku 1944 pobierała opłatę za pracę 627 tysięcy więźniów; ponad 170 tysięcy pracowało w przemyśle zbrojeniowym, a ponad 50 tysięcy w warsztatach wzniesionych wewnątrz obozów koncentracyjnych.

Informacja o tym, co się działo w innych obozach, przeciekała do nas bardzo cienkim strumykiem. Transporty wędrowały z Oświęcimia do Mauthausen, z Dachau do Bergen Belsen, z Majdanka do Treblinki, ale nikt nigdy nie wracał do obozu „macierzystego“, aby opowiedzieć, jak jest gdzie indziej, podobnie jak umarli nigdy nie wracają, by nam opowiedzieć o życiu po śmierci. Z tego to

³⁵ „Dlaczego Juno jest okrągły? Z dobrego powodu jest Juno okrągły“. Popularna reklama niemieckich papierosów.

prostego powodu nazwa Mauthausen nie figurowała w moim słowniku pojęć. Nie przyszło mi na myśl, że SS-mani prowadzą nas w miejsce, z którego spoglądać będziemy na Oświęcim z nie tajoną tęsknotą.

Budowniczy obozu zagłady w Mauthausen nie wybrali terenu pod obóz z miłości do piękna okolicznych wzgórz, ciągnących się od lewego brzegu Dunaju aż po granicę czeską. Wybór spowodowały miejscowe kamieniołomy granitu. Na biurku Adolfa Hitlera leżał plan budowy monumentalnej dzielnicy rządowej w Berlinie mającej uwiecznić Trzecią Rzeszę na całe tysiąclecie. Zaprojektował ją Albert Speer, późniejszy minister zbrojeń, a w latach trzydziestych młody architekt z Manheim, który poszedł za Hitlerem urzeczony hasłami narodowego socjalizmu i postacią Fuhrera. Wzorując się na paryskich Polach Elizejskich, osiągających punkt szczytowy w pałacu królewskim, Speer planował budowę centralnej osi prowadzącej do budowli symbolizujących potęgę władzy nazistowskiej: kwatery wodza, kwatery sztabu generalnego oraz kancelarii NSDAP. Realizacja planu wymagała ogromnej ilości materiałów budowlanych. Natychmiast po przyłączeniu Austrii do Rzeszy SS zainteresowała się kamieniołomami w Mauthausen. Kamieniołomy stanowiły własność wiedeńskiego zarządu miasta, który wydzierżawił je za śmieszłą opłatę pięciu tysięcy marek. Wiedeń Straussa nie przyzwyczyił się jeszcze do dźwięków „Horst Wessel Lied“, ale rajcy miejscy dobrze już wiedzieli, kto tu rządzi i z czyjej ręki należy jeść. Decyzja oddania kamieniołomów podjęta została jednogłośnie i ubrana w formę zwykłej umowy handlowej. Władze SS powołały do życia firmę „Dest“, która była oficjalnym kontrahentem wiedeńskiego samorządu i wkrótce po zalegahzowaniu potrzebnych dokumentów otrzymała z Banku Rzeszy bezzwrotną, nie oprocentowaną pożyczkę w wysokości dziewięciu milionów marek. Pieniądze te, przeznaczone na inwestycje w rozbudowę kamieniołomów, poszły na budowę obozu. Początkowo, w roku trzydziestym ósmym, zakwaterowano tam tylko kilkuset kamieniarzy skazanych na roboty przymusowe, ale bardzo szybko Mauthausen stał się jednym z najpotworniejszych obozów koncentracyjnych w podbitej Europie. W roku 1942 szef wydziału gospodarczego SS, Oswald Pohl, zakwalifikował wszystkie podległe mu obozy do kilku kategorii. O Mauthausen napisał, że przeznaczony jest dla więźniów, co do których „nie ma nadziei na resocjalizację“. W języku biurokracji nazistowskiej oznaczało to, że z Mauthausen nikt nie powinien wyjść żywy.

Wspinając się wąską dróżką wiodącą od stacji kolejowej do obozu położonego na wzgórzu, nie wiedzieliśmy, co nas czeka, bo (na szczęście!) nie znaleźliśmy treści dokumentów Oswalda Pohla. Piękna pogoda nie sprzyjała nam, słońce stopiło cienką warstwę śniegu, pod którą ukrywała się zdradziecka, zlodowaciała powierzchnia ścieżki. Potykałem się coraz częściej. Kilkakrotnie upadłem. Wartownicy stawiali mnie na nogi uderzeniami kolb. Tłukli w piersi i w brzuch, bo przezornie przewracałem się na plecy. Posiadając doświadczenie kilku obozów, wiedziałem, że najgroźniejsze są uderzenia odbijające nerki. Oddech miałem krótki, powietrze świszczało w płucach, ale najbardziej przeszkadzały mi buty na drewnianych podeszwach nie znajdujących zaczepienia w śliskiej skorupie dróżki. Wykorzystując chwilę nieuwagi konwoju przystanąłem, zdjąłem buty i cisnąłem je w śnieg. Zimno dokuczało tylko przez kilka pierwszych minut, czym dłużej maszerowałem, tym cieplejsze wydawały się być bosa nogi. Lekarze amerykańscy, którzy badali mnie na krótko po wyzwoleniu, twierdzili, że tym sposobem zapobiegłem odmrożeniu palców.

Po czterech kilometrach marszu dotarliśmy do rozdroża w kształcie litery T. Skręciliśmy na prawo. Na końcu ośnieżonego zbocza widniały mury i baszty wyglądające z daleka jak średniowieczna forteca. Po lewej stronie stały zabudowania dużego gospodarstwa, dwupiętrowy dom, stajnie i obory, czworaki i stodoła. Od wejścia przypatrywali nam się mężczyzna w futrzanej czapie, przepuszczalnie właściciel, oraz dwie kobiety, starsza i młoda, obie opatulone w baranie kożuchy. Dziesięcioletnia dziewczynka trzymała za rękę tę młodą. Mężczyzna jadł pajdę chleba grubo posmarowaną masłem, jadł ją obojętnie, jakby znudzony, maszerujące kolumny więźniów były tu zapewne codziennym widokiem. Okruchy przylepiły mu się do sumiastego wąsa. Czuję, jak ślina napływa mi do ust. Żołnierz z konwoju pomachał mu ręką na przywitanie, chłop wysunął rękę z chlebem, jakby proponując mu kęs. Żołnierz roześmiał się, mężczyzna w futrzanej czapie odpowiedział śmiechem. Śmiech był głośny, zdrowy, irytujący.

Do murów „twierdzy“ szliśmy jeszcze dziesięć minut. Brama otworzyła się przed nami jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Znaleźliśmy się na obszernym, brukowanym dziedzińcu, otoczonym garażami wbudowanymi w mur. W głąb obozu prowadziła jeszcze jedna brama. Teraz była zamknięta. Z kwadratowych, kamiennych wieżyczek patrzyli na nas strażnicy obozu. Ze środka

dziedzińca zmieciono śnieg, ale wzdłuż murów ciągnęły się wały brunatnego, zlodowaciałego błota. Zakonotowałem te szczegóły w ciągu jednej sekundy. Pobyt w obozie nauczył mnie fotografować wzrokiem każdą sytuacją, każdy szczegół, każdy mch. Często zależało od tego życie. Ale znów zdarzyło się coś, czego nie przewidziałem. Z ukrycia wybiegło kilkudziesięciu żołnierzy SS i zaczęli okładać nas uderzeniami kolb karabinów. Wybuchła panika, więźniowie rozbiegli się na wszystkie strony, krzyk bitych i okrzyki bijących zmieszały się w jedno głośnie *crescendo*. Rozgardiasz podniecił sforę wilczurów, ich szczekanie wzmagало uczucie strachu. Wilczury szczyrzyły zęby. Nie byłem żółtodziobem, wiedziałem, że są tresowane do ataku.

„Szybciej, szybciej!“, wołali Niemcy. „Rozebrać się do naga i stawać twarzą do muru!“

W mgnieniu oka zrzuciłem z siebie pasiak. Setki nagich postaci biegało w popłochu po dziedzińcu, miejsca pod murem nie starczyło dla wszystkich. SS-mani tłukli ich bez litości. Pobici padali, żołnierze SS deptali po nich wojskowymi, podkutymi butami. Psy poczuły krew, szarpały smycze.

Byłem szybszy od wielu innych. Stanąłem, jak kazano, twarzą do ściany. Trząsałem się, sam nie wiedziałem, czy ze strachu, czy z zimna. Wrzask SS-manów wygasł, po chwili zaległa zupełna cisza. Cisza niosła z sobą oczekiwanie niewiadomej. Bałem się odwrócić. Padł nowy rozkaz:

„Gotuj się do kąpieli!“

Do jakiej kąpieli? Przeraziłem się. W Oświęcimiu łaźnie były zamaskowanymi komorami gazowymi. A tutaj, w Mauthausen? Na pewno było tak samo. Próbowałem wyobrazić sobie, jak się umiera uduszony cyklonem B. Czy to długo trwa? Czy bolą płuca wypełnione gazem? Czy umiera się w pełnej świadomości tego, co się dzieje, czy może najpierw traci się przytomność? Wolałbym stracić przytomność. Ale hitlerowcy nie mieli zamiaru nas uśmiercać. W każdym razie, nie teraz. „Kąpiel“ była po prostu ulubioną rozrywką załogi w czarnych mundurach.

Z hydrantów pożarowych trysnęły strugi lodowatej wody. Żołnierze SS skierowali węże na nagi tłum. Strumienie smagały jak bicze. Poczulem uderzenie w plecy, głowa poleciała bezwładnie do przodu, uderzyłem czołem w mur, napięta skóra pękła, krew zalała oczy i zastężyła na twarzy. Mokre plecy pokryły się warstwą lodu i piekły jak za dotknięciem rozpalonego żelaza. Ból przywrócił mi zdolność myślenia. „Nie“, powiedziałem w duchu, „nie złamię mnie.“

„Nie“, powtórzyłem, „nie poddam się“. Słowa miały ogromną siłę przekonywającą. Wierzyłem w nie, jakby padły z ust najwyższego autorytetu.

Nawet potem, jak znudziła ich zabawa, Niemcy nie pozwolili nam ruszyć się z miejsca. Stałem nagi, dłońmi zakrywałem łono. Wstydziłem się? Kogo? Ściany? Oprawców? Nie, to nie był wstyd, lecz prosty ludzki odruch. Nagle uświadomiłem sobie, jak ważna jest odzież, jak stwarza iluzję obronnego pancerza. Para najgorszych, podartych spodni daje uczucie przynależności do cywilizowanego świata. Nadzy czujemy się ponizeni, bezbronni, wystawieni na każdy kaprys tych, którzy są ubrani. Czy było w moim nagim ciele coś ułomnego? Czy różniłem się od innych ludzi? Rzuciłem ukradkowe spojrzenie na człowieka stojącego po mojej prawej. Wyglądał nędznie, siny jak oskubany kurczak. Ogolona głowa podobna była do gruszki, brzuch rozdęty od głodu, kości biodrowe wystające jak skrzydła próbujące oderwać się od tułowia. Pokryte liszajami nogi przypominały dwa sękaty kije. Nagle kije złamały się w miejscu, w którym powinny znajdować się kolana, człowiek próbował uczepić się nierówno ciosanych kamieni muru, nie starczyło mu sił, dłonie ześlizgnęły się bezwolnie, widziałem zdarte paznokcie, ciało przełamało się w pół i osunęło w błoto, bez jęku, bez słowa protestu. Natychmiast podbiegł inny więzień, złapał go za stopy i pociągnął w tył, w miejsce, gdzie układano trupy.

Kazano nam się odwrócić. Przy bramie rozmawiało kilku podoficerów SS. Widocznie czekali na oficera, bo gdy się pojawił, natychmiast pogoniono nas do wewnątrz, na właściwy plac apelowy obozu. Dopiero tutaj musieliśmy przedefilować przed *Schreiberami** zapisującymi dane osobiste. Pisarze siedzieli za długimi stołami, ciepło ubrani, pracowali bez pośpiechu. Moje bosa stopy wmarzły w ziemię. Długo trwało, aż wręczono mi miedzianą bransoletkę z wybitym numerem. „Pilnuj jej jak najdroższego klejnotu, bo bez niej jesteś martwy“, powiedział stojący obok kapo i mocnym kopnięciem wskazał mi drogę do łaźni. Nie, to nie była komora gazowa. Z pryszniców ciekła prawdziwa woda. Nie czułem, że była wrząca. Dopiero w nocy pokryłem się bąbelkami, całe ciało było poparzone. Przy wyjściu funkcyjny rzucił mi koszulę tak ciasną, że nie mogłem jej zapiąć i kalessony o dwa numery za duże. Pasiaków zabrakło, powiedziano nam, bądźcie szczęśliwi, że jest bielizna. Podczas apelu wieczornego, gdy starszy bloku uderzył mnie pałką po głowie, bo nie

wyrównałem należycie do lewej, nie mogłem się zasłonić, bo musiałem trzymać te przeklęte gacie. Gdyby spadły, na pewno biłby mnie po jądrach.

Mój barak oznaczony był numerem dwadzieścia cztery. Zewnętrznie podobny do baraków Oświęcimia i Świętochłowic, ale wewnątrz nie było ani pieca, ani prycz, ani nawet garstki słomy. Betonowa podłoga miała nam służyć jako legowisko.

Niemcy nigdy nie wchodzili do baraków. Rzemiosło codziennych poniżeń pozostawili w rękach funkcyjnych, wiedząc, że mogą polegać na skrupulatności kolaborantów. Zbędna jest analiza naukowa motywów, którymi się kierowali. Funkcyjni nigdy nie byli głodni; obozowi krawcy szyli im pasiaki na miarę; własny kąpiel w baraku stwarzał wrażenie intymności; niczym nie ograniczone prawo posługiwania się pałką napawało ich poczuciem wyższości. Ci, którzy nie urodzili się sadystami, przyswajali sobie tutaj cechy okrucieństwa, bo tylko okrucieństwo stanowiło dla nich polisę ubezpieczenia na życie. Nawet jeśli nie byli całkowicie bezpieczni, na ogół mogli liczyć na łaskę mocodawców, bo przecież bez nich niemożliwością było utrzymanie żelaznej dyscypliny i reżymu wiecznego zastraszania. Były jednak sytuacje, w których wyganiano ich z rajy głupców. Przenoszeni z obozu do obozu tracili swój glejt. Kapo w nowym obozie uważali ich za niebezpieczną konkurencję. Po dziedzińcu Mauthausen zwłoki funkcyjnych z huty „Zgoda“ poniewierały się w absolutnym równouprawnieniu z trupami zwykłych więźniów. Nie stanowiło to żadnej pociechy. Po prostu odnotowałem fakt. Gdy znów posypały się razy, gdy kapo pędzili nas na nocleg, nie miałem czasu ani ochoty na rozważanie ich postępowania. Wysilek skupiałem na unikaniu pałek i na przepychaniu się przez wąskie wejście, bo kto był pierwszy w baraku, ten miał lepsze szanse. Podobni byliśmy do roju mrówek ciągnących na oślep prosto w pułapkę. Do dzisiaj nie potrafię pojąć, w jaki sposób udało się funkcyjnym wtłoczyć nas wszystkich do jednego baraku. Łącznie z tymi, którzy „zamieszkali“ tam przed nami, było nas ponad tysiąc siedemset wystraszonych dusz. Trzeba przyznać, że kapo i ich pomocnicy opanowali swoją sztukę do perfekcji, może dzięki temu, że mieli wieloletnie doświadczenie. Nikt nie uczył więźniów wciskanych w te wąskie drzwi od chwili założenia obozu, ale na pewno były ich dziesiątki tysięcy. Gdy tylko znaleźliśmy się w ciemnym wnętrzu, barak nie miał okien, powtórzyły się ciągi i przekleństwa. Teraz ustawiono nas w rzędy tak ciasne, plecy do piersi, piersi do pleców, że niemal słychać było trzaskanie żeber. Na rozkaz padliśmy bokiem na ziemię. Nie wszyscy znaleźli miejsce, ściśnięte szeregi wypchnęły niektórych, jak zdechłe ryby, na powierzchnię ludzkiego, falującego morza. Funkcyjni mieli sposób na każdą ewentualność. Deptali po nas bez litości, komu nie udało się wślizgnąć między leżących, tego wpychały ich twarde buciory. Po kwadransie wszyscy leżeli niemchomi jak sardynki w pudełku. W wymęczonych transportem ciałach nie pozostało wiele ciepła, beton pod nami był lodowaty, strach także mroził. Przez otwarte drzwi wdzierał się styczniowy wiatr. Łaknąłem snu, ale akurat teraz, gdy już leżałem i wolno było spać, nawiedził mnie nieproszony gość, głód. Można powiedzieć, że tylko czekał na chwilę, w której będę gotów na przyjęcie nowego cierpienia. W jelitach kotłowały się bańki powietrza, nie wiem dlaczego mówi się, że kiszki grają marsza, bo skurcze nie atakowały rytmicznie, lecz całkowicie nierównomiernymi falami. Kwasy pustego żołądka, nie mające nic do trawienia, uderzyły do ust gorzką wydzieliną. Równocześnie odezwał się pęcherz moczowy, sygnalizował, że jest pełny. Od drzwi dzieliła mnie odległość trzech, może pięciu metrów. Nie było rady. Wstałem. Masa ludzka natychmiast wypełniła szczelinę, w której leżałem. Ostrożnie postawiłem bosą nogę na boku jakiegoś człowieka. Zaklął cicho, ale nawet gdyby chciał, nie mógł się ruszyć. Nabrałem pewności siebie, kroczyłem po śpiących. Większość, zmorzona ciężkim snem, w ogóle nie zwracała na mnie uwagi. Tylko jeden, leżący tuż przy drzwiach, usiłował ugryźć mnie w piętę. Mocnym kopnięciem wyswobodziłem się z jego uścisku. Nienawidziłem go. On chyba także mnie nienawidził. Wszyscy w tym baraku czuliśmy do siebie potworny wstręt. Może dlatego, że narzucono nam siłą bliskość fizyczną, zmuszono obcych do intymnego bycia z sobą, a może dlatego, że głodni, bici i poniżeni musieliśmy kogoś nienawidzić. Niemcy znajdowali się poza zasięgiem ludzkich uczuć, byli abstrakcyjnym uosobieniem zła.

Teren przed barakiem nie był oświetlony, ale w odległości kilkunastu metrów paliły się lampy zawieszane nad płotem z drutu kolczastego. Odałem się w śnieg i zaraz zebrało mi się na wymioty. Przyklęknąłem, pochyliłem się do przodu, ale z pustego i Salomon nie należy. Żołądek podszedł pod gardło i nic. Wetknąłem palec głęboko w krtań, chciałem się pozbyć wstrętnej gorzko-kwaśnej cieczy, lecz nie wydusiłem z siebie ani kropli. Widocznie nie zostało we mnie nic prócz obrzydzenia. Z czystego nieba patrzyły gwiazdy, okrutne w swoim lodowatym pięknie. Powietrze było kryształowe,

lecz niespokojne, kołysane krótkimi zrywami wiatru, zapewne północnego, bo przecież żaden inny nie mógł tak strasznie ciąć brzytwami, zamieniać ludzi w sople. Wdychałem go w płuca. Będąc już we mnie, czystość mieszała się z brudem wnętrza; dopiero wówczas żołądek stał się posłuszny mojej woli, skurczony jak papierowa torebka, z której wyszano powietrze, zielonkawą wydzieliną zanieczyścił biel śniegu.

Wróciłem do baraku, stanąłem u wejścia, oczy przyzwyczyły się do mroku, widziałem ludzki kobierzec, wiedziałem, że nie było żadnych widoków na to, iż uda mi się weń wpleść. Oparty plecami o framugę drzwi stałem tak aż do porannej pobudki o piątej trzydzieści.

Szybko wysnułem wniosek z tej tak traumatycznej przygody. Od następnej nocy oddawałem mocz nie wstając z miejsca. Wszyscy robili tak samo. Po kilku dobach zamieniliśmy się w cuchnący, odpychający tłum. Funkcyjni nie budzili nas gwizdkiem, lecz strumieniem zimnej wody.

W ciągu dnia tłoczyliśmy się beczynn timer na skrawku ziemi między barakiem a drutami. Bezczynność była trudniejsza od najcięższej pracy, bo także tutaj, podobnie jak w Oświęcimiu, znaczyła tylko jedno: kto nie przynosi korzyści, nie ma prawa do życia. Nawet bez komory gazowej anioł śmierci zacierał skrzydła z zadowoleniem. Im mocniej głód i zimno nadgryzały ciało i czyniły je lżejszym, tym cięższe stawało się cierpienie, tym wyraźniej odczuwałem siłę przyciągania Ziemi. Nie mogłem przejrzeć się w lustrze, lecz widziałem siebie, patrząc na innych stojących w kolejce do Wielkiej Pustki. Nim padli, długo stali bez ruchu i tylko twarze bez wyrazu zdradzały zbliżający się koniec. Cieleśna powłoka wcale nie wiedziała, że wewnątrz przekroczyło już granicę ludzkiego istnienia. Ponieważ większość koncentrowała się na tym, co robią i jak wyglądają, nie zdawali sobie sprawy, że płomyk życia wygasa. Patrząc z boku, niemy, lecz wciąż jeszcze przytomny świadek, z dokładnością jednej sekundy mogłem przewidzieć, kiedy upadną. Jednego tylko nie wiedziałem: czy wydali ostatnie tchnienie jeszcze zanim przewracali się w śnieg, czy umierali leżąc, a usypiający mróz dopiero potem wyzwalał ich z tortury istnienia. Raz dziennie wlekliśmy trupy do furtki w płocie. Oficer SS i starszy bloku liczyli zwłoki i ściągali im z rąk mosiężne bransoletki z numerem. Każda bransoletka przekazana do kancelarii obozu oznaczała skreślenie osoby z listy więźniów.

W Mauthausen przestałem się myć. Był to wyraźny sygnał klęski, wstydzilem się własnej słabości, ale nie znalazłem dość siły, aby ją przewyciężyć. Nie biegłem rano do latryny, służącej również jako zbiorowa umywalnia, i nie oblewałem się lodowatą wodą. Pękło ogniwo w łańcuchu samoobrony. Coraz częściej nawiedzały mnie czarne myśli. Pytałem, jaki sens ma to kurczowe trzymanie się nędznego życia? Jaką korzyść daje ten syzyfowy wysiłek przetrwania do następnego dnia? Wygrałem na loterii jeszcze jedną dobę i jeszcze jedną, i jeszcze jedną. Więc co? Trzy dni nie stanowią terażniejszości. I na pewno nie stanowią przyszłości. Gdybym był wierzący, może czekałbym na znak od siedzącego spokojnie na niebiańskim tronie, na wyciągniętą rękę wskazującą kierunek. A jednak: czasami także bezbożnikom zdarzają się cuda.

Zobaczyłem znak. A może nie był to żaden znak, może zwykłe zjawisko, tłumaczyłem sobie według bieżących potrzeb duchowych. Gdy wszedłem do latryny, nie po to, aby się umyć, lecz po to, aby sikać, zimno miało moczopędne skutki, zobaczyłem więźnia wiszącego u stropu. Pętlą była jego własna koszula, skręcona jak sznur. Ręce miał związane za plecami, usta zakneblowane szmatą. Wisielec wydawał mi się znajomy. Podeszedłem bliżej. Na strzępach koszuli wisiał Arpad Bacsı. Dotknąłem go końcem palca. Trup zakołysał się. Pchnąłem mocniej. Trup kołysał się jak wahadło zegara przez cały czas, gdy odlewałem się do otworu w desce.

Śmierć Arpada Bacsı pomogła mi uwierzyć, że wszędzie na świecie, nawet tutaj, jest zbrodnia i jest kara, i że dopóki będę żyć, będę odczuwać także zadowolenie. Nie mogłem się nawet domyślać, kto tego dokonał, czy była to zemsta nie znanej mi ofiary, czy też zwykła rutyna usuwania obcych kapo i prominentów, ale jakakolwiek byłaby odpowiedź, widok powieszzonego podziałał na mnie jak stymulujący narkotyk. Zastryk zadowolenia był mi bardzo potrzebny, bo rozpoczynałem dzień szczególnie ponury. Wychodząc z latryny, wszedłem prosto w szarość świata. Zima nie poganiała brzasku. Chmury nad obozem filtrowały promienie skąpo oświecające obozową rzeczywistość. Słońce nie spieszyło się wyłowić z mroku powierzchni globu nowotworu naszej galaktyki. Gęsta mgła wspiwała się po drutach płotu, łaskotała od spodu podłogi wież wartowniczych. Między barakami rozpościerał się półprzejrysty całun. Bez skutku szukałem w nim jasnych łat. W ten szczególnie ponury dzień uzmysłowiłem sobie, że nie pogoda wpływa na stan ducha, ale stan ducha dyktuje mi sposób, w jaki patrzę na otaczające mnie barwy. Były szare, bo godzinę przedtem, gdy zerwano mnie ze śmierzącego betonu, doszedłem do wniosku, że osiągnąłem szczyt wyczerpania.

Przez warstwę chmur, czułem ich przygniatający ciężar, nie udało mi się dojrzeć jutra. Tak było do południa, do chwili, gdy głos kapo wywołującego mój numer wyrwał mnie z zapaści.

Nie pamiętałem własnego numeru. Dopiero po powtórnym wezwaniu, głos kapo był już wyraźnie podenerwowany, rozumiałem, że to ja. Torowałem sobie drogę między obojętnymi ludźmi. Minęła minuta nim stawilem się przed obliczem kapo. Najpierw wymierzył mi siarczasty policzek, w oczach zawirowały ciemne plamy, potem wrzasnął:

„Ile razy trzeba cię wołać?!“

Zaszokowany niespodzianym wydarzeniem, wybąkałem jak dziecko:

„Proszę o wybaczenie; myślałem...“

„Nie jesteś tutaj, aby myśleć.“

„Oczywiście, ma pan rację“, przytaknałem.

„Kapo zawsze ma rację“, powiedział. „Wbij to w swoją zawszoną głowę: kapo zawsze ma rację. Powtórz!“

„Kapo zawsze ma rację“, wyrecytowałem jak papuga, wbijając wzrok w ziemię.

„No, to brzmi trochę lepiej“, skonstatował i zmierzył moją nędżność spojrzeniem, w którym kryło się więcej pogardy niż gniewu. Potem dotknął pałką podbródka i podniósł mi głowę.

„Jak Boga kocham, powinni byli cię spalić. Nigdy nie zrozumie, po co im takie żywe trupy“.

Kapo przesunął pałką po wystających żebrach, uderzył w rękę podtrzymującą kalesony. Kalesony spadły, krótka koszula nie zakrywała łona. Bałem się oddychać, nie odważyłem się ruszyć powieką.

„Wiesz, przed kim stoisz?“

„Wiem. Przed kapo Franzem“.

Franz uśmiechnął się z zadowoleniem znakomitości, która po raz nie wiadomo który odkrywa swoją popularność. Nim uwięziono go w Mauthausen, wstąpił się w berlińskim świecie przestępczym jako specjalista od mokrej roboty. Zielony trójkąt kryminalistów nosił z dumą na lewej piersi starannie wyprasowanego pasiaka. Poznałem go natychmiast, bo był wszędzie, gdzie nas maltretowano. Podczas pierwszej nocy deptał po nas w baraku. Teraz oparł koniec pałki o moją grdykę. Jednym mocnym, wyszkolonym pchnięciem mógł ją złamać. Nikt nigdy nie zapytałby go, dlaczego.

Ostrożnie podniosłem wzrok, spojrzałem mu prosto w oczy. Funkcyjni z zielonymi trójkątami często byli jak drapieżne zwierzęta, chęć mordowania czaiła im się w oczach. Ale oczy kapo Franza, zdaje się, że były zielone, nie wyrażały niczego.

„Podnieś te śmierdzące gacie“, rozkazał.

Nie musiał powtarzać tego dwukrotnie. Szybkim jak unik ruchem wciągnąłem na siebie brudne kalesony. „Gdzie masz pasiaka?“

„Nie dostałem, *Herr Kapo*.“

„Dobrze. Chodź za mną“.

Wyszliśmy przez boczną furtkę, przez którą tak często wyrzucałem trupy, i skierowaliśmy się na główny plac apeli, do łaźni. Franz szepnął coś łaźniennemu i wyszedł. Dostałem kostkę mydła do prania, pierwsze mydło od wielu miesięcy, i szmatę zastępującą ręcznik. Mydło piekło jak kwas pruski, bo ciało wciąż jeszcze pokryte miałem bąblami po oparzeniu, ale ciepła woda z prysznicą zmywała brud i ból. Na ławce, w izbie przylegającej do łaźni, leżała czysta bielizna i pasiak.

„Wyglądasz jak nieboszczyk na urlopie“, parsknął śmiechem łaźnienny.

Milczałem.

„Zapomniałeś języka w gębie?“

„Nieboszczyki nie mają prawa głosu“. Łażniennemu spodobał się żart.

„A jak z apetytem szanownego nieboszczyka?“, spytał wesoło, wpychając mi w rękę blaszany talerz. „*Specialite de la maison*: zupa kremowa z kwaśnej kapusty“.

Zupa miała zapach zupy, zjawisko równie rzadkie jak litość. Wyłowiłem z niej kość z resztkami mięsa, potem odłożyłem łyżkę i wypilem zupę tak jak Uzbegy piją ich ulubioną *czorbę*, trzymając talerz za brzegi i chlapiąc głośno. Od dawna nie miałem takiej uczyty. Brzuch nadął się jak bania, byłem tak najedzony, a może żołądek był tak skurczony, że odstawiłem talerz z resztką kapuśniaku na dnie. Na zakończenie obozowy golibroda ostrzygł mnie maszynką na zero.

Żołnierz SS, który wszedł do łaźni jak na zawołanie, sprawdził numer na blaszanej bransolecie i poprowadził mnie na zewnętrzny dziedziniec, gdzie z zapuszczonym silnikiem czekała zielona półciężarówka.

„Właż“, mruknął i wspiął się za mną. Na podłodze siedziało już czterech więźniów, wszyscy polityczni. W szoferce obok kierowcy siedział jeszcze jeden wartownik. Na bramie strażę skrupulatnie zbadały dokumenty. Samochód wytoczył się z terenu obozu, wziął kurs na południe, przemknął obok gospodarstwa rolnego na skrzyżowaniu i zaczął zjeżdżać do miasteczka. Mury obozu oddalały się szybko. Odetchnąłem, gdy znikły całkowicie.

Plakat reklamowy papierosów juno wciąż jeszcze wisiał pod dachem peronu na stacji Mauthausen. Wprowadzono nas do nie ogrzanej poczekalni. Na ławkach siedziało kilku pasażerów otulonych płaszczami. Kierowca odstawił samochód i wszedł za nami.

„Kiedy przyjeżdża?“, rzucił, nie kierując pytania do nikogo z obecnych.

„Ma duże spóźnienie“, odparła kobieta. Z trudem można ją było zrozumieć, bo mówiła przez wełniany szal zasłaniający dolną część twarzy.

„Przed wojną to się nie mogło zdarzyć“, zauważył wartownik z naszej eskorty. Był znacznie starszy od swoich towarzyszy. „Przed wojną można było nastawiać zegarek według biegu pociągów“.

„Gadasz za dużo“, powiedział kierowca i włożył do ust niedopałek papierosa.

„I za głośno“, dodał drugi wartownik, ten, który siedział przedem w szoferce.

„Dawniej paliłeś juno“, odciął się starszy i wskazał na plakat. Kierowca zaciągnął się dymem, starł resztki pokruszonego tytoniu z warg, cisnął niedopałek do popielniczki i klepnął starszego kolegę po plecach:

„Z takim pyskiem skończysz tam, skąd wyjechaliśmy przed chwilą“. Kobieta z szalem na ustach roześmiała się głośno.

Było nas pięciu więźniów. Nie znałem ich imion i nie pamiętam ich twarzy. Natomiast nie zapomniałem żołnierza SS, tego starszego. Miał fizjonomię bawarskiego chłopca, surowe rysy i orli nos, krzaczaste brwi i trochę kanciasty podbródek, ale gdy zostaliśmy sami, to znaczy on i nasza piątka, okazał się być człowiekiem łagodnego charakteru. Nie było w nim pychy i opryskliwości, cech charakteryzujących członków obozowej załogi. Od lat leży w jakiejś przegródce mojej bazy danych, wspomnienie miłe, ale nieistotne, jak bielinek kapustnik z dziwną plamką na skrzydle, nadziany na szpilkę w zbiorze kolekcjonera motyli. Pociąg był w drodze nie więcej niż godzinę, a już wiedzieliśmy, że modli się, aby jego dom w Bad Wieseeostał się nalotom alianckich bombowców, że tęskni do żony i do wnuków, a przede wszystkim do końca tej parszywej wojny, w której stracił dwóch ukochanych synów.

Siedzieliśmy w przedziale trzeciej klasy, my na jednej ławce, a wartownik na drugiej. Pociąg włókł się, zatrzymując na każdej stacyjce. Sąsiednie przedziały były puste. Bez trudności mogliśmy go rozbroić i uciec, ale stary SS-man nie wyglądał na człowieka, który czuje się zagrożony, a nam nawet nie przemknęła taka myśl przez głowę. Chyba nie bez kozery opowiedział nam także o masowej ucieczce jeńców radzieckich, którzy przecięli druty podczas krótkiego spięcia w przewodach, zabili kilku wartowników i ze zdobytą bronią w rękę, opanowawszy wojskową ciężarówkę, popędzili ku czeskiej granicy. Setki żołnierzy SS i tysiące austriackich cywilów brało udział w nagonce, aż wyłapali uciekinierów do ostatniego i zastrzelili wszystkich jak psy. Opowiedział to bez dramatyzacji, spokojnym, nawet nieco znudzonym głosem człowieka zdającego relację z wydarzeń, w które nie był emocjonalnie zaangażowany. „Jaki z tego wniosek“, zakończył, „taki, że są ludzie wydający rozkazy i ludzie, którzy mają je wykonywać, i że bunt przeciw istniejącemu porządkowi rzeczy nie ma najmniejszego sensu“.

Gdy mówił, mieszając niemiecki z bawarską gwarą, bił mu z ust zapach piwa. Widocznie chlapanął sobie na drogę więcej niż kufel i stąd ta rozwiąźłość języka. Ale właśnie ten zapach piwa w oddechu czynił go ludzkim, a więc kimś, kto różnił się całkowicie od pozostałych członków załogi w Mauthausen. W panteonie siły SS nie rezerwowano honorowego miejsca dla ludzkich uczuć.

Miał chyba rację kierowca półciężarówki, gdy mu zarzucił, że gada za dużo, bo nasz wartownik, niewątpliwie naruszając obowiązek zachowania tajemnicy, zdradził nam, że wiezie nas do Wiednia, gdzie będziemy zatrudnieni w filii mauthausenowskiego obozu przy zakładach Saurera,

produkujących silniki czołgów. W przeszłości woził tam więźniów z Mauthausen, ale nigdy jeszcze pociągiem osobowym, zawsze w bydłych wagonach. „Mamy wyjątkowe szczęście“, stwierdził. Powiedział „mamy“, jak gdybyśmy byli jedną zgraną paczką. Nigdy przedtem nie spotkałem takiego SS-mana. Na przeciąg kilku godzin znikła przegroda dzieląca ciemionych od ciemięców.

Wartownik był typem gaduły potrzebującego słuchaczy. Byliśmy idealnymi słuchaczami, bo nikt z nas nie powiedział ani słowa. W gruncie rzeczy nie mógł nawet wiedzieć, czy znamy niemiecki. Ale nasze milczenie wcale mu nie przeszkadzało. I dla nas, i dla niego kilkugodzinna jazda pociągiem stanowiła krótkie zawieszenie broni w wyczerpującej kampanii zagłady.

Koła wagonów stukwały na łączach szyn, monotonnie mieszały się z gadaniną Niemca, działały usypiająco. Patrzyłem przez okno na uciekające do tyłu drzewa. Dunaj majestatycznie niósł niekształtne masy kry. Na przeciwległym brzegu ogołocone z Mści winnice wspinały się na zaśnieżone zbocza pagórków. Malownicze miasteczka przycupnęły nad rzeką, nawet teraz, w zimie, na balkonach domów kwitły kwiaty, stacyjki były czyste, nie było obozów, nie było komór gazowych, nie było wojny. Uderzał spokój mijanych widoków. Znad grzejnika pod oknem unosiło się łagodne ciepło, suszyło nos i usta, przenikało przez skórę, rozchodziło się po całym ciele falami przypiępającymi ósmą zmysł ostrożności. Twarz wartownika rozmazywała się, słowa traciły sens, przez chwilę miały tylko dźwięk, potem przestały istnieć. Pogrzeżyłem się w głębokim śnie, przykryty miękką, puchową kołdrą bez- » troski.

Obudziło mnie szarpnięcie wagonu i łomot hamulców. Za oknem widniała nazwa stacji: Wien Simering Ost.

Baraki zachowały jeszcze zapach trocin i świeżej farby. Wzniesiono je przed czterema miesiącami, aby pomieściły więźniów, którzy mieli uratować zakłady Saurera od zupełnego paraliżu. Obóz znajdował się na południowo-wschodnich peryferiach miasta, między dzielnicą robotniczą a fabryką odległą o pół godziny szybkiego marszu. Spędzono tu fachowców różnych nacji, najwięcej Francuzów, Polaków i Żydów. Do apelu stawało nas tysiąc dwustu. Funkcyjni i żołnierze SS traktowali nas znacznie lepiej niż w Mauthausen, bo takie przyszły rozkazy z Berlina. Czym mniej nas było, tym większą przedstawialiśmy wartość. Każdy miał pryczę dla siebie, siennik wypchany słomą i koc z prawdziwej wełny. Pracowaliśmy tylko w nocy. Wychodziliśmy z obozu o szóstej wieczorem, w zupełnym mroku, wracaliśmy w zupełnym mroku, po szóstej rano. Fabryka silników znajdowała się w rozbudowanych podziemiach budowli, która wydawała mi się opuszczonym zamczyskiem, niewidocznym dla pilotów alianckich bombowców. Dopiero po wejściu można było odkryć tajemnicę zamczyska. Z platformy na parterze zjeżdżaliśmy w dół, windą jak w kopalni. Na głębokości kilku pięter, w halach produkcyjnych, magazynach i biurach wrzała praca. Nie było schodów, windy pilnowała uzbrojona straż przemysłowa, nikt nie mógł wejść lub wyjść bez kontroli. Przez otwory w murach wpompo-wywano świeże powietrze. Podczas przerw w dostawie prądu, a były częste, panował trudny do zniesienia zaduch. Nauka Kurta Kolonki nie poszła w las, świetnie dawałem sobie radę przy obsłudze nowoczesnej tokarki. Noże z szybko tnącej stali szlifowałem nie tylko na własny użytek, ale także dla innych, mniej uzdolnionych więźniów. Majster zmiany, jedyny cywil pracujący z nami w nocy, często chwalił mnie za dobrą robotę. Inni cywile, robotnicy austriaccy, byli zatrudnieni wyłącznie na dziennej zmianie. Nie miałem z nimi żadnej styczności, ale wiedziałem, że ktoś oprócz mnie obsługuje maszynę, ponieważ noże pozostawione w szafce na narzędzia znajdowałem inaczej poukładane. Dwanaście godzin stałem na nogach bez przerwy, lecz nie skarżyłem się na los. Wręcz przeciwnie. Ostatnie miesiące zimy wydawały mi się lżejsze od poprzednich.

Więźniowie w celach więziennych mają zwyczaj oznaczania każdego minionego dnia rysą w ścianie. Kwestia mierzenia czasu, rzecz zrozumiała sama przez się dla wolnego człowieka, była problemem wspólnym dla wszystkich ludzi pozbawionych wolności. W naszym świecie, odgradzonym od wszystkich innych światów, nie mieliśmy żadnej możliwości sprawdzenia dnia lub godziny. Oderwanie od zegara i kalendarza wyrывało z rzeczywistości mocno osadzonej w konkretach i zawieszało w próżni. Izraelski pisarz podpisujący się pseudonimem K. Cetnik określił hitlerowskie gułagi mianem innej planety. Trudno o bardziej trafną definicję, chociażby z tego względu, że nasze poczucie czasu kierowało się zupełnie innymi miernikami od tych, które przyjęte bywają na kuli ziemskiej. Wielkim odkryciem była dla mnie gazeta zapomniana w szafce na narzędzia przez mojego dziennego zmiennika. Ze zdumieniem dowiedziałem się, iż cywilizacja oparta

na kalendarzu gregoriańskim odnotowała datę 28 lutego 1945 roku. Jeszcze bardziej od tego prostego na pozór faktu wzruszyły mnie dwie kromki chleba z margaryną i serem, leżące pod złożoną we czworo gazetą. Tylko Austriak pracujący na dziennej zmianie mógł je tam zostawić. Nie oparłem się pokusie, owinąłem chleb w gazetę, wepchnąłem go za pazuchę i poprosiłem majstra o pozwolenie pójścia „za potrzebą“. Zamknięty w fabrycznej wygodce pochłaniałem wspaniały łup, czytając ostatnie wiadomości. Tak to, siedząc na popękanej muszli klozetowej, dowiedziałem się, że walki toczą się już na ziemi niemieckiej. Polska była wolna. Myśli powędrowały na chwilę do Krakowa. Jaki los spotkał Gretę? Czy zdążyła uciec przed Armią Czerwoną, zabierając ze sobą kosztowności nadesłane przez brata, czy może zginęła przysypana gruzami zbombardowanego domu? Do diabła z Gretą! Co się stało z Fredkiem Mincem? Czy wytrwał w Oświęcimiu aż do wyzwolenia...? Do diabła z Fredkiem, trzeba było wychodzić. Gazetę podarłem na strzępy i spuściłem wodę, aby zmylić wartownika, który często zaglądał do ubikacji. Wróciłem do tokarki. Zapomniałem zamknąć drzwiczki do szafki z narzędziami. Karygodne zaniedbanie. Na szczęście nikt nie zauważył. Zmieniłem część przeznaczoną do obróbki. Zastanawiałem się, czy Austriak zostawił ten chleb dla mnie, nieznanego więźnia, czy może jutro zamelduje kradzież. Nikt nigdy mnie nie przesłuchiwał, i nigdy więcej nie znalazłem w schowku jedzenia.

8

Każdy z nas dostał bochenek komiśniaka, puszkę marmolady z buraków, blaszany talerz i zielony, wojskowy koc. Przedmioty rozdzielono wieczorem podczas apelu, kilka minut po powrocie z pracy. Kapo podzielili nas na grupy, dwustu więźniów w każdej, i zabronili rozejść się do baraków. Nie wiedzieliśmy, co nas czeka. Ktoś przyniósł pustą skrzynię i postawił ją naprzeciw wyprężonych na baczność szeregów. Oficer SS, jak się później okazało dowódca obozu, wstąpił na zaimprovizowaną trybunę i przemówił:

„Więźniowie! Nie porzucamy tych, którzy nam wiernie służą, z własnej woli lub pod przymusem. Bolszewicy korzystają z chwilowej i przemijającej przewagi, istnieje możliwość, że Wiedeń będzie ewakuowany. Nie pozostawimy was na łasce losu, nie pozwolimy, abyście wpadli w ręce barbarzyńców. Führer ceni wasz wkład w wysiłek wojenny Trzeciej Rzeszy. Za chwilę ruszamy w drogę. Ostatecznym celem jest miejsce, w którym będziecie kontynuować waszą pracę. Pomaszerujemy bocznymi drogami. Główne szosy potrzebne są siłom zbrojnym, walczącym z wrogiem zagrażającym Europie i jej wiekowej kulturze. Żywność, którą dostaliście, musi wystarczyć na pięć dni, bo przydrożne karczmy są zamknięte do odwołania (oficer zachichotał z własnego dowcipu). Podczas marszu należy utrzymać formacje kolumn. Oczekuję żelaznej dyscypliny. Każde jej naruszenie karane będzie śmiercią. Eskorta otrzymała rozkaz otwarcia ognia przy najmniejszej nawet próbie ucieczki. Mam nadzieję, że zrozumieliście mnie dobrze. Baczność! W prawo zwrot! Naprzód marsz!“

Brama była otwarta, wyszliśmy w wojskowym ordynku. Za bramą skręciliśmy w lewo, nie łamiąc rzędów, jak pułk na defiladzie. Maszerowałem w drugiej piątce drugiej kolumny. Przedem szła dwustu, za mną jeszcze tysiąc więźniów. Nie znałem nikogo. Szczerze mówiąc, oprócz Fredka Minca, Kurta Kolonko, no i Arpada Bacsiego nie nawiązałem bliższego kontaktu z nikim spośród dziesiątków tysięcy ludzi, którzy przewinęli się ze mną przez Oświęcim i Mauthausen. Także czterech mężczyzn kroczących w mojej piątce byli mi zupełnie obcy. Nie wiedziałem o nich nic, oni nie wiedzieli niczego o mnie. Wspólnota losu nie zawsze zbliża. Bliska znajomość wymaga wzajemnych kompromisów; tworzy wzajemne zobowiązania. Taka jest chyba przyczyna obcości. W wirze usiłującym wciągnąć nas na dno życia nie podawaliśmy sobie pomocnej ręki. Chleb przetrwania nie wystarczał dla wszystkich, nie było wśród nas Zbawiciela dzielącego bochenek dla setek głodnych, nie chcieliśmy dzielić się ostatnim okruczem.

Maszerowaliśmy przez robotniczą dzielnicę, między domami i blokami wyglądającymi jak koszary, przecięliśmy zagajnik, drzewa zaczęły wypuszczać listowie, chmara wystraszonych ptaków uniosła się z korony rozłożystego dębu, szliśmy wzdłuż muru cementarnego, mój sąsiad, widocznie wiedeńczyk, stwierdził, że znajdujemy się w rejonie Meidlingu. Kontynuowaliśmy marsz równoległe do torów prowadzących donikąd, bo szyny były wyrwane z progów, wyglądały jak płatanina

żelaznych węży. Na nasypie stały wagony towarowe rozbite podczas nalotu, kilku wyrostków próbujących ukraść deski uciekło w popłochu na widok zbliżających się SS-manów. Rozglądałem się z ciekawością. Tak, byliśmy w Wiedniu, ale nie był to Wiedeń mojego dzieciństwa. Tamto miasto, z wieżami katedry Świętego Stefana i bogatymi sklepami na Am Graben, istniało tylko w pamięci.

Nagle zawyły syreny. Alarm! Nieliczni przechodnie szukali schronienia w piwnicach. Konwojenci zdradzali niepokój. Padła komenda „biegiem marsz!“ Wzorowa formacja kolumn rozprysła się jak rozbite szkło. Z oddali nadchodził głuchy huk wybuchów. Popatrzyłem w niebo. Było czyste. Zdyszani dobiegliśmy do ciemnego otworu tunelu. Czym głębiej, tym mniej było światła. Dosyć. Można przystanąć. Oparłem się o wilgotną ścianę. Gdzie podzieli się żołnierze eskorty? Nie widziałem ich. Zapewne blokowali wyjścia z tunelu. Powietrze było stęchłe, przesiąknięte lekkim zapachem dymu. Złożyłem koc w czworo, położyłem go na ścieżce między torami a murem i usiadłem. Chleba i puszki z marmoladą nie wypuszczałem z ręki. Co będzie, jeśli zostanę tutaj, w ukryciu? Czy będą nas uczyć po odwołaniu alarmu? Czy zauważą brak jednego więźnia? Chyba nie. A nawet jeśli zauważą, czy zechcą tracić drogocenny czas na przeszukiwanie długiego i ciemnego tunelu? Obliczyłem, że zapasy żywności, przy oszczędnym racjonowaniu, wystarczą mi na tydzień. Ile dni będę musiał czekać na wyzwolenie? Chyba niewiele. Armia Czerwona napierała na Wiedeń. Nawet komendant obozu nie ukrywał prawdy. Próba ucieczki miała wszelkie szanse powodzenia. Zimny pot spływał mi po plecach. Nie mogłem podjąć decyzji. Nieproszone, wróciło traumatyczne przeżycie ze Starachowic. W pustce tunelu echem odbiły się słowa, którymi zwróciłem się do Fredka Minca po niechlubnym powrocie do obozu: „tylko nie praw mi morałów“. Przed oczyma stanęła postać chłopca przeganiającego mnie widłami, niemal fizycznie odczułem samotność bezradnego dziecka w lesie. Co będzie, jeśli Niemcy odeprą sowieckie natarcie? Głód wypędzi mnie z mrocznego ukrycia na światło dzienne wrogiego otoczenia. Każdy Austriak wyda w ręce Gestapo bezbronny chłopca w pasiaku, z ogoloną głową i wystraszonymi oczyma. Nie. Nie znalazłem w sobie dosyć energii, aby wystawić się na niebezpieczeństwo. Gdy kazano nam ruszyć w dalszą drogę, posłusznie zebrałem ekwipunek i stawiałem się u wyjścia. Nikt nas nie liczył, nie żądał utrzymania z góry ustalonego porządku. Przypadkowo znalazłem się w piątce otwierającej pierwszą kolumnę. Zrolowany koc przewiesiłem przez szyję, puszkę marmolady wetknąłem do kieszeni spodni, chleb trzymałem pod pachą, blaszana miska kołysała się przywiązana sznurkiem do guzika. Ruszyliśmy wąską uliczką, wpłynęliśmy masą na kwadratowy plac. Kilka kobiet z wiadrami stało tam w kolejce przed samochodem-cysterną. Jeden z więźniów wybiegł z szeregu i podsunął swoją blaszankę człowiekowi otwierającemu kurek cysterny w niemej prośbie o trochę wody do picia. Cywil zachnął się, nie słyszałem, co powiedział, i kopnął proszącego w brzuch. Miska potoczyła się po bruku. Więzień pobiegł, aby ją podnieść. Rozległ się pojedynczy strzał. Kobiety patrzyły obojętnie, jak padł. Gdy wychodziliśmy z placu, konał w rozpaczliwych drgawkach.

9

W maju roku dziewięćdziesiątego pierwszego wykorzystałem długi weekend, aby ruszyć z mojego warszawskiego hotelu w przeszłość. Służbowy samochód korporacji Maxwella służył mi za wehikuł czasu. Granicę czesko-austriacką przekroczyłem dokładnie tam, gdzie przekraczaliśmy ją z Robertem trzydzieści cztery lata temu. Celnicy po obu stronach byli uprzejmi, na zawsze zniknęły zasieki z drutu kolczastego, nie było rowów i pól minowych. Świat się zmienił. A ja?

Nie ma nic bardziej frustrującego od powtórnej wizyty w miejscach, których pierwotnego widoku strześliśmy w sercu, nie chcąc pogodzić się z faktem, że nawet najpiękniejszy kwiat, włożony między kartki zeszytu, wysycha, traci barwę i woń. Nie ma nic bardziej rozczarowującego od wiary, że możemy się swobodnie poruszać w wymiarze czasu i swobodnie docierać do rejonów minionych lat, aby ożywić zastygłe w pamięci uczucia.

Będąc w Polsce często gościłem znajomych przybywających z Izraela lub ze Stanów Zjednoczonych. Niemal zawsze prosili, abym im towarzyszył w wypadzie do miasteczek, w których się urodzili i wychowali. Ktoś kiedyś zażartował, że na starość „Żydzi żydzieją“; jest w tym powiedzeniu więcej niż żdźbło prawdy. W bagażu przywozili zawiniątko dawnych doznań, starannie przechowywane w skrzynce tęsknoty, nieraz przez dziesiątki lat. Nauczony własnym doświadczeniem

usiłowałem namówić ich, aby zrezygnowali ze swoich planów. Nigdy mi się to nie udało. Zrezygnowałem z przekonywania, gdy pojąłem, że przyjeżdżają z dalekiego świata nie tylko po to, by złożyć kwiaty na grobach bliskich, zobaczyć domy, w których mieszkali z rodzicami i zieleńce, na których bawili się z dziećmi sąsiadów, ale przede wszystkim, aby odnaleźć samych siebie. Dążenie do ożywienia zastygłych wspomnień było silniejsze od wszelkich logicznych argumentów. Błędnie wierzyli, że powrót do miejsca, w którym wyrosli, posłuży im jak oczyszczająca *mikwa*³⁶, umożliwiająca spłukanie nalotu lat. Nie znajdując tego, czego szukali, składali winę na miejscową ludność, która rzekomo zniszczyła to, co chowali w sercu najdroższego.

W gruncie rzeczy, mimo że był mi wiadomy wieczny zawód bliźnich, nie wysnułem właściwych wniosków w stosunku do siebie. Kilka dni przed wyjazdem odłożyłem na półkę książkę Syrena Kierkega-arda, filozofa romantyzmu europejskiego ubiegłego stulecia. Szczególnie przemówił do mnie ten ustęp w „Gospodarce przemiennej“, w którym pisał: „Elastyczność człowieka można mierzyć zdolnością zapomnienia. Temu, kto nie może zapomnieć, niewiele już pozostaje(...) Zapomnienie jest bowiem słuszną nazwą dla istotnej asymilacji, która sprowadza wszystko przeżyte do rezonansowego dna. Natura dlatego jest tak wielka, że zapomniała, iż była chaosem (...)”³⁷ Jeśli słuszną jest teza duńskiego myśliciela, to popełniłem gruby błąd, jadąc godzinami na mały plac w wiedeńskiej dzielnicy Meidling. Jaka siła przyciągania sprowadziła mnie w miejsce, gdzie parkowała kiedyś cysterna z wodą? Nie było jej od dawna. Pośrodku placu stał stragan z kwiatami. Kundel o wyszarzałej sierści wygrzewał się w słońcu, dokładnie tam, gdzie dogorywał zastrzelony więzień. Przechodnie byli dobrze ubrani, nad sklepami wisiały barwne szyldy, stare domy poddane zostały operacji plastycznej. Z przegródki w tablicy rozdzielczej samochodu wydobyłem aktualną mapę Austrii i pociągnąłem linię z Wiednia do St. Pölten, z St. Pölten do Melku, z Melku do Amstetten, z Amstetten do Steyr, a stamtąd na północ, prosto do Mauthausen. To była nasza droga krzyżowa w ostatnie dni przed zakończeniem wojny. Czy rzeczywiście wierzyłem, że potrafię ją zrekonstruować, siedząc za kierownicą luksusowego mercedesa?

Przez wiele lat „święciłem“ dzień wyzwolenia z obozu, jedząc cienką zupę z brukwi, taką jaką karmiono nas w Mauthausen. Jadłem ją po sutym śniadaniu i przed dobrą kolacją, więc nie odczuwałem głodu. Tak było teraz, gdy wyjechałem z miasta w kierunku na zachód. Wąska, asfaltowa szosa wiała się przez obce, dobrze utrzymane wioski, przecinała pola uprawne nie różniące się niczym od pól uprawnych w każdym innym kraju Europy. Nic nie przypominało tego, co widziałem w kwietniu czterdziestego piątego roku. Dlaczego nie zawróciłem, tak jak pewnego dnia, pojawiwszy absurd świętowania wolności zupą z karpielei, zaprzestałem głupiego zwyczaju? Zbędne pytanie, bo nie znam odpowiedzi.

Widoczność była świetna, od czasu do czasu przystawałem, aby zrobić zdjęcia. Fotografowanie jest moim hobby, lubię uwiecznić widoki i twarze, kształty i kolory, bo moje zdjęcia, w przeciwieństwie do wspomnień, nie zniekształcają rzeczywistości. Wśród fotografii z tej dziwnej podróży zachowała się twarz barmana nalewającego mi pienne piwo z beczki. Zajazd leżał na trasie. Zapytałem: może pan pamięta? Barman zawiesił na mnie zdziwione spojrzenie, aparat zatrzymał je na kliszy, i odparł: proszę pana, ja mam dopiero dwadzieścia dziewięć lat.

Zastanawiałem się, czy ludzie mają obowiązek grzebania w uczynkach poprzednich pokoleń. Zawsze wzburzał mnie fakt, że niektórzy antysemita nienawidzą mnie tylko dlatego, że przed dwoma tysiącami lat Judasz wydał Chrystusa. Co w takim razie oznacza pojęcie wspólnej odpowiedzialności historycznej? Czy mam prawo obarczyć nią młodego człowieka stojącego za barem przydrożnej knajpy, który nie interesuje się przeszłością, ale uprzejmiem nalewa piwo? Stałem przy ladzie, mężczyzna, któremu stuknęła szósty krzyżyk, odłożyłem aparat fotograficzny i łyknąłem z kufla. „Prawdziwe pilzneńskie“, podkreślił barman. Przytaknąłem. Piwo było smaczne, właściwie schłodzone, nie za ciepłe, nie za zimne. W moim dorosłym życiu zakosztowałem zarówno goryczy, jak słodkości, ale bilans był dodatni. Nie zaraziłem się nienawiścią do świata, chorobą atakującą wielu uratowanych z Holocaustu. Ani przez chwilę nie sądziłem, że roztrwoiłem moje dni na próżno. Jeśli miałbym je przeżyć od nowa, nie uciekałbym w inne życie. Byłem bity i biłem innych, dostałem nauczkę i dobrze zapamiętałem lekcję, umiałem korzystać z przyjemności dużych i małych, wszystkie były istotne. Przed wyjazdem z Wiednia zjadłem na śniadanie dwie kuche bułeczki z masłem i

³⁶ Religijnie nakazana oczyszczająca kąpiel, symbolizująca również oczyszczenie z grzechów.

³⁷ Tłumaczenie Jarosława Iwaszkiewicza.

miodem, popiłem kawą ze śmietanką, w wewnętrznej kieszeni marynarki leżał paszport z godłem Izraela, byłem wolnym obywatelem wolnego kraju. W drugiej kieszeni trzymałem nowy paszport nowej Rzeczypospolitej, aby nigdy nie zapomnieć, czym skorupka nasiąkła. Karty kredytowe dawały mi poczucie pewności, od dawna nie znałem braku pieniędzy, nie cierpiałem z powodu rozpiętości między oczekiwaniami a ich spełnieniem i nie marzyłem o rzeczach, których nie mogłem osiągnąć. W walizce wiozłem kilka starannie wyprasowanych koszul, włoski garnitur z dobrego materiału, cienka wełna przetykana jedwabiem, kilka modnych krawatów i przenośny komputer. Szulamit zbudowała mi dom, do którego chętnie wracałem. Nasze mieszkanie w centralnej, lecz spokojnej dzielnicy Tel-Awiwu pełne było pamiątek z rozlicznych podróży: drewniane bożki z Nowej Gwinei, wycinanki papierowe z Chin, kobierzec z Kaszmiru, ozdoby z Muzeum Złota w Bogocie, maski z Nepalu, srebrne wyroby z Meksyku, tkanina z Peru, wyroby ludowe z Kenii... Niemal cały świat zjechaliśmy razem samolotami, pociągami, samochodem, na statkach, nawet na grzbiecie indyjskich słoni. Ale w tej podróży pragnąłem być sam. Silnik mrucał jak kot wygrzewający się w słońcu, szosa była bez jednego wyboju, jazda była bezcelowa.

W najbliższy zakręt wszedłem z nadmierną prędkością, od pewnego czasu emocjonowałem się szybkością, czułem się dobrze, gdy wskaźnik przekraczał sto dwadzieścia kilometrów na godzinę. Za zakrętem nacisnąłem na pedał hamulca. Po prawej stronie drogi widniały zabudowania gospodarstwa wiejskiego przypominające fermę, w której zatrzymaliśmy się na nocleg podczas ostatniego marszu. Zawahałem się. Wysiadaj, Frister, przecież po to tu przyjechałeś! Czyżbyś się nagle przestraszył spotkania z przeszłością? Zjechałem na pobocze, zatrzymałem się, wysiadłem, zatrzasnąłem za sobą drzwiczki samochodu. To na pewno tutaj. Nie, wcale nie na pewno. Zapukałem. Otworzyła mi młoda chłopka.

„W czym mogę panu pomóc?“

Rozmowa nie miała sensu. Także ona urodziła się wiele lat po tamtych wydarzeniach. Przeprosilem. „Pomyłka“, powiedziałem. Wróciłem do samochodu. Włączyłem radio. Lokalna stacja nadawała prognozę pogody: jutro bez zmian.

10

Wieczór był chłodny, zmęczenie dało się dobrze we znaki, zagroda wydawała się być pięciogwiazdkowym hotelem. Pięciuset więźniów upchano w chlewach, oborze i stajniach, cała reszta, ja wśród nich, wspięła się po drabinach na strych. Wejścia do zabudowań gospodarczych zaryglowano lub zastawiono drewnianymi palami, żołnierze SS usunęli drabiny. Wolno było odpoczywać do rana. Wsunąłem się w kupę siewki jak kret w kretowisko. Zdjąłem buty. Z rozkoszą wydrapywałem brud spomiędzy palców. Wszystko, czego brakło do szczęścia, to balia z letnią wodą, w której mógłbym zamoczyć opuchnięte stopy.

Na próżno usiłowałem obliczyć, ile kilometrów mamy za sobą. Szliśmy bocznymi drogami przez wsie, których nazw nigdy nie słyszałem, przez miasteczka, których nie znałem. Jedno tylko było pewne: mijała czwarta noc. Bochenek chleba podzieliłem na cztery równe części, teraz kończyłem ostatnią.

Dnie były ciepłe, w marszu nawet gorące. Noce wiały ziąbem. Podobnie jak większość maszerujących, już drugiego dnia pozbyłem się koca. Cisnąłem go do rowu. W stanie wyczerpania nawet piórko wydawało się zbędnym balastem. Poprzednie noce spędziliśmy pod gołym niebem, na dziedzińcach opustoszałych szkół. Raz spaliśmy na boisku piłki nożnej. Chłód dokuczał, płaciliśmy cenę lekkomyślności. Schowany w siewce, czułem, jak pomału rozgrzewają mi się nogi. Po zapadnięciu zmroku dobiegły z dołu dźwięki włoskiej piosenki. Chór męski śpiewał „La palomę“, znałem ją, bo była ulubioną melodią mamy. Sentymentalne tango brzmiało dziwnie w tym miejscu i w tym czasie. Wygrzebałem się ze schowka i poczołgałem do otworu, przez który weszliśmy na poddasze. Widok przypominał dekorację z operetki. Wokół ogniska rozłożyła się kompania włoskich strzelców. Po „La palomie“ przyszła kolej na pieśni ludowe. W kotle nad ogniem warzyła się jakaś strawa. Karabiny stały z boku, ustawione w kozły, jak na obrazach Gierymskiego. Włosi wyglądali na rozweselonych, jakby zapomnieli, że toczy się wojna. Na podwórzu pojawiła się grupa SS-manów.

Pieśń urwała się w pół taktu. Niemcom najwyraźniej nie w smak była sielankowa atmosfera wieczoru. Włoski oficer w dziwnej czapce i pelerynie wstał od ognia i zaprosił przybyszów.

„Siadajcie z nami“, powiedział.

„Siedzieć z założonymi rękami i śpiewać, to jest wszystko, co umiecie“, huknął SS-man.

„Niech się pan nie zapomina. Jestem dowódcą pułku piechoty“, obruszył się Włoch.

„A ja myślałem, że tenorem w La Scali“, zakpił Niemiec.

„Mylisz się“, wtrącił drugi SS-man. „To jest zespół rozrywkowy marszałka Badoglio³⁸“.

„Wracamy z frontu, tak jak wy, nie widzę powodu do ranienia naszego honoru“, bronił się oficer. Jego pojednawczy ton odniósł odwrotny skutek. SS-mani atakowali teraz bez udanego humoru:

„O jakim honorze papie ten makaroniarz? O honorze zdrajców?“

„Walczyliśmy razem. Dlaczego mamy się spierać?“, spytał jeden ze strzelców łamaną niemczyzną i nie wstając z miejsca, dorzucił polano do ognia.

„Walczyliśmy razem“, przedrzeźniał SS-man. „Patrzcie na tych bohaterów! Słyszą pierdnięcie, a myślą, że to bomba. Widzą bolszewików i robią w portki. Z takimi sprzymierzeńcami wrogowie są zbędni“.

Siedzący wokół ogniska nie brali udziału w tej ostrej wymianie zdań. Nie zareagowali, gdy któryś z Niemców kopnął ich plecaki ustawione rzędem pod ścianą i nie protestowali, gdy SS-man pchnął ich dowódcę. Z pozornym spokojem nalewali gęstą zupę do menażek i jedli, nie podnosząc wzroku. Zapach wywaru z mięsa uderzył w nozdrza. Przed chwilą spałaszowałem ostatnią porcję chleba i znów byłem głodny. Do jasnej cholery, czy już nigdy w życiu nie najem się do syta? Wyobraziłem sobie smak potrawy, którą warzyli nad ogniem, niemal czułem, jak parzy mi podniebienie. Tylko ludzie głodni potrafią wyobrazić sobie smaki i zapachy jedzenia. Żarcie było ulubionym tematem rozmów w obozie. Ludzie wspominali ostatnią sztukę mięsa, którą jedli przed aresztowaniem, jakby była najcenniejszym eksponatem w muzeum sztuki kulinarnej. Zawsze stroniłem od takich rozmów, bo tylko rozdrażniały kiszki. Także teraz zapach włoskiej kolacji był nie do wytrzymania. Wróciłem do swojej kupy sieczki. Zasnąłem szybko.

W nocy nic mi się nie śniło, niczego nie słyszałem. Rano SS-mani przystawili drabiny i kazali nam zejść na apel. Trupy Włochów leżały pod ścianą chlewu. Młody żołnierz leżał na wznak, jedno oko wyskoczyło mu z oczodołu i wisiało na cienkiej, czerwonej żyłce, drugie patrzyło prosto w niebo. Widok zmasakrowanych zwłok naruszył poczucie estetyki jednego z Niemców; podszedł do nich i szpicem buta przewrócił plecami do góry. Karabiny strzelców wciąż jeszcze stały ustawione w kozły. Nie próbowali, a może nie chcieli się bronić.

Znów byliśmy na szosie.

Początkowo ból umiejscowił się w barkach, potem wędrował w dół wzdłuż kręgosłupa, aby na wysokości bioder spotkać ból wspinający się po nogach od spuchniętych stóp. Stamtąd podstępnie atakował każdy mięsień i każde ścięgno. Piszę „podstępnie“, bo pojawiał się bez uprzedzenia, raz w potylicy, raz w karku, raz w kości ogonowej. Pod czaszką, tam, gdzie chyba mieści się mózg, narastało dręczące ciśnienie. Równocześnie niewidzialne obręcze coraz silniej ścisnęły głowę, chwilami tak mocno, że traciłem zdolność widzenia. Ale skutek był odwrotny, bo właśnie ten potworny ucisk zmuszał mnie do utrzymania przytomności umysłu.

Mimo wysiłku konwojentów pomieszały się szyki, ostatnie rzędy maszerujących odłączały się od głównej kolumny i zostawały z tyłu. Rozbici zmęczeniem przysiady wali na poboczach, myśleli, że tylko na chwilę, aż zbiorą siły do dalszego marszu, ale bardzo rzadko udawało im się wstać. Nawet uderzenia kolb i sążniste kopniaki nie mogły ich już poderwać. Niemcy nie zadawali sobie zbytniego trudu, aby utrzymać dyscyplinę, o której mówił komendant obozu. Los „maruderów“ i tak przesądzony był z góry. Niektórzy, zamiast usiąść, zwalniali tempo, przepuszczali kilka maszerujących piątek, w nadziei, że za chwilę uda im się dołączyć. Na ogół były to nadzieje płonne. Nim się obejrzel, byli już w ogonie kolumny. Czym dalej wstecz, tym bliżej byli końca. Kto przepuścił ostatni rząd, nie miał już drogi powrotu. Kilkanaście metrów za ostatnią piątką jechała ciężarówka marki opel-blitz pokryta zielonobrazowym brezentem. Pod plandeką, łufą skierowany do

³⁸ Pietro Badoglio, generał, który przejął władzę po upadku Mussoliniego i zawarł separatystyczny rozejm z aliantami. Jednostki armii włoskiej na froncie wschodnim kontynuowały działania wojenne pod dowództwem niemieckim.

tyłu, ukryty był karabin maszynowy. Rozkaz był wyraźny: nie zostawia się żywych więźniów na drodze. Oficer osobiście sprawdzał dokładne wykonanie instrukcji: rannych dobijał strzałem z pistoletu.

Potrzeba jest matką wynalazków. Wynajdywałem przedziwne sposoby, aby oszukać ból, wyprowadzić w pole zmęczenie, omamić los. Najistotniejsze było sprowadzenie myśli na boczny tor. Zajęcie szarych komórek czymś, co nie miało żadnego związku z tym, co się dzieje naprawdę. Podobnie jak wówczas, gdy stałem między drutami w Świętochłowicach, wywoływałem duchy dzieciństwa. Cytowałem zwrotkę z wiersza Heinego, kawałek „Paiia Tadeusza“, „lokomotywę“ Tuwima, próbowałem nucić „O mój rozmarynie“. Skończywszy z literaturą, przeszedłem do rachunków: liczyłem słupy telegraficzne. Mówiłem sobie: teraz muszę dotrzeć do trzeciego słupa; gdy minąłem trzeci, mówiłem: teraz do czwartego; do piątego; do szóstego. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, co robię, reakcje były podświadome. Dzisiaj rozumiem, że przerażony perspektywą nie kończącej się drogi w nieznaną stawiałem sobie bliskie, osiągalne cele. Nie wiedząc jak i kiedy, dołączyłem do czołówki, do najsilniejszych, i tak już zostało aż do ostatniego dnia marszu.

Konwojenci szli pieszo po obu stronach kolumny. Było ich około pięćdziesięciu. Pistolety maszynowe mieli niedbale przewieszane przez ramię; ta ledwo dostrzegalna niedbałość stanowiła jedyny znak, że także są zmęczeni, że zapomnieli ten jeden z paragrafów regulaminu dyscypliny. Mimo że Armia Czerwona siedziała im na karku, odnosili się do nas, jakby Wehrmacht wciąż jeszcze stał pod Moskwą. Czasami zastanawiam się, w jakiej mierze zdawali sobie sprawę z nieuchronnej klęski. Czy widzieli ruiny tysiącletniej Rzeszy obiecanej przez Hitlera, czy też dziesięcioletnia indoktrynacja nazistowska odebrała im zdolność rzeczowej oceny sytuacji?

W ów krytyczny kwiecień roku czterdziestego piątego Niemcy pędzili dziesiątki tysięcy więźniów obozów koncentracyjnych z terenów przyfrontowych do ostatnich małych enklaw nie zdobytych jeszcze przez aliantów. Były to ostatnie podrygi świata rządzonego przez fanatycznych szaleńców, pragnących wciągnąć nas we wspólną przepaść. Literatura Holocaustu określiła tę ostatnią operację SS mianem „marszów śmierci“. Nie znam statystyki tej operacji i nie wiem, kto nią kierował. W berlińskim bunkrze naczelnego dowództwa wszystko podlegało zmiennym nastrojom Hitlera, który wysyłał na pola bitwy dywizje istniejące tylko w jego wyobraźni, i który, być może, kazał prowadzić nas do zakładów zbrojeniowych od dawna zamienionych w hałdy gruzów. Nikt nie miał odwagi rzucić mu prawdy w oczy.

Ósmego dnia dotarliśmy do miasta Steyr nad rzeką Enns. Prowadzono nas głównymi ulicami. Na domach rozlepione były plakaty „Zdechła Wielka Świnia“. Z afiszy spoglądała na nas twarz prezydenta Stanów Zjednoczonych Franklina Roosevelta. Dopiero po wojnie ustaliłem, że umarł 12 kwietnia. Z literatury dokumentalnej dowiedziałem się, że w dniu jego śmierci minister propagandy Goebbels złożył Hitlerowi przez telefon gratulacje: „*JAein Führer*, przyjm moje serdeczne życzenia, Roosevelt umarł. Zapisane jest w gwiazdach, że druga połowa miesiąca będzie dla nas punktem zwrotnym“. Goebbels powoływał się na horoskop zamówiony przez szefa kancelarii kanclerza, Martina Bormana. Hitler chętnie uwierzył, że historia się powtarza: podczas wojny siedmioletniej, gdy cesarz Fryderyk Wielki znalazł się w krytycznej sytuacji, niespodziewanie zmarła caryca Elżbieta i dzięki temu Prusy uratowały się od hańbiącej klęski.

Zeznając na procesie norymberskim, Albert Speer powiedział, że „...od stycznia aż do końca wojny możliwe było podejmowanie rozsądnych decyzji stojących w sprzeczności z obowiązującą polityką władz. (...) Wspólnym wysiłkiem mogliśmy jej przeciwdziałać i udaremniać zwariowane rozkazy Hitlera“.

Oficer decydujący o naszym losie myślał inaczej.

Gdy skończyły się przydziałowe ćwiartki chleba, pozwalano nam na krótkie postoje, abyśmy mogli nazrywać trochę chwastów. Jeśli mieliśmy wyjątkowe szczęście, znajdowaliśmy niedojrzałe kłosa owsa, zuliśmy liście pokrzywy przetarte w dłoniach na miazgę, ssaliśmy słodką ciecz z łodyg kwiatów, których nazwy nie znałem. Gdy żołnierzom konwoju wyczerpał się zapas żelaznych racji, znaleźli lepszy sposób na rozwiązanie problemu. Po tym, jak zakwaterowywali nas na noc w stodołach, oborach i stajniach, plądrowali okoliczne wsie, rekwirując wszystko, co było jadalne. Chłopi austriaccy nie wykazywali zbyt dużego zrozumienia „dla potrzeb armii“. Ich patriotyzm, tak głośno manifestowany do dnia *Anschlussu*, nie znajdował wyrazu w chęci karmienia zgłodniałych SS-manów. Worki zboża lub mąki ukrywali w piwnicach, bydło i konie pędzili na odległe pastwiska lub

w las. Czasami skłonni byli sprzedać coś z tych skarbów, ale tylko za twardą walutę, najchętniej za złoto. Tak to narodziła się przedziwna propozycja dowódcy konwoju, *Obersturmführera* Kitske.

„Te przekłete bękarty“, powiedział, mając na myśli właścicieli gospodarstwa, w którym stanęliśmy na nocleg, „ci obskurni chciwcy, których należało powiesić nim się urodzili, mają ukrytego w lesie prosiaka. Przekłete bękarty chcą za niego obcą walutę i już tylko za to przestępstwo chętnie powiesiłbym ich na ulicznej latarni. Brak zaufania do marki wyraża brak zaufania do ojczyzny. Ale w tej zasranej dziurze nie ma ulic i nie ma latarni, a poza tym, bądźmy logiczni, co nam to da? Pójdą na śmierć, a nie oddadzą żywego prosiaka. Was także znam na wylot, najchętniej powiesiłbym wszystkich na słupach telegraficznych, aby mieć czas na to, co najbardziej istotne, na walkę z bolszewikami, ale rozkaz jest rozkazem, nawet jeśli nie pojmuję jego sensu. Kazano mi doprowadzić was do Mauthausen i zrobię to, nawet jeśli będę musiał stąpać po trupach“.

Oficer połknął powietrze jak ryba wyjęta z wody. Widać było, że nie ćwiczone go w sztuce retoryki. Nie umiał przemawiać, a już na pewno nie wiedział, jak przemawiać w tak delikatnej sprawie do ludzi, których wolałby wieszać. Za jego plecami stało dwóch żołnierzy, lufy pistoletów maszynowych trzymali wymierzone prosto w nas, jakby pragnęli podkreślić, że bez względu na to, co powie dowódca, nie zaszła żadna zmiana w naszym statusie.

„Powiedziałem, że znam was jak własne pięć palców - i wiem, co mówię. Zawsze udawało wam się wyprowadzić nas w pole, ukryć kawałek złota czy brylant w dupie, w uchu, w nosie albo cholera wie gdzie jeszcze. Teraz potrzebne mi są dwie złote monety, najchętniej talary Marii Teresy, bo tego najbardziej łakną te chciwe bękarty. Kupimy tego przekłętego prosiaka, potem zastrzelimy chłopów, ugotujemy świnie, moi ludzie dostaną mięso, wywar i kości będą dla was. Ilu was zostało? Nie więcej jak pięćset pustych żołądków. Wody nie brak, zupy starczy dla wszystkich. Nie miejcie żadnych złudzeń, druga taka okazja już się nie nadarzy. To jest uczciwa propozycja, za jej sumienne dotrzymanie ręczę słowem honoru oficera SS“.

Obersturmführer Kitske dał nam dziesięć minut do namysłu i wyszedł. Dwaj żołnierze zamknęli za nim wrota do magazynu, w którym mieliśmy spędzić noc. W pomieszczeniu zapanowała cisza. Słyszałem zgrzyt rygla i oddalające się kroki. Stojący obok mnie Francuz, w obozie nazywano go „Petit“, bo miał wszystkiego razem metr sześćdziesiąt wzrostu, złapał mnie za ramię:

„Co o tym myślisz?“, zapytał łamaną niemiecką.

Nigdy przedtem nie zamieniliśmy słowa. Dlaczego przyczepił się akurat do mnie?

„Od dawna przestałem myśleć“, odburknąłem niechętnie.

„Dasz im?“,

„Rzeczywistość zwalnia mnie od dylematu; nie mam złotych dukatów“.

„Wierzysz im? Wierzysz, że dadzą nam jeść?“,

„Wierzysz w Boga?“, odparłem pytaniem na pytanie. Grete powiedziała kiedyś, że tak odpowiadają Żydzi. „Wierzę“.

„To zwróć się do niego; on wie wszystko“.

„Jestem głodny. Bez żarcia nie wytrzymam do końca“, zaskomlał.

„A inni?“, mruknąłem. „Myślisz, że inni wytrzymają?“,

„Nie obchodzą mnie inni“, rozeźlił się Petit. „Ja muszę wrócić do domu, rozumiesz? Muszę wrócić. Zareczyłem się tydzień przed aresztowaniem“.

„Wszystkiego najlepszego i przestań głądzić“.

„Wiem, że Nicole nie jest święta. Taka się urodziła, z pieprzem między nogami. Pogodziłem się z myślą, że jak mnie nie ma, łapie czasami jakiś numer z boku. Co robić, *c'est la vie*. Co daleko od oczu, daleko od serca. Ale jak nie wrócę, to wyjdzie za Rogera, a z tym to już nie mogę się pogodzić. Roger to prawdziwa kanalia. To... Ech, co ty możesz wiedzieć o Rogerze...“

„Daj mi święty spokój, Petit“.

„Znasz mnie?“, ucieszył się.

„Pracowałeś w hali numer dwa“.

„Tak; jestem mistrzem tokarskim. Kochankiem też jestem nie najgorszym. Zapytaj Nicole, ona ci powie. Po tym jak spaliśmy z sobą po raz pierwszy, dała mi jednego *sou* na pamiątkę. To nie był zwykły grosz, ale taki wybity w złocie. «Strzeż go jak oka w głowie, to będzie nasz talizman, Maurice», powiedziała. Nikt nie nazywał mnie wtedy Petit. Trzy lata noszę z sobą ten grosik. Jesteś starym więźniem, wiesz, że to nie było łatwe. Ale przyniosło mi szczęście, bo żyję. Jak sądzisz, dać im?“,

W ciągu dziesięciu minut zdarzyło się coś, co uważałem za niemożliwe: jeden z więźniów zebrał do czapki kilka złotych monet. Leżał tam także mały, okrągły *sou*. Tylko oni sami wiedzieli, w jaki sposób przenieśli te monety przez dziesiątki nagłych rewizji, jakich podstępów użyli, aby je ukryć przed funkcyjnymi.

W nocy, zamknięci w dusznym magazynie, słyszeliśmy pisk zarzynanego prosiaka. Rano, jeszcze przed apelem, poprowadzono nas do stajni. Kamienne żłoby wypełnione były brązową ciecżą. Aromat mięsnego wywaru podziałał jak narkotyk. Więźniowie rzucili się ławą do przodu, popychali się nawzajem, walczyli o miejsce przy żłobie; obudziły się wszystkie najbardziej prymitywne instynkty stworzeń walczących o strawę. W tłoku zupa wylewała się z blaszanych misek. Ktoś wpadł do koryta, wyłowiono go w mgnieniu oka, leżał w pasiaku przesiąkniętym zupą, skopany i bezsilny wobec okrucieństwa współwięźniów. Zachowywałem się jak wszyscy inni, nie był to właściwy moment dla demonstrowania dobrych obyczajów. SS-mani stali na uboczu, patrzyli na nas tak, jak zapewne starożytni Rzymianie oglądali walki gladiatorów i dopiero gdy zjedzona została ostatnia kropla wieprzowego wywaru, ustawili nas do rutynowego liczenia głów.

W przemówieniu zdradził nam oficer, celowo lub przypadkiem, że maszerujemy do obozu koncentracyjnego w Mauthausen. Dotychczas łudziliśmy się, że istnieją jeszcze zakłady przemysłowe czekające na siłę roboczą. W Mauthausen jedynym dużym miejscem pracy były kamieniołomy. Tysiące ludzi zostało zamęczonych na śmierć podczas dźwigania kamieni, ale nawet jeśli istniał promyk nadziei na przeżycie, wątpliwe było, czy nadal wydobywano tam granit. Nawet my, odcięci od wszelkich źródeł informacji, zdawaliśmy sobie sprawę, że nikt nie buduje już monumentalnej stolicy tysiącletniej Rzeszy. Zastanawiałem się, w jakim celu prowadzą nas gdzieś, gdzie nie przyniesiemy Niemcom żadnej korzyści? Odrzucałem myśl, że kroczymy naprzeciw śmierci, bo przecież, gdyby chcieli nas zgładzić, mogli to uczynić na miejscu.

Z każdym dniem zmniejszała się liczba maszerujących. Podczas porannych apeli, dokonywanych z taką samą skrupulatnością jak w obozach, dyżurny podoficer spisywał pokaźny *Abgang*, określenie będące synonimem zabijania. Kilkaset trupów znaczyło przebyty szlak przymusowej ewakuacji, kamienie milowe „marszu śmierci“. Pytaniem było, ilu z nas padnie nim dojdziemy do Mauthausen? Nie miałem pojęcia, gdzie jesteśmy i ile dni marszu mamy przed sobą. Nie znałem okolicy, nie miałem mapy, nie było kogo zapytać. Osobista wytrzymałość każdego z nas była jedynym miernikiem szansy przetrwania. Czy będę miał dosyć siły, aby maszerować także jutro? A pojutrze? A popojutrze? Za tydzień? Nie była to tylko kwestia ogólnego osłabienia. Podeszwy stóp stwardniały na kamień, a rany postrzałowe na lewej łydce zamieniły się w ropiejące liszaje i nie chciały goić. Kulałem. Kurz mieszał się z ropą ciekącą z otwartych strupów i oklejał nogi cuchnącą mazią. Bałem się gangreny. Początkowo wycierałem tę żółtą maź liśćmi przydrożnych chwastów, ale wnet przestałem, bo był to syzyfowy trud, ciało stało się nieustającym producentem obrzydliwej wydzieliny, nie było sposobu, aby ją zmyć. Nowe rany otworzyły się na brzuchu, na piersiach i na twarzy, ropa ciekła z nich bezustannie, wydawało się, że tryska wszystkimi porami, że cahy jestem nią wypełniony. Koszula nasiąkała smrodliwą ciecżą i stwardniała, przylepiona do skóry.

Żołądek bez trudu strawił wywar, o który walczyłem do ostatniej kropli potu. Może dlatego, że nie wywalczyłem więcej niż pół miski. Nie wszyscy reagowali tak samo. Nasz system trawienia zapomniał już, jak poradzić sobie z tłuszczem. Większość cierpiała na rozwolnienie. Petit, który był znacznie zręczniejszy ode mnie i za inwestycję jednego *sou* zdobył dwie miski smacznego wywaru, skręcał się z bólu. Podczas krótkiego przystanku, co dwie godziny zatrzymywaliśmy się na kwadrans, bo także SS-mani potrzebowali trochę odpoczynku, widziałem go rozwiązującego sznur spodni w biegu do przydrożnego rowu. Usiadłem na białym kamieniu milowym. „68 km“ napisano na nim. Nie wiedziałem, skąd i dokąd. Siedziałem, obojętnie obserwując małego Francuza. Również żołnierz z resztką papierosa w ustach patrzył na niego. Petit, czort wie, co mu wpadło do głowy, może przestraszył się wzroku SS-mana, złapał wpół osunięte spodnie i zaczął się wdrapywać na zbocze gęsto zarośnięte leszczyną. Nagle spodnie opadły, Petit zaplątał się, jego nagi tyłek wyglądał tak śmiesznie, że musiałem się uśmiechnąć. Także Niemiec uśmiechnął się, potem strącił mnie z kamienia lekkim kopnięciem, położył na nim żarzący się niedopałek, przerzucił pistolet maszynowy z ramienia w ręce, przyłożył oko do celownika, mierzył długo, aż nacisnął spust. Seria była krótka. Żołnierz odłożył broń, sięgnął po papierosa i zaciągnął się obojętnie. *Adieu*, Petit, bądź szczęśliwa, Nicole, teraz nic nie stoi na przeszkodzie abyś wyszła za Rogera.

„*Herr Sturmbannführer, Obersturmführer* Kitske melduje przybycie grupy roboczej Saurer Werke z Wiednia. Stan liczbowy: tysiąc dziesięciu więźniów. Straty po drodze: sześćset osiemdziesięciu ośmiu. Do przekazania: trzystu dwudziestu dwóch“.

Staliśmy przed zamkniętą bramą Mauthausen. Oficer SS, który wyszedł nam naprzeciw, rozłożył bezradnie ramiona.

„Przykro mi, ale obóz nie przyjmuje nowych więźniów“.

„Mam rozkaz na piśmie, *Herr Sturmbannführer*“, oznajmił nasz SS-man i podał majorowi kopertę wypchaną dokumentami. Miejscowy oficer rzucił okiem na papiery i oddał je Kitskemu.

„Sytuacja jest rzeczywiście patowa, ale nic nie poradzę; obóz jest pełny, nie mamy miejsca nawet dla jednego dodatkowego więźnia“.

„To nie moja sprawa. Rozkazano mi ich doprowadzić, spełniłem rozkaz. Od tej chwili wy jesteście odpowiedzialni za więźniów“.

„Nie przyjmuję tej odpowiedzialności. Ja także mam rozkazy. Niestety, są one całkowicie sprzeczne z pańskimi“.

„Więc co mam z nimi zrobić?“ *Obersturmführer* Kitske był naprawdę skonfundowany.

„Jeśli chodzi o mnie, może ich pan popędzić z powrotem do Wiednia“.

„Przecież Wiedeń... Nie, to jest bezsensowne.“

„Trudno. Obowiązują mnie rozkazy.“

„Mnie także“.

„Zbędnie pan się powtarza, *Herr Obersturmführer*. Bramy są zamknięte“.

„Więc proszę je otworzyć“.

„Nie słyszał pan? Obóz jest pełny. Szkoda pańskich wysiłków“.

„Pan mówi o wysiłkach? Czy ma pan pojęcie, ile wysiłku kosztowało doprowadzenie tych obskurnych bękartów aż do tego miejsca? Niemal dwa tygodnie byliśmy w drodze“.

„Stracone dwa tygodnie“, skwitował sucho major.

„Złożę skargę do Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy“, zagroził dowódca konwoju. Groźba wydawała się rozbawić majora.

„Do kogo, proszę?“

„Do...“, bąknął dowódca konwoju i zamilkł.

„Widzę, że pan zaczyna rozumieć sytuację“.

„Tak. Ale wciąż jeszcze nie rozumiem pańskiego stanowiska“.

„Czy chce pan szczegółowych wyjaśnień? Proszę bardzo. Sprzeciwiam się przyjęciu tych chodzących trupów, ponieważ nie mamy miejsca w barakach, nie mamy ludzi, żeby ich pilnowali gdzie indziej i nie mamy żywności, żeby ich nakarmić. Zadowolony?“

„Nie“.

„Co za upór“.

„Pod tym względem jesteśmy sobie równi“.

Obaj parsknęli głośnym śmiechem. Pryśła atmosfera napięcia. Patrzyłem na nich w niemym zdumieniu. Kitske znów sięgnął po kopertę, wydobyl złożoną kartkę i podał ją majorowi.

„Nie warto się spierać. Każdy z nas ma dosyć kłopotów także bez sporów. Wszystko, czego potrzebuję, to pańskiego podpisu na potwierdzeniu odbioru trzystu dwudziestu dwóch więźniów. Co pan z nimi zrobi potem, to już naprawdę nie moja sprawa“.

„Obawiam się, że znów pana rozczaruję. Brak nam nie tylko żywności; również gaz jest na wyczerpaniu. Widzę, że macie na ciężarówce karabin maszynowy. Dlaczego nie rozwiązanie problemu we własnym zakresie? Tylko proszę nie zostawiać trupów przed bramą. Nie ma nikogo, kto by je sprzątnął“.

Rozumiałem każde słowo.

Do wszystkich diabłów, czy po to zmuszali mnie rodzice do nauki gramatyki i składni, czy po to strofowali mnie, gdy mówiłem z niedostatecznie germańskim akcentem? Godzinami ślęczałem nad niemiecką poezją klasyczną, bez której, twierdziła matka, nigdy nie wyrosnę na kulturalnego

człowieka, czytałem „Dziela wybrane“ Heinego i kułem na pamięć rozmowę Mefistofelesa z aniołami w pierwszym akcie „Fausta“ Goethego, aby ją deklamować bez zajknięcia przed gośćmi:

*Die Sonne tönt nach alter Weise
In Brudersphären Wettgesang
Und ihre vorgeschriebene Reise
Vollendet sie mit Donnergang.*

Goście przyjmowali mój występ oklaskami i szybko sięgali po kieliszek *digestivu* na lepsze trawienie. Znienawidzony spektakl powtarzał się co tydzień jak zdarta płyta, zmieniali się tylko uprzejmi słuchacze.

Gdy mama chciała się pochwalić moją wiedzą, zagadywała mnie o przedstawienie wystawiane w teatrze miejskim w Bielsku (oczywiście po niemiecku) lub pytała o treść ostatnio wydanej książki. Przymuszczałnie trwałoby to aż do wybuchu wojny, gdybym nie stracił cierpliwości i nie położył kresu niedzielnym występom. Pewnego wieczoru, gdy z dumą opowiadała o więzi intelektualnej łączącej nas mimo różnicy wieku, a także o tym, że znajduję u niej odpowiedź na wszelkie dręczące mnie pytania, złożyłem usta w serduszko, przybrałem pozę najniewinniejszego w świecie dziecka i powiedziałem:

„Niedawno słyszałem na szkolnym podwórzu słowo, którego znaczenia nie znam“.

„Mama ci wyjaśni“, rzekła pogodnie. „Jakie to słowo?“

„Chuj, mamusiu“.

Jak każdy mądry po szkodzie, szybko pożałowałem pochopnego uczynku. Zabroniono mi siedzenia przy stole z gośćmi. Dopiero zamknięty w swoim pokoju doszedłem do wniosku, że, wbrew ciągłym narzekaniom, w gruncie rzeczy deklamacje i rozmowy z dorosłymi sprawiały mi przyjemność, dodawały poczucia własnej wartości.

Ojciec lubił emocje procesów kryminalnych, lecz główny dochód przynosiły mu sprawy cywilne. Mówiono, że jest mistrzem formułowania umów handlowych, i że nie ma mu równego w rozplątywaniu skomplikowanych zawiłań sądowych. Banki i firmy tekstylne stanowiły najlepszą klientelę. Znajac wagę odpowiednich stosunków towarzyskich, rodzice zapraszali większość miejscowych osobistości: bankierów i baronów przemysłu włókienniczego, dyrektorów instytucji finansowych i sędziów, naczelników wydziałów w starostwie i wziętych lekarzy, a także specjalnych gości służących do ozdoby salonu. Matka komponowała listę zaproszonych z doświadczeniem zawodowej kwiaciarki układającej kosztowny bukiet: lokalny polityk obok przemysłowca, artysta-malarz przy zamożnym właścicielu młynów snobizującym się na kolekcjonera sztuki, pułkownik rezerwy po lewej ręce pani sędziny, finansista z Katowic, który wpadł do Bielska na koniec tygodnia, w sąsiedztwie dyrektora banku. Tylko Emil Zegadłowicz wyrastał w matczynej szklarni niczym kolczasty chwast. Ku jej wiecznemu zgorszeniu, pan Zegadłowicz odwiedzał nas w każdy niedzielny wieczór i, co gorsza, zasiadał na honorowym miejscu, po prawicy ojca. Mama nie cierpiała go, bo był lewicującym liberałem, biorącym udział w zjazdach i kongresach twórców zwanych „postępowymi“ i na domiar złego pisał książki tak przepojone erotyką, że żaden szanujący się mieszczanin nie trzymał ich w domu. Jego „Zmory“ i „Motory“ stały w szafie biblioteczej głęboko schowane za wielotomową encyklopedią Brockhousa. Ojciec wspierał go stałą miesięczną zapomogą, bo obaj urodzili się tego samego roku - osiemset osiemdziesiątego ósmego - uczęszczali do tego samego gimnazjum w Wadowicach i byli całkowicie jednomyślni w ocenie niebezpieczeństwa faszyzmu. W oczach matki wszystko to nie miało znaczenia; jeśli było coś, co mimo wszystko przemawiało na korzyść *tej osoby*, to jedynie fakt, że Emil Zegadłowicz przełożył „Fausta“ z niemieckiego na polski.

Przy niedzielnym stole wolno było mówić o wszystkim, byle nie o interesach. Matka ustanowiła takie niepisane prawo, bo marzył jej się salon na wzór paryskiego domu Gertrudy Stein. Ale Bielsko nie było Paryżem, a mama nie była panią Stein. Siłą rzeczy rozmowy toczyły się wokół spraw aktualnych. Hitlerowskie Niemcy stanowiły epicentrum wydarzeń bulwersujących Europę, Hitler anektował Austrię i Sudety, wraz z jedzeniem wzrastał apetyt, więc pragnął połknąć także korytarz gdański, ale wszystkie te dramatyczne wydarzenia nie osłabiły ani na jotę szacunku, jakim darzono u nas kulturę niemiecką. Rodzice, a szczególnie matka, karmili mnie od dzieciństwa przekonaniem, że nie ma niczego wyższego od cywilizacji narodów mówiących po niemiecku. Piłem ten szalejący bezkrytycznie. Po kilku latach, przysłuchując się głośnej rozmowie dwóch oficerów SS szukających

sposobu pozbycia się trzystu skonanych z wycieńczenia zawalidrogów, uświadomiłem sobie, jaśniej niż kiedykolwiek przedtem, że kultura nie chroni przed upadkiem moralnym, i że naród, który wydał z siebie twórców i myślicieli światowej sławy, równie dobrze może wyprodukować najpotworniejszych w świecie morderców.

Pojawienie się trzeciego, starszego stopniem oficera zakończyło dyskusję biurokratów śmierci. Iście salomonowym sądem zdecydował, że „licząc się z zaistniałymi warunkami i w sposób absolutnie wyjątkowy“ połowa więźniów zostanie wpuszczona do obozu. Z drugą połową *Obersturmführer* Kitske zrobi, co mu się spodoba. Nigdy nie dowiedziałem się, jaki los spotkał tych, którzy zostali za murami Mauthausen. Każdy z nich był wrogiem, bo każdy zagrażał mojej malutkiej części, jednej sto sześćdziesiątej pierwszej części życia. Gdy tylko zaskrzypiały zawiasy otwieranej bramy, rzuciłem się naprzód jak sprin-tujący szybkobiegacz. Po sekundzie znalazłem się na tak dobrze znanym dziedzińcu. Jak pies, który uciekł z laboratorium Pawłowa, stanąłem jak najdalej od czerwono malowanych hydrantów. Dyszałem ciężko. Teraz, gdy osiągnąłem cel, siły wyciekały ze mnie jak z dziurawego wiadra. Usiadłem na bruku, aby odetchnąć i z przerażeniem skonstarowałem, że nie potrafię już wstać. Nogi odmawiały posłuszeństwa, mózg był suchy. Zacząłem tracić poczucie rzeczywistości. Z daleka dobiegły zawołania SS-manów, wydawało mi się, że każą ustawić się w kolumnę, ale słowa brzmiały jak nadchodzące z innego świata, nie pojmowałem ich sensu. Wirujące przed oczyma czarne plamy zamieniły się w gęsty całun zakrywający wszystko i wszystkich.

Jedna doba została całkowicie zmaszana, nigdy nie udało mi się jej odtworzyć. Gdy wróciła do mnie świadomość, leżałem na gołej pryczy, tuż przy otwartych drzwiach baraku. Nie wiedziałem, jak się tam dostałem, przypuszczalnie pieszo, bo przecież nikt nikogo nie nosił na ramionach, ale nie pamiętam żadnego szczegółu, żadnej twarzy, żadnego głosu. Znacznie później powiedziano mi, że leżę w obozie sanitarnym, położonym poza murami Mauthausen.

„Oni mają już wieczny odpoczynek“, były to pierwsze słowa, które usłyszałem wyraźnie. Minęła krótka wieczność, aż spostrzegłem, kto mówi. Leżał tuż obok mnie, jego pozołkła twarz niemal przylegała do mojej, oczy miał głęboko zapadnięte, nos spłaszczony od uderzenia, na policzkach zakrzepła krew. Wspólnik do pryczy, wciąż jeszcze nie zauważyłem trzeciego więźnia, leżącego za plecami bezpośredniego sąsiada, podniósł ramię i wskazał na otwarte drzwi. Powędrowałem wzrokiem za jego palcem wskazującym. Tuż za drzwiami, na piaszczystej ziemi, leżała sterta wychudzonych zwłok.

„Skąd przyszedłeś?“

Trwało chwilę nim pojąłem, że zwracał się do mnie. Nie odpowiedziałem. Mówił dobrze po niemiecku, lecz nie rozpoznałem akcentu. Nie obchodziło mnie, gdzie się urodził, w Bawarii czy Hesji, czy był Żydem czy nie. Niech tylko zamilknie, niech nie zmusza mnie do myślenia. Ale obcy czuł potrzebę kontaktu z żyjącą istotą. Nie wiedziałem jeszcze, że ten trzeci wyzionął ducha.

„Popatrz, kanibale“, wydusił z siebie. Dźwięki docierały do mnie z opóźnieniem, albo głos zmniejszył prędkość, albo mój słuch przytępiał. W pierwszej chwili, rozszyfrowawszy znaczenie słów, pomyślałem, że biedakowi pomieszały się zmysły. W stanie krańcowego wycieńczenia więźniowie często pograżali się w malignie i wygłaszali niezrozumiałe teksty. Ale nie mój sąsiad. W popołudniowym słońcu widoczne były dwie postacie, które przyklekły przed stertą trupów i szarpały zębami umarłych.

„Kanibale“, powtórzył obcy na pryczy i zamilkł. Do pierwszej dwójki przyłączyli się inni. Dzisiaj, patrząc z perspektywy człowieka sytego, zastanawiam się, czy gdybym znalazł w sobie dosyć siły i energii, potrafiłbym jeść trupa? Jest to jedno z tych pytań, na które nie mam jednoznacznej odpowiedzi.

Głód ścisnął żołądek tak dobrze znanym skurczem. Na dworze świeciło słońce, ale wewnętrzne zimno paraliżowało zdolność myślenia. Autorzy powieści fantastyczno-naukowych lubią zamrażać swoich bohaterów, aby przywrócić ich do życia w innej epoce. Gdy zamarzała we mnie zdolność odczuwania, gdy schowałem się w wygodnej niszy nieistnienia, gdy spadałem w nicość, nie wyobrażałem sobie, że wrócę jeszcze do świata, teraz lub w dalekiej przyszłości. Omdlenie i przejawy jasności przenosiły mnie mchem wahadłowym z mroku do światła i odwrotnie. Wątpię, czy wypłynąłbym na powierzchnię, gdyby nie pojawił się wózek z kotłem pełnym sago³⁹. Zapach jedzenia i szcęk blaszanych naczyń podziałały na mnie jak zastrzyk adrenaliny.

³⁹ Potrawa z maczki rdzenia palmy tropikalnej.

Tylko raz dostaliśmy porcję sago. Potem rozdawano już tylko cienką kawę zbożową. W nocy sąsiad na pryczy przestał wzdychać, rano nie wyciągnął ręki po kubek ciepłego napoju. Także ten trzeci nie ruszał się i nie odzywał słowem. Dopiero po dwudziestu czterech godzinach pojąłem, że umarli. Nie zameldowałem ich zgonu sanitariuszom, którzy skrzętnie usuwali trupy, walcząc bez skutku z epidemią dezynтерии, ponieważ przez kilka następných dni odbierałem trzy porcje ciemnej lury. Brzuch mi się nadął jak balon, nie oddawałem kału i moczu, coś we mnie gniło, nie wiedziałem, co. Kontynuowałbym moje małe oszustwo, gdyby zwłoki sąsiadów nie zaczęły się rozkładać. Smród mógłby mnie zdradzić. Po zapadnięciu zmroku kopnięciem strąciłem umarłych na betonową podłogę baraku. Chyba nie ważyli już nic, bo uczyniłem to bez wielkiego wysiłku.

„Złaż, idioto, wszystko skończone!”

Kto wołał? Co było skończone? Dlaczego więźniowie wybiegają z baraku? Skąd te radosne krzyki?

Ktoś pociągnął mnie za ramię. Stoczyłem się z pryczy, wstałem, znów upadłem i znów wstałem. Obcy ludzie ujęli mnie pod ręce, wyprowadzili na „wolne” powietrze. Zdumiałem się. Przez wszystkie lata pobytu w obozach nie doznałem takiej spontanicznej pomocy. Nie wiem, kiedy znalazłem się wśród tłumu na placu między barakami. W odległości kilkunastu metrów stał czołg. Na wieżyczce namalowana była biała pięcioramienna gwiazda. Rozentuzjzmowani więźniowie rzucali w górę czapki, najlepszy znak, że nie będą im potrzebne do porannych i wieczornych apeli. Rozlegały się wiwaty we wszystkich językach okupowanej Europy. Babilońska wieża radości. Chciałem krzyknąć, że jestem słaby, że chcę wrócić na pryczę w baraku, ale nie mogłem wydobyć słowa ze ściśniętego gardła. Wyschnięte struny głosowe skrzypiały jak zardzewiałe zawiasy. Dwóch więźniów wciąż jeszcze trzymało mnie pod pachy, czułem ich mocne ramiona, nie rozpoznawałem twarzy. Wieżyczka czołgu obracała się pomału, działa poruszało się w półkręgu jak wskazówka ogromnego zegara. Z otwartego wjazdu wyłoniła się głowa czarnego czołgisty. Dopiero gdy zdjął hełm i przecesał palcami kędzierzawe włosy, uderzyła mnie waga chwili: tak, wszystko skończone! Nie tak wyobrażałem sobie moment wyzwolenia. Nie miałem dokładnego wyobrażenia uroczystej chwili, ale wiedziałem, że przepoi mnie bezgranicznym szczęściem. Teraz nie czułem niczego prócz zmęczenia. Żołnierz przetarł czoło białą chusteczką. Był pogodny, wiosenny dzień. Z wież strażniczych patrzyli uzbrojeni policjanci. Żołnierz pomachał im beztrósko i krzyknął „Hitler kaput!” Potem skinął, dając do zrozumienia, że mają zejść z posterunków. Wykonali polecenie jak posłuszne roboty. Z początkiem maja wycofała się załoga SS i przekazała obóz pod opiekę pospolitego ruszenia oraz wiedeńskiej policji. Starsi żołnierze oraz miejscy policjanci nie byli przepojeni zapałem niszczenia charakterystycznego dla jednostek spod znaku trupiej czaszki i z całą pewnością nie mieli ochoty na zbrojny konflikt z wojskami pancernymi Stanów Zjednoczonych. Murzyn znów coś zawołał, nie dosłyszałem, co, ale widziałem, jak Niemcy, a może Austriacy, ustawiają się w rząd i rzucają pod nogi broń. Kilku więźniów podbiegło, by zebrać karabiny i pistolety. Tłum wiwatował. Ktoś wołał *viva Espana!* Nad głowami powiewały flagi Polski i Francji. Nie miałem bladego pojęcia, skąd się wzięły. Jeńcy rosyjscy zaintonowali „Międzynarodówkę”.

Nogi ugięły się pode mną. Poprosiłem: „pomóście mi wrócić do baraku”. Nie oczekiwałem, że znajdę pomocną rękę, ale obcy człowiek przewiesił mnie sobie przez ramię i zaciągnął aż do wejścia do baraku. Gdy rozluźnił uścisk, opuściła mnie resztką sił, upadłem i straciłem przytomność.

Z rzeczywistością łączyłem się stopniowo; najpierw wracała narastającą falą głosów i dźwięków, potem grą światła i cieni pomału tworzących obraz otoczenia. Leżałem na plecach. Pierwszą rzeczą, którą zobaczyłem, była para bosych nóg dyndających mi nad głową. Nogi wyrastały z owłosionego brzucha nagiego mężczyzny w czapce SSmana. Mężczyzna wisiał na wyciągniętych ramionach, przywiązany do belki stropowej sznurem okręconym wokół nadgarstków. Z otwartych ran ciekła krew. Kilku jeńców radzieckich zabawiało się rzucaniem do celu. Duży kuchenny nóż przechodził z rąk do rąk według z góry ustalonej kolejności. Za każdym razem gdy ostrze utkwilo w ciełe wiszącego, rozlegał się dziki wrzask radości. Skośnooki, roześmiany od ucha do ucha jeniec z rudym zarostem wepchnął mi w dłoń trzonek noża, mówiąc:

„Upuść mu krwi, synku. Upuść mu krwi, na rachunek mojej kolejki”.

Leżałem bez ruchu, ściskając drewnianą rękojeść noża, omdlenie płynęło ku mnie powracającą falą, oczy miałem otwarte, ale z trudem widziałem, co się dzieje. Byłem wolny, mogłem pójść, dokąd

dusza zapagnie, ale nie mogłem wstać. Miałem prawo poderżnąć gardło przywiązanemu do stropu SS-manowi, ale nie byłem żądny krwi, więc po co? Mogłem krzyczeć, przeklinać, śpiewać, modlić się lub deklamować „Fausta“, ale dawno wyczerpałem zasób słów. Jaką korzyść mamy z praw i przywilejów, jeśli nie możemy ich wykorzystać?

Z mojej rozwartej bezwiednie pięści nóż wyslizgnął się na podłogę.

12

Jeśli kierować się zasadami statystyki, moje imię i nazwisko nie powinny znajdować się na liście osób żyjących w dniu wyzwolenia. Na szczęście utarte i obiektywne reguły logiki nie obowiązują nadrzędnego prawa przypadkowości.

Rok po wyzwoleniu, podczas procesu hitlerowskich lekarzy obozu koncentracyjnego Mauthausen, doktor Eduard Krasbach zeznawał z mrozącą krew w żyłach szczerością:

„Równocześnie z nominacją na naczelnego lekarza obozu otrzymałem rozkaz zgładzenia wszystkich niezdolnych do pracy więźniów oraz wszystkich beznadziejnie chorych. Więźniowie, którzy ponad wszelką wątpliwość nie byli przydatni do pracy, zostali zlikwidowani w komorze gazowej. Nielicznym wstrzyknięto benzynę“.

Na zapytanie oskarżyciela, pragnącego wiedzieć, czy zapomniał, że przecież miał do czynienia z żywymi ludźmi, odparł:

„Nie. Ale ludzie nie różnią się od zwierząt. Zawsze zabijamy niepełnosprawne zwierzę i nie ma żadnego powodu, aby nie postępować tak samo z ułomnym człowiekiem, choćby ze względów humanitarnych... Państwo ma prawo usuwania elementów asocjalnych. Niezdolni do pracy zaliczają się do tej kategorii“⁴⁰.

Nie urodziłem się ułomny, ale bez zastrzeżeń zaliczałem się do kategorii niezdolnych do pracy pasożytów. Zaraz po wyzwoleniu ważyłem trzydzieści siedem kilogramów. Dowiedziałem się tego z zapisu w mojej teczce, w szpitalu polowym korpusu medycznego wojsk USA. Poza zaawansowaną gruźlicą płuc, ropiejącymi ranami, schorzeniem żołądka i jelit oraz częściową głuchotą, cierpiałem na chorobę zdiagnozowaną po raz pierwszy przez polskiego lekarza w obozie sanitarnym, doktora Władysława Fajkiela. Doktor Fajkiel nazwał ją po prostu chorobą głodową. Do słownika medycyny weszła później jako *Dystrophia alimentaria*.

„Po tym, jak ciało traci jedną trzecią normalnej wagi“, pisał doktor Fajkiel, „szklany wzrok chorego wyraża zupełną obojętność. Oczy zapadają się głęboko w oczodoły, skóra na policzkach staje się szara i przezroczysta, ze skłonnością do odpadania płatami. Cierpiący na chorobę głodową podatni są na zarażenie wszystkimi innymi chorobami, a szczególnie świerzbem. Oddech mają skrócony, sposób mówienia bardzo spokojny, przy czym samo mówienie sprawia im trudność. Następnie pojawiają się torbiele, początkowo pod oczyma, a później na stopach. Przy dłuższych okresach głodu rozprzestrzeniają się na inne części ciała, przede wszystkim na brzuch, mosznę, lędźwie i łydki. Na tym etapie pojawia się biegunka, chorzy stają się całkowicie obojętni na otoczenie, szukają odosobnienia, zamykają się w sobie, a jeśli starcza im jeszcze sił, pomszają się wolno, nie zginając kolan. Ponieważ temperatura ciała spada poniżej trzydziestu sześciu stopni, na ogół dygoczą z zimna. Tylko widok jedzenia jest w stanie wytrącić ich ze stanu apatii. Śmierć spada na nich niespodziewanie“.

W okresie, w którym los drwił z wszystkich przyjętych norm, doktor Fajkiel działał w obozowej organizacji podziemnej, która postawiła sobie za cel pokrzyżowanie planów przedstawionych tak brutalnie przez oskarżonego Eduarda Krasbacha. Od kilku miesięcy działały w Mauthausen odrębne podziemia Francuzów, Polaków i Hiszpanów; każde z nich troszczyło się przede wszystkim o rodaków. Żydzi nie mieli swojej organizacji. Nie należeliśmy nigdzie, bo prześladowała nas etykieta „obywateli świata“ nie posiadających żadnej ojczyzny oprócz duchowej, pozbawionej terytorium i granic. Nikt się o nas nie troszczył. Mimo to w dużej mierze zawdzięczam życie trzem istniejącym organizacjom podziemnym.

⁴⁰ Według protokołu z procesu zbrodniarzy nazistowskich w Dachau.

Na krótko przed moim powrotem do Mauthausen umożliwiono więźniom niemieckiego pochodzenia zaciągnięcie się do armii. Walczą się Rzesza zamieniała pasiaki na mundury wojskowe. Wielu prominentów skorzystało z okazji. Nie mieli złudzeń co do wyniku wojny i nie zapalali nagłym patriotyzmem, ale w przeddzień zbliżającego się końca woleli być jak najdalej od miejsca, w którym czekała ich straszliwa zemsta. Ich funkcje kapo, starszych bloków i pisarzy w obozowej kancelarii przejęli więźniowie polityczni związani z podziemiem. Wiara była świetnie zorganizowana, przestrzegała zasady „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego“ i reguł wzajemnej pomocy. Ponieważ nowi funkcyjni mieli teraz dostęp do dokumentów, mogli je z łatwością fałszować, zapisywać ciężko chorych jako uzdrowionych, a nawet usuwać z listy nazwiska wyznaczonych na rozstrzelanie. Kadra oficerska SS straciła kontrolę nad obozową biurokracją. Dzięki temu udało się pokrzyżować plany dowództwa zamierzającego zgładzić trzy tysiące najsłabszych więźniów.

Z pozostawionych przez Niemców dokumentów wynika, że w pierwszych dniach maja panował w obozie sanitarnym nieludzki ścisk. Na niespełna dwóch tysiącach prycz leżało osiem tysięcy ośmiuset sześćdziesięciu trzech chorych. Pod pozorem przeniesienia do innego szpitala wyprowadzono do komory gazowej ośmiuset dogorywających. Ludzie z organizacji podziemnej do wiedzieh się, że komendantura postanowiła przerzedzić obóz o dalsze dwa tysiące dwieście ofiar. Doktor Czapliński, Polak, który przejął po zmobilizowanym Niemcu stanowisko naczelnego lekarza obozu sanitarnego, postanowił nie dopuścić do mordu. Był to wówczas akt niezwykłej odwagi zwrócić się do SS-ma-na Bachmayera, prawej ręki dowódcy Mauthausen, jak „oficer do oficera“ i zażądać anulowania rozkazu. W innych okolicznościach Czapliński niewątpliwie przyplaciłby to życiem. Ale w rozgardiaszu ostatnich dni wojny, gdy nawet najżarliwsi hitlerowcy gorączkowo pakowali walizki, Bachmayer dał się przekonać, że zaniechanie mordu przemówi na jego korzyść po ostatecznym upadku Rzeszy. Rozkaz został odwołany. Anioł śmierci musiał zrezygnować z mojej grzesznej duszy.

Dwa dni kołysały się u stropu zadźgane nożami zwłoki SS-mana, aż żołnierz amerykański, który przypadkowo zajrzał do baraku, przeciął sznury. Barak opustoszał, co silniejsi, w większości jeńcy rosyjscy, rozproszyli się po okolicy i rozprawiali z miejscową ludnością. Amerykański żołnierz podróżował mnie z betonowej podłogi i wezwał sanitariuszy.

Dwóch umundurowanych lekarzy u mojego wezglowia uważnie studiowało zawartość teczki. Leżałem na noszach. Jeden z nich przyklęknął i przyłożył stetoskop. Poczulem zimne dotknięcie metalu. Lekarz przysłuchiwał się charczeniu wydobywającemu się z klatki piersiowej i pokiwał głową, wyraźnie niezadowolony. Potem ujął w dwa palce moją górną powiekę, zaświecił prosto w oczy czymś, co przypominało latarkę kieszonkową. Snop mocnego światła uderzył w źrenicę. Wzdrygnąłem się.

„Klasyczny przypadek“, stwierdził, prostując się. „Proszę nie dawać mu więcej leków“.

„Odkiedy?“, zapytał młody sanitariusz.

„Od teraz“.

„Dlaczego? Jest coś nie w porządku z lekarstwem?“

„Lekarstwo jest w porządku. Ale pacjent jest w drodze na tamten świat“.

„To bardzo okrutne“, obruszył się sanitariusz. Miał nie więcej niż dwadzieścia lat i chyba niewiele widział w życiu. Opiekował się mną gorliwie od chwili gdy wniesiono mnie tutaj. Codziennie zmywał ze mnie płynny kał i zwilżał usta mokrą gazą. Nocami drzemał przy stole ustawionym pośrodku namiotu lub czytał przy świetle małej lampki. Kiedyś, pochylony nade mną, powiedział, że przygotowuje się do egzaminu wstępnego na medycynę, że chce studiować w swoim rodzinnym mieście, w stanie Arizona.

„Nie przejmuj się“, pocieszał go lekarz. „Śmierć nie boli“.

„Niech pan nie mówi głośno. Chłopak zna angielski“.

I am sorry“, skwitował lekarz i stanął przy następnych noszach.

Przyjąłem diagnozę z absolutnym spokojem. Byłem zbyt wyczerpany, aby pomyśleć, że właśnie teraz, gdy „wszystko skończone“, muszę się rozstać z życiem. Nie tylko śmierć była bezbolesna. Istnienie na granicy śmierci także nie bolało. Nie czulem niczego. Nie widziałem, jak umierali ci, którzy dostali życiodajny lek, jak wynoszono ich ze szpitalnego namiotu i jak wnoszono na ich miejsce innych. Mijały dni. Ze zdziwieniem skonstatowałem, że właśnie ja, któremu odmówiono pomocy, wciąż jeszcze kurczowo trzymałem się tego świata. Po miesiącu, może wcześniej, a może później, znów straciłem rachubę czasu, przeniesiono mnie do szpitala polowego otwartego w pomieszczeniach mieszkalnych załogi obozu. Biegunka ustała, czulem smak jedzenia na

podniebieniu, zacząłem interesować się tym, co działo się wokół mnie. Omdlenia stawały się coraz rzsadsze. Jeszcze nie byłem w stanie podnieść się z łóżka, ale już miałem przyjemność ze słuchania muzyki. W każdym pokoju był odbiornik radiowy. Komisja Czerwonego Krzyża spisywała tych, którzy przeżyli. Podałem prawdziwe nazwisko. Po latach znalazł je w spisie telawiński adwokat, usiłujący namówić mnie do odebrania odszkodowań. Powojenne Niemcy wyasygnowały na ten cel setki milionów marek. „Przykro mi“, powiedziałem gorliwemu prawnikowi, „ale żadne brudne pieniądze nie zwrócą mi rodziców, rodziny i straconych lat.“

„Oszalałeś“, złościł się adwokat. „Nie ma brudnych pieniędzy. Każdy pieniądz jest dobry, pod warunkiem, że ma pokrycie“. Wertowałem kartki listy w nadziei, że znajdę na nich nazwisko Fredka Minca. Nie znalazłem. Miałem wówczas trzydzieści lat i byłem jeszcze daleki od świata, w którym wszystko mierzy się gotówką. Nie przekonałem się nawet wtedy, gdy adwokat rzucił na pożegnanie: „wolisz, żeby forsa została w rękach morderców?“ Dzisiaj myślę, że miał rację. Ale także ja miałem rację i nie było sposobu, aby te dwie racje pogodzić.

W szpitalu polowym zamiast amerykańskich sanitariuszy pracowały siostry miłosierdzia, Niemki i Austriaczki. Opiekująca się mną pielęgniarka nosiła szary fartuch i miała twarz, którą łatwo zapamiętać. Ale pamiętam jej palce, krótkie i tłuste jak parówki, obrączkę ślubną zdobiącą serdeczny, przycięte paznokcie bez lakieru i gładką wewnętrzną stronę dłoni, którą rozsmarowywała mi na plecach maść przeciw liszajom. Nie używała perfum; pachniała środkami dezynfekcyjnymi. Nie potrafię określić jej wieku, siedemnastoletniemu chłopcu musiała wydawać się bardzo stara. Promieniowała spokojem i zawodową obcością. Gdy czułem się źle, chciałem, aby mnie wzięła w matczyne ramiona. Gdy czułem się lepiej, stroniłem od wszelkiej intymności. Odpychało mnie od niej jakby była nieczysta. Raz odwiedziła mnie we śnie, w postaci Grety, żony krakowskiego oficera SS. Chciałem jej opowiedzieć dziwny sen, gdy przyszła wieczorem poprawić prześcieradło i poduszki, ale zamiast tego obraziłem ją bez żadnej widocznej przyczyny. Nie mogłem pogodzić się z faktem, że tak bardzo byłem od niej zależny, że bez słowa skargi wynosiła moje ekskrementy, i że nigdy nie próbowała wykorzystać mojej słabości dla zademonstrowania swojej przewagi. Nienawidziłem jej wiecznej gotowości służenia słabszym, bo całym swoim zachowaniem przekreślała moje wyobrażenie Niemki. Denerwowało mnie, gdy przyjmowała moje wybuchy hysterii jako rzecz zrozumiałą samą przez się i traktowała mnie jak dziecko, które nie odpowiada jeszcze za swoje postępowanie.

Leżałem w świeżo pomalowanej izbie. Stały w niej dwa łóżka, ale sąsiednie było puste. Nie odwiedzał mnie nikt oprócz wiecznie milczącej siostry i zawsze uśmiechniętego amerykańskiego lekarza. Pewnego poranka przyprowadziła z sobą gościa.

„Usiądź“, powiedziała. „Pan cię ogoli“.

„Ogoli?“; zdziwiłem się.

Siostra podała mi małe lusterko. Od dwóch lat nie miałem okazji przypatrzeć się, jak wyglądam. Z owalnej, ebonitowej ramki spoglądała na mnie wychudzona twarz młodego człowieka z starczymi workami pod oczyma. Odrosły mu włosy, ciemny lok spadał na czoło. Usta miał spieczone gorączką, wąskie i zaciśnięte. Pod prawą brwią widniała brzydka szrama. Nie podobał mi się ten portret. Było to tak jakbym patrzył na twarz należącą do kogoś innego. Przesunąłem dłonią po policzku. Nie był gładki. Lustro nie kłamało. Nie wiadomo kiedy policzki pokryły się rzadkim, ale kłującym zarostem.

„Zaczynasz być mężczyzną“, zauważyła z taką samą obojętnością, z jaką nakazywała przewracać się z boku na bok, gdy smarowała mnie maścią. Fryzjer namydlił mi twarz, golił ją szybkimi pociągnięciami brzytwy. Było przyjemnie.

Poczawszy od tego dnia, dostarczałem satysfakcji lekarzom. „Pacjent jest na dobrej drodze“, stwierdzał mój doktor podczas przedpołudniowego obchodu i z zadowoleniem oddawał teczkę choroby któremuś z asystentów. Podczas wizyt osobistości (często pojawiali się w Mauthausen politycy i wpływowi amerykańscy dziennikarze) przedstawiano mnie jako sukces nowoczesnej medycyny. Nikt nie pytał o moje zdanie, ja zaś nabierałem wody w usta, mimo iż na końcu języka miałem ową pierwszą diagnozę, nie dającą mi żadnej szansy.

Z początkiem lata przybyli do Mauthausen żołnierze Brygady Żydowskiej. Powołana w Palestynie i walcząca u boku Anglików Brygada zajmowała się w pierwszych miesiącach po wojnie przetrzucaniem nielegalnych imigrantów z Europy do Ziemi Świętej. Mój stan poprawił się do tego stopnia, że schodziłem już z łóżka i spacerowałem, przy pomocy siostry, po terenie dawnych koszar SS. Czasami siadałem w słońcu, aby ostatecznie wypędzić nagromadzony przez lata chłód. Żydowscy

brygadziści w brytyjskich mundurach przyjechali kolumną ciężarówek, opowiadali o wojnie z Arabami i proponowali szybki transport do Włoch, a stamtąd ku wybrzeżom nowej ojczyzny. Akcja była skrzętnie zatajana, bo władze londyńskie tropiły nielegalną imigrację. Żydów przyłapanych na „gorącym uczynku“ osadzali w odratowanych obozach na Cyprze. Nawet gdybym chciał wsiąść do jednej z podstawionych ciężarówek, na pewno odmówiono by mojej prośbie. Tworząca się podziemna armia żydowska nie potrzebowała gruzlików. Ale prośba taka nie przyszła mi nawet na myśl. Kraj praojców rysował się w mojej wyobraźni jako miniona epoka historyczna, nie jako teraźniejszość, na pewno nie jako przyszłość. Pamiętałem podróż matki w roku trzydziestym piątym. W rumuńskim porcie Konstanca wsiadła na pokład s/s „Polonia“, aby odbyć wygodny rejs po Morzu Śródziemnym. Wróciwszy do Bielska, skwitowała swój krótki, turystyczny pobyt w Palestynie oświadczeniem, że „pełno tam much i piasku“, i że jest to wspaniały kraj dla młodych idealistów, lecz nie miejsce, w którym mogą żyć ludzie kulturalni.

Tak więc żołnierze Brygady wyjechali beze mnie. Nas, pacjentów szpitala polowego, czekała całkiem inna i dużo krótsza podróż. W wyniku porozumienia politycznego ustalono nowy podział okupowanej Austrii. Wojska amerykańskie wycofały się na południe, za Dunaj. Mauthausen i okolice oddane zostały pod administrację Armii Czerwonej. Konsekwencją zmian politycznych była raptowna zmiana w zaopatrzeniu szpitalnej apteki. Wkrótce zabrakło maści na ropiejące rany, zaraz po tym wyczerpał się zapas witamin, które rzekomo miały nam przywrócić witalność. Jedzenie stało się niestrawne, a co gorsze, sowieccy lekarze nie znali angielskiego, więc nie mogli korzystać z naszych teczek choroby. Po paru tygodniach nie mogłem już ukryć sam przed sobą, że milowymi krokami wracam do stanu początkowego. Ucieszyłem się, gdy obwieszczono nam, że zostaniemy przeniesieni do prawdziwej lecznicy. Załadowano nas, kilka dziesiątek chorych, na dwie otwarte przyczepy, traktor zaciągnął nas do pobliskiego Katsdorfu. Lecznica okazała się domem starców. Poprzedni lokatorzy musieli w pośpiechu opróżnić obszerny budynek położony na malowniczym wzgórzu, w centrum dużej wsi, między zagrodami wieśniaków uprawiających okoliczne winnice. Towarzyszący nam „komandir“ Armii Czerwonej wezwał przed swoje oblicze wójta. Wystraszony Austriak przybiegł natychmiast i mnąc miękkie kapelusze w rozdygotanych rękach, wysłuchał krótkiego ostrzeżenia:

„Jeśli ci życie miłe, dbaj o tych ludzi, jakby byli twoimi braćmi. Wieś ma ich żywić i dbać o wszelkie ich potrzeby, dopóki będą tu mieszkać“.

Chłop przytaknął gorliwie. Oficer usiadł na siodełku za traktorzystą i wrócił do Mauthausen. Personel, dwóch lekarzy, pielęgniarki i labo-rantka, przyjechali następnego dnia. W międzyczasie rozlokowaliśmy się w budynku, każdy z nas zajął osobny pokój. Wszystkie były obszerne, czyste i jasne. Pościel pachniała farbą do prania. Na nocnej szafce znalazłem dwie książki, obie przełożone zakładkami: „Podróż do matki“ Georga Dendela i „Via Mala“ Johna Knitla. Siostra w szarym fartuchu (tak, ona także przywędrowała do Katsdorfu!) zapytała, czy może je wziąć do czytania. Skinąłem głową na znak zgody. Nasze rozmowy znów ograniczały się do niezbędnego minimum: jedzenie, leki, czystość. Chłodna obcość miała swoje zalety. Kiedyś przyniosła mi szczotkę do zębów, mówiąc: „masz zły zapach z ust“. Kiedy indziej, ściągając ze mnie brudne kałesony, powiedziała: „śmierdzą jak gówno“. Gdyby nie brak bliskiego kontaktu, czułbym się zawstydzony. W istniejącym układzie przyjąłem uwagę jak skierowaną do kogoś innego. Żyliśmy w dziwnej symbiozie. Nie dawałem sobie rady bez jej pomocy, a ona, z niezrozumiałej dla mnie przyczyny, czuła potrzebę opiekowania się bezsilnym stworzeniem, jakim byłem. W obopólne stosunki nigdy nie zakradł się serdeczny uśmiech, nie było w nich ludzkiego poszukiwania ciepła, nie padały zbędne słowa. Myślę, że umiała odczytać prawdziwy powód mojej niechęci i nigdy nie usiłowała jej zmienić. Nie narzucała swojej obecności, ale znajdowała się przy mnie, gdy jej potrzebowałem. Miałem cztery ściany tylko dla siebie, wspaniałe uczucie po tylu latach przymusowego ocierania się w obcym tłumie. Lubiłem przebywać z sobą i swoimi myślami. Mogłem zamknąć drzwi, nawet przekręcić klucz w zamku i udawać, że nie słyszę pukania. Nie ciekawili mnie sąsiedzi, unikałem ich, gdy wychodziłem na korytarz. W godzinach, w których czułem się lepiej, otwierałem okno. Odczuwałem zadowolenie z każdej czynności, na wykonanie której nie musiałem prosić o pozwolenie. Siadałem w krześle, opierałem łokcie o parapet i głęboko wdychałem świeże powietrze. Kojarzyło się to z nieograniczoną swobodą.

Spojrzenie przez okno równało się spojrzeniu w życie. Widziałem mężczyzn wychodzących wczesnym rankiem do pracy. Widziałem dzieci skaczące przez sznur i grające w klasy, kobiety

wieszające pranie, psy hasające po podwórzach, widziałem zwykle wiejskie domy i zwykłych ludzi, wszystko dawno zapomniane widoki. Znajdowałem satysfakcję w obserwowaniu innych, sam nie będąc obiektem bezustannej kontroli. Stałem się panem swojego czasu. W świecie, w którym wyłącznie obcy ustalali jego rytm, czas stanowił ich wyłączną własność. Obecnie przywróciłem sobie władzę nad podziałem doby. Znow zaistniały przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Nie bardzo wiedziałem, co czynić z tą nową własnością. Przeszłość rysowała się mgliście, teraźniejszość miała smak przemijającej przygody. Rano, leżąc na wznak, z oczyma utkwionymi w powałę, próbowałem wyobrazić sobie przyszłość. Była biała i gładka jak sufit pokoju. Nie wiedziałem jeszcze, że budujemy nasze marzenia na fundamencie tego, co przeżyliśmy. Wyobraźnia nie funkcjonowała należycie, ponieważ podświadomie wymazałem z niej ostatnie pięć lat, zaś okres dzieciństwa nie wystarczał na stawianie solidnego gmachu dnia jutrzejszego. Byłem za młody, aby przetwarzać materię, zmieniać kolory i kształty życia, wysnuwać pozytywne wnioski z negacji, znajdować nektar w chwastach. Przeszkadzał mi brak umiejętności przekształcania myśli w konkretną wizję. Nie wiedziałem, że każdy z nas wyposażony jest w cudowny transformator umożliwiający zmianę prądu tych myśli, i że transformator ten nie jest niczym innym, jak inteligencją wzbogaconą nagromadzonym doświadczeniem. Wyrzuciwszy ogniwo lat wojennych, na próżno usiłowałem stworzyć łącze między przeszłością a przyszłością. Jakąkolwiek drogą nie wędrowałbym w jutro, zawsze spotykałem dzień przedwczorajszy. Dlaczego? Bo przedwczoraj było mi dobrze. Ale jaki sens miała taka droga, skoro prowadziła w świat, który przestał istnieć? Nie było już tatusia i mamusi, nie było Pauli, nie było Nolka z przewieszoną przez ramię „Leicą“, nie było wyszantażowanego roweru, zginęli ołowiani żołnierze skoszarowani w szafie dziecinnego pokoju, nie było atmosfery dzieciństwa. Czy można oddychać w próżni?

Wczesną jesienią dom starców zaczął się opróżniać. Kapitan Armii Czerwonej nie pojawił się nigdy więcej, wójt ograniczył dostawy żywności, nikt nie zaproteutował, nie zagroził mu konsekwencjami. Dwaj austriaccy lekarze zniknęli bez śladu, nie wiedziałem kiedy i gdzie. Siostry opuszczały nas jedna po drugiej. Młoda chłopka, sprzątająca codziennie mój pokój, przestała przychodzić. Tych, których nie udało się uratować, pogrzebano na wiejskim cmentarzu. Na wielu krzyżach nie było nawet nazwiska. Uzdrawieni pakowali manatki i ruszali w drogę. Zapytałem siostry w szarym fartuchu: „co się dzieje?“ Odparła lakonicznie: „każdy w pogoni za swoim losem“. Co chciała przez to powiedzieć? Ze trzeba, abym ja także zajął się swoim losem? Dotychczas opiekowała się mną jak zawsze, jakby nic się nie działo. Nie uświadamiałem sobie, że jej obecność napawa mnie pewnością siebie. Teraz miało się to zmienić. Postanowiłem, że nadszedł czas.

„Jutro“, powiedziałem.

Zrozumiała natychmiast.

„Dokąd?“, spytała.

„Do domu“.

„Ja zostaję. Nie mam domu“.

Nigdy przedtem nie mówiła o sobie. Zapanowała chwila kłopotuwego milczenia. Potem znow spytała: „Masz rodzinę?“ Po raz pierwszy chciała wiedzieć coś o mnie.

„Nie wiem“.

„Przygotowałam trochę odzieży. Masz pieniądze?“

„Pieniądze?“ Zapomniałem, że coś takiego istnieje. „Dam sobie radę.“

„Repatrianci jeżdżą za darmo. Do Linzu odchodzą pociągi na zachód, z Enns odjeżdżają na wschód.“

„Jak można się dostać do Enns?“

„Porozmawiam z wójtem. Podstawi ci furmankę“.

Ostatniej nocy w Katsdorfie miałem dziwny sen. Śniłem, że leżę na skraju przepaści, że jakaś niewidoczna ręka spycha mnie w dół. Przepaść była ciemna, nie mogłem ocenić jej głębokości, niewiedza przejmowała mnie strachem. Strach położył się kamieniem na piersi. Nie mogłem oddychać. Obudził mnie atak kaszlu. Zapaliłem światło. W płwocinie była krew. Wiatr powiewał firanką w otwartym oknie. Poczulem chłód. Przykryłem się po ramiona. Zasnąłem. Męczący sen wrócił natychmiast. Na pewno stoczyłbym się w mroczną przepaść, gdyby nie donośny głos siostry:

„Dzień dobry. Już po ósmej“.

Przewiesiła przez poręcz krzesła parę brązowych spodni, szarą marynarkę w kratę i białą koszulę. „Sprawdziłam. To twój rozmiar“.

Nie podziękowałam.

„Furmanka przyjedzie za godzinę. Wstawaj. Musisz się wykąpać“.

„Po cholerę kąpiel?“, zbuntowałam się. Nie kąpiel była mi potrzebna, lecz bliska osoba, której mógłbym opowiedzieć nocny koszmar, która chciałaby mnie pocieszyć. Ale nie. Nie chciałem słów litości z ust tej kobiety. Ona zaś nie spostrzegła, a może nie chciała dostrzec, mojego stanu ducha. Szybkim ruchem, wydawał mi się brutalny, zerwała ze mnie kołdrę. Sięgnąłem po odzież, którą przyniosła.

„O, nie“, zaprotestowała. „Najpierw kąpiel“.

„Po co?“, broniłem się.

„Bo cuchniesz“.

„Co panią to obchodzi? Za chwilę wyjeżdżam, nie będzie mnie pani wachać“.

„Idziesz między ludzi, zachowuj się jak człowiek“.

Niechętnie zwlokłem się z łóżka i poszedłem za nią do łazienki na końcu korytarza. Białe wykładziny poślizgły, bateria straciła blask, umywalka była pęknięta. Słaba żarówka paliła się pod sufitem.

„Rozbierz się“.

Zrzuciłem pidżamę. Nie wstydziłem się swojej nagości. Nie uważałem się za mężczyznę, jej nie traktowałem jako kobietę. Siostra spięła mocniej szary fartuch i trzymała mnie za wychudzone ramię, abym się nie poślizgnął, wchodząc do wanny. Potem zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów i uśmiechnęła się. Nigdy przedtem nie widziałem jej uśmiechniętej.

„Trzeba cię szorować papierem ściernym“, zażartowała. Nigdy przedtem nie słyszałem, by żartowała.

„Nie ruszaj się. Nie ma dosyć wody na pełną kąpiel. Zadowolimy się natryskiem“.

Stałem bez ruchu. Siostra otworzyła kurek, zmoczyła ręce i zamknęła kurek. Mydło piekło w nie zagojonych ranach. Myła mnie z profesjonalną obojętnością zawodowej siostry miłosierdzia. Namydlone ręce ślizgały się po moich biodrach, potem niżej, między nogami. Bez wahania dotknęła mnie tam, gdzie nigdy przedtem nie dotykała mnie żadna kobieta. Nie czułem ani wstydu, ani podniecenia. Trzymając miękkie prącie, powiedziała:

„Nic się nie martw. Przyjdzie dzień, a chuj ci stanie jak stalowa pałka. To będzie ważny dzień w twoim życiu, bo odkryjesz, jakie jest piękne“.

Tak powiedziała i otworzyła kurek prysznica. Woda była letnia, przyjemna, oczyszczająca z wszelkiego brudu.

POSŁOWIE

Cóż się stało z dobrze wychowanym dzieckiem, że przeniesione w dżunglę wyrzuca za burtę balast wartości wyniesionych z rodzinnego domu? Dlaczego ciska na śmietnik zasady moralne wpajane od dzieciństwa? Co wyniósł z sobą młody człowiek, więzień obozów, w wolny świat? Czy ma sumienie, czy potrafi kochać, wzruszać się, płakać i litować jak inni? Pytania te dręczyły mnie od chwili, gdy zacząłem samodzielnie myśleć. W „Autoportrecie z bliźną“ usiłuję na nie odpowiedzieć.

Uniwersum pytań i odpowiedzi to nieustająca próba rozwikłania zagadki losów człowieczych. Próba dociekania, w jakiej mierze przeszłość kształtuje teraźniejszość.

Czy mamy prawo sądzić czyny popełnione w epoce ciemności według kryteriów epoki światła? Szukając odpowiedzi, rzuciłem wyzwanie filozofii opartej na myśli, że wartości moralne, raz ustanowione, trwają nienaruszalne, niezależnie od okoliczności i czasu.

Moja książka nie jest książką historyczną. Jest subiektywnym zapisem życia, które dane mi było przeżyć i subiektywnym obrazem postaci, które spotkałem w życiu. Niektórym zmieniłem nazwiska. Siebie, rzecz zrozumiała, oglądałem w lustrze, które sam stworzyłem.

Tel-Awiv-Warszawa, styczeń 1987-sierpień 1991.

Szczególne podziękowanie za wsparcie duchowe podczas pisania tej książki należy się mojej byłej żonie Szulamicie.